



John Shors



***Pod marmurowym
niebem***

CZEŚĆ I

W chwili gdy usłyszałem pierwszą opowieść miłosną,

Zacząłem cię szukać, nie wiedząc, że to nie ma sensu.

Kochankowie nie muszą się spotykać

Oni noszą się nawzajem w sercach.

RUMI

W czasach gdy byłem jeszcze młodą niewinną dziewczyną, mój ojciec był przekonany, że osiągnął wszystko, czego może pragnąć śmiertelnik.

Pewnego razu, dumając nad świetnością swojego imperium, skomponował poemat, a na sklepieniu Pawiego Tronu kazał jednemu ze swych artystów wypisać złotem te oto słowa: „Jeżeli istnieje raj na ziemi, to jest tutaj, to jest tutaj, to jest tutaj!”. Proste słowa prostego człowieka. Lecz jakże prawdziwe.

Wschód słońca nad Dżamną wielokrotnie nasuwał mi myśli o raju. Widoki po obu stronach jej szeroko rozlanego nurtu zawsze napawały mnie taką miłością, jaką mogłaby budzić twarz ukochanego. Dziś również czuję to samo co kiedyś, zwłaszcza że dawno ich nie oglądałam, zmuszona ukrywać się całe lata bardzo daleko od Agry. Po mej prawej stronie rozpościera się wspaniały Czerwony Fort. Naprzeciw, skąpany w krwawym blasku słońca, stoi Tadż Mahal. Nie wzbija się w niebo jak sokół i nie piętrzy jak grzbiet morskiej fali; bardziej przypomina ramię sięgające w górę zdecydowanym i szlachetnym gestem. Jest jak wrota wiodące do niebios. Myśl, że owo mauzoleum zbudowano ku czci mojej matki, sprawia mi ogromną radość, lecz zarazem budzi wielki smutek.

Nie jestem dziś sama. Mój strażnik imieniem Nizam wiosłuje wytrwale w stronę drugiego brzegu. Na dziobie łodzi siedzą dwie moje wnuczki, Gulbadan i Rurajja. Te młodziutkie dziewczyny to cudowne podwójne wcielenie mojej ukochanej córki. Kiedy tak urosły? Gdy na nie patrzę, wydaje mi się, że zaledwie wczoraj pieściłam ich maleńkie niepewne stópkę. Kocham dziś moje wnuczki chyba jeszcze mocniej niż wtedy. Na ich widok doznaję uczucia, że zmierzam ku miejscu, gdzie nie ma już smutków ani wspomnień przywodzących na pamięć moje liczne blizny — te okrutne głębokie piętna znaczące me ciało i duszę.

Moje wnuczki chichoczą beztrąsko, szepcząc — jak to młode kobiety — o paradujących po brzegu mężczyznach i o swoich tajemnych marzeniach. Ja w ich wieku pilniej strzegłam swych prawdziwych uczuć. Na zewnątrz byłam taka jak one, lecz w środku, głęboko ukryte, trawiły mnie ciągle niepokoje, których źródłem było głównie pragnienie uznania, pragnienie, by poczuć, że jestem coś warta.

Tak ukrywałam tę swoją niepewność, że tylko nieliczni umieli czasami ją dostrzec; jedną z tych osób był Nizam, który teraz kieruje łódź ku brzegowi, w stronę cichego zakątka, gdzie z dala od ludzkiej cizby widocznej przy mauzoleum będę mogła pomówić z wnuczkami bez obaw, że ktoś nas może podsłuchać. Na brzegu rośnie banian, którego nadziemne korzenie całują bystre wody Dżamny. Mnie te wielkie drzewa zawsze przypominają olbrzymie pająki — te opadające ku ziemi korzenie wyglądają zupełnie jak nogi. Nizam przywiązuje łódkę do któregoś z nich, po czym kiwa głową na znak, że jesteśmy tutaj bezpieczni. Też tak myślę; jesteśmy bezpieczni przynajmniej na tyle, żeby te dwie młódki mogły wysłuchać mojej opowieści o tym, jak przyszły na świat.

Bo jest to tajemna historia, której nigdy nie opowiadałam — ani im, ani nikomu innemu.

— Moje kochane — zaczynam, rozluźniając szarfę, która uciska mi brzuch — wasi rodzice przywieźli was do Agry w pewnym celu. Uważają, że jesteście już dość dorosłe, aby wam zawieźć historię naszej rodziny, ja zaś przybyłam tu po to, aby ją wam opowiedzieć. — Urywam na moment, szukając ich oczu. Staram się zarazem siłą woli uciszyć swoje uczucia, nadać głosowi mocne i równe brzmienie. — Lecz czy wasi rodzice się nie mylą?

Gulbadan, starsza z dwóch sióstr, bawi się srebrnym pierścieniem równie wytartym i starym jak deski tej naszej łódki.

— O co ci chodzi, Dżaha?

— O to, czy potraficie dochować sekretu. Bo może wciąż jeszcze jesteście jak sroki, co siedząc na grzbiecie bawołu, plotkują sobie w najlepsze, nie bacząc, że obok krązą jastrzębie.

— Mówisz więc, że mamy być ostrożne. Dlaczego?

— Ponieważ, moje dziecko, mam wrogów, jak zresztą każda kobieta, której starcza odwagi, żeby sprzeciwić się woli mężczyzn. A ci wrogowie wiele by dali za to, żeby poznać naszą tajemnicę. Gdyby tak się stało, postaraliby się was uśmiercić. Jednym z tych wrogów jest cesarz.

— Cesarz?! — zdumiona Gulbadan zapomina o swym pierścieniu. — My przecież wcale go nie obchodzimy.

— Cesarz Alamgir — powiadam — niech Bóg wybaczy mu jego zbrodnie, wyprowadziłby cię z błędu, gdyby usłyszał twe słowa.

— Ależ on nawet nas nie zna! On...

— Wie stokroć więcej, niż ci się zdaje, a to, że was nigdy nie widział, wcale nie znaczy, że nie potrafi was skrzywdzić.

— Dlaczego miałby nas krzywdzić? Wydaję długie, nabrzmiałe żalem westchnienie.

— Musisz zrozumieć, dziecko, że ja i twoi rodzice... ukrywaliśmy przed wami pewne sprawy... które wam dziś wyjawię. Wcześniej nie mogliśmy tego uczynić, gdyż są to takie tajemnice, które w razie ujawnienia groziłyby nam wszystkim śmiertelnym niebezpieczeństwem. Obawialiśmy się zatem, że jesteście jeszcze zbyt młode, by je zachować dla siebie.

Obie moje wnuczki nieruchomieją z wrażenia; zda się, że nawet wstrzymały oddech. Teraz już tylko wiatr porusza fałdami ich długich brązowych sukien. Moje stare ciało kryje się również pod takim prostym odzieniem, tyle że ja przebrałam się dziś za Persjankę: mam na sobie czarną bezkształtną szatę, a na twarzy zasłonę. Rankiem, gdyśmy się spotkały, zdziwione dziewczyny spytały mnie o to przebranie. Skłamałam, że chcę się ukryć przed pewnym chciwym lichwiarzem, a one mi uwierzyły, podobnie jak w inne łgarstwa. No cóż, ufają mi bez zastrzeżeń, a ja... Lecz od dziś nie będę już ich oszukiwać. Nigdy i w niczym.

— Co wiecie o cesarzu? — pytam.

Gulbadan zerka na Czerwony Fort.

— Ludzie... hm... albo go czczą jak bóstwo, albo nienawidzą, tych zresztą jest znacznie więcej.

Otwieram już usta, gdy Rurajja wchodzi mi w słowo.

— Powiedz, Dżaha, dlaczego jest taki okrutny?

Ile to razy zadawałam sobie to pytanie? Sto? A może tysiąckrotnie?

— Cesarz — zaczynam mówić, choć nadal nie jestem pewna, czy go właściwie oceniam — od dzieciństwa czuł się niekochany. Był w błędzie, ale to bez znaczenia, bo gdy człowiek jest przekonany, że go nikt nie kocha, cały świat zdaje mu się zimny i wrogi. Nawiedza go zazdrość, po niej gorycz i w końcu nienawiść. To ona zatrąła serce Alamgira.

— Oj, Dżaha, skąd ty możesz coś wiedzieć o jego sercu? — rzuca Gulbadan.

Przez chwilę zwlekam z odpowiedzią. Myślę, jak ja bym się zachowała, gdybym była na miejscu mych wnuczek. Czy jakakolwiek młoda kobieta umiałaby spokojnie przyjąć wiadomość, że nie jest zwyczajną wieśniaczką, na jaką ją wychowano, lecz pochodzi z cesarskiej rodziny? Czy moje najdroższe wnuczki zdołają zrozumieć, że to konieczność kazała nam je oszukiwać?

— Alamgir — odpowiadam wreszcie, patrząc im prosto w oczy — zwany był kiedyś imieniem Aurangzeb, ja zaś jestem jego siostrą.

Nizam przytakuje ruchem głowy; cień jego turbanu tańczy na podołku Rurajji.

— Jego siostrą? — powtarza Gulbadan.

W jej głosie brzmi niedowierzenie.

Pochylam się ku dziewczynom.

— Nie mówiliśmy wam o tym, bo trzeba was było chronić. Gdyby ktokolwiek...

— Jak ty możesz być jego siostrą?!

— Ponieważ moja krew, a także wasza, drogie dziecko, jest równie królewska jak jego.

— Jakim cudem? Twój ojciec był przecież rybakiem, tak samo jak nasz. Zginął na morzu w czasie burzy.

— Mój ojciec był cesarzem. Miał na imię Szahdżahan.

— Niemożliwe!

— Ale to prawda.

Gulbadan otwiera usta, lecz przez chwilę nie znajduje słów. Brwi ma ściągnięte, ręce opadają jej na kolana.

— Więc dlaczego mieszkasz taki kawał drogi od Agry? I po co te wszystkie kłamstwa?

— Zrozumiesz, gdy usłyszysz moją opowieść.

— Dlaczego właśnie teraz nam o tym mówisz?

— Z powodu waszego braciszka.

— Z powodu Mirzy? To nie ma sensu!

Rzadko zdarzało mi się widzieć moją Gulbadan tak wzburzoną. Rurajja ma minę człowieka, który zbudziwszy się rankiem, ujrzał na niebie dwa słońca.

— Posłuchaj mnie, proszę, Gulbadan! Jeśli to zrobisz, wszystko ci wyjaśnię!

Moja starsza wnuczka mnie w ustach gniewną odpowiedź, ja zaś przymykam na chwilę oczy. W ciszy, która zapada, raz jeszcze rozważam zasadność naszej decyzji. Tak, te dziewczyny są już na tyle mądre, że możemy im powierzyć nasze jakże niebezpieczne tajemnice. Czy jednak w przyszłości nie wydarzy się coś takiego, co je zmusi do złamania słowa? Cóż, na to nie ma żadnej gwarancji.

— Będzie to długa opowieść, muszę wam bowiem przedstawić historię naszej rodziny i wszystko, w co wierzyli nasi wielcy przodkowie. Nie potrafię przewidzieć przyszłości, lecz żyjemy w bardzo niespokojnych czasach, może się więc zdarzyć, że któregoś dnia Pawi Tron opustoszeje... Gdyby tak się stało, Mirza mógłby dochodzić swoich praw do tronu, oczywiście jeśli tego zechce. Teraz jest jeszcze za młody, by mu o tym mówić, ale wy musicie to wiedzieć. Jeśli wasz brat postanowi wstąpić na tron, potrzebne mu będą wasze rady i pomoc, a i później także, zwłaszcza jeśli zechce pójść w ślady swego pradziadka, drogą pokoju, współczucia i zrozumienia, nie zaś szlakiem wojny, krwi i nieufności, którym dziś kroczy Alamgir.

— Mirza to jeszcze dziecko! — protestuje Rurajja.

— Kiedyś jednak będzie mężczyzną, jak wasz ojciec. Pamiętajcie, że w jego żyłach płynie królewska krew. Dzięki tej krwi może na powrót zjednoczyć nasze imperium, ocalić tysiące istnień. Dlatego właśnie was proszę, byście mnie uważnie wysłuchały. Wszystko co wam powiem, przekażecie swojemu bratu, gdy będzie już gotów do czynu. Cała wasza trójka musi znać i pamiętać historię naszej rodziny, jeśli Mirza ma kiedyś zasiąść na Pawim Tronie.

Gulbadan zerka w stronę odległej wioski, w której się wychowała.

— A do tego czasu mamy go oszukiwać tak jak matka nas?

— Och, moje dziecko, robiła to, bo was kocha!

— Myślałam, że matka nigdy nie kłamie — wtrąca Rurajja.

— Dla bezpieczeństwa swych dzieci ty też byś kłamała, mój skarbie. Obie byście kłamały, codziennie i po tysiackroć. Mogłoby to trwać całe lata, dopóki pewnego ranka, takiego jak ten dzisiejszy, nie doszłybyście do wniosku, że pora powiedzieć prawdę.

— A jaka jest ta prawda? — pyta ostro Gulbadan.

Podnoszę rękę, wskazując widoczną za rzeką kopułę Tadż Mahal.

— Czy wiecie, dlaczego zbudowano to mauzoleum?

— Cesarz Szahdżahan wznosił je na pamiątkę swojej zmarłej żony — odpowiada moja młodsza wnuczka.

— Na pamiątkę naszej prababki?

— Tak. Ich małżeństwo było czymś niezwykłym. Nizam zna dzieje tego związku, wasi rodzice również, ale jesteśmy już starzy... Nie chcemy, by pamięć o miłości tych dwojga umarła wraz z nami.

Rurajja spogląda na Nizama, który znów gorliwie kiwa głową. Mój stary przyjaciel jest rzetelny jak zwierciadło prawdy.

— Jak się poznali? — pyta Rurajja.

Widzę, że czeka na mą odpowiedź z rozchyłonymi wargami, i choć nie celuję w opowieściach, słyszę, że moje słowa padają płynnie i szybko, ja zaś nabieram nadziei, iż złagodzą one wzburzenie tych młodych kobiet. Wyjaśniam im najpierw, że zanim mój rodzic ukląkł na Pawim Tronie, nosił imię Churram i że jako ulubiony syn swego ojca był uważany za jego następcę.

— Kiedy Churram miał piętnaście lat, wędrując pewnego dnia po bazarze, wstąpił do kramu z jedwabiem i paciorkami. Zobaczył tam Ardżumand, moją matkę, siedzącą na miękkiej poduszce, i urzekła go jej uroda. Och, bo była tak piękna, że jak głosili poeci, tęcza by mogła zapłakać z zazdrości. Zapytał o cenę jakiegoś paciorka, a ona odrzekła sucho, że to nie paciorek, tylko diament, i że kosztuje dziesięć tysięcy rupii. Była pewna, że go na to nie stać, ogromnie ją więc zaskoczył, kiedy wyłożył pieniądze. Już nazajutrz zaczął błagać ojca, żeby mu pozwolił ubiegać się o rękę

Ardzumand. Cesarz, który wiedział, czym jest miłosne szaleństwo, jako że sam go doświadczył, nie mógł odrzucić prośby swego syna. Oznajmił wszakże Churramowi, że dopiero po pięciu latach wolno mu będzie poślubić Ardzumand. Wcześniej zaś z powodów politycznych musi się ożenić z perską księżniczką Ghandari begam.

— Czemu nic o niej nie wiemy? — pyta Gulbadan, którą gniew już chyba opuścił. — Nigdy nie słyszałam nawet jej imienia.

— Bo dla mego ojca inne żony liczyły się tyle co jego wielbłądy — mówię, tłumiąc uśmiech zadowolenia. Miło mi, że ojciec ceniał moją matkę znacznie wyżej od jej poprzedniczek. — Mieszkały w jego haremie, on zaś hojnie łożył na ich utrzymanie, lecz widywał je niezwykle rzadko.

— No i co się stało po tych pięciu latach? — pyta zaciekawiona Rurajja.

— Księżę Churram poślubił swoją Ardzumand. Stało się to nocą, podczas pełni księżyca. Młodą parę otaczał krąg złotych pochodni, a gdy potem puszczono chińskie fajerwerki, noc zamieniła się w dzień.

— No dobrze, Dżaha — wtrąca Gulbadan — ale gdzie tu to niebezpieczeństwo, przed którym tak nas ostrzegasz?

— Ziarno zła zaczęło kiełkować dopiero po narodzinach moich i mego rodzeństwa. To przez nas w imperium rozgorzała wojna; brat zwrócił się przeciw siostrze, syn przeciwko ojcu...

— A ty?

— Też brałam w tym udział — wyznaję z pewnym ociąganiem. — Działałam w najlepszej wierze. Robiłam, co mogłam, by pokonać zło, ile jednak można wygrać bitew?

— Jakich bitew? Cóż ty takiego zrobiłaś?

— Posłuchaj mnie, moje dziecko, a wkrótce wszystkiego się dowiesz.

ROZDZIAŁ 1

Przebudzenie

Zlizując z warg jogurt, potoczyłam wzrokiem po sali. Cesarski harem w Czerwonym Forcie składał się z mnóstwa komnat, w których mieszkały wybrane kobiety, ogrodów, alejek, ustronnych zakątków, tarasów i grot. Żaden mężczyzna z wyjątkiem cesarza, jego synów, specjalnych gości oraz eunuchów nie miał tu prawa wstępu.

Sam Czerwony Fort przypominał magiczne pudełko mieszczące w sobie nieskończoną liczbę przegródek. Na obwodzie tej wielkiej warowni znajdowały się tereny i obiekty publiczne, głównie bazy, meczety, wieże i dziedzińce. Obszary położone bliżej środka, podzielone na części potężnymi murami, miały bardziej prywatny charakter — mieściły się tutaj kwatery mieszkalne bogaczy, ogromne sale i stajnie — a w samym sercu tego oszałamiająco wielkiego mrowiska usadowił się cesarski harem.

Żyły tu tysiące kobiet, wszystkie na koszt cesarza. Jego żony oraz inne co znaczniejsze rezydentki miały własne pałace w obrębie haremu. Mój dziadek, cesarz Dżahangir, miał siedemnaście żon — niewiele w porównaniu z jego poprzednikami — które go znacznie przeżyły i nadal mieszkały w haremie wraz z nieprzeliczonym mrowiem swej służby. Większość mieszkańek haremu stanowiły konkubiny wyszkolone w sztuce muzyki i tańca, gotowe w każdej chwili dostarczyć swojemu panu rozkoszy.

Mieszkały tu również cesarskie dzieci. Nie byłam z tego zbyt zadowolona: w haremie panował bardzo ścisły rygor. Moim braciom wolno było wprawdzie robić prawie wszystko, co chcieli, dziewczętom jednak pozostawiano bardzo niewiele swobody.

W czasach mego dziadka było jeszcze gorzej — kobiet pilnowała wtedy gwardia Amazonek. Mój ojciec dawno je odprawił, lecz i bez nich miałam wciąż przy sobie dziesiątki strażniczek i eunuchów, których zadaniem było utrzymać mnie w ryzach.

Komnaty haremu zaspokajały zarówno potrzebę piękna, jak i wygody. Na podłogach leżały kaszmirowe dywany i jedwabne poduszki, na ścianach wisały zwierciadła i mnóstwo barwnych malowideł. W przyległych do komnat alejkach rosły rzędy wypielegnowanych drzewek, na tyle gęstych, by uniemożliwić intruzom podglądanie, lecz nie tamować przy tym dopływu świeżego powietrza. Co kilka kroków znajdowały się pełne rybek kwadratowe sadzawki, z których tryskały fontanny.

Siedziałam w olbrzymiej komnacie pełnej konkubin i służby. Byli tu też moi bracia przyodziani w jedwabie zdobne istnym deszczem kosztownych klejnotów, oraz nasze bliźniacze siostry karmione właśnie przez mamki. Za plecami tych kobiet stała Ardżumand, moja matka. Jak większość szlachetnie urodzonych dam miała na sobie bluzkę z krótkimi rękawami, tak obcisłą, że mogła się wydawać drugą skórą, i sięgającą kostek szeroką spódnicę, na ramionach zaś piękny kaszmirowy szal.

Wszyscy obecni w tej sali, z wyjątkiem eunuchów, służebnych i niższych konkubin, nosili drogą biżuterię. Ich szyje zdobiły sznury pereł, z każdego ucha zwisały szlachetne kamienie, palce u rąk i nóg dźwigały na sobie istny skarbiec — złote i srebrne pierścienie wysadzone szafirami i szmaragdami. Paznokcie haremowych dam mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, wśród których przeważała czerwień.

Panował tu kult urody, toteż między większością kobiet trwała pod tym względem zaciekle rywalizacja. Prześcigano się w wynajdywaniu coraz to nowych ozdób. Część modnych dam nosiła we włosach fragmenty pawich piór lub girlandy z kwiatów, inne wolały różnobarwne szale przypięte do czubka głowy, skąd spływały im na ramiona. Zwykle były to szale z jedwabiu, lecz gdy robiło się zimniej, wymieniano je na cieplejsze, tkane z najprzedniejszej kaszmirowej wełny.

Eunuchowie i kobieca służba nosili proste tuniki i długie bezkształtne szaty. W taką tunikę ubrany był stojący obok mojej matki niewolnik imieniem Nizam. Choć towarzyszył on matce już prawie od stu księżyców, dopiero niedawno usłyszałam opowieść o jego losach, która mnie trochę zdziwiła, gdyż po tym, co przeżył, trudno się było spodziewać tak miłego usposobienia i manier. Otóż gdy Nizam miał ledwie pięć lat, jakiś wielki perski wojownik pozabijał mu rodziców, jego zaś wziął w niewolę. Takich małych jeńców zwykle kastrowano, ten rycerz wszakże chciał sobie wychować ludzi zdolnych w przyszłości do walki, całkowite zaś wytrzebiecie hamowało rozwój niedojrzałych chłopców, a zwłaszcza ich wzrost. Z drugiej strony jednak chciał mieć pewność, że Nizam nie będzie uganiać się za kobietami, kazał więc pozbawić go części męskości, ale jaka to była część? Tego już matka mi nie powiedziała.

Po tej operacji Nizam przeżył kilka lat w rozwalającym się namiocie, służąc kobietom swojego perskiego pana. Gdy były z niego zadowolone, dostawał jeść, kiedy czymś się którejś naraził, czekała go chłosta. Mógł przeżyć tak całe życie, lecz dzięki Bogu nasze wojska pokonały Persów. Mój ojciec zauważył poranioną twarz chłopca; wyłowił go spośród jeńców i ofiarował matce. Choć był to tylko niewolnik, matka opatrzyła jego rany, a i później traktowała go bardzo życzliwie.

Miał teraz piętnaście lat. Ja o dwa mniej, byłam jednak już na tyle mądra, że zdawałam sobie sprawę, jak niewiele jeszcze wiem o świecie. Co rozumiałam? Czego byłam pewna? Tego, że kocham swoich rodziców i że oni uwielbiają się nawzajem. Nietrudno było to dostrzec: matka prawie

zawsze towarzyszyła ojcu zarówno na polu walki podczas wojen, jak i w czas pokoju na dworze — biorąc czynny udział w sprawowaniu rządów. Kiedy tylko było to możliwe, wszędzie zabierała z sobą mnie i moich braci, żebyśmy mogli zobaczyć, jakim władcą jest nasz wielki ojciec.

Spośród czterech mych braci najbliższy był mi Dara, starszy ode mnie o rok. Wielu kobietom z haremu nie podobała się nasza zażyłość — uważały ją za rzecz niestosowną. Nie zamierzałam się tym przejmować. Teraz też, odstawiwszy jogurt, przysunęłam się do niego bliżej.

— Możesz mi pomóc? — poprosiłam, wręczając mu kunsztowną bambusową klatkę wielkości ojcowskiej pięści.

Podniósł wzrok znad pergaminu, na którym coś kaligrafował.

— Przeszkadzasz mi, Dżahanaro. Ojciec będzie niezadowolony z moich dzisiejszych postępów.

— To niemożliwe. Z ciebie zawsze jest zadowolony.

Wzruszył ramionami, ale wziął do ręki klatkę. W środku siedziały trzy świerszcze, które wieczorami usypiały mnie swoją muzyką. Jeden z bambusowych prętów był złamany, bałam się zatem, że mi mogą uciec.

— Jak to złamałaś?

— Sam pękł. Jest stary.

Dara mrugnął okiem.

— Musisz bardziej uważać na swych ulubieńców. Nie chciałbym ich rozdeptać. — Otworzyłam usta, aby mu powiedzieć, że przecież bardzo ich pilnuję, ale mówił dalej: — Hindusi wierzą, że możemy się kiedyś odrodzić jako te właśnie stworzenia.

Nie umiałam sobie wyobrazić, jakim cudem bym mogła zamienić się w świerszcza, lecz postanowiłam milczeć. Dara więcej ode mnie wiedział o takich rzeczach. Zachwycona jego zręcznością patrzyłam, jak owija pęknięty pręcik mocną jedwabną nicią. Cała naprawa zabrała mu tyle czasu, ile mnie naskrobanie krótkiego liściku.

— Chciałabyś być świerszczem? — zapytał.

Wiedziałam, że traktuje tę kwestię poważnie, nie chciałam mu więc sprawiać przykrości, żartując, jak nudne mym zdaniem musi być życie świerszcza.

— Czy ja wiem? Może gdybym żyła na figowcu, gdzie byłoby coś do oglądania...

— A gdybyś żyła w tej klatce? Co byś z niej mogła zobaczyć?

— Uważasz, że powinnam je uwolnić?

— Zrobisz, co zechcesz — odrzekł, pieszczotliwie skubiąc mnie za włosy — i nawet wiem co.

Lubiłam muzykę świerszczy i żał mi jej było się wyrzec, ale Dara miał rację. Wiedziałam, co znaczy klatka — sama w niej przecież żyłam — i jak niewiele z niej widać...

— Jak myślisz — spytałam — gdzie by wolały mieszkać: na drzewie czy w trawie?

— Chyba na drzewie — mruknął, wracając do nauki.

Pomyślałam, że poszukam jakiejś wysokiej gałęzi, gdzie moich małych przyjaciół nie dosięgnie żaden kot ni jaszczurka. Tylko które drzewo byłoby najlepsze? Zastanawiając się nad tym, złowiłam spojrzenie mojego drugiego brata. Aurangzeb prawie zawsze miał ponurą minę i trzymał się od nas z daleka. Teraz też odwrócił głowę, gdy tylko spotkały się nasze spojrzenia. Zawieszony klatkę na tekowym słupku, podeszłam do niego i uklękłam obok na dywanie.

— Chcesz w coś zagrać? — zaproponowałam, bo zmęczyło mnie już czytanie.

— Gry są dla dziewczyn — prychnął niezyczliwie.

— Mógłbyś mnie nauczyć gry w polo.

Wybuchnął piskliwym śmiechem brzmiącym jak kwik prosiaka.

— Chciałabym się nauczyć...

— W polo grają tylko mężczyźni.

Chciałam powiedzieć, że sam ma dopiero dwanaście lat, ale się powstrzymałam. Nie na długo.

— Tak? Więc dlaczego ty grasz? — spytałam po chwili fałszywie niewinnym tonem.

Zacisnąwszy usta, rzucił się na mnie, powalił na dywan i wbił mi kolana w pierś. Chciał, żebym zaczęła go błagać o litość, o, ale niedoczekanie! Walczyłam w milczeniu, drapiąc go po nogach. Byłam trochę od niego silniejsza, więc zdołałam zepchnąć go z siebie. Upadł na plecy, lecz natychmiast znów się na mnie rzucił. Był tak wściekły, że nagle się go przestraszyłam.

— Dara! — krzyknęłam.

Od razu ruszył mi na pomoc, ale uprzedził go Nizam, który mimo młodego wieku wydawał się znacznie silniejszy od mego starszego brata. Chwyciwszy za karki mnie i Aurangzeba, rozdzielił nas i przytrzymał.

— Dość tego! — ostro rozkazała matka. Stała za plecami Nizama, skrzyżowawszy ręce na piersi. — Harem to miejsce nauki i wypoczynku. Tu nie wolno wszczynać żadnych bójek. Jeśli chcecie się tłuc, znajdźcie sobie gdzieś kupę błota.

— Ale ona... — zaczął Aurangzeb i umilkł, uciszony spojrzeniem matki.

— Widzę — powiedziała — że wszystkim wam przyda się trochę powietrza. Chcecie zrobić ojcu niespodziankę?

Zanim zdążyliśmy się odezwać, dała znak Nizamowi, żeby nas uwolnił, sama zaś zdjawszy szal z ramion, narzuciła na siebie luźną szatę w kolorze miedzi, którą przewiązała w talii purpu-

rową szarfą. Pożegnawszy swoje przyjaciółki, poprowadziła całą naszą piątkę w przyległą alejkę. Choć nic nie mówiła, wiedziałam, że gniewa się na mnie: pozwoliłam Aurangzebowi wyprowadzić się z równowagi. Złamałam zasady etykiety. Prawdę mówiąc, ona sama często drwiła z tych zasad, i to nawet bardziej niż ja, ale ja wdając się w bójkę, otwarcie dałam temu wyraz, nie myśląc w dodatku o tym, co robię. Matka tylko wtedy łamała zasady, gdy służyło to wyższemu celom.

Dwóch strażników na nasz widok otworzyło bramę haremu. Za matką i Nizamem szli moi pozostali bracia, Szah i Murad. Dara, Aurangzeb i ja trzymaliśmy się trochę dalej. Zaraz za bramą haremu w Czerwonym Forcie wrzało jak w ulu. Po brukowanych uliczkach przewalały się hordy handlarzy, ludzi pełniących urzędowe funkcje, wojowników oraz duchownych. Wszyscy gdzieś się spieszyli — do kramów, meczetów i stajen. Nad nami, na wyższym poziomie, w widocznych tam pawilonach, roiło się od możnych i służby.

Czerwony Fort stoi na brzegu Dżamny. Otoczona murami wysokimi na pięćdziesiąt kroków i grubymi na sześć, ta potężna warownia była za czasów ojca główną siedzibą imperium. Wśród cizby wędrującej po jej brukach widać było ludzi wszystkich stanów — od najwyżej urodzonych do niewolników. Na dziedzińcach nieustannie ćwiczyły liczne oddziały żołnierzy, na blankach cytadeli stały setki zbrojnych wojowników i działa gotowe do strzału.

Za panowania ojca żyli tu zarówno muzułmanie, jak i hindusi. Choć to my, muzułmanie, władaliśmy Hindustanem, stanowiliśmy tu mniejszość, nasza pozycja była więc niezbyt pewna. Ojciec często powtarzał, że jedynie traktując hinduską ludność z szacunkiem, mamy szansę utrzymać kontrolę nad podbitym przez nas terytorium.

Mijając innowierców, przyglądałam im się z uwagą. Ich kobiety nosiły sari — długie pojedyncze pasy bawełnianej albo jedwabnej materii, którymi w taki sposób owijały ciało, że nieosłonięte zostawały jedynie ręce i twarze. Muzułmańskie kobiety szyły swoje szaty z kawałków.

Wszystkie chodziłyśmy w sandałach; moje bez przerwy obijały mi teraz pięty. Na bruku leżało mnóstwo wielbłądziego łajna i „pamiętek” po słońiach, musiałam więc dobrze patrzeć pod nogi. Zwykle pomagał mi w tym Nizam, dziś wszakże, pewnie z powodu tej bójki, wolał towarzyszyć matce. Sam często padał ofiarą złośliwych figli Aurangzeba, więc pewnie niezbyt go lubił i chyba po cichu podzielał też moją opinię o jego umiejętnościach gry w polo, był jednak na tyle mądry, by nie ujawniać swych uczuć.

W Czerwonym Forcie człowiek czuł się jak mysz na statku. Można tu było urządzać niezliczone wyprawy odkrywcze, wędrując dziesiątkami krętych ścieżek bądź wspinając się po długich spiralnych schodach. Wyrastające raz po raz mury wykładane lśniącymi płytkami były często tak wysokie, że nie mogłam dojrzeć, co znajduje się po drugiej stronie. Czasem tylko dostrzegałam za

nimi jakieś wieże i wały obronne, po których krążyli wojownicy, i powiewające na wietrze czerwone proporce.

Gdybym szła sama, mogłabym się tu zgubić, matka jednak kroczyła naprzód bez wahania, znajdując zarazem czas na wymianę pozdrowień z mijanymi ludźmi. Ci wydawali się nieraz zdziwieni, że małżonka cesarza odpowiada na ich ukłony, ale ona znana była z tego, że wrzuca perły do miseczek kalekich żebraków lub znajduje domy osieroconym dzieciom. Miałam wrażenie, że jest szczęśliwa, gdy może pomóc biedakom, i to takim, których nawet pospólstwo mijało z pogardą. Mnie też parę razy zdarzyło się zaznać trochę tego szczęścia, gdy mi się udało wyświadczyć komuś przysługę lub złagodzić czyjąś niedolę. Uśmiechy tych ludzi ogrzały mi serce.

Na znak matki dwaj cesarscy strażnicy rozwarli przed nami tekowe wrota ogromnej budowli, wiodące do Diwan-i Amm, Sali Audiencji Publicznych. Była to wielka komnata podobna do naszej w haremie tak pod względem wygody, jak dekoracji, tyle że jeszcze wspanialsza — z sufitem pokrytym kutym srebrem i pięknie zdobnymi ścianami. Wypełniało ją mrowie bogato odzianych nobilów oraz wojowników.

Pośrodku, na Pawim Tronie, zobaczyłam ojca. Było to obszerne czworokątne podwyższenie wyłożone kaszmirowym dywanem i wielką czerwoną poduszką. Ojciec jak zwykle klęczał na owej poduszce. Dwanaście wysadzanych wielkimi perłami kolumn wspierało wznoszące się nad nim sklepienie. Wieńczył je wspaniały złoty paw z ogonem pokrytym szafirami.

Najbliżej tronu zgromadzili się najdostojniejsi panowie cesarstwa. Ci wąsaci i brodaci ludzie mieli na sobie najdroższe jedwabie obwieszane sznurami pereł. Kilku nosiło muszkiety, inni przepyszne miecze w nabijanych klejnotami pochwach. Stojący obok podwyższenia słudzy z wachlarzami na długich tykach cały czas chłodzili ojca i ową świetną publiczność.

Trochę dalej od tronu, odgradzeni od szlachty pozłacaną balustradą, stali oficerowie; następna balustrada, tym razem srebrna, oddzielała ich od zwykłych piechurów i służby. Tak arystokraci, jak i wojskowi wszystkich szczebli ubrani byli w jednakowo skrojone tuniki sięgające im kolan i luźne bufiaste spodnie z bawełny albo jedwabiu. Cały ten ubiór przewiązany był w pasie szarfą.

Gdyśmy wkroczyli do sali, wszystkie głowy odwróciły się ku matce, a każdy z obecnych wyprężył pierś. Uśmiechnęłam się ze zrozumieniem. W obecności matki ludzie zapominali o wszystkim, nawet o tym bajecznym bogactwie, którym mienił się Pawi Tron — o wspaniałych szmaragdach, diamentach i rubinach pokrywających każdy jego skrawek.

Ardzumand była jak orchidea w bukiecie pospolitych maków. Postać miała smukłą, nie pozbawioną wszakże żadnej z niewieścich krągłości. W jej kruczych lokach błyszcząły rubiny, z obwiedzionych perłami uszu zwisały oprawne w srebro szmaragdy, z nosa zaś złote kółko. Na szyi

nosiła delikatny diamentowy naszyjnik sięgający prawie do pępka, a na rękach szafirowe bransolety. Zwyczajem wielkich dam na wskazującym palcu miała malutkie lustro, aby w każdej chwili móc sprawdzić swój wygląd.

Lecz tym co najmocniej przyciągało ludzkie oczy, była jej twarz — doskonale wszystkim znana, a jednak wciąż urzekająca. Twarz o nieskazitelnej brązowej cerze i pięknie rzeźbionych ustach. Jej orzechowe oczy były okrągłejsze niż u większości ludzi naszej rasy, a nos wydawał się znacznie węższy. Porównując się z nią ukradkiem, dochodziłam niezmiennie do wniosku, że nigdy nie będę tak piękna: nie miałam ani tak równych zębów, ani tak szeroko rozstawionych oczu. Obie odziedziczyłyśmy jednak po przodkach taką samą cerę i smukłą budowę ciała. Z moimi braćmi było inaczej; mieszały się w nich cechy matki z rysami naszego bardziej pospolitego ojca. Byli trochę za niscy jak na swój wiek, bardzo muskularni i żyłaści; mieli też grube i mocne włosy.

— Czynisz nam zaszczyt swoim przybyciem! — zawołał ojciec, podnosząc się z tronu.

Zaczął schodzić z podwyższenia z takim wyrazem twarzy, jakby ta nasza wizyta sprawiła mu wielką przyjemność. Miał na sobie żółtą tunikę przepasaną czarną szarfą, a na głowie szkarłatny turban. Drogich kamieni nosił tyle samo co matka, lecz z wyjątkiem perłowego naszyjnika były one przyszyte do jego ubrania.

Do nas, dzieci, uśmiechnął się tylko bez słowa, a mnie zrobiło się ciepło na sercu — kochałam naszego ojca. Był szeroki w ramionach i w pasie, twarz miał okrągłą i mięsistą, porośniętą gęstą czarną brodą, wystający podbródek i złamany nos; była to pamiątka z dawnych czasów.

— Droga Ardżumand — zapytał — czy przyszedł mi przypomnieć, że pora zakończyć na dziś sprawy państwa, gdyż nawet lamparty muszą czasami odetchnąć?

Gdzieś z lewej strony rozległ się niski głos:

— Racz mi wybaczyć zuchwałość, mój panie, lecz jest pewna sprawa, która nie może czekać.

— Cóż to za sprawa, szlachetny Baburze?

— Bardzo poważna, miłościwy panie.

Słyszałam od matki, że ten Babur to bardzo potężny wielmoża, rodzice jednak niezbyt go cenili. Ujrzałam teraz zwalistego mężczyznę w jedwabnej tunice w żółto-kremowe pasy. U boku dyndał mu miecz. Jak każdy, kto chciał prosić władcę o posłuchanie, dotknął prawą ręką posadzki, po czym zgodnie z dworskim protokołem wydobyl podarek o wartości wymaganej od ludzi jego rangi i wręczył go jednemu ze służących ojca. Była to ozdobna szpilka do turbanu z jadem i lapis-lazuli. Ukończywszy ów rytuał, skinął na swoich ludzi, którzy przywlekli mu do stóp jakiegoś starca w łańcuchach. Całą twarz miał pokrytą skrzepłą krwią.

— Co się stało temu człowiekowi? — spytał ojciec.

— Spytaj raczej, najjaśniejszy panie, co ten nędznik zrobił mnie — odrzekł Babur. — Ma on lichej kawałek ziemi tuż obok moich pól. Och, skrawek wielkości muchy! Kiedy przypadły mu zbiory, jał się złodziejstwa, taką ma bowiem naturę. Moi słudzy przyłapali go w naszej stodole kradnącego ryż, za co powinien dać głowę.

Zerknęłam w kąt sali, gdzie stało bez ruchu dwóch potężnie zbudowanych katów. Między nimi na ogromnej granitowej płycie spoczywały dwa drewniane pieńki. Płyta była tak wyżłobiona, że krew spływała prosto do ustawionych obok niej dzbanów. Na pieńkach widniały zastarzałe plamy krwi i głębokie rysy od licznych uderzeń miecza. Ojciec niechętnie skazywał ludzi na śmierć, niekiedy wszakże nie miał innego wyjścia. Dziś pewnie udało mu się uniknąć krwawych egzekucji, gdyż miecze oprawców były całkiem czyste.

Podszedł teraz do oskarżonego, spojrzął mu w twarz i spytał:

— Jak się nazywasz?

Wieśniak, który sądząc z wyglądu, miał za sobą wiele pór roku, kornie pochylił głowę.

— Isma'il, wielki cesarzu.

— To perskie imię, nieprawdaż?

— Tak, mój władco.

— Zatem Isma'ilu, co masz do powiedzenia o swojej zbrodni, jeśliś ją naprawdę popełnił?

Oskarżony nerwowo oblizał wargi.

— Najjaśniejszy panie, dwaj moi synowie mieli honor walczyć za ciebie. Byli z tego dumni. Służyli ci dobrze, o wielki, i słyszałem... że umarli jak mężczyźni.

— Więc to oni sprawili mi zaszczyt.

— Dzięki za te słowa, miłościwy panie, pokorne dzięki.

— Ale teraz, Isma'ilu, musisz mi powiedzieć, czy oskarżenie jest słuszne.

— Wielki cesarzu, miałem tylko dwóch synów... — Wieśniak spędził muchę z rozbitego nosa. Policzki błyszczały mu od potu, a może od łez? — Bez nich nie mogłem zebrać swego ryżu. Cały zgnił w polu. Wciąż jeszcze tam stoi...

— Lenistwo nie usprawiedliwia kradzieży — warknął Babur.

— Cierpliwości, szlachetny Baburze — rzucił ojciec. — Nasze prawa pozwalają oskarżonym się bronić.

Stary człowiek odchrząknął.

— Oboje z żoną umieraliśmy z głodu, cesarzu. Prosiłem wielmożnego Babura o trochę żywności, ale odmówił, ukradłem więc worek ryżu.

— Zatem mówił prawdę?

— Tak, miłościwy panie.

Ojciec powrócił na tron. Ze wzrokiem utkwionym w sklepienie w taki sposób wysadzone klejnotami, że tworzyły wizerunek orchidei, zdawał się głęboko zatopiony w myślach.

— Zgodnie z prawem powinieneś ponieść śmierć — rzekł wreszcie — lecz ja nie chcę ścinać głowy człowiekowi, co dał imperium dwóch dzielnych synów. Mam takiego człowieka uśmiercić za worek ryżu?

— Złamał prawo...

— Szlachetny Baburze, niech na to pytanie odpowie moja małżonka. Ty jesteś stroną w tej sprawie.

W sali dały się słyszeć podniecone szepty. Mimo powszechnej opinii, że kobiety nie mają dosyć rozumu, by rozstrzygać poważne kwestie, wszyscy zebrani wiedzieli, iż cesarz często zasięga rad swej małżonki. Choć nie byłam biegłą w polityce, nawet ja rozumiałam, że tym razem matka znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Znając ją, byłam pewna, że nie zechce optować za śmiercią wieśniaka, lecz czy mogła obrazić takiego wielmożę jak Babur?

Ona tymczasem podeszła do oskarżonego, przyzywając mnie gestem do siebie, czym mnie niezmiernie zdziwiła. Stary wieśniak skłonił nam się nisko.

— Weź go za rękę, Dżahanaro — nakazała mi matka — i powiedz, co czujesz.

Szepty w sali stały się głośniejsze, ale ja patrzyłam tylko na starca. Wziąwszy go za rękę, przesunęłam po nich swymi upierścienionymi palcami.

— Są twarde, matko — odrzekłam z mocno bijącym sercem — twarde jak drzewo tekowe.

— Czyje to ręce: złodzieja czy kogoś, kto ciężko się trudzi?

— Z całą pewnością są to dłonie pracowitego wieśniaka.

Babur zjeżył się cały, nie miał jednak odwagi zaprzeczyć. Matka uśmiechnęła się do mnie.

— Mój osąd jest taki, panie mój i mężu: Isma'il powinien postradać swą ziemię, ale zachować życie. Niech podpisze dokument, w którym zrzeknie się gruntu na rzecz wielmożnego Babura.

— Słyszając to, oskarżony osunął się na posadzkę, gdyż utrata ziemi pozbawiała go środków do życia; czekało go już tylko żebractwo i nędza. Matka jednak jeszcze nie skończyła. — Chcę cię o coś spytać, Isma'ilu — dodała. — Moje ogrody ostatnio jakoś zmarniały i potrzebny mi człowiek, co potrafi je uratować. Chciałbyś się tym zająć?

Wieśniak upadł przed nią na twarz.

— O tak, najłaskawsza pani.

— Znalazłam więc ogrodnika.

— Dzięki ci, cesarzowo, tylko... co teraz będzie z moją żoną?

Matka roześmiała się tak szczerze, jakby w sali nie było nikogo poza najbliższą rodziną.

— Och, oczywiście zamieszka wraz z tobą w Czerwonym Forcie, bo czyż jakkolwiek mężczyzna potrafi myśleć jasno i rozsądnie, jeśli nie ma przy sobie żony, która udzielałaby mu dobrych rad? — Gdy mrugnęła przy tym do ojca, uśmiechnęło się nawet paru panów, którzy nie cenili kobiet.

Ojciec chrząknął głośno, a wyglądał w tej chwili całkiem jak zwykły mąż, nie zaś wielki cesarz Hindustanu.

— Czy wszystkim zainteresowanym odpowiada ta decyzja? — spytał, rozkładając ręce.

— W rzeczy samej, mój władco — spieszenie odpowiedział Babur, który pewnie był zachwycony powiększeniem swojej posiadłości. — Cesarzowa ma zawsze najlepsze pomysły.

— Zatem sprawa zakończona, inne również.

Sala opustoszała. Uwolniony Isma'il podbiegł do matki, by raz jeszcze jej podziękować. Gdy padł przed nią na kolana, z promiennym uśmiechem ujęła jego wyciągnięte ręce, prosząc zarazem Nizama, żeby mu znalazł kwatery możliwie blisko ogrodów, a gdy obaj wyszli, szepnęła do ojca:

— Babur to robak, nie umiałam jednak wymyślić nic innego, żeby mu zamknąć gębę.

Ojciec wsunął stopy w sandały kapiące od drogich kamieni.

— Dziękuję ci, moja droga. Znowu mnie ocaliłaś. — Jego spojrzenie padło na mnie. — Ty też sprawiłaś się świetnie, mój słodki kwiatuś. Doskonale! Choć musiałaś się pewnie mocno zdenerwować, jak koń, co na swojej ścieżce zobaczył nagle jadowitą kobrę.

— Tak, ojczu, tyle że czułam się raczej jak mysz.

Ojciec parsknął śmiechem i zwrócił się do moich braci:

— Szkoda, że wasza matka nie urodziła się chłopcem. Byłaby wspaniałym cesarzem, o wiele lepszym niż ja.

Trzej moi bracia uśmiechnęli się szeroko, tylko Aurangzeb nie zmienił wyrazu twarzy.

— Prawo powiada, że przestępców trzeba karać śmiercią. Ten stary może teraz okraść i nas — oświadczył bardzo głośno. Zawsze tak mówił. Jakby bał się, że go nikt nie usłyszy.

Uśmiech spelzł z twarzy ojca; nie podobało mu się to, co powiedział Aurangzeb, a ja pomyślałam, że zdarza się to dosyć często.

— Możliwe, lecz zdobył sobie prawo, aby go uwolnić.

— Czym?

— Złożył cesarstwu ofiarę z dwóch synów. Ja na jego miejscu oczekiwałbym od swego cesarza wdzięczności, a nie katowskiego miecza.

— Złamał prawo!

— Czyż życie ludzkie warte jest zaledwie worka ryżu? — zaprotestował Dara. On prawie nigdy nie zgadzał się z Aurangzebem.

— Prawo jest prawem.

— No i przemówiło — odrzekł ojciec, klepiąc Darę po ramieniu. — Winowajca stracił ziemię, poniósł więc karę, lecz dzięki tym mądrym niewiastom mógł zachować życie. — Ujawszy matkę za rękę, ruszył w stronę wyjścia. — Ale dość już o tym. Mój żołądek gniewa się i warczy niczym ranny lew.

Odwracając się, by pójść za nimi, złowiłam spojrzenie Aurangzeba, od którego poczułam się nieswojo. Co ja takiego zrobiłam?

*

Wieczorem wyciągnięta na miękkiej tygryziej skórze leniwie patrzyłam na Dżamnę. Nad nią głową szeleściło płócienne sklepienie szkarłatnego pawilonu, który nasi słudzy ustawili na brzegu rzeki. Nie miał on boków, tylko to sklepienie rozpięte na mocnych bambusowych tyczkach. Na ziemi leżał olbrzymi puszysty dywan z przepięknym różanym wzorem, a na nim futra, poduszki i cieniutkie jak pajęczyna jedwabne narzuty.

Gładząc tygrysie futro, zadawałam sobie pytanie, jak to możliwe, żeby tak straszna bestia była zarazem tak piękna? Obok mnie siedzieli rodzice, a przy nich, okryte delikatną wełnianą derką, spały me bliźniacze siostry. Chociaż bardzo kochałam te moje siostrzyczki, rzadko mogłam się nimi cieszyć: ich piastunki były tak troskliwe, że nie pozwalały mi się nimi zająć.

Po przeciwnej stronie pawilonu grupa tancerzy i muzykantów wyszkolonych w sztuce kathaku odtwarzała przed nami słynny wyczyn mego prapradziadka Humajuna — jak to umknął hordom afgańskich najeźdźców. Była to krwawa opowieść: zwyciężywszy nasze wojska, Afganiec dokonali straszliwej rzezi mieszkańców, nie szczędząc kobiet ni dzieci. Legenda głosiła, że gdy nieprzyjaciel zaczął zabijać cesarską straż osobistą, któryś z wiernych przybocznych dał władcy worek na wodę wykonany z końskiego żołądka. Nadmuchany powietrzem ów worek pozwolił Humajunowi bezpiecznie przepłynąć Ganges. Dzięki temu mój prapradziadek mógł po latach przeżyć najeźdźców.

Pięciu artystów o nagich torsach i skropionych posoką twarzach uosabiało Afganów, szósty, noszący perłowy naszyjnik, przyciskał do piersi nadęty koński żołądek. Przy dźwiękach sitarów i biciu w bębny afganiec wojownicy wpędzili cesarza do rzeki, którą wyobrażała rozpostarta sztuka błękitnego aksamitu.

Po chwili muzyka stała się szybsza, tancerze zaś jęli gwałtownie machać rękami, udając, że porwał ich prąd. Humajun tymczasem dopłynął bezpiecznie do brzegu. Gdy wyszedł na ląd, jego prześladowcy upadli w „wodę”, wijąc się w strasznych konwulsjach; na koniec naciągnawszy na siebie aksamit, zniknęli w błękitnych falach. Nagrodziliśmy artystów gromkimi brawami. Choć

sztuka kathaku była mi dobrze znana — prawie co tydzień oglądałam podobne spektakle — dzisiejsi artyści należeli niewątpliwie do najlepszych w Agrze. Ojciec ogromnie ich uhonorował: podniósł się z miejsca, aby wręczyć przywódcy grającemu rolę cesarza kilka srebrnych monet. Po wymianie obustronnych uprzejmości spoceni mężczyźni zwinęli aksamit i na palcach opuścili namiot.

Podobało mi się przedstawienie, a jednak trochę zazdrośnie zerkałam w stronę moich braci: o, gdybym mogła cieszyć się taką swobodą jak oni! Dara oparty o pień wielkiego cyprysa siedział nieopodal z otwartym Koranem na kolanach. W wieczory takie jak ten miał zwyczaj czytywać najświętszą księgę islamu, lecz równie dużo czasu poświęcał studiowaniu hinduskich wierzeń, a także wielu innym sprawom, z czego ojciec, wielki rzecznik i opiekun sztuki, był niezmiernie zadowolony i dumny. Często zjadając wykwintne słodkości, dyskutowali żywo o architekturze, poezji i muzyce.

Radosne okrzyki sprawiły, że spojrzałam w przeciwną stronę. Szah i Murad, którzy zawsze trzymali się razem, jakby im odpowiadało wyłącznie własne towarzystwo, polowali na karpie za pomocą łuków i strzał. Jeszcze dalej, już prawie poza zasięgiem głosu, Aurangzeb zataczał koła na swoim siwym ogierze. Mogłam sobie pokpiwać z jego umiejętności gry w polo, musiałam wszelako przyznać, iż jest lepszym jeźdźcą niż ktokolwiek inny w jego wieku. Ogier, na którym siedział, był wspaniale ułożony; jakieś trzy księżyce temu zobaczyłam przypadkiem, jak niemiłosiernie ćwiczy go Aurangzeb, okładając bambusowym prętem.

Za plecami Aurangzeba, który kazał teraz koniowi zataczać bardzo ciasne pętle, widać było mrowie naszych ludzi. Po rzece płynęły łodzie pełne ryb złowionych w jej błotnistych nurtach, na brzegu kobiety naprawiały sieci bądź barwiły płótna. Były też rodziny, które podobnie jak nasza po prostu odpoczywały w kojącym chłodzie nadciągającej jesiennej nocy.

— Byłaś dziś bardzo dzielna — miękko rzekł do mnie ojciec.

— Powiedziałam jedynie prawdę. Ręce tego człowieka były stwardniałe od pracy, a że ukradł ten ryż... zrobił to z głodu. — Miałam wielką ochotę usiąść tak jak kiedyś na kolanach ojca, byłam jednak już na to za duża, więc usiadłam tylko obok niego. Wokół pawilonu słudzy zaczęły zapalać pochodnie, by odegnać gęstniejącą ciemność.

Matka przysunęła się do nas i oparła o długą obłą poduszkę, którą mieliśmy pod plecami. Poprawiwszy szmaragdowego żółwia mocującego hidżab* na mojej głowie, powiedziała łagodnie:

* Hidżab — kobiece nakrycie głowy noszone przez muzułmanki; nieprzezroczysta tkanina udrapowana w ten sposób, że zasiania włosy i czoło, pozostawiając odkrytą twarz.

— Piękniejesz, Dżahanaro, lecz co jeszcze ważniejsze, pięknieje także twój umysł.

Wiedziałam, że moje oblicze nigdy nie będzie takim natchnieniem poetów jak cudowne rysy mojej matki, miałam jednakże nadzieję, że udało mi się odziedziczyć po niej choć cząstkę jej wielkiej mądrości.

— Doprawdy?

— Nie mówiłabym tego, gdyby nie była to prawda.

Ojciec dopełnił winem kielich matki. Czynił to tysiące razy, choć nawet pomniejsi panowie zlecali takie obowiązki służbie. On wszakże wołał osobiście usługiwać ukochanej żonie. Nie otaczał się też nigdy młodymi konkubinami jak większość arystokratów — chciał być zawsze przy swej Ardżumand. Wobec innych swych żon był uprzejmy i bardzo hojny, ale odwiedzał je rzadko. Mimo młodego wieku doskonale zdawałam sobie sprawę, jak niezwykłym zjawiskiem jest miłość łącząca moich rodziców, często też zadawałam sobie pytanie, czy i mnie los pozwoli zaznać tego błogosławieństwa. Chyba nie, mówiłam sobie. Ileż bym musiała mieć zalet, żeby sobie zasłużyć na takiego mężczyznę jak ojciec.

Czując, że ogarnia mnie znużenie, zamknęłam oczy i oparłam głowę o jego pierś. Jakże kojąco działał na mnie jego równy oddech. W ciszy przerywanej jedynie głośnym graniem świerszczy zaczął powoli gładzić moje czoło, a potem ostrożnie ułożył mnie na macie u swych stóp, podsunąwszy pod głowę poduszkę. Gdy ucałował mnie w czoło, westchnęłam lekko, udając, że śpię.

— Bóg pobłogosławił nas dziećmi — wyszeptał. — Radość, którą dają mym oczom, gdy widzę, jak rosną, równa jest rozkoszy ich poczęcia.

Słyszałam już kiedyś, jak wielka to rozkosz, odegnałam więc senność, by usłyszeć więcej. Na moment zapadła cisza, którą zmącił odgłos pocałunku. Uchyliwszy powiek, zobaczyłam, że twarze moich rodziców dzieli ledwie szerokość palca.

— Jak to się dzieje — szepnęła ojciec — że moja miłość do ciebie nie słabnie? Ciało zaczyna mi sztywnieć, w porze monsunu bolą mnie ramiona, ale gdy na ciebie patrzę tak jak teraz, nie czuję żadnych dolegliwości, lecz tylko niewysłowioną radość.

— Ha, poszczęściło ci się — odparła figlarnie matka. — Gdybyś nie spotkał mnie na swojej drodze, byłbyś dziś znacznie starszy. Ja zaś pewnie do dzisiaj sprzedawałabym paciorki lubieżnym mężczyznom pragnącym przypodobać się swoim metresom. Mężczyznom, którzy myślą nie tą częścią ciała co trzeba.

Ojciec parsknął zduszonym śmiechem.

— Ci głupcy kpią sobie ze mnie, mówiąc, że im zazdroszczę ich kobiet! — odrzekł sącząc wino. — Nie umiem sobie wyobrazić, że za ciebie, najdroższa, oddałbym całe imperium i że gdybym cię nie miał przy sobie, byłbym jak sokół bez skrzydeł!

— Powinieneś być poetą — zaśmiała się matka. Ojciec kochał słowa. — Tylko że wtedy pomarlibyśmy z głodu — dodała.

— Och, Ardżumand, poeci piszą o bólu, niedoli i niespełnionych pragnieniach, ja zaś umiem tylko sławić miłość, co większość czytelników uznałaby pewnie za nudne. Jak mógłbym pisać o nienawiści, skoro jej nie mam w sercu? Lub o zazdrości czy smutku? O, nie! Zostawmy to lepiej poetom i filozofom. Dla mnie to obcy świat.

— Dla mnie również.

— Więc niech sobie piszą, moja ukochana, a my radujmy się życiem.

W ciszy słyszałam bicie swego serca, a gdy znów się zaczęli całować, szerzej otworzyłam oczy.

TLR

ROZDZIAŁ 2

Smak pierwszej zdrady

Mój ojciec mógł nie rozumieć, czym jest nienawiść czy zazdrość, ale jeden z jego synów znał je doskonale. Musiały wszakże upłynąć jeszcze cztery miesiące, nim uświadomiłam sobie w pełni — stało się to na krótko przed wiosenną równonocą — jakie uczucia przepełniają serce Aurangzeba i że jest on zdolny do zdrady. Lecz i przedtem wyczuwałam jego rosnącą złośliwość wobec całej naszej rodziny, obnosił się bowiem ze swym niezadowoleniem tak samo jawnie jak z mieczem, który od niedawna wolno mu było przypinać do pasa. Ofiarą jego gniewu raz padał Dara, kiedy indziej ja, choć żadne z nas dwojga sobie na to nie zasłużyło. Spadało to na nas niczym grom z jasnego nieba.

Skąd się to brało? Nie do końca byłam pewna swych diagnoz, kiedyś jednak powiedziałam Darze, że nasz brat przypomina mi pszczołę. Bo ileż to razy zostałam użądlnona bez powodu? Może te dokuczliwe owady uważały, że im czymś zagrażam, lecz jeśli nawet tak było, to nie miały racji, gdyż ja naprawdę wolałam patrzeć, jak zbierają kwiatowy nektar, niż narażać się na ich gniew. Aurangzeb pod wieloma względami zachowywał się tak jak one. Przez większą część dnia separował się od nas i obracał w jakimś własnym świecie, a potem nagle zaczynało mu się wydawać, że go lekceważymy i atakował każdego, kto akurat znalazł się pod ręką.

Pierwszą poważną ranę zadał mi w pewne ciepłe popołudnie.

Moi bracia i ja siedzieliśmy w haremie, ucząc się pilnie. Matka przeglądała zapiski ojca z ostatniego posiedzenia sądu, zaś palce Nizama biegały rytmicznie po paciorkach subhy wykonanej z drewna różanego i jeleniej skóry. Kobiety plotkowały cicho, sącząc wino i pojadając owoce z licznych srebrnych pater. Zielone i szkarłatne zięby śpiewały w swych złożonych klatkach. W powietrzu unosił się zapach opium. Rodzice życzyli sobie, abym była osobą czytaną, na kolanach trzymałam więc opasłą księgę. Napisana była po persku — w oficjalnym języku dworu. Choć z Persami toczyliśmy teraz wojny, wywarli oni na nas ogromny wpływ. Zaczęło się to w chwili, gdy mój dziadek poślubił ambitną perską księżniczkę, Nurdżahan, która zaszczepliła na dworze perskie obyczaje i kulturę. Faktycznie to ona była prawdziwą władczynią imperium — brakowało jej tylko tytułu cesarza.

Znałam więc perski i oczywiście hindi. Lubiłam ów dźwięczny, bezpretensjonalny język i używałam go w kontaktach z pałacową służbą, jak również z miejscową ludnością. Niewielu spośród pospólstwa umiało mówić po persku, a jeśli nawet, to i tak woleli hindi. Perskie księgi wsze-

lako są naprawdę miłe dla oka, a kaligrafia często tak kunsztowna i pełna wdzięku, że osiągnięcie takiego mistrzostwa wymaga chyba całego żywota. Księga, którą czytałam, była takim właśnie dziełem sztuki; traktowała o historii naszego imperium, w tym zwłaszcza o czynach wielkich poprzedników mego ojca. Uczylałam się na pamięć tego, co osiągnął każdy z owych władców i jakie trudności musiał pokonywać. Matka zawsze wieczorem sprawdzała, czego się nauczyłam.

Czytałam właśnie o swoim dziadku, gdy dobiegło mnie wołanie muezina. Wyobraziłam sobie, że stoi na którymś z minaretów, skąd rzuca wiernym to śpiewne wezwanie do modlitw. Odłożyłam księgę i podobnie jak większość mieszkańców haremu rozwinęłam swój modlitewny dywanik. Modliliśmy się stojąc na tych dywanikach twarzami ku Mekce, z dłońmi zwróconymi w stronę niebios. W nakazanych rytuałem miejscach kłanialiśmy się Bogu, dotykając czołem dywaników. Zakończywszy modlitwę, wszyscy pozwijali je znowu i wrócili do swoich zajęć.

Czytałam dalej, dopóki się nie upewniłam, że wyznaczone na ten dzień stronice znam już tak dobrze jak wzory na swoich ulubionych szatach. Wtedy dopiero spojrzałam na matkę, pytając ją wzrokiem, czy zechce pójść ze mną na spacer. Skinęła głową twierdząco i wraz z Nizamem ruszyła za mną do drzwi.

— Kto napisał „Akbarname”? — spytała zniecierpliwiona, gdyśmy już wyszli na zewnątrz. Była to kronika życia mojego pradziadka Akbara, najśłynniejszego z poprzednich cesarzy.

— Pewnie jakiś pisarz — mruknęłam przekornie.

— Dżahanaro!

— Pisarz imieniem Abolfazl.

Matka poprawiła mi hidżab na głowie.

— Wystarczyłaby taka odpowiedź. Krótka i prosta.

— A czy ty zawsze udzielasz takich odpowiedzi?

Twarz jej złagodniała; wymierzyła mi z uśmiechem czulego kuksańca.

— Czasami; żeby sprawić przyjemność twemu ojcu.

Doszliśmy akurat do któregoś z wielkich bazarów. Pod dziesiątkami namiotów i kopuł półleżeli strudzeni kupcy. Stały przed nimi żelazne wagi, zaś na kontuarach piętrzyły się suszone ryby, bele jedwabiu, posążki z drzewa sandałowego, wonne kadzidła, a nade wszystko trzcinowe kosze pełne rozmaitych przypraw. Lubowali się w nich wszyscy mieszkańcy Hindustanu. Jeśli kozi serek czy szpinak nie tonęły w curry lub szafranie, nie warto było ich jeść.

Aromat tych przypraw mieszał się z zapachami poszczególnych kramów — wonią pieczonej baraniny, świeżo wyprawionej skóry, ciętych kwiatów i perfum. Nad ową mieszanką górowały też często mniej przyjemne wonie — potu, palonego łąjna, prochu, uryny i siedzących w klatkach zwierząt — gdyż w tej zamkniętej murami przestrzeni nie było prawie żadnego przewiewu.

Matka z uprzejmości przystawała przy różnych kramach, ale kupiła tylko parę sandałów dla Nizama. Gdyśmy opuścili bazar, powiedziała:

— Wydajesz się roztargniona, Dżahanaro. Chcesz mnie o coś prosić? Lepiej po prostu powiedz, o co chodzi, zamiast się tak zachowywać.

Że też tak łatwo potrafi mnie przejrzeć! pomyślałam z lekkim niepokojem.

— Tak, matko... — odrzekłam niepewnie. — Chodzi o to, że... hm... ostatnio wciąż tylko musimy się uczyć.

— A ty czego byś chciała?

— Moja przyjaciółka Ladli...

— Ta mała, co pomaga w kuchni?

— Wybiera się dziś nad rzekę i spytała, czybym z nią nie poszła.

— Dzisiaj? — Gdy skinęłam głową, przystanąła, nie bacząc, że na stopach osiada jej gęsty kurz. — Możesz iść, jeśli weźmiesz ze sobą braci. Powinniście bawić się razem.

— Ale Aurangzeb jest taki okrutny dla Ladli...

— Nie musicie przecież z nimi pływać. Byłoby nawet rzeczą niestosowną, by dziewczęta kąpały się razem z chłopcami. — W głosie matki zabrzmiał nietajony sarkazm.

Zdażyłam do tego przywyknąć: matka lekceważąco odnosiła się do wielu nakładanych na nas ograniczeń. Chodziło zwłaszcza o to, że mężczyznom wolno robić wszystko, podczas gdy kobiety muszą się zachowywać jak cienie swych wszechwładnych mężów. Kryć się przed światłem i słuchać swych panów.

Moja matka tego nie znosiła. Być cieniem? O, nie!

Była jedną z nielicznych kobiet w Hindustanie wolnych od owych restrykcji. Mogła robić niemal wszystko, co chciała. Och, nie posunęła się aż tak daleko, by nosić męskie ubranie, przemawiała jednak jak mężczyzna, śmiało wygłaszając swe prawdziwe myśli. Ojciec pozwalał jej na to, tak więc wszelka nieprawomyślność uchodziła jej bezkarnie. Pragnęłam być równie odważna jak ona, bardziej wszakże niż matka bałam się narazić starszym.

— My, kobiety, musimy być szczególnie ostrożne — stwierdziła nagle, zatrzymując się przy kramie z cytrynami. Dotknąwszy kilku, żeby sprawdzić, czy nie są zgniłe, dorzuciła żywo: — Obcowanie z mężczyzną to coś takiego jak żonglerka rozżarzonymi węglami. Nieszkodliwa, jeżeli robisz to ostrożnie, lecz na Allaha, można się strasznie poparzyć, kiedy przestajesz uważać.

— Czyżbyś kiedyś żonglowała rozżarzonymi węglami?

— Nie, ale mężczyznami żongluję codziennie. I możesz mi wierzyć: przy nich te węgle to nic groźnego.

Zaczęłyśmy się śmiać. Pora była wracać do haremu. Nizam zajął swą zwykłą pozycję tuż za plecami matki. Lubiłam Nizama, choć nie był zbyt urodziwy. Włosy miał czarne, szorstkie i kędzierzawe, płaską twarz i takiż nos. Dziwne, lecz jego prawe oko było trochę większe od lewego. Choć jeszcze bardzo młody wiekiem, był już wyższy od wielu ojcowskich żołnierzy.

Kiedykolwiek na niego spojrzałam, czym prędzej odwracał oczy, często jednak wprost namacalnie czułam jego wzrok na karku. Pod wieloma względami zachowywał się całkiem jak mój starszy brat — chciał mnie strzec od niebezpieczeństw, których sama nie umiałam dojrzeć, byłam bowiem na to za młoda. Matka również czasami traktowała go jak mego brata, choć był tylko jej niewolnikiem. Z odrazą mówiła o tych, którzy go okaleczyli, często też publicznie dawała wyraz swym sprzeciwom wobec kastracji. Trudno jednak zmienić tak zakorzeniony zwyczaj. Dzisiejsi właściciele niewolników podobnie jak ich przodkowie nie chcieli pozwolić, by pomiędzy ich kobietami kręcili się mężczyźni zdolni je pojąć, toteż wszelkie apele matki trafiały w próżnię.

Ardzumand nie lubiła chodzić tymi samymi ścieżkami, wracałyśmy więc do haremu poprzez cesarskie warsztaty znane jako karchany. Był to kolosalny dziedziniec, na którym mieściły się setki warsztatów z tysiącami rzemieślników; niektórzy pochodzili z Persji, a niektórzy nawet z Europy. Całość poprzecinana istną siecią wąskich drózek biegnących pomiędzy okrągłymi budowlami mnie przypominała plaster miodu. Wytwarzano tu wszelkiego rodzaju broń, różnobarwne tkaniny, srebrne naczynia oraz biżuterię chyba na każdą część ciała. Największą estymą cieszyły się pracownice twórców ksiązek. Byli to tłumacze, artyści malarze, kaligrafowie, wytwórcy papieru i mistrzowie złocień. Rocznie powstawały tu tysiące ksiąg pisanych niekiedy nawet po portugalsku, angielsku i chińsku.

Moja matka z równą swobodą poruszała się wśród tych artystów jak pośród wielbłądów lub półnagich hinduskich mnichów. Gdyśmy wreszcie wyszły z warsztatów, trafiłyśmy w na tyle szeroką uliczkę, że mogłyśmy iść obok siebie.

— Rzadko już teraz odbywamy takie spacery — powiedziała nagle. — Bardzo mi ich brakuje.

— Mnie też.

— Ojciec wkrótce znajdzie ci męża i wtedy już chyba zupełnie się skończą. — W jej głosie zabrzmiała nuta smutku, który udzielił się i mnie.

— Jeśli ojciec każe mi poślubić jakiegoś nieznajomego, nigdy nie zaznam miłości — odrzekłam ponuro. — Ty ją znalazłaś...

Zaczęła poprawiać diamentową broszę wpiętą w moje włosy.

— Pamiętaj, że wiele związków, które dziś się uważa za małżeństwa z miłości, zawarto z przyczyn politycznych. Twoje też może być takie.

— Ale może i nie być.

Prawie niedostrzegalnie opuściła głowę, co oznaczało u niej potwierdzenie.

— Wiesz, Dżahanaro, są dni, kiedy sobie życzę, aby „obowiązek” nie był dla nas takim świętym słowem — przyznała, zwalniając kroku. — Mało znam jednak słów równie szacownych jak ono. Dla mnie miłość matki do córki znaczy nieporównanie więcej niż poczucie obowiązku, lecz dla mężczyzn... Oni dla obowiązku gotowi są umrzeć, no i umierają, a my, kobiety, aby go wypełnić, cierpimy w sposób może mniej widoczny, lecz częstokroć gorszy niż śmierć. Obowiązkiem kobiet takich jak my, małżonek i córek cesarza, jest czynić wszystko dla dobra imperium i naszego ludu. Być może małżeństwo z jakimś złotnikiem albo poetą dałoby ci dużo szczęścia, ale dla Hindustanu nie byłoby ono najlepsze. Bo czyż mogłabyś pomagać ludziom, nie mając żadnego wpływu na rządy?

— Żyłabym wśród nich i darzyła ich szczerą przyjaźnią — oznajmiłam, starając się okazać, że los naszych ludzi nie jest mi obojętny.

— Słusznie, ale przyjaźń wymaga poświęceń. Poświęcenia siebie dla innych. Dla ciebie, kobiety wysokiego rodu, najlepszym sposobem niesienia pomocy poddanym jest odpowiednie małżeństwo. Takie, dzięki któremu wzmocnisz władzę swego ojca. Przez które dodasz siły jego imieniu i prawom. A wiesz przecież, że te prawa są dobre dla naszego ludu.

— Lecz czyż nie mamy także obowiązków wobec samych siebie?

— Mamy. Modłę się o to, byś znalazła taką miłość, jaka łączy mnie z twoim ojcem. Chyba sobie nie wyobrażasz, że chciałabym odmówić ci takiego szczęścia?

— Jednakże...

— Wierz mi, Dżahanaro, że ojciec starannie wybierze ci męża. Nie będzie to żaden gbur, lecz człowiek dobrze wychowany i ważny dla losów cesarstwa. Jako jego żona będziesz miała władzę. Faktyczną władzę. Ufam, że wśród tego wszystkiego znajdzie się miejsce na miłość.

— Jak można pokochać człowieka, którego wcale się nie zna?

Ku memu zaskoczeniu matka uśmiechnęła się wesoło.

— A jak to udało się mnie?

— Tobie?

— A jakże! Twój ojciec może i zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia, ale ja w nim wcale. Myślisz, że mi na nim zależało? Ani trochę. Był dla mnie zepsutym księciem, nie bardziej mi bliskim niż pierwszy lepszy przechodzień. I ja bym go miała poślubić, śniąc o Randżicie i jego słodkich pocałunkach?

— Któż to taki ten Randžit? Nigdy o nim nie mówiłaś!

— Sza! — szepnęła konspiracyjnie. — To opowieść na inną porę. Zrozumiałaś, jaki wniosek płynie z tego, co ci powiedziałam? Skoro po takim początku twój ojciec i ja nie możemy teraz żyć bez siebie, dlaczego z tobą miałoby być inaczej?

Na to już nie miałam odpowiedzi, ale humor mi się poprawił. Zepchnąwszy myśl o małżeństwie do najciemniejszego zakątka, zaczęłam wypytywać matkę o tego Randzita. Słuchając potem jej szeptów, delectowałam się przyjemną myślą, że najwidoczniej mi ufa, skoro zawierzyła mi taką opowieść. Gdyśmy w końcu wróciły do domu, ucałowała mnie czule w policzek.

— No a teraz biegnij nad rzekę i baw się wesoło.

Pobiegłam po braci. Gdy im powiedziałam, że mogą odłożyć książki, rozgęgali się jak stado gęsi. Ja tymczasem popędziłam do swych komnat przebrać się w zwyczajne bawełniane szaty; pozdejmowałam też wszystkie klejnoty, zastępując je skromnymi pierścionkami. Moje przyjaciółki były najszcześniejsze, kiedy ubierałam się tak jak one.

Ladli, która właśnie weszła do komnaty, na mój widok zaczęła chichotać. O rok starsza ode mnie, była moją najdroższą przyjaciółką, z którą dzieliłam wszystkie swe sekrety, mimo że była Hinduską i bardzo skromną służącą. Podobnie jak Nizam miała ciemną cerę, ale twarz zupełnie inną niż on. Ladli była tak piękna, że gdyby się urodziła w rodzinie cesarza, a nie jako córka ubogiej szwaczki, byłaby najwspanialszą księżniczką na świecie.

Spotkałyśmy się z moimi braćmi za bramą haremu. Dara, Szah i Murad przywdziali stare ubrania, tylko Aurangzeb miał na sobie żółtą tunikę, taką jakie nosili jeźdźcy z ojcowskiej armii. Szah i Murad, którzy zazwyczaj milczeli, paplali teraz jak dwie stare wdowy — o, bo takie wyprawy nieczęsto nam się zdarzały. Dara, który jak zwykle pełnił rolę naszego przywódcy, poprowadził nas w stronę rzeki.

Ludzie rozpoznawali tylko Aurangzeba, ale on ignorował ich ukłony; raczył skinąć głową jedynie paru żołnierzom. Jeden z nich zaśmiał się na widok jego rynsztunku, tunika bowiem była o wiele za duża, a miecz prawie dotykał ziemi. Mój brat ściągnął brwi ze złością i gwałtownie przyspieszył kroku.

Kiedy tłum się trochę przerzedził, spostrzegłam Nizama: siedł za nami, wkrótce jednak zniknął mi z oczu za stadem spętanych wielbłądów. Że też niewolnik bez żadnej przyszłości, człowiek, któremu zabito rodziców, potrafi być taki wierny! Pomyślałam, że pewnie sprawiła to dobroć mej matki... Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak ja bym cierpiała, gdybym straciła rodziców.

Wciąż jeszcze o tym myślałam, gdyśmy się znaleźli na bazarze, gdzie sprzedawano owoce. Stały tu kobiety trzymające na głowach drewniane tace pełne melonów, winogron, czerwonego pieprzu i migdałów. Wiele transakcji odbywało się w ruchu; co młodsze handlarki ściagały nawet opornych klientów.

Opuściwszy bazar, zeszliśmy po spiralnych schodach w brukowaną kamieniem uliczkę, po której wędrował jakiś jezuita. Wyprzedziliśmy go z pośpiechem, gdyż jego aksamitne szaty strasznie cuchnęły zepsutym baranim mięsem. Napotkawszy po chwili ślepego żebraka, wręczyłam mu parę monet, omijając zarazem szerokim łukiem jakiegoś martwego Hindusa. Ciało przybrane w kolorowe szaty czekało już na spalenie. Wkrótce potem wkroczyliśmy na wielką kamienną rampę stanowiącą wyjście z Czerwonego Fortu. Pod ową pochylnią widać było głęboką fosę otaczającą kręgiem całą twierdzę. Była znacznie szersza od ulicy, a płynąca w niej woda tak brudna, że wydawała się gęsta.

Za murami Czerwonego Fortu panował jeszcze gorszy zamęt niż wewnątrz. Do rzeki było niedaleko, musieliśmy się jednak przedzierać przez zatłoczone przesmyki, w których kłębili się ludzie wszelkich możliwych ras i tyłu kolorów skóry, co monet w kupieckiej sakiewce. W pojawiających się przede mną twarzach widziałam tak różne połączenia oczu, nosów, ust i kompleksji, że można je było uznać za żywe świadectwo podbojów, których doświadczyły ziemie tworzące dziś nasze imperium. Kolejno najeżdżali je Grecy, Ariowie, Hunowie i Afgańczycy, po nich plemiona mongolskie i wreszcie Persowie i Turcy.

W ciasnych uliczkach Agry kłębiło się tyleż zwierząt co i ludzi, a wśród nich mnóstwo leniwych krów uważanych za święte przez hinduską ludność. Obwieszane miedzianymi dzwonkami, łąziły po całym mieście, przystając bądź zasypiając gdzie chciały, najczęściej w takich miejscach, gdzie najbardziej utrudniały przejście. Nie brakowało także wron i szcurów żerujących gromadami na ulicach. Słudzy szlachetnie urodzonych kopniakami odganiaли te szkodniki od swych panów, którzy często prowadzili na smyczach własną menażerię — pawie, różne małpki i gepardy.

Widać tu było jeszcze większą niż w forcie różnaitość strojów. Wśród mężczyzn sięgała ona od przepasek biodrowych do tunik i zbroi. Najwyższych urodzeniem i rangą łatwo było rozpoznać po najjaśniejszych barwach i najkosztowniejszych tkaninach. Wieśniaków i robotników po tym, że często mieli obnażone torsy. Kobiet było znacznie mniej, zwyczaj zakazywał im bowiem publicznych kontaktów z mężczyznami, mimo to trafiały się grupki niewiast skupione wokół kramów lub przy wędrownych kupcach. Tu także im bogatsza była kobieta, tym bardziej błyszczwały jej szaty bez względu na to, czy nosiła sari czy suknię.

Dwie wysokie groble wiążyły między sobą bystre wody Dżamny. Gdyśmy zaczęli schodzić z tej po naszej stronie, przyszło mi na myśl, że to pewnie taka wędrownica jak po ścianie jednej z owych piramid w Egipcie, o których kiedyś czytałam. Przy samym brzegu tłoczyły się stada bydła i stojące długim rzędem łodzie z dziobami zdobnymi w rzeźby wyobrażające głowy węży, słoni, tygrysów i małp. Wolny od łodzi i zwierząt był jedynie mały skrawek ziemi, przy którym w płytkiej wodzie stały kobiety, tłukąc pranymi sztukami odzieży o skały. Towarzyszyły im istne hordy

dzieci; niektóre pomagały matkom, inne chlapały się w wodzie. Prawie wszystkie były od nas młodsze. Nasi rówieśnicy pracowali w polu albo piekli chleb w Czerwonym Forcie.

Ladli, nie zdejmując sari, pierwsza wkroczyła do wody. Patrzyłam z zazdrością na jej jędrne piersi rysujące się całkiem wyraźnie pod mokrą tkaniną szaty. Moja klatka piersiowa była wciąż jeszcze żenująco płaska. Też całkowicie ubrana weszłam po chwili do rzeki i poczłapałam za przyjaciółką. Zatrzymałam się dopiero w miejscu, gdzie woda sięgała mi żeber. I nagle coś ostrego wbiło mi się w nogę! Wrzasnęłam dziko, przekonana, że to krokodyl. Nie ucichłam nawet i wtedy, gdy tuż obok wychynał psotnie roześmiany Dara.

— Co ci się stało, siostrzyczko? — zapytał niewinnie. — Nastąpiłaś na coś?

Chociaż dobrze wiedziałam, że za takie zachowanie mogę zostać ostro skarcona, rzuciłam się na niego, zaskakując go swoją szybkością. Miał otwarte usta, gdy oboje poszliśmy pod wodę szczeni niczym dwa węże. Zanim mu się udało wyrwać z mojego uścisku, wpadliśmy w grubą warstwę mułu, tak że gdy w końcu wypłynęliśmy na powierzchnię, miał go pełne usta. Widząc, jak wypływa tę gęstą brunatną ciecz, omal nie pękłam ze śmiechu — dobrze ci tak! Ladli podpłynęła do nas i z przekornym uśmiechem wzięła mnie za rękę, ja zaś spostrzegłam, że mój braciszek obrzuca ją długim spojrzeniem.

— Podobasz się mojemu bratu — powiedziałam słodko. — Następnym razem specjalnie znacznie się topić, żebyś go musiała ratować.

Dara, który rzadko zapominał języka w gębie, wyglądał jak porażony.

— Ja... — wybełkotał i zamilkł.

Roześmiałyśmy się gromko, on zaś rzucił w nas garścią mułu, który rozprysnął nam się po plecach, a potem dał nurka i zaczął płynąć do brzegu.

— Będzie dobrym cesarzem, takim jak wasz ojciec — stwierdziła Ladli, przechodząc na hindi.

— Zawsze gdy cię widzi, nie odrywa od ciebie oczu. A to jego spojrzenie!

Teraz Ladli zaniemówiła na chwilę, co zdarzało się niezwykle rzadko, oj, bo języczek miała ostry! Nie powstydziliby się go nawet żołnierze.

— Nic podobnego — zaprotestowała. — Wcale tak na mnie nie patrzy. Jestem dla niego tylko służącą, nikiem więcej.

Zmyłam błoto z jej pleców.

— Dara nie dzieli ludzi na służących i panów. Widzi cię taką, jaka jesteś.

Skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę.

— Żyjesz w domu zbudowanym z fałszywych luster, moja przyjaciółko. Widzisz w nich piękne obrazy, lecz kiedy się stłuką, zobaczysz jedynie górę łajna.

— Ladli!

— Jakkolwiek widzi mnie Dara, nie czyni nas to równymi.

— W jego oczach jesteście równi! — zaczęłam bronić swego brata. Zerknąwszy w stronę brzegu, zobaczyłam, że siedzi na wielkim kamieniu zwrócony twarzą ku rzece, trudno było jednak powiedzieć, czy patrzy na nas, czy może obserwuje słonie widoczne przy drugim brzegu. Wydawały się zadowolone; nabierały trąbami wody i oblewały nią siebie lub swych pobratymców. — Idź do niego — poradziłam Ladli, rozglądając się dookoła, czy nikt aby nie słyszy mych słów. Ludziom mogłoby się nie podobać, że księżę następcę tronu przestaje z hinduską sługą. — Dara lubi twoje towarzystwo. Naprawdę — dodałam spiesźnie, widząc, że zamierza protestować. — Zawsze cię bardzo lubił.

— Czemuż by ogier chciał obcować z wielbłądzicą?

— Ty nie jesteś wielbłądzicą, tylko... tylko śnieżną panterą!

— Śnieżną panterą! Co ty wygadujesz, Dżahanaro!

— Wydajesz mu się egzotyczna. Jesteś przecież Hinduską. Patrzysz na świat zupełnie inaczej niż my. Jesteś mądra i piękna. Żadna inna ci nie dorówna.

— Nałykałaś się wina i zmaćło ci rozum?

— Mówię ci, idź do niego!

Zawahała się lekko, a potem rzuciła mi się w objęcia.

— A jeśli mi powie, że nie życzy sobie mego towarzystwa?

— Tylko głupiec by tak powiedział, a on nie jest głupcem. Otrzepawszy resztę mułu z ramion, powędrowała do Dary.

Gdy mijala Aurangzeba, który stojąc na płyciźnie polował na ryby, powiedział coś do niej, ale nawet na niego nie spojrzała. Widząc ją, Dara podniósł się z głazu. Uśmiechnęłam się z dumą, że mam tak rycerskiego brata. Usiedli oboje na kamieniu — tak, by się nie dotykać — i zaczęli żywo rozmawiać.

Położyłam się na plecach i zamknęłam oczy, myśląc, że bardzo bym chciała mieć kogoś, z kim bym mogła tak porozmawiać, kto by umiał przywieść mnie do śmiechu. Jeśli ktoś taki istnieje, ciekawe, co teraz robi, a przede wszystkim — kim jest? Może synem jakiegoś nobila i mieszka w Czerwonym Forcie? A może to cieśla lub żołnierz? A jeśli urodził się gdzieś daleko i zjawi się tutaj pewnego dnia, bo zechce odwiedzić Agrę? Czy los sprawi, że go wtedy spotkam, czy też jest nam pisane żyć z dala od siebie do śmierci? Czułam, że gdzieś w świecie żyje ma druga połowa, bałam się jednak, że jej nigdy nie zdołam odnaleźć.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że tacy ludzie są jak dwie góry — obie piękne, tonące szczytami w chmurach, pasujące do siebie pod każdym możliwym względem, lecz niestety nigdy nie

będzie im dane podziwiać nawzajem swego majestatu, dzieli je bowiem zbyt wielka odległość. Przeznaczeni sobie ludzie żyjący w innych miastach czy nawet krajach też nigdy się nie odnajdą. Czasami tylko, ale bardzo rzadko, los pozwala dwom bliźniaczym szczytom wznosić się w zasięgu wzroku.

Tak właśnie było z moim ojcem i matką. Oby łaskawy Bóg i mnie pozwolił zasłużyć na takie szczęście. Proszę, zaczęłam się modlić, spraw, aby stało się to szybko, bo myśl, że ojciec każe mi poślubić jakiegoś nieznajomego i nigdy nie poznam miłości, znowu przejęła mnie zgrozą.

Ocknęłam się z marzeń, gdy dostrzegłam nad sobą jakiś cień, lecz nim zdążyłam rozpoznać, co to takiego, znalazłam się pod wodą. Coś ze straszliwą siłą przygniotło mi klatkę piersiową, spychając w leżący na dnie rzeki muł. Zaczęłam walczyć z tym czymś na oślep — bo w mulistej wodzie nic nie było widać — kopiąc, gryząc i drapiąc, i zarazem hamując przemożne pragnienie krzyku.

Ciężar na mej piersi nagle zelżał, wyskoczyłam więc jak korek na powierzchnię, wyrzucając z siebie mnóstwo brudnej wody. Piekło mnie w nosie i bolały płuca. Kiedy trochę oprzytomniałam, zobaczyłam, że obok stoi Aurangzeb.

— Jakie paskudne żuki — powiedział z szyderczym śmiechem, wskazując palcem moją klatkę piersiową.

Spojrzałam po sobie i ku swemu przerażeniu spostrzegłam, że wierzchnia szata opadła mi z ramion i że przez mokrą koszulę wyraźnie widać ciemne brodawki.

— Miałbym ochotę je zgnieść — dodał złośliwie mój brat.

Z wściekłym wrzaskiem zamachnęłam się na niego zaciśniętą pięścią, tak jak to widziałam u walczących mężczyzn. Mierzyłam mu w nos, ale uchylił się szybko, więc udało mi się trafić go tylko w policzek, przy czym miedziany pierścionek, który miałam na kciuku, rozciął mu skórę pod okiem. Kropla krwi kapnęła do wody, a on niewiele myśląc, uderzył mnie w twarz. Towarzyszył temu tak donośny odgłos, że aż kilka kobiet na brzegu odwróciło się w naszą stronę. Aurangzeb obnażył zęby.

— Pożałujesz tego! — syknął i zacytował werset z Koranu mówiący o zemście.

— Nienawidzę cię! — krzyknęłam, chociaż nie była to prawda. — I nienawidzę twych głupich wersetów!

— Pożałujesz — powtórzył i poczłapał znów na płyciznę.

Tam usiadł i przyłożył garść mułu do rozciętego policzka. Chciało mi się płakać, ale jemu sprawiłoby to przyjemność, zacisnęłam więc zęby, poprawiłam suknię i zanurzyłam się w wodzie po szyję, tak jednak, by mieć go w polu widzenia. Nie wiedziałam, co zamierza, ale byłam pewna,

że będzie to okrutna zemsta. Kiedy na mnie spojrzał, zapragnęłam nagle, żeby Dara był trochę bliżej.

Postanowiłam już właśnie wracać do haremu, gdy usłyszałam zdławiony pisk. Myśląc, że to znowu sprawka Aurangzeba, ostrożnie rozejrzałam się po rzece. Zrazu zobaczyłam tylko słońce i jakieś pływające śmieci, ale potem znacznie dalej mignęła mi stercząca z wody czyjaś mała ręka. Ta ręka dawała gorączkowe znaki. Znow rozległ się krzyk. Rozpoznałam krzyk dziecka. Serce we mnie zamarło, gdy spostrzegłam, że silny prąd rzeki porwał jakiegoś malca i niesie go w moją stronę. Rozejrzałam się za kimś dorosłym, żeby zawołać o pomoc, lecz w pobliżu nie było nikogo.

Po sekundzie wahania zerwałam z siebie wierzchnią szatę i popłynęłam w stronę tonącego. Przeciwny prąd był tak wartki, że aby go pokonać, musiałam wyęczać wszystkie swoje siły. Dziecko chyba trzymało się czegoś. Byłam już dość blisko, gdy zauważyłam zanurzoną kłodę, nie zdołałam jej jednak ominąć. Potężny cios w bok pozbawił mnie tchu, lecz ostatnim wysiłkiem uchwyciłam się jakiejś pływającej gałęzi, drugą ręką zaś złapałam chłopca. Mógł mieć sześć czy siedem lat.

Prąd jął nas unosić w dół rzeki razem z tą naszą gałęzią. Próbowałam wzywać pomocy, ale strasznie bolały mnie płuca i moje żalosne okrzyki brzmiały bardzo słabo, lecz przecież Aurangzeb, który znajdował się najbliżej nas, musiał je chyba usłyszeć! Och tak, gdyż popatrzył nagle w naszą stronę. Byłam pewna, że natychmiast ruszy mi na ratunek, ale on nawet nie drgnął. Obserwował nas tylko w milczeniu i chyba się nawet uśmiechał. Wkrótce zniosło nas tak daleko, że wszyscy, którzy by mogli nam pomóc, dawno zostali w tyle. Przerazona, że czeka nas śmierć, zaczęłam znów krzyczeć, no i dzięki bożej łasce usłyszeli mnie dwaj rybacy, którzy czym prędzej spuścili swą łódź na wodę.

Na zakręcie rzeki prąd stał się jeszcze silniejszy. Kurczowo trzymałam się zbawczej gałęzi, zaciskając zarazem palce drugiej ręki na ubraniu chłopca. Ramię miał brzydko rozcięte i z rany lała się krew, a jego buzia robiła się coraz bielsza. Zaczął z wolna osuwać się głębiej i głębiej, ciągnąc mnie za sobą w wodę. Wydawała się okropnie zimna.

Byłam już na dnie rozpacz, gdy spostrzegłam doganiającą nas łódź. Dwaj rybacy wiosłowali co siłą, na dziobie zaś stało jeszcze dwóch ludzi. Uświadomiłam sobie po chwili, że jednym z nich jest Nizam, a drugim Aurangzeb i że trzyma on w ręku linę. Akurat w tym momencie mój malec poszedł pod wodę. Wyciągnęłam go resztką sił. W ramionach czułam ołów. Gdy pomyślałam, że zaraz utonę, tuż obok plasnęła lina. Udało mi się ją złapać, i wtedy Aurangzeb jął nas holować do łodzi. Tam już Nizam wciągnął nas na pokład — najpierw chłopca, a potem mnie. Osunęłam się w ramiona naszego wiernego sługi i zaczęłam gwałtownie szlochać — tyleż z ulgi, co i ze smutku: Aurangzeb! Wiedziałam, że nie zamierzał nam pomóc i że zrobił to dopiero wtedy, gdy zobaczył rybaków ruszających nam na ratunek.

Chciałam coś powiedzieć, lecz świat nagle pociemniał mi przed oczami i chyba straciłam przytomność. Nie pamiętam nawet chwili przybicia do brzegu. Wiem tylko, że ktoś mnie niósł, pamiętam jakieś cienie i mgliste obrazy, ale może to były sny? Potem poczułam, że ktoś otula mnie derką, i ujrzałam nad sobą twarz matki. Powiedziała coś do mnie, ale ja nic z tego nie rozumiałam. Wydawało mi się, że dokądś płynę, nieznośnie powoli i coraz to wyżej. W końcu wszystko pojaśniało, więc ostrożnie otworzyłam oczy — i ujrzałam całą swą rodzinę zgromadzoną wokół mojego posłania.

— Matko? — wymamrotałam.

Zaczęła całować moją twarz i usta.

— Och, Dżahanaro! Tak się o ciebie martwiłam!

Nad mym posłaniem pochylił się ojciec.

— Czy boli cię coś, moje dziecko?

— Nie... Nie, ojczy.

Widząc jego łzy, sama zaczęłam płakać. Rodzice objęli mnie jak tonącą. Matka ścisnęła mi rękę, ojciec, bardziej uczuciowy niż którykolwiek ze znanych mi mężczyzn, powiedział zdławionym głosem:

— Wolałbym stracić swoje imperium niż ciebie, moja Dżahanaro. Bo czyż niebo mogłoby istnieć bez gwiazd?

— Byłoby bardzo samotne — odrzekłam, gdyż mimo ich pieśszczot tak właśnie się czułam.

Ojciec pogładził mnie po policzku.

— Byłaś dziś niezwykle dzielna.

— O, tak! — potwierdziła matka. Czułam, że jest ze mnie dumna, i to jeszcze bardziej niż ojciec, wykazałam się bowiem odwagą, a tego od kobiety nikt nie oczekuje. — Ocaliłaś dziecko.

— Doprawdy?

— Tak, żyje dzięki tobie, ciebie zaś ocalił twój brat.

— Ale on...

Aurangzeb wysunął się naprzód.

— Później mi podziękujesz — powiedział szybko.

Spostrzegłam, że spod mułu na jego policzku wyziera czerwona rana.

Potarłam palcami skronie, jakbym chciała z nich zetrzeć niemiłe wspomnienia.

— Jestem... bardzo zmęczona — wyjąkałam przez łzy.

Nie mogłam patrzeć na swego młodszego brata.

Ojciec ucałował mnie czule i wyszedł z komnaty, a po nim matka i reszta rodziny. Dara, wychodząc, odwrócił się jeszcze, by na mnie spojrzeć, więc skinęłam na niego: zostań. Posłuchał i zamknąwszy drzwi, pospieszył do mego boku.

— Czemu płaczesz? — zapytał z troską.

— Bo on... Aurangzeb... widział, co się dzieje, i nic nie zrobił. Chciał mojej śmierci!

Dara zeszywniał i jał drapać się po głowie pod turbanem.

— Chciał twojej śmierci?

— Tak!

— Och, Dżahanaro, wszak to niedorzeczność!

— Mówię ci, że nie chciał mi pomóc! Miał nadzieję, że utonę!

— Przecież ocalił ci życie. To on wezwał łódź. Powiedział, że...

— On kłamie!

Dara odsunął się od posłania.

— Sam widziałem, jak cię ratował. Wyciągnął cię z wody i nawet się przy tym skaleczył.

— To ja mu rozciąłam policzek!

— Potrzebny ci wypoczynek — oświadczył, ruszając do drzwi. — Musiały cię dręczyć koszmary i wszystko ci się pomieszało. Kiedy trochę odpoczniesz, zaczniesz myśleć jaśniej.

Wiedziałałam, że się myli, że żaden odpoczynek nie złagodzi moich obaw... Czułam się strasznie samotna, a komnata zdawała się kurczyć — jakby ściany zamykały mi się nad głową.

Jakby chciały mnie wepchnąć pod wodę.

ROZDZIAŁ 3

Pożegnanie dzieciństwa

Mówi się, że czas leczy rany. Ja w to nie bardzo wierzyłam, a jednak strach przed Aurangzebem zaczął mnie z wolna opuszczać, tak że po kilku miesiącach nadszedł w końcu dzień, gdy mogłam już spojrzeć na niego bez drżenia, nie zadając też sobie zarazem pytania, czemu pragnął, żebym utonąła. Choć początkowo nienawidziłam go za to, że mi skradł dzieciństwo, doznany wstrząs bowiem sprawił, iż w ciągu jednej nocy musiałam z dziecka stać się kobietą, to przecież dobrze wiedziałam, że tak czy inaczej była to rzecz nieuchronna. Byłam wszak księżniczką, którą od małości nauczono myśleć, iż życie nie jest proste ani łatwe. Cesarscy synowie i córki musieli wcześniej dorastać, a ja do tej pory uchylałam się od swoich obowiązków. Po zdradzie Aurangzeba pożegnałam więc swoje dziecięce nawyki, wiedząc, że w świecie dorosłych nie ma już na nie miejsca.

W ciągu następnych miesięcy mój tryb życia uległ całkowitej zmianie. Nie szukałam już teraz rozrywek, tylko wiedzy, i zamiast uciekać przed obowiązkami, sama wychodziłam im naprzeciw. Codziennie spędzałam długie godziny w haremie na studiowaniu wszystkiego, co mogło się przydać księżniczce — od architektury i tańca po historię i politykę. Podczas gdy inne dziewczyny układały sobie włosy bądź uczyły się przyrządzać egzotyczne potrawy, ja ćwiczyłam kaligrafię lub ślęczałam nad mapami świata. Matka nieustannie podsuwała mi książki na wszystkie możliwe tematy; było ich tyle, że przypominały górę, na którą nie sposób się wdrapać, bo choć pochłaniałam jedną po drugiej, w ich miejsce pojawiały się natychmiast nowe. Idąc za radą matki, zaczęłam brać udział w życiu towarzyskim cesarskiego dworu, wytłumaczyła mi bowiem, że każdy sukces zawdzięczamy w równym stopniu sobie, co i pozyskanym przyjaciołom. Powtarzała mi to już od chwili, gdy nauczyłam się myśleć, lecz dopiero teraz jej słowa nabrały dla mnie znaczenia. Przez cały następny rok starałam się więc zawrzeć jak najwięcej pożytecznych znajomości.

Służyły temu takie okazje, jak rozgrywki w polo czy tłumne wyprawy myśliwskie. Wdawałam się wtedy w pogawędki z pomniejszych spośród nobilów i bogatymi kupcami, by wyjednać ojcu ich poparcie. Choć nie wszyscy byli skorzy do tych rozmów, często widziałam, jak ich głodne spojrzenia błędzą po moim ciele. Z początku wprawiało mnie to w niepokój, z czasem wszakże zrozumiałam, iż żądza jest jedną z największych męskich słabości i że można ją wykorzystać. Matka potajemnie udzielała mi nauk w tych sprawach. Tłumaczyła, w jaki sposób funkcjonuje męskie ciało, mówiła o jego potrzebach, a zwłaszcza o pragnieniach nękających każdego mężczyznę.

Kazała mi praktycznie uczyć się świadczenia uprzejmości i usług towarzyskich, co okropnie mnie żenowało, gdyż za obiekt mych zabiegów służył Nizam. Przebierała go na przykład za wielkiego arystokratę, ja zaś miałam częstować go winem, a potem w trakcie błażej pogawędki wyciągać od niego ważne informacje. Starał się jak najlepiej odgrywać swą rolę, lecz często nie mógł powstrzymać uśmiechu, zdarzało mi się bowiem popełniać komiczne gafy, a moje naiwne pytania nie zwiodłyby nawet wieśniaka. Byłam jednakże ambitna, więc i w tym dosyć szybko nabierałam wprawy; nauczyłam się wkrótce zadawać takie pytania, na które każdy prózny mężczyzna po prostu musiał odpowiedzieć, nawet jeśli bardzo tego nie chciał.

Tak wyszkolona byłam już gotowa bałamucić mężczyzn wybranych uprzednio przez matkę. Byłam bardzo młodą kobietą, toteż większość tych panów uważała mnie za daleko mniej groźną aniżeli bezzębna kobra, dzięki czemu nietrudno było nimi manipulować. Gdy odgrywałam wstydliwą, stawali się jeszcze bardziej szarmanccy; czasami wystarczyło udać, że zbieram się do odejścia, by przełamać ich opór: zaczynali wtedy mówić mi o wszystkim, czego akurat chciałam, choć były to często niezmiernie ważne sekrety. Ojciec mógł oczywiście zmusić tych ludzi do wszystkiego, on jednak wolał zmiękczać ich miodem niż pięścią. Temu też służyły moje uwodzicielskie sztuczki, on zaś pilnie śledził moje poczynania.

Pod jego rządami w Hindustanie dobrze się działo, a owa pomyślność była w znacznej mierze zasługą mej matki. Odwodziła ona ojca od wojen, dzięki czemu przestaliśmy marnować cenne złoto i życie naszych żołnierzy na dalszą ekspansję na północ — na ziemie Persów. Zamiast z nimi walczyć, umacnialiśmy własne granice, budowaliśmy drogi i mosty, bogaciliśmy się na handlu. Jednakże wielu mężczyzn nadal pragnęło zwalczać nieprzyjaciół i tych właśnie miałam za zadanie przeciągać na naszą stronę. Robiłam więc, co mogłam, by w pozornie błażych pogawędkach nieustannie głaskać ich próżność albo schlebiać ich lekceważonym, często ledwie tolerowanym żonom.

Nauczyłam się tego wszystkiego od matki. Służyła mi radą w niezliczonych kwestiach — wyjaśniając na przykład, co w tej czy innej materii mówi prawo, którzy spośród nobilów są przyjaciółmi, a którzy wrogami. Opowiadała mi szczegółowo, jaki charakter i upodobania ma każdy z moich rozmówców, jak odnosi się do Hindusów, czy woli w łóżu dziewczęta czy chłopców, czego się boi, a czego pragnie. Wszystko to było jednakowo ważne.

Mych braci uczono tego samego, choć rzecz jasna w odmienny sposób. Ku memu zdziwieniu jedynie Aurangzeb przywiązywał wagę do tych lekcji. Podczas gdy Szah i Murad woleli uganiać się za kobietami, a Dara pochłaniać dzieła filozofów, Aurangzeb krążył po dworze, zawierając przyjaźnie z wybitnymi osobistościami, a zwłaszcza dowódcami naszej armii. Darzyli go sympatią, bo im był wyższy, tym więcej i goręcej mówił o ich zasługach wojennych, dzięki którym nasze

imperium tak bardzo urosło w siłę. Z wielkim upodobaniem natomiast niweczył moje wysiłki. Kiedy udawało mi się zaprzyjaźnić z kimś znacznym i uczynić z niego sojusznika, Aurangzeb zaczynał działać jak kret, niedostrzegalnie, lecz tak skutecznie podkopując moje dokonania, że wszystko co zbudowałam, waliło się w gruzy, a ja dowiadywałam się o tym dopiero po wielu tygodniach.

Dara ku memu rozczarowaniu nie bardzo się troszczył o sprawy państwa, choć jako faworyt ojca, który widział w nim swego następcę, powinien był poświęcać im więcej uwagi. Jego miłością były sztuki piękne. Ojciec również podziwiał poetów, malarzy, architektów i uczonych, miał wszakże przy tym świadomość, że jakkolwiek swą działalnością upiększają oni nasze życie bądź też wnoszą je na wyższy poziom, pięknem nie sposób wyżywić imperium.

Gdy po raz pierwszy spróbowałam wytknąć Darze jego słabe strony, przejął się tym nie bardziej niż kocim łajnem na ścieżce. Było późne popołudnie; ukończywszy wyznaczone na ten dzień zadania i nakazane modlitwy, schroniliśmy się w jednym z wielkich ogrodów Czerwonego Fortu. Te najwspanialsze miały nam przypominać, że jeśli za życia będziemy cnotliwi, czeka nas Rajski Ogród, jeszcze piękniejszy, gdzie przez całą wieczność dane nam będzie zażywać niewysłowionych rozkoszy.

Nasze sanktuarium zwane było Śalimar Bagh — Przybytkiem Miłości. Rosły tu drzewa mango, palmy daktylowe i cytryny, a między nimi wąskimi kanałami płynęła woda wypełniająca niewielkie kwadratowe sadzawki, z których tryskały srebrzyste fontanny. Wszystko w tym ogrodzie miało kształty geometryczne. Zarówno rośliny, jak i wodne dróżki były tak uformowane, że tworzyły ośmiokąty, sześciiany albo trójkąty.

W odległym końcu ogrodu Isma'il, ów stary wieśniak uratowany przez matkę, starannie przycinał róże. Odkąd się tu zjawił, ogród jeszcze wypiękniał. Bo też pracował od świtu do nocy; każde drzewo i najmniejszy krzaczek nosiły na sobie ślady jego rąk.

Usiedliśmy sobie na kwadratowym, porośniętym trawą wzniesieniu pomiędzy kilkoma strumyczkami. Było tu bardzo przyjemnie — drzewa dawały wiele cienia, w powietrzu niósł się aromat owoców i kwiatów. Zerknęłam spod oka na swego starszego brata, zastanawiając się, jak mam zagaić rozmowę. Miał dziś na sobie szkarłatną tunikę i biały turban. Ostatnio próbował wychodować brodę, tak więc z podbródka zwisało mu mniej więcej dziesięć śmiesznych włosków. Ja ubrana byłam w żółtą spódnicę i bluzkę oraz długą, prawie przezroczystą szatę z błękitnego jedwabiu. Na głowie miałam turkusowy hidżab malowany w białe żurawie. My, muzułmanki, nosiłyśmy te zasłony inaczej niż perskie kobiety: im zakrywały one twarze, nam jedynie włosy, opadając miękko na kark.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, co zaszło pomiędzy tobą a Ladli — zaczęłam, uszczknawszy winne grono ze stojącej obok patery.

— A co miało zajść? I kiedy?

— Kiedy do ciebie podeszła.

— Podeszła?

— Wtedy nad rzeką. — Mój wielce uczony brat często wystawiał moją cierpliwość na ciężką doprawdy próbę.

— Marnujesz jeszcze mniej słów niż matka. Musisz zawsze być tak obcesowa?

Wzruszywszy ramionami, sięgnęłam po drugie grono.

— Mogę się łąsić do ciebie jak kotka, jeśli bardziej ci to odpowiada.

— Czyż sama Ladli nie zaspokoiła już twojej ciekawości?

— Nie we wszystkim.

— A co ci powiedziała?

— Że ją pytałeś, co myśli o hinduskim podziale na kasty.

Dara rozłożył ręce takim gestem, jakby chciał odsunąć ten temat, lecz opuścił je zaraz i westchnął. Zawsze wydawał mi się zbyt poważny jak na swój wiek, no ale moje przyjaciółki to samo mówiły o mnie.

— Hinduizm — powiedział — to bardzo piękna religia. Wiem, że to pogląd niezwykle rzadki pośród muzułmanów, ale ja kocham hinduskie bóstwa, a idea karmy wydaje mi się wspaniała. Nie zgadzam się tylko z tym ich podziałem na kasty. Dlaczego człowiek o jaśniejszej skórze ma być lepszy od reszty, a kupiec więcej wart niż robotnik?

— Myślę, że ten system pozwala im utrzymać pewien porządek.

— Porządek, Dżahanaro, tworzą równe prawa, a nie dyskryminacja.

— A czy u nas jest inaczej? Czy chłopak pracujący w polu ma te same prawa co ty?

— Nie, oczywiście że nie, i dobrze wiem o tym — przyznał, kiwając głową. — Tak jak wiem, że bez względu na to, jak mi zależy na Ladli, nigdy nie będę mógł jej poślubić.

— Możesz poprosić ojca o zgodę. Jego ojciec pozwolił mu poślubić matkę.

— Mnie się to nie uda — odrzekł smętnie. — Pamiętaj, że ojciec musiał najpierw pojąć inne żony. Nasza matka nie miała nic przeciwko temu, że będzie musiała z nimi konkurować, ale Ladli jest inna. Ona by się na to nie zgodziła.

Na chwilę zapadło milczenie. Słysząc było tylko tak głośny śpiew ptaków, że tłumiał on nawet odgłos szorowania marmurowej ścieżki, czym zajął się teraz niezmordowany Isma'il. Obróciłam na palcu pierścień z rubinem, obserwując, jak słońce zapala w nim gwiazdziste ognie.

— Powiedz, Daro, czy ty ją kochasz?

— Filozofowie mówią, że miłość...

— Kochasz czy nie?

— Miłość nie ma nic wspólnego z tym, o czym teraz mówimy, bo czy ją kocham czy nie, i tak będę musiał zawrzeć małżeństwo polityczne. Ciebie też to czeka. I wierz mi, stanie się to już wkrótce. Z własnych ust ojca słyszałem, jakie ma wobec nas plany.

Wyobraziłam sobie odrażająco grubego mężczyznę, którego ojciec może mi wybrać na męża, lecz czym prędzej pozbyłam się tej myśli jak zgniłego jabłka. Ważniejsza była teraz inna sprawa. Chciałam powiadomić Darę o tym, co ostatnio wciąż mi chodziło po głowie.

— Zauważyłeś, jaki popularny stał się ostatnio Aurangzeb? I jakich nabrał nawyków? Zamiast się uczyć, wciąż tylko ćwiczy szermierkę i zadaje się z generałami.

— No i co z tego?

— Czy nie przyszło ci na myśl — wyszeptałam — że po śmierci ojca nasz brat może wysunąć roszczenia do Pawiego Tronu?

Dara wypuścił z ręki winne grono.

— Och, Dżahanaro, od kiedy to zaczęłaś myśleć o takich sprawach?

— Matka sobie życzy, żebym...

— Plotła takie nedorzeczności?

— Dla ciebie to nedorzeczność, że Aurangzeb mógłby zażądać tronu? Widzę, jak się wścieka, gdy ojciec mówi o tobie jako o swoim następcy. Stara się to ukryć, lecz bez powodzenia. Wie, że jesteś ulubieńcem ojca, a on choćby się nie wiem jak starał, nigdy nie będzie aż tak kochany. Pomyśl, jak ty byś się czuł, gdybyś był na jego miejscu.

— Ale ja...

— Czułbyś się skrzywdzony, Daro. Aurangzeb też cierpi z tego powodu, i to tak strasznie, że mnie by pozwolił utonąć, bo wie, że jestem ci bliska, a z tobą potrafiłby walczyć o tron.

Mój brat bez większego zapału zamierzył się na jakąś natrętną muchę.

— Nigdy nie chciałem go skrzywdzić i nigdy tego nie zrobię — Urwał, śledząc muchę, która mu uciekła i sadowiła się właśnie na pobliskim drzewku granatu. — Chcę być jego przyjacielem, tak samo zresztą jak ty. A co do sukcesji: on dobrze wie, że cesarz ma prawo wybierać swojego następcę. Zawsze tak było.

— Tak, tylko wiesz co? To, że ojciec pragnie, byś to ty objął rządy, nie musi oznaczać, że tak się stanie.

— Aurangzeb nie będzie ze mną walczył — oświadczył Dara, sięgając po winne grono. Przynęłam się do niego bliżej.

— Nie jesteśmy już dziećmi, Daro. Pora wyzbyć się naiwności.

— Zarzucasz mi naiwność? I kto to mówi? Nie jesteś tak dorosła, jaką chcesz udawać.

— Może i nie — odparłam dość ostro, bo zirytowała mnie nagle jego prostoduszność — pamiętaj jednak, że nasz pradziadek, wstępując na tron, miał zaledwie trzynaście lat. I co? Czy on coś wtedy udawał? A jak byłoby z tobą, gdyby nasz ojciec nagle teraz zmarł? — Moja irytacja częściowo brała się stąd, że Dara miał jednak rację: byłam o wiele za młoda, by zabierać głos w takich sprawach. Matka wszakże wymagała tego ode mnie, mówiąc, że powinnam znać i rozumieć wszelkie polityczne zawilości. Poświęciła cały zeszły rok, żeby mnie tego nauczyć. Nie wolno mi było jej zawieść, nie chciałam też, żeby Dara lekceważył Aurangzeba. — Jak to jest — zapytałam — że tyle wiesz o cudzych bogach i tak dobrze znasz filozofię, a nic nie wiesz o swoich przodkach? Czy ty masz pojęcie, ile wojen stoczyli oni o tron? Wojen, w których brat zabił brata?

— Wojen było kilka, a poniosło w nich śmierć prawie dwunastu braci.

— Więc czy tak trudno wyobrazić sobie, że i Aurangzeb może cię zabić, by zająć należne ci miejsce?

Dara milczał tak długo, że Isma'il zdążył w tym czasie zakończyć szorowanie ścieżki. Wiedziałam, że mój brat jest mocno zakłopotany, gdyż raz po raz spoglądał w niebo, jakby miał nadzieję, iż ktoś tam w górze udzieli mu światłej rady.

— Nie wierzę w twoją wersję wydarzeń nad rzeką ani w tę ponurą przepowiednię — powiedział wreszcie. — Przypuśćmy jednak, że masz rację i Aurangzeb naprawdę pragnie tronu: co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Spróbowałam na chwilę wejść w rolę doradcy. Co nasza matka powiedziałaby ojcu, gdyby jego brat pragnął pozbawić go tronu?

— Rób to, co robi Aurangzeb. Zaczynj jednać sobie sojuszników. Mniej czasu poświęcaj studiom nad religią, częściej zaś przebywaj u boku ojca. Niech ludzie widzą cię przy cesarzu, a nie wciąż tylko w towarzystwie matki i moim.

Dara zdjął turban i przebiegł palcami po swych czarnych wijących się włosach.

— Jeśli nawet Aurangzeb czuje do mnie wrogość, nie będę z nim walczył. Nie potrafię się na to zdobyć. Nie chcę nawet o tym myśleć.

Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu, który i mnie się udzielił. Wiedziałam, że Dara wielokrotnie próbował poprawić swe stosunki z Aurangzebem i zawsze wtedy spotykał się z taką samą wrogością jak ja podczas tamtej wyprawy nad rzekę. Dlaczego tak się dzieje? Oboje kochamy przecież swego brata, a on nas ciągle odtrąca. Czyżbym robiła coś złego? Ale co, na Allaha?

Porzuciłam rolę doradcy i czując się znów siostrą Dary, wzięłam go za rękę.

— Uwierz mi, bracie, że wolałabym leżeć w haremie i zabawiać się ploteczkami, niż rozmawiać o takich sprawach, lecz niestety nie jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Ty będziesz kiedyś ce-

sarzem, a ja... — zamilkłam na chwilę, niepewna roli, jaką wyznaczy mi los — a ja jestem twoją siostrą. Kocham Aurangzeba i podobnie jak ty nie mam ochoty z nim walczyć, ale Daro... on mnie przeraża. I zdaje mi się, że ciebie też.

Lekko pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Zrozumiałam, że jest zbyt szlachetny, żeby nawet o tym myśleć, i że to nie on mnie, ale ja powinnam go chronić. Tylko jak ja, dziewczyna za- ledwie piętnastoletnia, mam chronić jednego brata przed drugim? I jak mam ochronić siebie?

TLR

ROZDZIAŁ 4

Ciemność

Wkrótce się przekonałam, jakie to trudne zadanie, zwłaszcza gdy wydano mnie za męża. Stało się to podczas Nouruzu, tuż przed porą suchą, w szesnastym roku mego życia. Ten, za którego mnie wydano, okazał się człowiekiem godnym jedynie pogardy.

Pora sucha w Agrze to okres, gdy nawet ziemia zdaje się umierać. Trawy żółkną z upału i braku wilgoci, a bydło całymi dniami leży nieruchomo w polu. Lecz nim nadejdzie to mordercze lato, Bóg w swej łaskawości pozwala ludziom nacieszyć się chwilą miłej wiosennej pogody. Świętujemy ten okres jako perski Nowy Rok.

Gdyby nie ślub, byłby to dla mnie jak zwykle czas wesołości i uciech. Za rządów mego ojca Nouruz trwał dwa tygodnie, a świętowali go wszyscy nasi poddani bez względu na religię. Odbywały się huczne przyjęcia, na niebie rozkwitały chińskie fajerwerki, a ludzie obdarowywali się prezentami. Tym razem jednak zbliżające się zaślubiny odbierały mi całą radość. Ani sztuczne ognie, ani łakocie nie były w stanie przepędzić gorzkich myśli.

W dniu mego ślubu niechętnie wstałam z posłania. Przełknąwszy kawałek melona, wykapałam się w wodzie nasyconej olejkami lawendy i eukaliptusa. Po kąpieli służące natarły mnie perfumami o woni lotosu, susząc mi zarazem włosy nad płonącym stosikiem różanego drewna. Kazano mi potem póty ssać goździki, dopóki mój oddech nie zaczął pachnieć jak cynamon. Wtedy dopiero przystąpiły do pracy mistrzynie sztuki upiększania. Tak długo tarły mi wargi betelem, aż mi zupełnie zdrętwiały, nabierając przy tym jednak ciemnoszkarłatnej barwy. Mieszaniną henny, oliwy i soku z cytryny wymalowano mi na rękach i stopach kunsztowne wzory. We włosy wpleciono sznury diamentów.

Uroczystość zaślubin odbyła się na największym dziedzińcu Czerwonego Fortu. Był to ogromny, otoczony murami kwadrat o bokach długości ponad trzystu kroków. W każdej z czterech ścian znajdowało się czterdzieści łukowatych furtek prowadzących do przyległych ogrodów, bazarów i rezydencji. Na szczycie tych murów łopotały na wietrze czerwone proporce.

Na dziedzińcu zgromadziły się setki ludzi, głównie przedstawiciele wielkich rodów, którzy przybyli tam już wczesnym rankiem, żeby zająć jak najlepsze miejsca. Świadcami uroczystości było również kilkanaście wojennych słoni przybranych w angielskie aksamity, chińskie jedwabie oraz turecki złotogłów. Kły owinięto im czarną materią, przez co czubki ich ciosów wydawały się

jeszcze bielsze. W rogach dziedzińca zbudowano złożone klatki dla gepardów. Te najszybsze z żyjących drapieżców nosiły srebrne obroże oraz haftowane kamizelki.

Ojciec z okazji ślubu ofiarował mi mnóstwo klejnotów, iskrzyłam się więc od rubinów, pereł i szmaragdów. Całe moje ubranie było nowe. Wierzchnią szatę uszyto z tak cieniutkiego jedwabiu, że byłby prawie niewidoczny, gdyby nie namalowane na nim irysy w kolorze indygo. Pod spodem miałam turkusową suknię tak ciasną na piersiach, że można mi było liczyć oddechy, opadającą na szczęście luźniej ku dołowi.

Moja cielesna powłoka wyglądała imponująco, ale w środku cierpiałam męki. Choć oboje z Darą rozmawialiśmy często o swych obowiązkach, teraz kiedy przyszło mi wypełnić jeden z tych obowiązków, miałam uczucie, że za chwilę zadusi mnie rozpacz. Wszystkie moje dziecięce marzenia rozsypały się w proch. Można było pomyśleć, że to nie ja je snułam, ale jakaś inna osoba, której prawie już nie pamiętałam. Wiedziałaam tylko, że tęskniła ona za miłością, za kimś, czyj widok sprawi, że krew szybciej zatętni jej w żyłach.

A teraz... Teraz zamiast wytęsknionego kochanka stał przy mnie Chondamir, zwalisty mężczyzna zaledwie dorównujący mi wzrostem i ponaddwukrotnie starszy. Był jednak bogatym i bardzo wpływowym właścicielem licznych kopalń srebra, który w wielu sprawach nie popierał polityki ojca. Ojciec liczył, że nasze małżeństwo odmieni jego poglądy, pragnął też wykorzystać kontakty handlowe Chondamira w Persji, by pozyskać sobie sojuszników za naszą północną granicą. Tacy ludzie byli mu bardzo potrzebni, chciał bowiem zawrzeć z Persją trwałą pokój, co w jego pojęciu było rzeczą konieczną dla dobra imperium. Chondamira z kolei interesowała nie tyle moja osoba, ile samo małżeństwo z córką cesarza. Był dzięki temu bliżej Pawiego Tronu.

Podczas uroczystości jego spojrzenie raz po raz ślizgało się po moich piersiach, które ostatnio znacznie urosły. Przejmowało mnie to niepokojem, starałam się więc nie myśleć o tym, co czeka mnie w nocy. Patrzyłam na rodziców i rodzeństwo stojących o stopień niżej na złożonym podwyższeniu. Obecne były nawet moje bliźniacze siostry, których nie widziałam od miesiąca; siedziały na rękach piastunek spowite w przepyszne jedwabie, cieniutkie jak pajęczynka. Ojciec wystąpił w swym wojskowym uniformie; u boku miał piękny starożytny miecz z rękojeścią nabijaną szmaragdami. Matka w zielonej wierzchniej szacie i szkarłatnej sukni przypominała rozkwitłą różę. Jej cudowna uroda zdawała się opromieniać nawet moich braci stojących między rodzicami w tunikach koloru indygo. W miarę jak czas mijał, Dara stawał się coraz smutniejszy, Aurangzeb natomiast uśmiechał się coraz złośliwiej. Tylko Szah i Murad mieli takie miny, jakby obaj spali na stojąco.

Ceremonia ślubna była długa i nudna. Po modlitwach zaczęto składać nam gratulacje. Napłakałam się dosyć już poprzedniej nocy, udało mi się zatem nie uronić teraz ani jednej łzy. Stojąc u boku męża, kłaniałam się i uśmiechałam jak szczęśliwa oblubienica.

Potem zaczęła się uczta. Podano dziesiątki jagniąt upieczonych na otwartym ogniu. Na srebrnych i złotych półmiskach dymiły smakowite platy wołowiny w towarzystwie rozmaitych warzyw. Wszędzie piętrzyły się góry ryżu, orzechów i wszelkich owoców. W marmurowych misach obnoszono kulfi — mocno słodzony deser z owoców mango, gęstej śmietany, soku z cytryny oraz prażonych fistaszków. Nasza rodzina ucztowała w jednym z pospiesznie wzniesionych namiotów. Na perskich dywanach służba rozłożyła miękkie poduszki i białe obrusy. Podczas gdy jedni podawali nam coraz to inne przysmaki, drudzy chłodzili nas wachlarzami, przepędzając zarazem muchy.

W czasie całego posiłku zabawiała nas grupa cesarskich tancerek o piersiach przesłoniętych tak przezroczystą materią, że pozostawiała ona niewiele pola wyobraźni. Te piękne dziewczęta poruszały się niczym młode drzewka na wietrze; towarzyszyli im muzykanci grający na trąbkach, instrumentach strunowych i tamburach. Przed namiotem natomiast popisywali się swoim kunsztem żonglerzy i akrobaci.

Po uczcie opuściliśmy Czerwony Fort, aby się udać na miejsce, gdzie miały się odbyć rozgrywki w polo. Był to pomysł ojca. Grę w polo wymyślili plemienni jeźdźcy zamieszkujący rozległe równiny na wschód od Agry; z czasem stała się ona jednym z naszych ulubionych spektakli. Już na kilka dni przed moim ślubem przygotowano nad rzeką wielką połączyć otwartej przestrzeni, która miała się stać polem gry. Starannie oczyszczono ją z chwastów, a po obu stronach ustawiono bramki. Dookoła stanęły namioty nobilów, którzy zasiedli w nich teraz w towarzystwie swych żon i konkubin; czekając na początek meczu wszyscy nadal raczyli się jedzeniem. Nasza rodzina zajęła najokazalszy pawilon.

Moi bracia zmienili ubrania i natychmiast wybiegli w pole; Dara i Szah nosili czarne turbany i tuniki, Aurangzeb i Murad białe. Ojciec zadał w róg i na ten sygnał obie drużyny ustawiły się po swoich stronach. Konie z grzywami i ogonami splecionymi w warkoczyki tańczyły w miejscu, wprawiając w ruch złote i srebrne dzwoneczki zawieszane na szyjach. Ich dźwiękom towarzyszyło niecierpliwe parskanie i rzenie. Siedzący na koniach jeźdźcy dzierżyli w rękach drewniane młotki na tak długich tykach, że przewyższały one wzrost postawnego mężczyzny.

Na pole rzucono kulę z różanego drewna — i rozpoczęła się gra. Chondamir całkiem o mnie zapomniał i zaczął ryczeć wraz z tłumem. Matka dawała mi jakieś znaki, lecz po raz pierwszy w życiu udałam, że ich nie widzę. Chociaż rodzice byli przekonani, że Chondamir będzie dobrym

mężem, czułam się przez nich zdradzona i nic nie pomagało powtarzanie sobie, że spełniam swój obowiązek.

Cały czas modliłam się do Boga, żeby mój mąż okazał się chociaż człowiekiem honoru — skoro już nie żywi do mnie żadnych uczuć — toteż trudno mi było skupić uwagę na meczu. Spozstrzegłam jednak, że to Aurangzeb sprawia się najlepiej ze wszystkich mych braci. Można wprost było pomyśleć, że ta drewniana kula trzyma się jego młotka. W pewnej chwili, gdy od bramki dzielił go tylko Dara, bez wahania najechał na swego starszego brata i zwaliwszy go z konia, strzelił bramkę dla swojej drużyny. Gdy podniósł rękę na znak triumfu, w tłumie rozległy się gromkie wiaty. Dara skinął mu głową i mocno kulejąc, podreptał do swego konia.

Choć islam zabrania picia alkoholu i wielu jego wyznawców przestrzega owego zakazu, na moim weselu wino płynęło strumieniami. Ja po raz pierwszy zaznałam jego słodyczy i była to moja jedyna przyjemność podczas całej tej uroczystości. Wraz z ilością spożytego trunku ludziom płci obojga, kiedy indziej skrzepowanym sztywnymi regułami naszych obyczajów, zaczynało przybywać swobody. Chondamir raptem uśmiechnął się do mnie, obnażając pożółkłe zęby i brzydtko obwisłe dziąsła. Ja czułam się coraz dziwniej. Moja głowa... wydawała się niezwykle ciężka, a umysł tak zawsze bystry tępał zda się z chwili na chwilę. Mimo to piłam dalej, słyszałam bowiem, że mężczyźni w ten właśnie sposób uciekają od smutków. Och, gdyby wino pozwoliło mi uciec przed Chondamirem, sączyłabym je dopóty, dopóki w całym Hindustanie nie zostałyby go ani kropli!

Nawet nie zauważyłam, kiedy zakończył się mecz, wiem tylko, że zapadł już zmrok, gdy ktoś mnie podniósł z dywanu i ułożył na krótkiej leżance zwanej palki, przytwierdzonej do dwóch mocnych drągów. Chwyciło je czterech mężczyzn i poniosło do domu Chondamira. Pamiętałam mgliście, że to jakaś wielka budowla z piaskowca — widziałam ją tylko raz, i to z dużej odległości — że stoi daleko od rzeki i że rosną tam kręgiem palmy.

Idący obok noszy słudzy Chondamira pozapalali pochodnie. On sam jechał konno na siwym, nakrapianym czarno ogierze. Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, znów wyszczerzył zęby, a potem wyjął coś z juków przy siodle i zaczął to coś przeżuwać. Ja tymczasem czułam się coraz gorzej. Myśli płynęły mi tak ospale... i ta głowa! Z jękiem zaczęłam wyjmować z włosów ciężkie ozdoby i kwiaty. Cały świat szaleńczo wirował mi przed oczami. Bałam się, że zwymiotuję. Zamknęłam oczy, żeby nie oglądać tego obłądnego tańca.

Gdy je wreszcie otworzyłam, niesiono mnie długim korytarzem, w którym płonęły świece. Potem była jakaś komnata, gdzie złożono mnie na posłaniu. Pamiętam, że patrząc w sufit, zdołałam wymamrotać podziękowania tragarzom. Sufit wciąż nie przestawał się kręcić, przeniosłam więc wzrok na ściany. Ze wszystkich sterczały zwierzęce rogi, toteż mimo zamroczenia pomyślałam, że Chondamir musi kochać polowania.

Kiedy wtoczył się do komnaty, udałam, że śpię. Liczyłam, że położy się obok i zaśnie, ale on zaczął szarpać na mnie ubranie. Moja cenna suknia pękła z głośnym trzaskiem. Wyłuskał mnie z niej tak brutalnie, że przetoczyłam się na bok. Och, ogarnęła mnie zgroza. Postanowiłam nadal udawać uśpioną, gdyż tliły się we mnie resztki nadziei, że zechce mi może dać spokój.

Dopiero czując jego oddech na mych nagich piersiach, zrozumiałam, że to czczy nadzieja. Gdy zawisł ustami nad moim prawym sutkiem, z trudem stłumiłam okrzyk, on zaś mamrocząc coś do siebie, rzucił się nań niczym prosiak na cycek maciory. Przejęło mnie to strasznym wstrętem, a jednak poczułam, o nieba, że czubek piersi mi stwardniał, co najwyraźniej wzmogło jeszcze żądzę mego męża. Zaczął mnie lizać po ciele i kąsać zębami, a nie były to łagodne ugryzienia. Palce, które wtykał mi w sekretne miejsca, też sprawiały mi dotkliwy ból.

Usłyszałam nagle, że spluwa, i poczułam wilgoć pomiędzy nogami. Zaraz potem przytłoczył mnie nieznośny ciężar. Cuchnący oddech wypełnił mi płuca, a ciężkie brzuszysko klapnęło o mój nagi brzuch. Kiedy we mnie wtargnął i jął się poruszać, ból dosłownie rozdarł mi wnętrzności. Nie mogłam już teraz udawać, że śpię — i zaczęłam krzyczeć. Zawiodłam się jednak, myśląc, że przestanie się nade mną znęcać. Moje krzyki sprawiły tylko, że jeszcze wzmógł tempo, przyszpiliwszy mi ramiona do dywanu, tak że nawet nie mogłam się ruszyć.

Matka mnie ostrzegła, że to może boleć, ale żeby aż tak? Z całej siły zacisnęłam zęby, kiedy nie przestając skakać, ten człowiek zaczął mnie lizać po szyi. Z płaczem spróbowałam mu się wyrwać, był jednak dla mnie za silny. Prawie nic nie wiedziałam o tym, co dzieje się w łóżu, lecz nie mogłam uwierzyć, że przysparza to tylu cierpień. Z zasłyszanych rozmów wynikało, że inne kobiety nie mają powodów do narzekań, a moja matka nawet to lubi. Ze mną było zupełnie inaczej. Ja mogłam tylko gryźć wargi do krwi i płakać.

Kiedy pomyślałam, że już chyba od tego umrę, mój mąż nagle zawył niczym dzika bestia. Poczułam, że jeszcze urósł i wepchnął się we mnie głębiej, a zaraz potem dostał jakby ataku konwulsji, po którym raptownie zwiotczał i osunął się na mnie całym swym ciężarem. Leżał teraz jak kłoc, a ja musiałam wdychać jego odór. Chociaż nadal kręciło mi się w głowie, dziękowałam Bogu, że dał ludziom wino; czułam, że bez trunku cierpiałabym jeszcze bardziej.

Chondamir po chwili zaczął chrapać. Natężając wszystkie siły, zdołałam stoczyć go z siebie, sama zaś płacząc cicho, powlokłam się do kąta, gdzie usiadłam oparta plecami o ścianę. Widząc ślady zębów na piersi i sączący się po udzie strumyk krwi, rozplakałam się w głos. Zalewałam się łzami przez wiele godzin tej nocy, oplakując miłość, której pewnie nigdy już nie poznam. Dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego los mi nie sprzyja?

Noc starzała się z wolna, a ja razem z nią.

Pierwsze dni pod dachem Chondamira były straszne, lecz poczucie, że spełniam swój obowiązek, kazało mi zapomnieć o tamtej okropnej nocy. Trzeba żyć dalej, iść naprzód — tak jak uczyła mnie matka. Chondamira musiało zamroczyć wino, powtarzałam sobie. Nie rozumiał, że sprawia mi ból.

Pod wpływem tych myśli starałam się zadowolić mego męża i pozyskać jego sympatię. Niestety, wkrótce się przekonałam, że mu na mnie wcale nie zależy. Mogłam dla niego nie istnieć, a jeżeli już mnie zauważał, to traktował całkiem jak komara. Nie byłam w stanie wkraść się w jego łaski, skoro w niczym nie pozwalał sobie pomóc. To właśnie denerwowało mnie chyba najbardziej, bo przywykłam do innego traktowania. Nawet mój ojciec, władca wielkiego imperium, słuchał czasami mych rad, a ten głupiec uważał, że poślubił tępą wielbłądzicę!

Wkrótce zrozumiałam, że ożenił się ze mną tylko po to, bym urodziła mu syna. Mimo reputacji jurnego buhaja skaczącego z krowy na krowę nigdy nie spłodził potomka. Było dla mnie rzeczą niepojętą, dlaczego uważał, że ze mną mu się to uda, skoro wszystkie poprzednie próby chybiły? I choć pragnęłam mieć dzieci, nie wyobrażałam go sobie w roli ojca. O nie, nie chciałam, aby jego ziarno wydało we mnie owoce, zwłaszcza gdy po owej pierwszej nocy przyszły następne — takie same albo jeszcze gorsze. Wracał do domu spity na umór, zwał się na mnie i zaczynał sobie używać. Kończyło się to dopiero wtedy, kiedy już tracił przytomność.

Pewnego razu uderzył mnie pięścią na odlew, tak że aż rozciął mi wargę. Najwidoczniej nie spełniałam jego wymagań. Ryknął na sługę i kazał mu sprowadzić wyszkoloną kurtyzanę z Czerwonego Fortu. Siedząc potem nago na tygrysiej skórze, musiałam przyglądać się ich wyczynom, gdyż zażądał ode mnie takiego opanowania wyuzdanych sztuczek, żebym prześcignęła tę kobietę.

Gdy następnie zabrał się za mnie, każąc mi zademonstrować nabyte umiejętności, zrozumiałam, czym jest nienawiść. Inne uczucia były mi znane: bałam się Aurangzeba, kochałam ojca, ubóstwiałam matkę, żebracy budzili we mnie litość, a cudze dzieci zazdrość, nienawiści jednak nigdy nie zaznałam ani nie chciałam jej poznać. Tej nocy wszakże zakosztowałam jej smaku. Zaczęłam się też zastanawiać, czy nie uciec od tego potwora, a potem przyszło mi na myśl, że jeszcze lepiej byłoby podsypać mu czegoś do ryżu. Świat z pewnością by po nim nie płakał.

Straszliwie tęskniłam wtedy za rodziną. Rodzice przysyłali mi listy i podarunki, byli bowiem wraz z braćmi na wyprawie wojennej gdzieś na południu. Dara pisał o męstwie Aurangzeba: jak to wymknął się z namiotu ojca i dołączył do żołnierzy pierwszej linii. Po raz pierwszy zabił też człowieka.

Nie lubiłam wojen, ale teraz wiele bym dała, żeby być razem z rodziną, poznawać nowe okolice lub choćby tylko słuchać kłótni oficerów. Byłoby to znacznie ciekawsze niż błąkanie się po domu Chondamira, gdzie prawie nie było książek, a służba ponuro milczała.

W miarę upływu tygodni zaczęłam się lękać, że będzie tak aż do śmierci, usiłowałam wszakże stłumić ogarniającą mnie rozpacz, a przynajmniej ukryć ją przed ludźmi. Jedynie nocami, kiedy nikt nie widział, folgowałam swojej żalości. Matka nigdy by nie okazała żadnemu mężczyźnie, że udało mu się przywieść ją do łez, i tego samego spodziewała się po swojej córce. Powinnam być silna. Przyrzekłam więc sobie, że się nie załamie, że wytrzymam wszystko, dopóki łaskawy Bóg nie uwolni mnie z tej pułapki. I tak też w końcu się stało.

Już jednak wcześniej udało mi się wywalczyć trochę wolności. Pewnego ranka siedziałam z Chondamirem na tarasie — wymagał bowiem, abym mu towarzyszyła przy śniadaniu — jedząc jogurt i żałośnie małe pomarańcze. Dywan leżący na posadzce też wyglądał nędznie — był spłowiały i poplamiony. W nagłym przypływie odwagi zapytałam swojego niemilego męża, czy mogłabym się przejechać na którymś z jego wierzchowców.

— Ty na koniu? — zadrwił.

Głos miał dziwnie piskliwy jak na tak grubego mężczyznę.

— Umiem jeździć...

— Może jeszcze powiesz, że chcesz jechać nago? — Ten głupi wymysł musiał go rozbawić, bo zaczął rechotać, siejąc dookoła kawałkami nieprzeżutej pomarańczy.

Zdażyłam już przywyknąć do jego grubiaństwa, powiedziałam więc tylko:

— Mój panie, od tygodni nie widziałam nikogo z przyjaciół.

— No i co z tego? Czemuż to mnie mają obchodzić twoje głupie zachcianki?

— Bo jestem twą żoną, mój mężu.

Beknął głośno, marszcząc tłustą gębę.

— Skamlesz jak głupie dziecko i tym właśnie jesteś. Ani mniej, ani więcej. Czemu się czymś nie zajmiesz? Niechby był z ciebie jakiś pożytek! Lepiej o tym pomyśl!

— A ty... — zaczęłam i urwałam, bo nagle złękłam się tego, co by się ze mną stało, gdybym mu tak powiedziała: „A ty byś mi zrobił największą przyjemność, gdybyś się rzucił ze skały”. — ...mógłbyś więc dać mi coś do roboty — powiedziałam głośno — skoro uważasz, że się powinnam czymś zająć.

— Proszę bardzo! Ugotuj mi obiad.

Przełknęłam gniewną odpowiedź. Czyżby wszyscy mężowie myśleli, że ich żony nadają się tylko do gotowania ryżu? Z westchnieniem dojadłam resztę jogurtu, rozglądając się po posiadłości. Mimo znacznego bogactwa — liczne kopalnie srebra przynosiły mu niemały profit — mienie Chondamira było w kiepskim stanie. Dach domu wymagał naprawy, ogród zarośnięty był zieliskiem, koniom widać było żebra, a w murze otaczającym posiadłość niezliczone pęknięcia i wyrwy. Na co on wydaje te swoje rupie i złoto?

— Niech diabli porwą te pomarańcze! — warknął, mrużąc ptasie oczka. — Czemu są takie małe? Czy doprawdy wszystko co posiadam, musi nie mieć smaku?

Wiedziałałam, że ta uwaga dotyczy mojego zachowania w łóżu, udałam jednak, że nie pojmuję jej prawdziwego znaczenia.

— Może to wszystko wymaga trochę większej troski?

— Czyżbyś ty, kobieta, tak dobrze znała się na tym? Masz w tych sprawach takie doświadczenie?

— Czemu się złościś, mój panie? Powiedziałam wszak tylko, że twoje drzewa są bliskie śmierci. Każdy to widzi.

Obrócił się w krzesło, by spojrzeć na sad. Rosło tam wiele drzew — głównie jabłonie, pomarańcze, wiśnie i grusze — które teraz, w pełni lata, powinny się były uginać od mnóstwa dorodnych owoców, tymczasem owoce te były mizerne, a liście chorobliwie żółte.

— Masz ogrodnika, mój panie? — spytałam, podejrzewając, że pewnie jest na to zbyt skąpy.

— A po co? Jaki z takiego pożytek? Każdy potrafi podlać drzewa i zebrać to, co urosło. — Znów głośno beknął. — Tylko komuś z twoim rozumem może się wydawać, że to coś trudnego.

Wstałam od stołu z gwałtownie bijącym sercem, bo zaświtała mi nagle nadzieja. Spędziłam w ogrodach wiele czasu i byłam pewna, że wiem doskonale, od czego chorują te drzewa.

— Jeśli ci powiem, mój mężu, jak można ocalić twój sad, czy zechcesz spełnić mą prośbę?

— Jak śmiesz...

— Czy będzie to dla ciebie warte jednej przejażdżki na koniu?

Rąbnął w stół, chcąc zabić jakąś osę.

— Najwyżej na kucyku.

— Zawołaj więc swoje sługi.

W pałacach innych wielkich panów służba nosiła przyjemne dla oka ubrania, ale ludzie mojego męża mieli na sobie łachmany — połatane i zżarte przez mole. Gdy zebrali się koło stołu, wskazałam najmniejsze i najlichsze drzewko:

— Wyrwijcie je, proszę.

Popatrzyli na swego pana, a gdy ten, uraczywszy ich brzydkim przekleństwem, kazał zrobić, co powiedziałam, popędzili do sadu i ostrożnie wyjęli drzewko z ziemi.

— Chodźmy tam, mój panie — poprosiłam. W sadzie uklękłam obok wyrwanego drzewka i wetknąwszy palec w mokrą ziemię, powoli podniosłam go do nosa. Cuchnął czymś podobnym do padliny. — Czujesz? — spytałam Chondamira, podtykając rękę pod jego bulwiasty nochal pokryty gęstą siecią fioletowych żyłek. Cofnął się z grymasem wstrętu.

— No i co to ma znaczyć?

— To znaczy, mój panie, że drzewa dostają za dużo wody, od czego gniją im korzenie.

— No, no, kobieto, mam wyciągać z ciebie słowa? Gadaj, jak temu zaradzić!

Ależ z ciebie głupiec, pomyślałam z głęboką pogardą. Wszak to oczywiste.

— Przystańcie je podlewać przynajmniej przez dziesięć dni. Jeśli Bóg będzie ci życzliwy, po tym czasie powinny wydobrzeć.

Ryknął na służących, gromiąc ich za niewiedzę, po czym kazał przyprowadzić najstarszego ze swoich koni.

— Możesz jechać — burknął.

Nie posiadając się ze szczęścia, że uwolnię się od niego choć na chwilę, popędziłam do swej komnaty, gdzie przebrałam się w skromną brązową szatę. Pozdejmo wałam też całą swoją biżuterię. Znając chciwość Chondamira, pomyślałam, że lepiej nie zostawiać jej na widoku — wyjęłam z posadzki płytkę, wykopałam dołek i wrzuciłam tam swoje ozdoby. Płytkę wstawiłam na miejsce, a wykopaną ziemię wsypałam do jakiejś donicy.

Nie żegnając się z mężem, pobiegłam po konia. Zobaczyłam duże wychudłe stworzenie, mocno posunięte w latach, ale kiedyś musiała to być ładna klacz, i to dobrej krwi. Mimo że wyraźnie zagłodzona, głowę trzymała wysoko. Poglądziwszy ją po czole, spostrzegłam na jej grzbiecie bardzo kosztowne siodło.

— Powiedział, księżniczko, że koń ma być stary, lecz nic nie mówił o siodle — wyszeptał stojący przy koniu sługa.

Uśmiechnęłam się do niego i dosiadłam szkapy.

— Dziękuję, bardzo ci dziękuję — odrzekłam, wręczając mu jakąś monetę, która natychmiast zniknęła w fałdach znoszonej tuniki. — Przesuszcie dobrze te drzewa — dodałam — inaczej będziemy się mieć z pyszna, i wy, i ja.

Odwiązał konia i podał mi wodze.

— Kazał je podlewać dwa razy dziennie — oznajmił, nie kryjąc wesołości. Ja uśmiechnęłam się też całą gębą, pożegnałam miłego sługę i dotknęłam piętami chudych boków klaczy.

Jakby w ogóle nie czuła mojego ciężaru, lekko i chyżo ruszyła bitą, pełną kurzu ścieżką prowadzącą w stronę Czerwonego Fortu. Wiedziałam, że nie zastanę tam rodziców, cieszyłam się jednak, że zobaczę Ladli, której nie widziałam od dnia ślubu. Co u niej słyhać? I co się dzieje w imperium?

Jadąc, przyglądałam się mijanym domom i całemu otoczeniu — chyba jeszcze nigdy tu nie byłam. Siedziby najzamożniejszych zbudowane były z kostek piaskowca, biedniejsi musieli poprzestać na domach z mułu, drewna i słomy. Po obu stronach wysadzanej palmami ścieżki co parę

kroków siedzieli żebracy. Kilku pierwszym rzuciłam monety, lecz gdy następni zaczęli mnie ścigać, obdarzyłam ich już tylko dobrym słowem i puściłam konia galopem.

Ścieżka po pewnym czasie przekształciła się w drogę, na której roilo się od kupców, duchownych różnych wyznań i żołnierzy. Widząc zmierzającą na południe kolumnę wojowników w skórzanych pancerzach nabijanych żelaznymi ćwiekami, pomyślałam, że dążą zapewne na spotkanie z oddziałem ojca. Tylko niewielu nosiło muszkiety; większość uzbrojona była jedynie w łuki i strzały. Za ludźmi ciężko stapały słonie ciągnące wozy wyładowane tarczami, hełmami i innym wojennym sprzętem. Kilka tych olbrzymów wlokło czarne działa długie i grube jak człowiek.

Mijani wojacy spoglądali na mnie z niejakim zdziwieniem, gdyż kobieta na koniu, i to bez eskorty, stanowiła rzadkie zjawisko. Lecz choć byli to ludzie prości i twardzi, o twarzach gęsto poznaczonych bliznami, usłyszałam niewiele grubiańskich uwag. Poszukawszy wzrokiem dowódcy, zobaczyłam młodego kapitana, którego kiedyś poznałam. Na mój okrzyk skierował konia w moją stronę i po wymianie wzajemnych grzeczności zaczęłam go wypytywać o najnowsze wieści z południa. O co się toczy ta wojna? Odrzekł, iż zaczęła się ona od najazdu rebeliantów dekańskich na nasze przygraniczne ziemie. Dekan od dawna podejmował próby uniezależnienia się od imperium. Napastnicy podpalili zajęte przez siebie wioski, ograbili mieszkańców z ryżu, a ich dzieci pojмали w niewolę. Cóż, działo się to tak często, że kapitan nie chciał się nad tym rozwodzić. Tym razem jednak walki były bardzo zacięte i krwawe; musiało w nich paść wiele ofiar, skoro cesarz zażądał posiłków. Pożegnałam młodego dowódcę życzeniami powodzenia.

Im bliżej byłam Czerwonego Fortu, tym mniejszą zwracano na mnie uwagę. Nawet kupcy, którzy kiedy indziej na wyścigi zachwalali mi swoje towary, teraz patrzyli na mnie obojętnie — pewnie przez tę moją pospolitą szatę. Tylko jakiś bezzębny rzeźnik usiłował mnie zwabić do swojego kramu, gdzie wisiały wielkie połcie mięsa prawie niewidoczne pod rojami much. Czym prędzej odwróciłam głowę.

Dojeżdżając do cytadeli, byłam już trochę zmęczona. Na kamiennej pochylni pracowali niewolnicy, czyszcząc ją z łajna i myjąc. W większości musieli to być Hindusi, bo gdy rozległ się głos muezina, tylko garstka — w tej liczbie i ja — zaczęła się modlić, zwrócona twarzami ku Mekce. Modliłam się za tych napotkanych żołnierzy i za moją rodzinę; chciałam także poprosić Boga, żeby zrobił coś z moim mężem, odrzuciłam jednak tę pokusę. Nie wypada zwracać się do Niego z tak nieszlachetną prośbą.

Zostawiwszy strudzonego konia stajennemu, udałam się do pałacu. Ładli nietrudno było znaleźć: siedziała w cesarskiej kuchni, obierając marchew. Gdy mnie zobaczyła, nóż wypadł jej z ręki, a ona sama z piskiem zerwała się z miejsca. Starsza służąca już chciała zgromić swoją niedbałą pomocnicę, ale na mą prośbę zgodziła się dać jej wolne.

Pędem wybiegłyśmy z kuchni, pragnąc jak najszybciej znaleźć się z dala od ludzkich uszu, i po paru chwilach stanęłyśmy na szczycie jednego z potężnych wałów obronnych, skąd roztaczał się wspaniały widok na Agrę. Aż po rysujące się na horyzoncie pasmo łagodnych wzgórz widać było wciąż tylko tysiące domów, bazarów i meczetów. Ich strzeliste minarety wyglądały z tej odległości jak olbrzymie brązowe igły; musiały być takie wysokie, aby głos muezina niósł się jak najdalej i żeby duchowni nie mogli oglądać w okna okolicznych domów, gdyż widok kobiet odwoziłby ich od modlitw.

Dopiero z naszego miejsca na wałach można było dostrzec, że Agra ma kształt półksiężyca. Przy brzegu Dżamny wznosiły się pałace z kamienia i cegły otoczone bujnymi ogrodami. Im dalej od rzeki, tym biedniejsze stawały się stłoczone domy, a było ich tyle, co kropli deszczu podczas monsunu. Z roku na rok przybywało ludzi, tak że cesarska stolica liczyła już teraz ponad pięćset tysięcy mieszkańców, i wszystko wskazywało na to, że liczba ta będzie rosnąć.

Najdalej od rzeki, gdzie powietrze było najgorętsze, rozciągała się dzielnica nędzy, która z wysokości Czerwonego Fortu przypominała stary, strasznie brudny dywan. Nędzne lepianki i sklecone bryki jak szałas stały tu tak blisko siebie, że trudno było wypatrzeć biegnące między nimi ścieżki. Matka zabrała nas tam kilka razy, chcąc nam pokazać, jak żyją ludzie nie cieszący się łaskami losu.

Było to królestwo szczurów, brudu i chorób, przeniknięte odorem niemożliwym do opisania. Pólnagie dzieci polowały tam na szczury; najubożsi nędzarze żywili się tymi stworzeniami, piekąc je nad ogniem podsycanym zwierzęcym łajnem. Od samego patrzenia na owych bezdomnych biedaków krajało mi się serce; twarze i ciała pokryte mieli ropiejącymi wrzodami, na których żerowały roje much. Dowiedziałam się wtedy, że tysiące tych ludzi żyją pod gołym niebem, mając za posłanie tylko kupę gnijącego siana. Nieco szczęśliwsi mieszkańcy tej strasznej dzielnicy gnieździli się w resztkach starych domów; zbudowano je kiedyś z cegieł wypalanych z rzeczno mułu, lecz większość tych cegieł i drewna dawno już padła łupem złodziei.

— Oho, Śiwa nie próżnuje — odezwała się Ladli, przerywając moją zadumę.

Według hinduskich wierzeń wielki bóg Śiwa był niszczycielem świata, powołującym go później na nowo do życia. Bóg ten w rzeczy samej nie próżnował: słomiany dach którejś z ruder trawiły języki ognia. Zwróciłam się ku Mekce, by zmówić cichą modlitwę — po części na intencję ofiar owego pożaru, lecz po części i w sprawie mego męża. Teraz już nie mogłam odegnąć od siebie złych myśli. Widziałam, że i Ladli modli się do swoich bogów i że usta jej trzęsą się z żalu, chociaż podobnie jak ja przywykła do takich widoków. Uścisnęłam jej rękę.

— Brakowało mi ciebie. Bardzo.

Objęła mnie i uściskała z figlarnym grymasem na swojej brunatnej buzi.

— Jak to? Czyż pewien myszołów nie czyni cię szczęśliwą?

— Szczęśliwą? Jestem tylko kolejnym ochłapem dla jego niesytej gardzieli.

— Naprawdę?

Zapatrzyłam się w kolumnę dymu bijącą w blade niebo Hindustanu.

— Wiesz, Ladli, parę lat temu byłam na tym murze z rodzicami. Urządziliśmy sobie wycieczkę. Patrzyłam, jak ojciec i matka nawzajem karmią się wiśniami, spluwając pestkami na dół.

— Podniosłam jakiś kamyczek i posłałam go tą samą drogą. — Pomyśl, są razem już tyle czasu i nadal tak się kochają! Zawsze marzyłam, żeby i mnie los kiedyś pozwolił doświadczyć takiego szczęścia...

— Lecz marzenie się nie spełniło... — Głos Ladli utonął w nagłym ryku słoni. Na brzegu rzeki stali kręgiem jacyś mężczyźni, z pewnością wielcy panowie, bo tylko oni nosili takie bogate i tak kolorowe tuniki. Wszyscy trzymali w rękach długie włócznie, w środku kręgu zaś stały dwa słonie. Wiedziałam, co się zaraz zacznie. Będą dopóty dźgać tymi włóczniami zwierzęta, judząc jedno przeciw drugiemu, dopóki te dwa olbrzymy nie wpadną w szal. Nie chcąc patrzeć na to krwawe widowisko, spojrzałam w małe lusterko, które nosiłam na palcu, i znów pomyślałam o swych straconych nadziejach. Jakże pragnęłam pokochać takiego mężczyznę, któremu podobałaby się niedoskonałość moich rysów. W twarzy mej matki nikt by wprawdzie nie dojrzał nawet najmniejszej skazy — takiej jak choćby krzywy ząb czy jakaś plamka — ale nawet gdyby je miała, byłam pewna, że ojciec też by je uwielbiał. A ja... Mnie wydano za takie monstrum...

— Mój mąż — wyznałam cicho — uderzył mnie pewnej nocy, a potem kazał mi...

— Co ci kazał? — zawołała Ladli.

Nie mogłam jej tego powiedzieć; było to zbyt obrzydliwe.

— Nic. Ale czy możesz sobie wyobrazić mego ojca bijącego matkę? On by tysiąc razy wolał umrzeć, aniżeli zrobić coś takiego.

— Brudny pies! — warknęła Ladli. — Parszywy zawszony kundel, bękart najpodlejszej sukki!

Jej słownictwo zawsze pobudzało mnie do śmiechu; teraz też zaczęłam chichotać.

— Och, Ladli, cóż za kwiecista mowa!

— Gdybyś się urodziła tam gdzie ja...

— Ja też potrafię przeklinać. Jeśli chcę.

— No to przekonaj mnie, że umiesz!

— Jak?

— Powiedz, kogo poślubiłaś.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, czując, że nagle przestaje mnie obchodzić dobre wychowanie i jego nakazy.

— Kogo poślubiłam? Tłustą glistę przeżartą paskudną chorobą, z kawałkiem cegły zamiast mózgu i kupą gnoju zamiast domu!

— Nieźle jak na dobrze urodzoną — orzekła Ladli — ale stać cię na więcej. Poćwicz sobie trochę w jego obecności. Pomyśl na przykład, jakie zwierzę przypomina ci najbardziej ten twój obrzydły mąż.

— Czy ja wiem? Chyba dzikiego knura.

— O nie, w porównaniu z nim dzik jest zbyt mądry. On przypomina raczej ropuchę, najbrzydsze i najgłupsze ze wszystkich żyjących stworzeń. — Niecierpliwie szarpnęła sari opinające jej pełne piersi. Wyglądała w nim wspaniale, lecz wyraźnie nie lubiła tego stroju. — Miałabym ochotę wychłostać tego, kto to wymyślił — syknęła ze złością — albo kazać mężczyznom pochodzić w tym bodaj przez jeden dzień.

— Wyobrażasz sobie Chondamira w sari?

— Wolę nawet nie próbować, droga przyjaciółko — odrzekła ze zgrozą.

Parsknęłyśmy śmiechem. Zaczęłam rzucać kamykami na dół, Ladli zaś nadal próbowała rozluźnić nieposłuszne sari. Zauważyłam, że pożar zdążył się rozprzestrzenić: teraz już płonęło kilka ruder. Zmówiłam drugą modlitwę za ich nieszczęsnych mieszkańców. Nic innego na razie nie mogłam zrobić.

— Ladli — zaczęłam po chwili — czy mogę cię o coś spytać?

— Czyż nie od tego masz język?

— Czy ty i Dara... całowaliście się kiedyś?

Przez twarz jej przemknął uśmiech, ale zaraz zniknął.

— Bardzo bym chciała, lecz to niemożliwe, zwłaszcza odkąd poślubił tę swoją pięknotkę. Ale już wcześniej wiedziałam, że to dla mnie za wysokie progi.

Ślub Dary odbył się kilka tygodni przed moim. Jego żona wydawała się miłą kobietą, tak że nawet czasami trochę mu zazdrościłam.

— Miałaś może kogoś innego?

— Był taki jeden.

— Czy go znam? — Zaskoczyła mnie tym wyznaniem.

— A czy ja wiem, kogo ty znasz? Ale to raczej nieprawdopodobne. Jest synem zwykłego rybaka. Zabiera mnie na swoją łódź.

— Więc to trwa?

— A czemuż by nie?

— A jeśli to się wyda? Wtedy nikt się z tobą nie ożeni.

Ladli miała właśnie odpowiedzieć, ale spostrzegła biedronkę tuż koło mojej stopy. Podniosła ją ostrożnie, położyła na dłoni i stanęła bez ruchu, czekając, aż stworzonko odleci w bezpieczne miejsce. Po chwili podmuch wiatru uniósł je w powietrze.

— To mogła być moja prababka — zażartowała Ladli, choć nie było dla mnie tajemnicą, że sprawę reinkarnacji traktuje bardzo poważnie.

— Masz zamiar spotykać się nadal z tym chłopcem?

— Och, nikt się o tym nie dowie! Miałabym zachowywać cnotę dla jakiegoś starego capa?

Pomyślałam o swoich doświadczeniach. Nadal nie znajdowałam w nich nic przyjemnego, tyle że ból nie wydawał się już tak dotkliwy.

— Jak ci się to podoba? No wiesz... to co się między wami dzieje?

— Czasami ziemia zdaje się poruszać, a kiedy indziej wydaje mi się, że płynę po spokojnej rzece...

— Czujesz ból?

— Jak by ci to powiedzieć? Kiedy pijesz sorbet, smakuje on tak słodko, że chwilami wydaje się aż gorzki. Przyjemność też bywa czasami tak wielka, że graniczy z bólem.

Przypominając sobie cuchnące potem, niedźwiedzie uściski mego męża, ani rusz nie mogłam ich skojarzyć z takimi doznaniem. Jego karesy były mi tak wstrętne, jakby leżał na mnie pełny nocnik.

— Bądź ostrożna, Ladli — powiedziałam czule.

— Och, nie martw się o mnie, Dżahanaro! I wierz mi, twój los też się odmieni. Pewnego dnia spotkasz kogoś, kto sprawi, że i tobie ziemia się zatrzęsie.

— Mocno w to wątpię — odrzekłam smętnie.

Ladli podniosła wielką gąsienicę, by położyć ją z dala od naszych stóp.

— Mogłabyś ją podać swemu ropuchowi na wieczerzę — zachichotała.

— Pewnie by ją zeżarł. On stale coś żuje.

— To ją weź! Dodaj trochę curry i gotowe!

Uśmiechnęłam się do tej myśli. Wspaniale było tak sobie żartować z przyjaciółką, cóż, kiedy musiałam już wracać do domu. Uściskawszy się serdecznie, ruszyłyśmy w stronę kuchni.

Wtedy nawet nie przyszło mi na myśl, że Ladli może mieć rację, przepowiadając, iż spotkam wytęsknionego mężczyznę. Skąd mogłam wiedzieć, że ten, któremu miałam wkrótce oddać swe ciało i duszę, jest już w Czerwonym Forcie?

ROZDZIAŁ 5

Obietnica

Rodziców i braci zobaczyłam dopiero u schyłku lata. Nasi wojownicy odnieśli zwycięstwo nad zbuntowanym Dekanem i mieszkańcy Agry wylegli za miasto, żeby ich powitać. Wznoszono na ich cześć wiwaty, a z murów Czerwonego Fortu niosły się salwy armatnie. Wzięto setki jeńców, którzy skuci łańcuchami, mając na sobie tylko brudne przepaski biodrowe, brnęli teraz chwiejnie na czele pochodu. Wielu tych nieszczęśników odznaczało się krzepką budową ciała, mogli więc osiągnąć wysokie ceny na targu.

Chondamir z wielką uwagą śledził przechodzących jeńców — w jego kopalniach brakowało ludzi. Zamierzał już nazajutrz jechać skoro świt do fortu, żeby wybrać sobie niewolników, nim rozpocznie się cesarska aukcja. Słyszałam, jak słudzy szepczą między sobą, że ma cichą umowę z jakimś wojskowym, dzięki czemu zawsze kupuje najlepszy towar.

— Żalodne stworzenia, nieprawdaż? — skonstatował, napychając sobie gębę kolejną garścią fistaszków. Siedział na roslym i dziarskim ogierze, ja zaś na starej szkapie, ale co tam! Byłam zadowolona, że zabrał mnie z sobą, choć wiedziałam, że zrobił to tylko dlatego, żeby się mną pochełpić. Kazał mi włożyć najlepsze szaty i najpiękniejsze klejnoty — rzekomo na cześć zwycięzców.

— Ci jeńcy wyglądają na mocno strudzonych — odrzekłam, bo choć byli naszymi wrogami, szczerze im współczułam. Byli wśród nich ranni, a wszystkim straszliwie doskwierał upał; świadczyły o tym ich lśniące od potu ciała, zwieszane głowy i chwiejne kroki.

— Niech no sobie przez miesiąc popracują w moich kopalniach! — zarechotał mój tłusty mąż. — Zobaczysz, jak wtedy będą wyglądali! Śmierdzący tchórze! Powinni byli zginąć na polu walki!

Miałam ochotę powiedzieć, że sam nigdy nie oglądał pola walki, więc to on jest śmierdzącym tchórzem, ale ugryzłam się w język.

— Może wpadli w zasadzkę?

— Bredzisz, głupia kobieto! Na wojnie nie ma zasadzek. Na wojnie trzeba patrzeć wrogowi w oczy, rąbać go i zabijać! Ale skąd ty możesz o tym wiedzieć? To, że znasz się trochę na drzewach, jeszcze nie czyni cię mądrą.

Nie było sensu marnować dla niego śliny. Zaczęłam przeczesywać wzrokiem szeregi w poszukiwaniu znajomych twarzy. Nie było to łatwe, gdyż wszyscy nosili hełmy, a strumień pieszych

żołnierzy maszerujących tuż za jeńcami zdawał się nie mieć końca. Za nimi szły setki słońi, ciągnąc działa i wozy wyładowane wojennym łupem, worami ziarna albo rannymi. Na karku każdego z tych zwierząt siedział malutki człowieczek zwany kornakiem, uzbrojony w wygięty u końca pręt, którym kierował słońiem, szarpiąc go za uszy.

Zaczynałam już bać się, że przegapiłam swoją rodzinę, gdy wreszcie ujrzałam cesarskie proporce. Bębniąc palcami po łąku siodła, zaczęłam niecierpliwie wypatrywać ojca. Jest! Wracając z takich wypraw, miał zwyczaj jechać na największym słońiu. Olbrzym ten oprócz kornaka dźwigał na grzbiecie drewnianą platformę. Ojciec siedział właśnie na takiej platformie wyłożonej jedwabną poduszką, mając nad głową ozdobny parasol. Przy jego udzie błyszczał złotem muszkiet.

Przed i za jego słońiem szły białe ogiery, których dosiadali moi bracia. Konie te miały na sobie przepiękne, podobne do derek okrycia ze skóry i stali. Farbowano je zwykle na jasne kolory i nabijano ćwiekami z miedzi bądź srebra i złota. Umieszczone pod siodłem, osłaniały one grzbiet i końskie boki. Pyski wierzchowców chroniły żelazne maski z otworami na oczy.

Zacząłam radośnie machać rękami, co widząc Dara wyłamał się z szyku i skierował konia w moją stronę. Tłum, w którym przeważali wieśniacy w nędznych łachmanach, rozstał się przed jego potężnym ogierem. Rzuciwszy jałmużnę kilku żebrakom, mój brat zdjął z głowy złocony hełm i otarł pot z czoła. W swojej stalowej kolczudze nabijanej srebrnymi kolcami wydawał się pewnie owym nędzarzom postacią z innego świata.

Zgodnie z etykietą przywitał się wpierw z moim mężem — i zaczęli rozmawiać o wojnie. Wiedziałam, że ogromnie chciałby mnie uściskać, ale w obecności Chondamira nie mógł sobie na to pozwolić. Powiedział tylko z uśmiechem:

— Twój widok, Dżahanaro, cieszy moje serce.

Ja też pragnęłam go objąć, cóż, kiedy taka demonstracja uczuć rozwścieczyłaby pewnie mego męża, siedziałam więc bez ruchu, tylko moje palce bez przerwy bębniły po łąku.

— Brakowało mi ciebie, mój bracie — odrzekłam. — Gdzie nasza matka?

— Gdzieś wśród tylnej straży. Chciała jechać konno, ale dziecko już wkrótce ma się urodzić, więc ojciec nakazał jej zostać w lektyce. — Mówiąc to Dara zmrużył oko: oboje wiedzieliśmy przecież, że ojciec nigdy i w żadnych okolicznościach nie wydaje rozkazów swojej ukochanej żonie.

— Mogę ją odwiedzić? I ciebie?

Mój brat odsłonił w uśmiechu zęby, które po brunatnych zębach Chondamira wydały mi się nienaturalnie wprost białe.

— Nasz ojciec urządza jutro kamargah na cześć zwycięstwa. Spotkajcie się zatem z nami późnym rankiem w tym miejscu nad rzeką co zawsze. Będzie tam stał nasz namiot. Możemy wspólnie spędzić cały dzień.

— Nie zamierzasz brać udziału w polowaniu? — spytał z niedowierzaniem Chondamir. Kamargah cieszył się ogromną popularnością wśród bogatych arystokratów.

— Zabijanie przerażonych zwierząt nie jest moją ulubioną rozrywką.

— Jest nią dla większości wojowników — oświadczył Chondamir. — Dla mnie również.

— Baw się więc, mój szwagrze. Ja w tym czasie pogawędzę z twoją śliczną żoną.

Mój mąż chrząknął szyderczo — dla niego wcale nie byłam śliczna. Dara zeszywniał niepewny, czy powinien poczytać to za obrazę. Miałam nadzieję, że wystąpi w obronie mej urody, ale on szybko nas pożegnał i pospieszył na swoje miejsce w kolumnie. Wojsko wkraczało już do Agry i większość dobrze urodzonych zaczynała wracać do swoich siedzib, co widząc Chondamir też zawrócił konia. Ruszyłam za nim radośnie podekscytowana perspektywą rychłego spotkania z rodziną.

Wieczorem trudno mi było nie wiercić się przy kolacji, zdołałam jednak ukryć to przed Chondamirem, a kiedy nocą wpuścił już we mnie swoje wstrętne soki, udało mi się wyrzucić go całkiem z pamięci. Tak niecierpliwie czekałam świtu, że niewiele spałam tej nocy. Myślałam o matce. Pragnęłam dotknąć jej brzucha, pogadać o sprawach imperium. Strasznie mi tego brakowało.

O świcie byłam już na nogach, by przygotować mężowi śniadanie. Zjadł je, mrużąc coś niechętnie — i od razu poszedł po konia, tak pilno mu było już jechać. Tym razem dostałam przyzwoitego wierzchowca. Nasza służba miała iść pieszo. W jukach wieźliśmy koce i całą górę prowiantu. Chondamir uzbrojony był w łuk, a u boku dyndał mu miecz. Podczas kamargahu rzadko używano muszkietów; z broni palnej zbyt łatwo było uśmiercić zwierzynę, więc myśliwi nie mogliby się wykazać swoimi umiejętnościami.

W czasie podróży nad rzekę nie zdarzyło się nic szczególnego. Chondamir zjadł po drodze całą pieczoną kaczkę, popijając ją arakiem. Arak to mocny trunek ze sfermentowanego ryżu, mela-sy i soku z palmy. Kiedyś go skosztowałam i gdybym nie wiedziała, co to takiego, mogłabym pomyśleć, że to płynny ogień. Mój małżonek jednakże lubił się nim raczyć, i czynił to bez umiaru. Czasami wlewał go w siebie dopóty, dopóki się nie upił do nieprzytomności, zapaskudziwszy wpierw siebie, mnie zaś obrzuciwszy stekiem wyzwisk. W czasie podróży nie raczył prowadzić ze mną konwersacji, a gdy ja także nie zamierzałam jej wszczynać, syknął ze złością:

— Każda żona, która jest coś warta, spytałaby swego męża, jak się czuje!

— A jak się czujesz, mój panie, tego pięknego ranka? — spytałam z udaną słodyczą.

Rzucił we mnie na wpół ogryzionym kaczym udkiem i spał ostrogami konia. Poklepałam swojego po szyi i zaczęłam cicho sobie nucić, rozglądając się po okolicy. Słońce obojętne na ludzkie sprawy wspięło się już nad horyzont. Posuwaliśmy się w górę rzeki, gdzie Dżamna stawała się coraz węższa, a jej nurt coraz bystrzejszy. Drzew rosło tu więcej niż w Agrze — sterczały w nierównych odstępach jak źle ostrzyżone włosy — a między nimi falowała gruba stepowa trawa, wśród której musiało żyć sporo zwierzyny. Na razie spostrzegłam tylko trzy jastrzębie zataczające powolne koła.

Dotarliśmy do obozu późnym rankiem. Tym, co z daleka rzucało się w oczy, było wielkie okrągłe ogrodzenie zbudowane z wiązek wysokich gałęzi, sięgających wzrostu rosłego mężczyzny, powiązanych ze sobą mocnymi sznurami. Otaczało ono tak rozległą przestrzeń, że przejście z jednego jej końca na drugi trwałoby dłużej niż ugotowanie jajka. W samym środku kręgu stał cesarski namiot, którego strzegł drugi płot, o wiele niższy, lecz jeszcze mocniejszy.

Jak zwykle podczas takich łowów tysiące żołnierzy rozstawionych po okolicy z wolna posuwały się ku sobie, bijąc w bębny i coraz to bardziej zacieśniając pierścień nagonki. Chodziło o to, by zagnać zwierzęta do owej kolistej zagrody przez któryś z kilku obszernych otworów. Kiedy już tam wpadły, wejścia zamykano i zaczynało się polowanie.

Widywałam już takie polowania i nie sprawiły mi one żadnej przyjemności. Mężczyźni szyli z łuków do jeleni, a tresowane gepardy ściagały zranione sztuki. Zależnie od wielkości zagrody kamargah mógł trwać od jednego do kilku dni. Ta obecna była mniejsza od oglądanych przeze mnie poprzednio, co oznaczało, że ojciec nie zamierza tu spędzić zbyt wiele czasu. Wcale mu się nie dziwiłam. Z południa i północy zagrażał nam nieprzyjaciel, miał więc na głowie ważniejsze sprawy, a polowania bynajmniej nie były jego pasją. To dzisiejsze miało być nagrodą dla żołnierzy i nobilów, którzy osobiście brali udział w wojnie bądź uczestniczyli w jej kosztach. Wszyscy ci ludzie lubowali się wszak w zabijaniu.

Dara pod wpływem hinduskich wierzeń, że odradzamy się w różnych wcieleniach, że więc ścigany lis może być którymś z przodków myśliwego, nie uczestniczył w takich zabawach. Podzielałam jego niechęć do polowań i wcale się nie wstydziłam, że mój brat będzie pewnie jedynym mężczyzną w namiocie. Zsiadłam z konia i życząc Chondamirowi powodzenia w łowach, udałam się do pawilonu.

Rzeczywiście zastałam tam Darę; zajęty studiowaniem jakiegoś sanskryckiego tekstu machinalnie wkładał do ust kulki smażonego koziego sera. Niewielu muzułmanów znało sanskryt, starożytny język świętych ksiąg hinduskich, lecz mój brat postanowił opanować go do perfekcji. Obok Dary spoczywała matka z brzuchem jak wielki arbuz. Czym prędzej zdjęłam sandały i popędziłam do niej, omijając liczne półmiski z jedzeniem i pełne napojów puchary.

— Ależ jesteś gruba! — wykrzyknęłam z podziwem, kładąc rękę na jej twardym brzuchu. Kiedy przytuliła mnie do siebie i poczułam znajomą woń piżma, omal się nie rozplakałam.

— Och, Dżahanaro, jakże za tobą tęskniłam! — westchnęła.

— Czemu wyjechałaś na tak długo? — Przed oczami stanęły mi nagle te okropne tygodnie w domu Chondamira. — Nie tylko ojcu jesteś potrzebna! — Brzmiało to jak skarga małego dziecka, lecz moja miłość do matki czyniła mnie od niej zależną. Byłam jak szczeniak, którego trzeba nieustannie karmić, a tu jego żywicielka zniknęła!

— Stało się coś złego? — spytała.

— Moje małżeństwo, matko.

— Doprawdy? — wyszeptał ze zdziwieniem Dara. Oprócz nas w namiocie było kilka kobiet.

— Niektórzy ludzie są o wiele mniej szlachetni, niż myślisz — odszepnęłam. — Nie wszystkich los nagroził tak szczęśliwym związkiem jak twój. — Uwielbiałam swego brata, lecz jego naiwność wprawiała mnie czasami w irytację. — Może gdyby Bóg nie pobłogosławił cię tak dobrą żoną, lepiej byś rozumiał moje położenie.

Dara odłożył książkę.

— Chondamir źle cię traktuje? Wczoraj zachowywał się całkiem poprawnie. Czy on...

— Proszę cię, przestań! — Miałam przekonywać go o tym, co było tak oczywiste, że sam powinien to widzieć?

Matka ścisnęła mi rękę.

— Jesteśmy już przy tobie, Dżahanaro. Niezmiernie mi przykro, że to małżeństwo okazało się dla ciebie taką ciężką próbą. Bóg mi świadkiem, że nie takie były nasze intencje. Powiedz, w jaki sposób możemy ci pomóc.

Wyprostowałam się nagle z obawy, że może mnie uznać za słabą, żalostną istotę. Ona sama miała w sobie tyle niespożytej siły! Nie chciałam, by pomyślała, że przedkładam własne szczęście ponad obowiązek. Wszak i ją wydano za mąż w taki sam sposób jak mnie. Jeśli chcę zasłużyć na uznanie matki, nie powinnam nigdy się skarżyć, choćbym nawet cierpiała najgorsze męki. Napiłam się słodkiej lemoniady, którą przyniosła nam właśnie służąca, i poprosiłam spokojnie:

— Opowiedz mi lepiej, jak było na południu. I jak się miewa dziecko? — Mówiąc to, dotknęłam jej brzucha.

— Skacze jak małpka! — zaśmiała się matka. Położyła mi na czole kawałek mokrego płótna, a potem czułym gestem poprawiła sznur pereł, który nosiłam na szyi.

— Czy to cię boli, gdy skacze?

— Nie, wcale, ale to bardzo dziwne uczucie, nawet po tylu ciążyach.

Wiedziałam, że mimo swych niezwykłych zainteresowań politycznych matka jak każda kobieta lubi być przy nadziei i cieszy się każdym kolejnym dzieckiem. Czy ze mną będzie tak samo? Czy potrafię być troskliwą matką i zarazem kobietą szanowaną przez mężczyzn za jej rozum? Może taką pozycję jest w stanie osiągnąć jedynie małżonka cesarza?

Głos matki przerwał mi te rozmyślenia.

— Pytasz, jak było na południu. Walki były bardzo zacięte. Wiele z nich oglądałam na własne oczy. — Mówiąc to, jakoś dziwnie zerknęła na Darę. Miałam wrażenie, że zdarzyło się coś takiego, o czym oboje wolą mi nie mówić. Pobudziło to moją ciekawość.

— Ty mi powiedz, Daro, co się stało.

W jego zwykle pogodnych oczach odbiły się dziwnie gwałtowne emocje. Zaczął mówić i urwał; dopiero na znak matki wykrztusił:

— Ja... zabiłem człowieka...

Nie wiedziałam, co mu mam powiedzieć. On przecież tak cenił życie! Bardziej niż którykolwiek ze znanych mi ludzi.

— Och, Daro... — wymamrotałam.

— Kula z mojego muszkietu przebiła biedaka na wylot.

— Strasznie mi przykro...

— Mnie także. Zarówno dlatego, że zabiłem ludzką istotę, jak i z powodu tego, co tam oglądałem.

— A co tak strasznego widziałeś?

— To jak poczynał sobie nasz brat.

— Aurangzeb?

— Tak. — Dara jął nagle wyrzucać z siebie słowa, jakby już nie był w stanie ich powstrzymać, jakby pękła w nim jakaś tama. — Walczył na pierwszej linii, wśród żołnierzy... Z ziemi wznosiły się obłoki kurzu... panował straszliwy hałas... Słonie ryczały z przerażenia... i te działa...

— Przerwał na chwilę, by otrzeć pot z czoła. — Byłem oszołomiony, trudno mi było myśleć. I nagle zobaczyłem Aurangzeba. Prowadził ludzi do ataku, a oni szli za nim, gotowi na śmierć. Och, i umierali! Przedarli się jednak przez linię wroga, choć okupili to morzem krwi... Tylu ich padło...

— Może opowiesz mi to innym razem, gdy...

— Och, Dżahanaro, gdybyś widziała naszego brata! W pewnej chwili ściął dwóch ludzi jednym uderzeniem miecza, a w następnej opuścił ostrze i zwrócił się twarzą do Mekki, bo nadeszła akurat pora modłów. Dookoła umierali ludzie, słonie dostawały szału, a on z wprost nieludzkim spokojem recytował te swoje modlitwy. Kiedy je zakończył, ze wzmożoną energią rzucił się znów w wir walki. A potem kazał obciąć głowy zabitym nieprzyjaciołom i usypać z nich wielką stertę...

— Tak, to okrutne — wtrąciła matka — ale nasi żołnierze pokochali go za to, a wrogowie uciekli w popłochu.

— To prawda, ludzie go kochają — powiedział Dara takim tonem, jakby dla niego była to rzecz niepojęta. — Skandowali jego imię i składali Bogu dzięki za takiego wodza. Dobrał sobie oddział z samych muzułmanów, a hindusów odesłał pod moje rozkazy. Byli z tego radzi.

— Ojciec zaakceptował ten podział? — Zadając to pytanie, usłyszałam z oddali głuchy łoskot bębnów. Zbliżała się nagonka.

— Ojciec pragnie zgody między nami i naszymi hinduskimi Przyjaciółmi, ale nie chce hamować Aurangzeba... Nie zamierza Przykracać mu cugli...

— I słusznie — orzekła matka. — Wie, że jego siłą są synowie. Ciebie, Daro, uwielbiają artyści i politycy, żołnierze zaś garną się do Aurangzeba. Uważam, że to dobra kombinacja.

Bardzo rzadko nie zgadzałam się z jej zdaniem, ale teraz tak właśnie było. Mimo to nie chciałam wyrażać swojego sprzeciwu. Postanowiłam natomiast choć trochę pocieszyć Darę.

— Dobrze zrobiłeś, bracie, zabijając tego wojownika. Lepiej dla mnie, że to on poniósł śmierć, a nie ty.

Podziękował mi za te słowa i zaczął szeptać modlitwę, zwrócony twarzą na zachód. Łoskot bębnów stał się teraz tak ogłuszający, że wyjrzałam z namiotu. Na ogrodzony teren zaczynała wbiegać spłoszona zwierzyna. Z początku była to tylko para gazel, ale po nich ujrzałam tygrysa, garstkę antylop i stadko zajęcy. Po chwili już dziesiątki oszalałych zwierząt jęły na oślep gnać w kółko. Tłum konnych mężczyzn wznosił okrzyk triumfu, wrota zostały zamknięte i rozpoczęły się jatki. Mój mąż bał się chyba stratowania, bo nie zsiadając z rumaka, z daleka wypuszczał strzały. Kiepski był z niego strzelec, gdyż wszystkie chybiały celu.

Mój ojciec i bracia posiadali z koni. Szah i Murad pobiegli za dzikiem, szyjąc z łuków w jego zbroczone krwią boki. Ojciec stał w miejscu z podniesionym łukiem, najwyraźniej jednak nie kwapił się do zabijania. Aurangzeb natomiast krok po kroku posuwał się tam, gdzie panował największy zamęt. Całą tunikę miał ochlapaną posoką, a jego krzywy miecz podnosił się i opadał, zataczając po drodze mordercze kręgi. Wszystko co żywe padało przed nim pokotem. Spostrzegłam, że tygrys zbiera się do skoku, lecz mój brat rzucił się naprzód jak kobra i błyskawicznym ruchem podciął gardło wspaniałemu kotu. Wielkie zwierzę padło, nie wydając dźwięku.

Poczułam, że robi mi się słabo, cofnęłam się więc do namiotu i znów usiadłam przy matce, opierając głowę o jej brzuch. Wydawało mi się, że słyszę bicie serca dziecka, ale mógł to być odgłos bębnów.

— Boisz się rozwiązania? — zapytałam.

— Trochę — odrzekła — choć urodziłam już tyle dzieci. Chcę, żebyś była przy mnie, Dżanaro — dodała, poprawiając złotą broszę przy moim hidżabie.

— Powiesz to memu mężowi?

— Z tego jak o nim mówiłaś, domyślam się, że pewnie nie spełniłby mojej prośby, ja zaś powiedziałabym mu bez ogródek, co o nim sędzę. — Uśmiech matki mówił wyraźnie, że nie byłoby to nic miłego. — Twój ojciec sobie z nim pogada. I wierz mi, gdziekolwiek będę podczas rozwiązania, ty pojedziesz ze mną.

— Naprawdę? Ucałowała mnie w policzek.

— Twoja obecność pomoże mi łatwiej znieść ból.

Gdybym wtedy wiedziała, co ją czeka, nie wypuściłabym jej z Czerwonego Fortu. Może by nie doszło do nieszczęścia?

Dziecko postanowiło przyjść na świat w porze monsunu. Matka przebywała wtedy wraz z ojcem w górnym Dekanie, w mokrym i błotnistym Burhanpurze. Nasi wrogowie zaczęli brać odwet za ostatnią klęskę, tak więc cesarska armia pomaszerowała znowu na południe, aby bronić naszych interesów. Staralam się wyperswadować matce tę wyprawę, cóż, kiedy się uparła. Rodzice prawie nigdy się nie rozstawali, dlatego w żaden sposób nie mogła pogodzić się z myślą, że ma zostać w Czerwonym Fortcie, kiedy ojciec jedzie na wojnę.

Czas rozwiązania był bliski, więc i ja pojechałam z nimi. Chondamir trochę protestował, ale znacznie słabiej, niż mogłam przypuszczać. Zaczęłam nawet podejrzewać, że jest całkiem zadowolony z mojego wyjazdu — będzie mógł teraz použíwać sobie do woli. W mojej obecności jego kobiety czuły się zawsze trochę nieswojo. Były to zazwyczaj dobrze wychowane kurtyzany, które naprawdę nie chciały obrażać cesarskiej córki.

Burhanpur okazał się nędznym miastem, które nie znało prawie nic prócz wojny, a jego mieszkańcy jeśli nie walczyli, to przygotowywali się do walki. Obozowaliśmy poza jego granicami na ogromnym polu pszenicy. Mój ojciec wzorem swoich poprzedników prowadził większe wojny ze swych tymczasowych stolic. Teraz też pod Burhanpurem powstało miasto namiotów liczące kilkaset tysięcy ludzi — zarówno mężczyzn, jak kobiet. Znajdowała się tam trudna do wyobrażenia mnogość bazarów, zbrojowni, szpitali i świątyń. Był nawet harem. Toteż oprócz mnóstwa wojowników na wyłożonych sianem uliczkach owego osobliwego miasta roilo się od duchownych, konkubin, kupców, kowali, kucharzy, artystów oraz urzędników. Na peryferiach mieściły się stajnie z dziesiątkami tysięcy zwierząt — słoni, wielbłądów i koni. By przemierzyć to miasto z jednego krańca na drugi, trzeba było dobrych paru godzin. Po zakończeniu wyprawy cały ten majdan ładowano na wielkie wozy i wieziono z powrotem do Agry, gdzie go magazynowano — do czasu następnej wyprawy.

W samym środku owej ruchomej stolicy rozpościerał się cesarski namiot, który mógłby śmiało uchodzić za pałac. Jego czerwone ściany miały wysokość słonia stojącego na tylnych nogach, a długość owej budowli podobnej do wielkiego puzdra liczyła dwie setki kroków. Ten prawie pałac zapewniał nam wszelkie możliwe wygody.

Podczas gdy ojciec od świtu do nocy konferował ze swymi doradcami w przyległym do namiotu pawilonie, my z matką siedziałyśmy beczynnie na miękkich jedwabnych poduszkach, pod którymi leżał kaszmirowy dywan, nad słuchując z niepokojem odgłosów toczących się bitew. Wolałabym rzecz jasna słuchać śpiewu ptaków, klęcząc w słońcu na jakiejś skale, cóż, kiedy tutaj można było tylko o tym marzyć. W ciągu dnia bez przerwy towarzyszył nam huk dział, nocą zaś krzyki rannych, toteż większość nocnych godzin upływała nam na modlitwie.

Służba nieustannie paliła pałeczki z drzewa sandałowego, by stłumić nieznośne obozowe wonie, ale nic to nie pomagało. Ilekroć uchylono klapy namiotu, smród natychmiast wdzierał się do środka. Woń przemokniętego siana mieszała się w nim z odorem niemytych żołnierskich ciał, rozkładających się zwłok i gnijących ran. W okolicznych szpitalach cierpiały setki rannych, i to nie tylko ludzi, lecz także bojowych rumaków i słoni. Zwłaszcza słonie świadczyły) naszej armii niezwykle ważne usługi, nie szczędzono więc trudu, aby wyleczyć ich rany.

Przez te wonie, dźwięki i widoki było to chyba najgorsze miejsce dla narodzin dziecka, a my, kobiety, niewiele mogłyśmy zrobić, by położyć kres zabijaniu. Mogłyśmy tylko się modlić i łagodzić nasz smutek myślą o nowym życiu rozwijającym się w łonie mej matki.

W drugim tygodniu naszego pobytu w Burhanpurze matce odeszły wody, wezwano więc natychmiast cesarskiego medyka, który podczas takich wypraw zawsze towarzyszył ojcu. Były przy niej też trzy akuszerki, jak również ojciec i ja. Mężczyźni rzadko bywali świadkami narodzin swych dzieci, ale ojciec powiedział mi kiedyś, że dla niego są to najszczęśliwsze chwile życia i że zawsze on pierwszy witał nas wszystkich na świecie.

Wieczór był zimny i wietrzny, wkrótce też rozpętała się gwałtowna burza z ulewnym deszczem, tyle że raz chociaż umilkł odgłos dział. Matka podparta poduszkami leżała na stosie derek. Obok niej w srebrnej misie dymiała gorąca woda. Lekarz, zbadawszy jej puls, kazał służbie przynieść czyste płótno, na którym porozkładał swoje instrumenty. Wszystkie były ze stali, a jeden z nich przypominał dwie połączone chochle. Uczestniczyłam już w paru porodach matki, nie denerwowałam się więc zbytnio. Ona też mimo bólu wydawała się nawet bardziej radosna niż zwykle i wyglądała przepięknie, choć nie miała na sobie klejnotów.

— Czasami ich nienawidzę — zwierzyła mi się, gdy jej to powiedziałam — ale diamenty oznaczają władzę, a bez władzy straciłabym wartość.

Znów pomyślałam, że nigdy jej nie dorównam. Niemożliwe, bym kiedykolwiek mogła być tak piękna i tak kochana. Ucałowałam ją w czoło i razem z ojcem uklękłam przy jej pośłaniu.

— Zaczyna się — wyszeptała, gdy targnął nią pierwszy skurcz.

Na jej czole mimo chłodu pojawiły się kropelki potu. Lekarz wziął ją za rękę i jął liczyć uderzenia pulsu. Naliczył ich dwieście dziewięćdziesiąt pięć. nim nadszedł następny skurcz. Był silniejszy od pierwszego. Medyk obmacał teraz brzuch matki. Był starym człowiekiem z brodą sięgającą piersi; trochę też utykał. Przyjął więcej porodów, niż bawół ma kleszczy, lecz wydawał się chory z niepokoju — tym razem było to cesarskie dziecko!

— Jak go nazwiemy? — spytał ojciec, odgarniając z twarzy matki luźne pasmo włosów.

— Jego?

— Tak mocno kopie, że to musi być chłopak. A twój brzuch, najmilsza, jeszcze nigdy nie był taki wielki.

— Moglibyśmy... — zaczęła i urwała, zagryzając wargi. — Moglibyśmy — podjęła, odechnąwszy głęboko kilka razy — dać mu imię po jakimś artyście. Dość mamy w tym kraju imion wojowników i cesarzy.

Medyk podał jej kubek jakiegoś naparu.

— Wypij to, pani. Ten napój przyniesie ci ulgę. Podziękowała mu i wypila, mocno się przy tym krzywiąc. Napar musiał być bardzo gorzki.

— Czy to trucizna, która mnie zabije? — spróbowała zażartować.

— Uśmierzy jedynie ból.

Mijały godziny. Skurcze stawały się coraz częstsze. Matce z każdą chwilą trudniej było zmagać się z bólem; z jej oczu płynęły łzy.

— Chciałbym wziąć na siebie twoje cierpienie — czule wyszeptał ojciec. — Zrobiłbym wszystko, by cię od niego uwolnić.

Otarłam jej czoło z potu.

— Czy to prawda, że najgorszy jest pierwszy poród?

— Chciałabym, żeby tak było — zdołała tylko wyszeptać i zaczęła jęczeć. Ojciec wzdrygnął się cały, jakby naprawdę dzielił z nią tę mękę. Poprosiła, by włożyć jej coś do ust, a gdy dałam jej kawałek płótna, mocno zacisnęła na nim zęby. Teraz bóle nadchodziły jeden po drugim, a jej jęki zaczęły przeradzać się w krzyki.

— Czy widzisz już dziecko? — niecierpliwie zapytał ojciec. Jego głos utonął w huku gromu.

— Tak, widzę nóżkę — odrzekł medyk. — To znaczy — wyjaśnił, gdy spytałam go, czy to dobrze — że dziecko stara się pozostać w łonie. Nie jest jeszcze gotowe do przyjścia na świat.

Matka krzyknęła przeraźliwie, chwyciłam ją więc za rękę.

— Już niedługo, matko, to zaraz się skończy — zaczęłam ją pocieszać, błagając zarazem Boga, aby zechciał ulżyć jej cierpieniom.

— Nasz syn już się rodzi! — zawołał ojciec. — Pomyśl, jaka to będzie radość, kiedy wreszcie przyjdzie na świat! Och, aż do rana nie wypuszczę was z objęć!

Próbowała coś powiedzieć i nie mogła.

— Nie możesz jej czegoś dać? — krzyknął desperacko ojciec.

— Zbyt duża dawka jest niebezpieczna — odrzekł stary medyk — ale dam jej jeszcze parę kropel. — Gdy wlewał matce napar do ust, spostrzegłam, że krwawi jej język. Na twarzy tak zwykle pogodnej zastygł grymas nieznośnego bólu. — Musisz mocniej przecć, pani — powiedział medyk, usuwając spomiędzy jej nóg przesiąknięte krwią płótno. — Postaraj się, proszę.

— Nie mogę!

— Przyj, pani! Mocniej!

Z krzykiem próbowała to zrobić. My z ojcem trzymaliśmy ją pod pachy. Przerazone akuszerki czym prędzej przyniosły świeżą wodę.

— O, wielki Allahu — zaczął modlić się ojciec — pozwól jej szybko urodzić, a zbuduję Ci przepiękny meczet! Przrzekam, że nakarmię i odzieję Twych biednych!

Ja także błagałam Boga o łaskę, lecz odpowiedziały mi tylko jęki udręczonej matki i gwałtowny łoskot piorunów. Zdesperowany lekarz zaczął znów ją błagać, by zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek, gdy jednak buchnęła z niej krew, barwiąc świeżą wodę na czerwono, wsunął w nią rękę, próbując obrócić dziecko. Z rozpaczliwą nadzieją czekałam na krzyk noworodka — na próżno.

— Co się dzieje? — Ojciec zerwał się z klęczek i stanął obok medyka.

— Dziecko źle leży i jest tak duże, że nie mieści się w kanale rodnym. Próbując się przezeń precisnąć, rozdziera matkę, która wykrwawi się przez to na śmierć.

— Więc ją od niego uwolnij!

Krzyk matki osłabł, a jej oczy zaczęły biegać nieprzytomnie.

— Zróbcie coś! — krzyknęłam. — Trzeba ją ratować! Ojciec odsunął starego człowieka i ukląkł u stóp posłania.

— Mów, co mam czynić! — Słuchając wyjaśnień lekarza, w jaki sposób ma obrócić dziecko, pozdejmował pierścienie i teraz on ostrożnie wsunął rękę w ciało matki. Twarz miał ściągniętą z napięcia. Jemu również nie udało się obrócić dziecka, lecz nagle ono samo wyskoczyło na zewnątrz jak z procy — z szyją owiniętą ciasno pępowiną. Było śliczne, ale całe zakrwawione i wy-

dawało się martwe. Ojciec ostrożnie odłożył je na bok. — Zatamaj tę krew! — krzyknął na medyka. Ten usiłował to zrobić, cóż, kiedy świeże płótno natychmiast poczerwieniało.

— Przykro mi, mój panie — wyszeptał z głębokim żalem.

— Niewiele zostało jej czasu.

— Nie! — jęknął ojciec. — Zrób coś!

— Jest już w rękach Boga. Tylko On mógłby ją ocalić.

Ojciec z głośnym płaczem padł na kolana obok wezglowia.

— Nie opuszczaj mnie, Ardżumand!

Powieki jej zatrzepotały, ciałem wstrząsnął nowy spazm bólu.

— Cicho, najmilszy... — wyszeptała.

— Boże miłosierny! Zabierz mnie do siebie, a jej pozwól żyć!

Nasze łzy — moje i ojca — kapały jak deszcz na jej twarz.

— Nie odchódź!... Zostań z nami, matko!

Twarz jej lekko drgnęła — próbowała się uśmiechnąć.

— Chce mi się... spać...

Lekarz i akuszerki po cichu wyszli z namiotu. Przywarłam do niej jak do tamtej gałęzi w rzece, zasypując jej twarz pocałunkami.

— Nie odchódź! — błagałam z rozpaczą, czując, że wraz z matką umiera cały mój świat.

— Pochyl się, Dżahanaro... — Jej wargi ledwo się poruszały.

— Obiecuj mi coś...

— Co?

Próbowała podnieść głowę, pochyliłam się więc tak nisko, że jej usta znalazły się przy moim uchu.

— Opiekuj się nim...

— Och, matko, to ty powinnaś... ja...

— Masz na to dość siły... sama nawet nie wiesz, jaka jesteś silna...

— Nie potrafię cię zastąpić. Nie umieraj!

— Zrób, o co proszę!

— Nie wolno ci odejść!

— Proszę, Dżahanaro...

Nie panowała już nad spojrzeniem, lecz mimo rozdzierającego mnie żalu wyczytałam w jej oczach, jaki ból sprawia jej mój sprzeciw.

— Spróbuję — obiecałam głosem ochrypłym od łez.

— Kocham cię, moja córko... jestem z ciebie dumna... Bardzo dumna... — Dała znak, że mam ją pocałować. Objęłam ją ciasno i ucałowałam w usta, myśląc, że czynię to po raz ostatni... już nigdy nie poczuję jej ciepła... Jak mam się pogodzić z jej śmiercią? Podniosłam się wreszcie, by ustąpić miejsca ojcu. Ucałował ją delikatnie, a ona uśmiechnęła się do niego.

— Mój drogi...

— Co, ukochana?

— Czy zechcesz... — Na chwilę gdzieś odpłynęła, a gdy znów otworzyła oczy, wydawała się jeszcze słabsza. — Czy zechcesz wyświadczyć mi łaskę i spełnisz me ostatnie prośby? — Skinął głową; żal chyba odebrał mu głos. — Nasze dzieci... opiekuj się nimi... zawsze... I pokochaj znów... jakąś kobietę...

— Nie, Ardzumand, ty jesteś moją jedyną miłością.

— Więc zbuduj mi... coś pięknego... i odwiedzaj mój grób... w każdą rocznicę mej śmierci.

— Dobrze, najmilsza — odrzekł, szlochając jak dziecko. Widać było, że brak jej tchu, lecz zdołała jeszcze powiedzieć:

— Chcę umrzeć... czując cię... przy sobie...

Tuląc ją w objęciach, wyszeptał:

— Zawsze będę z tobą, moja ukochana. — Usta jej drgnęły, lecz nie wyszedł z nich już żaden dźwięk. — Zawsze będę cię kochał, moja jedyna miłości. — Gdy znieruchomiała, długo jeszcze trzymał ją w ramionach.

Płakaliśmy oboje.

A wraz z nami płakało niebo.

CZEŚĆ II

Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni!

KORAN

(przełożył Józef Bielawski)

Trzymam w ręku kubek chłodnej herbaty. Z dala nadlatuje wiatr i marszczy spokojną powierzchnię wody. Jestem twardą kobietą o ostrym języku, ale bywam sentymentalna i skłonna do silnych emocji. A wiatr, zwłaszcza ten znad Tadż Mahal, potrafi mnie przywieść do łez. Przypomina mi pocałunki.

Bo są pocałunki, których nigdy się nie zapomina.

— I co dalej, Dżaha? — słyszę cichy głos Gulbadan. — Co działo się po jej śmierci?

Z trudem odsuwam od siebie pamięć o pocałunkach.

— Mój ojciec — mówię — zamknął się w małej komnatce, nie dopuszczając do siebie nikogo, nawet mnie. — Milknę na chwilę, przypominając sobie, jak bardzo go chciałam pocieszyć. I jak ogromnie był mi potrzebny, gdyż i ja tonęłam w przeraźliwym smutku. Pragnęłam czuć, że mnie kocha, choćby tylko trochę, choćby nawet ta miłość miała być zaledwie maleńkim okruszem jego uczucia do matki. — Przez drzwi słyszeliśmy tylko, że wciąż się modli i płacze — dodaję w zadumie, odstawiając kubek. — Gdy po dwóch tygodniach wreszcie stamtąd wyszedł, oczy miał czerwone i niemal ślepe od łez. Musiał od tej pory nosić okulary.

— Doprawdy? — Głos Rurajji łamie się ze współczucia, a jej ręka sięga po moją.

— Tak, dziecinko. Wyszedł stamtąd jako inny człowiek. Coś w nim umarło. Nigdy nie pokochał już żadnej kobiety — mówię, głaszcząc palce mojej wnuczki. Byłam wtedy zbyt młoda, by w pełni zrozumieć, czym dla ojca była utrata mej matki. Rozumiem to dopiero teraz. Dziś wiem, że najpotężniejszym z uczuć jest miłość, a zaraz po niej żal.

— Jednakże zaczął budować mauzoleum — wtrąca Gulbadan.

— Tak — odpowiadam, poddając się fali mych najśłodszych wspomnień. — Aby wznieść pomnik swojej ukochanej, wezwał do siebie największego architekta, jakiego znało imperium, młodego człowieka, który z kamieni potrafił wyczarować kwiaty, a z marmuru stworzyć istny raj.

— Kim był ten człowiek?

— To był Isa. Ten, który stał się dla mnie wszystkim.

ROZDZIAŁ 6

Spełnienie marzeń

Pawi Tron nie stracił swego blasku, lecz zasiadający na nim władca stał się cieniem samego siebie.

Mimo że przez okna Diwan-i Amm wpadały do środka ukośne promienie słońca, w wielkiej sali panował półmrok — ojciec wolał nie zapalać świec. Byliśmy przy nim tylko my dwoje — Dara i ja. Aurangzeb, któremu po śmierci matki ojciec przekazał część swojej władzy nad wojskiem, przebywał teraz na północy, próbując kolejnymi wypadami zapuścić się na wrogie terytorium, skąd nieustannie groziły cesarstwu najazdy.

Mieliśmy w tych czasach bardzo wielu wrogów. Na północy Persów, którzy wciąż rośli w siłę i pragnęli powiększyć swoje imperium, na południu zbuntowany Dekan; oficjalnie był on częścią cesarstwa, naprawdę jednak rządził tam żelazną ręką pewien ambitny sułtan, który prowadził z nami uporczywą walkę o wolność. Na flankach czaili się inni — na zachodzie dzikie klany radżpuckie, zaś od strony morza chrześcijanie.

Aurangzeb walczył ze wszystkimi.

Ojciec natomiast sprawiał wrażenie, jakby to wszystko było mu zupełnie obojętne. Nie dbał też o siebie — włosy miał w nieładzie, a na jego białej żałobnej tunice widać było liczne plamy. W pierwszym miesiącu po śmierci matki dokonał tylko jednej rzeczy: kupił wielką nadrzeczną parcelę. Tam miała spocząć jego Ardzumand.

Mnie ciągle jeszcze śmierć matki wydawała się nierzeczywista. Budząc się rano, spodziewałam się, że zaraz ją zobaczę, a gdy Przypominałam sobie, że to niemożliwe, nie chciało mi się nawet podnieść z posłania. Nie mogłam czytać, a jedzenie nie miało smaku. Każda myśl o matce wywoływała tęsknotę — uczucie bezbrzeżnej pustki i takiego bólu, jakiego dotąd nie znałam. Jej śmierć wydawała mi się tak strasznie niesprawiedliwa! Dlaczego musiała umrzeć? Usiłowałam odnaleźć w tym jakiś sens, lecz nie znalazłam żadnego. Teraz gdy jej zabrakło, bez jej duchowego przewodnictwa wszystko wydawało mi się bez sensu.

Przyrzekłam jej jednak, że będę silna, starałam się więc pomóc ojcu, spędzając z nim tyle czasu, ile tylko było możliwe. Modliliśmy się razem i razem tonęliśmy w żalu, a w chwilach gdy rozpacz cichła, zaczynaliśmy wspominać...

— Ojczy — głos Dary wyrwał mnie z zadumy, budząc w pustej sali dziwne głośnie echo — musisz wznowić posiedzenia sądu. Dłużej tak być nie może. Cesarstwu potrzebny jest władca. Mnie także potrzebna jest pomoc.

Ojciec długo milczał. Już myślałam, że się nie odezwie, toteż byłam trochę zaskoczona, gdy jednak przemówił.

— Nobilowie, mój synu, zrobią wszystko, co każesz. Oni wiedzą, że jesteś dziedzicem tronu, będą więc na wyścigi ubiegać się o twoje łaski.

— Mój autorytet byłby znacznie większy, gdybym cię miał za plecami.

— Tak też będzie — odrzekł z westchnieniem ojciec. Podniósł swe oprawne w srebro okulary i powoli przesunął palcem po nosie. — Cóż, nawet łabędzie, które jak słyszę, łączą się w pary na całe życie, muszą kiedyś zakończyć żałobę.

— Mówisz, że nobilowie...

— Na razie, Daro, radź sobie z nimi sam. Rozsądzaj ich spory. Czytaj też raporty wojenne swojego brata.

— On nie nadsyła mi żadnych wieści.

— Dżahanara — mówił dalej ojciec — pomoże mi przy budowie mauzoleum. Kiedy to już ruszy, ona będzie doglądać wszystkiego, ja zaś powrócę do swych obowiązków.

Choć nadal dręczył mnie smutek, ucieszyłam się z tego ze względu na ojca. Tak bardzo chciałam mu pomóc!

— Kiedy zaczniemy, ojczy?

Przez twarz przemknął mu lekki, dawno nie widziany uśmiech.

— Cierpliwości, drogie dziecko. Jest tam który? — zawołał i do sali wszedł cesarski strażnik. — Sprowadźcie tu ostada Isę.

„Ostad" po persku znaczy „pan"*. Przypuszczałam, że ów Isa jest może rzeźbiarzem albo kaligrafem, siwowłosym i pomarszczonym, jakież więc było moje zdziwienie, kiedy wszedł do sali! Natychmiast skojarzył mi się z jastrzębiem. Miał wąską twarz, pozbawioną jednak okrucieństwa, gęste, wygięte w łuk brwi. śmiałe spojrzenie i wąski, lekko zagięty nos. Do tego wysokie, wydatne kości policzkowe porośnięte w połowie starannie utrzymaną brodą. Był niezwykle wysoki i szczupły, lecz miałam wrażenie, że to szczupłe ciało składa się z samych mięśni. W przeciwieństwie do ludzi wysokiej rangi, którzy na spotkanie z cesarzem przywdziewali najbogatsze stroje, Isa miał na sobie skromną tunikę, jakie zwykli nosić robotnicy.

— Witaj, panie Iso — powiedział ojciec, podnosząc się z tronu.

— Wielki to dla mnie zaszczyt — odrzekł przybysz z głębokim ukłonem.

Ojciec ruchem ręki kazał mu się wyprostować, sam zaś wsunawszy stopy w sandały, podszedł do swego gościa.

— To ja czuję się zaszczycony — powiedział szczerze. — Dzieła, które tworzysz, przydają piękna mym ziemiom, a twa sława sięga daleko.

— Moja sława to rzecz ulotna, wielki władco — odrzekł młody człowiek. — Tylko kamienie będą mnie pamiętać.

Ojciec tak żywo pokręcił głową, jakby zapomniał o smutku.

— O nie, nie tylko kamienie! Wiedźcie, moje dzieci, że każde dzieło tego artysty, czy będzie to warownia czy meczet, to nie budowla, lecz dzieło sztuki. A jeśli moi szpiedzy mówią prawdę, zawarto z nim tyle umów na budowę pałaców, że miałby co robić aż do końca życia.

— Cieszę się z tego, mój władco. Praca to błogosławieństwo.

— Doprawdy? — zdziwił się ojciec, otaczając Isę ramieniem. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby wobec kogokolwiek zdobył się na taki gest. — Chyba jednak nie zawsze. Bo cóż to za szczęście dla poety, jeśli mu nie starcza na atrament, lub dla muzyka, który nie ma za co kupić sobie instrumentu? — Isa chciał coś powiedzieć, lecz cesarz jeszcze nie skończył. — Czy chciałbyś zbudować coś wielkiego, co przetrwa jeszcze długo po tym, jak twoje kości rozsypią się w proch?

— Wolno spytać... — zaczął Isa i urwał. Choć sprawiał wrażenie pewnego siebie, jego głos zdawał się temu przeczyć. — Co by to miało być, cesarzu?

— Rauza-i Munawwara.

— Grobowiec... utkany ze światła?

— Chcę, byś zbudował mauzoleum ku czci mojej żony — powiedział ojciec, zaciskając dłoń na samą wzmiankę o mojej matce. Złękłam się, że zacznie płakać, ale nie, zdołał się opanować. — Musi to być najpiękniejsza budowla na świecie, tak jak ona, Ardżumand, była najpiękniejszą z kobiet.

Zapadła cisza. Zza okien sali, które wyglądały jak kunsztowna kamienna koronka, dobiegało tylko ciche gruchanie gołębi.

— Taka rzecz, mój panie — powiedział po chwili przybysz, ja zaś spostrzegłam, że czoło zrosił mu pot — taka rzecz wymagałaby wielu lat pracy, może nawet dziesięcioleci, tysięcy ludzi i...

— Dostaniesz wszystko, czego zażadasz.

— A jak by miało wyglądać owo mauzoleum? — W głosie Isy wyczułam podniecenie.

— Większość budynków w Agrze jest z czerwonego piaskowca, a mnie znużyła już czerwień, bo to kolor krwi. Ta budowla musi być biała; trzeba ją stworzyć z olśniewająco białego marmuru. Powinna oddawać wdzięk i wspaniałość kobiety, najdoskonalszego spośród dzieł Boga.

— A co z mymi kontraktami, cesarzu?

Ojciec udał, że rozdziera wymaginowany papier.

— Już cię nie obowiązują. Wszystkie wykupię. . — Gdzie ma stanąć to mauzoleum?

— Niedaleko. Na dawnych terenach gry w polo.

Architekt pospieszył do okna, skąd widać było leżący nad rzeką szeroki pas gruntu, po którym jeszcze niedawno uwijali się jeźdźcy z kijami. Gdy w zadumie zaczął skubać brodę, miałam wrażenie, iż niemal słyszę jego myśli.

— Będę potrzebował dwudziestu tysięcy ludzi. I muszą być oni gotowi do pracy najdalej za trzy miesiące.

— Uważasz, że ci się uda tak szybko rozpocząć budowę?

— Najpierw trzeba położyć fundament zdolny unieść ciężar całej konstrukcji, a będzie to wielki ciężar — odrzekł architekt. Wydawał się tak podniecony czekającym go zadaniem i zarazem taki radosny, że zaczęłam się zastanawiać, czy on w ogóle pamięta, że ta budowla ma być grobowcem kobiety, której śmierć stała się dla nas największą z możliwych tragedii. On jednak o tym pamiętał. — Nim zacznę — powiedział nagle — potrzebna mi będzie jeszcze jedna rzecz.

— Cóż takiego?

— Portret twojej małżonki, panie, oddający najwierniej jej urodę.

— Mogę ci dać coś więcej — powiedział ojciec, zmuszając się do uśmiechu. — Twoją pomocnicą będzie moja córka Dżahanara, a jest ona lustrzanym odbiciem swej matki.

Jakkolwiek nie w pełni zasługiwałam na taki komplement, spłonęłam rumieńcem zadowolenia. Ostad Isa uhonorował mnie jeszcze bardziej, mówiąc:

— Zaiste, cesarzu, oblicze twojej małżonki musiało przywodzić uśmiech na usta wszystkich poetów.

— Masz rację — odrzekł ojciec. — Umawiamy się zatem, że naszą łączniczką będzie Dżahanara, gdyż ja niestety muszę zająć się sprawami państwa. Dobrze zrobisz, słuchając jej rad, jest bowiem mimo swej młodości mądra jak stary krokodyl. — Większość mężczyzn natychmiast by się zjeżyła, gdyby kazano im słuchać kobiety, ten jednak tylko skinął głową. — Ty, Dżahanaro — mówił dalej ojciec — zamieszkas w Czerwonym Forcie. Musisz być blisko miejsca budowy, dopóki nie zostanie ukończona. Swego męża rzecz jasna będziesz mogła odwiedzać, kiedy tylko czas ci pozwoli.

Szybko rozważyłam te słowa. Choć perspektywa uwolnienia się od Chondamira napawała mnie wielką radością, nie chciałam, aby mój małżonek stał się przez to wrogiem swego teścia.

— Może powinienes, ojcze, wynagrodzić Chondamirowi to, że będzie musiał obywać się bez mych usług. Myślę, że worek złota powinien poprawić mu humor.

W oczach ojca zabłyśły łzy.

— Widzisz, Iso — powiedział ze wzruszeniem — to prawda, że w Dżahanarze żyje moja Ardzumand. To ona przemawia ustami mej córki. O, słodka Mumtaz Mahal — wyszeptał — jakże za tobą tęsknię!

„Mumtaz Mahal” znaczy „Ozdoba Pałacu”. Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby ją tak nazywał. Widocznie był to sekret znany tylko im dwojgu. Gdy ojciec odwrócił się do okna, Dara dał znak, że powinniśmy wyjść — pozwolić ojcu wypłakać się w samotności.

Dara pospieszył do swoich zajęć. Architekt pożegnał mnie grzecznie, ale zamiast odejść, jął wpatrywać się we mnie z taką uwagą, jakby chciał na zawsze wryć sobie w pamięć mą twarz. Poczulałam się zakłopotana.

— Mauzoleum będzie piękne, księżniczko — obiecał. — Pięknością, jakiej nie znał świat.

Patrzyłam za nim, gdy długim krokiem szedł zatłoczoną ulicą. Był tak wysoki, że przerastał wszystkich mych rodaków. W pewnej chwili przystanął, jakby chciał zawrócić, musiał chyba jednak się rozmyślić, bo skręcił w jakąś uliczkę i wkrótce zniknął mi z oczu.

W moim życiu zaszło wiele zmian i były to zmiany na lepsze.

Tak jak przewidywałam, Chondamir wpadł we wściekłość, gdy usłyszał, że mam go opuścić i zamieszkać w Czerwonym Fortcie. Uderzył mnie w twarz, nim zdążyłam zdjąć z szyi złoty naszyjnik i z rozmachem rzucić mu pod stopy. Rzuciłam mu też dwa rubiny oraz cenny sztylet z rękojeścią nabijaną szmaragdami.

— Ojciec przecenia twój rozum — warknął, podnosząc klejnoty z błyskiem chciwości w oczach, którego nie udało mu się ukryć.

— Jest cesarzem — mruknęłam, czując, że policzek zaczyna mi puchnąć — może więc lepiej zna się na ludziach niż ty.

Zarobiłam za to szturchańca, ale warto było. Wystarczyło widzieć jego minę. Spodiewając się nocnej wizyty, i to bardziej brutalnej niż zwykle, wysmarowałam sobie uda koźlą krwią, a gdy sklął mnie brzydkimi słowy i odszedł, mówiąc, że przejmuję go wstrętem, uśmiełam się z jego głupoty. Jak mało ci mężczyźni wiedzą o kobiecym ciele!

Pożegnałam go z samego rana. Dostałam apartament na najwyższym poziomie Czerwonego Fortu, ze wspaniałym widokiem na rzekę i większą część naszej stolicy. Komnata była niewielka,

lecz bardzo przytulna, co działało na mnie uspokajająco. W ciągu paru dni urządziłam ją sobie tak wygodnie, jak to tylko było możliwe.

Moje drugie spotkanie z Isą odbyło się nad rzeką, na zakupionej przez ojca parceli. Było to doprawdy idealne miejsce na budowę mauzoleum. Od południa, wschodu i zachodu graniczyły z nim posesje bogatych nobilów, po stronie północnej zaś płynęła Dżamna. Na północnym zachodzie rozciągały się wąskie uliczki Agry, a trochę dalej stał Czerwony Fort.

Idąc na to spotkanie, odbyłam długi samotny spacer tą samą trasą, którą tak często chodziłam z matką. Zaraz za murami cytadeli wpadłam w istny labirynt tłocznych uliczek zabudowanych mnóstwem parterowych domków. Tylko one stały nieruchomo; wszystko inne dreptało, biegło lub podskakiwało i co parę kroków rozgrywały się tu różne dramatyczne scenki. Trzech chińskich kupców w żółtych tunikach i śmiesznych spiczastych kapeluszach prowadziło gwałtowną dyskusję z właścicielem kramu z jedwabiem. Choć ciemnoskóry miejscowy kupiec górował nad nimi wzrostem, a gniewne słowa wyrzucał z taką szybkością, że wątpiłam, by mogli je dobrze zrozumieć, jego wściekłość nie tylko nie wywoływała w nich żadnego lęku, lecz wyraźnie pobudzała do krytyk. Tak przynajmniej można było sądzić po gestach, jakimi wytykali leżące na ladzie tkaniny, i uszczypliwym tonie ich uwag rzucanych zabawnie łamaną mową.

Skręciwszy w lewo, w szerszą ulicę, zobaczyłam ryczącego żałośnie wielbłąda, który miał spore kłopoty z pokryciem swej towarzyszki. Z pomocą pospieszył mu jakiś człowiek, który pochwywszy nabrzmiały organ, wetknął go w końcu we właściwe miejsce. Samica trzymana przez kilku ludzi nie wydawała się zadowolona. Wielbłądom często się zdarza nie mieć ochoty na miłość, więc takie widowiska były rzeczą nader pospolitą, mnie jednak przypomniawszy zaraz mój mąż i ogarnęła mnie litość dla tej nieszczęsnej samicy.

W miarę oddalania się od fortu robiło się coraz luźniej. Wędrując ulicą biegnącą wzdłuż rzeki, minęłam ogromne pole ryżu, gdzie uwijali się liczni wieśniacy i wielkie powolne bawoły, potem kilka wspaniałych pałaców i wreszcie po przejściu kamiennego mostu stanęłam na zachodnim skraju nabytej przez ojca parceli.

Ostad Isa nie od razu mnie spostrzegł. Trzymając w ręku jakiś papier, na którym coś sobie notował, szedł szybkim krokiem przed siebie. Ubrany był w tę samą zwyczajną tunikę, a jego szary turban był zupełnie mokry od potu. Zauważyłam, że choć mu się spieszy, to jednak wyraźnie się stara, aby każdy jego krok miał tę samą długość. Przeszedł tak całą parcelę, najpierw z południa na północ, potem ze wschodu na zachód, na koniec zaś obszedł jej obwód.

Trwało to długo, usiadłam więc na przyniesionym z sobą dywaniku, kryjąc twarz przed palącym słońcem. Isa zauważył mnie wreszcie i z pośpiechem ruszył w moją stronę. Przyglądając mu się stwierdziłam, że jego ruchom brakuje tej gracji, jaką widać u moich braci, nie trzyma się też tak

prosto. Nie były to z pewnością ruchy i krok wojownika, a jednak wyczuwało się w nich godność i poczucie celu. Pomyślałam znowu, że to silny człowiek. Pod materiałem jego tuniki rysowały się potężne mięśnie, mięśnie człowieka przyzwyczajonego podnosić ciężkie kamienie i zмагаć się z twardym marmurem.

— Dzień dobry, księżniczko.

— Niech i dla ciebie będzie dobry, panie Iso.

Nasze spotkanie poświęcone było budowie mauzoleum matki, myślałam więc o niej, dziś jednak — inaczej niż dotąd — nie tonęłam w żalu po jej stracie. Wiedziałam, że ona sama kazałaby mi się otrząsnąć z rozpacz, lecz do tej pory brakowało mi na to siły. Dopiero po opuszczeniu domu Chondamira zaczęły zdarzać się chwile, w których przestawałam boleć nad jej śmiercią.

Witając młodego architekta, powoli podniosłam się z trawy. W tym świetle — słońce miał za plecami i na jego kanciastej twarzy kładły się ciemne cienie — jeszcze bardziej przypominał mi jastrzębia.

— Błagam cię, pani — poprosił z uśmiechem — mów mi po imieniu. — Uśmiech miał trochę krzywy, jakby prawy kącik jego ust ważył nieco więcej niż lewy.

— Zgodzę się na to tylko pod warunkiem, że dla ciebie będę „Dżahanarą”.

— Wyglądasz dziś uroczo, Dżahanaro.

Zostawiłam tego dnia w domu większość swych klejnotów i ubrałam się bardzo skromnie. Wyczuwałam, że chociaż ten człowiek tworzy z kamienia rzeczy bezcenne, to lekceważy zwyczajne błyskotki, a może ich nawet nie lubi. Czy jednak z tego właśnie powodu obdarzył mnie komplementem?

— Czy mogę spytać, co właściwie robiłeś przed chwilą? Pokazał mi swoje notatki.

— Chciałem sprawdzić, czy rozmiary naszej parceli są dokładnie takie, jak napisano w kontrakcie.

— I co? Wszystko się zgadza?

— Prawie. — Zwinął papier i schował go do koszyka, gdzie miał jeszcze inne dokumenty.

— Sporządziłeś już plany budowy? Mogę je zobaczyć?

Parsknął śmiechem, a ja znów pomyślałam: jakież to wesoły człowiek! Wszystko go cieszy.

— Twój ojciec ostrzegł mnie przed tobą. Jesteś podobno bardzo niecierpliwa.

— Niecierpliwa?

— Powiedział, że przypominasz mu młodą jaskółkę. One zawsze zbyt wcześnie wyskakują z gniazda.

— Doprawdy? Co ci jeszcze mówił?

Na jego ustach zaigrał znowu ten trochę krzywy uśmieszek, zauważyłam jednak przy okazji, że zęby ma mocne i równe.

— Tylko to, że cię kocha i że mam szczęście.

— Dlaczego?

— Bo dostałem taką pomocnicę.

— Myślisz, że mam naprawdę... naturę jaskółki?

— Myślę, księżniczko, że masz w sobie więcej kobiecości aniżeli jej trzeba, by odebrać mężczyźnie spokój.

Uśmiechnęłam się lekko, choć był to bardzo zuchwały komplement. Zwykle gdy mi ktoś schlebiał, starannie tłumiałam uśmiech. Uśmiech w takiej sytuacji świadczy bowiem nie o mądrości, lecz o płochym zadowoleniu, ja zaś pragnęłam, aby ludzie uważali mnie za mądrą. Dziś jednak czułam się przyjemnie odprężona, a słowa Isy sprawiły, że zrobiło mi się ciepło koło serca.

— Przejdźmy się — zaproponował. — Muszę dobrze poznać ten teren, skoro mam tu zbudować coś tak niezwykłego.

Pierwszą rzeczą, która wpadła mi w oko podczas owego spaceru, była grupka mężczyzn budujących okazałą łódź. Już prawie kończyli robotę. Większość uszczelniała spoiny smołą, ale jeden z nich, chudy i żylasty, rzeźbił na dziobie ozdobę przedstawiającą głowę tygrysa.

— Ma talent — stwierdził mój towarzysz. — Trzeba go będzie nająć.

— Skąd weźmiesz wszystkich tych ludzi, którzy ci będą potrzebni?

— Artystów? We właściwym czasie wyślę posłańców w różne strony świata. Mam nadzieję ściągnąć kaligrafów z Persji, kamieniarzy z Egiptu, a innych mistrzów nawet z Europy.

W Agrze przebywało w tym czasie z pięćdziesięciu Europejczyków. Widywałam czasami tych ludzi, gdy ojciec konferował z nimi o handlu, i nie wydawało mi się, aby którykolwiek miał ochotę jąć się takiej pracy.

— Chcesz zatrudnić Europejczyków?

— Potrzebni mi są najzdolniejsi ludzie i nie dbam o to, skąd kto pochodzi.

Spuściłam oczy; że też tak jawnie wyraziłam swoje zdziwienie!

Isa mógł to poczytać za niechęć do ludzi innej krwi i wyznania. Matka by nie była ze mnie zadowolona.

— Czy możesz mi powiedzieć — spytałam — jak to wszystko będzie wyglądało?

— Mauzoleum stanie tu, nad rzeką, a na południe od niego będą się ciągnąć ogrody.

— A sama budowla?

— Czy potrafisz wyobrazić sobie... łzę Allaha? — Zaskoczyła mnie zarówno szybkość tej odpowiedzi, jak i żarliwość brzmiąca w jego głosie. Ludzie o tak miękkich głosach są zwykle tro-

chę niezdecydowani, a on... Nie spodziewałam się odkryć w nim aż tyle ognia. — Taki kształt — wyjaśnił — będzie mieć kopuła wieńcząca czworokątną konstrukcję poprzecinaną mnóstwem wielkich łuków. Cztery minarety umieszczone za każdym z czterech jej rogów będą sięgać trochę poniżej kopuły. Wszystko to poczynając od dziedzińca, kończąc zaś na kopule, zbudowane zostanie z białego marmuru.

Próbowałam to zobaczyć okiem wyobraźni, lecz widocznie miałam jej za mało.

— Masz może jakiś rysunek?

— Na razie mam go tylko w głowie.

Gdy to powiedział, spostrzegłam, że pozostawił gdzieś swoje papiery. Rozejrzawszy się szybko, wskazałam Isie porzucony koszyk.

— Tak bardzo ufasz swej głowie?

Przeraził się widząc, że mógł stracić cenne dokumenty.

— Och, Dżahanaro, bywam strasznie roztargniony, jak zresztą wszyscy artyści! Chodzimy z głowami w chmurach, nie widząc tego, co pod stopami.

— Więc będę ci przypominać, gdzie powinieneś je stawiać.

Jego uśmiech sprawił mi dziwną przyjemność. Dziwną, gdyż w ostatnich tygodniach nic mi nie sprawiało satysfakcji. Gdy wróciliśmy po dokumenty, spytałam zwijając dywanik:

— Mogę wiedzieć, ile masz lat?

— Dwadzieścia dwa, a ty?

— O sześć mniej. Wkrótce już tylko o pięć. — Widząc, że bacznie mi się przygląda, wytrzymałam jego spojrzenie, choć niewiele kobiet znalazłoby w sobie tyle odwagi. Oczy miał bardzo ciemne, ciemniejsze niż oczy moich rodaków i tak urzekające, że można w nich było utonąć. — Czemu — spytałam, zmuszając oporne wargi do ruchu — zostałeś architektem?

— Urodziłem się w Persji — odrzekł, a ja pomyślałam: to dlatego masz tak ostre rysy! — Mój ojciec był budowniczym. Przeważnie budował studnie, ale raz był to nawet duży akwedukt. Gdy po śmierci matki jego także dopadła choroba, oddał całe swoje skromne oszczędności przyjezdnemu architektowi, żeby mnie przyjął na ucznia.

— A co się stało z nim samym?

— Cóż, pokonała go choroba, choć z nią walczył jak bojowy słoń. Zamieszkałem więc u swego mistrza. Był najlepszym człowiekiem na świecie. Gdy ukończył budowę, dla której przyjechał do Persji, zabrał mnie z sobą do Delhi.

Więc on także stracił swoich bliskich! Wiedząc, jaki to ból, odruchowo zapragnęłam go pocieszyć, ale czy to wypada? Nie, pomyślałam, za krótko się znamy.

— Ile miałeś lat, kiedy straciłeś rodziców?

— Siedem.

— I już nigdy nie wróciłeś do Persji?

— Nie było do czego wracać. Zresztą przez te ciągłe wojny i tak by to było niemożliwe. Pewnie by mnie ścięto jako zdrajcę. Nie, to Hindustan jest teraz moim krajem. Ani trochę nie ciągnie mnie na północ.

Znów się uśmiechnął, a przecież opowieść o jego losach wcale nie była wesoła. Dziwiło mnie też to, że stać go na takie zwierzenia, choć przecież prawie mnie nie zna. Czy wobec wszystkich jest taki szczery? I zawsze tak lekko traktuje siebie?

— Lubisz swą pracę? — indagowałam go dalej, urzeczona brzmieniem jego głosu.

— O tak, Dżahanaro. Jestem szczęśliwym człowiekiem. Naprawdę. Ta praca pozwala mi dowieść rodzicom, że nie zmarnowałem daru, który po nich odziedziczyłem. Może dziwi cię to, co mówię, ale oni zawsze są przy mnie, a najmocniej odczuwam ich obecność, kiedy coś buduję.

Powiedział to tak żarliwie, że i ja zapragnęłam, aby taki sam związek łączył mnie z matką. Nie poczułam jednak zazdrości, tylko głębokie wzruszenie.

— Cieszę się, że będę mogła towarzyszyć ci przy budowie... patrzeć, jak pracujesz — powiedziałam, starając się stłumić emocje — ale teraz już ci pozwolę powrócić do twych obowiązków.

— Twoje towarzystwo jest mi niezmiernie miłe. Czy zechcesz przyjść tu wieczorem? Księżyc będzie dziś w pełni, a ja... chciałbym ci coś pokazać...

— Skoro tak, to może przyjdę — odparłam, kryjąc uśmiech na widok wyrazu jego twarzy. Bał się, że mogę nie przyjść. Pożegnałam go i poszłam do fortu, nie przestając wszakże o nim myśleć. Jego twarz stała mi wciąż przed oczami; pamiętałam każde jego słowo. Gdybyż mój mąż był tak miły i delikatny! Czemu los pokarał mnie Chondamirem, gdy na świecie istnieje ktoś taki jak Isa? Być może myliłam się co do niego, ale w żaden sposób nie umiałam sobie wyobrazić, aby ten miły człowiek potrafił mnie uderzyć, choćbym nawet na to zasłużyła.

Zatęskniłam za Ladli — tak dawno jej nie widziałam! — toteż w drodze powrotnej wstąpiłam do kuchni, gdzie zastałam swoją przyjaciółkę przy obieraniu buraków. Ręce miała całe czerwone od soku. Główna kucharka popatrzyła na mnie gniewnie — jak zawsze gdy odciągałam Ladli od jej zajęć — lecz nie śmiała mi się sprzeciwić.

Szukając odosobnienia, pokonałyśmy kilka kondygnacji schodów i stanęłyśmy na szczycie wysokiego muru, pod którym kilkudziesięciu wojowników w lśniących hełmach i skórzanych półpancerzach ćwiczyło się w swoim rzemiośle. Ku swemu zdziwieniu zobaczyłam, że dowodzi nimi Aurangzeb. Prawie wszyscy ci ludzie byli od niego starsi, a jednak bez słowa wykonywali każdy jego rozkaz. Trzymając w ręku muszkiet, pokazywał im właśnie, jak obchodzić się z taką bronią —

ładować ją i rozładowywać — a potem złożył się do strzału i ustawiony na kamieniu arbuz rozprysnął się na kawałki. Wojownicy skwitowali to gromkim aplauzem. Czy mój brat, pomyślałam nagle, uronił choć jedną łzę po naszej matce? On tymczasem wręczył muszkiet jakiemuś wielkoludowi.

— Kim jest ten olbrzym? — zagadnęłam Ladli, która знаła tu każdego i zawsze pierwsza dowiadywała się o wszystkim, co zdarzyło się w cytadeli.

— Jeśli wierzyć plotkom, to przyglup, który umie tylko zabijać — odrzekła, spluwając na znak pogardy. — Wołają na niego Balchi.

— Co o nim wiesz?

— Że twój brat uwolnił tę bestię z więzienia i uczynił swoim strażnikiem.

— Za co siedział w więzieniu?

— Za gwałt. Zaraz po powrocie z wojny zgwałcił i okaleczył pewną hinduską służącą, a twój brat, oby Śiwa ugotował go w szczynach, wypuścił takiego potwora na wolność!

Jej słowa przejęły mnie dreszczem.

— I mój ojciec się na to zgodził?

Ladli rozejrzała się chyłkiem. Pod czerwonym proporcem stał strażnik, lecz dzieliło go od nas dobrych trzydzieści kroków.

— Ludzie mówią, że rozpacz zaćmiła cesarzowi rozum.

Z dołu dobiegła nas kanonada — żołnierze jeden po drugim oddawali strzały do arbuzów. Temu, który chybił, Aurangzeb wymierzył tęgiego kuksańca, ale żołnierz nawet nie drgnął, a gdy dostał znowu broń do ręki, wystrzelił — i z arbuza pozostały tylko nędzne resztki.

— Mogliby używać drewnianych tarcz! — syknęłam gniewnie. — Tylu ludzi cierpi głód, a oni marnują żywność!

— A czy mężczyźni myślą? Po nich nie można się tego spodziewać, a już najmniej po twoim bracie! — prychnęła Ladli, obracając ze złością srebrne kółko w nosie, swoją jedyną ozdobę. — Wiesz, Dżahanaro, czasem widzę, jakim wzrokiem on mi się przygląda. Źle mu patrzy z oczu.

Pomyślałam, że byłoby lepiej, gdyby jej uroda nie rzucała się tak ludziom w oczy. Wiedziałam, do czego zdolny jest Aurangzeb; zapłacił już za milczenie ojcom kilku dziewczyn, które zmusił do uległości.

— Musisz bardzo uważać, Ladli. On zwykle dostaje to, czego chce.

— Cóż więc powinnam zrobić?

— Przede wszystkim nigdy nie okazuj mu strachu; niech nie myśli, że ma nad tobą władzę.

— Tak? I co jeszcze?

Wyobraziłam sobie, że to ja jestem Aurangzebem. Nietrudno mi było wejść w jego skórę — matka dawno nauczyła mnie tej sztuczki, a ja wypróbowałam ją już wiele razy, i to z powodzeniem. Ludzi łatwiej przejrzeć, niż im się zdaje.

— Wiem, że go nie lubisz, ale bądź dla niego miła — odrzekłam, żałując, że nie mogę porozmawiać o tym z matką. — Schlebiaj mu w taki sam sposób, jak to robią inne dziewczyny. Szybko mu się nudzą, więc i z tobą tak będzie... — Urwałam, gdyż nagle zaświtał mi pewien pomysł.

— Co ci chodzi po głowie?

Milczałam, bo naraz ogarnęły mnie wątpliwości: czy mam prawo narażać Ladli wyłącznie dla swych korzyści?

— Nie wiem, czy powinnam...

— Mów, Dżahanaro. Nie chcę się zestarzeć, czekając, aż otworzysz usta.

— Przyszło mi na myśl, że gdybyś tego chciała, mogłabyś omotać Aurangzeba tak, żeby ci zaczął ufać.

— Ufać? Ale po co? I jakim sposobem mogłabym to osiągnąć?

— Wiesz o wszystkim, co się tutaj dzieje. A gdybyś na przykład dowiedziała się o czymś, co jemu by się przydało? Gdybyś podsunęła mu informację, dzięki której mógłby wykryć szpiega albo zapobiec zbrodni? Pomyśl, jak by po czymś takim urósł w oczach całego dworu, a ty byś się stała jego konfidentką!

— Wolalabym raczej opatrywać wrzody trędowatym.

— Ja też — westchnęłam, obserwując swojego brata. — Jeśli jednak zechcesz zagrać w tę grę, przyjdź do mnie, zanim cokolwiek mu powiesz. Wspólnie zadecydujemy, co mu dać do połknięcia. A na razie udawaj, że wcale się go nie boisz. Praw mu słodkie słówka i kuś go swymi wdziękami, ale kiedy postanowisz się z nim spotkać, najedz się czosnku i postaraj się chuchnąć mu w nos.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem, ale i z pewnym podziwem.

— No wiesz, Dżahanaro, przez myśl mi nie przeszło, że z ciebie takie przewrotne stworzenie... Skąd tyle wiesz o mężczyznach?

— Zapomniałaś, że mam męża?

— Och nie, pamiętam! Mówiłaś, że to straszny głupiec.

— Umiałoby go przechytrzyć nawet nowo narodzone dziecko, a w łóżku zachowuje się jak cap.

— Oho, robisz postępy! Twoje porównania są coraz lepsze — zachichotała Ladli. — Naprawdę taki z niego cap?

— Gdy ma dobry dzień, bo bywa i gorzej.

— Niechaj więc Śiwa okaże ci łaskę i sprawi, aby jego męskość zgniła i odpadła. I niechaj się bawią nią psy.

Wybuchnęłam śmiechem. Ladli zawsze umiała poprawić mi humor.

— Och, Ladli, ty to potrafisz przeklinać! Nigdy ci nie dorównam! Ale wiesz — dodałam ci-
szej — spotkałam się dzisiaj z pewnym mężczyzną... To architekt. Ma budować mauzoleum.

— I co z tego? Ja napotkałam dzisiaj karalucha. To całkiem to samo.

— Wydaje się zupełnie inny niż mój mąż.

— Mężczyźni to oszuści. Najpierw cię taki czaruje, lecz gdy tylko z tobą legnie, koniec, czar pryska.

— Wiesz co, Ladli — powiedziałam, biorąc ją za rękę — musimy ci znaleźć dobrego męża.

— A po co? Myślisz, że mam ochotę do końca życia usługiwać jakiemuś łajdakowi? Aż tak nie znudziło mi się to, co mam.

Doprawdy? Czułam, że w głębi duszy Ladli marzy o miłości tak samo jak ja, tylko nie chce się do tego przyznać. Było już późne popołudnie, a że miałam jeszcze dużo do zrobienia, pożegnałyśmy się. Ona wróciła do kuchni, ja zaś pospieszyłam do Sali Audiencji Publicznych, gdzie ojciec i Dara, stojąc przed Pawim Tronem, rozsądzały spory.

Stanęłam z tyłu, żeby nie ujawniać swojej obecności, skąd z wielką uwagą zaczęłam przysłuchiwać się staraniom Dary, który robił wszystko, by pogodzić poróżnione strony. Widząc, jak często mu się to udaje, pomyślałam z dumą, że mój brat, choć jeszcze tak młody, zaczyna być naprawdę dobrym mediatorem. Jeśli ktokolwiek w świecie miał większe poczucie sprawiedliwości aniżeli nasz ojciec, to człowiekiem tym był właśnie Dara. On naprawdę wierzył, szczerze i głęboko, że hindusi są równi muzułmanom i że tylko przestrzegając tej zasady, zapewnimy pomyślność naszemu imperium. Ojciec rzecz jasna też popierał prawa zakazujące dyskryminacji, podejrzewałam jednak, że czyni to z pobudek nieco mniej szlachetnych niż te, którymi kieruje się Dara. Myślałam, że ojcu chodziło przede wszystkim o spokój w imperium, mój brat natomiast przyjął po prostu za pewnik, że wszyscy ludzie są równi bez względu na ich wyznanie. Zgodnie też z tym przekonaniem zaczął tłumaczyć Upaniszady z sanskrytu na perski, pragnął bowiem udostępnić muzułmanom te słynne hinduskie teksty zawierające podstawowe tezy filozofii i religii hinduizmu. Było to ogromnie trudne zadanie, którego nikt przed nim się jeszcze nie podjął; niektórzy wrzuszali ramionami, twierdząc, że to strata czasu, on jednak traktował je bardzo poważnie.

Wieczерzę zjedliśmy we trójkę — tylko ojciec, Dara i ja. Ojciec podobnie jak Dara był miłośnikiem książek, a teraz często szukał w nich pociechy, kazałam więc służbie podać posiłek w bi-

bliotece. Jedliśmy smażone w maśle kurczęta nadziewane ryżem, rodzynkami, kardamonem, migdałami i czosnkiem, popijając je ryżowym winem.

Biblioteka cesarska miała długość połowy lotu strzały wypuszczonej ręką dobrego łuczника. Większą część podłogi pokrywały czarne dywany z utkanymi jasną wełną wersetami z Koranu, fragmentami żywotów naszych cesarzy oraz cytatami z wielkich dzieł hinduskich. Księgi, z których wyjęto te słowa, stały na kamiennych półkach obok wielu innych gromadzonych w ciągu paru wieków; te najnowsze cieszyły oko setkami barwnych ilustracji. Łącznie cesarskie zbiory liczyły ponad czterdzieści tysięcy woluminów. Strach było pomyśleć, co by się stało, gdyby w tej komnacie wybuchł pożar, toteż co parę kroków czuwali słudzy z wiadrami wody, której dostarczało kilka marmurowych fontann. W zbiornikach, z których tryskały fontanny, tkwiły płonące pochodnie, i one to stanowiły jedyne tu źródło światła.

Ojciec zawsze lubił tę komnatę i czuł się tu bardzo dobrze; tak było i tego wieczoru. Sącząc z wolna wino, snuliśmy wspomnienia o czasach, gdy jeszcze była z nami matka, i pomimo bolesnej świadomości, że odeszła od nas na zawsze, udawało nam się chwilami nawet uśmiechać.

Był to dobry wieczór i każdemu z nas trojga sprawił jednakową satysfakcję. Kiedy rozstając się z nami, ojciec uklonił się Darze, a mnie ucałował, poczułam mocniej niż kiedykolwiek, że kocha nas najbardziej ze wszystkich swych dzieci i że tylko my dwoje przynosimy radość jego sercu.

Zapadła już ciemność, gdy udałam się konno na miejsce budowy mauzoleum. Noc była bezchmurna i wielki okrągły księżyc zalewał ziemię łącnie czarodziejskim blaskiem. Są tacy, co na jego tarczy widzą ludzkie twarze, a znów inni potrafią dopatrzeć się tam wszystkiego, od gór do moskitów, ja jednak, widząc taki księżyc, zawsze wyobrażałam sobie, że to wielka dziura w czarnej tkaninie nieba. Skąd jednak bierze się światło płonące za ową zasłoną? Na to nie starczało mi już wyobraźni.

Przywiązawszy konia do drzewa, spostrzegłam, że Isa już jest. Stał przed sztalugą z rozpiętym na niej wielkim płótnem zamalowanym na czarno. Odwrócony był do mnie plecami i tak pochłonięty pracą, że nawet mnie nie zauważył. Jego ręka, w której ścisnął białą kredę, zdawała się tańczyć po płótnie. Spodziewałam się, że zechce przedstawić mi swą wizję mauzoleum i że będzie to coś niezwykłego, ale to co zobaczyłam, zaparło mi dech. Jego ręka naprawdę tańczyła, to ślizgając się po płótnie, to unosząc nagle w powietrze, by zaraz potem opaść znów kolistym ruchem na ową głęboką czerń, gdzie ożywało coś cudownego, rzecz, którą kilka godzin temu nazwał jakże poetycko łąą Allaha. Pomyślałam, że piękno tej budowli przewyższa chyba nawet urodę mej matki. Jej łuki, fasady i wieże były doprawdy czymś nie z tego świata.

Isa przestał nagle rysować i mierzając w niebo zaciśniętą pięścią, wydał z siebie ekstatyczny okrzyk, tak głośny i pełen radości, że przeszedł mnie dreszcz. Nigdy w niczym głosie nie słysza-

łam takiego uniesienia i pewnie już nie usłyszę. Okrzyk ten odbił się echem od stojących w pobliżu pałaców, przefrunął przez rzekę i dopiero po chwili zamarł gdzieś w oddali.

— Dzięki Ci, Panie, że obdarzyłeś mnie mocą tworzenia! — usłyszałam słowa pełne namiętnego żaru. — Wiem, droga matko, że uraduje cię moje dzieło. A ty, mój ojciec, pomóż mi je zbudować!

Nie miałam odwagi mu przeszkadzać, lecz w chwili gdy chciałam już odejść, musiał jakoś wyczuć moją obecność, bo rozejrzał się dookoła i zobaczył mnie tuż za sobą. Złękłam się, że może nie lubi, kiedy go ktoś podpatruje, ale on wcale się nie rozgniewał. Odłożył kredę i spytał z uśmiechem:

— No i co o tym myślisz, Jaskółeczko?

— Lepiej zapytaj o to poetę.

— Pytam ciebie. — Mówiąc to, popatrzył na mnie w taki sposób, że miałam ochotę uciec.

— Ty naprawdę potrafisz zbudować coś takiego? Nigdy nie widziałam...

— Potrafię — wszedł mi w słowo cicho, lecz stanowczo. — Choć kończąc budowę, mogę być już starcem.

— Ale umrzesz zadowolony.

Zrobił gest, jakby chciał mnie za to uściskać.

— Och, Dżahanaro, jak ty mnie dobrze rozumiesz! Prawie mnie nie znasz, a jednak widzisz mnie na wylot! Pomożesz mi? — spytał, podchodząc bliżej.

— Oczywiście.

— To dobrze, bo twoja pomoc będzie mi bardzo potrzebna. Znajdą się tacy, którzy zaczną wszystko krytykować, od projektu po koszty. Sam nie zdołam się im przeciwstawić; muszę mieć u boku przyjazną duszę, która we mnie uwierzy.

— Ja wierzę.

Uklonił mi się z pokorną wdzięcznością.

— Widzisz ten księżyc, Dżahanaro? Wyobraź sobie, jak cudownie oświetli on grób twojej matki. Podczas pełni będzie tu zawsze tak widno, jakby noc ustąpiła w połowie przed dniem. Będzie to jedyne miejsce na Ziemi, gdzie nasz ludzki świat dotknie Raju.

Po jego twarzy polały się łzy. Poza moim ojcem nigdy nie widziałam płaczącego mężczyzny. Ale Isa wcale się tego nie wstydził. Czy wydał mi się przez to niemęski? Och, nie! Miał w sobie więcej męskości niż którykolwiek ze znanych mi ludzi, a sprawiła to moc jego uczuć.

Myśląc o matce, o ojcu, o tym, co mamy zbudować, krzyknęłam nagle ile sił w płucach. I choć mój okrzyk nie był tak potężny jak ten, który wyrwał się z piersi Isy, napełnił mnie otuchą i wielką radością. Poczulałam w owej chwili, że już nie jestem samotna.

ROZDZIAŁ 7

Ból i tęsknota

Następne lata minęły z łaski Boga spokojnie. Ludzie rodzili się i umierali, siali ziarno i zbierali plony. Nadal zwalczaliśmy wrogów, ale wojny były już dla nas czymś zwykłym. Ważne, że nie nękał nas głód, zaraza ani trzęsienia ziemi. Domy rzadko padały ofiarą pożarów, mogło się więc wydawać, że Allah jest nam życzliwy.

Już tego pierwszego lata, gdy tylko Isa ustalił wielkość mauzoleum, zaczęto budować fundament. Nad rzeką zaroilo się od ludzi — były ich tysiące — którzy zaczęli ryc ogromny wykop, aż osiągnął on taką głębokość, że spod ziemi wybiła woda, dochodząc miejscami do poziomu rzeki. W tę rozmokłą, błotnistą ziemię zaczęto kłaść wielkie kamienne bloki — piaskowca i granitu — a powstające między nimi luki zalewać wapienną zaprawą. Kiedy cały otwór wyłożono już tymi gigantycznymi blokami, pokryto je dla wzmocnienia jeszcze warstwą cegieł i mniejszych okruców skały. Zaprojektowane przez Isę głębokie studnie sięgające poniżej fundamentu po wypełnieniu granitem miały wzmocniać go dodatkowo jako coś na kształt filarów. Wysokość fundamentu ustaliliśmy po rozmowach z najstarszymi mieszkańcami Agry; powiedzieli nam oni, ile wody przybywa w Dżamnie podczas największych powodzi. Nasz fundament przewyższał oznaczone punkty o dwa dobre kroki.

Potrzebny budulec zwożono barkami z kamieniołomów całego imperium. Gdy wylądował już w Agrze, na miejsce budowy ciągnęły go słonie. Bloki uszkodzone podczas transportu posłużyły do wzmocnienia brzegu rzeki, Isa lękał się bowiem, że po pewnym czasie woda może przerwać istniejącą groble.

Otoczające fundament pole stało się wkrótce istnym trzęsawiskiem rozdeptywanym z dnia na dzień coraz bardziej dziesiątkami tysięcy ludzkich stóp. Ludzie wszelkich możliwych nacji, religii i kolorów skóry grzęźli w owym błocie po kolana, lecz i używali go nieraz jako maści na krwawiące rany. Na zachodnim skraju tego pola powstał skromny bazar, gdzie zapobiegliwi kupcy zachwalali swoje towary — żywność i napoje, narzędzia, ubrania i lekarstwa, jak również łodzie, zwierzęta pociągowe i wozy.

Isa pracował od świtu do zmroku. Tak miało być zresztą przez wszystkie lata budowy. Podczas gdy inni odpoczywali, leżąc na grzbietach swych słoni albo gźsieś w cieniu nad rzeką, on budował modele bądź doglądał pracy kamieniarzy. Ja prawie wciąż byłam przy nim; wkrótce stali-

śmy się kompanami, z kompanów przyjaciółmi, a potem ta przyjaźń przerodziła się w coś większego.

Nie umiem powiedzieć, co nas ciągnęło ku sobie. Może po prostu i mnie, i jemu brakowało kogoś bliskiego? On stracił rodziców, ja matkę. Isa mógł się wydawać pogodzony z losem, ale ja wyczuwałam, że to jego pragnienie tworzenia piękna bierze się z bólu, z chęci zaleczenia wewnętrznych ran, które odniósł jeszcze jako dziecko. Powiedział mi przecież, że wszystko co buduje, umacnia miłość łączącą go z rodzicami, że wierzy, iż patrzą na niego z nieba, a każdy jego pałac czy meczet przywodzi im uśmiech na usta. Myślę, że właśnie ta wiara pozwalała mu zachować ową pogodę ducha, która z początku tak mnie dziwiła.

Ja nie umiałam pogodzić się ze śmiercią matki. Bywały chwile, gdy winałam ją za to, że odeszła i zostawiła mnie samą, lecz w obecności Isy przestawałam się czuć opuszczona; miał w sobie tyle ciepła, tyle zrozumienia! Czułam się przy nim jak w domu, bo choć tak bardzo się różnił od wszystkich moich znajomych, to jednak był pełen tych samych romantycznych tęsknot co ojciec i tego samego wigoru co matka. Co on widział we mnie? Trudno powiedzieć, lecz musiało to być coś, za czym tęsknił.

Bywało, że czasem po zachodzie słońca, gdy ludzie już się rozeszli, a my siadaliśmy tylko we dwójkę w jakimś punkcie ogromnego fundamentu, łowiłam nagle jego utkwione we mnie spojrzenie. Wyrażało ono to wszystko, czego nigdy nie ujął w słowa: że troszczy się o mnie bardziej niż kochanek i że gdybym nie miała męża, byłby mój na zawsze — duszą i ciałem. Mnie trawiły te same pragnienia, nie wolno mi było jednak im ulec. Wolno nam było patrzeć sobie w twarze, utrwalając w pamięci każdy ich szczegół, ale nigdy się nie dotykać, dzielić się tajemnicami, lecz nie ujawniać swych prawdziwych uczuć. Isa szanował moje małżeństwo, a ja, choć szczerze gardziłam swym mężem, miałam świadomość, że gdybym zdradziła go z Isą, zdradziłabym ojca; gdyby córka cesarza popełniła cudzołóstwo i rzecz ta wyszłaby na jaw, jej ojciec straciłby twarz.

Tak więc w ciągu dnia skutecznie opierałam się swoim pragnieniom, lecz nocami było inaczej. Nocą mogłam popuścić wodze fantazji: całowałam wtedy Isę bez końca. Kochałam się z nim namiętnie. Rodziłam mu dzieci.

Co trzecią noc spędzałam w owym czasie w domu Chondamira. Nie ustawał w wysiłkach spłodzenia syna, ale jego nasienie nie chciało wydać owoców. Winą za to rzecz jasna obarczał mnie, musiałam więc odwiedzić wszystkich miejscowych medyków i wypić mikstury ze wszystkich ziół, jakie są na świecie. Mój mąż przeklinał moje jałowe łono, ale ja byłam pewna, że jest ono żyzne jak wody Dżamny. Moja matka urodziła tyle dzieci! Dlaczego bym miała tak bardzo się od niej różnić?

Ku mej radości ojciec otrząsnął się trochę ze smutku i znów objął rządy, choć w wielu sprawach coraz bardziej polegał na synach. Dara przejął kontakty z nobilami, Aurangzeb zdobywał coraz większy mir w wojsku, Szah i Murad przebywali na najdalszych krańcach imperium, starając się poprawić nie najlepsze stosunki z sąsiadami. Moi bracia byli już teraz mężczyznami — o szerokich ramionach i wąskich taliach. Wszyscy mieli żony i spłodzili przynajmniej po jednym dziecku; uwielbiałam tych swoich bratanków. Nie licząc moich bliźniaczych sióstr, które wychowywała mieszkająca w Delhi siostra matki, tylko ja nie miałam potomstwa. Aby wynagrodzić sobie ten brak, chciałam mieć u boku przynajmniej swoich przyjaciół, a zwłaszcza Nizama i Ladli. Gdy w sprawie Nizama zwróciłam się z prośbą do ojca, mówiąc, że w pracy potrzebny mi jest pomocnik, zgodził się od razu, i tak oto dawny niewolnik matki zaczął chodzić za mną jak cień. Nigdy nie był człowiekiem wymownym, mimo to byłam pewna, że oddałby za mnie życie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Na moje usilne prośby Ladli także zgodziła się przyjąć funkcję zaufanej pomocnicy i wkrótce wszyscy zatrudnieni przy budowie zaczęli ją adorować. Każde jej słowo było dla nich rozkazem. Wszyscy — od prostego murarza do mistrzów sztuki kamieniarskiej — ubiegali się o jej względy, wiadomo było bowiem, że jest niezamężna, a jej uroda zapierała zaiste dech w piersiach. Ladli doprawdy z każdym miesiącem wydawała się coraz piękniejsza.

Isa nałożył na mnie ogromną odpowiedzialność. Tłumaczył mi, co chce zrobić, a ja miałam dopilnować, żeby ludzie bezbłędnie wykonali jego polecenia. Nie miał też czasu ani głowy na łagodzenie konfliktów, które podczas tak wielkich przedsięwzięć są niestety rzeczą nieuchronną. Matka na szczęście nauczyła mnie zasad dyplomacji, ja zaś szybko się przekonałam, że z tym samym powodzeniem można je stosować podczas sporu kamieniarza z właścicielem słonia, co dla zażegnania waśni jednego wielmoży z drugim. Nie uwielbiano mnie tak jak Ladli, ale ludzie mi ufali i odnosili się do mnie z szacunkiem. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że sam cesarz powierzył mi nadzór nad tą ogromną budową, a ponieważ jestem jego córką, co wieczór zdaję mu sprawę z naszych sukcesów i klęsk.

W trzecim roku budowy zdarzył się incydent, który mocno zaważył na mych dalszych losach. Wybuchła afera, w której osobiście nie miałam żadnego udziału, a jednak wciągnęła mnie w swoje tryby... Głównym winowajcą był pewien zachłanny kupiec przyłapany na oszukiwaniu klientów za pomocą fałszywego balastu, którego używał przy ważeniu ziarna. Wszyscy, którzy o tym wiedzieli, zostali skazani na śmierć, łącznie z dwunastoletnim synem nieuczciwego handlarza.

Egzekucja miała się odbyć na jednym z największych dziedzińców Czerwonego Fortu, który już znacznie wcześniej wypełniła kręgiem ciżba wielkich panów przemieszana z miejskim popółstwem. W środku tego kręgu stały trzy słonie okryte paradnymi jedwabiami. Choć były to zwierzę-

ta wyćwiczone do zabijania, nie zwracały większej uwagi na gwałtowne okrzyki tłumu, przestępując tylko nerwowo z jednej wielkiej nogi na drugą.

Tuż przed nimi klęczało sześciu przestępców. Główny winowajca na próżno błagał o litość. Rozległ się łoskot werbli i podnieceni gapie ruszyli do przodu, aby lepiej widzieć. Przerażony syn kupca zaczął rozpaczliwie szlochać.

Ojciec, Dara i ja siedzieliśmy we wzniesionym dla nas pawilonie, skąd mogliśmy bez przeszkód obserwować przebieg egzekucji. Aurangzeba nie było z nami — dosiadał jednego z trzech słoni. Po kilku latach bitewnych potyczek wyglądał już jak wytrawny, zaprawiony w bojach wojownik. Miał na sobie skórzany pancerz, a na podbródku bliznę po eksplozji, która zabiła kilkunastu jego żołnierzy. Był taki dumny z tej blizny, że nie chciał zapuszczać brody, żeby jej nie zasłaniać.

Od jakiegoś czasu nabrał zwyczaju żucia surowej cebuli; tak też było teraz. Cebula, jak wiadomo, wyciska łzy z oczu, on zaś uwielbiał sprawiać ludziom przykrość, zwłaszcza takim, którzy mu się czymś narazili. Stanowili oni zresztą przytłaczającą większość, gdyż na wyliczenie tych, którym sprzyjał, wystarczyłoby palców jednej ręki. Dziwne, że te cebule jemu jakoś wcale nie szkodziły.

Na drugim słoniu siedział jego zaufany przyboczny, osławiony Balchi. Teraz już wszyscy znali ponure opowieści o wyczynach tego okrutnika. Aurangzeb pozwalał mu na wszystko, toteż nawet ludzie z najbliższego otoczenia ojca woleli schodzić mu z drogi.

Wiedziałam podobnie jak wszyscy zebrani, co czeka sześciu skazańców. Ojciec nie znosił takich widowisk, ale pozwalał je organizować, uważając, że stanowią odstraszający przykład dla każdego, kto planuje podobne przestępstwo. Dla innych była to rozrywka. Teraz właśnie znaczna część tłumu lżyła kupca i jego syna, a ci najbardziej krewcy obrzucali ich zgniłymi warzywami.

Ja przyszedłam tu tylko dlatego, że prosił mnie o to ojciec, i już teraz robiło mi się słabo na samą myśl o tym, co się zaraz zacznie. Aurangzeb natomiast był daleki od takich uczuć. Uzbrojony w długi kij z zakrzywionym metalowym ostrzem — służącym do drażnienia słonia — czekał już tylko na sygnał do rozpoczęcia kaźni. Gdy się to stało, wyciągnął ów kij i szarpnął nim za lewe ucho swego słonia, który z rykiem obrócił się w stronę kupca. Ten zawył ze strachu, a po jego spodniach rozpełzła się plama moczu. Słoń dźgnął go kłem i przewrócił, a potem owinał potężną trąbą i uniósł na wysokość swojej wielkiej głowy. Nieszczęśnik, tłukąc olbrzyma po trąbie, jął znowu błagać zebranych o litość, lecz słoń po kolejnym szarpnięciu za ucho ryknął ogłuszająco i stanąwszy na tylnych nogach, cisnął ofiarę w powietrze. Skazany upadł na bruk jak worek.

Widząc krew tryskającą z uszu słonia, nietrudno się było domyślić, że Aurangzeb z zimną premedytacją stara się doprowadzić olbrzyma do szału. Rozjuszony zwierzę ponownie zaatakowało

skazańca, raniąc go w nogę i odrzucając na sporą odległość. Kupiec tym razem zdołał się podnieść i mocno kulejąc, próbował uciec, słoń jednak znowu zwałił go z nóg. Tłum zafalował i jął wydawać dzikie okrzyki, gdy olbrzym, uniósłszy wpierw wielką stopę, opuścił ją na pierś leżącego. Krzyk skazańca urwał się nagle, gdy jego klatka piersiowa zapadła się całkiem jak ciasto pod ciężarem wielkiego zwierzęcia.

Śmierć dwóch innych skazańców była równie przerażająca. Spośród trzech pozostałych Aurangzeb wybrał sobie chłopca, który skulony we dwoje trzymał się za głowę i szaleńczo drapał się po skroniach. Gdy mój brat, łząc go szyderczo, skierował na niego słońia, chłopiec poderwał się nagle i dał susa w ciżbę, lecz bezlitośni widzowie odrzucili go znów w środek kręgu. Biedak ponownie próbował uciec, lecz znów go schwytano i wepchnięto pod nogi słońia.

Widząc w tłumie wiele znanych twarzy, poczułam straszliwy wstyd. Ci mądrzy, dobrze wychowani ludzie zachowują się jak barbarzyńcy! Czerpią przyjemność z widoku okrutnej śmierci! Nie mogłam już tego wytrzymać.

— Okaż łaskę temu dziecku! — krzyknęłam do ojca.

— Niestety, Dżahanaro, już na to za późno — odrzekł z twarzą ściągniętą z niesmaku.

— Za późno? A wiesz, co by na to powiedziała matka?

Musiało to nim wstrząsnąć, bo podniósł się nagle jak człowiek wyrwany z drzemki i krzyknął:

— Dostyc! Darowuję życie temu dziecku!

Ogarnięty żądzą krwi Aurangzeb nie był z tego zadowolony, ale zdołał zatrzymać słońia. Potem jednak obrócił się w moją stronę i posłał mi złe spojrzenie. Usłyszał mój okrzyk! Bałam się jego zemsty, lecz w tej chwili silniejszy od lęku był wstyd, że taki człowiek jest moim bratem. Wstyd ten pobudził mnie do czegoś, czego nigdy dotąd nie zrobiłam — splunęłam w jego stronę. Był to gest symboliczny — zawierał więcej pogardy niż śliny — i mężczyźni uszedłby bezkarnie, ale ja byłam tylko kobietą, a świadkami mego uczynku była cała rzesza ludzi wysokiej rangi. Ci ludzie widzieli, że okazałam pogardę swojemu dumnemu bratu, i choć niektórzy gwizdali z oburzeniem, to jednak znaleźli się tacy, co również zaczęli spluwać, by okazać mi swe poparcie. Aurangzeb był wściekły.

— Ten przestępca — krzyknął — winien jest...

— Niczemu nie jest winien! — przerwał mu ostro ojciec.

— Jak to?

— Na Allaha, dość tego! Przecież to jeszcze dziecko!

Ojciec od lat na nikogo nie podniósł tak głosu, nikt też nie słyszał, by kiedykolwiek publicznie karmił swoich synów. Przez moment miałam wrażenie, że Aurangzeb go nie usłucha i zabije chłopca, ale potem chyba ochłonął, bo odrzekł z lekkim ukłonem:

— Twoja wola, mój panie.

Ojciec bez słowa opuścił pawilon na znak, że widowisko skończone. Wyprowadzono słonie i tłum gapiów zaczął się rozpraszać. Czując, że drżą mi nogi, oparłam się o słup namiotu, co widząc Dara objął mnie ramieniem.

— To było niesprawiedliwe — wyjąkałam urywanym głosem.

— Ale ty postąpiłaś słusznie.

— Dlaczego Aurangzeb chciał zabić to dziecko? Czy dlatego jest taki okrutny, żeśmy go nie kochali, tak jak tego pragnął?

— Nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy.

Nie, Dara nie miał racji. Źródłem okrucieństwa naszego brata musiało być poczucie jakiejś krzywdy. Ale jakiej i jak to zmienić? Staliśmy nieruchomo, patrząc, jak niewolnicy wywlekają z dziedzińca pięć zmiażdżonych ciał, jak zmywają krew z bruku, a potem zapalają wonne pałeczki, aby stłumić przenikliwy odór łajna, uryny i śmierci.

Miałam już odejść, gdy na dziedzińcu pojawił się Balchi i skierował prosto w naszą stronę. U boku dyndał mu najdłuższy miecz, jaki mi się zdarzyło widzieć, a cały brzeg jego tuniki ochlapany był krwią. Cóż za wielkolud z tej bestii, pomyślałam znowu na widok jego masywnego ciała; zbiegające się nad nosem brwi nadawały mu ponury wygląd. Dara, który nie był ułamkiem, sprawiał przy nim wrażenie wyrostka. Lecz to do mnie, a nie do Dary przysłał go Aurangzeb.

— Mówię w imieniu mego pana — zahuczał. Ust prawie nie było mu widać spod wielkiej niechlujnej brody. — Kazał ci powiedzieć, że wykastrował tego zbrodniarza. — Czyżby się uśmiechnął po tych słowach? Nie byłam pewna, bo zrobiło mi się niedobrze. — Jeśli przeżyje, możesz go sobie zatrzymać jako niewolnika.

— Mówisz o chłopcu? — wyjąkałam. Dzwoniło mi w uszach. Chybabym upadła, gdyby Dara mnie nie podtrzymał.

Tamten wybuchnął śmiechem.

— Niemądrze zrobiłaś, spluwając na mego pana.

— Zamknij gębę — rzucił głucho Dara.

— Ten człowiek słabego ducha, co siedzi teraz na tronie, nie będzie żył wiecznie — oznajmił bezczelnie ów dzikus. — A kiedy umrze, wy oboje zapoznacie się z tym oto ostrzem — dodał, dotykając rękojeści miecza. — Długo będziecie umierać, już ja się o to postaram. — Splunął mi pod nogi i odszedł.

Mój brat powinien był go za to zabić. Ja, gdybym była mężczyzną, na pewno bym spróbo-
wała. Wiedziałam, że Aurangzeb nie rzuca swych gróźb na wiatr; jego honor poniósł dziś taki
uszczerbek, że nie spocznie, póki się nie zemści. Dara też to powinien wiedzieć. Powinien zabić
posłańca. Ale on się do tego nie kwapił, ja zaś nie byłam mężczyzną.

— Uśmierć tę bestię! — rzuciłam przez zęby, gdy kolana wreszcie przestały mi drżeć. —
Otruj go lub zapłać któremuś z żołnierzy, żeby go zadźgał w bitwie! Wszystko mi jedno, jak tego
dokonasz, ale pozbydź się tego potwora! Pozwolisz, by groził nam śmiercią?

— Nie zrobię tego, Dżahanaro. Nie mam natury mordercy i nie chcę żyć w świecie przemo-
cy. — Z grymasem niesmaku potarł się po czole. — Po tym co dziś widziałaś, nie dość ci zabi-
jania?

— To on zabijał! I na tym nie koniec!

— Zastanowię się nad jego grózbami, ale nic więcej nie zamierzam robić.

— Więc jesteś głupcem! — Czemuż nie jestem tobą, a ty mną? jęknęłam w duchu. Jesteś za
słaby dla Aurangzeba. Ja bym nie była. — Bez względu na to czy nasz ojciec umrze za dwa lata
czy za dwadzieścia — powiedziałam głośno — Aurangzeb nas zabije. Uśmierci też nasze dzieci,
by otworzyć sobie drogę do tronu.

— Jesteśmy jego rodzeństwem.

— No to co? Co z tego, że w jego żyłach płynie ta sama krew, skoro myśli i czuje zupełnie
inaczej niż my? Widziałaś przecież, jak go upajało zabijanie. A ten chłopiec, którego wytrzebił? Po
co to zrobił? Bo lubi zadawać ból!

— Ja...

— Sprzeciwił się ojcu! A ty nadal uważasz, że pozwoli ci zasiąść na tronie, ponieważ jest
twoim bratem? Jesteś szalony, Daro!

— Nie będę prowadził bratobójczej walki. To sprzeciwia się moim zasadom.

— Nawet prorok Mahomet zwalczał swoich wrogów!

— Mnie nikt nie prześladowa!

— Ale będzie! A Aurangzeb jest bardziej niebezpieczny niż ci wszyscy szakale dybiący na
życie Proroka!

— Nie jestem Mahometem, Dżahanaro! — Dara zarumienił się z gniewu, co zdarzało mu się
bardzo rzadko. — Chcesz walczyć z Aurangzebem, to walcz, ale na mnie nie licz!

Uciekłam od niego. Ogromnie kochałam Darę, lecz w takich chwilach jak ta doprowadzał
mnie do rozpacz; bałam się, że jego słabość w końcu nas wszystkich zgubi. Zagryzłam wargi by
powstrzymać łzy cisnące mi się do oczu, i zaczęłam myśleć. Musi być jakiś sposób na zażegnanie
wiszącej nad nami groźby! Aurangzeba trawi żądza zemsty, lecz gdyby się udało jako ją zaspoko-

ić, może by zaniechał swych morderczych planów? Ha, ale jak to zrobić? Zastanawiając się nad tym, pobiegła do kwatery głównego medyka, licząc, że pewnie do niego za niesiono nieszczęsnego chłopca. Wystarczyło mi jednak spojrzeć w oczy starego lekarza, aby się domyślić, że chłopiec nie żyje.

— Za późno go przynieśli... — wyszeptał — a cięcia... cięcia były zbyt głębokie...

Płacząc z żalu, pobiegłam do najbliższego meczetu. Był to nowo ukończony Moti Masdzid — Perłowy Meczeta — zbudowany w całości z białego marmuru. Miał ogromny dziedziniec, a jego fasadę tworzyło siedem jednakowych łuków, nad którymi górowały trzy wielkie kopuły.

Przystanąwszy w rogu dziedzińca, zaczęłam się modlić, by przyjęto do Raju zabitego chłopca i by mógł tam zażywać wiecznej szczęśliwości. Równie gorąco zaczęłam potem błagać Boga, żeby mi zechciał powiedzieć, jakim sposobem mogłabym na tyle zaspokoić pragnienie zemsty Aurangzeba, by przestał myśleć o wyprawieniu mnie na tamten świat. Powiedzieć o wszystkim ojcu? Musiałam odrzucić ten pomysł, nie chcąc i jego narażać na śmiertelne niebezpieczeństwo. Znane wszak były przypadki, gdy syn zwracał się przeciwko ojcu.

Dzień mijał, a ja wciąż się modliłam. Gdy wreszcie łaskawy Allah zechciał mnie oświecić, długo Mu dziękowałam. Rada, której mi udzielił, wiązała się dla mnie z bólem i upokorzeniem, ale dawała nadzieję, że nie spotka mnie gorszy los. Wszystko zależało jednak od Ladli; odszukałam ją w kuchni, gdzie czasami jeszcze pomagała. Udając, że się na nią gniewam, kazałam jej iść za sobą, bo zamierzam się z nią rozprawić. Widocznie dobrze to zagrałam, gdyż na twarzach kucharek pojawiły się lisie uśmieški.

Kiedy tylko znalazłyśmy się same w nie używanej spiżarni, chwyciłam Ladli w objęcia i zaczęłam ją ścisnąć. Powiedziałam, że ją kocham i do śmierci nie przestanę być jej przyjaciółką, a potem opisałam wszystko, co stało się dziś na dziedzińcu i jakie zagraża mi niebezpieczeństwo. W przeciwieństwie do Dary nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

— Co możemy zrobić? — wyszeptała.

— Mam pewien plan, musiałabyś jednak mi pomóc, a nie byłoby to bezpieczne.

— Mów.

— Aurangzeb tylko wtedy da mi spokój, jeśli mu pozwolę się zemścić. Strasznie go upokorzyłam, musi więc wziąć na mnie odwet.

— Jest jak dziecko!

— Powiedz Ladli, czy on... uważa cię za przyjaciółkę?

— Czy ja wiem?... Chyba tak. Przyrządzam łakocie dla jego ludzi, chociaż to zgraja węży, a jemu wciąż się przymilam, choć chwali się tym padalcom, jak to się ze mną zabawia. Łże jak pies, ale oni mu wierzą i wiwatują, głupcy, na jego cześć.

Poczułam, że gardzę nim jeszcze bardziej za te nikczemne przechwałki.

— To dobrze, że uważa cię za przyjaciółkę. Tym łatwiej uwierzy w to, co mu powiesz. Musisz mnie zdradzić, Ladli.

— Mam cię zdradzić?

— Powiedz Aurangzebowi, że tydzień temu okradłam swojego męża. — Widząc, że otwiera usta, by zaprotestować, ścisnęłam ją mocno za rękę. — Powiedz, że zabrałam Chondamirowi jego złoty pierścień. W swej komnacie mam skrytkę pod jedną z płytek posadzki, niech więc go tam poszuka.

— To prawda?

— Nie, ale go tam schowam. Gdy Aurangzeb powiadom Chondamira o popełnionym przeze mnie przestępstwie i okaż się, że pierścień zniknął, mój małżonek wymierzy mi karę chłosty. Upokorzy mnie przed całą służbą. — Zamilkłam na moment, żałując, że nic innego nie udało mi się wymyślić.

— Och, nie! Pozwolisz, by ten łajdak się nad tobą znęcał? Spróbuj znaleźć jakiś inny sposób!

— Lepsze to niż trucizna z ręki Aurangzeba albo nóż któregoś z tych jego rzeźników. Myślę, że takie bicie sprawi mu ogromną satysfakcję i odwiedzie go od dalszej zemsty. Pomyśl, jaka będzie to dla mnie hańba!

— Rzuć tym psom jakąś mniejszą kość na pożarcie! Jeśli dasz się wychłostać, stracisz twarz przed dworem! Wszyscy będą się z ciebie wyśmiewać!

— Moja hańba nie wyjdzie na jaw. Znam swego brata. Jest taki, jak mówisz, ale wie doskonale, że gdyby do ojca dotarła wieść o mojej chłości i o tym, kto był jej sprawcą, ojciec by mu tego nie wybaczył. — On wie, pomyślałam nie bez smutku, że nasz ojciec kocha mnie bardziej niż jego.

— Chcesz narazić się na taki ból?

— Tak, to mnie przeraża, ale bardziej mi przykro z innego powodu.

— Jakiego?

— Po tym wszystkim nie będziemy już mogły okazywać sobie przyjaźni. Bo jeśli Aurangzeb zacznie podejrzewać, że go oszukałaś, zabije cię, moja kochana. Musimy więc odtąd udawać, że się nienawidzimy... — powiedziała łamiącym się głosem. — Och, Ladli, nie masz pojęcia, jak mnie to boli, choć wiem, że to dla mnie jedyny ratunek... W przyszłości cała ta intryga może też pomóc nam obu.

— Jak?

— Po śmierci ojca, oby żył jak najdłużej, Aurangzeb zacznie walczyć o władzę. Jestem tego tak pewna jak nadejścia monsunu. Jeśli będzie ci na tyle ufał, żeby zwierzać się ze swoich planów, będziemy mogli to wykorzystać. Wywieść go w pole albo pomóc Darze w jakiś inny sposób.

— Och, Dżahanaro, czy ta sprawa jest aż tyle warta, żeby poświęcać jej przyjaźń?

Byłam rozdarta na dwoje. Dziewczyna imieniem Dżahanara pragnęła zaprzeczyć, ale ta druga — księżniczka — mówiła „tak”.

— Nadejdzie taki czas — powiedziałam z wysiłkiem — gdy wszyscy moi przyjaciele znajdą się w niebezpieczeństwie. Wolę, by uważano cię wtedy za stronniczkę Aurangzeba niż moją.

Ladli, zawsze tak twarda, z trudem hamowała łzy.

— Więc to koniec naszej przyjaźni? Naprawdę?

— Nie! — Zaczęłam ścisnąć jej rękę, walcząc z własnym przejmującym smutkiem. — Będzie tak tylko przed ludźmi! Potajemnie będziemy spotykać się nadal, a za jakiś czas, kto wie, może znowu będzie tak jak dawniej.

Zapadła cisza, w której słychać było jedynie jej drżący, urywany oddech. Czułam, jak bardzo cierpi, i znienawidziłam się za to, że sprawiam jej taki ból.

— Niech mi Śiwa wybaczy — powiedziała po chwili. — Zrobię, o co prosisz.

Trzymałam ją w objęciach, walcząc z uczuciem, że dźwigam na sobie jakiś nieznośny ciężar. Że choć przeżyłam niezbyt wiele lat, to przytłoczyły mnie one istną lawiną wymagań — bądź silna, pamiętaj o swych obowiązkach, o tym, że dobro imperium jest ważniejsze od twoich pragnień... Byłam już tym tak zmęczona, że chętnie zamieniłabym się z jakąkolwiek zwykłą służącą.

— Dziękuję ci, Ladli — szepnęłam, by odegnąć od siebie te myśli. — Wiem, że to okropne, mówię o naszym spisku, ale wierz mi, sama byś nie chciała, żeby po śmierci ojca uważano cię za moją przyjaciółkę.

Wzruszyła ramionami, jakby ją ogarnęła cicha rezygnacja.

— Gdy w następnym życiu Aurangzeb odrodzi się jako ślimak, pozwalam ci go rozdeptać. Może nawet sama to zrobię.

— Jeśli prawdą jest to, co mówisz o karmie, to tak się stanie. — Odruchowo poprawiłam jej sari, wyczuwając przez cienką tkaninę nerwowe napięcie w jej ciele. — Jutro zaraz z rana odszukaj Aurangzeba i opowiedz mu o moim przestępstwie, ale najpierw każ mu zapłacić za tę informację, i to dużo! Zbyt mała suma może mu się wydać podejrzana. Jeśli odmówi lub zechce zapłacić tylko połowę, zostaw go i odejdz, lecz gdy się zgodzi, na co mam nadzieję, postępuj zgodnie z naszym planem, a po paru miesiącach przyjdź do mnie; pomówimy wtedy o wszystkim... O tym, co robić dalej.

— Raczej poszepeczemy — zakpiła niewesoło, dodając brzydkie przekleństwo. — Kocham cię, Dżahanaro.

— A ja ciebie, siostró. — Uściskałam ją znowu, kryjąc przerażenie na myśl o tym, co mnie wkrótce czeka. Wiedząc, jaką nienawiścią darzy mnie Chondamir, byłam pewna, że ta udawana kradzież stanie się dla niego idealnym pretekstem, żeby zbić mnie do nieprzytomności. Jak ja to wytrzymam? Nigdy dotąd nie zaznałam chłosty. — Bądź ostrożna, Ladli. Ostrożna i silna.

Po tych słowach zaczęłyśmy płakać. Staraliśmy się być dzielne, lecz tyłu i takim emocjom nie byłyśmy w stanie się oprzeć. Ladli była dla mnie jak siostra, a teraz miałam ją stracić, teraz gdy tak niedawno utraciłam matkę... Będę już teraz zupełnie sama...

Zostawiłam ją płaczącą cicho w tej spiżarni, aby udać się do domu Chondamira, gdzie od razu wydobyłam z kufra złoty pierścień — gruby i ciężki jak jego właściciel — i schowałam go pod swoją tajną płytką. Położywszy się potem na posłaniu, starałam się przygotować na niechybną karę. Noc spędziłam zawieszona pomiędzy jawą a snem; nawet gdy zapadałam w płytką niespokojną drzemkę, dręczyły mnie czarne myśli.

Rano próbowałam zachowywać się jak zwykle, ale nie dałam rady. Wymówiwszy się od śniadania, poszłam na długi spacer, starając się trzymać z daleka od rzeki. Wolałam nie patrzeć w stronę mauzoleum, dokąd biegły wszystkie moje myśli. Pragnęłam być z Isą, opowiedzieć mu o swych nieszczęściach, schronić się pod jego skrzydła, a tego akurat nie wolno mi było zrobić. Nie miałam prawa narażać go na niebezpieczeństwo — tak jak naraziłam Ladli.

Całe popołudnie spędziłam w meczecie. Gdy na krótko przed zmierzchem wracałam do domu, zbliżając się już do pałacu, zobaczyłam jadącego z przeciwnej strony Aurangzeba. Pod sobą miał pięknego konia, na sobie zaś skórzany pancerz bez ozdób, a u boku zakrzywiony miecz. Na widok złośliwego grymasu na jego twarzy ogarnęły mnie sprzeczne uczucia. Uknuta przeze mnie intryga najwyraźniej się powiodła, i to mnie cieszyło, ale teraz trzeba było wypić nawarzone piwo.

— Jak się masz? — rzucił mój brat, jak zwykle przeraźliwie głośno.

— Dobrze, a ty? — odparłam z udanym zainteresowaniem.

— Jak się mają twoje śliczne dzieci?

Zamiast odpowiedzieć, spojrział w niebo i wyrecytował fragment Koranu:

— „Zabawia was współzawodnictwo w pomnażaniu, do chwili gdy odwiedzicie groby... Po-tem z pewnością zostaniecie zapytani tego Dnia o szczęśliwość!”.

— Dlaczego mi to cytujesz?

— Jedynie grzesznik — tu zrobił pauzę, żeby mi splunąć pod stopy — okrada swojego pana.

— Okrada swojego pana?

— Zachowaj swe kłamstwa dla Chondamira, grzesznico. — Z domu dobiegł mnie ryk mego męża, a potem brzęk tłuczonego szkła. — Właśnie znalazł swój pierścień.

— To sprawka Ladli! — krzyknęłam z udanym oburzeniem.

— Na Allaha, każę ją za to wychłostać!

— Nie radzę ci tego robić!

Wiedząc, jaką mu to sprawi satysfakcję, upadłam przed nim na kolana.

— Pomóż mi, błagam cię, bracie! Nie zostawiaj mnie z nim samej! Wybacz, że cię obraziłam! Zrobię wszystko, co każesz, tylko nie odchodź!

Roześmiał się hałaśliwie i spał ostrogami konia. Z twarzą zwróconą ku Mekce zaczęłam prosić Boga, by mi wybaczył tę kradzież i zechciał mnie mieć w swej opiece. Wciąż jeszcze modliłam się o to, gdy Chondamir wrzasnął, że mam wejść do domu. Chcąc ukryć swą hańbę przed służbą, poszłam prosto do swojej komnaty. Rozwścieczony Chondamir już tam na mnie czekał. W jednym ręku trzymał pierścień, w drugim tę luźną płytkę, i gdy tylko weszłam do środka, z rozmachem rzucił nią we mnie. Jakoś udało mi się uchylić. Teraz już nie grałam przerażenia; spodziewałam się jego gniewu, ale nie takiej wściekłości — niewspółmiernej do mojego przewinienia.

— Mój panie... — zaczęłam, lecz uciszył mnie machnięciem ręki.

— Przynosisz mi hańbę! — wrzasnął.

— Zwróciłabym ci ten pierścień...

— Milcz!

Wcisnął pierścień na swój gruby paluch i chwycił skórzany pas leżący obok na stole. Poczułam, że blednę.

— To tylko nieporozumienie!

Złapał mnie za kark i rzucił na stół twarzą na dół.

— Rusz się stąd, a pożałujesz! Każę wypruć ci flaki, nie bacząc, czyją jesteś córką! — ryknął, parszkając kropelkami śliny. Żyły na czole miał tak nabrzmiałe, jakby chciały mu zaraz pęknąć. Zerwał ze mnie szatę, a po niej wszystko, w co byłam ubrana. Poczułam na pośladku kroplę jego potu — i ostry rzemień rozorał mi skórę. Zaskowyczałam z bólu.

— Masz za swoje, ty suko!

— Nie bij mnie, proszę!

Zaczął mnie okładać raz za razem, stękając przy każdym uderzeniu. Zaczęłam przeraźliwie jęczeć — ból był obezwładniający Jakbym płonęła żywcem.

— Jak śmiałaś mnie okraść? — ryknął. — Już ja cię tego oduczę!

— Nie! Błagam!

— Ty ladacznico!

Razy sypały się na mnie jak grad.

— Litości!

— Milcz, mówię!

Wbiłam zęby w krawędź stołu; z każdym kolejnym ciosem zaciskałam je coraz mocniej, aż poczułam w ustach skrawki drewna i słodki smak krwi. Starłam się nie krzyżeć, ale łatwiej byłoby wstrzymać bicie serca, niż przewyciężyć ten ból. Błagałam go, żeby przestał, obiecywałam wszystko, co zechce, wijąc się i jęcząc. Musiało mu to sprawiać przyjemność, bo zaczął pomału łagodnieć — razy padały rzadziej i nie były już tak okrutne.

— Wstawaj! — usłyszałam w końcu.

Musiałam zebrać wszystkie swe siły, żeby wykonać ten rozkaz. Po nogach płynęła mi krew; wyglądało to tak okropnie, że zaczęłam płakać. Niezdarnie narzuciwszy na siebie szatę, wyszochałam:

— Przepraszam cię, mój panie... bardzo cię przepraszam...

— Taka ladacznica jak ty nie będzie spać w moim domu! — warknął dysząc ciężko.

— Ale...

— Wynoś się! — Po tych słowach uderzył mnie w twarz.

Pieszko nie dowlokłabym się do miasta, poczłapałam więc do stajen. Jakiś sługa, nie kryjąc współczucia, pomógł mi dosiąść konia. Jęknęłam z bólu, dotykając pośladkami siodła, ale cóż miałam robić? Podziękowałam poczciwemu słudze i powoli ruszyłam naprzód. Już po paru krokach siodło zrobiło się śliskie od krwi.

Do kogo mogłam się udać⁹ Nizam z pewnością by mi pomógł, ale gdyby zobaczył mnie w takim stanie, uśmierciłby Chondamira. Zniknąłby wprawdzie przez to jeden kłopot, lecz wtedy Aurangzeb mógłby znów wpaść w furję. Nie, będę bezpieczniejsza, póki mu pozwolę napawać się moją hańbą, a do tego potrzebny jest żywy Chondamir. Mogłam pojechać do ojca, ale on pomściłby mnie tysiącrotnie, czym ściągnąłby na nas oboje jeszcze większą wrogość Aurangzeba. Dara? Bardzo go kochałam, lecz jego współczucie niewiele by mi pomogło.

Mimo wątpliwości, czy wolno mi go wciągać w swoje sprawy, postanowiłam pojechać do Isy. Wiedziałam, że znajdę u niego schronienie i że zrobi wszystko, o co go poproszę. Była już noc, gdy zajechałam na miejsce. Robotnicy na szczęście rozeszli się do domów i na placu budowy panowała zupełna cisza. Isa zbudował sobie pawilon tuż obok fundamentu i tam też zwykle nocował. Na moje wołanie otworzył drzwi, a ja prosto z konia wpadłam mu w ramiona.

Nie pytał mnie o nic, tylko wniósł do środka, a gdy zobaczył moją zakrwawioną szatę, delikatnie postawił mnie na nogi i zaczął rozbierać. Choć wstydziłam się swojej żalosnej nagości, to nie wstyd wycisnął mi łzy, lecz wzruszenie: dotykał mnie z taką czułością! Ułożywszy mnie twarzą

w dół na posłaniu, z pośpiechem wybiegł z chaty; nie było go tak długo, że zaczęłam się już martwić, czy nie stało mu się coś złego.

Powrócił z mokrymi szmatami i świeżymi liśćmi aloesu. Starannie obmył mi rany, a potem zmiażdżył aloes, używając do tego dwóch cegieł, wysmarował mnie ową leczniczą papką i owinął kawałkiem jedwabiu.

— Wybacz, że sprawiam ci tyle kłopotu — szepnęłam.

— Cicho, Jaskółeczko.

Ukląkł obok posłania i jął czule gładzić mnie po czole, a poczuwszy łzy na mojej twarzy, delikatnie wytarł mi policzki. Kiedy jego palce przelotnie musnęły mi usta, chwyciłam je i ucałowałam. Oboje na chwilę zastygliśmy w tej pozycji. Przyłożył mi potem do ust flaszkę z winem, które zaczęłam ssać jak osesek, bo leżąc na brzuchu, nie mogłam inaczej się napić.

— Powiesz mi, co się stało? — spytał miękko.

Wziąwszy głęboki oddech, opowiedziałam mu wszystko; opisałam swych braci i związane z nimi obawy, powiedziałam, jakiego mam męża. Nie przerwał mi ani razu, a gdy skończyłam, długą chwilę siedział bez słowa; słyszałam tylko jego przyspieszony oddech.

— Przykro mi to słyszeć, Dżahanaro — odezwał się wreszcie. — Powiedz, czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Obejmij mnie.

Gdy poczułam na sobie jego silne dłonie, dłonie, które stworzyły tyle pięknych rzeczy, a w oczach dostrzegłam łzy, zapragnęłam nagle, by mnie pocałował. Pragnienie to było silniejsze niż ból i upokorzenie. Czulałam, że i on tego pragnie, lecz wiedziałam, że się nie ośmieli. Bał się, iż mogę pomyśleć, że czyni to ze współczucia. Był świadom, że tęsknię za jego miłością, uważał więc, że współczucie byłoby dla mnie zniewagą.

Spojrzałam w okno, za którym coraz gęściej świeciły gwiazdy. Z księżycą pozostał tylko wąski sierp.

— Ciekawe, jak twoje dzieło będzie wyglądać w tym świetle — szepnęłam, by przerwać milczenie.

— Nie tak pięknie jak ty, Jaskółeczko. Mojemu dziełu potrzebna jest pełnia.

I nagle zalałam się łzami, choć robiłam wszystko, żeby je powstrzymać. Płakałam teraz nie bólu, lecz z żalu. Tak bardzo pragnęłam tego mężczyzny, a wiedziałam, że to niemożliwe, że nie będę go miała ani teraz, ani nigdy.

— Twój mąż za to zapłaci — powiedział twardo.

— Proszę cię, Iso, nie próbuj się na nim mścić.

— Zasłużył na śmierć.

— Niech więc go spotka z ręki Boga, nie z mojej czy twojej.

— Dlaczego?

— Bo mamy przed sobą ważniejsze zadanie: tę budowę. Jeśli chcemy doprowadzić twe dzieło do końca, musimy oboje pozostać przy życiu. Dzięki tej dzisiejszej chłóście Aurangzeb zostawi mnie w spokoju kontent, że mógł się zemścić. Gdyby Chondamir zszedł z tego świata, mój brat straciłby narzędzie i zarazem świadka swej zemsty, ja zaś byłabym znowu w poważnym niebezpieczeństwie.

— Teraz też jesteś.

— Aurangzeb triumfuje, a Chondamir wyładował już swoją wściekłość. Och, Iso, najważniejsza jest twoja budowa! Nie możemy zrobić nic takiego, co by jej mogło zagrozić!

— Wiesz, co ci powiem? Jesteś mądrą i bardzo odważną kobietą — wyszeptał tak cicho, że musiałam wyteńczyć słuch, aby usłyszeć te słowa. — Może powinienem nazywać cię orlicą, a nie jaskółką?

— Jaskółka podoba mi się bardziej.

— Czy mógłbym... Tak bardzo chciałbym położyć się przy tobie... pozwolisz? — Jego prośba sprawiła, że po twarzy znowu pociekły mi łzy. Gdy skinęłam głową, otoczył ramionami moje plecy, wyciągnął się przy mnie i szepnął: — Sama nie wiesz, jakim jesteś skarbem. Cudownym, bezcennym skarbem.

Jego ciało było tak ciepłe, a dotyk taki kojący! Pragnęłam być z nim jeszcze bliżej, chłonąć całą sobą słodycz jego pieścizot. Teraz dopiero zrozumiałam, co czuli do siebie moi rodzice. Poznałam smak miłości i jej cudowne szaleństwo. Bo stało się dla mnie jasne, jasne jak samo słońce, że kocham go do szaleństwa.

ROZDZIAŁ 8

Uśmiech Allaha

Koran to księga o wielu obliczach. Aurangzeb lubił cytować wersety mówiące o zemście, grzechu i piekle, ja natomiast wolałam te o przebaczeniu, miłosierdziu i życzliwości i one to właśnie wydawały mi się najważniejsze. Przynosiły mi spokój i wielką pociechę.

„Bóg kocha ludzi czyniących dobro” — mówi Koran.

Nigdy bym nie śmiała nazwać się osobą czyniącą dobro, lecz gdy wracałam do zdrowia po owej okrutnej chłości, przyszło mi na myśl, że wolałabym, umierając, pozostawić po sobie więcej dobra niż zła. Zaczęłam więc sporządzać rachunek swoich uczynków. Jakie popełniłam błędy? Żeby chronić siebie, wystawiłam przyjaciółkę na śmiertelne niebezpieczeństwo. Biednym też nie pomagałam tak, jak powinnam.

Czy jednak naraziłam Ladli ze złej woli? Nie, stało się tak tylko dlatego, że próbowałam ratować nieszczęsnego chłopca. Ubogich zawsze traktowałam życzliwie, a w przyszłości zrobię dla nich więcej... Przysięgam sobie, że postaram się znaleźć im pracę przy budowie mauzoleum. Człowiek, który zarabia na życie, jest wszak nieporównanie szczęśliwszy od tego, co żyje z jałmużny. Z pewnością też każdy pracujący przy tej budowie czuje się bliższy Bogu, czy będzie to Allah, czy jakieś hinduskie bóstwo.

Po nocy spędzonej u Isy wróciłam do fortu i zamknęłam się w swojej komnacie. Nikogo to nie dziwiło, gdyż czystym przypadkiem był to czas ciszy, skupienia i modlitw, jako że zaczął się właśnie muzułmański święty miesiąc zwany ramadanem.

Dziesięć wieków temu, w dziewiątym miesiącu księżycowego roku, pewien wędrowny handlarz imieniem Mahomet niedaleko Mekki doznał objawienia. Którejś nocy ukazał mu się archanioł Gabriel i wyszeptał, że Bóg wybrał go spośród wielu jako tego, któremu postanowił przekazać swe słowa. Wkrótce potem Mahomet zaczął głosić nowe nauki, które potem spisano, i tak powstał Koran.

Miesiąc, w którym Prorok doznał objawienia, zaczęto świętować, odmawiając sobie wszelkich doczesnych uciech, a nawet jedzenia i picia. Zgodnie z wolą Boga pościliśmy sumiennie od świtu do zmierzchu, post bowiem, mówi Bóg słowami Koranu, czyni nas wrażliwymi na cierpienia biednych, pomaga też osiągnąć duchowy spokój niezbędny człowiekowi, by mógł skupić się na modlitwie.

Pościłam jak wszyscy, zamknięta w swojej komnacie, pozwalając zarazem zasklepić się swoim ranom. Codziennie recytowałam nakazaną liczbę wersetów — trzydziestą część Koranu — tak że w ostatnim dniu postu mogłam odłożyć księgę z poczuciem, że nie uchybiłam żadnemu z boskich nakazów. W dniu święta Id al-Fitr kończącego ramadan byłam już zupełnie zdrowa. Gdy w całym mieście muzułmanie, przywdziawszy najlepsze szaty, zasiedli do hucznych biesiad w pięknie udekorowanych domach, mogłam odwiedzić ojca i jedząc z nim razem daktyle, obserwować z okna tysiące świątecznych latarń rozjaśniających ciemność niczym gwiazdy na nocnym niebie.

Już nazajutrz wróciłam do pracy. Choć uknuta przeze mnie intryga powiodła się zgodnie z moim życzeniem, przez kilka następnych miesięcy wciąż musiałam mieć się na baczności, Chondamir bowiem nie wybaczył mi kradzieży i bił mnie przy każdej możliwej okazji. Całe szczęście, że już nie tak dotkliwie jak tamtego strasznego wieczoru. Myślę, że bał się ojca, choć wolałby napić się wrzącego wosku, niż się do tego przyznać. Wiedział, że gdybym poskarżyła się na niego cesarzowi, spotkałby go pewnie tragiczny wypadek, hamował się więc na tyle, żeby nie przekraczać dopuszczalnych granic. Co oznaczało to w praktyce? Traktował mnie teraz bardziej jak niewolnika niż skazanego na śmierć przestępcę.

Zanim moje blizny zaczęły przypominać już tylko cienkie kreseczki, chłodne wiatry jesieni ustąpiły miejsca żarowi lata, ten zaś gwałtownym ulewom monsunu. W Agrze mamy tylko te trzy pory roku. Każdą z nich cenimy za jej pożytki, lecz najbardziej porę monsunu, bo to deszcze pobudzają do życia ziarno rzucone w glebę. Była właśnie pora monsunu, gdy w wieku dwudziestu jeden lat znalazłam się wraz z Isą, Nizamem i grupą zaufanych rzemieślników na barce płynącej do Delhi.

W ciągu kilku minionych miesięcy widywałam Isę jedynie na placu budowy, bo choć Aurangzeb, zmuszony bronić naszych granic, rzadko przebywał w Agrze, mógł zostawić tu swoich szpiegów. Podejrzywałam, że ma ich nawet pośród ludzi budujących mauzoleum, a Ladli podczas któregoś z naszych tajnych spotkań potwierdziła moje obawy. Powiedziała, że nie zna imion tych ludzi, ale wie, że jest ich kilku i że nakazano im donosić o wszystkich mych poczynaniach, jak również mieć oko na nasze wydatki.

Nie było dla mnie tajemnicą, że mój brat jest wściekły z powodu wyrzucania, jak mówił, tyłu cennych rupii na budowę tego mauzoleum. Starał się poszerzyć granice imperium, potrzebował zatem pieniędzy dla armii, tymczasem rosnące koszty projektu pochłaniały większość tego, co zdążyło wpłynąć do skarbcza. Budowa wymagała olbrzymiej ilości drogich materiałów, a liczba pracujących przy niej robotników sięgnęła dwudziestu dwóch tysięcy. Aurangzeb, a razem z nim wielu nobilów zaczął się więc domagać nałożenia wyższych podatków na ludność hinduską, lecz sprze-

ciwił się temu Dara i on też przekonał ojca, że trzeba odrzucić ten projekt. Aurangzeb miał zatem powody do złości.

Przez to wszystko życie komplikowało mi się coraz bardziej. Choć często myślałam o Isie i wspólnie spędzonej nocy, nie wolno mi było okazać, co do niego czuję. Większość dnia spędzaliśmy razem, doglądając robót przy wielkiej platformie, budowie głównej bramy i zakładaniu ogrodów, ale wciąż otaczały nas tysiące ludzi, wśród których czyjeś niezyczliwe oczy mogły wypatrzeć nasz sekret.

Mieliśmy na szczęście kilku oddanych ludzi, którym można było ufać bez zastrzeżeń. Byli to bliscy przyjaciele Isy i oni to właśnie towarzyszyli nam w drodze do Delhi, skąd mieliśmy przywieźć kolejny ładunek białego marmuru. Całe stado wołów ciągnęły w górę rzeki siedem nasyżych barek. Załadunek tych ciężkich, mało zwrotnych statków był rzeczą trudną i niebezpieczną. Isa chciał osobiście pokierować ludźmi, żeby nie dopuścić do wypadków, które mogły się zdarzyć podczas tak skomplikowanej operacji. Wiedziałam, z czego się to bierze: dręczyło go poczucie winy za śmierć czternastu robotników, którzy już zginęli przy budowie. Wdowom po nich dałam tyle złota, żeby wystarczyło im do końca życia, lecz czy złoto może zastąpić człowieka — męża żonie czy ojca dzieciom?

Była to moja pierwsza wyprawa do Delhi, byłam więc bardzo ciekawa, jakie też jest to miasto. Złożywszy wizytę moim siostram, udałam się na zwiedzanie. Jako wielki ośrodek handlowy i religijny Delhi szczyliło się mnóstwem meczetów i hinduskich świątyń. Meczety były ogromne i bardzo bogate; miały wspaniałe sklepienia, kopuły pokryte turkusowymi płytkami, a kamienne kratownice w oknach były tak kunsztowne, że sprawiały wrażenie koronki. Hinduskie świątynie były mniejsze, lecz za to znacznie liczniejsze. Kształtem przypominały ziemne kopce, które ktoś pomalował na różne kolory. Ich ściany — często różowe — pokryte były w całości jaskrawymi wizerunkami bogów i bogiń. W środku człowiek czuł się jak w grocie, a dźwiękom dzwoneczków i pieśni wtórowało niesamowite echo.

Tutejsze bazyry też były imponujące, zwłaszcza ten nowo powstały, mieszczący się na Czandi Czauk — placu Księżycowym. Choć jeszcze niecały teren wyłożono żółtym piaskowcem, a ozdobna sadzawka znajdowała się nadal w budowie, roiło się tu już od handlarzy, artystów i kupujących.

Jako że była to pora monsunu, nad całym placem rozpięto ogromne płótna chroniące kupców i ich towary przed nagłymi ulewami. Sprzedawano tu chińską porcelanę, sitary, kolorowe aksamity, kaszmirowe kobierce i wszelkiego rodzaju broń. Najzamożniejsi mogli tu dla kaprysu kupić sobie egzotyczne zwierzę; widziałam małpy, śpiewające ptaki, a nawet białe słońtako.

Wyroby prezentowane przez miejscowych artystów w niczym nie ustępowały temu, co można było dostać w Agrze. Jubilerzy oferowali wszelkiego rodzaju kamienie szlachetne, mistrzowie srebra lśniące kandelabry, srebrne lustra, kunsztowne wazy i tace. Nie brakowało przedmiotów ze złota, marmuru, gliny i drewna, a także bogatych strojów. Największy podziw budzili malarze, którzy stojąc przed sztalugami, wyczarowywali na płótnie wszystko, co przyszło im na myśl — czasami były to ptaki lub kwiaty naturalnej wielkości, lecz oglądałam też obrazy bitew i świątecznych zabaw, wizerunki cesarzy i zakochanych. Sami artyści nie odznaczyli się niczym szczególnym, ale ich dzieła były naprawdę wspaniałe. W naszych czasach malarstwo uchodziło zresztą za najszacowniejszą ze sztuk.

Nikt tu nie wiedział, że jestem księżniczką, mogłam więc wędrować sobie po bazarach, nie zwracając niczyjej uwagi. Było to dla mnie doświadczenie tyleż ekscytujące, co i pouczające. Pierwszy raz w życiu na przykład zdarzyło mi się targować, postanowiłam bowiem kupić wino i ananasy dla Isy i jego ludzi. Zwłaszcza za to wino byli mi niezmiernie wdzięczni.

Załadunek wszystkich naszych barek zajął nam aż siedem dni, podczas których chmurne niebo wciąż prawie raczyło nas deszczem. Ja miałam za zadanie odnotowywać wszystkie zakupione bloki marmuru i pilnować, żeby nas nie oszukano. Isa pokazał mi wszelkie możliwe wady, na jakie powinnam uważać, odrzucałam więc każdą płytę, na której dostrzegłam jakiegokolwiek pęknięcie, rysę czy trochę jakiegoś osadu, jak również takie, które nie miały wymaganej wagi. Los ten spotykał mnie więcej co piątą płytę, toteż właściciel kamieniołomu zaczął wkrótce patrzeć na mnie wilkiem. Ja z kolei musiałam patrzeć mu wciąż na ręce, niewiele więc czasu mogłam spędzać z Isą.

Dopiero po zachodzie słońca udawało nam się czasami wymknąć we dwójkę do miasta, aby zjeść tam razem wieczerzę. Wędrowaliśmy wtedy ulicami Delhi, szukając nieznanych potraw. Rzadko przypadają mi do gustu, za to bardzo lubiłam po prostu siedzieć w którymś z marmurowych pawilonów, sączyć wino i rozmawiać z Isą. Czasami gdy po trunku przybywało nam odwagi, zaczynaliśmy flirtować jak dwoje zwyczajnych zakochanych ludzi. Patrząc sobie w oczy, trzymaliśmy się za ręce i ciesząc się tą krótką chwilą szczęścia, marzyliśmy już o następnej.

Jakże pragnęłam, aby ta wyprawa trwała wiecznie! Tu, w Delhi, mogłam być sobą; nie było ludzi, których się bałam, a ponieważ nikt mnie tu nie znał, nie musiałam przestrzegać zakazów krepujących mnie w Agrze. Niekiedy wyobrażałam sobie, że Isa jest moim mężem, że istnieje tylko ta rzeczywistość, a Chondamir, obowiązki, intrygi to jedynie słowa bez znaczenia. Przy Isie mogłabym uwierzyć w każdą najśmielszą fantazję. Każde zadanie wydawało mi się łatwe, gdyż sama jego obecność napełniała mnie tak wielką, tak radosną energią, jakiej nigdy przedtem nie znałam.

Są ludzie, którzy sprawiają, że przy nich każdy czuje się lepiej; z Isą było inaczej — przy nim człowiek zaczynał czuć się ważny. Każda sugestia najskromniejszego nawet robotnika zasługiwała na jego uwagę i podkreślenie jej zalet, każda skarga wymagała zbadania i środków zaradczych. W przeciwieństwie do większości przełożonych Isa słuchał swoich pracowników. Słuchał ich z taką uwagą, jakby wszystko co myśli rozmówca, miało ogromne znaczenie, a gdy wreszcie wypowiadał swoje zdanie, zdumiewał przenikliwością, zrozumieniem dla cudzych racji i trafnością swoich decyzji.

Nie miał w sobie ani krzty próżności, toteż nigdy się nie wywyższał, czym zyskał sobie przychylność prawie całej swojej załogi, a ci, którzy byli z nami w Delhi, żywili dla niego wręcz wyjątkowy szacunek. Byli to świetni, doświadczeni kamieniarze o bystrych oczach i rękach poznanych licznymi bliznami. Robiłam wszystko, by zdobyć sobie ich przyjaźń — opatrywałam ich rany, gotowałam im nawet posiłki. Nie miałam talentów kucharskich, lecz starałam się nadrobić te braki, hojnie częstując ich winem, zanim zasiedli do stołu. Po jedzeniu przychodziła pora na śpiewy i różne gry; na prośbę zgromadzonych opowiadałam im także historyjki ze swego życia, chcieli bowiem wiedzieć, jak to jest być księżniczką. Już po dwóch takich dniach zaczęli mnie adorować.

Nizam, który większość życia spędził pośród kobiet, teraz zasmakował w męskim towarzystwie. Ci ludzie nie okazywali mu lekceważenia, z jakim wielcy panowie odnoszą się do kastratów. Bo też nie szczędząc swych potężnych mięśni, pomagał im, jak tylko mógł. Wkrótce nowi przyjaciele zaczęli z nim sobie żartować na temat życia w haremie, pytając go na przykład, czy przypadkiem którejś z konkubin nie znudziło się już tam tak dalece, że może pragnie odmiany? Widziałam, jak mój wierny towarzysz, zawsze tak ostrożny i pełen rezerwy, w obecności tych życzliwych ludzi zaczyna opuszczać gardę, jak wyłania się zza niej człowiek, którego dotąd nie znałam.

Pewnego popołudnia podczas modlitwy spostrzegłam, że się uśmiecha. Gdy go później o to zapytałam, odrzekł:

— Dziękowałam Bogu za tę podróż.

— Doprawdy?

Jego spojrzenie, prześliznąwszy się po mnie, pobiegło ku rzece.

— Rano podczas deszczu wybrałem się na spacer tam... brzegiem rzeki. Zobaczyłem na wodzie różowy lotos. Był piękny.

Wyobraziłam go sobie, jak podziwiał ten wspaniały kwiat, delektując się swoim poczuciem wolności. Bo dla niego musiała to być taka chwila.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwy — powiedziałam szczerze. — Zaslugujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny. — Wzruszył ramionami, lecz kiedy spojrzał mi w oczy, poczułam, że i on tak myśli. Choć jego prawe oko było trochę za duże, mnie się podobało. Pomyślałam nagle, że ten

człowiek jest mym przyjacielem, czy więc godzi się traktować go jak niewolnika? Zasłużył na lepszy los. — Nizamie — szepnęłam pod wpływem tej myśli — ofiaruję ci wolność, jeśli tego pragniesz.

— Wolność?

— Tak. Pozwalam ci odejść. Możesz to zrobić już teraz.

— Ale ja jestem przecież...

— Niewolnikiem? Nie. Jesteś człowiekiem. Dobrym, szlachetnym człowiekiem. Dość mi się nasłużyłeś. — Byłam zła na siebie, że nie zrobiłam tego znacznie wcześniej. Dawno już trzeba go było uwolnić. — Powinieneś odejść — powtórzyłam. — Mieć wreszcie w życiu trochę radości.

Wyprostował się na całą swą wysokość, jakby moje słowa napęłniły go nagle dumą.

— Dzięki ci, pani, ale moje miejsce jest tutaj. Przy tobie czuję się wolny.

— Nie jest to jednak prawdziwa wolność. Cóż z tego, że możesz chodzić, gdzie zechcesz, skoro wielu ludzi traktuje cię jak niewolnika.

— A niech tam! To bez znaczenia. Nie urodziłem się niewolnikiem i nie umrę jako niewolnik.

Zapragnęłam go za to uściskać, lecz znając go, wiedziałam, że byłby tym zażenowany, więc tylko skinęłam głową.

— Będzie, jak sobie życzysz, przyjacielu, wiedz jednak, że możesz odejść, gdy tylko tego zapragniesz. A na pożegnanie dam ci worek złota. Pozwoli ci ono całkiem zmienić skórę. Nizam niewolnik zniknie bez śladu.

— Może kiedyś tak zrobię.

Tego wieczoru wydawał się bardzo pogodny. Gdyśmy wyruszyli w drogę powrotną do Agry, zaczął nawet śpiewać swym głębokim głosem brzmiącym jak pomruk dalekiego sztormu. Była to pieśń napisana kiedyś przez Darę, pieśń o wielkim bogu Siwie; nasi ludzie, w większości Hindusi, podchwycili melodię i zaczęli ją nucić do wtóru, a odbijając od brzegu, w jej rytm wtykali w dno rzeki swe długie bambusowe tyki.

Była już noc. Mimo płonących na dziobie latarni ciemność z każdą chwilą zdawała się gęstnieć. Isa nie chciał wypływać tak późno, ale czas naglił, warto też było skorzystać z tego, że deszcz przestał padać i niebo było bezchmurne, co w porze monsunu zdarzało się bardzo rzadko. Na dziobie barki stanęło dwóch obserwatorów, którzy raz po raz przestawali śpiewać, by rzucić kapitanowi jakieś ostrzeżenie bądź wskazówkę. Choć nasz kapitan znał tutejsze wody niemal jak twarze swych dzieci, nakazał dziś wszystkim szczególną ostrożność. Sam też nie tylko nawet nie tknął trunku, lecz osobiście stanął przy drągu poruszającym koło sterowe. Barka obciążona ponad zwykłą miarę ogromnym ładunkiem marmuru niechętnie wykonywała każdy żądany manewr.

— Patrzcie dobrze, ludzie! — krzyknął Isa — Jeśli szczęśliwie dotrzemy do Agry, wypłacę wszystkim dodatkową dniówkę!

Odpowiedział mu okrzyk satysfakcji, po którym zapadła cisza. Isa bez słowa wziął mnie za rękę i ostrożnie poprowadził na sam szczyt całej góry marmurowych bloków. Spojrzałam na naszych ludzi — w świetle latarni widać było jedynie ich ciemne, wyprostowane czujnie sylwetki; nikt tej nocy nie zamierzał zasnąć. Przez większą część trasy Dżamna płynęła wprawdzie szerokim korytem, nie było tu też groźnych płycizn, nie wolno nam było jednak popełnić żadnego błędu.

Isa rozwinął swój dywan służący mu za posłanie i rozpostarł go na marmurze. Usiedliśmy na nim, z przyjemnością wciągając w nozdrza nocne powietrze pachnące deszczem i mokrymi liśćmi. Na niebie skrzyły się gwiazdy, dookoła panowała głęboka, kojąca cisza. Tylko czasami z ciemności wyłaniały się kontury samotnego domu lub błyskało ognisko siedzącego nad wodą rybaka. Niekiedy krzyknął jakiś ptak, plusnęła ryba, raz też z oddali dobiegł nas ryk tygrysa.

Było pięknie i tak spokojnie...

— Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś — powiedziałam cicho, podnosząc oczy na Isę. Przez tydzień nie przycinał brody, która rozrosła mu się niesforne, kontrastując dosyć zabawnie z jego wąską kanciastą twarzą. Lecz i to mi się podobało. Podobało mi się w nim wszystko: prosta żółta tunika, biały turban i szarfa. Czulałam, że pragnie mnie objąć; od owej nocy w jego pawilonie nie zrobił tego ani razu. Oboje przez cały ten czas unikaliśmy nawet lekkiego dotknięcia. — Czy mogę wiedzieć, o czym myślisz? — szepnęłam.

Spojrzał w niebo, po którym przemknęła nagle spadająca gwiazda, ja zaś pomyślałam, że może to dobry omen?

— Myślę — odszepnął — że byłoby cudownie pozostać z tobą w Delhi. Gdyby nie mauzoleum, chyba bym uległ pokusie.

— Rzuciłbyś wszystko, by zostać ze mną?

— Tak.

— Nic byśmy nie mieli.

— Nic, Jaskółeczko? A może wszystko?

— Powiedz mi, co by to było — poprosiłam, przysuwając się do niego bliżej.

Nigdy dotąd nie mówił, że pragnie być ze mną czy że za mną tęskni, choć czasami dawał mi to do zrozumienia. Teraz też zawahał się lekko, jakby ogarnął go lęk, że wyjawiając mi swe uczucia, może urazić mą godność.

— Ty... miałabyś całą mą miłość. Nic innego nie mógłbym ci ofiarować.

Tak długo czekałam na te słowa! Marzyłam o nich, lecz nawet w najśmielszych snach o tej chwili nie byłam taka szczęśliwa jak teraz, gdy je usłyszałam.

— Każ więc zawrócić barkę.

— Naprawdę byś tego chciała?

Zamyśliłam się nad tym.

— Sama nie wiem, Iso... Jestem potrzebna mojemu ojcu i bratu. Czy mogę... — urwałam, bojąc się go urazić jakimś niebacznym słowem — ...czy wolno mi stawiać miłość do ciebie ponad obowiązek wobec nich samych i wobec całego imperium? A ty? Czy mógłbyś porzucić swe dzieło? Ono jest przecież o wiele ważniejsze ode mnie!

Objął mnie ramieniem i mocno przytulił.

— Kocham cię, Dżahanaro.

— Ja też cię kocham, mój drogi.

— Czy wiesz, o czym myślę, gdy rysuję swoje projekty? O tobie. Cały czas mam twą twarz przed oczyma i staram się oddać jej piękno i urok w swych szkicach. Pamiętam cudowny kształt twego ciała i pragnę go nadać tej naszej wielkiej budowli.

— Naprawdę? — spytałam ze szczerym zdumieniem.

— Widząc, jak słońce odbija się w twym policzku, myślę, że tak właśnie powinno tańczyć po marmurze. Kształtując kamień na tвое podobieństwo, bronię się przed bólem, jaki sprawia mi myśl, że nigdy nie będziesz moja, że cię nie mogę uczynić matką moich synów i córek.

— Więc to nie moja matka jest twoim natchnieniem?

— Nie, ty nim jesteś. Nie mogę cię kochać, jak mąż kocha żonę, więc chcę ci inaczej okazać swą miłość. Powiedzieć ci o niej tym, co buduję. Tylko w ten sposób wolno mi ją ujawnić przed światem. Pierwszy kamień, który położyłem, ma wyryte na spodzie twoje imię, a na ostatnim, jeśli Bóg pozwoli mi go położyć, wyryję oba nasze imiona.

Pocałowałam go w usta. W pierwszej chwili drgnął i zeszywniał, ale potem tamy runęły; gwałtownie chwycił mnie w objęcia, a ja... W chwili gdy jego wargi dotknęły moich, świat jak szalony zawirował mi przed oczami. Mruczając moje imię i gładząc mnie po twarzy, jał zasypywać pocałunkami moje zamknięte oczy i czoło, a potem na długą cudowną chwilę zwarły się znów nasze usta.

Z westchnieniem, które brzmiało jak jęk, oderwał się w końcu ode mnie, unosząc ze sobą swój zapach... słodko-gorzki jak sok cytrynowy.

— To niemożliwe — powiedział urywanym głosem. — Za dużo... mamy do stracenia.

Położyłam mu głowę na ramieniu, choć nade wszystko pragnęłam go dalej całować.

— Kocham cię, Iso. Kocham i strasznie cię pragnę, ale wiesz...

— Co, Jaskółeczko?

— Boję się tego, co może nam przynieść ta miłość. Boję się, że nas zgubi.

ROZDZIAŁ 9

Miłość

W dniu, który miał przynieść całkowitą odmianę mych losów, stałam na placu budowy, przyglądając się naszemu dziełu. Mijał czwarty rok prac przy mauzoleum i można już było dostrzec efekty naszych wysiłków. Można też było uwierzyć, że kiedyś będzie tu pięknie.

Na południowym krańcu ogromnej parceli stała już główna brama z czerwonego piaskowca, sięgająca wysokości trzydziestu mężczyzn. Na północ od niej rozciągały się ogrody. Pod wpływem tego, co o Rajskim Ogrodzie mówi Koran — że płyną tam cztery rzeki — Isa zaprojektował dwa krzyżujące się kanały, by podzielić nasze ogrody na cztery jednakowe części. W środku każdego kwadratu znajdował się okrągły zbiornik wodny zbudowany z białego marmuru. Otaczający je teren wypełniono gęsto sadzonkami cyprysów i drzew owocowych; liczyliśmy, że do czasu ukończenia głównej budowli te drzewa już tak się rozrosną, że utworzą zielony baldachim, pod którym będą kwitły kwiaty.

Samo mauzoleum, usytuowane pomiędzy ogrodami a rzeką, rosło w tempie kroków kulawego słonia, ale rosło. Gotową już prawie kwadratową platformę wysokości palmowego drzewa, zbudowaną ze wzmocnionych kamiennych bloków, trzeba było dopiero pokryć płytami białego marmuru — a była taka ogromna, że dzieci urządzały tu sobie zawody, próbując przebiec bez oddechu z jednego krańca na drugi. Udawało się to tylko nielicznym.

Podstawa mauzoleum była już także gotowa. Isa tak zaprojektował tę budowlę, że jej kształt — dzięki zewnętrznym rzędom dwupiętrowych arkad o ściętych rogach — miał być połączeniem kwadratu i ośmioboku. Właśnie te arkady miały nadać zarówno wdzięk, jak i lekkość całej ogromnej konstrukcji, stanowiąc zarazem podporę dla wieńczącej ją wielkiej kopuły.

Jako że dość niedawno rozpoczęto budowę tych arkad, mogłam je sobie tylko wyobrażać, oglądając rysunki Isy, zwłaszcza że prawie wszystko co już stało, zasłaniały bambusowe rusztowania. Swą kunsztowną konstrukcją przypominały one gigantyczną klatkę dla ptaków, a uwijały się po nich setki robotników. Niektóre fragmenty owych rusztowań wzmocniono wieżami z cegieł, w których mistrzowie murarscy umieścili urządzenia wyciągowe. Pracujące na dole słonie ciągnęły liny, na których kamienne bloki jechały w górę, tam zaś już ludzie za pomocą potężnych dragów przesuwali je na miejsce. Bloki te łączono żelaznymi kołkami i spajano zaprawą murarską.

Cały ten proces był dość niebezpieczny, a ryzyko rosło wraz z wysokością. Mieliśmy szczęście, jeżeli w ciągu tygodnia nie zdarzył się żaden śmiertelny wypadek. Wszystkie te tragiczne

zgony leżały nam kamieniem na sumieniu, ludzi natomiast, rzecz dziwna, wcale nie odstraszały. Mieliśmy więcej chętnych do pracy, niż ich było trzeba. Rzemieślnicy, często prawdziwi artyści w swym fachu, przybywali tu nawet z bardzo dalekich krajów, a Isa odbywał z nimi wciąż wielogodzinne nocne konferencje.

Umyślił sobie, że ściany całego mauzoleum zostaną ozdobione kunsztownymi ornamentami z kamieni półszlachetnych, toteż najlepsi artyści przywozili mu próbki swych umiejętności — hinduscy rzeźbiarze wspaniałe kwiaty z jadeitu, kaligrafowie zaś nierzadko całe marmurowe płyty z fragmentami poezji lub wersetami z Koranu przepięknie wyrytymi w kamieniu i wypełnionymi ciemnoniebieskim lazurytem.

Czasami już myślałam, że ta budowa nigdy się nie skończy, jednak owego ranka byłam w bardzo dobrym nastroju. Wciąż jeszcze panował chłód, po niebie płynęły chmury, chroniąc nas od żaru; z Czerwonego Fortu przybył akurat posłaniec, który przyniósł wiadomość, że za chwilę odwiedzi nas cesarz. Wypatrywałam zatem ojca, z góry ciesząc się na to spotkanie. Dobrze znał się na architekturze, korzystałam więc często z jego wskazówek, a Isa wielokrotnie omawiał z nim swoje i jego pomysły.

Obserwując go teraz idącego przez ogrody w moją stronę, czułam dumę, poruszał się bowiem jak młodzieniec, a co jeszcze ważniejsze, był niezwykle szlachetnym władcą i nasi robotnicy potrafili to docenić. Na ich ukłony odpowiadał nie krótkim skinieniem głowy — jak większość wysoko postawionych osób — lecz przyjaznym słowem i uśmiechem. Miał dobrą pamięć do twarzy i imion, toteż zyskał sobie ogromną sympatię wielu mistrzów, którym uczynił zaszczyt, pytając ich o dzieci i żony. Tak było i teraz. Gdy zbliżył się do mnie, jego zbrojna eskorta dyskretnie pozostała w tyle.

— Dzień dobry, moje dziecko — powiedział na powitanie.

— Co nowego?

Wzięłam go pod rękę i poszliśmy w stronę platformy, omijając piętrzące się wszędzie sterty piaskowca, metalowych gwoździ, bambusowych prętów i lin. Kończyła się pora upałów i z ziemi poznaczonej skamieniałymi śladami słoń, jak również mnóstwem ich odchodów, unosiły się obłoki kurzu.

— Potrzebujemy więcej barek, ojcze — odrzekłam. — Za mało mamy kamienia, a za dużo ludzi.

Kiedy w odpowiedzi skinął głową, wiedziałam, że sprawa będzie załatwiona. Tym, co spędzało mu teraz sen z powiek, była myśl, że nie dożyje końca tej budowy.

— Ogrody będą piękne — stwierdził, wskazując obsadzone drzewkami kwadraty. — Czy rzeka odpowiednio je nawadnia?

Isa tak zaprojektował te ogrody, żeby oba kanały oraz wszystkie fontanny zasilane były wodą z rzeki. Służył temu cały system podziemnych urządzeń.

— Doskonale — odrzekłam. — Trzeba by naprawdę wyjątkowej suszy, żeby woda przestała tu docierać.

My dotarliśmy właśnie do środkowych schodów prowadzących na platformę. Pokonawszy szerokie stopnie, ojciec zauważył z satysfakcją:

— Szybko rosną te minarety.

W rzeczy samej osiągnęły już połowę swojej wysokości; miały po ukończeniu być niewiele niższe od kopuły. Podobnie jak samą platformę należało je jeszcze obłożyć białym marmurem. Wielkie płyty cennej okładziny leżały nieopodal, czekając na moment, aż budowniczowie wmurują ostatni kamień.

Nie zważając na swe klejnoty i cenną jedwabną tunikę, ojciec wdrapał się na rusztowanie przy fasadzie głównej budowli. Poszłam za nim, choć żeby się tam dostać, trzeba było leżeć po drabinie. Rusztowanie łączyła z murem dość wąska drewniana kładka. Przeszliśmy po niej, nie patrząc w ziejącą pod nogami przepaść. Pokryci kurzem ludzie stali tu, siedzieli bądź klęczeli, szlifując kamienie, łącząc je zaprawą lub wykrzykując komendy setkom swych podwładnych wykonujących dziesiątki innych ważnych zadań.

I oto stanęliśmy nagle w najwyższym punkcie budowy. Gdyby mauzoleum było kobietą — ojciec wszak sobie życzył, aby Isa oddał w tej budowli cały niewieści wdzięk — bylibyśmy dopiero na wysokości jej kolan. Idąc po deskach tworzących prowizoryczną dróżkę, ojciec dotarł do samego środka mauzoleum, gdzie przystanął i otarł pot z czoła. Wydawał się głęboko pogrążony w myślach, postanowiłam więc mu nie przeszkadzać. Byłam pewna, że myśli o matce — w takich chwilach zapominał o całym świecie. Nadal odczuwał dotkliwy ból po jej stracie — czas tylko trochę stępił jego ostrze.

Nigdy nie zapomnę pierwszych paru lat po jej śmierci. Ojciec odrzucił wtedy wszelkie doczesne uciechy. Nie nosił klejnotów ani swoich pięknych tunik, nie brał udziału w żadnych uroczystościach, tańcach czy grach, a w swych komnatach zakazał nawet muzyki. Nie odwiedzał też swoich kobiet. Teraz wprawdzie powrócił do pełnienia obowiązków władcy, lecz jego nastrój niewiele się zmienił. Nadal trawiła go melancholia.

— Jest tu, pod nami — szepnął po chwili. — Moja Mumtaz Mahal.

Wysadzany perłami sarkofag matki spoczął pod korpusem głównej budowli, tak że dostać się do niego można było tylko specjalnym podziemnym przejściem. Zgodnie z przyrzeczeniem danym Ardżumand, gdy leżała na łożu śmierci, ojciec odwiedzał jej grób w każdą rocznicę tej tragicznej nocy.

— Pewnego dnia, ojczy, spoczniesz obok niej.

— Oby Bóg był dla mnie tak łaskaw.

— Matka będzie ci wdzięczna za to piękne mauzoleum...

— Tadż Mahal — poprawił mnie cicho. — Taką będzie nosić nazwę. Zeszłej nocy Bóg zesłał mi sen, sen o twoich narodzinach.

— Tak? No i co?

— To właśnie wtedy po raz pierwszy nazwałem twą matkę „Tadż Mahal”.

— Mauzoleum powinno nosić jej imię, ale skąd się wzięło to „Tadż”? — Pamiętałam, że gdy byli sami, nazywał ją „Mumtaz Mahal”.

— Z czasem z „Mumtaz” pozostało „Taz”, które zmieniło się w „Tadż” — odrzekł ojciec z wątlým uśmiechem. Zdjął okulary i zamknął oczy. — Gdyśmy byli tylko we dwoje, zawsze mówiłem jej „Tadż”.

Czułam, że nadal straszliwie mu jej brakuje. Było mi z tego powodu smutno, lecz równocześnie bylam mu wdzięczna za to, że tak bardzo kochał moją matkę. Że kocha ją nawet po śmierci.

— Nie chcesz się znów ożenić? — spytałam, biorąc go za rękę.

— Nie. Czekam chwili, gdy się z nią połączę.

Skinęłam głową, ale chyba tego nie widział, pogrążony w myślach o przeszłości. Ja też pozwoliłam ponieść się wspomnieniom, zobaczyć oczyma duszy ich dwoje, jak idą powoli brzegiem Dżamny, zapatrzeni w siebie, niebacznii na nic poza swą miłością.

— Ojczy?

— Tak?

— Gdyby twoja Tadż miała innego męża, ty zaś mógłbyś być tylko jej przyjacielem... wytrzymałbyś to? Powiedz.

Pokręcił głową.

— A czy pszczoła przez cały swój żywot chciałaby pić wodę, mając przed sobą puchar słodkiego nektaru? Czy górski kozioł chciałby żyć w dolinie, gdyby dookoła piętrzyły się skały, po których mógłby się wspinać? Nie, moje słodkie dziecko. Ja także nigdy nie zaznałbym zadowolenia jako jeden z przyjaciół twjej matki. Byłbym nawet smutniejszy, niż jestem teraz.

Na długą chwilę zapadło milczenie, a potem ojciec poszukał wzrokiem mych oczu. Uświadomiłam sobie wtedy, że zrozumiał, z czego mu pragnę się zwierzyć. O tak, mój ojciec był bystrym obserwatorem i znał kobiety, a nasze serca — jego i moje — były do siebie podobne. Teraz on mnie ujął za rękę.

— Miłość, Dżahanaro, jest cenniejsza niż złoto, trzeba więc jej szukać, a znalazłszy, iść za jej głosem. Lecz niechaj ów pościg nie zwraca uwagi innych myśliwych. Albowiem miłość, zwłaszcza ta, która cię teraz przyzywa, może być ogromnie niebezpieczna.

Jego przenikliwość bynajmniej mnie nie zdziwiła; zadowolona, że odkrył mój sekret, ucałowałam go w policzek.

— Uwielbiam cię, ojcze.

— Tak, moje dziecko — powiedział po chwili. — Nigdy nie odmawiaj sobie miłości, bo czyniąc tak, odrzucasz największy dar Boga. A kim my jesteśmy, by wolno nam było sprzeciwiać się Panu?

Przez cały następny tydzień dumałam nad radą ojca. Głowę miałam tak tym nabitą, że nie mogłam skupić się na pracy. Popełniłam nawet kilka błędów, co dotychczas mi się nie zdarzało. Gdy w pewnej chwili Isa warknął na mnie, zamówiłam bowiem żelazne kołki nie tej wielkości, co trzeba, rozżalona i wściekła wypadłam jak burza z jego pawilonu. Jak on może żądać ode mnie, żebym myślała o kołkach, kiedy w grę wchodzi nasz los?

Unikałam go do końca tego dnia, a potem przez dwa następne, bo jego uśmiech działał na mnie jak sok z limony na rozciętą wargę. Być z nim i nie móc go dotknąć, rozmawiać, ale nie o tym, co mi leży na sercu? Nie mogłam już tego wytrzymać. Najgorsze, iż w żaden sposób nie umiałam wymyślić nic takiego, co by pozwoliło nam być razem. Mimo że Chondamir na moich oczach uprawiał rozpustę, mnie by z pewnością zabił, gdyby odkrył, że jestem niewierna, Aurangzeb zaś, dowiedziawszy się o tym, wykorzystałby tę wiadomość nie tylko przeciwko mnie, lecz i przeciw budowie Tadż Mahal — jak na prośbę ojca zaczęliśmy nazywać teraz mauzoleum. Cały projekt niechybnie stanąłby pod znakiem zapytania, gdyby głównego architekta przyłapano na cudzołóstwie z zamężną córką cesarza.

Isa nie pojmował powodów mojego nagłego chłodu. Często przyzywał mnie gestem, ale udawałam, że tego nie widzę. Nizam na jego prośbę próbował — dość, jak to on, niezręcznie — dowiedzieć się, co jest na rzeczy, lecz oparłam się owym próbom. Dlaczego, myślałam z goryczą, mój ukochany, który kiedy indziej potrafi tak dobrze wyczuwać moje emocje, w tej akurat sprawie wydaje się całkiem ślepy? Ojciec natychmiast wiedziałby, o co chodzi. Cóż, może zbyt wiele wymagałam od Isy, spodziewając się po nim tego samego? Tak czy inaczej nie spełnił moich oczekiwań i to sprawiło, żeśmy się zaczęli od siebie oddalać. Kiedy nagle wyjechał do Delhi, poczułam ulgę. Tylko że zaraz znienawidziłam się za to.

Zaczęłam mniej czasu spędzać na budowie, a więcej z moim nic niewartym mężem. Wciąż się spodziewał, że dam mu syna, ja zaś z braku nadziei, że los kiedykolwiek pozwoli mi połączyć się z moim ukochanym, starałam się spełnić jego życzenie. Pewnej nocy — chyba z desperacji —

zaczęłam mu nawet szeptać słodkie słówka, na co ryknął szyderczym śmiechem. Nie przestawał się ze mnie wyśmiewać, dopóki zmęczona płaczem nie zapadłam nareszcie w sen. Dni mijały, a ja byłam coraz nieszczęśliwsza.

Kiedy ojciec poprosił mnie w liście, żebym rozstrzygnęła spór dwóch nobilów zamieszkanych we wschodniej części imperium, zgodziłam się na to z ochotą. Przedtem każda taka misja — a było ich kilka — nappełniała mnie przerażeniem, teraz wprost przeciwnie, cieszyłam się, że mogę opuścić Agrę. Tak pilno mi było wyjechać, że następnego dnia już przed świtem byłam gotowa do drogi. Towarzyszył mi Nizam i czterech wojowników ojca.

Jechaliśmy na północ słynną w świecie drogą zwaną przez angielskich kupców Długim Szlakiem. Faktycznie był bardzo długi; do Delhi biegł równolegle do Dżamny, a potem odbijał trochę na zachód, prowadząc dalej do Lahaur. Po obu stronach tej drogi rosły rzędy cienistych drzew, nie brak też było zajazdów i kramów z różnymi towarami. Po stronie zachodniej aż po horyzont ciągnęły się pola; na jednych uprawiano ryż, na innych cebulę i sałatę, na jeszcze innych melony, winogrona i mango. Po stronie wschodniej, przeglądając się w rzece, stały wspaniałe pałace bogaczy. Jako dziecko byłam w kilku takich rezydencjach, wiedziałam więc dobrze, jaki panuje tam przepych. Pamiętałam marmurowe sadzawki i ozdobne kanały pokryte białymi kwiatami lotosu, pomiędzy którymi pływały ryby. Po ogrodach przechadzały się przepiękne ptaki — pawie i żurawie — wszędzie też stały pawilony o bogato złożonych kopułach. Całe watahy służących dbały o zachowanie porządku i piękna w tych istic królewskich włościach, a uzbrojeni strażnicy bronili dostępu każdemu, kto by chciał tam wejść bez zaproszenia.

Długi Szlak roił się od ludzi. Ciągnęły nim liczne karawany kupców na wielbłądach, regimenty zbrojnych wojowników, nabożni pielgrzymi zdążający do świętych miejsc, a czasami także jezuici. Nosili czarne aksamitne szaty i szerokoskrzydłe kapelusze, a ich wierzchowce były zawsze najlepszej krwi. Na szyjach owych duchownych wisały różańce przypominające subhy, których muzułmanie używają do wyliczania Najpiękniejszych Imion Boga. W czasie jazdy często czytali Biblię, mamrocząc pod nosem jakieś słowa w dziwnie brzmiących językach.

Dopiero późnym rankiem wyrwaliśmy się z tej ciżby, żeby skrócić na wschód. Przejechawszy na drugi brzeg rzeki po kamiennym moście, zaczęliśmy się od niej oddalać, a im dalej byliśmy od Dżamny, tym ziemia stawała się suchsza. Nie było tu figowców, które w Agrze ocieniały kwietne łąki, ani bambusowych gajów, z których niósł się odgłos podobny do jęku, gdy ich pnie ocierały się o siebie. Przy tym spękany od suszy trakt kuliły się tylko wątłe zarośla. Spod kopyt naszych koni nieustannie unosiły się tumany kurzu, który wdzierał się w uszy, usta i oczy, nie mówiąc o nosie i włosach. Próbowaliśmy go wypluwać, ale gardła mieliśmy tak suche, że nawet chrząknięcie sprawiało ból.

Na szczęście po pewnym czasie krajobraz zaczął się zmieniać — równina przeszła w małe łagodne pagórki. Przybyło nam ducha, gdy brązowa linia horyzontu ustąpiła miejsca smudze zieleni. Słońce kończyło swą dzienną wędrówkę; nasze cienie stawały się coraz dłuższe, by wreszcie zupełnie zniknąć. Już w pobliżu celu tej podróży nasi czterej strażnicy zsiadli z koni i zaczęli rozbijać obóz na jakimś trawiastym pagórku. Ojciec nakazał im dalej nie jechać; mieli czekać tu na mnie, dopóki nie zakończę wyznaczonej misji, po czym wrócić wraz ze mną do Agry.

Zgodnie z instrukcjami ojca miałam wraz z Nizamem zatrzymać się w pewnym zajeździe stojącym nad rzeką Ganges. Wzięła ona nazwę po miłosiernej hinduskiej bogini imieniem Ganga, która jako rzeka Ganges wypłynęła z włosów boga Śiwy, aby służyć ludziom, użyźniając ziemię i czyniąc ją świętą. Według hinduskich wierzeń ktokolwiek zanurzył się w jej świętych wodach, zostawał oczyszczony z grzechów.

Nigdy nie widziałam tej owianej legendą rzeki, lecz gdy dotarliśmy wreszcie do zajazdu, byłam już zbyt zmęczona, aby ją podziwiać. Gdy tylko Nizam pomógł mi zsiąść z konia, odszukaliśmy gospodynię, życzliwą starą kobietę, która wskazała nam nasze kwatery. Nizam jednak wolał spać nad rzeką, poprosił więc tylko o derkę. Życząc mu dobrej nocy, udałam się do swej izdebki.

Mieściło się tu tylko posłanie, ceber z wodą, stolik i latarnia. Miałam właśnie rozpakować rzeczy, gdy spostrzegłam leżący na podłodze list opatrzony cesarską pieczęcią. Czyżby ojciec chciał mi udzielić wskazówek, jak powinnam rozstrzygnąć spór tych nobilów?

List nakreślony jego eleganckim charakterem pisma zawierał taką oto treść:

Najsłodsza Dżahanaro!

W jaki sposób ojciec może powiedzieć dziecku o pewnych sprawach? Wyznać, że kocha je bardziej od swych pozostałych dzieci? Bo czyż rodzic nie powinien miłować ich jednakowo? Allah by odrzekł, że tak, lecz ja, niechaj mi Bóg to wybaczy, nie mogę. Albowiem to Ty i tylko Ty przynosisz największą radość memu sercu. Ty jesteś tą, w której żyje Mumtaz Mahal, miłość mego życia i sprawczyni wszystkiego, co w nim dobre. Kiedy się śmiejesz lub gdy udzielasz mi rad mądrzejszych niż słowa moich najlepszych doradców, widzę ją w Twojej twarzy, słyszę w Twoim głosie.

Spytałaś mnie, co robić, gdy nawiedza nas prawdziwa miłość, jaka zdarza się tylko niewielu szczęśliwcom, a ja odrzekłem, że należy iść za jej głosem. Wierzę, iż tak być powinno, choć nasz obyczaj nie zezwala na to kobietom, a za jego złamanie grozi potępieniem. Twoja matka często powtarzała, że niewiastom powinny przysługiwać takie same prawa do miłości, jakimi się cieszą mężczyźni, a ja wyznam Ci teraz w sekrecie, że się z nią zgadzam.

Lecz czy Tobie, Dżahanaro, wolno jawnie biec za swą miłością, skoro może Ci to grozić śmiercią? Czyż jakakolwiek mrówka jest aż tak nieostrożna, by w pogoni za pokarmem wchodzić w czyhającą na nią sieć pająka? Oczywiście, że nie, i Ty też nie powinnaś. Niech Twoja miłość sama Cię znajdzie. I to właśnie zamierzam Ci dziś zaofiarować.

Nie ma żadnego konfliktu nobilów, który by wymagał Twojej uwagi. Ten zajazd to dobra kryjówka, a jego właścicielka jest mą zaufaną przyjaciółką. Wasz sekret będzie tam bezpieczny. Zostańcie tam przez trzy dni i cieszcie się sobą, wracajcie zaś osobno i o różnych porach. A kiedy się znów zobaczymy, zapytam Cię tylko, czy zachowałaś bodaj jeden pocałunek dla swojego ojca.

Twoje szczęście leży mi na sercu.

Zaczęłam drżeć ze wzruszenia, gdy dotarła do mnie treść listu. Choć było mi strasznie żal niszczyć coś tak pięknego, podarłam go na kawałki z obawy, by nie dostał się przypadkiem w jakieś niewłaściwe ręce. Z biciem serca wyjęłam z sakwy lusterko — jak ja wyglądałam po całym dniu w siodle? To co zobaczyłam, potwierdziło moje obawy. Zrzuciwszy ubranie, oczyściłam się z kurzu na tyle, na ile to było możliwe za pomocą zmoczonego płótna. Przywdziawszy potem suknię malowaną w motyle, związałam ją ciaśniej niż zwykle — aby uwydatnić wszystkie swe walory. Wtarłam w skórę parę kropelek pachnidła, a we włosy wpięłam orchideę z ogrodu naszej gospodyni. Zaczęłam porządkować rozrzucone rzeczy, gdy zza drzwi doszedł mnie odgłos kroków.

— Dżahanaro?

To był on, ociekający wodą i mocno zmieszany. Pewnie myślał, że wciąż się na niego gniewam.

— Właśnie kapałem się w rzece... — wyjaśnił urywanym głosem — ...i zobaczyłem Nizama...

— Ojciec mnie tu przysłał — odrzekłam. Pragnęłam zaprosić go do środka, lecz widząc jego niepewną minę, trochę się zawahałam.

— Ja zaś dostałem od niego list. Napisał, że mam bez zwłoki spotkać się tu z jakimś architektem.

— Ja jestem tym architektem.

— Ty?

— Ojciec to wszystko ułożył. Tak, Iso. Kazał nam tu przyjechać, żebyśmy mogli być razem.

— On wie...?

— Wie, że cię kocham.

— Ale w zeszłym tygodniu byłaś taka...

— Nienawidzę się za to! Byłam taka chłodna, bo się bałam, że wyjdzie na jaw, jak bardzo cię kocham, ale tu nie musimy się niczego lękać. Tutaj jesteśmy bezpieczni.

Wszedł do izby z wyciągniętą ręką, aby dotknąć mojego podbródka.

— Twój ojciec pozwala nam się kochać? — Kiedy skinęłam głową, na usta powrócił mu ten krzywy uśmiech, za którym tak bardzo tęskniłam. — Niezwykły z niego człowiek!

Jakże pragnęłam znaleźć się w jego ramionach! Tak strasznie tęskniłam za jego bliskością, że tętno waliło mi jak oszałałe. To ja przyciągnęłam go do siebie i westchnęłam głęboko, czując na sobie jego mokre ręce. Odgarnąwszy mi włosy, pieszczotliwie powiódł dłonią po karku, a potem mnie pocałował. Ach, ten pocałunek! Był tak namiętny i zarazem tak niewiarygodnie delikatny! Wymruczałam jego imię, on zaś pytającym gestem dotknął mojej sukni i popatrzył mi w oczy, a gdy skinęłam głową na znak przyzwolenia, szybko ją rozwiązał i pozwolił opaść na podłogę. To samo stało się z resztą ubrania. Nie próbując mnie dotknąć, zrobił krok do tyłu i zaczął przyglądać mi się takim wzrokiem, jakby miał przed sobą zbudowany przez siebie meczet.

— Jakaś ty piękna! — wyszeptał. — Jak możesz być aż taka piękna?

Ujęłam go za ręce i położyłam sobie na piersiach, a on powoli obwiódł je dłońmi. Zawsze wstydziłam się swojej nagości; zdawało mi się, że bez ubrania jestem słabsza od tego, kto na mnie patrzy, teraz jednak było zupełnie inaczej — czułam się pełna jakiejś dziwnej mocy. Teraz dopiero rozumiałam to, co często mawiała mi matka: kobiecości nie trzeba się wstydzić. Widziałam, że stojący przede mną mężczyzna nie tylko mnie nie uważa za gorszą od siebie, lecz wprost przeciwnie, jestem dla niego kimś zgoła niezwykłym, godnym podziwu i czci.

Kiedy mnie wreszcie dotknął, dreszcz przebiegł po całym moim ciele. Teraz ja zajęłam się jego ubraniem, i po chwili on też był nagi. Ze swym szczupłym muskularnym ciałem prawie pozbawionym owłosienia i długimi mocnymi nogami w niczym nie przypominał mego tłustego, włochatego męża. Wziął mnie na ręce i ostrożnie ułożył na posłaniu. Poszukałam jego ust — i nasze pocałunki zaczęły stawać się coraz gorętsze. Tak niecierpliwie pragnęłam poczuć go w sobie, że sama ujęłam w dłoń jego męskość i naprowadziłam we właściwe miejsce. W przeciwieństwie do mego męża, który rzucał się na mnie z impetem wściekłego buhaja, mój ukochany wcale się nie spieszył. Jego ruchy przypominały powolny rytm wiosła zagłębiającego się w wodę, ja zaś ku swemu zdziwieniu uświadomiłam sobie w pewnej chwili, że mu odpowiadam tym samym.

— Jakże cię kocham, moja Jaskóleczo — wyszeptał bez tchu.

Zacisnąwszy dłonie na twardych mięśniach jego grzbietu, przywarłam do niego jeszcze mocniej i nagle wezbrało we mnie coś trudnego do opisania, coś, czego nigdy dotąd nie zaznałam. Było to jak fala wzbijająca się wyżej i wyżej, aż w końcu nie mogłam już tego wytrzymać. Krzyk-

nęłam, gdy wstrząsnął mną spazm. W tej samej chwili Isa zeszywniał i osunął się na mnie z głośnym okrzykiem.

— A więc taka jest miłość — westchnęłam trochę później, trzymając go w ciasnym uścisku. Pocałował mnie radośnie, a ja objęłam go jeszcze mocniej.

Świat przestał dla nas istnieć. Nic poza nami dwojgiem nie miało teraz znaczenia — strach i nienawiść, przeszłość i przyszłość. Przeszkadzał nam tylko ten wąski, dzielący nas skrawek przestrzeni, lecz i on po małej chwili zniknął.

Cudowne trzy dni minęły jak mgnienie oka. Podczas śniadań towarzyszył nam Nizam, który cieszył się naszym szczęściem — miał to wyryte na twarzy. Poczytywał sobie za zaszczyt, że oboje z Isą nazywamy go swym przyjacielem. Tylko on poza moim ojcem wiedział, co nas łączy. Myślę, że sprawiało mu to satysfakcję i że dałby się raczej zabić, niż zgodził się wyjawić naszą tajemnicę. Rozumiejąc, że chcemy być sami, zaraz po śniadaniu zniknął gdzieś dyskretnie i wracał dopiero o zmierzchu.

Przez owe trzy dni nie chcieliśmy myśleć o niczym, co wiązało się z Agrą; nawet Tadź Mahal rzadko pojawiał się w naszych rozmowach. Woleliśmy urządzać wyprawy odkrywcze brzegami Gangesu lub zapuszczać się w dalsze jego okolice. Z jedzeniem w koszyku jechaliśmy przed siebie, napotykając po drodze zwykle tylko dzikie zwierzęta. Była ich tu wielka różnorodność: lisy, gepardy, tygrysy, szybkonogie gazyle i majestatyczne orły. Czasami trafiała się i kobra. Niewiele było za to ludzkich siedzib. Ich nieliczni mieszkańcy na nasz widok porzucali swe zajęcia — zbieranie ryżu bądź patroszenie ryb — i przyglądali nam się szeroko otwartymi oczami. Rzadko pewnie widywali obcych. Machaliśmy do nich rękami, nie wdając się jednak w rozmowy.

Bawiliśmy się jak dzieci. Rozpędziwszy konie, rzucaliśmy kamieniami przez rzekę — kto dalej? — lub zeskoczywszy z siodeł, zaczynaliśmy się gonić po zżętych polach pszenicy. Czasami, pewni, że nikt nas nie widzi, rozkładaliśmy derki w jakimś ustronnym miejscu, aby kochać się pod gołym niebem. Z początku trochę się przed tym wzdragałam — księżniczce nie przystoi przecież taki bezwstyd — lecz pod wpływem łagodnych perswazji Isy wyzbyłam się i tych oporów, i wszelkich wyrzutów sumienia. Zrozumiałam, że ciało ma swoje potrzeby, a zaspokajanie ich nie jest grzechem. Za każdym razem odbywało się to inaczej — zależnie od warunków; czasami z wielkim pośpiechem, kiedy indziej spokojnie i czule. Każdy sposób był dobry i każdy przynosił nam ulgę, łagodząc trawiące nas wciąż pożądanie. Isa zwykle potem wskakiwał nago do rzeki, żeby sobie popływać, ja zaś chlapałam się na płyciźnie.

O zmierzchu piliśmy wino z Nizamem i właścicielką gospody. Okazało się, że jej mąż długie lata wiernie służył cesarzowi, a gdy zginął w walce z Persami, mój ojciec dał wdowie tyle pie-

niędzy, że mogła kupić ten zajazd. Ta słodka bezzębna staruszka przyrządzała nam pyszne posiłki i zawsze była gotowa uciąć sobie z nami pogawędkę.

Nigdy nie zapomnę tych cudownych chwil nad Gangesem. Mimo świadomości rychłego rozstania żadne z nas głośno o tym nie mówiło. Tak było nawet w przeddzień wyjazdu. Wybraliśmy się wtedy na najdalszą wycieczkę brzegiem świętej rzeki.

Dopiero wczesnym popołudniem napotkaliśmy pierwszego w tym dniu człowieka — przy płonących zwłokach jego żony. Dla mnie był to znany widok. Wiedziałam, że Hindusi palą swoich zmarłych, wierzą bowiem, że dusza dopiero wtedy przestaje trzymać się ciała, gdy obróci się ono w popiół, dusza zaś musi odłączyć się od swej powłoki, w przeciwnym razie nie mogłaby podjąć dalszej wędrówki. Po wrzuceniu prochów do Gangesu owa wędrówka trwa, do czasu aż poprzez kolejne wcielenia człowiek zgromadzi tyle dobrej karmy, że jego dusza osiągnie całkowite wyzwolenie z cyklu narodzin i śmierci.

Wdowiec był sam, wyglądało więc na to, że nie ma dzieci. Zrobiło mi się go żal. Po śmierci żony ciężko mu będzie żyć na tym pustkowiu. A ja? pomyślałam ze smutkiem. Czy potrafię żyć teraz bez Isy? Ów ponury nastrój towarzyszył mi przez całą drogę do zajazdu. Isa widząc to, spytał, co mnie tak dręczy.

— Jutro wyjeżdżamy — odparłam. — Muszę mówić więcej?

— Nie musisz, ale pewnie powiesz — rzucił żartobliwie, siląc się na uśmiech.

— Nie wiem, jak to będzie, kiedy wrócimy do Agry — powiedziałam gorzko. — Mam i teraz udawać, że nas nic nie łączy?

— Tylko kamień by to wytrzymał, dopowiedziałam już w duchu.

— To był dar. Jaskółeczko — szepnął miękko. — Podziękujmy za to Bogu i twojemu ojcu. Mieliliśmy wielkie szczęście, że darowano nam tych parę dni.

— Ale ja pragnę takich więcej.

— Oczywiście, ja również — odrzekł, poprawiając turban.

— Lecz dopóki to pragnienie się nie ziści, pocieszaj się myślą, że taka miłość jak nasza zdarza się niezwykle rzadko. To co uchodzi w świecie za miłość, jest w rzeczywistości często pustym słowem. Wiem, co mówię, bo widziałem wiele takich związków. To tylko wygoda, nic więcej. Z nami jest inaczej. Możemy nie dzielić stołu i łoża, ale łączy nas coś takiego, o czym inni mogą tylko marzyć. Musimy się tym zadowolić.

— Zadowolić? Tym, że mogę być jedynie twoją pomocnicą? A co mam począć z resztą moich uczuć? Mam je zdusić albo pogrzebać?

Parsknął śmiechem, licząc, że może mnie tym rozbawi, jak to często bywało przy innych okazjach. Lubiłam, gdy się ze mną przekomarzał; mój świat był strasznie poważny, a dzięki jego

żarcikom przypominałam sobie, jak cudownie jest być młodą. Teraz jednak zirytował mnie swym wiecznym optymizmem.

— Nie spodziewam się, Jaskółeczko, że pokornie poddasz się losowi. Twój ojciec rzekłby, że prosić cię o to można by z tym samym skutkiem, co żądać od chmury, by przestała raczyć nas deszczem. Nie, nie musisz tłumić swej miłości — dodał, zamierzając się na jakąś muchę. — Jesteśmy młodzi, mamy jeszcze przed sobą wiele długich lat. Kto wie, co się może zdarzyć...

— Tak, ale kiedy? Teraz ci się podobam, a co będzie później, gdy się zestarzeję? Wtedy też będziesz mnie kochał? Nie poszukasz sobie młodszej i ładniejszej?

Udał, że się nad tym zastanawia.

— Cóż, teraz gdy o tym wspomniałaś...

Choć dobrze wiedziałam, że sobie żartuje, pogalopowałam naprzód, zostawiając go w obłoku duszącego kurzu, od którego strasznie się rozkaszał. Jak on może tak lekko traktować moje obawy? myślałam gniewnie. Nie słuchając błagalnych okrzyków Isy, gnałam przed siebie jak furia. Z naszych dwóch koni mój był znacznie lżejszy, więc przybyłam do zajazdu grubo przed nim. Zdążyłam już zrzucić przepoconą szatę i brałam się właśnie do mycia, kiedy stanął w drzwiach.

— Dżahanaro, przecież wiesz doskonale, że powiedziałem tak tylko żartem. Miałbym cię rzucić dla innej? Czyż mógłbym zamienić Tadż Mahal na budowę jakiegoś...

— Wychodka?

— Właśnie! — odrzekł ze śmiechem. — Do czego byłaby mi potrzebna taka budowla?

— Może miewasz biegunki albo lubisz muchy. Skąd mogę wiedzieć, czym się kierują mężczyźni, robiąc to, co robią?

Natychmiast spoważniał. Nawet drocząc się ze mną, nigdy nie przekraczał pewnych granic, teraz zaś pewnie wyczuł, że byłoby wielką nierozwagą drażnić i tak już wściekłego słonia.

— Kocham cię, Dżahanaro. Nie myśl, że moja miłość z czasem osłabnie czy zniknie. Zobaczysz, będzie jeszcze większa.

— Naprawdę?

— Nie wiesz, że ani na chwilę nie przestaję o tobie myśleć? Podczas pracy widzę twoje oczy w każdej parze drogich kamieni i nawet gdy jesteś daleko, dźwięczy mi w uszach twój śmiech.

— Więc jak możesz być taki spokojny, wiedząc, że jutro musimy się rozstać? Ty może potrafisz żyć wspomnieniami, ale ja nie.

Wyciągnął rękę, aby mnie objąć, ale cofnęłam się przed nim.

— Wierzysz w przeznaczenie? — zapytał i nie zrażony mym niechętnym gestem, podszedł tak blisko, żeśmy dotknęli się ramionami. — Bo jeśli wierzysz, to chyba czujesz, że kiedyś będziemy razem — wyszeptał, gładząc mnie po włosach. — Dawniej podejrzewałem, że przeznacze-

nie czy fatum to tylko słowo wymyślone przez poetów pragnących nadać większe znaczenie swym wierszom, ale teraz wierzę, że ono istnieje. Gdy odszukał mnie twój ojciec, by mi zlecić budowę Tadź Mahal, zacząłem myśleć, że los nie tylko po to sprowadził mnie do Agry, bym zbudował to mauzoleum, lecz i znalazł tu swoją miłość. I ty myślisz, że teraz kiedy cię znalazłem, ja bym pozwolił ci odejść? Nigdy. Za nic w świecie. Tylko przy tobie czuję spokój, jakiego dotąd nie znałem. Bez ciebie nie byłbym sobą.

— Naprawdę?

— Naprawdę — odrzekł, kładąc mi palec na ustach. Zrobiłam krok do przodu i znalazłam się w jego objęciach.

Starał się być delikatny, ale mnie rozpierała jakaś dzika namiętność, której źródłem był strach, że wbrew jego słowom może to być nasz ostatni raz, że ta miłość może nie przetrwać. Nawet miłość ma swe granice, a los może być zarówno przyjacielem, jak i najgorszym wrogiem. Prawda, że ofiarował mi tego mężczyznę, lecz czy nie ukraść mi matki? A jeśli zabierze mi Isę?

Kiedy namiętność ucichła, nie odczułam błogiego odprężenia, lecz ze wzrokiem utkwionym w sufit zaczęłam znów deliberować, jakie okoliczności pozwoliłyby nam być razem i co by trzeba było zrobić, żeby tak się stało. Nic mądrego nie przyszło mi na myśl, mogłam więc tylko się modlić, aby kiedyś nadszedł taki dzień, gdy wolno nam będzie nareszcie zamieszkać pod jednym dachem i żyć z sobą jak mąż i żona.

ROZDZIAŁ 10

Bracia

Nie przypuszczałam, że po powrocie do Agry przyjdzie mi się zmierzyć z tak niezwykle groźną sytuacją... Kiedy Nizam wsunął mi w rękę bilecik, na którym widniał jedynie niezgrabny rysunek ropuchy, od razu wiedziałam, kto mi go przysłał, toteż jeszcze tego samego wieczoru pośpieszyłam na umówione miejsce spotkania w jednym z licznych tuneli znajdujących się pod mauzoleum.

Przyszłam pierwsza, otworzyłam więc żelazne wrota i po wejściu do środka zostawiłam je uchylone. Kiedy zjawiała się Ladli, zamknęłam je szybko od wewnątrz i bez słowa poczłapałyśmy po ciemku w głąb mrocznego korytarza. Po pewnym czasie pozwoliłam sobie zapalić latarnię, lecz nawet i wtedy żadna z nas wciąż jeszcze nie wydała głosu. Dopiero gdyśmy się znalazły w wielkim, pełnym kurzu magazynie, zarygłowałam drzwi i zaczęłam serdecznie ścisnąć przyjaciółkę. Od czasu swej rzekomej zdrady Ladli już nie pracowała na budowie, zaś od chwili gdy po raz ostatni mogłam ją trzymać w objęciach, minął przeszło rok. Stęskniłyśmy się za sobą, więc uściskom i pocałunkom nie było wprost końca.

— Przepięknie wyglądasz — powiedziałam szczerze, przechodząc na hindi. Była już teraz dojrzałą kobietą, lecz czas potraktował ją bardzo łaskawie, dodając jedynie blasku.

— Ty też, droga przyjaciółko.

— Czujesz się dobrze?

— Na tyle dobrze, na ile może czuć się mysz siedząca w kłębowisku żmij. — Ladli gwałtownie zanosła się kaszlem od tego duszącego kurzu. — Wybacz, moja droga — rzuciła spiesznie po chwili — lecz nie mamy czasu na dłuższą wymianę grzeczności. Muszę zaraz wracać do domu, inaczej ten łajnożerca zacznie coś podejrzewać.

— Jaki łajnożerca?

— Aurangzeb, a któż by? — Zaczęłam coś mówić, lecz zamilkłam na widok wyrazu jej twarzy. — Posłuchaj mnie, Dżahanaro! Aurangzeb zamierza zabić Darę. Stanie się to za trzy dni.

Poczułam ciarki na grzbiecie.

— Jak? — wyjąkałam, rozejrzawszy się nerwowo dookoła.

— Na polecenie cesarza mają razem jechać na północ negocjować rozejm z Persami. Aurangzeb wynajął bandę opryszków, którzy przebrani za Persów mają napaść na jego oddział, zabić Darę i paru innych, a potem oczywiście uciec. Po śmierci Dary ten zdrajca będzie miał otwartą

drogę do tronu, przynajmniej on tak uważa. Będzie miał też powód walczyć z Persami, bo właśnie tego on pragnie. Wcale nie chce z nimi pokoju.

Chociaż po skórze nadal chodziły mi ciarki, mój umysł działał bezbłędnie. Zdrada! Po Aurangzebnie można było się tego spodziewać, nie przypuszczałam jednak, że stanie się to tak szybko.

— Skoro tak pragnie tronu, czemu nie zabije ojca? Ladli splunęła z pogardą.

— Nie jest głupcem, Dżahanaro, choć brak mu twojej mądrości. Rozumie, że nie jest jeszcze tak silny, żeby objąć rządy. Wie, że nobilem popierają cesarza i szanują jego wolę, gdyby więc twój ojciec odszedł z tego świata, wszyscy stanęliby murem przy Darze. Musiałby z nimi walczyć i pewnie by wygrał, ma przecież za sobą armię, ale on nie lubi ryzykować. Zaczeka, aż ojciec umrze, i wtedy bez walki zasiądzie na tronie, bo gdy nie będzie Dary, kto mu się może sprzeciwić?

— Nasi pozostali bracia, Szah i Murad.

— O nie, oni się nie liczą. Siedzą gdzieś na samych krańcach imperium i nie cieszą się ani łaskami nobilów, ani poparciem armii. — Mówiąc to, Ladli podniosła siedzącego na posadzce świerszcza i posadziła go w bezpiecznym miejscu z daleka od naszych stóp. — Aurangzeb kpi sobie z nich, Dżahanaro. Wie, że tylko Dara stoi mu na drodze.

— Mówisz, że chce go zabić za trzy dni?

— Tak słyszałam.

Czując, że drżą mi nogi, usiadłam na jakiejś lepkiej od brudu baryłce.

— Muszę więc ostrzec Darę... Przekonać go, żeby nie jechał. Powinien wymyślić jakąś wymówkę... na tyle prawdopodobną, by Aurangzeb nie zaczął cię podejrzewać... — Urwałam, bo nagle coś mnie zaniepokoiło. — Ale powiedz mi, Ladli, czy to sam Aurangzeb wyjawiał ci swoje plany? Aż tak ci chyba nie ufa?

Moja przyjaciółka tak zawsze prędką w języku tym razem milczała przez dłuższą chwilę. Wydawała się zdenerwowana.

— Bo widzisz... — powiedziała wreszcie — ...pomyślałam sobie, że jeśli... jeśli mu się oddam... to zdołam z niego wyciągnąć wszystkie tajemnice.

— Och, nie! — jęknęłam ze zgrozą.

— Nie widziałam innego sposobu. Chyba nie myślisz, że mogłabym zdobyć jego zaufanie samym tylko pieczeniem słodkości!

— Ale ja nigdy cię nie prosiłam...

— Nie prosiłaś — przerwała mi gniewnie, odsuwając się ode mnie na odległość dobrych paru kroków — ale nie jestem głupia, więc nie traktuj mnie jak kogoś, kto nie umie myśleć. Stało się, i koniec! Przyszedł do mnie pewnego dnia, no i... dałam mu to, czego chciał. Było dla mnie jasne, że najlepiej ci się przysłużę, zostając jego kochanką.

— Czy on... źle cię traktuje?

— Czyż nie jest mężczyzną? — odrzekła szorstko. No tak, pewnie ją bije, pomyślałam ze ściśniętym sercem. — Ale rzadko pozwala sobie na brutalność — dodała szybko — bo wie, podły tchórz, że mam dość hartu ducha, aby go porzucić.

— Kiedy się to zaczęło?

— Jakieś cztery czy pięć miesięcy temu.

— Czy...

— Często o ciebie pyta, więc plotę mu różne bzdury, z których nie ma żadnego pożytku, ale wiedz, Dżahanaro, że i ciebie najchętniej by zabił. Na szczęście jest przekonany, że cię nienawidzę, toteż gdy mu powiedziałam, że ludzie bardzo cię kochają i zwróciliby się przeciw niemu, gdyby wyrządził ci krzywdę, uwierzył, że chodzi mi o jego dobro, no i przestał myśleć o zabójstwie. Tylko na jak długo?

— A więc mój brat...

— Wciąż knuje jakieś spiski, nawet gdy siedzi na stolcu! — warknęła Ladli, dodając brzydkie przekleństwo. — Strzeż się go, Dżahanaro, bo coraz więcej w nim zła. Słyszałaś, co zrobił z chrześcijanami?

— Nie, ani słowa.

— Chodzi o Portugalczyków. Znaleźli sobie nową kryjówkę w Bengalu, skąd bardzo daleko do Agry, więc wydawało im się, że są tam bezpieczni i mogą robić, co chcą. Zabili naszych ludzi, a z ich dzieci uczynili swoich niewolników. Aurangzeb, dowiedziawszy się o tym, wziął swój najlepszy oddział i udał się na wybrzeże. Pojmał tych Portugalczyków, zamknął ich w kościele, który sobie tam zbudowali, i kazał podpalić ów kościół.

— Sama bym tak zrobiła. Wymordowali wszak naszych ludzi.

— Tak, ale czy wraz z mordercami spaliłabyś też nasze dzieci, które oni wzięli w niewolę? Aurangzeb oświadczył, że Portugalczyki zatruli ich umysły, i dlatego skazał je na śmierć.

— Powinam go za to zabić — szepnęłam, wyobrażając sobie mękę tych nieszczęsnych dzieci. — On zniszczy nasze imperium.

— Chętnie bym mu podsypała arszeniku, ale jak? Ten przygłup Balchi próbuje wszystkich jego potraw i łązi za nim jak cień, nawet śpi obok niego. A w ciągu dnia pilnują go najlepsi żołnierze imperium. Twój brat zrobił się tak podejrzliwy, że w każdym nieznanym widzi skrytobójcę nasłanego przez Darę.

— Dara by nigdy go nie zamordował — powiedziałam, szarpiąc fioletowy hidżab, bo nagle zrobiło mi się gorąco. — Ja zresztą też bym nie mogła. Ale chętnie skazałabym go na wygnanie na jakąś małą wysepkę.

— Niechby to była malutka skała bez słodkiej wody i cienia, ale za to pełna węży — mściwie uzupełniła Ladli.

— Idę do Dary! — zdecydowałam. — Załatwię to w taki sposób, że Aurangzeb nie będzie podejrzewał, że zdradziłaś nam jego zamiary. Bądź jednak ostrożna, moja droga. Udawaj zdziwioną, gdy ci powie, że plan nie wypalił.

— Umieję z nim postępować. Stał się w moich rękach marionetką i nie ma o tym pojęcia. To ty odziedziczyłaś cały rodzinny rozum. — Ladli niecierpliwie poprawiła sari, przeklinając jak zwykle niewygodny ubiór.

— Powiedz mi, Ladli, może czegoś potrzebujesz?

— Nie martw się o mnie, moja mała intrygantko! Pozycja księżęcej metresy ma tę dobrą stronę, że niczego mi nie brakuje, a pieniędzy wystarczy mi do końca życia.

— Więc go rzuć! Uciekaj! Zrób to już dzisiejszej nocy!

— Jeszcze nie teraz. Wiesz, większość pieniędzy oddaję pewnemu hinduskiemu mnichowi, który buduje świątynię. Kiedy ją ukończy, a ty będziesz zupełnie bezpieczna, wtedy tak, ucieknę od Aurangzeba. Ale przedtem zakpię sobie z tego wściekłego zelanta, mówiąc, że jego bezcenne rupie poszły na budowę hinduskiej świątyni i że uszczęśliwił tym wielu Hindusów, których przecież tak nienawidzi.

— Nie prowokuj go, Ladli.

— Przestań się martwić. Kiedy w następnym życiu on będzie pełzał wśród rybich odpadków, my będziemy pić wino i zażywać wszelkich możliwych uciech.

Mam się nie martwić? To niemożliwe, zwłaszcza teraz gdy grozi nam takie nieszczęście. Co na moim miejscu zrobiłaby matka?

— Dzięki ci, Ladli — powiedziała, ściskając ją znów gorąco. — Robisz dla mnie o wiele więcej, niż miałabym prawo wymagać.

— Och, Dżahanaro, postaraj się go przechytryć! Wtedy znowu będziemy razem!

Czułam się strasznie winna: biedna Ladli. Ileż musiała poświęcić, by pozyskać zaufanie tego zimnego mordercy! I zrobiła to tylko dla mnie! Czy jednak mogłam ją przed tym powstrzymać? Chyba nie. Sama podjęła taką decyzję, powiedziała sobie ze smutkiem, starając się odegnać sprzed oczu plugawe obrazy jej hańby w ramionach mojego nikczemnego brata.

Trzeba już było wracać. Pożegnałyśmy się przy drzwiach do tunelu. Noc na szczęście była bezksiężycowa; gdyby nawet ktoś był w pobliżu, i tak by nas nie mógł rozpoznać. Ladli natychmiast zniknęła w ciemnościach, ja zaś na łeb na szyję pognałam do fortu i pozostawiwszy swego konia w stajniach, pobiegłam do komnat Dary. By uniknąć spotkania z kimś znajomym, przemknęłam się chyłkiem bocznymi korytarzami, którymi chodzili tylko niewolnicy. O tej porze były

już zazwyczaj puste. Minęłam wprawdzie jakąś parę, kucharza i ładacznicę, ale byli tak pochłonięci dyskusją o tym, co lepsze: wino czy igraszki w łożu, że nie zwrócili na mnie uwagi.

Wiedziałam, że Dara woli sypiać sam, gdyż często pracuje do późnej nocy. Tym razem zastałam go także nad jakimś sędziwym manuskrypcem. Z tego, co zobaczyłam w świetle pełgającej świeczki, były to zapewne Upaniszady. Słyszałam, że już ukończył pierwszą wersję swego tłumaczenia i teraz chyba je sprawdzał.

— Gdzie twoja żona i synek? — spytałam, zdmuchując świecę.

— Co robisz...?

— Cicho bądź, Daro, ściany mają uszy!

— Ale czy musimy rozmawiać po ciemku? Czyżby te ściany miały też oczy?

— I to bardzo bystre.

Westchnął ciężko, trafnie przewidując, że moja wizyta nie wróży mu nic dobrego.

— O co chodzi? — Gdy mu opisałam plan Aurangzeba, zapytał tylko bez śladu emocji: — Skąd o tym wiesz?

— Nie mogę ci powiedzieć, ale to pewna wiadomość. — Ufałam Darze, lecz nawet jemu nigdy bym nie ujawniła roli Ladli w całej tej ponurej sprawie.

— Powiedz, kto ci to mówił?

— Bardzo cię proszę, nie pytaj mnie o to.

— Nie znając źródła, nie mogę ocenić, co warta jest ta informacja.

Z trudem powściągnęłam gniew.

— A do mnie masz zaufanie? Bo jeśli tak, to uwierz, że Aurangzeb chce cię zabić i zamierza to zrobić podczas waszej wspólnej podróży.

Gestem zdradzającym rozdrażnienie przebiegł rękami po włosach.

— Nie wierzę.

— A słyszałeś, co zrobił w Bengalu? Tak? I wiedząc, że potrafił zamordować dzieci, uważasz, że nic ci od niego nie grozi?

— No dobrze! — parsknął z irytacją. — Wezmę swoich ludzi. Nie będą wiedzieli o spisku, ale w razie czego mnie obronią.

— Twoich ludzi czy Aurangzeba? Który z was ma większe wpływy w armii? Jak możesz polegać na ich lojalności, gdy stawką jest twoje życie?

— To ja jestem następcą tronu i ludzie to wiedzą. Będą mnie bronić, bo rozumieją, że to im się bardziej opłaci.

— A niby dlaczego? Aurangzeb także może być następcą...

— Dość tego, Dżahanaro! Bardzo cię kocham, ale na Allaha, nie doprowadzaj mnie do szaleństwa! — krzyknął, odkładając książkę, lecz nawet w gniewie nie zapomniał oznaczyć strony pawim piórem. — Wezmę z sobą dwudziestu zaufanych ludzi i nie stanie mi się nic złego. Skończ tę swoją dramatyczną scenę.

— Dramatyczną scenę? Próbuję ocalić ci życie!

— Bardzo ci dziękuję, ale nie mówmy już o tym.

Widząc, że nic nie wskóram, kiwnęłam głową, udając, że mnie przekonał.

— No tak — rzuciłam pojednawczo — dwudziestu ludzi to dobra liczba. Gdyby było ich więcej, Aurangzeb mógłby nabrać podejrzeń, a mniejsza grupa nie zdołałaby cię obronić.

Położył mi dłoń na ramieniu.

— Dziękuję, że się ze mną zgadzasz.

Nie cofnęłam się przed nim, lecz nie miałam ochoty odpowiedzieć mu podobnym gestem.

— Popełniasz błąd, traktując go jak brata.

— Możliwe, ale on jest naszym bratem i nie mogę traktować go jak wroga. I bez tego w świecie nie brakuje bólu. — W milczeniu potarłam czoło; przegrałam. Przegrałam na całej linii. Moje argumenty go nie przekonały, lecz co jeszcze mogłam mu powiedzieć? — Dzięki ci za tę wizytę — powtórzył z uśmiechem, próbując widocznie osłodzić mi klęskę. — Jesteś dobrą siostrą. Nie oddałbym cię za żadną inną, choć czasami bywasz zbyt porywcza.

— Pewnie wolałbyś siostrę, którą Bóg pokarał niemotą.

— Kochałem naszą matkę, która przecież nie była niemową, ty zaś niewiele się od niej różnisz.

Różnię się bardziej, niż ci się zdaje, pomyślałam. Matka była tak silna i taka pewna swych celów! Moja siła, jeśli ją można tak nazwać, bierze się jedynie z konieczności, więc cóż to za siła? To tylko pozory siły, jeden wielki fałsz.

— Matka na moim miejscu zażądałaby od ciebie bardziej zdecydowanych działań — mruknęłam po chwili milczenia. — Widocznie nie mam tak silnej woli jak ona.

— Ależ masz! Rzecz tylko w tym, że nie zgadzam się z twoją filozofią życia. Po prostu inaczej patrzę na świat.

— Myślisz, że jestem żadna krwi? Że napawam się jej widokiem?

— Nie!

— Więc nie mów do mnie w taki sposób, jakbyś mnie o to posądzał! — Kiedy wdał się w najgorętsze przeprosiny, wzięłam do ręki odłożoną księgę i zaczęłam przewracać stronicę. Choć w ciemności nie widziałam liter, czułam bijący z niej zapach bardzo starego papieru. Mój brat powiedział, że różnimy się od siebie filozofią życia. Dlaczego tak jest? Dlaczego zamiast przeciwdziałać

spiskom, on studiuje filozofię, ja zaś knuję intrygi i spiski, zamiast się cieszyć miłością? — Tęsknię za naszym dzieciństwem — szepnęłam. — Wszystko było wtedy... takie proste. Czy jeszcze kiedyś tak będzie?

— Hindus powiedziałyby, że tak. Oni wierzą, że kiedyś znów będziemy dziećmi.

— Bardzo bym chciała, żeby tak było.

— Ja także.

Ale w to chyba nie wierzę, dokończyłam w duchu. Ucałowałam go na pożegnanie i na palcach wybiegłam z komnaty. Co zrobić, myślałam gorączkowo, żeby Dara nie wpadł w pułapkę zastawioną przez naszego brata?

Udało mi się ułożyć pewien plan na dzień przed ich wyjazdem. Poprzedniej nocy byłam już prawie gotowa powiedzieć o wszystkim ojcu, lecz oparłam się tej pokusie. Kazałyby mi pewnie ujawnić źródło informacji, czego nie mogłam zrobić, albo starając się ochronić Darę, popełniłyby w pośpiechu jakiś błąd, wskutek czego Aurangzeb mógłby się zorientować, że ma szpiega w swoim otoczeniu. Matce powiedziałabym wszystko, ale ojciec, choć ufałam mu bezgranicznie, nie był tak dobrym konspiratorem jak ona. Jeśli użyć myśliwskiego porównania: on gnał za zwierzyną, ona się skradała. Oboje też inaczej przyjmowali informacje: on słuchał, a ona wyciągała wnioski. Tak więc z obawy, że Ladli mogłaby zginąć, zataiłam spisek przed ojcem. Ktoś inny na jego miejscu mógłby, dowiedziawszy się o tym, wpaść w furję i zabić Aurangzeba, uwalniając nas w ten sposób od wielu kłopotów, ale to nie nasz ojciec. On nigdy by nie uśmiercił rodzzonego syna.

Musiałam działać sama. Pracowałam nadal na budowie, lecz myślami byłam daleko. Kiedy zwierzyłam się Isie, w jak okropnym jestem położeniu, próbował mi coś poradzić, ale były to rady warte tyle samo, ile warte byłyby moje, gdyby mnie zapytał, jak ma zbudować minaret. Zaczął jednak zamartwiać się o mnie, co przy jego naturze było dość niezwykle, musiałam go więc zapewnić — przy użyciu tych samych argumentów co Ladli — że mój brat nie ośmielił się mnie zabić. Mimo to nadal był niespokojny. Wiedziałałam, że chce mnie chronić, i pokochałam go za to jeszcze bardziej. Czułam, że już teraz nie umie sobie wyobrazić, jak by mógł żyć beze mnie. Zaczął mnie namawiać na kolejną wyprawę nad Ganges, więc musiałam mu przysiąc, że się o to postaram, gdy tylko udaremnię ten morderczy spisek.

Sytuacja jednak była taka, że po raz pierwszy odkąd go pokochałam, nie mogłam poświęcać mu wszystkich myśli. Teraz Aurangzeb tkwił mi kolkiem w głowie. Nie przestawałam też błagać Allaha, by mi powiedział, co robić. W końcu łaskawie udzielił mi rady, tyle że dość niebezpiecznej. Żeby mój plan się powiódł, potrzebna mi była współpraca dwóch osób. Pierwszą był ów stary medyk towarzyszący matce w jej ostatnich chwilach. Poszłam do niego w łachmanach, z twarzą za

grubą zasłoną, powłócząc nogami jak staruszka. Dopiero gdy już wpuścił mnie do domu, zaciągnęłam kotary w oknach i odkryłam głowę. Drgnął ze zdziwienia.

— Jakże się miewasz, przyjacielu? — zapytałam grzecznie.

— Och, moje dziecko, strasznie mi przykro z powodu śmierci twojej matki!

Powtarzał to za każdym razem, gdziekolwiek mnie spotkał — na ulicy, na bazarze czy w pałacu.

— Nic już nie mów. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

— Była najpiękniejszą z kobiet...

— Tak, tak, to prawda. A ciebie bardzo lubiła. Zawsze tylko ciebie chciała mieć u boku. — Uśmiechnął się na to i wtedy spostrzegłam, że zostały mu tylko dwa zęby. — Mój ojciec także bardzo cię ceni — dodałam. — Jest niezmiernie lojalny wobec tych, co mu dobrze służą. A ty? Jesteś mu równie wierny?

— Oczywiście! Jakżeby inaczej? — w jego głosie zabrzmiała uraza.

— Wierzysz, że działam w imieniu ojca? Zrobisz to, co ci powiem, i nie przysporzysz mi żadnych kłopotów?

Skinął głową owiniętą tak wielkim i ciężkim turbanem, że można się było obawiać, czy zdoła ją jeszcze podnieść.

— Nie musisz mnie pytać, księżniczko! Gdybyś tego zażądała, uciąłbym sobie rękę!

— Nie wymagam aż takich ofiar, przyjacielu. Przyszłam tu zresztą nie po to, żeby ci rozkazywać. Chcę prosić cię o przysługę.

— Jaką?

— Tej nocy mój drogi brat Dara ciężko zachoruje. Stanie się tak zarówno dla jego bezpieczeństwa, jak i dla dobra całego imperium.

— Wszak tylko Bóg zna przyszłość...

— Dara zje na wieczерę nadpsute mięso, gotowane zaledwie przez krótką chwilę. Trucizna zawarta w tym mięsie wywoła okropną chorobę, ale mój brat nie umrze. Prawda, że nie? — Popatrzyłam na medyka, który gorliwie pokiwał głową. — Gdy zostaniesz wezwany do pałacu, zbadaj chorego i powiedz, że to malaria albo inna złośliwa gorączka i że nie wiesz, co z nim dalej będzie. Może za tydzień wyzdrowieć albo jutro umrzeć. Trzeba przez kilka dni koniecznie przytrzymać go w łóżku, rozumiesz? Jeśli po tym mięsie nie będzie tak chory jak trzeba, daj mu coś na rozluźnienie kiszek. I wiesz co? Postraszyć go śmiercią.

— Ale... — zaczął mówić i urwał. Pewnie doszedł do wniosku, że lepiej zbyt wiele nie wiedzieć. — Zgoda — rzekł w końcu — zrobię, o co prosisz, chociaż wcale mi się to nie podoba.

— Więc ci powiem, że ocalisz mu w ten sposób życie, bo jeśli będzie jutro na nogach, niechybnie czeka go śmierć.

— Skoro tak, księżniczko, zrobię wszystko, by go przed nią ustrzec.

Wydobyłam z zanadru kosztowny szal, tak cienki, że można go było przeciągnąć przez pierścień.

— To dla twojej pani. — Wiedziałam, że nie weźmie ode mnie pieniędzy, lecz nie oprze się chyba pokusie obdarowania kochanki. Jego żona niestety zmarła przed kilku laty.

— Och, jestem już za stary, żeby...

— Wiem to i owo — przerwałam mu żartobliwie, chcąc podnieść na duchu i jego, i siebie. — Jestem pewna, że sprawisz przyjemność swej pani. Ta rzecz jest tak miła w dotyku!

Uklonił mi się głęboko. To on mi pomagał przyjść na ten świat i pewnie dlatego miał do mnie sentyment.

— Dzięki tobie, księżniczko, zaczynam myśleć, że te stare kości są jeszcze coś warte.

— Dzięki mnie? Niedorzeczność! Zawdzięczasz to swojej lubej.

— Ona...

— Ma szczęście — przerwałam mu znowu. — Ja także będę szczęśliwa, mając cię przy sobie, jeśli łaskawy Bóg zechce obdarzyć mnie dzieckiem.

— Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

— Dla mnie również — odrzekłam, ściskając mu rękę. — Do zobaczenia, mój przyjacielu. I bardzo cię proszę, nie mów nikomu o naszej rozmowie.

— Nawet Allah nie wyciągnie ze mnie ani słowa.

Mrugnęłam do niego konfidencjonalnie i opuściwszy na twarz zasłonę, wyszłam na ulicę. Zaraz za domem skręciłam w ciasny zaułek, gdzie zrzuciłam z siebie łachmany, pod którymi miałam swe codzienne szaty, wsiadłam na konia i pojechałam szukać Nizama. Był na budowie; ubrany w krótkie nogawice i bawełnianą koszulę, nadzorował ludzi pchających na miejsce ogromne kamienne bloki. Pewnie im pomagał, bo dłonie miał całe we krwi, mimo to wydawał się zadowolony.

Skinąwszy na niego z daleka, przywiązałam konia, sama zaś powędrowałam do ogrodu, gdzie nad marmurową sadzawką z mnóstwem kolorowych rybek powiedziałam mu, czego się po nim spodziewam, nie wyjawiając wszakże żadnych szczegółów planu Aurangzeba. Jego pomoc była mi niezbędna, gdyż to właśnie Nizam próbował wieczorami wszystkich naszych potraw. Mieliśmy wprawdzie specjalne porcelanowe talerze, które rzekomo pękały w zetknięciu z trucizną, nie byliśmy jednak pewni, czy można na nich polegać. Nizam nie tylko próbował wszystkiego, co znalazło się na tych talerzach, lecz spędzał też sporo czasu w kuchni, doglądając kucharzy gotujących dla nas posiłki. Kazałam mu potajemnie dorzucić do porcji Dary pewną ilość nadpsutego mięsa i

dosypać do niej tyle przypraw, żeby smak ani zapach nie budziły żadnych podejrzeń. Wysłuchał wszystkiego w milczeniu, lecz sądząc po minie, ucieszył się skrycie — jak zwykle gdy okazywałam mu swe zaufanie. Wiedziałam też, że nikomu nie zdradzi naszego sekretu. Udając na użytek domniemanych szpiegów, że udzielam mu ważnych instrukcji dotyczących budowy mauzoleum, dosiadłam konia i pod wpływem nagłego impulsu skierowałam się do haremu.

Nie byłam tam od dawna i oto nagle — nie wiadomo czemu — zapragnęłam odpocząć w jego zacisznym wnętrzu. Zrobiłam wszystko co trzeba, mogłam więc teraz już tylko czekać, aż mój plan zacznie działać. W haremie niewiele się zmieniło od czasów mojego dzieciństwa, tyle że wszystkie znane mi kobiety były teraz starsze i grubsze. Jak one mogą, myślałam, siedzieć tu tyle lat i zajmować się tylko plotkami? Co z nich za pożytek? Witając się z nimi, zachowałam jednakże pozory szacunku, one zaś zaczęły mnie zapewniać, że bardzo za mną tęskniły, lecz to także były pozory: w ich spojrzeniach widziałam irytację i zazdrość.

Ułożywszy się na grubej derce, próbowałam zasnąć. Otaczające mnie dźwięki też się nie zmieniły — dzieci grały na różnych instrumentach, ćwierkały ptaki, kobiety paplały i chichotały. W powietrzu jak dawniej unosił się zapach kadzideł, piżma i dymu z opium. Nieobecność mężczyzn może być całkiem przyjemna, przyznałam po chwili w duchu. Czy nie byłam zbyt surowa, oceniając tak źle te kobiety? Dzięki budowie Tadż Mahal mam miejsce, do którego mogę uciec od swego brutalnego męża, lecz gdybym nie miała tej pracy, przychodziłabym tu codziennie. A one może siedzą tu właśnie dlatego, że nie chcą mieć mężów?

Raz jeszcze zadałam sobie pytanie, czy na pewno zrobiłam wszystko co konieczne, aby mój plan się powiódł? Uznałam, że tak, co jednak wcale nie znaczyło, aby cała ta intryga przestała być ryzykowna. Dara, oby Bóg miał go w swojej opiece, może rozchorować się ciężiej, niżbym tego chciała, Aurangzeb zaś może wywęszyć prawdę... Będę teraz musiała bardzo dobrze odegrać swą rolę. Nie wolno mi popełnić najmniejszego błędu.

Po dłuższej drzemce przeszłam do innej części haremu, gdzie na obszernym dziedzińcu czekali już na mnie ojciec i bracia. Choć po śmierci matki ojciec unikał wszelkich rozrywek, podczas dzisiejszej wieczery miały nas zabawiać tancerki. Zaledwie zajęliśmy miejsca na kosztownym dywanie w przygotowanej już dla nas komnacie, wyłoniły się z bocznych drzwi. Piersi jak zwykle miały przesłonięte tylko przejrzystym jedwabiem, a do kostek przywiązane malutkie srebrne dzwoneczki dźwięczą rytmicznie w takt ich tanecznych ruchów.

Zazwyczaj lubiłam przyglądać się tańcom — działały na mnie uspokajająco — dziś jednak niewesołe myśli nie pozwalały mi się odprężyć. Zaczęliśmy mówić o traktacie pokojowym z Persją, próbowałam więc udzielić braciom paru rad, co Aurangzeb skwitował jak zwykle szyderczym śmiechem i kpiną. Tym razem jednak byłam z tego zadowolona, jego reakcja świadczyła bowiem,

że niczego nie podejrzewa. Dlaczego on tak pragnie wojny? Mogłam się tego tylko domyślać. Wiedziałam, że jest żądny krwi, lecz czy do tego stopnia, by zabijać tysiące ludzi?

Porównując go z Darą, zawsze się dziwiłam, jak bardzo się od siebie różnią. Odznaczali się tą samą budową ciała, ale było to jedyne podobieństwo. Dara twarz miał pełną jak dojrzały melon, Aurangzeb chudą i kanciastą. W przeciwieństwie do ojca i brata nosił tylko wąsy ze względu na ową sławetną bliznę, z której był taki dumny. Ubierał się dość surowo; to co miał dziś na sobie — biała tunika przepasana czarną szarfą i czerwony turban — było jak na niego szczytem elegancji. Do szarfy przypięty miał swój krzywy bułat w starej skórzanej pochwie. Od większości nobilów różnił się jeszcze i tym, że nie nosił żadnych klejnotów. Kiedy zaczynał mówić, zmieniał nagle pozycję, ale robił to w taki sposób, że nigdy nie mogłam dostrzec, jak to się dzieje! Musiał przecież wykonywać jakiś ruch, ale dla mnie był on całkiem niewidoczny.

Ojciec i Dara zajmowali miejsca obok siebie, mając naprzeciwko Aurangzeba. Ojciec ubrany był w żółtą, sięgającą aż do kostek szatę haftowaną w słońce; równie długą czarną szatę Dary zdobiły kunsztowne malunki cyprysów. Zgodnie z modą panującą wśród mężczyzn wysokiej rangi obaj nosili na szyi długie perłowe kolie. W turbanie ojca tkwił oprawny w złoto rubin wielkości włoskiego orzecha, Dara zaś miał u boku bardzo cenny miecz z rękojeścią wysadzaną szmaragdami. Nosił go chyba tylko dla spokoju ducha; byłam pewna, że to ostrze nie zaznało jeszcze smaku krwi.

Sama miałam mnóstwo biżuterii, lecz nosiłam ją teraz coraz rzadziej. Podczas pracy na budowie mocno mi przeszkadzała, a poza tym robotnicy, którzy nigdy w życiu nie widzieli takich kamieni, przyglądali mi się jakoś dziwnie. Odkąd przywdziałam skromniejsze ubranie, zaczęli traktować mnie ciepiej.

Aurangzeb, jakby czytając mi w myślach, odsunął ofiarowane mu przez ojca wino i rzucił uszczypliwym tonem:

— Czyżbyś, siostrze, zagrzebała gdzieś całe swe złoto? — Chciałam coś powiedzieć, ale uciszył mnie gestem. — Święta Księga powiada: „Zaprawdę On nie miłuje niewierzących”.

Dara natychmiast ruszył mi na pomoc.

— Koran mówi także: „Czy widziałeś tego, który za kłamstwo uważa religię? To jest ten, który z pogardą odpycha sierotę, który nie zachęca do nakarmienia biednego. Biada modlącym się, którzy są niedbali w swojej modlitwie”.

Twarz Aurangzeba skurczyła się z gniewu, był bowiem fanatycznym wyznawcą swej wiary i jak wszyscy tacy ludzie uważał, że on jedynie ma prawo cytować Koran.

— Uważaj! — warknął. — Zastanów się najpierw, czy wiesz, o czym mówisz!

Ojciec, wyczuwając rosnące napięcie między dwoma swoimi synami, chrząknął znacząco.

— Wszyscy bardzo dobrze znamy Koran. Jeśli macie ochotę recytować jego święte słowa, powinniście stanąć twarzami do Mekki. — Gdy nic na to nie odpowiedzieli, machnął ręką, jakby chciał przeciąć ich spór. — Jak tam na budowie, Dżahanaro? — spytał, zmieniając temat.

Pociągnawszy łyk wina, oblizalam wargi, by pokazać Aurangzebowi, że w przeciwieństwie do niego bardzo lubię zakazany trunek.

— Skończyliśmy właśnie...

Mój młodszy brat nie wytrzymał.

— Zamiast wydawać pieniądze na budowę mauzoleum, powinniśmy je przeznaczyć na walkę z Persami, z Dekanem, radźputami i chrześcijanami!

— Pieniądze to nie jajko — odparł z irytacją ojciec — można więc je dzielić na różne sposoby. Czyżbyś chciał odmówić matce godnego miejsca spoczynku?

Byłam pewna, że Aurangzeb wcale by się nie przejął, gdyby nawet rzucono jej ciało psom, odpowiedział jednak z pośpiechem:

— Och nie, przenigdy! Lecz ten twój architekt cierpi na przerost ambicji!

— Doprawdy? Czyżby Allah, stwarzając Hindustan, też był zbyt ambitny?

— Chyba nie przyrównujesz tego głupca do Allaha?

Przywiązanie mego brata do islamu przypominało zaiste złośliwą gorączkę. Z obawy, że po tym co powiedział ojciec, może nabrać niechęci do Isy, włączyłam się do rozmowy.

— Architekt, ojczy, jest dobry, mogę cię jednak zapewnić, że to tylko zwyczajny śmiertelnik. Bardziej polega na swoich mistrzach, niż chciałby się do tego przyznać.

— Doprawdy?

— Jest zdolny, ale leniwy.

— Co gorsza brak mu wyobraźni — oznajmił Aurangzeb, który pewnie najchętniej by stwierdził, że budując Tadż Mahal, ojciec popełnił największy błąd swego życia. — Ów Isa nie ma żadnej wizji tego mauzoleum.

Jeśli Isa nie ma wyobraźni, to ty jesteś ślepy, głuchy i niemy, cisnęło mi się na usta, ale ugryzłam się w język.

— Wyobraźnia artysty i wojownika to dwie różne rzeczy — odparował Dara. — Jakiej wyobraźni wymaga bowiem zabijanie, gwałt czy rabunek?

— Nudzisz mnie — oświadczył Aurangzeb. — Jak zwykle.

Ojciec szykował się już do repliki, ale właśnie pojawił się Nizam, za którym kroczył długonogi sługa. Każdy z nich dźwigał dwie srebrne tace. Gdy jakiś inny służący nakrył cenny dywan czystym płótnem, Nizam postawił jedzenie przed ojcem, a potem obsłużył Darę. Ten wysoki zajął się Aurangzebem. Moja taca, mniejsza od pozostałych, spoczęła przede mną jako ostatnia. Au-

rangzeb odmówił krótką modlitwę, by to pożywienie dodało nam siły — i zabraliśmy się do jedzenia.

Na wieczerzę było raan — duszone w jogurcie mięso jagnięce przyprawione chili, mleczkiem kokosowym, imbirem i cynamonem. Do tego surowe ogórki krojone w plasterki i polana masłem gotowana dynia. Ojciec podziękował Nizamowi, który oddalił się zaraz z ukłonem. Wydawało mi się, że ta potrawa jest dziś cokolwiek ostrzejsza niż zwykle, ale nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Mięso Dary wyglądało normalnie, lecz jeśli Nizam wykonał moje polecenie, dorzucony przez niego kawałek musiał przeleżeć się już ze dwa dni.

— Wyjedziemy jutro bardzo wcześnie — odezwał się Aurangzeb, nie patrząc na Darę, choć do niego kierował te słowa.

— Potrafisz choć raz wstać przed świtem jak żołnierz?

— Koguty także wstają bardzo wcześnie, mój bracie, lecz rozumu im od tego nie przybywa. Wszak to najgłupsze stworzenia na świecie.

Takie docinki były czymś zwykłym między mymi braćmi, więc ojciec nie zwrócił na nie uwagi, ja jednak nadstawiłam uszu.

— Czeka nas daleka droga, będziemy więc jechać szybko — rzucił ostrzegawczo Aurangzeb. — Poeci zostaną z tyłu.

Dara, choć czasem naiwny jak dziewczica w noc poślubną, nie był jednak tchórzem ani słabuszem.

— Ale nie ja! — odrzekł ostro, odwracając się plecami do młodszego brata.

Dalsza część posiłku upłynęła w głuchym milczeniu. Byłam pewna, że ojciec wolałby być tylko ze mną, jak to się często zdarzało. Podczas takich wieczerzy rozmawialiśmy o mauzoleum bądź snuliśmy ciepłe wspomnienia o matce. Dzisiaj niestety wrogie napięcie między Darą i Aurangzebem zatruwało całą atmosferę. Po deserze ojciec obrzucił ich smętnym spojrzeniem.

— Wy dwaj, moi synowie, jesteście niczym mangusta i kobra, co spotkały się w jednym kurniku, lecz na czas podróży odłóżcie te wasze waśnie. Persowie chcą pokoju, na którym i nam zależy, lecz dojdzie do tego tylko wtedy, gdy ty, Aurangzebie, okażesz dobrą wolę, ty zaś, Daro, będziesz słuchał swojego brata w tym, co dotyczy spraw militarnych.

Wysłuchawszy dalszych wskazówek ojca co do trybu i sposobu negocjacji, obaj moi bracia bez słowa wyszli z komnaty. Zerknęłam na ich talerze: były puste. Miałam właśnie zapytać ojca, jak mu minął dzisiejszy dzień, kiedy powiedział z westchnieniem:

— Nie wiem doprawdy, co mam z nimi począć, moje drogie dziecko. Boję się, że ich niechęć nie skończy się na samych słowach.

Przysunęłam się do niego i oparłam plecami o półkolistą poduszkę leżącą przy brzegu dywanu.

— Jesteś wciąż młody i zdrowy. Nie musimy się tym martwić jeszcze przez wiele lat.

— Oby tak było. Codziennie proszę o to Boga. Bo co można zrobić z takimi synami? — Ojciec zdjął okulary i pociągnąwszy łyk wina, wyszeptał: — Kocham Darę, lecz czy ma on dość siły, by władać imperium? Szkoliłem go do tego od dzieciństwa, ale może popełniłem błąd? Może to Aurangzeb... mimo wszystkich swych wad byłby lepszym przywódcą? Otacza nas tylu wrogów, że może na tronie powinien zasiąść wojownik, a nie uczony myśliciel?

Półświadomie słuchając dzwoneczków dźwięczących wciąż jeszcze na nogach tancerek, spróbowałam rozważyć to bezstronnie.

— A matka? Który jej się wydawał lepszy?

— Dara — odrzekł ojciec, obracając na palcu ciężki srebrny pierścień.

— Więc nie popełniłeś błędu.

Ucałowałam go, życząc mu spokojnej nocy, i poszłam do swojej komnaty. Wiedziałam, że wkrótce ktoś mnie obudzi, mimo to włożyłam nocną szatę, mówiąc sobie, że trzeba odpocząć. Aby złagodzić napięcie, od którego żołądek zwijał mi się w kłębek, a serce biło jak szalone, zaczęłam recytować ulubione wersety Koranu. Po jakimś czasie poczułam ulgę — tętno wróciło do normy.

Znacznie później — musiało upłynąć parę godzin, gdyż świece wypaliły się do końca — zbudziło mnie gwałtowne łomotanie w drzwi. Stał za nimi przerażony Nizam.

— Twój brat, księżniczko! Strasznie z nim źle!

Tak jak stałam i boso popędziłam do komnaty Dary. Przy posłaniu klęczała jego żona, której nie widziałam od miesiąca, z drugiej strony ojciec. Stojący obok urynał był pełen cuchnących wymiocin. Mój brat zlany potem kurczowo trzymał się za brzuch, jęcząc i bełkocząc coś niezrozumiale.

— Co mu jest? — zawołałam i w tej samej chwili do komnaty wkroczył Aurangzeb.

— Posłałem po medyka — odrzekł ojciec. — Oby Bóg dodał mocy jego nogom.

Dara jęknął i zwymiotował na siebie; brakowało mu siły, by pochylić się nad nocnikiem. Jego żona zaczęła piszczeć. Upadłam na kolana przy posłaniu.

— Co cię boli? — jęłam pytać gorączkowo; serce łomotało mi tak głośno, że chyba wszyscy to słyszeli. — Powiedz mi, co cię boli!

— Brzuch... — wybełkotał. — Jakby tam w środku... ktoś mnie przypalał... ogniem.

Na szczęście zjawił się już stary medyk. Na głowie miał swój wielki nieodłączny turban, w rękę zaś niósł torbę z medykamentami. Bez słowa wpuściłam go na swoje miejsce. Był tak zdyszany, że z trudem wydobywał z siebie głos.

— Gdzie... cię boli... książę?

— W całych... w całych trzewiach.

Medyk ostrożnie zajrzał do nocnika.

— A ta gorączka... co cię trawi... Jest ci gorąco czy zimno?

— Zimno.

Kiwając głową, medyk jął badać chorego. Zmierzył mu puls, przyjrzał się ruchom gałek ocznych, na koniec obejrzał język.

— Za suchy — mruknął.

Ojciec, który odmawiał modlitwę zwrócony twarzą do Mekki, obrócił się teraz w stronę lekarza.

— Co mu jest?

— Jeszcze za wcześnie, mój panie, bym mógł postawić pewną diagnozę, lecz może to być malaria lub inna złośliwa gorączka. — Pogrzebawszy w torbie, wydobyl z niej jakieś zioła. — Trzeba z nich zrobić napar.

Nizam bez słowa chwycił zawiniątko i czym prędzej wybiegł z komnaty. Do posłania tymczasem zbliżył się Aurangzeb.

— Czy można mu jakoś pomóc? — spytał z udanym współczuciem.

— Miejmy nadzieję, że te zioła mu pomogą, mój książę. Jeśli gorączka spadnie, za kilka dni wyzdrowieje. No, może za tydzień. Jeśli jednak nic się nie zmieni — tu stary medyk z troską potarł czoło — możemy... możemy go stracić.

Ojciec jęknął głośno, a moja bratowa zaczęła szlochać. Z prawdziwym poczuciem winy otuliłam derką wijącego się z bólu Darę.

— Czy powinien coś jeść lub pić?

— Żadnego jedzenia, księżniczko! Powinien natomiast pić dużo mojego naparu. Trzeba poić go całą noc, nawet jeśli zaraz wszystko zrzuci. Lecz wy powinniście wyjść, bo jeśli to jakaś złośliwa gorączka, zatrute powietrze może rzucić się wam na płuca. Ja z nim pozostanę.

— Pozwól i mnie pozostać — zaczęłam go błagać. — Może ci się na coś przydam.

— Nie dzisiaj — sprzeciwił się ojciec. — Zostanie jedynie medyk. Reszta niech wraca do swoich komnat.

— Chciałabym pomóc...

— Idź, moje dziecko.

— Proszę!

— Powiedziałem: idź!

Gdy tylko znalazłam się w swojej komnacie, napadły mnie straszne wyrzuty sumienia. Mój plan się powiódł, ale z jakim skutkiem? Nie chciałam, by Dara tak cierpiał! Może Nizam dał mu za dużo tego mięsa? Ależ jestem głupia! Przecież nie znam się na medycynie! Jak mogłam myśleć, że dawka trucizny będzie akurat taka jak trzeba?

Zza drzwi dobiegły mnie głosy ojca i Aurangzeba. Z ich rozmowy wynikało, że mój brat jedzie sam do Persji. Negocjacje, stwierdził ojciec, są zbyt ważne, aby można je było odkładać na później. Aurangzeb nie protestował, przeciwnie, w jego głosie wyraźnie słyszałam radość. Z jego punktu widzenia sprawy nie mogły ułożyć się lepiej. Dara może umrzeć tej nocy, on zaś nie musi nic ryzykować. Choć nauczył się teraz lepiej ukrywać swe myśli, widziałam go na wylot. Byłam prawie pewna, że planuje zamach na perskiego posła.

Po odejściu ojca usłyszałam nagle głos Ladli. Co ona robi w cesarskiej części pałacu? Lecz bez względu na powód tej dziwnej wizyty natychmiast doszłam do wniosku, że nadarza się świetna okazja, by utwierdzić Aurangzeba w przekonaniu, jak bardzo nienawidzę dawnej przyjaciółki. Jak furia wypadłam z komnaty.

Ladli stojąca w odległości zaledwie trzech kroków drgnęła tak gwałtownie, jakby ją naprawdę przeraził mój widok.

— Wynoś się stąd! — wrzasnęłam, próbując wymierzyć jej policzek. Nie udało mi się, gdyż Aurangzeb chwycił mnie za nadgarstki, i to tak mocno, że jęknęłam z bólu.

— Daj jej spokój, ty nędzna grzesznico! — syknął wściekle.

— Słyszysz, co mówi twój brat, ty brudny zdradziecki szczurze? — pisnęła Ladli.

— Zdradziecki? To ty mnie zdradziłaś!

— A czy to ja kradłam?

— Jak śmiesz!

Ladli splunęła mi pod stopy.

— Ciesz się, że jesteś córką cesarza, inaczej wychłostano by cię publicznie jak zwykłą zbrodniarkę! Oj, chętnie bym to zobaczyła! Nie siadłabyś potem na tym swoim książęcym zadku!

— Ja przynajmniej nie jestem dziwką! — krzyknęłam na całe gardło, próbując znów ją uderzyć, lecz Aurangzeb, chcąc pewnie zatkać mi usta, wepchnął mnie z impetem do komnaty. Zaczepiwszy nogami o stół, runęłam jak wór na podłogę.

Leżałam tak długą chwilę ze strasznym zamętem w głowie. Co tu jest prawdą, a co udawaniem? Czy Ladli rzeczywiście grała tylko rolę mego wroga? Mnie się zdawało, że naprawdę mnie nienawidzi. Czy to możliwe, by prawdziwe przyjaciółki potrafiły tak do siebie mówić? Czyżbym utraciła ją na zawsze przez tę fałszywą grę? Zaczęłam płakać, przysięgając sobie, że wkrótce znów się z nią spotkam. Musimy to sobie wyjaśnić.

Nie mogłam dłużej o tym myśleć — z komnaty Dary doszły mnie głośnie jęki. Mój biedny brat! Tak bardzo chciałam go pocieszyć, powiedzieć mu całą prawdę! Nie, to niemożliwe! Wściekłyby się na mnie; rzekłby pewnie, że stracił przeze mnie twarz, i nigdy więcej by mi nie ufał. Nawet to, że ustrzegłam go przed śmiercią, nie byłoby w jego oczach żadnym usprawiedliwieniem.

Starając się nie słyszeć jego krzyków, zaczęłam kraść po komnacie jak uwięziona lwica. W końcu stopy zaczęły mnie od tego boleć, a mięśnie w nogach tak mi zeszywniały, jakbym miała w nich pełno kamieni. Noc mijała straszliwie powoli, a każda godzina była dla mnie męką. Świt zastał mnie na modlitwie: błagałam Boga, by uzdrowił Darę, a mnie wybaczył mój czyn.

Dopiero w samo południe, gdy Aurangzeb od dawna był w drodze do Persji, przyszedł do nas medyk z wiadomością, że chory ma się znacznie lepiej. Gorączka spadła. Wyzdrowieje! Z nagłej ulgi wybuchnęłam płaczem. Płakałyśmy obie z bratową, podczas gdy Dara wciąż jeszcze cuchnący torsjami uśmiechał się pobłaźliwie.

Ach, te kobiety, mówił jego uśmiech.

ROZDZIAŁ 11

Świt

Popełniłam w życiu wiele błędów, za które przyszło mi drogo zapłacić, lecz na szczęście nie zabiłam Dary tym nieświeżym mięsem. Mój drogi brat tak szybko odzyskał zdrowie i siły, żeśmy się nie mogli nadziwić jego żelaznej kondycji. Taka gorączka, mówił stary medyk, często zabija nawet krzepkich mężczyzn, Dara tymczasem doszedł do siebie w ciągu paru dni. Medyk rzecz jasna zasłużył sobie na moją głęboką wdzięczność; nie przypuszczałam, że zechce całą noc czuwać przy chorym, toteż potajemnie wynagrodziłam jego starania sztuką pięknego jedwabiu cienkiego jak pajęczynka, dodając do tego szpulę złotych nici.

Aurangzeb, jak słusznie się domyślałam, nie po to pojechał na północ, by poprawić nasze stosunki z Persami, lecz jeszcze bardziej je popsuć. Składając później ojcu sprawozdanie, powiedział, że jego nieliczny oddział wpadł w perską zasadzkę, musiał się zatem bronić. Moim zdaniem było akurat odwrotnie. Korzystając z owego kłamliwego pretekstu, pozabijał tylu Persów, że z ich głów usypał wielką stertę przy naszej północnej granicy, czym bynajmniej nie ucieszył ojca, mogliśmy się bowiem spodziewać teraz odwetu. Nasi wojownicy wszakże sławili swojego dowódcę za jego świetne zwycięstwo.

Nie minęły nawet trzy tygodnie, gdy nasi dekańscy wrogowie znów zapragnęli przeciąć Hindustan na pół. Dawniej też bywali kłopotliwi, acz nie nazbyt groźni, teraz jednak sytuacja mocno się zmieniła. W Bidżapurze, mieście uważanym przez obie strony za własne, do władzy doszedł potężny sułtan, który wysłał przeciw nam swoje wojska. Dokonały one najazdu na nasze południowe ziemie, paląc zbiory i kradnąc bydło. Ojciec nakazał więc Aurangzebowi wziąć czterdzieści tysięcy zaprawionych w bojach wojowników i stłumić ową rebelię.

Niebawem doszły nas wieści, że mój brat, poniosłszy zrazu ciężkie straty, obiegnął Bidżapur i w ciągu tygodnia zdobył zbuntowane miasto. Było to tym razem naprawdę wielkie zwycięstwo, które przyniosło nam liczne korzyści. Sułtan Bidżapuru musiał odtąd płacić ojcu trybut, jak również podpisać układ czyniący go wasalem naszego cesarstwa. Aurangzeb zyskał kolejny powód do chwały i w uznaniu swych wojennych zasług został mianowany wicekrólem Dekanu. Ojciec na szczęście polecił mu pozostać przez dłuższy czas na południu, by utrzymać w karchach pokonanych.

Na nas, mieszkańców Agry, sprawy te nie miały szczególnego wpływu. Obserwowaliśmy wprawdzie ćwiczenia żołnierzy i bojowych słoni, lecz działania wojenne niewiele nas obchodziły. Ja zaprzątnięta byłam czym innym. Musiałam nadzorować dwudziestodwutysięczną armię robotni-

ków pracujących przy budowie mauzoleum, które dosyć powoli, ale jednak pięło się ku niebu. Kiedy położono pierwsze cegły tworzące podstawę wspaniałej, podobnej do łyzy kopuły, uczciliśmy to osiągnięcie wielkim pokazem chińskich sztucznych ogni.

Któregoś wczesnego ranka w forcie pojawili się dwaj wysłannicy, by w imieniu Isy poprosić cesarza i mnie o przybycie na plac budowy. Choć nie jedliśmy jeszcze śniadania, ojciec postanowił spełnić to życzenie. Już w pobliżu mauzoleum zwrócono się do nas z kolejną prośbą: byśmy zsiadli z koni i pozwolili zasłonić sobie oczy. Słyszając to, cesarscy gwardziści zaczęli gniewnie szemrać i sięgać po miecze, ale ojciec uspokoił ich niedbałym gestem.

Tak więc prowadzeni przez dwóch przewodników ruszyliśmy w stronę platformy. Bałam się o coś potknąć, lecz mój opiekun uważnie omijał wszelkie przeszkody. Mimo tak wczesnej pory na budowie panował zgiełk i krzątanina. Porykiwania pracujących słoni mieszały się ze zgrzytem szlifowanych kamieni i głosami śpiewających robotników. Przekonałam się przy okazji, że ślepotą — nawet chwilowa — niezmiernie wyostrza zmysł słuchu, i obiecałam sobie, że będę odtąd częściej zamykać oczy. Śpiew ptaków, szum deszczu czy szelest liści na wietrze nabiorą przez to pewnie całkiem innego brzmienia.

Gdy brzegi mojej przepaski z żółtawych zrobiły się czarne, nietrudno się było domyślić, że musimy się znajdować w jakimś wnętrzu.

— Proszę jeszcze nie otwierać oczu — usłyszałam głos Isy, a czyjeś ręce zdjęły mi z twarzy przepaskę. — Ściany, które ujrzysz, miłościwy panie — mówił dalej mój ukochany — stoją tu tylko na razie. W przyszłości będą one stanowić powłokę Tadż Mahal okrywającą całe mauzoleum w środku i od zewnątrz. Ośmielam się rzec, mój panie, że ich widok zaprze ci dech w piersiach. A teraz zechciej, cesarzu, łaskawie otworzyć oczy.

Świat nagle rozkwitł kolorami. Zobaczyłam, że stoimy w jakiejś niedużej komnacie czy raczej w czymś w rodzaju skrzyni o ścianach z lśniącego białą marmuru, lecz tym co mnie urzekło, były tysiące zdobiących ów marmur kwiatów — lilii, irysów, narcyzów i tulipanów — o koronach wdzięcznie zwężających się ku górze i misternie wyrzeźbionych płatkach. Między kwiatami, łącząc je ze sobą, wiły się kunsztowne pędy winorośli.

W żadnym z najwspanialszych naszych ogrodów nie widziałam czegoś tak pięknego; te kwiaty bowiem nie powstały z żywej materii pod wpływem słońca i wody, lecz wykonano je z kamieni półszlachetnych, a ich barwy przewyższały głębią zarówno kolory tęczy, jak i wszystkie odcienie nieba o zachodzie.

— Nawet te łodyżki są zrobione z kamieni — jął tłumaczyć z ożywieniem Isa. — Nasi mistrzowie tną je najpierw na cienkie fragmenty, a potem wprawiają w marmur, łącząc i spajając poszczególne części. Widzisz tu, cesarzu, lazuryt z Afganistanu, jadeit z cesarstwa chińskiego oraz

birmański bursztyn — mówił z coraz większym podnieceniem — tu zaś korale i perły z naszego wybrzeża. Reszta, to znaczy jaspis, zielony beryl, onyks, agat, kwarc i ametyst, pochodzi z naszych kopalń w głębi kraju.

W niektórych miejscach nie było kamieni, za to w samym marmurze wyrzeźbiono ogromne białe bukiety. Szlifowano go pewnie tak długo, aż nabrał połysku pereł. Ach, nawet posadzka była tu prawdziwym dziełem sztuki: w białe marmurowe płyty wprawiono czarne fragmenty, tak że utworzyły one idealny wzór geometryczny. Żadna linia nie zbaczała z toru, każdy kąt był ostry jak brzytwa.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym Isa zwrócił się do ojca:

— Spróbuj, władco, wyobrazić sobie całość. Kopuła i minarety będą oczywiście z czysto białego marmuru, ale wszystkie arkady i nisze, jak również ściany i sufity będą zdobne w takie ornamenty.

Pomyślałam, że ów widok zaiste potrafi zaprzeć każdemu dech w piersiach, ojciec zaś powiedział, przebiegłszy palcami po kwiatach:

— Każdy, kto wstąpi w progi Tadż Mahal, pomyśli, że znalazł się w Raju — po tych słowach spojrział w stronę Mekki. Wiedziałam, że prosi Boga, aby mu pozwolił dożyć owej chwili. — Jakież to piękne! — wyszeptał.

— Czuję, że matka jest tu teraz z nami — powiedziałam cicho.

— Ja także czuję jej obecność. — W oczach ojca zabłyśły łzy.

Isa posłał mi uśmiech, który wprawił mnie w uniesienie. Pomyślałam, że to wręcz niewiarygodne, aby jeden człowiek umiał stworzyć coś tak cudownego. Wszak to istna magia! Bo choć miał do pomocy najlepszych mistrzów z całego świata, we wszystkim czułam jego rękę. Tylko umysł poety i ręce wielkiego artysty potrafią wydobyć z kamieni tyle piękna, że wyciska ono ludziom łzy z oczu. Zapragnęłam poczuć te ręce na sobie, całować każdy jego palec! Pomyślałam, że są zbyt cenne dla tego świata pełnego bólu i nieszczęść. Jak to się stało, że pokochał mnie taki człowiek? Czymże sobie na to zasłużyłam? Czyżby to naprawdę nasza miłość była dla niego natchnieniem?

Jakąż ogromną siłą musi być to uczucie, skoro potrafi wyzwolić tyle twórczej mocy! Miłość moich rodziców pewnie do końca czasu pozostanie natchnieniem poetów, nasza zaś, chociaż ukryta, będzie przez wieki zachwycać potomnych czarodziejskim pięknem tego mauzoleum. Zrozumiałam nagle, jak wielkie mam szczęście w porównaniu z ludźmi takimi jak choćby Aurangzeb. Zwycięstwa na polu walki, honorowe tytuły i największe nawet bogactwa nigdy nie dadzą im tego, co los ofiarował mnie. Czego będzie więcej, gdy na łożu śmierci przyjdzie im rozliczyć się z życiem: satysfakcji z tego, co zdobyli, czy żalu za tym, czego nie zaznali? Ogarnęło mnie nagle współczucie

dla mego młodszego brata. Jego życie nigdy nie będzie tak pełne jak moje. Popatrzyłam na swego ukochanego, dziękując Bogu, że zechciał postawić go na mojej drodze. Bo czyż mógłby ofiarować mi wspanialszy dar?

— Twój talent, Iso, przynosi chwałę całemu imperium — cicho odezwał się ojciec.

— Och, najjaśniejszy panie, chwała imperium to dzieło większych ode mnie. Ja odgrywam w tym tylko bardzo skromną rolę.

— Zechciałbyś teraz zostawić mnie z córką? — poprosił ojciec. — Mam jej coś do powiedzenia.

— Oczywiście, mój panie.

— Dopilnuj też, proszę, by nikt się tutaj nie zbliżał. Po wyjściu Isy ojciec ujął mnie za ramiona.

— Rozumiem, Dżahanaro, za co go tak kochasz.

— Ale ojcze...

— Twe uwielbienie jest tak widoczne jak towar na wystawie u chciwego kupca.

— Doprawdy?

— Ani ty, ani on nie umiecie tego ukryć, inni zaś umieją patrzeć, ja także. Widzę waszą miłość w uśmiechach, w każdym twym tęsknym spojrzeniu. — Ojciec zdjął najmniejszy ze swoich pierścieni, by mi go wsunąć na palec. Pasował na ten najgrubszy. — Bardzo się cieszę, moje dziecko, że los ofiarował ci miłość — powiedział po krótkiej pauzie. — Popełniłem błąd, wydając cię za Chondamira. Myślałem, że to dobry, szlachetny człowiek, a on mnie niecnie oszukał! Nie masz pojęcia, jak się za to winię. Wybacz mi ten błąd, Dżahanaro!

— Nie mam ci czego wybaczać.

Pocałował mnie w palec, ten, na którym miałam nowy pierścień.

— Musicie jednakże bardziej uważać. Jeśli Chondamir lub któryś z mych wrogów odkryje prawdę, Isa znajdzie się w ogromnym niebezpieczeństwie. Ciebie potrafię ochronić, lecz jego niestety nie.

Potarłam skronie, gdyż z przerażenia rozboleła mnie nagle głowa.

— Och, ojcze, więc co mam robić? Wszak to nie do zniesienia kochać kogoś tak bardzo i nie móc nawet na niego spojrzeć!

Ojciec przebiegł palcami po wspaniałych kwietnych ornamentach.

— Przepiękna robota — rzucił tonem znawcy. — Najlepsza ze wszystkich, jakie dotąd zdarzyło mi się widzieć, a widziałem w życiu wiele pięknych rzeczy.

— Cóż więc mi radzisz?

— Nie spiesz się tak, Dżahanaro. Już ci mówiłem, że niecierpliwość to twoja największa słabość. Tygrys, co zbyt wcześnie atakuje, często chodzi głodny. — Przełknęłam odpowiedź cisnącą mi się na usta, co widząc ojciec parsknął psotnym śmiechem.

— Nie patrz tak na mnie! Chyba nie myślisz, że mógłbym pozostawić cię bez pomocy? Ja, który wiem, czym jest miłość?

— Masz na barkach całe imperium — wyjąkałam.

— To prawda, aczkolwiek Dara i Aurangzeb coraz bardziej mnie w tym wyręczają. Wkrótce będę tylko dekoracją, jak ten paw nad moim tronem. — Milczałam, choć byłam pewna, że taka rola niezbyt by mu odpowiadała. — Myślę — niespodziewanie zmienił temat — że czas najwyższy przydzielić ci lepszą kwatere.

— Moja komnata wystarcza mi w zupełności.

— Jak wiesz, apartament twojej matki sąsiaduje z moim — mówił dalej, nie bacząc na mój protest, po czym roześmiał się głośno, jakby przypomniał sobie coś miłego. Pomyślałam, że od śmierci matki nigdy jeszcze nie śmiał się tak szczerze. — Zawsze sypialiśmy razem, mimo to zażądała własnej komnaty. Myślę, że chciała w ten sposób zaznaczyć swą niezależność. No i miała rację. Nie można wymagać od ludzi, nawet tak zakochanych jak my dwoje, żeby wciąż przebywali na tym samym skrawku przestrzeni. Wszak to całkiem to samo, co żądać od ognia, żeby zamieszkał z wodą.

— Ale dlaczego, ojcze, chcesz mi oddać jej apartament?

— Nie bez powodu, moje niecierpliwe dziecko. Tę komnatę — rzucił szeptem — zaprojektował mój dziadek jeszcze podczas budowy Czerwonego Fortu. Postanowił bowiem zapewnić sobie sekretną drogę ucieczki na wypadek, gdyby nieprzyjaciół kiedykolwiek obiegł jego twierdzę.

— Coś o tym słyszałam.

— Nie słyszałaś jednak o pewnej szafie w komnacie twojej matki. A nie jest to zwyczajna szafa. Z tyłu, zasłonięte sukniami, znajdują się schody prowadzące do tunelu, który biegnie pod ziemią aż za wschodnią część murów Czerwonego Fortu, kończąc się w piwnicy pewnego skromnego domku. Właścicielem tego domu jestem ja. W razie oblężenia mogę się tam schronić.

Coś takiego! Nie miałam o tym pojęcia, a wydawało mi się, że znam wszystkie plany mego ojca. Co jeszcze przede mną ukrył?

— Jesteś pewien, że nikt o tym nie wie? Ludzie, którzy drążyli ów tunel, mogli przecież wyjawić komuś ten sekret. Pomyśl, jak łatwo byłoby cię zabić, nasyłając tą drogą mordercę!

— Masz rację, lecz to niemożliwe. Podczas budowy Czerwonego Fortu mój dziadek, niech zażywa wiecznej szczęśliwości, wykrył spisek na swoje życie. Uknuła go grupa nobilów, do której należał też dworski architekt. Jak wszyscy zdrajcy ludzie ci zostali skazani na okrutne tortury i

śmierć wraz z całym swymi rodzinami. Dziadek jednakże pozostawił im pewien wybór: jeśli mu zbudują sekretny tunel, mieszkając przez cały ten czas w jeszcze niegotowych cesarskich komnatach pod jego własnym nadzorem, to po ukończeniu owego tunelu zostaną zgładzeni miłosiernie, a ich rodzinom daruje się życie.

— I tak się stało?

— Tak. Budowa zajęła im rok, a potem od razu zostali ścięci, tak więc tajemnica poszła wraz z nimi do grobu. Dziadek przekazał ją memu ojcu, a on mnie. Ja zaś — tu ojciec parsknął zduszonym śmiechem — zamiast powierzyć następcy ów pilnie strzeżony sekret, zdradziłem go dwom kobietom, Mumtaz Mahal i tobie.

— Więc Dara nic nie wie?

— Powiem mu, gdy uznam, że jest tego godny. Widziałam tę szafę mnóstwo razy, lecz nigdy nie przyszło mi na myśl, że kryje się tam tajne przejście.

— Och, ojcze, czuję się zaszczycona twoim zaufaniem, ale nie rozumiem, do czego by mógł posłużyć mi ów tunel.

— Pomyśl, moje dziecko, nim coś powiesz. Nawet gdy czegoś nie wiesz, nigdy nie okazuj swojej ignorancji, choćby twym rozmówcą był ktoś, kto cię kocha.

Zaczęłam obgryzać paznokcie, co mi się czasem zdarzało, gdy byłam zdenerwowana.

— Mówisz, że to twój dom? Chcesz powiedzieć, że gdybym poradziła Isie, by go od ciebie kupił, moglibyśmy się tam spotykać?

Udał zaskoczenie, ale oczy błyszczały mu psotnie.

— Hm... interesujący pomysł. Powiedzmy, że to możliwe, pod warunkiem rzecz jasna, że zamieszkaż w dawnej komnacie matki.

Rzuciłam mu się na szyję i zaczęłam całować w policzki, nie zważając na kłujące kępki zarostu.

— Kiedy mam się wprowadzić?

— Natychmiast — odrzekł ubawiony moim entuzjazmem

— Isa niech jednak na wszelki wypadek poczeka z kupnem ze dwa tygodnie. Wytrzymasz do tego czasu?

— Och tak! Będzie nam teraz łatwiej ukrywać swoje uczucia przed ludźmi!

— Pamiętaj, że to konieczne, inaczej Chondamir sięgnie po głowę Isy. Nawet cesarz nie powstrzyma zdradzonego męża od zemsty.

— Kocham cię, ojcze! — szepnęłam żarliwie. — Tyle ci zawdzięczam, że nigdy, nigdy! nie potrafię spłacić mego długu!

— Czy irys musi odpłacać się słońcu za to, że dało mu życie? — odrzekł, wodząc dłonią po ornamencie. — Samo jego piękno jest dla słońca największą nagrodą.

— Coraz lepszy z ciebie poeta — rzuciłam z uśmiechem.

— Doprawdy?

Obdarzyłam go jeszcze jednym pocałunkiem.

— Chodźmy już, ojczu. Mamy dziś jeszcze wiele do zrobienia.

— To prawda. Lecz nim opuścimy tę oazę ciszy, zetrzyj z twarzy uśmiech, Dżahanaro. Spróbuj udąć, drogie dziecko, żeś wysłuchiwała mojej reprimendy.

Zrobiłam, co kazał, wbijając zęby w wewnętrzną stronę dolnej wargi. Na widok Isy nadzorującego budowę kopuły znów pomyślałam, że przypomina jastrzębia. Na jego kanciastej twarzy malował się wyraz takiego skupienia, jakby miał za chwilę wzlecieć nad kopułę, by stamtąd jeszcze lepiej widzieć, czy mrowiący się w dole ludzie na pewno sprawiają się dobrze.

Strasznie pragnęłam tu zostać, by po prostu na niego patrzeć, odwróciłam jednak głowę i posłusznie poszłam za ojcem. Jego także darzyłam bezgranicznym zgoła uwielbieniem. Był człowiekiem, jakich mało chodzi po tym świecie.

Dowiedziawszy się po tygodniu, że wręczył Chondamirowi pękaty mieszek drogich kamieni, bez rozgłosu zajęłam apartament matki. Jak na księżniczkę miałam bardzo niewiele ruchomego dobytku, Nizam jednak uznał za swoją powinność nie tylko przenieść moje suknie, klejnoty i książki na nowe miejsce, lecz i pomóc mi je rozpakować. Nie od razu poczułam się właścicielką tej swojej nowej komnaty wykładanej czerwonym marmurem, z oknami przypominającymi kamienną koronkę, tak żywa wciąż jeszcze była tu obecność matki. W różnych miejscach wisiały jej suknie, na podłodze leżał ulubiony kaszmirowy dywan wyobrażający świt i zmierzch, na nim zaś rozrzucone jedwabne poduszki i zwinięte przykrycia z najcieńszej wełny. Na ścianach widziałam te same dobrze mi znane obrazy w bogato złożonych ramach, przedstawiające ojca na Pawim Tronie, Czerwony Fort i bukiety małych różyczek, a w powietrzu, choć może tak mi się tylko zdawało, unosił się lekki zapach jej perfum. Po wyjściu Nizama przymierzyłam kilka jej pięknych sukien, tych, które chyba najbardziej lubiła, i stwierdziłam, że leżą na mnie jak ulał. Wtedy też nagle poczułam, że choć nadal strasznie za nią tęsknię, te suknie i ta komnata przynoszą mi ulgę.

Wiedziałam od ojca, że w biurku znajduje się tajna szuflada z podwójnym dnem, zarygnowałam więc drzwi i zabrałam się do poszukiwań. Dość szybko odnalazłam schowek. Co spodziewałam się tam zobaczyć? Chyba tylko pojedynczy klucz, a tymczasem ujrzałam całą stertę pamiątek ułożonych tak pieczołowicie, jakby to były bezcenne skarby. Na samym wierzchu leżały poźółkle poematy ojca, których nie śmiałam czytać, a pod nimi drobiazgi z naszego dzieciństwa: pierwsze chłopięce sandaalki, rysunek słonia, przewiązany wstążką pukiel moich włosów... Uśmiechnęłam

się na widok tych skarbów, zwłaszcza gdy natrafiłam na gliniane naczynko do kadzideł, które sama przed laty zrobiłam dla matki. Nie miałam niestety żadnych uzdolnień artystycznych, toteż trudno było orzec, czy to moje dzieło miało być żółwiem czy może ropuchą.

Dzięki ci, matko, szepnęłam, strącając z oka łzę wzruszenia. Zaczęłam układać wszystko jak było i wtedy wpadł mi w rękę stary zardzewiały klucz. Odłożyłam go na miejsce i zamknęłam skrytkę. Jeśli teraz na mnie patrzysz, myślałam, to pewnie się cieszysz, że ten tajemny tunel zaprowadzi mnie do Isy.

Nie mogłam się tego doczekać, lecz nakazałam sobie cierpliwość. Przez kilka następnych dni tak planowałam zajęcia, żeby trzymać się od niego z dala. Omal nie wyskoczył ze skóry, gdy mu powiedziałam, co wymyślił ojciec. W ukrywaniu uczuć był jeszcze gorszy ode mnie, najbezpieczniej więc było w ogóle się nie widywać. O tym, że nabył dom, powiadomił mnie dopiero ojciec.

Dni mijały bez większych kłopotów. Moi ludzie chyba mnie lubili, bo choć mocno ich poganiałam, starałam się być sprawiedliwa i płaciłam im uczciwie za uczciwą pracę. Bóg chyba także darzył mnie swą łaską, gdyż w ciągu całego cyklu księżyca zginął tylko jeden robotnik. Runął na niego ogromny kamienny blok, tak że z biedaka pozostała miazga. Był hindusem, spaliliśmy więc jego zwłoki.

Z Isą miałam spotkać się dopiero wtedy, gdy oboje uznamy, że jesteśmy względnie bezpieczni. Kiedy wreszcie nadszedł ów moment, półprzytomna z emocji otworzyłam szafę, zaryglowawszy wpierw drzwi do komnaty, zapaliłam solidną świecę i czym prędzej rozsunałam zakurzone suknie. Na dnie szafy piętrzyły się jakieś puzdra; dopiero gdy ostrożnie odstawiłam je na bok, ujrzałam wiodące w dół schody. Były bardzo kręte, zasypane w dodatku setkami martwych pajaków i zeschniętych mysich odchodów, szłam więc powolutku, trzymając się ręką ściany. Powietrze cuchnęło starością i brudem. Zobaczywszy na murze czyjeś wyryte imiona, pewnie tych zdrajców, którzy budowali tunel, mimo woli pomyślałam, jak się czuli, pracując ze świadomością, że gdy wmurowują ostatni kamień, czeka ich tylko śmierć? Czy ich duchy nadal tu mieszkają? Nie, powiedziałam sobie, nie zginęli wszak haniebną śmiercią, więc oszczędzono im pewnie wiecznego błakania się w mroku.

Zostawiwszy za sobą schody, wkroczyłam w ciemny korytarz. Był tak wąski, że rosły mężczyzna musiałby chyba iść bokiem.

W tej smoliście czarnej czeluści wąty płomyk świecy wydawał się jeszcze słabszy; jego mętne światło rozjaśniało mi drogę zaledwie na parę kroków. A jeśli zgaśnie? Ogarnął mnie strach. Czemu nie wzięłam latarni? Ścieżka na szczęście biegła prosto i równo. Przypomniałam

sobie, co mi mówił ojciec: została tak zbudowana, by cesarz nawet bez światła mógł trafić do swej kryjówki. Kto podczas panicznej ucieczki ma tyle czasu, żeby pomyśleć o świecach?

Ja — żeby nie myśleć o strachu — zaczęłam wyobrażać sobie, co znajduje się nad moją głową. Uśpieni ludzie? Może właśnie przechodzę pod czyimś domem? Drgnęłam gwałtownie, dostrzegając przed sobą parę iskrzących się oczu. Na szczęście zaraz umknęła i znikła w jakiejś szczelinie. Powietrze coraz bardziej cuchnęło stęchlizną. Jak daleko jeszcze? Na ścianie pojawiły się znów napisy. Tym razem były to straszne przekleństwa. Ten, kto je wyrzył, życzył niekończącej się śmierci każdemu, kto się tu zapyści. To znaczy komu? pomyślałam z drżeniem. Prześladowcom mojego pradziadka czy może jemu samemu?

Zatrzymałam się nagle przed kamiennym blokiem, który zagroził mi drogę. Wystawał z gruntu na wysokość kolan i taką też miał szerokość. Ojciec mnie ostrzegł, że to pułapka. Wystarczyło postawić na nim stopę, aby grunt natychmiast się zapadł, a ściany i sufit zwały mi się na głowę.

Ostrożnie przestąpiłam zabójczą pułapkę, tak by jej nawet nie musnąć, i wiedząc od ojca, że wylot tunelu musi już być niedaleko, przyspieszyłam kroku. Na widok błyszczącego w ciemności płomyka wyrwał mi się okrzyk ulgi. Nareszcie! Ten ognik był jak jutrzienka po długiej ponurej nocy. Z mroku wyłoniły się drugie spiralne schody. Isa musiał mnie pewnie usłyszeć, bo zawołał mnie po imieniu — i nagle znalazłam się w jego ramionach. Razem pokonaliśmy ostatnie stopnie prowadzące do jakiejś piwnicy.

— Jeszcze parę kroków, Jaskóleczo — powiedział mój ukochany.

Pokonawszy kolejne schody, znaleźliśmy się wreszcie w domu. Była to właściwie jedna duża izba. W kącie zobaczyłam zakopcony piec z kilkoma żelaznymi garnkami, pod oknem stół do rysowania, a obok niego krzesło i to było wszystko, jeśli nie liczyć dywanu, aksamitnych poduszek oraz kilku derek. Na ścianach wisiały malowidła Isy przedstawiające Tadz Mahal i sztuczne szkice rozmaitych części mauzoleum.

Mój najdroższy zarygłował drzwi i zasłoniwszy okna, zaczął mnie całować.

— Twój pradziadek, ukochana — wyszeptał po dłuższej chwili — zbudował ten dom jak fortecę. Jego mury są takiej grubości jak moja klatka piersiowa, gdyby ją zmierzyć w poprzek.

— Tak? — Byłam trochę zdziwiona, że akurat teraz chce mi się mówić o tak mało romantycznych sprawach.

— Dzięki temu, Jaskóleczo, nikt nas nie usłyszy.

Znów mnie pocałował, budząc namiętny odzew w moim ciele. Tak długo nie byliśmy razem, a ja tak strasznie tęskniłam za jego dotykiem! Bardzo szybko pozbyliśmy się ubrań. Jego usta zaczęły błędzić po moim ciele, smakując je jak dobre wino. Oplotłam go ramionami, przyciągając

do siebie coraz mocniej, nawet gdy opadliśmy już na posłanie. Dopiero kiedy przykrył mnie swym ciepłym ciałem, poczułam ulgę. Nawet jego ciężar działał na mnie uspokajająco. Wpatrzona w widoczne na ścianie dwa nasze cienie, kołysałam się wraz z nimi w tym samym coraz szybszym rytmie — do chwili gdy zlały się w jedno.

Nasycona miłością, zatonełam w słodkich marzeniach w objęciach ukochanego.

— Najmilszy — spytałam pod wpływem tych myśli — chciałbyś mieć dziecko? — Ja z każdym mijającym rokiem coraz bardziej tęskniłam za dziećmi.

— Tylko z tobą — odrzekł, gładząc mnie po czole. Uściskałam go za to.

— Ja także, tylko że to bardzo ryzykowne. Moja brzemiennność mogłaby zagrozić dalszej budowie Tadż Mahal.

Owinał sobie wokół palców pasmo moich włosów.

— Nie wiem, najdroższa, co miałoby dla mnie większą wartość, to mauzoleum czy dziecko? Tadż Mahal może na wieki zapisać nas w ludzkiej pamięci, ale dziecko... w nim oboje żylibyśmy wiecznie.

— Niewielu mężczyzn tak myśli — odparłam w zadumie. — Kobiety w haremie, pewnie dlatego, że nie znają się na polityce i nic prawie nie wiedzą o historii, wciąż o tym myślą i mówią, lecz dla mężczyzn to tylko głupia paplanina.

— Głupia paplanina? Wszak dziecko to sama radość — odrzekł, wodząc dłońmi po mych biodrach.

Mam go zmrozić, przypominając mu, że mam męża, że więc jemu nie wolno by było przyznać się do ojcostwa, choć każde dziecko byłoby szczęśliwe, mając takiego ojca? No cóż, musi to wiedzieć.

— Czy zdajesz sobie sprawę — spytałam łagodnie — że gdybyśmy mieli dziecko, ono... oficjalnie nie byłoby twoje? Że nigdzie poza tym domem nie mógłbyś okazać swych uczuć własnemu synowi czy córce?

Na chwilę posmutniał, ale uzalenie się nad sobą nie leżało w jego naturze.

— Dziecko... nasze dziecko, moja ukochana, wystarczyłoby mi do szczęścia — odrzekł z tym swoim krzywym uśmiechem.

— Jak mógłbym prosić Allaha o więcej? I tak już spełnił dość moich życzeń.

Popatrzyłam w stronę Mekki, błagając Boga, aby moje łono okazało się płodne. Macierzyństwo nie było jedynym celem mego życia, lecz tęskniłam za małą istotką, którą mogłabym darzyć miłością. Byłaby ona cudownym darem nie tylko dla mnie, lecz także dla Isy i dla mego ojca. On oczywiście od razu by wiedział, czyje to dziecko, i bardzo by się z tego cieszył.

— Będę musiała dobrze to obmyślić — mruknęłam. — Mój mąż musi być pewien swojego ojcostwa, chociaż przez lat dwadzieścia nie udało mu się spłodzić dziecka.

— Myślisz, że ci uwierzy?

— Mój drogi, w budowaniu nikt ci nie dorówna, ale nie masz pojęcia o kobiecym sprycie — odparłam wesoło, bo przybyło mi ducha już na samą myśl o potomstwie. — Myślisz, że bez tego potrafiłybyśmy radzić sobie w świecie, gdzie o wszystkim decydują wyłącznie mężczyźni? — Roześmiałam się głośno, przypominając sobie, jak to moja matka, a przed nią prababka sprawowały rządy w Hindustanie, nie mając do tego żadnego tytułu.

— Przekonam Chondamira, że jest ojcem! Jeszcze nie wiem, jak to zrobię, ale możesz mi wierzyć, będzie się puszyć jak paw!

Isa parsknął śmiechem.

— Mnie też tak łatwo urobić? Ja także jestem taki miękki?

— Jak masło!

Rzucił się na mnie, przyciskając mi ręce do posłania.

— Teraz też?

— Teraz wylazł z ciebie mężczyzna. Każdy z was braki w rozumie nadrabia siłą swych mięśni.

Nie oparłam się jego pocałunkom i innym równie miłym próbom nakłonienia mnie znów do miłości. Później także nie zaprzestał pieszczot, gładząc takim ruchem każdy kawałek mej skóry, jakby dopiero teraz odkrył zmysł dotyku. Nucił sobie przy tym z niezmiernym ukontentowaniem, chociaż głos miał okropny. Chciał mnie ukołysać do snu swoim śpiewem, ale ja myślałam już o tym, w jaki sposób otumanić Chondamira. Chwaliłam się przecież, że dla mnie to fraszka, a sprawa nie była prosta.

— Dobranoc, kochany — mruknęłam, udając, że morzy mnie senność. Liczyłam, że przestanie śpiewać, przeszkadzało mi to bowiem myśleć. Pomogło.

— Dobranoc, Jaskóleczo.

Świece gasły jedna po drugiej — w izbie zapadła nieprzebita ciemność, ale była to ciemność kojąca i ciepła. Leżąc u boku uspiętego Isy, wsłuchana w jego cichy oddech, wymyśliłam w końcu sposób na mojego męża. Wstałam wtedy bezszelestnie i złożywszy lekki pocałunek na czole ukochanego, ruszyłam w drogę powrotną do fortu. Wolałam być tam przed świtem; służebne wiedziały, że zawsze wstaję bardzo wcześnie, gdyby więc na pukanie odpowiedziała im cisza, mogłyby zacząć się plotki...

Gdy minawszy szczęśliwie pułapkę, zaczęłam wspinać się na schody, raz jeszcze sprawdziłam w myślach każdy szczegół mojego planu — całkiem jak kucharz przygotowujący dla swego

pana jego ulubiony przysmak. Była to dosyć prosta intryga, na którą ktoś taki jak choćby Aurangzeb z pewnością by się nie nabrał, ale na Chondamira powinna wystarczyć. A gdy on uwierzy, że jest ojcem, inni niech myślą sobie, co chcą.

Tyle tych sekretów, pomyślałam z nagłym znużeniem. Tkwią w nich jak mucha w pajęczej sieci. Wciąż tylko intrygi i tajemnice. Kiedy to się skończy? Och, gdybym umiała przewidzieć, ile jeszcze czeka mnie tych intryg i iloma skończą się zgonami, wróciłabym pewnie do Isy, by narychmiast uciec wraz z nim z Agry. Dobrze jednak, że tak się nie stało, bo kto by miał wtedy walczyć z Aurangzebem? Takim wcielonym diabłem ktoś musi się przeciwstawiać.

Mimo że bardzo nie chciałam zaniedbywać pracy na budowie, rozsądek mi mówił, że jeśli naprawdę chcę urodzić dziecko, powinnam jak najszybciej zająć się Chondamirem, tak więc już następnego popołudnia pojechałam do jego domu, wioząc ze sobą bawełnianą sakwę, w której owinięte w palmowe liście leżały dwa bycze jądra.

Z powodu swych rozległych interesów mój mąż ostatnio rzadko bywał w Agrze, byłam więc nieczęstym gościem w jego domu. Jego słudzy powitali mnie życzliwie, aczkolwiek z pewnym zdziwieniem. Wciąż jeszcze zażenowana — uważali mnie wszak za złodziejkę — wręczyłam im w upominku wędzone słodkie ziemniaki, co wywołało mnóstwo podziękowań i wyraźnie poprawiło atmosferę.

Chondamir, jak się dowiedziałam, przebywał owego dnia na którymś z miejscowych bazarów, doglądając sprzedaży swych wyrobów. Był przekonany, że zatrudnieni przez niego sprzedawcy niechętnie go oszukują, szpiegował ich więc podczas pracy. Robił to osobiście lub wynajmował w tym celu jakąś piękną kobietę, licząc, że namówi ona jego ludzi, aby odstąpili jej po niższej cenie pierścień czy bransoletę, on zaś ich na tym przyłapie. Ostatnio jednak, po ciężkiej chłości, którą wymierzył paru winowajcom, zdarzało się to bardzo rzadko.

Rozejrzawszy się po domu, stwierdziłam, że mocno podupadł od czasu mojej ostatniej wizyty, jakkolwiek i przedtem nie wyglądał dobrze. Od początku nie mogłam pojąć, jak można mieć tyle rupii i tak kompletnie nie dbać o dom! Cóż za skąpiec z tego Chondamira! By choć trochę upiększyć jego komnatę, nazbierałam w sadzie polnych kwiatów, z których zrobiłam kilka uroczych bukietów, spryskałam podłogę perfumami, zapaliłam wonne kadzidło i starannie ułożyłam pościel. Uporawszy się z tym zadaniem, wezwałam kucharza, polecając mu się zająć zawartością przywiezionej sakwy. Przyjął moją prośbę bez zdziwienia, obiecując niezwłocznie ją spełnić.

Czas było zająć się sobą. Płytki w łaźni wielkim głosem wołały o wymianę, ale posadzka i ściany były na szczęście czyste. Na mą prośbę służąca przyniosła mi trzy cebry ciepłej wody. Była to ładna młodzianka dziewczyna, prawie jeszcze dziecko, niespełna czternastoletnie. Od razu pomyślałam, że Chondamir z nią sypia. Wszak mężczyźni tacy jak on w tym właśnie celu zatrudniają

tak młode i ładne służące, bo na pewno nie dla potrzeb domu. Tym bez porównania lepiej zająłby się ktoś starszy.

Wyszorowawszy ciało szorstkim konopnym płótnem, westchnęłam z ulgą: jak to dobrze zmyć z siebie całodzienny kurz! A podobno są ludzie, którzy się nigdy nie kąpią — tak przynajmniej mówiono o przybyszach z Europy. Jeśli to prawda, jakże muszą śmierdzieć! Starannie natarłam się ambrawą, przeżułam kilka goździków, by odświeżyć oddech, i narzuciwszy na siebie nocną szatę, zasiadłam na posłaniu Chondamira.

W oczekiwaniu na jego powrót kazałam służącemu przynieść puchar wina. Podczas nocy poślubnej trunek ów tak skutecznie przytępił mi zmysły, że cały ten incydent wydawał mi się teraz czymś wręcz nierealnym — jak sen przerażonej dziewczyny. Zdumiewające, jak niewiele szczegółów zachowało mi się w pamięci... Miałam nadzieję, że tak samo będzie i dziś.

Chondamir wrócił już dobrze po zmierzchu.

— A ciebie co tu przyniosło, kobieto? — parsknął na mój widok. — Czyżby zabrakło ci złota?

— Nie, mój panie — odrzekłam z miłym uśmiechem. — Byłam wczoraj u dworskiego astrologa i wiesz, co mi powiedział? Że ta noc dobrze mi wróży. — Niemal wszyscy mieszkańcy Hindustanu wierzyli w takie przepowiednie, lecz Chondamir prychnął szyderczo. Widząc, że zaczyna zdejmować swe liczne klejnoty i układać je w schludny stosik, podeszłam do niego bliżej. — W dodatku, mój mężu, poprzedniej nocy widziałam szczęśliwą gwiazdę, nazywa się ona Canopus, zaś mój astrolog potwierdził, że to wyjątkowo dobry omen.

— I cóż tak dobrego ci wróży? Że odmłodniejesz? Czy że urosną ci piersi?

— Że wkrótce będę brzemienna — odparłam z zupełnym spokojem — bo patrząc wtedy w niebo, pragnęłam urodzić ci syna.

Mnie mógł lekceważyć, ale słowa dworskiego astrologa musiały zrobić na nim wrażenie, choć wciąż jeszcze nie zaprzestał szyderstw.

— Ty brzemienna? Jesteś wszak jałowa jak najgorsza z pustyń Hindustanu!

— Tak było — odrzekłam, kryjąc uśmiech — lecz posłuchaj, jakiej rady udzielił mi medyk, gdy mu powtórzyłam słowa owego wróżbity. Powiedział, że ma dla nas potężne remedium.

— Cóż to za remedium? Mam cię oblać wiadrzem zimnej wody?

Ależ z ciebie prostak! pomyślałam z niesmakiem.

— Powiedział, że bycze jądra dadzą twojemu nasieniu wymaganą siłę.

Teraz dopiero połknął haczyk. Widziałam to wyraźnie po jego gębie.

— Słyszałem o tym remedium, lecz czy podziała na takie jałowe łono?

— Medyk uważa, że tak, kazałam więc zarznąć najtęższego buhaja z cesarskiego stada, takiego, co już spłodził mnóstwo cieląt.

— Przyniosłaś tutaj te jądra? — Czyżby w głosie mego męża zabrzmiała nuta szacunku? Lecz może tylko tak mi się zdawało; wypłam wszak sporo wina.

— Tak.

— Każę kucharzowi przyrządzić je według starej receptury — oświadczył tak dumnie, jakby to był jego własny pomysł. — Zobaczymy, czy ten twój astrolog wart jest tych rupii, które od ciebie wyciąga.

Kiedy poszedł do kuchni, łyknęłam znów trochę wina. Próbowałam myśleć o Isie — i nie mogłam, bo gdy wyobraziłam sobie, że po nocy spędzonej z Chondamirem pójdę się z nim kochać, poczułam się jak kurtyzana. Czy uczciwa kobieta byłaby zdolna spać dzisiaj z jednym mężczyzną, a jutro z drugim? I czy Isa mi to wybaczy?

Po chwili zbuntowałam się jednak przeciwko tym myślom. Mężczyznom wolno zmieniać łóżka i nikt ich za to nie potępia, ba, im więcej ich zwiedzą, tym gorętsze zbierają gratulacje, dlatego więc taki mężczyzna może zgodnie z prawem spalić żywcem swą niewierną żonę? Czemu Allah w swej nieskończonej mądrości pozwala na taką niesprawiedliwość? Czyżby w rzeczy samej tylko po to stworzył kobiety, by służyły swoim panom za zabawkę? Bo jeśli nie miał takiego zamiaru, czemu pozwala mężczyznom robić z nami, co im się podoba?

Nadejdzie taki dzień, mój mężu, obiecałam mu w duchu, gdy nabierzesz dla mnie respektu. Możesz nie traktować mnie jak równej sobie, sypiać z dziesiątkami młódek, mnie zaś uważać za stary rupieć, ale to ja uczynię z ciebie narzędzie służące spełnieniu mych pragnień i to ja jestem panią twego domu, twoich bogactw, a nawet twojego umysłu. Kiedyś to zrozumiesz!

Kiedy wrócił z kuchni, był już zupełnie pijany.

— Módl się, kobieto, żeby twój astrolog miał rację — wymamrotał ochryplym głosem — bo jak nie, to cię zostawię dla bardziej urodzajnych pastwisk.

Była to czcza przechwałka — nigdy by nie rzucił cesarskiej córki.

— Jestem pewna, że jego wróżba się spełni.

Oddech cuchnął mu mięsem. Kiedy zwałił się na mnie, poprosiłam Boga, aby trwało to jak najkrócej. Jęcząc głośno, by pobudzić tym jego żądze, zamknęłam oczy i zaczęłam sobie wyobrażać, że jestem całkiem gdzie indziej. Że właśnie wschodzi słońce, ja zaś stoję wraz z Isą przed fasadą naszego mauzoleum, patrząc, jak pierwsze poranne promienie zapalają kolorowe iskry w jego wysadzanych klejnotami ścianach. Isa obejmuje mnie ramieniem, ja zaś tulę do piersi nasze dziecko. I choć było to tylko marzenie, wiedziałam bowiem, że nigdy nie będzie nam dane cieszyć się publicznie owocem naszej miłości, obraz ten przyniósł mi spokój. Przestałam myśleć o tym spoco-

nym, paskudnie cuchnącym mężczyźnie. Myślałam o moim ukochanym i o dziecku, które może już wkrótce powołamy wspólnie do życia.

To dziecko warte było dla mnie każdej ceny.

Przez cały następny miesiąc prawie codziennie odwiedzałam Isę. Wbrew mym obawom zdawał się niezbyt przejmować tym, że spiam z dwoma mężczyznami. Mnie z czasem również zaczęło to mniej doskwierać, jako że coraz rzadziej bywałam u Chondamira. Wprawdzie ostatnio przebywał w Agrze dłużej, niż miał to w zwyczaju, lecz jego protesty przeciwko mym nieobecnościom brzmiały niezbyt szczerze. Podejrzewałam, że ta ładniutka służąca i jej młode ciało lepiej ode mnie dogadzają jego żądzom.

Miałam nadzieję, że przy swoich dwudziestu dwu latach wciąż jeszcze mogę się podobać, chociaż mężczyźni rzadko już teraz spoglądali na mnie takim wzrokiem jak wtedy, gdy liczyłam ich sobie dopiero piętnaście. Z Isą na szczęście było inaczej. Z jakąż niecierpliwością oczekiwał mnie każdej nocy! Kochaliśmy się często, ale nie była to reguła. Czasami, leżąc w ciemności, prowadziliśmy długie rozmowy, a kiedy indziej pracowaliśmy razem nad którymś z jego projektów. Mówił ze mną o architekturze jak równy z równym, ja zaś bardzo się starałam przyswoić sobie tę wiedzę. Zawsze pilnie uczyłam się matematyki, toteż często zadziwiałam go szybkością, z jaką potrafiłam obliczyć wytrzymałość danej kolumny bądź powierzchnię marmuru potrzebnego do pokrycia arkad.

Były to dla mnie wprost bezcenne noce.

Jeśli coś nas martwiło, to tylko nieustanna groźba, że nasz związek może wyjść na jaw. Pewnego razu spóźniłam się trochę z powrotem do swego apartamentu i służąca, która przyszła mnie zbudzić, wpadła w popłoch, gdy na jej pukanie nikt się nie odezwał. Kiedy nareszcie wróciłam, zaczynała łomotać już w drzwi. Pod wpływem nagłego natchnienia wytoczyłam się chwiejnie z komnaty, udając, że wieczorem wypłam zbyt dużo wina. Musiała pewnie pomyśleć, że straszne ze mnie ladaco, które codziennie zalewa się owym trunkiem, bo odtąd już nigdy nie zjawiała się u mnie o tak wczesnej porze.

Nie piliśmy żadnych zakazanych trunków, prawdą było jednak, że po tych przegadanych nocach zaczynałam być mocno zmęczona. Nie zaniedbywałam swoich obowiązków, byłam wszakże senna, a poruszałam się jak mucha w smole. Isa w końcu to zauważył i na blisko tydzień zawiesił moje wizyty. Miał jak zwykle rację. Przez tych kilka nocy spałam doprawdy jak kamień.

Trochę mniej przejmowałam się teraz sprawami imperium. Aurangzeb wraz ze swoim nieodłącznym Balchim nadal przebywał w Dekanie, gdzie ciągle działo się coś złego — przeważnie za jego sprawą. Stłumiwszy rebelię, nie musiał wszak rządzić z takim okrucieństwem, o jakim nam wciąż donoszono. Raz po raz płonęły hinduskie świątynie — wystarczyło, że podatki nie zostały na

czas zapłacone — kobiety znikwały bez śladu, buntowników zabijano na ulicach. Było dla mnie rzeczą oczywistą, że wybuch kolejnej rewolty jest w tych warunkach tylko kwestią czasu, i jakkolwiek nie było to zbyt szlachetne, z przyjemnością myślałam o chwili, gdy rozwścieczeni poddani przepędzą na cztery wiatry narzuconego im władcę.

Dara tymczasem sprawował sądy i oddawał się swoim pasjom. Niekiedy, gdy miał wolną chwilę, przyprowadzał na plac budowy swego synka, Sulajmana. Był to miły i bardzo bystry chłopczyk, który z ogromnym zapałem budował wspaniałe pałace z ofiarowanych mu przez Isę klocków. Mógł się bawić w ten sposób całe popołudnie, nie nastreczając żadnych kłopotów zaufanemu słudze, pod którego opieką zostawiał go ojciec.

Sam Dara nadal poświęcał więcej uwagi studiowaniu hinduskich tekstów religijno-filozoficznych niż bieżącym sprawom imperium. W przeciwieństwie do Aurangzeba, który robił wszystko, żeby skłócić muzułmanów z hindusami, on nie ustawał w wysiłkach, by jak najbardziej nas zbliżyć. Właśnie w tym roku, w porze monsunu, napisał książkę pod znamienym tytułem „Zmieszanie się dwóch Oceanów”, w której podjął odważną próbę pogodzenia doktryn religijnych islamu i hinduizmu, wykazując, iż obie oparte są na podobnych założeniach filozoficznych. Wielu uczonych chwaliło to dzieło, ale wojujący islamiści, a zwłaszcza Aurangzeb, znienawidzili autora za samo to porównanie.

W niedługi czas potem okazało się, że wreszcie jestem przy nadziei. Mój cykl księżycowy ustał, zaczęłam często zapadać na zdrowiu. Jakże brakowało mi teraz matki! Ona by umiała mi ulżyć — urodziła przecież czternaścioro dzieci! Ojciec oczywiście był wniebowzięty, a Isa, mój słodki Isa, zaczął wcześniej wracać do domu, tak pilno mu było przyglądać się memu brzuchowi. Chondamir, jak mi doniesiono, każdego ranka modlił się o syna, ja zaś jeszcze gorliwiej błagałam Boga o córkę. Syna wychowywałby ojciec, córka natomiast roślaby przy mnie.

Powoli stawałam się coraz cięższa, zaczął też boleć mnie krzyż, nie mogłam więc spędzać tyle czasu na budowie co dotąd. Staralam się być pożyteczna w taki przynajmniej sposób, że leżąc w komnacie matki, sprawdzałam projekty Isy. Niekiedy udawało mi się rozwiązać przy tym jakąś trudność, którą on nie miał czasu się zająć. Raz nawet wykryłam pomyłkę w jego obliczeniach. Kto inny na jego miejscu byłby upokorzony tym, że kobieta wytknęła mu błąd, ale to nie Isa. Jego wprawiło to w zachwyt.

A jakaż to była radość, gdy dziecko zaczęło się ruszać! Z początku leciutko — jakby ptaszek trzepotał skrzydełkiem, ale potem były to już bardzo mocne kopniaki! Silne to nasze dziecko, mówiliśmy sobie z uśmiechem. Jakie mu dać imię? Pewnej nocy, gdy chwyciła mnie gorączka i nic nie przynosiło mi ulgi, Isa wręczył mi list, który napisał do dziecka. Zamierzał go jeszcze wygładzić i pokazać mi dopiero w dalekiej przyszłości, widząc jednak, jak źle się czuję, postanowił zro-

bić to już teraz. List ten, napisany na odwrocie szkicu przedstawiającego wznoszony właśnie minaret, zawierał taką oto treść:

Nasze Ukochane Dziecię!

Piszę ten list, patrząc na Dżamnę, na płynące wraz z jej nurtem barki i ciągnące ponad nimi chmury, kiedy Ty rośniesz dopiero z wolna w łonie Twojej Matki. Wiedz, że o Tobie myślę, że pragnę dzielić z Tobą tę chwilę i wszystko, co teraz czuję.

Gdyby słowa były mi równie posłuszne, jak posłuszne mi są kamienie, potrafiłbym lepiej wyrazić swoje uczucia. Umiałbym opisać, jak bardzo pragnę Cię zobaczyć, jak to pragnienie wzmagają się z każdym mijającym dniem i jaka przepelnia mnie miłość. Miłość, która ożyła wraz z biciem Twojego serca.

Choć jeszcze Cię nie znam, znam i podziwiam Twą Matkę, jestem przeto pewien, że jej dziecko będzie tak samo niezwykle jak ona. Tego, co z jej charakteru odezwie się w Tobie najsilniej, mogę się tylko domyślać. Jej życzliwość i dobroć? Lojalność? A może jej niecierpliwość? Po mnie weźmiesz być może umiejętność widzenia piękna, a może też mój optymizm, czasami podobno nadmierny.

To pewne, że odziedziczysz któreś z naszych cech, tak jak my przejęliśmy swoje po przodkach, lecz będziesz też mieć własne, które w nas, rodzicach, budzić będą największą ciekawość i podziw.

Niecierpliwie czekam na chwilę, gdy zaczniesz odkrywać świat i cieszyć się ze swych odkryć. Codziennie wszak będą Ci się objawiać nowe tajemnice. Jakie one będą? Co takiego zobaczysz, czego ja nie widzę? Za Twym pośrednictwem będę na nowo uczył się tego, co już zdążyłem zapomnieć, lub dowiadywał tego, czego nie miałem szans się dowiedzieć. Mam nadzieję, że ja także nauczę Cię wielu pożytecznych rzeczy — na przykład jak pozyskać zaufanie słonia, jak namalować coś, co nie istnieje, jak słuchać tego, co Ci mówią ludzie. Bo nie są to wcale takie proste sprawy, jak można by sądzić.

Wiedz, nasza Córko lub Synu, że już teraz bardzo Cię kochamy. Jesteś naszym największym szczęściem. Dzięki Ci za radość, jaką wnosisz swym istnieniem w nasze życie. Dzięki Ci za to, kim jesteś, i za to, kim będziesz kiedyś.

Twój ojciec

Przeczytawszy te słowa, poczułam się o niebo lepiej — bóle ustąpiły. Pomyślałam, że Isa pisze w innym stylu niż mój ojciec, lecz z takim samym uczuciem, i to przypomniało mi o innych łączących ich podobieństwach. Wywodzili się z tak różnych sfer, często też objawiali przeciw-

stawne temperamenty, a jednak mniej się od siebie różnili niż choćby lew od lamparta. Obaj mieli w sobie majestat tych dwóch wielkich kotów, a jednocześnie — inaczej niż większość mężczyzn — nie przejmowali się własną wielkością, no i nie bali się uczuć.

Ojca widywałam teraz bardzo często, gdyż prawie codziennie od razu po zejściu z Pawiego Tronu składał mi wizytę. Zawsze pytał o dziecko, opowiadał mi także, co robiła matka, by złagodzić dolegliwości, o które przyprawia kobietę brzemiennność. Ja z kolei wypytywałam go stale o sprawy cesarstwa, które im byłam grubsza, tym bardziej mnie ciekawiły. Wkrótce już znowu wiedziałam o wszystkim, nawet o tym, co robi każdy z nobilów. Ojciec powiedział mi również, że Persowie stają się coraz zuchwalsi i że wysłał przeciw nim Aurangzeba.

Kiedy ojciec i Isa byli zbyt zajęci, by mi dotrzymywać towarzystwa, myślałam tęsknie o Ladli. Pragnęłam się z nią zobaczyć, cóż, kiedy było to zbyt ryzykowne. Nizam na pociechę przyniósł mi od niej bilecik z przeprosinami za tę naszą udawaną kłótnię. Bilecik spaliłam, Nizamowi zaś przykazałam potajemnie spotkać się z Ladli i powiedzieć, że nadal kocham ją jak siostrę. Poleciałam mu ją powiadomić, że oczekuję dziecka, lecz nie zdradzać, kto jest jego ojcem.

Isa nie mylił się, mówiąc, że nasze dziecko odziedziczy moją niecierpliwość, pospieszyło się bowiem z przyjściem na świat. Cesarski medyk był już tak słaby i prawie ślepy, że młody czeladnik musiał go przynieść do mego łóża, mimo to mając go u boku i słysząc te same komendy, które wydawał matce, poczułam się spokojniejsza. Obecny był także ojciec, lecz że była to rzecz niesłychana, by mężczyzna, w dodatku cesarz, towarzyszył córce w takiej chwili, miało to pozostać naszą tajemnicą. Chondamir oczywiście nie zamierzał brać w tym udziału, kazał tylko natychmiast pchnąć do siebie gońca z wiadomością, jakiej płci jest jego dziecko.

Ja doznawałam słodko-gorzkich uczuć. Radość, że zostanę matką, mieszała się we mnie ze smutkiem, że nie mam przy sobie ukochanego mężczyzny, mojej drogiej matki ani przyjaciółki. Smuciła mnie zwłaszcza nieobecność Isy; mówi się, że dziecko zaraz po narodzinach powinno słyszeć głosy swych rodziców.

Poród nie był łatwy. Biodra miałam wąskie, co nie pomaga dziecku ani matce. Wkrótce zaczęłam zwijać się z bólu. Był tak nieznośny, że poprosiłam, by włożono mi coś między zęby, i ów młody medyk, ciężko przerażony, bo ręce mu drżały ze strachu, podał mi drewnianą łyżkę. Niewiele to jednak pomogło; wydawało mi się, że za chwilę pęknę jak przerośnięty strączek fasoli. Przed mężczyznami starałam się nadrabiać miną, lecz w końcu nie dałam rady i zaczęłam płakać. Jakież to straszne! Żebyż przynajmniej był ze mną Isa!

Ojciec ukląkł przy moim pościeliu i próbując mnie jakoś pokrzepić, zaczął mi opowiadać o pierwszym porodzie matki. Lecz i on był zdenerwowany — słyszałam to w jego głosie. Co chwila

przerywał opowieść, by zwrócić wzrok w stronę Mekki. Wiedziałam, że błaga Boga o łaskę. Ja także.

Nareszcie! Nareszcie z ostatnim tak rozdzierającym bólem, że zdawał się rwać moje wnętrzności na strzępy, dziecko wypadło mi z łona. Straszliwy ucisk ustąpił, pozostawiając po sobie drżenie w całym ciele. Stary medyk krzyknął na swojego ucznia, każąc mu sprawdzić, czy dziecko odycha, i opisać jego kondycję. Zobaczyłam jeszcze, że zdenerwowany młodzik daje memu dziecku klapsa, że czyści mu usta i buzię białym płótnem — i opadłam bez sił na poduszki. Musiałam zemdleć, bo gdy otworzyłam oczy, dziecko leżało mi już na piersi.

— To dziewczynka, Dżahanaro — wyszeptał uszczęśliwiony ojciec. — A jaka piękna! Jej uśmiech sprawi, że kwiaty powiędną z zazdrości!

O tak, była piękna! Jej malutką twarzyczkę z okrągłym podbródkiem okalały śliczne czarne loczki.

— Jest doskonała — szepnęłam, płacząc ze szczęścia. — Dzięki Ci, Boże!

Ojciec podziękował medykom i wręczył każdemu po sztabce srebra.

— Ojczy, czy mógłbyś... sprowadzić tu Isę? — zawołałam, gdy tylko zniknęli za drzwiami. Potem dopiero przyszło mi na myśl, że to chyba nie wypada prosić cesarza, choćby nawet był moim ojcem, żeby biegał po zatechłych lochach z powodu mężczyzny, który nawet nie jest moim mężem. Trochę tym zawstydzona, cieszyłam się jednak skrycie, że mogę z nim dzielić nasz sekret.

— Czynisz mi zaszczyt tą prośbą — powiedział, podnosząc się z klęczek i czym prędzej zamykając drzwi na klucz. — Tylko czy mogę zostawić cię samą?

— Tak, ojczy. I uważaj na tę pułapkę.

— Nie bój się, córko! Nie pozbawię swojej wnuczki dziadka!

Bezszelestnie otworzył szafę i chwyciwszy zapaloną świecę, zniknął za sukniami matki. Z pewnym wysiłkiem wzięłam na ręce swą nowo narodzoną córkę i zaczęłam jej się przyglądać. Czy to możliwe, bym to ja urodziła tę zdumiewającą istotkę? I pomyśleć, że to maleństwo, jeśli tylko Bóg pozwoli, też kiedyś zostanie matką!

Moja córka nagle zakwiliła, podnosząc zarazem takim gestem swą miniaturową rączkę, jakby chciała zaprotestować przeciwko tej ciężkiej próbie, jaką było jej przyjście na świat. Jakaś ty silna, pomyślałam, całując jej słodkie paluszki. Były tak malusieńkie, że znów ogarnął mnie podziw. Czy każda matka uświadamia sobie w tym momencie, że jej życie, choćby nie wiadomo jak ciężkie, ma jednak wartość, skoro potrafiła dać światu takie małe чудо?

Usłyszałam szelest, i oto z szafy wyłonił się Isa, a za nim ojciec. Uśmiechnęłam się na widok pajęczyn zwisających z jego cesarskiego turbanu. Jak zwykle niezmiernie taktowny, oznajmił, że musi już iść, życzy nam więc dobrej nocy.

— Dziękuję ci, ojcze.

— Zamknij drzwi, Iso — szepnął, zmierzając do wyjścia.

— Cieszę się twym szczęściem, Dżahanaro. Twoja matka byłaby z ciebie dumna. Wiem, że jest dumna.

Wyszedł z komnaty, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Isa zaś spełniwszy jego polecenie, pospieszył do mego posłania. Spojrzał na mnie, a potem przeniósł wzrok na dziecko. Rozumiejąc, o co mnie prosi, skinęłam głową, a gdy opadł na kolana, dałam mu znak, żeby wziął naszą córkę na rękę. Nawet opatulona w jedwabne powijaki wydawała się niewiele większa od dłoni swojego ojca.

— To cud — powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałam.

— Widzę w niej nas dwoje. Nie ciebie ni mnie, tylko nas.

Kiedy ucałował ją w policzek, moja radość sięgnęła szczytu.

Ta kruszynka jeszcze nie wie, pomyślałam, jakie to szczęście mieć takiego ojca. Pewnego dnia, gdy uznam, że już na to pora, powiem ci, czyją jesteś córką. Usiądziemy na stopniach Tadż Mahal z czarkami herbaty w rękach i wtedy wyznam ci prawdę. Może znienawidzisz mnie za to, że tak długo cię okłamywałam, mam jednak nadzieję, że z czasem mi to wybaczysz. I pokochasz swego ojca tak, jak ja go kocham.

— Dziękuję ci, Jaskółeczko — wyszeptał Isa, całując znów małą. — Żle się czujesz, najdroższa? — zaniepokoił się, widząc, że skrzywiłam się z bólu.

— Już dobrze — odrzekłam, choć byłam słaba jak mucha.

— Jakiej jej damy imię?

— Moglibyśmy wybierać z tysiąca — powiedział z uśmiechem — ale nasza córka może ność tylko jedno imię.

— Ardżumand... — Jakże byłam mu wdzięczna, że odgadł moje życzenie.

Ostrożnie położył małą u mojego boku, a sam wyciągnął się przy niej, tak że nasza córeczka znalazła się między nami.

— Nasza najśłodsza Ardżumand...

— Ojciec będzie szczęśliwy.

— Tak jak ja, ukochana, tak jak ja.

ROZDZIAŁ 12

Przyjaźń na sprzedaż

Pierwszy rok po narodzinach Ardżumand był jednym z najlepszych w moim życiu. Wieczorami owiniętą w płótno zawieszałam ją sobie na szyi i pędziłam do domu Isy, gdzie całymi godzinami trzymaliśmy w ramionach tę naszą cudowną kruszynkę, całując jej krągłe policzki, gładząc malutkie nóżki i z niegasnącym zachwytem wpatrując się w prześliczne dziecięce oczka, które z dnia na dzień otwierały się coraz szerzej, a chwilami zaczynały śledzić nasze ruchy. Gdy mówiliśmy do niej, odpowiadała nam po swojemu — słodkim gaworzeniem przypominającym gruchanie gołębi. Nawet gdy byłam najciężej zmęczona, musiałam się wtedy uśmiechnąć, całkiem jakby jej głosik wprawiał w ruch niewidzialne sprężynki ukryte w kącikach moich ust. Isa i bez tego promieniał uśmiechem. Jego miłość do córki była tak bezgraniczna, że czasami patrząc na nich, czułam lekkie ukłucie zazdrości. Takie momenty jednak nie miały żadnego znaczenia, mijały też bardzo szybko, ustępując miejsca uczuciu niewysłowionego szczęścia, że oto jesteśmy razem wszyscy troje.

Po wieczornym karmieniu, które wkrótce stało się dla mnie tęsknie wyczekiwany rytuałem, kładliśmy ją spać w wykonanym przez Isę koszyku, miękko wysłanym przykrytymi jedwabiami kłębkami bawełny. Nie zawsze chciała zaraz zasnąć — i zaczynały się głośne protesty. Z początku trochę się bałam, że ktoś z sąsiedztwa może to usłyszeć — najbliższy dom stał w odległości dwudziestu kroków — i choć Isa wciąż mnie zapewniał, że to niemożliwe, ja nadal nie mogłam się wyzbyć tych obaw. Uwierzyłam mu dopiero pewnego wieczoru, gdy wybiegł na zewnątrz i wrzasnął ile sił w płucach, nie bacząc na to, że jacyś spóźnieni przechodnie mogą go wziąć za wariata. Przekonałam się wtedy, że ma rację, gdyż jego szaleńczy okrzyk był dla mnie ledwo słyszalny.

O świcie wracałam do komnaty matki, by całe przedpołudnie spędzić z małą. Wszystko w niej budziło mój zachwyty — to jak szybko rośnie, jak się uśmiecha, jak podczas kąpieli maści wodę swoimi tłustymi nóżkami. Kiedy zasypiała mi przy piersi, czasami ja także zapadałam w drzemkę, lecz zanim zmorzyła mnie senność, opowiadałam jej szeptem o prawdziwym ojcu — o tym, jak ją kocha, jak uwielbia całować jej paluszki i jak śpiewa jej kołysanki.

Do Chondamira zabierałam ją bardzo rzadko. Był zadowolony, że jego nasienie wreszcie wydało owoc, lecz podejrzewałam, że sam ten owoc uważa jedynie za źródło niechcianych wydat-

ków — oby jego dusza zgniła w piekle! A ponieważ kochałam ją, a nie jego, chciał mnie za to ukarać, nie okazując dziecku ani odrobiny uczuć.

Po południowym posiłku zostawiałam Ardżumand pod opieką niańki lub zanosiałam ją do haremu, sama zaś szłam do pracy. Mieliśmy teraz mnóstwo roboty, byłam więc Isie ogromnie potrzebna. A poza tym — choć umiałam już teraz ukrywać to znacznie lepiej — nadal pragnęłam być przy nim.

Każdego miesiąca na ścianach Tadż Mahal pojawiały się teraz kolejne setki marmurowych płyt zdobnych w gotowe już ornamenty z kolorowych kamieni półszlachetnych. Słonie padały z wysiłku, ludzie chorowali, barki z cennym ładunkiem tonęły podczas monsunowych sztormów, lecz mimo tych nieszczęść mauzoleum pięło się wciąż ku niebu. Osiągnęło akurat połowę swej wysokości i po całym imperium krążyły już opowieści o jego niebywałym pięknie. Wielu podróżnych — nobilów z innych prowincji i zdążających do Mekki pielgrzymów — zatrzymywało się teraz w Agrze, by zobaczyć sławny Tadż Mahal. Czasami nawet zostawali tu na kilka dni, by pomagać nam przy budowie. Wyjeżdżali potem osobliwie zadowoleni — jakby nagle zdali sobie sprawę, że i oni przejdą do legendy.

Spokój owego pogodnego roku zmaćił niestety powrót Aurangzeba znad naszych północnych granic. Przez kilka miesięcy walczył tam z Persami, co zdarzało mu się dosyć często, tym razem wszakże przebieg wyprawy nie był dla niego pomyślny.

Wprawdzie na samym początku opanował parę perskich fortów, wkrótce jednak wrogowi przyszły z odsieczą posiłki i oto dotychczasowy zwycięzca znalazł się w oblężeniu. Kiedy wreszcie zdołał wyrwać się z tego kotła, jego armia zdążyła już znacznie zmaleć, tak że przyprowadził do Agry smętne resztki swych świętych oddziałów.

Nigdy jeszcze nie zaznał smaku klęski, cierpiał więc teraz okropnie, tym bardziej że jak mówiono, jego armia trzykrotnie przewyższała liczbą perskie wojska. Jakby i tego było mało, rebelianci dekańscy, korzystając z sytuacji, ogłosili niepodległość, wymordowawszy wpierw naszą załogę. Tysiące ludzi zginęły okrutną śmiercią.

Aurangzeb był więc w fatalnym nastroju, gdy po powrocie do Agry pojawił się w Diwan-i Amm, by złożyć ojcu i obecnym tam nobilom sprawozdanie ze swojej kampanii. Zaczął złorzeczyć Hindusom służącym pod jego dowództwem i obwiniać ich za swą porażkę. Krzyczał, że brak im zapału do walki i że z takimi ludźmi nie sposób wygrywać wojen! Ojciec być może zgadzał się z nim w duchu, był jednak zbyt mądry, aby o tym mówić, w sali znajdowało się bowiem wielu wpływowych Hindusów, on zaś niemało zadał sobie trudu, żeby pozyskać ich przyjaźń. Dara, który jak podejrzewałam, zaczął w końcu nienawidzić Aurangzeba, wystąpił z gwałtowną repliką, i dwaj

moi bracia ku skrytemu przerażeniu ojca wdali się w otwartą kłótnię. Skutek tego był taki, że w sali zawrzało — hindusi i muzułmanie zaczęli nawzajem obrzucać się obelgami.

Mimo że w naszym imperium hindusi stanowili większość, nam, muzułmanom, dzięki temu udawało się utrzymać władzę, że staraliśmy się traktować ich jak równych sobie. Tak było przez wieki — i oto nagle syn imperatora odsądza ich od czci i wiary, nazywając tchórzliwymi psami! Logicznie rzecz biorąc, można by się było spodziewać, że Aurangzeb będzie bał się znieważać Hindusów, których zresztą w jego oddziałach służyło bardzo niewiele, lecz dla niego ich nastroje nie miały żadnego znaczenia. Był pewien poparcia swoich fanatycznie wiernych muzułmanów, którzy w jego armii piastowali wszystkie najważniejsze funkcje.

Nie byłem w stanie nic zrobić, by choć trochę złagodzić panujące w sali wzburzenie, obserwowałam więc bacznie nowo powstający układ sił, starając się policzyć, ilu ludzi pozostaje przy ojcu i Darze, ilu zaś pod wpływem namiętnych oskarżeń Aurangzeba przechodzi na jego stronę. Wyglądało na to, że siły są wyrównane. Rozglądając się po sali, napotkałam nagle spojrzenie Balchiego tkwiącego czujnie u boku swojego pana — i zrobiło mi się zimno, gdy wyzywająco patrząc mi w oczy, przesunął językiem po wargach. Prędzej czy później w naszej rodzinie dojdzie do krwawej rozprawy, pomyślałam z drżeniem. Gdy tylko nasz ojciec umrze — oby stało się to jak najpóźniej! — Aurangzeb natychmiast sięgnie po władzę. Dara być może spróbuje mu się przeciwstawić, lecz czy wystarczy mu siły?

Mimo woli pomyślałam, czy w imię bezpieczeństwa mej córki nie lepiej byłoby przejść do obozu Aurangzeba? Jako jego przeciwniczka narażałam się na najgorsze — on bowiem bez skrupułów mordował swych wrogów, podczas gdy Dara wolał ich sobie zjednywać. Czy jednak byłabym w stanie zdradzić brata, którego zawsze kochałam?

Nie mogłam tego zrobić, a gdyby nawet pozostały mi w tej sprawie jakieś wątpliwości, już tego samego wieczoru musiałabym je odrzucić. Dowiedzieliśmy się bowiem, że nagle w tajemniczych okolicznościach spłonęła słynna hinduska świątynia razem z czterema mnichami. Nie było żadnych dowodów, że dokonał tego Aurangzeb czy też któryś z jego zauszników, ale ja nie miałam wątpliwości, że to on jest sprawcą tej zbrodni. Nie rozumiałam jedynie, dlaczego chce zburzyć ową delikatną równowagę, na której opiera się nasze imperium. W jaki sposób chaos mógłby przysłużyć się jego zamiarom?

Odpowiedź na te pytania objawiła mi się w chwili, gdy Hindusi w rewanżu podpalili meczet. Na ulicach natychmiast wybuchły zamieszki, podczas których zginęły dziesiątki, a może i setki ludzi. Gdy się okazało, że wśród zabitych więcej jest muzułmanów, już nazajutrz pod sztandary Aurangzeba przeszło wielu nobilów, którzy dotąd popierali Darę. Ten podstępny szalenięc postanowił

widocznie zdobywać sobie stronników, wzniecając powszechny strach przed wrogą hinduską większością.

Nasz ojciec jednakże był zbyt przenikliwy, by nie widzieć celu owej awantury. Rozkazał wojsku wyjść na ulice, polecając dowódcom natychmiast stłumić wszelkie próby jakichkolwiek dalszych zamieszek. Mimo poważania, jakim cieszył się w armii Aurangzeb, to cesarz był dla naszych wojowników ich najwyższą władzą i na jego rozkaz każdy by poszedł w ogień. Tym razem także nikt nie kwestionował cesarskich poleceń. Wichrzyciele — tak hinduscy, jak muzułmańscy — zostali wyłapani i czekali już na egzekucję. Jednocześnie obu stronom ojciec przydzielił równą ilość złota na odbudowę świątyń. Kazał też ogłosić w całym mieście, że każdy kto spróbuje zakłócić spokój publiczny, wydaje na siebie wyrok śmierci. Ostateczny i nieodwołalny.

Rano zavezwał do siebie Darę i Aurangzeba. Ja byłam także uczestniczką owego spotkania. Odkąd się ono na prywatnym tarasie ojca znajdującym się na dachu Czerwonego Fortu, skąd rozciągał się piękny widok na Dżamnę. Bardzo lubiłam to miejsce. Rosły tu miniaturowe cyprysy w glazurowanych donicach, a na kaszmirowym dywanie przedstawiającym nadrzeczny ogród leżały miękkie, podobne do rur poduszki. Kiedy pojawili się moi bracia — z jednakowo gniewnymi minami — my z ojcem półożeliśmy już na dywanie, oparci o jedną z tych poduch.

Słudzy, którzy zaraz potem przynieśli nam herbatę i owoce, spędzili dość czasu na cesarskim dworze, by nieomylnie wyczuć wzajemną wrogość dwóch książąt, oddalili się zatem z widocznym pośpiechem, starannie zamykając za sobą ozdobne mosiężne drzwi. Aurangzeb i Dara usadowili się na tyle daleko od siebie, na ile im pozwalały rozmiary dywanu. Aurangzeb nosił teraz krótko przystrzyżoną brodę. Doszły mnie słuchy, że zgodnie ze starym islamskim zwyczajem postanowił dopóty nie golić tej brody, póki nie wyniszczy wszystkich swoich wrogów.

Ojciec milczał, ja także siedziałam bez słowa, wpatrzona w widoczne stąd mauzoleum. Choć większość fasady przesłaniały wciąż rusztowania, spoza bambusowych prętów prześwitywał już biały marmur. Na rusztowaniach kłębili się ludzie niczym pszczoły w ulu, błyskały stalowe narzędzia do szlifowania kamieni, wiatr niósł aż tutaj odgłosy dalekiej wrzawy.

Gdzieś pośród tego zamętu był Isa...

— Ten twój wczorajszy wybryk nie może się powtórzyć! — oświadczył gniewnie ojciec, zaciskając pięści. Na jego zazwyczaj pogodnej twarzy malowała się dziś surowość. — Nigdy, dopóki żyję! Powiedz mi, Aurangzebie, dlaczego, na Allaha, wywołałeś taką awanturę, i to akurat teraz, kiedy nieprzyjaciel atakuje nas z obu stron?

Winowajca zeszywniał.

— Nie skłamałem, mówiąc to, co powiedziałem.

— A czy ja coś mówiłem o kłamstwach? Widocznie ty próbujesz wymyślić teraz jakieś łągarstwo!

— Powiedziałem, że Hindusi nie są nic warci jako wojownicy, i tak właśnie jest. To tchórze gorsi od psów. Na sam widok wroga łamią szyki i rzucają się do ucieczki!

— Więc zdegraduj dowódców albo każ ich ściąć, zamiast przychodzić na dwór i obrażać ludzi, którzy przelewali krew za imperium, kiedy ty jeszcze ssałeś pierś swej mamki!

— Musimy zachować pokój z Hindusami — wtrącił Dara.

— Jeszcze nie skończyłem, Daro, więc zamilcz! — krzyknął ojciec, co Aurangzeb przyjął z widoczną satysfakcją, która jednak nie trwała długo. — A jak wytłumaczysz spalenie hinduskiej świątyni — zaatakował go ojciec — bo dla mnie to jawny akt zdrady!

— Nic takiego nie zrobiłem.

— O, czyżby? Więc to nie ty?

— Nie.

— Czy ja wyglądam jak wielbłąd? Bo jeśli nie, to nie waż się tak mnie traktować! — zawołał ojciec, po czym gwałtownie wbił zęby w jabłko. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim gniewie.

— Myślisz, że tylko ty masz szpiegów? Dobrze wiem, kto podpalił świątynię, lecz dlaczego ty, podobno rozumny człowiek, zachowujesz się jak mściwe dziecko, wie chyba tylko sam Bóg! Ja zupełnie tego nie pojmuję! Och, wiem, bo to oczywiste, w czyje chcesz wkraść się łaski, dowiedz się zatem, że tych nobilów, których wczoraj udało ci się pozyskać, jest znacznie mniej niż takich, których rozjątrzyłeś! Tak, mój synu! Setki hinduskich sztyletów mogą teraz ugodzić cię w plecy!

— Umiem sobie radzić z wrogami — warknął Aurangzeb, lecz powiedział to chyba zbyt szybko. Przypomniały mi się słowa

Ladli o jego sięgających już granic obłędu obawach przed skrytobójcami. Groźba ojca musiała więc pewnie trafić go w najczulszy punkt.

— Powiem ci coś jeszcze — ojciec hałaśliwie odgryzł znów kawałek jabłka. — Jeśli myślisz, że zdołasz pozbyć się wrogów, to się mylisz. Oni się mnożą jak szczury. Możesz ich zdeptać, otruć albo spalić, lecz na ich miejsce natychmiast pojawią się nowi! I dzieje się tak zawsze, podczas pokoju i wojny, głodu i obfitości! Zawsze ktoś będzie knuć spiski i nastawać na twoje życie.

— Ty jednak żyjesz.

— Bo nie staram się obrażać ludzi, na których opiera się moja władza. Którzy mnie żywią, służą w mojej armii i płacą podatki.

— Muzułmanie służący w moich oddziałach...

— Żołnierz z ciebie dobry, lecz o sprawowaniu rządów wiesz tyle co głupie dziecko. W rękach każdego sprytniejszego nobila byłbyś jak gepard na smyczy! A gdyby Dżahanara mogła zasiąść na tronie, stałbyś się jej marionetką!

Mój brat zacisnął zęby — widać to było po drganiu mięśni na szczękach.

— Pozwoliłbyś kobiecie...

— Byłaby doskonałym władcą! A twoja matka! Myślisz, że ona nie umiałaby rządzić imperium? Umiałaby, i to jak! Ona z pewnością nie starałaby się jątrzyć jednych naszych poddanych przeciw drugim ani nie spędzałaby życia na studiowaniu religii!

Dara, któremu ojciec oszczędził dotąd swego gniewu, skrzywił się teraz lekko. Rozumiałam niełatwą sytuację ojca. Kochał swego starszego syna, lękał się jednak — i nie bez powodu — czy będzie umiał bronić cesarstwa przed tak licznymi wrogami. Próbował zatem wstrząsnąć nim w nadziei, że Dara zacznie nareszcie poważniej traktować swoje obowiązki.

— Jesteś mi potrzebny, Aurangzeb — oświadczył po krótkiej pauzie — lecz nie pozwolę, abyś rujnował imperium, podkopując jego fundamenty. Od dziś masz traktować Hindusów z szacunkiem! Jeśli raz jeszcze usłyszę o zbezczeszczeniu świątyni czy innym głupim wybryku, będziesz czyścił stajnie!

Widząc, jak drgnęła mu ręka, zlekłałam się, że Aurangzeb sięgnie po miecz. Byłam pewna, że przeszło mu to przez głowę. Gdyby nas pozabijał, miałby otwartą drogę do tronu. Opanował się jednak. Czy to strach przed nobilami nie pozwala mu nas uśmiercić? Tak myślała Ladli, ja wszakże skłonna byłam sądzić, że to głównie religia powstrzymuje go przed morderstwem. Dla wyznawcy islamu ojcobójstwo było przecież najcięższym z grzechów, jakie może popełnić śmiertelnik. Więc choć oczy płonęły mu nienawiścią, zapytał w miarę spokojnie:

— Gdzie chcesz mnie wysłać?

— Weź pięćdziesiąt tysięcy ludzi i ruszaj na Persów. To oni zagrażają nam najbardziej. Dekanem zajmiesz się później. Teraz trzeba wytepić tę perską szarańczę. Rozbij ich w pył i proch, zmieć ich forty z powierzchni ziemi, zatruj studnie i popal zbiory! Zrób wszystko, co zechcesz, byle uniemożliwić Persji prowadzenie wojny!

Aurangzeb nigdy jeszcze nie dowodził tak liczną armią, musiał być zatem zadowolony, że dostąpił takiego zaszczytu. Pozwalało mu to łatwiej przełknąć upokorzenie, jakiego doznał od ojca.

— Ile głów mam ci rzucić pod nogi? — zapytał, patrząc w podłogę.

— Sam zdecyduj. Zadaj im takie straty, żeby musieli nas błagać o pokój. A my jako zwycięzcy podyktujemy im twarde warunki!

Gdy mruknąwszy mało zręczne usprawiedliwienie, Aurangzeb opuścił taras, Dara podniósł głowę.

— Czy pamiętacie bitwę o...

— Do rzeczy, synu — przerwał mu ojciec.

Zaskoczony Dara zamrugał oczami; lubił przemawiać długo i ozdobnie, a ojciec jak dotąd nigdy mu w tym nie przeszkadzał.

— Czy to mądrze, ojcze, pozostawiać Agrę bez żołnierzy? W razie napaści...

— Agra potrafi się obronić! — szorstko rzucił ojciec, wiedząc równie dobrze jak ja, że nie to najbardziej niepokoi Darę, tylko te pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy w razie czego pójdą za Aurangzebem. — W odległości dwóch dni marszu mamy większą armię niż ta, którą dowodzi twój brat.

— Tak blisko?

— Przecież powiedziałem. A teraz powinieneś chyba powrócić do swych obowiązków, jeśli oczywiście żadna książka nie wymaga twojej uwagi.

— Nie zamierzam ich nawet otwierać — odrzekł Dara, zmuszając się do uśmiechu.

Kiedy zostałam wreszcie sama z ojcem, poczułam ulgę. Nawet promienie słońca wydały mi się jaśniejsze. Milczeliśmy oboje, skubiąc pokrojony w kostkę melon. Ojciec najwyraźniej nad czymś dumał, nie chciałam mu więc przeszkadzać. Zaczęłam się zastanawiać, jak można by najskuteczniej unieszkodliwić mojego mściwego brata. Zarówno on, jak i ojciec dysponowali całą siecią szpiegów, ja zaś mogłam liczyć jedynie na Ladli. To za mało. Potrzebowałam więcej informacji. Tylko jak je zdobyć?

— Moskity — mruknął ojciec. — Moi synowie są jak moskity.

W dole jakaś małpka przeskoczyła z jednego dachu na drugi. W Czerwonym Forcie roiło się wprost od tych stworzeń. Wielu mieszkańców twierdzy trzymało je w swoich komnatach jako ulubieńców.

— Wybacz mi, ojcze, to, co ci powiem — szepnęłam. — Myślę, że za bardzo polegasz na Aurangzebie.

— A co mam robić, Dżahanaro? Czy Dara potrafi napęłnić strachem czarne serca Persów, tych zdrajców z Dekanu czy Portugalczyków? Myślę niestety, że nie, Aurangzeb natomiast... choć niezbyt go kocham, jest w stanie wszystkich pokonać.

— Tak, ale za jaką cenę? Przecież chyba widzisz, że on nie chce pokoju ani z żadnym z naszych sąsiadów, ani z Hindusami. Zniszczy wszystko, co...

— Właśnie dlatego musimy pomóc Darze stać się takim władcą, jakiego potrzeba imperium. Jest mądrzejszy od Aurangzeba, brak mu jednak jego waleczności. Musimy go tego nauczyć.

Uważałam, że to niemożliwe, lecz nie chciało mi się o tym mówić. Byłam już zmęczona rozmową o moich braciach, nieprzyjaciołach i wojnach. Pragnęłam opowiedzieć ojcu o Ardżumand

— o tym, jak szybko potrafi już raczkować! — lub pomówić z nim o mauzoleum. Czy musimy wciąż tylko się martwić? Dobrze, spróbuję jakoś pomóc Darze, przyrzekłam mu w duchu. Będę o tym myśleć cały dzień, ale wieczorem... wieczorem zajmę się już tylko moim maleństwem i Isą.

Pożegnawszy ojca pocałunkiem, ruszyłam do Tadż Mahal. Tym razem wolałam iść pieszo; chciałam zastanowić się nad tym, co mogę zrobić, żebyśmy w razie zbrojnej rozprawy mieli szansę pokonać Aurangzeba. Dobrze byłoby znać jego taktykę wojenną, jego mocne i słabe strony... Tylko jak się tego dowiedzieć?

Był na to sposób, ale skomplikowany, no i niebezpieczny. Czy mam prawo narażać życie jeszcze jednej drogiej mi osoby? W końcu jednak pomimo wyrzutów sumienia postanowiłam pomówić z Nizamem i jemu zostawić decyzję. Zdążyłam akurat dojść do ogrodu. Posadzone przed laty drzewa owocowe były już teraz mojego wzrostu. Pomiedzy ich smukłymi pniami biegły równe rzędy tulipanów, krokusów i dali. W kanałach płynących wzdłuż ścieżki raz po raz rozlegał się plusk, gdy jakaś ryba żarłocznie chwytiała owada, który niebacznie wylądował w wodzie.

Gdzie Nizam? Nietrudno go było znaleźć. Siedział na słoniu, zachęcając wielkiego samca, żeby zechciał pociągnąć ciężką wiązkę bambusowych drągów, a gdy olbrzym wykonał polecenie, nagroził go lodygą trzciny cukrowej. Patrzyłam na niego z podziwem. Lata ciężkiej pracy na budowie sprawiły, że zniewieściały chłopiec, którego pamiętałam z czasów jego służby w haremie, stał się budzącym respekt mężczyzną o imponująco szerokich ramionach, potężnej klatce piersiowej i mięśniach godnych zapaśnika. Nawet głowę trzymał teraz wyżej.

Na mój widok zeskoczył ze słonia — lekko i zwinnie jak gepard — i bez żadnych pytań ruszył wraz ze mną nad rzekę, rozumiejąc, że chcę z nim pomówić poufnie. Minąwszy stojące przy brzegu trzy ogromne barki, znaleźliśmy się w miejscu, gdzie kilka kobiet prało bieliznę. Przypomniałam sobie z niemiłym dreszczem na grzbiecie, że w tym właśnie miejscu o mało nie utonęłam.

— Księżniczko? — rzucił pytająco Nizam, gdyśmy minęli zakręt, za którym było już pusto.

— Jak się miewasz, Nizamie?

— Dziękuję, dobrze.

— Pytam, jak jest naprawdę.

— Jestem zadowolony. — Z takim wyrazem twarzy zerknął na mauzoleum, jakby naprawdę kochał ten widok.

I ja mam mu to odebrać? Chciałam już zaniechać swych planów, i pewnie bym tak zrobiła, gdyby nie wpajane mi od lat przekonanie, że gdy w grę wchodzi obowiązek, uczucia muszą ustąpić. Więc choć przyszło mi to z wielkim trudem, jednak zapytałam swego przyjaciela:

— Czy byłoby ci bardzo ciężko opuścić to miejsce?

— Opuścić? Dlaczego?

Zacęłam się znów zastanawiać: może by wysłać kogoś innego? Gdybym opłaciła jakiegoś żołnierza...

— Dlaczego, księżniczko?

— Aurangzeb wkrótce pociągnie na Persów...

— Słyszałem.

— Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jak bardzo... nie lubi on Dary i mnie. Powiem ci teraz o tym, o czym wie zaledwie parę osób: próbował niedawno zamordować Darę. Nie zdołał tego zrobić tylko dzięki twojemu zgniłemu mięsu.

— Jak...

— Mniejsza o to. Teraz spróbuje innego sposobu. Właśnie dlatego muszę poznać jego metody i taktykę wojenną. Dowodzi pięćdziesięciotysięczną armią, wyobrażasz sobie? Muszę wiedzieć, jak trzyma w karbach tylu ludzi i czego ich uczy. Jakie zastawia pułapki, czego najbardziej boją się jego wrogowie, jakie ma najmocniejsze i najsłabsze punkty. Po co mi to potrzebne? Boję się, mój przyjacielu, że kiedy nasz ojciec umrze, Aurangzeb i Dara spotkają się na polu bitwy. Ja stanę wtedy po stronie Dary, a ponieważ w sprawach wojskowych nie ma on doświadczenia, potrzebny mu będzie doradca. Chcę wziąć na siebie tę rolę, a ty mi w tym dopomożesz.

— Ale ja nie znam się na tych sprawach!

— Nikt nie rodzi się z taką wiedzą, lecz można ją sobie przyswoić, a ty uczysz się szybciej niż ktokolwiek inny. Ty nie zadajesz pytań tak jak ja, ale nic nie uchodzi twemu oku. Wystarczy, że coś zobaczysz, i od razu umiesz to zrobić; czyż nie tak było na budowie? Gdy zaobserwujesz parę razy, w jakim szyku armia Aurangzeba gotuje się do ataku, będziesz też umiał przewidzieć jej następne ruchy i to, jak można im przeciwdziałać.

— Ale niby jak mam się tam znaleźć?

— Z tym nie będzie kłopotu. Aurangzeb wkrótce ogłosi pobór.

— Czy mogę zapytać, księżniczko, jak bardzo ci na tym zależy?

Nie zamierzałam mu kłamać; nigdy zresztą tego nie robiłam.

— Zależy, mój przyjacielu, ale nie aż tak, żeby cię unieszczęśliwić. Jeśli pragniesz tu zostać i do końca budować Tadź Mahal razem z ludźmi, którzy stali ci się bliscy, to zostań. Za to również będę wdzięczna, a historia też ci pewnie tego nie zapomni.

— Ciekaw jestem — powiedział, otrzepując z piasku wielkie dłonie — czy Persja jest równie piękna jak ziemie naszego imperium? Myślisz, pani, że to możliwe?

— Nie wydaje mi się. A poza tym pamiętaj, że nie będziesz miał czasu na podziwianie widoków. Tam toczy się wojna, Nizamie. Możesz zginąć w walce lub z rąk Aurangzeba, jeśli cię rozpozna.

— Rozpozna? Och nie, księżniczko. Wszak on nigdy nie raczył nawet na mnie spojrzeć. Ani wtedy, kiedy podawałem mu wieczerzę, ani gdy w dawnych latach pozwalałem mu się trafiać tym jego drewnianym mieczykiem. Teraz też nie zechce na mnie patrzeć.

Nie mogąc powstrzymać wzruszenia, poszukałam jego ręki. Moja dłoń przy jego dłoni wyglądała jak rączka małego dziecka.

— Nie zasłużyłeś na takie wspomnienia. Powinieneś być naszym przyjacielem, a nie sługą i niewolnikiem.

— Jesteśmy wszak przyjaciółmi, Dżahanaro.

Nigdy dotąd nie mówił mi po imieniu! Uścisnęłam mocniej jego rękę, choć najchętniej bym go za to ucałowała. Powstrzymałam się tylko dlatego, że gdybym to zrobiła, byłby strasznie zażenowany.

— Tak, Nizamie, jesteśmy i będziemy nimi, póki żyję.

— Nie przejmuj się więc przeszłością. To już stare dzieje. Szlachetny z ciebie człowiek, pomyślałam. Niewielu znam takich jak ty.

— Dziękuję ci, przyjacielu. Dziękuję ci za to, kim jesteś.

— A ja tobie za to, że widzisz we mnie człowieka.

Wróciliśmy do Tadż Mahal i staliśmy tam chwilę, przyglądając się kopule, która osiągnęła już prawie połowę swej wysokości. Z czterech stron podpierały ją cztery główne arkady; każda z nich miała z obu boków po dwie mniejsze, umieszczone jedna nad drugą, a na każdym rogu tak ściętym, że kwadrat przechodził w ośmiobok, wznosiły się rzędy następnych. Isa tak zaprojektował te łuki, by przypominały wiernym białe wrota Raju. I choć niektórzy naśmiewali się z jego ambicji, mówiąc, że o tym może sobie najwyżej pomarzyć, już teraz widać było, że rację miał on, a nie oni. Według mnie nawet Raj nie był ani w połowie tak piękny.

— Będę tęsknił za tym widokiem... — szepnął Nizam.

— A ja za tobą.

— Nie będę tam długo. Zamierzam tu wrócić. Chcę zobaczyć ukończone mauzoleum.

— Obiecujesz? Wracaj szczęśliwie — poprosiłam, kiedy skinął głową — inaczej nigdy sobie nie wybaczę, że ci kazałam tam jechać.

— Do widzenia, księżniczko.

Uściskawszy mu rękę, patrzyłam, jak odchodzi. Nim opuścił jednak plac budowy, podszedł do swojego słonia, jakby chciał podrzucić towarzyszącej jeszcze parę kamieni czy może kilka wiązek drewna. Kiedyś ci się odwdzięczę, pomyślałam. Wynagrodzę wszystkich, którzy narażali dla mnie życie.

Z ciężkim sercem wróciłam do fortu. Ardżumand dała mi chwilę radości, ale wkrótce już znowu opadła mnie chmara gorzkich myśli. Kim jestem, bym miała prawo wystawiać Nizama i Ladli na takie niebezpieczeństwo? Jak mogłam sprzeniewierzyć się naszej przyjaźni... uznać oddanie tych dwojga za ich obowiązek? Przecież to tak, jakbym im kazała płacić za mą przyjaźń. Gnębiło mnie to całe popołudnie. Wieczorem mogłam wreszcie odprawić służące, by wraz z Ardżumand pójść do domu Isy, lecz choć dotąd jego obecność zawsze mocno podnosiła mnie na duchu, tym razem tak się nie stało. Czułam się dziwnie zbrukana, jakby złe postęпки splamiły mi skórę.

— Co cię dręczy? — zapytał, gdy pełnym znużenia ruchem usiadłam na posłaniu, by dać małej pierś. Z początku nie chciałam o tym mówić, lecz gdy nie przestał nalegać, powiedziałam mu, w jaki sposób nadużyłam przyjaźni Nizama.

— Pozostawiłaś mu wybór, Dżahanaro — odrzekł po chwili. — Nie kazałaś mu przecież jechać do Persji.

— Naprawdę tak myślisz?

Wziął małą na ręce i ucałował jej krągły policzek.

— No cóż, jeśli mam być szczery, to nie mógł postąpić inaczej. Jest przekonany, że ma obowiązek ci służyć, a dla niego obowiązek to rzecz święta. Gdyby mimo wszystko został na budowie, miałby pewnie do śmierci wyrzuty sumienia, że cię zawiódł.

— To ja go zawiódłam. On mnie jeszcze nigdy.

Isa znów ucałował naszą córkę, ostrożnie ułożył w koszu i zaczął jej nucić do snu, pieśczo-
tliwie gładząc ją po pulchnym udku. Kiedy usnęła, podłożył mi pod plecy drugą poduszkę i usiadł obok mnie na posłaniu. Wiedziałam, że chce mnie pocieszyć.

— Myślę, Jaskółeczko, że pobyt w armii nie będzie dla Nizama tak straszny, jak byłby może dla kogoś innego. On lubi podróże i przygody. Pamiętasz, jak to było nad Gangesem? Cały dzień nie zsiadał z konia, tak pilno mu było zobaczyć jak najwięcej nieznanymi miejsc. A teraz, popatrz, pojedzie do Persji! Jestem pewien, że wkrótce zdobędzie też nowych przyjaciół.

— Nad Gangesem było inaczej. Tam nie toczyła się wojna.

— Kiedyś odwdzięczysz mu się za wszystko. Kupisz mu kawałek ziemi i pozwolisz zbudować dom. Pewnie z własną wydatną pomocą. Myślę, że go tym uszczęśliwisz, bo własny dom to największe pragnienie twego przyjaciela.

Z westchnieniem zaczęłam odpinać hidżab. Mogę go już nigdy nie zobaczyć, pomyślałam.

— A co uszczęśliwiłoby ciebie? — zapytałam głośno.

— Tak, żebym niczego już więcej nie pragnął?

— Tak.

— Żebyś dostrzegła w sobie to wszystko, co ja w tobie widzę.

— To znaczy co?

— Osobę, która jest moim natchnieniem. Piękno, wdzięk i rozum w jednym drobnym ciele.

Przygryzłam wargę; słowa Isy sprawiły mi wielką przyjemność, lecz nie bardzo im dowierzałam.

— Możemy pomówić o tym jutro?

— Powinnaś pokochać siebie — mówił dalej Isa. — Wiem jednak, że aby tak się stało, tobie niestety potrzebna jest miłość innych. To właśnie jest twoją jedyną słabością, Dżahanaro. Żyjesz takim życiem, jakiego twoim zdaniem oczekują od ciebie ludzie. Żyjesz dla ojca, dla matki, dla wszystkich, tylko nie dla siebie.

— Przecież wiesz, że powinnam...

— Żyć tak, jak sama pragniesz.

— Nie wiem, jak to zrobić.

— Wiesz. Wiesz doskonale, ale rzadko sobie na to pozwalasz. — Poczułam nagle łzy w oczach, a i nos mi strasznie zwilgotniał. — Nawet teraz — mówił Isa, gładząc mnie po twarzy — walczysz ze łzami, boisz się bowiem, że gdy zaczniesz płakać, uznam cię za słabą. — Cóż, powiedział prawdę, ale nie mogłam się do tego przyznać. — Popatrz na siebie tak jak ja — szepnął z ogromną czułością — a nie będziesz musiała nigdy więcej hamować łez. Żyj tak, jak pragniesz, moja najdroższa, a skończą się twe udręki.

ROZDZIAŁ 13

Karma

Dwa dni po mojej rozmowie z Nizamem Allah poddał mnie próbie, każąc dokonać bardzo trudnego wyboru. Żadna z dwóch możliwości nie była dobra, ale jedna z nich niewątpliwie mogła zmienić cały mój świat...

Dzień, w którym się to stało, był skądinąd ogromnie radosny — ukończyliśmy właśnie okładanie marmurem jednego z czterech minaretów. Podobnie jak pozostałe miał on kształt bambusowej tyczki wysokości pięćdziesięciu mężczyzn, podzielonej pierścieniami na trzy części. Na szczycie wznosiły się wdzięczne arkady podpierające niewielką kopułę.

Dzień ten był dla nas prawdziwym świętem. Aurangzeb nie wyruszył jeszcze na Persów, Nizam mógł więc wraz z nami być świadkiem uroczystej chwili, gdy ostatnia marmurowa płyta spoczęła na swoim miejscu. Ojciec z tej okazji kazał wytoczyć kilkadziesiąt baryłek wina i przeznaczyć na rożen osiemdziesiąt wołów. Ponieważ Hindusi nie jadali takiego mięsa, opłaceni przez nas kupcy przygotowali dla nich istne góry ryżu z przyprawami, słodkich kartofli i wszelkich owoców. Do tego mnóstwo jogurtów, sorbetów i rozmaitych słodkości.

Cała nasza ponaddwudziestotysięczna załoga piła więc i świętowała. Odbywały się zapasy, wyścigi na różnych dystansach, podnoszenie ciężarów, a nawet rozgrywki w polo, chociaż tym razem bez koni. Muzułmanie i hindusi bawili się razem, choć jeszcze niedawno najchętniej skoczyliby sobie do gardeł. Teraz jednak obecność ojca i Dary, którzy mieli tak wielu hinduskich przyjaciół, rozładowała napięcie, tak że w końcu zupełnie znikło.

Wszystkie baryłki z winem zostały wkrótce osuszone.

Dla mnie była to szczególna uroczystość, mogłam bowiem towarzyszyć Isie, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Byłam przecież jego pomocnicą, mieliśmy więc prawo wspólnie cieszyć się naszym sukcesem. Stojąc wraz z Nizamem w otoczeniu kilkunastu mistrzów, śmialiśmy się i żartowali, wspominając różne śmieszne wydarzenia, takie jak na przykład ów moment, kiedy to słoń Nizama owładnięty żądzą miłosną pognał nagle do rzeki, staranował barkę i omal nie utopił mego przyjaciela.

Dopiero na krótko przed zmierzchem, kiedy ludzie zaczęli się już rozchodzić, pożegnałam Isę i ruszyłam z pośpiechem w stronę Czerwonego Fortu. Cały dzień nie widziałam Ardzumand, więc ogromnie mi jej brakowało. Po sporej ilości wypitego wina nogi miałam ciężkie, za to myśli o wiele lżejsze, zwłaszcza że Nizam najwyraźniej był gotów wybaczyć mi swoje wygnanie. Przed

kilkoma godzinami dałam mu w prezencie porcelanową broszkę z portretem mej matki. Musiał ją bardzo kochać, gdyż na widok tego daru wprost zaniemówił z wrażenia.

Jego dziękczynne uśmiechy poprawiły mi samopoczucie, tak więc w pogodnym nastroju spieszyłam teraz do córeczki. Na ulicach wciąż jeszcze panował ruch — im bliżej Czerwonego Fortu, tym większy. Jakieś dzieci ścigały małe małpiątko, wojownicy z krzykiem poganiali woły ciągnące w stronę cytadeli nowo odlane działa, zewsząd dobiegały podniecone głosy handlarzy i kupujących — słudzy nobilów targowali się o żywy drób, wielkie damy o girlandy z kwiatów, przy straganach z kamiennymi ozdobami do okien pomstowano na kamieniarzy żądających za nie niebotycznych cen.

Już w pobliżu Czerwonego Fortu otoczyły mnie bezdomne dzieci, opróżniłam więc kieszenie z monet, na czym skorzystał też jakiś trędowaty biedak, dzieci wszakże szły za mną aż do głównej bramy, póki nie zastąpili im drogi strażnicy. Widząc trochę dalej stragan z owocami, nabrałam ochoty na świeżą papaję, lecz dopiero zapuściwszy rękę do kieszeni, przypomniałam sobie, że jest pusta.

Wino to dobra rzecz, pomyślałam z humorem, pozwala zapomnieć o wszystkim.

Gdy po pokonaniu mnóstwa korytarzy i spiralnych schodów znalazłam się wreszcie w cesarskiej części pałacu, dyszałam jak miech kowalski. Moja komnata była przedostatnia w całym bardzo długim korytarzu. Zostawiłam tam Ardzumand pod opieką troskliwej piastunki, która właśnie niedawno pochowała dziecko, moja córka stała się więc dla niej wielką pociechą w cierpieniu. Ufałam tej kobiecie bezgranicznie.

Mijając drzwi Aurangzeba, usłyszałam jakiś dziwny odgłos — coś jakby stłumiony jęk. Pewna, że się przesłyszałam — po winie człowiekowi zwidują się wszak różne rzeczy — miałam już zamiar pójść dalej, gdy odgłos ów się powtórzył. Czyżby ktoś tam był? Wydawało się to dosyć dziwne, gdyż Aurangzeb i jego rodzina nocowali przeważnie w pałacu stojącym za murami fortu. Chyba znów wino sprawiło, że zdecydowałam się zapukać; w innych okolicznościach pewnie bym się na to nie zdobyła. Ktoś szeptem nakazał mi wejść.

— Tylko powoli — dodał ów głos.

Nie wiedząc, co o tym myśleć, ostrożnie otworzyłam drzwi, i oto jaki widok ukazał się moim zdumionym oczom! Aurangzeb i jego żona — pulchna dziewczyna wysokiego rodu — kulili się w kącie komnaty. Tuż przed nimi leżał przewrócony koszyk, z którego wysypały się tulipany, wśród nich zaś z wysoko podniesioną głową kołysała się ogromna kobra! Czarna kaptur rozłożyła na całą szerokość, a jej wąski język wykonywał błyskawiczne ruchy.

W mgnieniu oka zrozumiałam, co się stało. Ktoś spróbował zamordować Aurangzeba, posyłając mu śmierć skrytą w kwiatkach.

Memu bratu twarz drgała ze strachu, kobra znajdowała się bowiem najwyżej o krok od niego. Gdyby się poruszył, byłoby po nim. Jego szlochająca żona siedziała trochę dalej.

Stanęłam jak wryta, rozważając, niechaj Bóg mi to wybaczy, czy po prostu nie wyjść. Gdybym to zrobiła, głośno zatraskując drzwi, los Aurangzeba byłby przesądzony, ja zaś poz byłabym się wszelkich trosk. Dara bez kłopotu zasiadłby na tronie, moi bliscy żyliby w spokoju, a hindusi i muzułmanie przestaliby uważać się za wrogów.

Zamknęłam oczy, błagając Allaha, aby dał mi znak, co mam zrobić. Ocalić jednego brata, by mógł nadal nastawać na życie drugiego, czy pozwolić tej kobrze zabić Aurangzeba? Tak byłoby lepiej, ale jeśli Hindusi mają rację i karma naprawdę istnieje, to gdy pozwolę mu umrzeć, czeka mnie za to kara. Jeśli jednak go uratuję, ucierpi cała moja rodzina. Och, nie ukrywam, że łatwiej by mi było wyjść! Czyż ten okrutnik, myślałam, nie zasłużył sobie na śmierć? Jego zabójca, kimkolwiek jest, wyświadcza mi wielką przysługę. Powinnam wyjść!

Moja bratowa jęknęła, a kobra zaczęła syczeć. Była wyjątkowo wielka — miała długość dwóch mych rozpostartych ramion, grubość zaś większą niż kostka u nogi. Aurangzeb dygotał — widać było, że straszliwie boi się tego gada. Wydawało się to bardzo dziwne, nie bał się przecież mieczy ani armat, ani nawet szarży bojowych słoni. W przeciwieństwie do innych wodzów walczył też zawsze w pierwszym szeregu, pewien, że Bóg otacza go swą opieką. Czyżby na widok rozdrażnionej kobry stracił nagle wiarę w Jego pomoc?

Próbował mi coś powiedzieć, lecz pomiędzy jego drżących warg wydobył się tylko jakiś słaby chrapliwy dźwięk. Żona odsunęła się od niego, kobra zaś w tejże chwili jeszcze wyżej uniosła głowę, nie przestając wywijać językiem. Zdawała się w ogóle nie widzieć kobiety; całą jej uwagę skupiał na sobie Aurangzeb. Zrozumiałam, że nie mogę odejść i zostawić go na pewną śmierć! Wszak to mój brat. To prawda, że kiedyś tak właśnie postąpił ze mną, ale gdybym teraz zrobiła to samo, nie byłabym od niego lepsza. Nie mogłabym nigdy powiedzieć córce, że uczciwie przeżyłam życie.

Zacząłam powolutku skradać się w stronę niskiego stolika, na którym leżał miecz Aurangzeba. Kobra musiała mnie zwęszyć i choć nie zmieniła pozycji, mogła zrobić to w każdej chwili. Nogi zaczęły drżeć mi ze strachu, mimo to krok po kroku posuwałam się naprzód, nie odrywając oczu od gada. Gdyby się nagle odwrócił, niewiele miałabym szans na ucieczkę.

Komnata nie była duża, wkrótce więc znalazłam się przy stole. Miecz tkwił niestety w pochwie. Osunąwszy się powoli na kolana, przytrzymałam ją jedną dłonią, drugą zaś chwyciłam za rękojeść i bardzo ostrożnie zaczęłam wyciągać broń. Była dobrze naoliwiona, wysunęła się więc bez hałasu. Prawie wszyscy nasi wojownicy używali mieczy jednoręcznych, ten wszakże należało trzymać w obu.

Był strasznie ciężki, mimo to poczułam, że przybyło mi nagle odwagi. Czy tak właśnie dzieje się z wojownikami, kiedy znajdują się na polu bitwy? Przez moment wyobrażałam sobie, jak by to było zaatakować jakiegoś perskiego rycerza taką zabójczą klingą? O czym myślą mężczyźni w takich chwilach? Może w ogóle nie myślą? Może włada nimi tylko szal bojowy? A może strach?

Byłam zaledwie dwa kroki od kobry. Dziwne, lecz wciąż jeszcze zdawała się mnie nie wyzuwać. Podniósłszy miecz na wysokość ramion, zamierzałam właśnie postawić kolejny krok, już ostatni, gdy to straszne stworzenie obróciło się raptem w moją stronę i zaczęło syczeć, szykując się do ataku.

Z dzikim wrzaskiem opuściłam ciężkie ostrze. Runęło z tak niebywałą szybkością, że dopadło kobrę w pół skoku, odcinając jej głowę, zanim ona sama zdołała osiągnąć mego uda. Lecz choć głowa gada potoczyła się po dywanie, jego broczące krwią cielsko z impetem gruchnęło mnie w nogę. Krzycząc z przerażenia, raz jeszcze podniosłam miecz, tym razem aż ponad głowę, i wkładając w to całą swą siłę, uderzyłam w wijący się kadłub. Ostrze przecięło węża oraz grubego dywan i napotkawszy kamienną posadzkę, odpadło od rękojeści. Rzuciłam pozostałe mi w dłoni resztki, patrząc z niedowierzaniem na wijące się nadal trzy części kobry.

Żona Aurangzeba z jękiem ulgi zarzuciła mu ręce na szyję, gdy jednak szorstko ją odepchnął, zaniósła się głośnym płaczem.

— Zostaw nas samych! — ryknął mój brat, trzęsąc się wciąż jak w febrze, i chwyciwszy ją za włosy, popchnął w stronę drzwi. Potknąwszy się o poduszkę, przeleciała obok mnie jak przedmiot, jakoś jednak odzyskała równowagę i łkając niepowstrzymanie, pognała w głąb korytarza.

Teraz dopiero poczułam, że i ja cała się trzęsę i że kręci mi się w głowie. Patrząc na migający wciąż język kobry, na jej białe zakrzywione zęby widoczne w otwartej paszczy, uświadomiłam sobie ze zgrozą, jak bliska byłam śmierci!

— Cóż to? Zmieniłaś zamiar? — warknął Aurangzeb. Wstał z miejsca i omijając z daleka szczątki kobry, zaczął się do mnie zbliżać.

— Co? — Nie zrozumiałam, o co mu chodzi.

— Postanowiłaś, grzesznico, jednak mnie nie zabijać? — syknął, wbijając mi palce w ramiona. — Zabrakło ci w końcu odwagi?

— Odwagi?

— Żeby patrzeć na moją śmierć!

W tym momencie go zniechędziłam. Co z niego za człowiek! Nie chciało mi się wprost wierzyć, że jesteśmy tej samej krwi.

— Myślisz, że to ja chciałam cię zabić? — krzyknęłam, odpychając go od siebie z furją.

— Ty, ojciec czy Dara, co za różnica?

Może to wino, a może bliskie spotkanie ze śmiercią natchnęło mnie taką odwagą, że nie zważając już na nic, zaczęłam tłuc go pięściami.

— Wielka różnica, ty głupi ośle! To nie był nikt z nas! Zastanawiałeś się kiedyś, ilu masz wrogów? A powinienes! Bo mógł to być ojciec jakiejś dziewczyny, którą okrutnie zgwałciłeś, albo hindus, który chce się zemścić za swą spaloną świątynię, czy nawet jakiś Pers, któremu nie zdążyłeś ściąć głowy! Skąd mogę wiedzieć, kto z nich próbował cię zabić? — Z wściekłością wymierzyłam mu kolejny cios, on zaś o dziwo, cofnął się tylko, nie próbując się nawet osłonić.

— Przysięgniesz na grób Mahometa, że nie miałaś z tym nic wspólnego?

— Gdyby tak było, ty głupcze, czybym cię ratowała?

Chwilę rozważał me słowa, zerkając lękliwie na kobrę.

— W takim razie zawdzięczam ci życie — stwierdził w końcu z ubolewaniem. — Odpłacę ci się za to, ale pod pewnym warunkiem. — Nie obchodziły mnie jego warunki i tak też mu powiedziałam, na co splunął ze złości i zacisnąwszy pięści, oświadczył:

— Gdy nadejdzie pora, pomożesz mi zdobyć tron. W przeciwnym razie zabiję cię, siostró, a z twej córki zrobię niewolnicę.

Och, nawet od niego nie spodziewałam się takiej groźby!

— Ocaliłam ci życie, a ty...

— A ja wybaczyłem ci twoje grzechy, których masz bez liku! — zawołał, parskając śliną. — Proś Boga, by i On okazał ci miłosierdzie! Stań po mojej stronie, a pozwolę ci żyć w spokoju, jeśli jednak będziesz nadal popierać tego heretyka, umrzesz straszną śmiercią!

— Będę popierać Dare, bo to mój obowiązek! — krzyknęłam, pieniąc się z gniewu. — To on jest prawowitym następcą ojca, ty zaś chcesz zdobyć władzę przemocą!

— Ten heretyk nigdy nie będzie cesarzem — odrzekł z okrutnym uśmiechem. — Tron będzie mój. Tylko ja jeden potrafię przywrócić porządek w imperium. Prawdziwy porządek, zgodny z wolą Boga.

— Wiesz, kim ty jesteś? Tchórzem! I nigdy nie będziesz nikim więcej!

Nagłym ciosem w policzek powalił mnie na kolana, sam zaś stanął nade mną w taki sposób, że obręb jego tuniki dotykał mej twarzy.

— A czy wiesz, ty złodziejko, co się dzieje po każdej bitwie? Możesz mi wierzyć, że jest na co patrzeć! Pozwalam wtedy moim wojownikom pobawić się z niewiernymi. Starych zarzynamy tępymi nożami, chłopców kastrujemy i czynimy z nich niewolników, zaś los kobiet jest jeszcze gorszy! — Pochylił się niżej, opryskując mnie kroplami śliny, chwycił za szarfę i gwałtownie postawił na nogi. — Pomyśl, grzesznico, jak długo uda ci się przetrwać, kiedy rzucę cię swym wojownikom?

Gestem pełnym odrazy odepchnęłam go znów od siebie.

— Gwałt? O tak, to potraficie wy tchórze, którym na widok węża strach odbiera rozum! —
Kopnęłam bosą stopą łeb kobry, który trafił Aurangzeba w łydkę. Wrzasnął jak oparzony.

Uciekając przed jego furją, wpadłam do swojej komnaty i czym prędzej zamknęłam drzwi. Mamka Ardżumand, która właśnie karmiła małą, drgnęła z przestachu i odstawivszy dziecko od nabrzmiałej piersi, podała mi je bez słowa. Ucałowałam w czoło swą słodką kruszynkę, przeklinając się w duchu za słabość. Że też pozwoliłam żyć takiemu monstrum! Było oczywiste, że odtąd już nigdy nie nastanie między nami pokój.

TLR

CZEŚĆ III

To, co pozbawione życia, umiera.

Życie jednak nie umiera.

I to właśnie, to, co najlotniejsze, to rdzeniem jest wszechświata, to rzeczywistość.

UPANISZADY

(przełożył Stanisław Franciszek Michalski)

— Och, Dżaha, czemu nie pozwoliłaś tej kobrze go zabić? Ileż to razy sama zadawałam sobie to pytanie?

— Nie umiałam zabić swego brata — mówię ze smutkiem. — Chciałam, wybac mi, Boże, by zrobiła to za mnie ta kobra, spróbujcie jednak postawić się na moim miejscu: czy mogłybyście patrzeć, jak wasz brat umiera?

— Nigdy! — woła Rurajja.

— Oczywiście, że nie. Aurangzeb mimo wszystko wyszedł z tego samego łona co ja. I nie zawsze był taki okrutny.

— Więc dlaczego się zmienił? Co mu się stało?

— Kiedyś zapytałam o to ojca. Odpowiedział mi tak: „A dlaczego słońce ucieka przed nocą? Bo nawet ono nosi w sercu trwogę. Aurangzeb, który zawsze lękał się tylu rzeczy, potrafi uciszyć swój strach tylko w jeden sposób: wzbudzając strach w innych”.

— Robi to nadal — wtrąca Gulbadan.

— Tak, moje dziecko. Ci, którzy mają w sercu miłość i czują, że są kochani, potrafią pokonać strach; on tego nie umie, bo jego serce jest puste.

Obie moje wnuczki rozważają te słowa. Patrząc na ich świeże twarze, prawie nie czuję zażenowania. Och tak, dobrze byłoby mieć ich młodą skórę i niespożytą energię, lecz nie oddałabym za to swych wspomnień. Mnie los pozwolił zaznać smaku miłości do mężczyzny, który był jej wart. Te dziewczyny musiałyby mieć dużo szczęścia, by trafić na kogoś takiego jak Isa. Dał mi wszystko, czego można pragnąć. Strasznie za nim tęsknię, teraz gdy Bóg zdecydował się nas rozdzielić, pocieszam się jednak myślą, że wkrótce znów się spotkamy, by nigdy już się nie rozstać.

Wciąż jeszcze myślę o Isie, gdy Nizam wydobywa z sakwy parę plastrów miodu i częstuje nimi dziewczyny. Brzydka podłużna blizna widoczna na jego przedramieniu przywodzi mi na myśl

ów dzień, kiedy to odniósł tę ranę. Widzę, jak z ociekającym krwią mieczem w ręku walczy w mej obronie, dziki, szalony, niewrażliwy, zda się, na ciosy! Gdybyśmy mieli stu takich Nizamów, poeci sławiliby nasze zwycięstwo, a Dara...

Odpycham od siebie tę myśl — Allah nie powinien słuchać moich żalów. Okazał mi tyle łask, że należy Mu się ode mnie jedynie szacunek i wdzięczność.

— Na czym to ja stanęłam? — pytam słabym głosem, udając, że starość mąci mi umysł, co oczywiście wcale nie jest prawdą. Umysł mam jasny jak w czasach młodości, a pamięć nadal działa niezawodnie.

— Właśnie ocaliłaś swego brata — mówi Gulbadan, mrużąc oczy przed ostrym południowym słońcem. — I co było dalej?

Zastanawiam się, od czego zacząć. Pierwsze lata życia Ardżumand przyniosły mi wiele radości i tyle samo bólu. Dla imperium były to najlepsze i zarazem najgorsze lata.

— Z początku było cudownie, a potem rozgorzała wojna.

ROZDZIAŁ 14

Łza na policzku czasu

Pierwsze lata Ardżumand nie zapisały się w mej pamięci niczym szczególnym poza tym, że moja miłość do niej i Isy stała się jeszcze głębsza. Działo się rzecz jasna to i owo, zdarzały się też kłopoty, nieporównywalne jednak do tego, co miało nastąpić później.

Aurangzeb wraz z armią wyruszył wkrótce na Persów. Nizam ze względu na swe umiejętności jeździeckie dostał przydział do kawalerii. Wyposażono go w łuk i strzały oraz miecz, sztylet i tarczę, ja zaś kupiłam mu dobrego konia. Aby jednak nie wzbudzać niczyich podejrzeń, dałam mu tylko konopną derkę i sfatygowane siodło. Nobilowie mieli zwyczaj pokrywać swe siodła jedwabiem, a wodze ich koni nabijane były perłami. Mnie zależało na tym, aby Nizam wyglądał jak najpospolitszy jeździec, choć jego wierzchowiec wart był fortunę, a podczas bitwy mógł się okazać bezcenny.

Po wyjeździe Nizama przez rok nie wiedziałam, co się z nim dzieje, a gdy wreszcie niespodzianie odwiedził Agrę, ledwo go poznałam. Twarz mocno mu pociemniała od słońca pustyni, w dodatku zapuścił brodę, a jego potężna postać wydawała się jeszcze masywniejsza. Miał na sobie skórzany pancerz poznaczony mnóstwem zadrapań i pęknięć oraz sporo biżuterii po zabitych wrogach. Taki zwyczaj panował pośród wojowników — wszyscy nosili zdobyczne klejnoty.

Gdy zachowując należną ostrożność, spotkaliśmy się w ustronnym zakątku nad rzeką, opowiedział mi, że Aurangzeb bezlitośnie pustoszy perskie forty, że jest niezwykle walecznym przywódcą kochanym przez swych żołnierzy, gdyż zawsze wraz z nimi idzie do ataku, a po zwycięstwie pozwala im zgarniać łupy. Myślałam, że Nizam podobnie jak ja uzna ten proceder za godny pogardy, on jednak orzekł, iż mój brat postępuje słusznie, bo nasi wrogowie są równie bezwzględni.

Musiałam pożegnać go ponownie, co znów mocno mnie rozstroiło, lecz dzięki Isie zniosłam to już lepiej niż poprzednio. Uświadomił mi on w trakcie wielu rozmów — wyznaję, iż dosyć dla mnie bolesnych — że takie po prostu jest życie; że śmierć lub inne okoliczności, na które nie mamy wpływu, odbierają nam czasami bliskich i trzeba się z tym pogodzić. Powinniśmy ich opłakiwać i modlić się za nich, lecz nie wolno nam wpadać w tak bezdenną rozpacz, aby życie traciło dla nas sens.

Mniej więcej tydzień później Aurangzeb po przegrupowaniu swych sił i uzupełnieniu ich nowymi ludźmi szybkim marszem poszedł na południe — rozprawić się z Dekkańczykami. Tamtejsza rebelia zdążyła się już rozprzestrzenić, nabierając nagle mocy huraganu. Dekkańscy nobilowie, zjednoczywszy siły, zaatakowali nasze nadgraniczne forty i większość zrównali z ziemią. Imperium poniosło olbrzymie straty, ojciec nakazał więc Aurangzebowi stłumić tę rebelię — jak najszybciej i za wszelką cenę. Z tego też powodu straciłam znów kontakt z Nizamem.

Ucieszyłby się pewnie, gdyby wiedział, że jego ukochane mauzoleum nadal rośnie i nabiera blasku — całkiem jak moja miłość do Isy. Tymczasem nasze wspólne noce stawały się niestety coraz rzadsze — Ardżumand też przecież rosła i niebawem była już za duża, abym ją mogła zabierać na nasze spotkania miłosne. Miała wprawdzie własną komnatę i ogromnie oddaną piastunkę, lecz ja mimo wszystko nie chciałam się od niej oddalać. Pozwalałam sobie na to tylko wtedy, kiedy mocno spała, a ja byłam pewna, że jej nic nie dolega. Biegłam wtedy do domku Isy, gdzie przez chwilę cieszyliśmy się sobą, graliśmy w różne gry lub po prostu mówiliśmy o pracy.

Tęskniłam za nim, było mi więc coraz trudniej wytrzymać tę sytuację. Był przecież tak blisko, a tak rzadko mogłam być z nim sama! Często nawiedzały mnie lęki, że Bóg może mi go zabrać; a jeśli Isę złoży śmiertelna choroba albo na budowie zdarzy się wypadek? Nie mogłam już teraz wyobrazić sobie życia bez niego, co noc modliłam się więc do Allaha, by objawił mi jakiś sposób, który pozwoliłby nam się połączyć i żyć razem — jak mąż i żona.

Chondamira na szczęście widywałam rzadko. Ciągłe podróżował na najdalsze rubieże cesarstwa, gdzie prowadził swoje interesy, działając też często jako oficjalny wysłannik imperium. Ojciec gardził nim teraz niemal tak samo jak ja, ale nadal korzystał z jego usług, zależało mu bowiem

na sprzedaży naszych towarów sąsiadom. Nie nastęczało to większych trudności, a przynosiło krociowe zyski, toteż nawet taki tępak jak Chondamir mógł tu odnosić sukcesy.

Miałam cichą nadzieję, że może nie wróci z którejś z tych wypraw, on jednak niestety wciąż wracał i gdy znudziły go młode kochanki, przypominał sobie nagle, że ma żonę. Chciał mnie upokorzyć; chyba nic na świecie nie sprawiało mu większej satysfakcji. Jakże nienawidziłam tych nocy! Chciało mi się krzyczeć, przeklinać, zabić jego lub siebie! Czyż jest coś gorszego, niż być zabawką w rękach takiego monstrum? Później zawsze tak długo moczyłam się w gorącej wodzie, że z osłabienia ledwo mogłam utrzymać się na nogach. Te haniebne spotkania były jedyną sprawą, którą ukryłam przed Isą. Na szczęście nie pytał mnie o to.

Bóg pobłogosławił mnie cudownym dzieckiem, nie miałam więc prawa narzekać, a jednak było mi smutno, że moje łono nie chce wydawać już więcej owoców. Wyobrażałam však sobie, że podobnie jak moja matka mieć będę liczne potomstwo, lecz los postanowił inaczej, więc choć gorąco pragnęłam dać Ardżumand rodzeństwo, miała ona pozostać mym jedynym dzieckiem. Była dla mnie bezcennym skarbem — jak powietrze i słońce.

Była jedną z czterech miłości mego życia — obok Isy, ojca i Tadż Mahal. Widziałam, że jest bystrym dzieckiem, nie chciałam jednak przymuszać jej do nauki. Dzieciństwo trwa tak krótko! Lepiej niech biega, myślałam, niżby miała ślęczeć nad książkami. Wyjdzie jej to na zdrowie. Pozwalałam jej zatem się bawić i gdy byłam w dobrym nastroju, bawiłam się razem z nią. Nauczyłam ją pływać i malować palcami. W letnie wieczory czesałyśmy sobie włosy. Tańczyłyśmy w deszczu.

Gdy ukończyła pięć lat, zaczęłam zabierać ją na budowę, żeby Isa mógł ją widywać. Widziałam, jakie to dla niego przykre, że Ardżumand nie wie, iż to on jest jej ojcem. Widziałam to w jego twarzy, kiedy na nią patrzył. Czasami wyciągał rękę takim ruchem, jakby ją chciał objąć, a potem opuszczał w pół gestu, przypominając sobie, że nie wolno mu tego zrobić. Specjalnie nieraz udawałam, że z powodu jakichś pilnych zajęć muszę zostawić córkę pod opieką Isy lub któregoś z zaufanych robotników. Gdy na niego przypadało to zadanie, sadzał sobie małą na ramionach i obnosił po całej budowie. Gonili razem motylki albo szli do słoni, które Ardżumand uwielbiała. Ukrywałam wtedy łzy smutku; zbyt rzadkie były to momenty, aby nasza córka mogła go pokochać. Był dla niej po prostu jednym z wielu miłych opiekunów.

W tydzień po siódmym urodzinach Ardżumand nadszedł nareszcie ów dzień, który miał się zapisać złotymi zgłoskami w historii naszego imperium, a dla nas stać się jednym z najpiękniejszych dni życia — ukończyliśmy budowę Tadż Mahal! Ojciec postanowił z tej okazji urządzać wielką uroczystość i ogłosić to w całym kraju. Dziesiątki posłańców pomknęły z tą wieścią na najdalsze kresy Hindustanu, a nawet i za granicę. Wysłannicy ci nieśli białe flagi, obiecaliśmy bowiem zaprzestać na miesiąc wojen. Ojciec zaprosił nawet do Agry kilku naszych wrogów.

Staliśmy we trójkę w ogrodzie — ojciec, Isa i ja — gdy kładziono ostatnią marmurową płytę. Wiedziałam, jak niecierpliwie ojciec czeka chwili, w której będzie mógł ujrzeć swoje wielkie dzieło. Wymarzył sobie, że obejrzymy je wpierw w świetle dnia, a potem w blasku księżyca, a właśnie następnej nocy przypadała pełnia. Cóż, kiedy całą budowlę oplatały wciąż jeszcze rusztowania, i to tak gęste, że nic przez nie nie było widać. Składały się one z trudnej do wyobrażenia liczby bambusowych tyczek i ciężkich tekowych belek powiązanych tyłoma linami, że można by nimi opasać Agrę.

— Jak długo potrwa zdejmowanie tego wszystkiego? — zapytał ojciec, z trudem hamując podniecenie.

Isa zawahał się lekko; wiedział, że odpowiedź nie spodoba się cesarzowi.

— Cały miesiąc, najjaśniejszy panie.

— Na Allaha! Tak długo?

— Może trochę krócej, jeżeli będziemy pracować nocami. Przy tej liczbie ludzi, którą dysponuję, szybciej już się nie da. Jak ci wiadomo, mój panie, od początku brakowało nam drewna, toteż w wielu miejscach musieliśmy stawiać podpory z cegieł. Na to, by je rozkuć, trzeba teraz czasu...

Mój ojciec, zwykle tak cierpliwy, uciszył go ruchem ręki.

— Dłużej nie zamierzam czekać! — oświadczył kategorycznie. — Czekałem na to jedenaście lat!

— Miłościwy panie...

— Dzahanaro — przerwał mu ojciec — armia Aurangzeba obozuje o pół dnia drogi od Agry! Każ natychmiast ściągnąć tu tych ludzi! — Zdjął okulary i gwałtownym gestem schował je do kieszeni. Jego przekrwione oczy obieżyły mauzoleum jak para zgłodniałych zwierząt. — Wyślij wszystkich posłańców zdolnych utrzymać się w siodle z wiadomością dla moich poddanych, że każdy kto jutro o świcie stawi się tu do pracy, może sobie wziąć tyle drewna, ile zdoła unieść. Powtarzam, że może to być każdy bez względu na płeć, wiek i rangę. Nawet nasi wrogowie będą tu mile widziani!

— Naprawdę? — Mówił tak szybko, że nie byłam pewna, czy dobrze słyszę.

— Niech przyprowadzą wszystko, co kto ma, muły, barki czy słonie! Wszystko, czym da się wywieźć całe to drewno i cegły! Mogą sobie z tego pobudować domy! Ty, Iso, zbierz swoich ludzi i każ przygotować narzędzia! Mają jutro pościnać to wszystko! A ty dopilnuj, żeby nikt nie uszkodził ścian!

Stało się zgodnie z rozkazem ojca; już po godzinie jego apel zaczął docierać do ludzi, wywołując wszędzie gwałtowną falę emocji. Nasz kraj nie był bogaty w drzewa. Nasi poddani budo-

wali domy głównie z cegieł i mułu, posiłki gotowali na ogniu z krowiego łajna, łodzie klecili ze starych desek, a tu cesarz daje im za darmo taką górę cennego budulca!

Już wieczorem do Agry ściągnęło tylu przybyszów, że dorównali liczbą stałym mieszkańcom miasta. Rolnicy wraz ze swymi wołami i końmi spali pokotem na ulicach, rybacy z południa i północy tłoczyli się na łodziach. Ludzie, którzy nigdy nie oglądali cesarza, rozprawiali teraz o nim z uwielbieniem — jakież to hojny władca! Taki cesarz wart jest Pawiego Tronu!

Rankiem wszyscy ci ludzie z wielbłędami, końmi i słoniami pojawili się przy mauzoleum — ach, zaroilo się tu jak w ulu! Aby jakoś okiełznać ten żywioł, wszyscy członkowie naszej załogi dostali pod opiekę wyznaczone im grupy przybyszów — jedni nobilów, drudzy wieśniaków, inni znów kupców lub mnichów. Gdy już każdej z tych grup przydzielono część rusztowania, ludzie z taką pasją rzucili się do roboty, jakby zależało od tego ich życie. W ruch poszły noże, siekiery i piły, a drewno i liny zaczęły się sypać jak grad w setki czekających już na dole rąk. Ci, którzy przyszedli tu sami, układali swą zdobycz w gigantyczne wiązki, które później taszczyli na plecach, mieszkańcy ubogich wiosek natomiast przeważnie działali razem: ustawieni długim szeregiem — mężczyźni, kobiety i dzieci — podawali sobie kłody z rąk do rąk w rytm skandowanych radośnie okrzyków.

Wkrótce przybyła armia — ku wielkiemu niezadowoleniu Aurangzeba — i na rozkaz ojca wojownicy zaczęli pomagać pospólstwu, tnąc mieczami liny lub używając swych koni do odciągania większych fragmentów drewna. Nizam przebrany za robotnika jakimś cudem odnalazł mnie w tłumie; był tak przejęty tym, co się dzieje, że poklepał mnie po ramieniu — on, który zawsze tak niezłomnie przestrzegał etykiety! Z radości, że żyje i dobrze się miewa, tak mocno ścisnęłam mu rękę, że aż się skrzywił, a może po prostu udawał podziw dla mojej kobiecej siły — aby mi sprawić przyjemność. Isa z Ardżumand na plecach dwoił się i troił, żeby opanować coraz większy chaos, lecz w takim tłumie nie sposób było utrzymać porządku. Wszyscy uwijali się jak w ukropie. Pracował nawet mój ojciec. Obnażony do pasa — nigdy w życiu nie widziałam go bez koszuli! — stał na samym szczycie rusztowania, tnąc liny cesarskim sztyletem mieniącym się od klejnotów. Otaczający go ludzie zaczęli wiwatować, kiedy udawało mu się uporać z kolejną belką.

Nawet sobie nie wyobrażałam, że tylu tak różnych ludzi — pod względem rangi, wyznania, a nawet koloru skóry — może pracować wspólnie, i to z tak niebywałym zapałem! Mężczyźni nie zwracali uwagi na to, że krwawią im ręce, kobiety, nie bacząc na wiek czy brzemiennosc, czym prędzej chwytaly co lżejsze bambusowe pręty i biegły z nimi do stojących w pobliżu wozów lub ładowały je do wielkich koszy. Ze wszystkimi stało się coś dziwnego — jakby upoił nas mocny trunek! Tymczasowa droga wiodąca do miasta została wkrótce zatarasowana stertami drewna,

mnóstwem zwierząt pociągowych i ludzi. To samo działo się na rzece. Z powodu zbyt dużego obciążenia zatonięły niestety kilka barek. Większość załóg ocalała, ale kilku ludzi zniknęło bez śladu.

Mimo naszych szaleńczych wysiłków ściany Tadż Mahal niezmiernie powoli wyłaniały się spoza szalunków. Rozbiórkę można było prowadzić tylko w jeden sposób: od góry do dołu, piętro po piętrze. Na szczęście nikt się tym nie zniechęcał. Tylko bardzo niewielu robiło sobie przerwy na jedzenie. Kto by o tym myślał w takiej chwili! Ku najwyższemu zdumieniu spostrzegłam kilkoro Persów pracujących tuż obok swych odwiecznych wrogów! Mężczyźni mieli na sobie długie czarne szaty, a przy pasach wielkie krzywe miecze. Kobiety wyglądały jak cienie w swoich czarnych workowatych sukniach i zakrywających im twarze zasłonach. Niewiele mogli z sobą zabrać — zbyt daleko mieli do domu — pracowali więc bardzo uważnie, wybierając jedynie najlepsze kawałki bambusów.

Tak upływały godziny; słońce, mijając zenit, oblało swym blaskiem odsłoniętą już kopułę Tadż Mahal. O resztę nie musieliśmy się martwić — od strony miasta wciąż nadciągały tysiące chętnych do pracy. Gorzej było z wywozem drewna. Kiedy ulice Agry stały się nieprzejezdne, co sprytniejsi zaczęli wiązać tratwy z odzyskanego budulca i układać na brzegu, by później spławić je wodą.

Rybacy też wpadli na dobry pomysł: połączywszy linami po parę łódek, zaczęli przewozić cegły i drewno na drugi brzeg rzeki i tam je składować do czasu, gdy będzie można je wywieźć. Nobilowie tymczasem wykupili od ojca wszystkie barki. Zażądał od nich wysokich sum, zamierzał bowiem ufundować z tych pieniędzy nagrody naszym robotnikom. Niektórzy z wielmożów trochę na to sarkali, lecz na barkach mieściło się tyle budulca, że płacili żadaną cenę.

Widząc, ile dobra wywożą panowie, pospólstwo zaczęło pracować jeszcze żarciej. Hindusi i muzułmanie, nie bacząc na niedawne animozje, wspólnie ciągnęli ogromne tekowe belki, które później równo podzielone miały posłużyć na budowę świątyń i meczetów. W tym dniu chyba tylko Aurangzeb dzielił ludzi na przyjaciół i wrogów.

W miarę jak ściany Tadż Mahal wyłaniały się spoza rusztowań, ogarniał nas coraz większy zachwyt dla jego niezwykłego piękna przekraczającego wszystko, co każdy z nas dotąd widział. Patrzyliśmy na to cudo z podziwem równym uczuciom do samego Allaha czy Krysny, a może nawet i większym, bo było to coś nam bliższego, coś, czego można było dotknąć. Ludzie wzdychali z zachwytem, gładząc dłońmi wysadzane klejnotami ściany. Podnosili głowy i zastygali z wrażenia na widok cudownych kształtów tej jakże wspaniałej budowli. Dla wielu odzianych w łachmany biedaków był to widok nie mieszczący się w ich wyobraźni. Ci głośno płakali z radości, że dane im było dożyć tego dnia.

Gdy wyniesiono ostatni kawałek drewna, mogliśmy wreszcie i my, pokrwawieni i szarzy od kurzu, usiąść, gdzie kto mógł — na zrytej ziemi bądź przewróconym wozie — by nacieszyć oczy wspólnym dziełem. Isa i Ardżumand gdzieś znikli, byłam jednak zadowolona, że mogą razem przeżywać tę chwilę. Po pewnym czasie wypatrzyłam ojca; na jego ramionach widniały liczne rozcięcia i sińce. Kiedy mnie zobaczył, z oczu pociekły mu łzy.

— Dzięki Ci, Boże — wyszeptał, przepchnąwszy się do mnie w otoczeniu swej przybocznej straży. — Dzięki, że pozwoliłeś, by spełniło się moje pragnienie.

Objął mnie i pocałował, nie przestając bładzić wzrokiem po odsłoniętej nareszcie budowli. Tak jak wymarzył sobie kiedyś Isa, miała ona grację pięknej kobiety. Można było sobie wyobrazić, że te wspaniałe łuki, kopuły i minarety to jej oczy, piersi i upięścienione palce, a marmurowe powierzchnie wiernie oddają zachwycającą biel jej pięknej twarzy.

Patrząc na to wszystko, zadawałam sobie pytanie, jakim cudem nam, zwykłym ludziom, udało się stworzyć coś tak niezmiernie pięknego, godnego chyba tylko wzroku samego Boga? Tylko On powinien przechadzać się wśród tych murów i kontemplować ich piękno. Dla nas to o wiele za wysokie progi. Jesteśmy wszak istotami niewiele różniącymi się od zwierząt, a czy krowom lub osłom wolno się wałęsać po pałacach?

Zapadła już noc, gdy zaczęło się świętowanie. Nie było czasu na przygotowanie uczy, toteż większość obecnych nie dostała żadnego jadła ni napitku, ale wszyscy mogli podziwiać chińskie fajerwerki, a kto miał ochotę, mógł sobie potańczyć. Cesarscy muzykanci dopóty grali na sitarach, dopóki byli w stanie poruszać palcami. Mnóstwo naszych mężczyzn puściło się w tany. Nasi perscy goście nie tańczyli, lecz zarówno rycerze, jak i ich kobiety uśmiechali się, a nawet klaskali. Ci z nas, którzy mieli wino — w tej liczbie i ja — powoli osuszali kolejne dzbany.

Isa nareszcie się zjawił. Zdjął z ramion Ardżumand i podał ją ojcu, który zdążył już przywdziać cesarską tunikę. Miałam straszną ochotę rzucić się na szyję mojemu ukochanemu, czego oczywiście nie wolno mi było zrobić, więc złożyłam mu tylko pełen rewerencji ukłon. Gratulacje! W odpowiedzi puścił do mnie oko i oboje zaczęliśmy się śmiać.

Pokaz sztucznych ogni przerwano, kiedy na niebo wypłynął wielki świetlisty księżyc. Gdy jego skośne promienie padły na Tadż Mahal, można było pomyśleć, że ta niezwykła budowla w jakiś sposób przyciąga światło i dodaje mu własnej mocy. Zgasły tysiące pochodni, ustały rozmowy i śmiechy, aż w końcu zapadła zupełna cisza, przerywana jedynie stękaniem zmęczonych słoń. Tysiące ludzi siedzących na zrytej ziemi doznawały tych samych uczuć — opadło z nich nagle uniesienie, ustępując miejsca głębokiemu skupieniu, jak podczas cichej modlitwy. Wszyscy siedzieli jak zaczarowani ze wzrokiem utkwionym w jaśniejącą sylwetę mauzoleum, tak gładką, tak idealnie jednolitą, jakby ją wyrzeźbiono z kawałka kości słoniowej.

Ojciec z wyrazem twarzy człowieka, któremu nagle objawił się inny świat, podniósł się z miejsca i szybkim krokiem ruszył do głównej bramy. Ludzie rozstąpili się przed nim, aby otworzyć mu przejście. Wzięłam za rękę Ardżumand i pospieszyłam za ojcem, słysząc za sobą kroki Isy i mojego starszego brata. Ludzie, którzy weszli przed nami do środka, musieli chyba wyczuć, że cesarz chciałby być sam przy grobie ukochanej żony, bo wycofali się cicho na zewnątrz.

Komora grobowa Tadż Mahal jest dziełem niezwykłego kunsztu, a jej widok doprawdy zapiera dech w piersiach. Ma kształt ośmioboku z ośmioma łukowatymi wejściami, a jej sklepienie znajduje się na takiej wysokości, że gdyby ustawić dwunastu mężczyzn jednego na drugim, to ten ostatni nie sięgnąłby jeszcze sufitu. Najbardziej zdumiało mnie to, że choć nikt z nas nie miał pochodni, w komnacie nie było ciemno. Biały marmur emanował taką jasnością, jakby każda z tych arkad i ścian była całkiem przezroczysta i ktoś czarodziejskim sposobem oświetlił je wszystkie od wewnątrz. Kiedy spojrzęło się w górę, można było pomyśleć, że stoimy pod białym marmurowym niebem.

Sercem tej komnaty był sarkofag matki — pusty, gdyż jej ciało pochowano w głębokiej krypcie. Był to lśniący prostokąt białego marmuru ozdobiony przepiękną kwiatową mozaiką, najwspanialszą ze wszystkich, jakie tu widziałam. Girlandy cudownych tulipanów i fuksji wykonane były tak misternie, że wydawały się żywe.

Ojciec ukląkł przy grobie, ucałował go i zaczął się modlić, a my połączyliśmy się z nim w modlitwie. Ardżumand, która jak wszystkie dzieci nie potrafiła ustać spokojnie na miejscu, tym razem zachowała się jak dorosła: pochyliła głowę przed sarkofagiem, a potem zwrócona buzią do Mekki, zaczęła wraz z nami odmawiać modlitwy.

Po dłuższej chwili ojciec powiedział, że chciałby pozostać sam. Dara uśmiechnął się do mnie, po czym zniknął w tłumie wciąż jeszcze kłębującym się przed mauzoleum, a Isa, Ardżumand i ja zaczęliśmy mozolnie przepychać się w stronę ogrodu. Noc była naprawdę piękna — ciepła i jasna, wśród palm i cyprysów grały świerszcze, z daleka niosło się hukanie sowy. Isie udało się znaleźć położony na uboczu kawałek nie zdeptanej trawy, i gestem zachęcił nas, byśmy usiadły. Zmęczona Ardżumand wyciągnęła się przy mnie z głową na moich kolanach.

— Dobranoc, matko — szepnęła sennie.

— Będziesz śnić o nas?

— Spróbuję.

Czule przebiegłam dłonią po jej włosach. Jakże kochałam to dziecko! Wiedziałam, że Isa czuje to samo, że i on chciałby dotknąć włosów swojej córki, cóż, kiedy w pobliżu kręcili się ludzie. Usiadł z daleka ode mnie, mogłam więc tylko całować go wzrokiem. Większość mężczyzn pewnie by nie wytrzymała takiej sytuacji, ale on potrafił to znosić z uśmiechem.

Gdy Ardzumand usnęła, delikatnie ułożyłam jej główkę na trawie, a sama oddaliłam się o parę kroków.

— Co będziesz teraz robił? — cicho spytałam Ise.

Wzruszył ramionami.

— Och, jest tu jeszcze wiele do zrobienia. Zajmie to całe lata — odrzekł niedbale, jakby nie miał ochoty rozmawiać teraz o pracy. — Pamiętasz, Jaskółeczko — spytał po chwili całkiem innym tonem — nasze pierwsze spotkanie w tym miejscu?

— Pamiętam. Byłeś taki podekscytowany myślą o tej budowie.

— Tak, ale już wtedy... już wtedy chyba cię kochałem. — Podniósł spod krzaka ułamaną różę, po czym zatoczył ręką dookoła. — Chętnie bym oddał to wszystko za ciebie, najmilsza...

Zamilkliśmy na widok dwóch hałaśliwych Europejczyków. Pragnęłam wziąć go za rękę, dotknąć jego twarzy, ale zabroniłam sobie o tym myśleć.

— Jak to się stało, mój drogi, żeśmy się odnaleźli?

— Allah był nam życzliwy.

— Myślisz, że to On nas połączył? Może po prostu mieliśmy szczęście?

Obrócił w palcach różę, wdychając jej słodki zapach.

— To było coś więcej niż szczęście... Szczęście może pomóc w grze, ale to kaprys losu, a nas... nas połączyło coś innego, coś nieporównanie pewniejszego.

— To znaczy co?

— Myślę, że prawda.

— Prawda?

— Oboje mamy ją w sobie. Czyż nie jesteśmy uczciwi? Wobec samych siebie i jedno wobec drugiego?

W niebo wzbily się znów sztuczne ognie. Na rzece także zaczęły pojawiać się światła. Wkrótce były ich już tysiące. Wydawało się, że sama Dżamna stała się ogromną płonąca pochodnią. Owa wielka świetlista flotylla płynęła na południe — im dalej, tym szerszym strumieniem.

— Powiedz, Iso, czy nie jest ci smutno, że nie urodziłam ci syna?

— Och, nie! Przecież mam Ardzumand! Ty i ona jesteście wszystkim, czego mi trzeba do szczęścia!

— A nie boli cię to, że nie możesz jej nazwać swą córką? Przez twarz przemknął mu cień.

— O, tak. Serce mi krwawi, że nie mogę być jej ojcem ani twoim mężem.

Popatrzyłam na uśpioną Ardzumand. Nasza córka odziedziczyła po ojcu jego pociągłą twarz, a po mnie okrągłe oczy.

— Może powinniśmy wyjechać z Agry. Na zawsze. Mamy tyle rupii, złota i klejnotów, że wystarczy nam do końca życia.

Nie bacząc na to, że ktoś nas może zobaczyć, pieszczotliwie dotknął moich warg. Palce miał twarde i szorstkie od pracy, a jednak ich dotyk podziałał na mnie kojąco.

— Tak, Dzahanaro, kiedyś stąd wyjedziemy. Będziemy podróżować po całym imperium, może nawet odwiedzimy Europę, gdzie jak słyszałem, buduje się piękne katedry. A potem, gdy już posiwieją nam włosy, a w kościach zaczniesz nas łamać, kupimy sobie mały domek nad morzem. Będziemy łowić ryby, malować i razem się starzeć.

Z oczyma pełnymi łez ucałowałam jego ciepłe palce.

— Przynajmniej mi, Iso, przynajmniej mi, że tak będzie.

— Obiecuję ci to, Jaskółeczko. Wszystko będzie dobrze. Lecz w latach, które miały nadejść, niewiele było dobrego.

Przyniosły nam za to wiele zła i nieszczęść.

ROZDZIAŁ 15

Ręce Isy

Zaledwie niecały rok dane nam było cieszyć się pięknem Tadż Mahal.

Podczas następnej pory monsunu mój ojciec ciężko zachorował. Powaliła go jakaś gorączka, wskutek której tak wychudł, że wyglądał jak szkielet. Całymi dniami majaczył, bełkocząc coś niezrozumiale. Wezwaliśmy naszych najlepszych medyków, a potem i europejskich, płacąc im góry złota. Nasi poili go ziołami i aplikowali enemy, by oczyścić organizm z trucizn, Portugalczycy zaś regularnie puszczali mu krew, mimo to był coraz słabszy.

Aurangzeb przebywał znów na północy, tocząc kolejną wojnę z Persami. Połączył swą armię z wojskami dwóch naszych braci, Szaha i Murada, których nie widziałam od wielu lat. Mieli pod wspólnym dowództwem siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, ścigali więc wroga w nadgranicznych górach, odnosząc liczne zwycięstwa.

Gdy jednak rozeszły się wieści o ciężkiej chorobie cesarza, Aurangzeb przestał ścigać Persów i zaatakował zniemacka wojska swoich braci. Dowiedzieliśmy się o tym od jednego z oficerów Szaha, który mimo ciężkiej rany zdołał uratować się ucieczką. Fanatyczni muzułmanie Aurangzeba, powodowani w równym stopniu żądzą bogatych łupów, co i chęcią posadzenia na tronie wro-

giego hindusom księcia, napadli nocą na znacznie słabsze liczebnie oddziały dwóch naszych braci i dokonali wśród nich krwawej rzezi. Ścięto dziesięć tysięcy głów.

Szahowi podobno udało się uciec, aczkolwiek nie było to pewne. Murad został ścięty. Zgodnie z relacją owego oficera, który podczas bitwy stracił rękę i niewiele zostało mu życia, Aurangzeb forsownym marszem ciągnął obecnie na Agrę, licząc, że zdąży nas zaatakować, nim dowiemy się o jego zdradzie. Na zorganizowanie obrony zdaniem tego oficera pozostały nam już tylko niecałe dwa dni.

Zebraliśmy się przy posłaniu chorego ojca. Był w strasznym stanie. Jego twarz miała kolor wosku, na wszystkich poduszkach leżały kępki szpakowatych włosów, które ostatnio zaczęły mu wypadać. Ubrany był w czystą tunikę, lecz ponieważ ciągle wymiotował, w całej komnacie wisiał ciężki odór choroby, którego nie mogły stłumić tłące się wonne pałeczki. Nasz ojciec był półprzytomny, lekarze zabronili więc go męczyć, ale nam tak rozpaczliwie potrzebne były jego rady! Ukłękłam przy posłaniu, a Dara i Nizam stanęli przy nogach chorego. Nizam, dowiedziawszy się o planach Aurangzeba, też natychmiast uciekł na południe i przybył do Agry parę godzin po oficerze. Była to rzecz niesłychana, by niewolnik uczestniczył w tak ważnej naradzie jak nasza, ojciec jednak wiedział, z jakich powodów Nizam znalazł się w obozie Aurangzeba i że świetnie się tam sprawił. Działając powoli i rozważnie, wyrobił sobie opinię dzielnego wojownika i dobrego towarzysza, tak że po pięciu latach wojaczki dosłużył się nawet skromnego stopnia.

— Ilu... ilu mamy ludzi? — spytał z trudem ojciec, wysłuchawszy naszej relacji. Oczy miał zamknięte.

Dara niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

— Mniej, niż nam trzeba.

— Nie o to cię pytam.

— Aurangzeb, ojcze, ma pod sobą nasze najlepsze oddziały liczące sześćdziesiąt pięć tysięcy ludzi. My możemy zebrać sześćdziesiąt tysięcy. Gdybyśmy jednak pozostali w forcie, moglibyśmy...

— Siedząc w murach Czerwonego Fortu, nie mamy... żadnych szans na zwycięstwo... — szepnął ojciec. — Zgadzasz się ze mną, Nizamie?

Mój przyjaciel postąpił naprzód, grzechocząc stalową kolczugą, nie miał bowiem czasu zdjąć żołnierskiego rynsztunku. Głowę osłaniał mu pogięty hełm, przy pasie miał miecz i kolczan, na ramieniu łuk, a na plecach metalową tarczę. Znów pomyślałam, że to zdumiewające, co wyrosło z tego łagodnego chłopca, z którym wychowałam się w haremie.

— Tak, miłościwy panie — odrzekł cicho. — Jeśli Aurangzeb otoczy fort, nie będziemy mieli szans na ucieczkę. Jego siły wciąż rosną, nasze zaś topnieją.

— Ile ma słońi?

— Zdaje się, że jakieś piętnaście setek. — W głosie Dary pobrzmiwał niepokój. Tysiąc pięćset bojowych słońi stanowiło olbrzymią siłę.

— Niechaj Bóg wesprze nas swą mocą — szepnął ojciec.

— Ma więcej wojowników, armat i słońi — dodał Dara — a jego ludzie są w dodatku lepiej zaprawieni w boju.

Otarłam ojcu pot z czoła. Wymyśliłam już pewien plan, który mimo przewagi Aurangzeba mógłby nam przynieść zwycięstwo, lecz jak wszystko na świecie miał on swoją cenę. Uznawszy w końcu, że powinnam go jednak wyjawić, zapytałam:

— A gdybyśmy, ojcze, wezwali na pomoc Dekkańczyków?

— Dekkańczyków? — powtórzył normalnym głosem, jakby nagle wróciły mu siły. — Po cóż by mieli nas wspierać?

— Moglibyśmy im za to coś zaofiarować. Niepodległość.

Ojciec nagle strasznie się rozkaszał. Gdy wreszcie atak ten minął, sięgnął po płótno, które trzymałam w ręku, i przyłożył je sobie do ust.

— To dobry... dobry pomysł, moje dziecko... ale nie ma na to czasu. Takie układy negocjuje się tygodniami.

— Lecz czy do tego czasu nie dałoby się przetrwać w Czerwonym Fortcie? Parę tygodni oblężenia zdołamy chyba wytrzymać, a gdy nadciągną dekańskie oddziały, przypuścimy kontratak z dwóch stron.

— A tymczasem Aurangzeb, niech Bóg wybaczy mu jego zbrodnie... — ojciec urwał z takim wyrazem twarzy, jakby się miał rozplakać — ...Aurangzeb tymczasem spustoszy Agrę. Zniszczy wszystko, cośmy zbudowali. Poczynając od Tadź Mahal.

Ojciec niestety miał rację.

— W takim razie co możemy zrobić?

— Zaatakować, księżniczko — odezwał się Nizam.

— Jak i gdzie? — burknął Dara.

— Poza Agrą, mój książę, w miejscu, które sami wybierzemy. — Nizam potarł swoje wielkie dłonie. Krople potu na twarzy mówiły wyraźnie, jak bardzo jest niespokojny. — Twój brat wie doskonale, ilu ludzi liczy nasza armia, więc trudno go będzie oszukać, gdyby jednak wykorzystać pomysł księżniczki Dżahanary, może by się udało...

— Ten z Dekkańczykami? — spytał ojciec.

Kolczuga Nizama znów zadzwoniła, kiedy przeniósł swój ciężar z nogi na nogę.

— Czy mam mówić, co myślę, cesarzu? Powiedzmy — zaczął z wahaniem, kiedy ojciec w odpowiedzi skinął głową — że rozpuścimy wieści, iż wzywamy Dekan na pomoc. Gdyby tak było naprawdę, czy wysłałbyś do nich, mój panie, jednego lub paru posłów?

— Nie.

— Oczywiście. Byłby to liczny i zarazem najszybszy nasz oddział, który w razie wrogiego przyjęcia mógłby powrócić bez strat. Kawaleria.

— Mów dalej — zachęcił go ojciec.

— Gdybyśmy jutro wysłali dwadzieścia tysięcy silnych, dobrze wyszkolonych jeźdźców, mogliby oni popędzić na południe, tak żeby wszyscy widzieli, a potem chyłkiem zawrócić, okrążyć zbliżającą się z północy armię Aurangzeba i we właściwym momencie zaatakować jej tyły. Trzon naszej armii czekałby na niego w dogodnym dla nas miejscu, na przykład na jakimś wzgórzu. Moglibyśmy je obsadzić całą naszą artylerią i tysiącem bojowych słońi. Aurangzeb lubi szybkie zwycięstwa. Przekonany, że nie mamy kawalerii, gdyż udała się na południe, o czym doniosą mu szpiedzy, natychmiast poprowadzi swoich do natarcia, nie dbając o...

— Zabezpieczenie tyłów — dokończył ojciec, unosząc głowę z poduszek.

— Właśnie, miłościwy panie. Nasza kawaleria tymczasem, usłyszawszy huk dział, od razu ruszy do ataku. Mam nadzieję, że zniszczy artylerię Aurangzeba i sporą część jego piechoty.

— To niebezpieczna strategia — wtrącił Dara — bo jeśli Aurangzeb zorientuje się w sytuacji i podzieli swoje wojska na dwie części, będziemy zgubieni.

— To prawda, mój książę, takie ryzyko istnieje.

— Ale warto je podjąć — stwierdził ojciec. Zacisnąwszy zęby z wysiłku, podniósł rękę. — Ty... poprowadzisz naszą kawalerię.

— Ja? — W głosie Nizama brzmiało zdumienie. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że mógłby dostąpić takiego zaszczytu.

— Uważasz pewnie, że winienem powierzyć to zadanie komuś bardziej doświadczonemu... Masz rację, lecz w tych murach... czai się tylu szpiegów... Skąd mogę wiedzieć, kto jest moim gepardem... a kto skorpionem Aurangzeba? Przyjdź do mnie wieczorem — mówił dalej ojciec urywanym głosem — i przedstaw mi... szczegóły swego planu... Którego wzgórza... ma bronić Dara i jak... — jego głos nagle ucichł. Wydawało się, że zasnął. — Przyjdźcie wieczorem... obaj... — zakończył po krótkiej chwili.

Mój przyjaciel uklonił mu się głęboko. Był wysoki i zawsze trzymał się prosto, lecz gdy teraz wychodził za Darą z komnaty, wydał mi się jeszcze wyższy. Zostałam z ojcem. Zamoczyłam w wodzie czyste płótno i delikatnie przemyłam mu czoło.

— Mądrze postąpiłaś, Dżahanaro... wysyłając go do Aurangzeba — wyszeptał.

— To on jest mądry, nie ja. — zaproponowałam ojcu łyk wody, ale odmówił. — Jeśli zwyciężymy, czy dasz Nizamowi kawałek ziemi nad rzeką?

— Dam mu o wiele więcej, moje dziecko. — Gdy mu za to podziękowałam, poprosił gestem, abym go wzięła za rękę. — A ty... czego ty byś chciała?

— Żebyś wyzdrowiał — odrzekłam, gładząc jego chude, obciążone pierścieniami palce.

— Musisz marzyć śmieiej... Bóg nie czyni cudów dla błahostek.

— Ty wiesz, czego ja pragnę.

Ojcem znów wstrząsnął gwałtowny kaszel. Staralam się mu pomóc, trzymając go za ramiona. Gdybyż to mogło mu ulżyć!

— Jeśli zwyciężymy — wyjąkał — wyślę cię gdzieś daleko... Potrzebuję mądrego polityka... w Waranasi. Pojedziesz tam z Ardżumand, a twój cień... podąży za tobą...

— Mój cień?

— Czyż nie jest on twoim cieniem? Tworzycie wszak jedność.

— Czasami.

— Twoja matka i ja... potrafiliśmy rozmawiać ze sobą bez słów, kochać się bez dotykania... Była moim... nie, to ja byłem jej cieniem — szepnął ojciec.

Mimo lęku przed bitwą i troski o jego zdrowie udało mi się uśmiechnąć.

— To prawda, że byłeś jej cieniem. Ona twoim nigdy.

— Nigdy?

— Wyzdrowiej, proszę — powiedziałam, podnosząc się z miejsca — mamy tyle spraw do załatwienia.

— Naprawdę... nigdy?

Ucałowałam go w czoło i wyszłam z komnaty. Zbliżała się pora południowego posiłku, postanowiłam więc zajrzeć do kuchni. Ladli nie pracowała tu już od dawna, a jednak z nawyku poszukałam jej wzrokiem. Kucharki obdarowały mnie mnóstwem specjałów. Z pełnym koszem w rękę miałam już pójść do haremu, do Ardżumand, która na tyle podrosła, że rozpoczęła naukę, gdy pewna znajoma służąca wetknęła mi do koszyka przypalony kawałek chleba. Popatrzyłam na nią ze zdumieniem — po co daje mi coś takiego? — i nagle spostrzegłam niewielki zwitek papieru wystający spod tego chleba.

Czując, że serce zaczyna mi bić jak szalone, podziękowałam kobiecie i z pozornym spokojem opuściłam kuchnię, lecz gdy tylko znalazłam się w ustronnym miejscu, drżącymi rękami rozwinęłam papier. Widniało na nim tylko jedno zdanie: „Zatrzymam się u Twojej matki”. To Ladli! Czym prędzej znalazłam jakiegoś konia i popędziłam do Tadż Mahal. Tym razem majestat i czar mauzoleum nie zrobiły na mnie wrażenia. Obym tylko nie spotkała Isy, myślałam, przemykając się

do tunelu. Wkrótce miał zostać zamknięty na zawsze, na razie jednak można było jeszcze tam wejść, ja zaś na wszelki wypadek nosiłam przy sobie klucze. Wkroczywszy do środka, zostawiłam lekko uchylone drzwi, przez które po małej chwili wśliznęła się zawoalowana kobieca postać w czarnym ubraniu Persjanki. Wiele niewiast w Agrze nosiło takie szaty, by ukryć swoją tożsamość, Ladli więc z pewnością nie zwróciła niczyjej uwagi owym cudzoziemskim strojem.

Dopiero gdyśmy się znalazły w znanym nam już magazynie, moja przyjaciółka zrzuciła z twarzy zasłonę i zaczęła mnie ścisnąć, szepcząc gorączkowo:

— On chce cię zabić, Dżahanaro! Zamierza zrobić to już wkrótce i...

— Poczekaj, nie tak szybko — powiedziałam w miarę spokojnie, choć strach odbierał mi oddech. — Czy Aurangzeb...

— Chce nasłać na ciebie mordercę, przypuszczam, że tego półgłówek Balchiego. Ma cię zgwałcić i zabić.

— Sama moja śmierć... mu nie wystarczy?

— Niechaj go Śiwa wytrzebi, zanim ja to zrobię! Chce, żebyś cierpiała, a na dowód twej śmierci żąda twoich uszu!

Instynktownie przykryłam je dłońmi. Nogi tak mi osłabły, że musiałam oprzeć się o ścianę.

— Przecież go ocaliłam...

— Ten kłamliwy wiarołomca temu przeczy! Opowiada, że to ty podrzuciłaś mu tę kobrę do komnaty!

Czując, że z osłabienia i strachu zaczyna mącić mi się w głowie, uszczypnęłam się w udo — ból rozjaśnia umysł.

— Wiesz, kiedy zamierza mnie zabić?

— Wkrótce! Myślę, że jeszcze dzisiejszej nocy! Musisz wziąć Ardżumand i...

— Ardżumand?

— Och, siostrze, wszak on nie ma żadnych skrupułów! Zabije każdego, kto jest ci bliski!

— Muszę iść po nią!

— Więc idź!

Całą siłą woli nakazałam sobie pozostać na miejscu.

— Och, Ladli, jakież mam szczęście, że mi pomagasz!

— Idź, Dżahanaro!

— Za chwilę. Powiedz mi jeszcze, dlaczego nie jesteś przy nim?

— Wysłał przodem swych szpiegów, a wśród nich i mnie! Jest najwyżej o dzień drogi stąd!

— W takim razie musisz przynieść mu jakąś wiadomość. Powiedz mu... nie, lepiej wyślij posłańca z biletem. Napisz, że nie będziemy bronić Czerwonego Fortu, zamierzamy bowiem zaata-

kować go za miastem. Gdzieś na północy. Napisz, że słyszałaś plotki, jakoby nasza kawaleria pognęła do Dekami, aby stamtąd sprowadzić pomoc.

— To prawda?

— Nie, ale szpiedzy Aurangzeba tak pomyślą, on zaś utwierdzi się w przekonaniu, że jesteśmy słabsi, niż jesteśmy.

Ladli uściskała mnie gorąco.

— Och, Dżahanaro, nie pozwól się dopaść temu potworowi! On strasznie cię nienawidzi.

Jakąż miałam ochotę wypłakać się na jej ramieniu! Jakże pragnęłam, by wróciły te czasy, gdy mogłyśmy mówić o miłości i chłopcach, a nie tak jak teraz o wojnie i nienawiści!

— Wiem, że mnie nienawidzi — odrzekłam ze smutkiem — lecz całkiem tak samo nienawidzi Hindusów, bądź więc ostrożna, moja droga. Może zwrócić się i przeciw tobie.

— Widziałaś kiedy, żeby prosię rzuciło się na tygrysa? — Brzmiało to buńczucznie, lecz twarz Ladli mówiła co innego.

— Niechaj broni cię Kryszna — szepnęłam. Ladli uwielbiała tego boga miłości i wojny. — Módl się do niego, moja droga. Jego pomoc będzie nam potrzebna.

Czy ją jeszcze kiedyś zobaczę? myślałam, wsiadając na konia. Czemu nie pozwoliłam tej kobrze zabić Aurangzeba? Jakim byłam tchórzem!

Wchodząc do harem, starałam się udawać spokój, lecz gdy nie zastałam tam Ardżumand, wpadłam w ślepej panikę. Zrzuciwszy kopniakiem sandały, popędziłam ile sił w nogach do jej komnaty w cesarskiej części pałacu, lecz otworzywszy drzwi, stwierdziłam ze zgrozą, że jest pusta!

— Ardżumand! — krzyknęłam z płaczem, biegnąc do swego apartamentu. Ręce tak mi się trzęsły, że przez chwilę nie mogłam namacać klamki. Gwałtownym pchnięciem otworzyłam wreszcie ciężkie tekowe drzwi i... och! była tam! Ubrana w moją najpiękniejszą suknię, stała przed szafą zasłaniającą sekretne przejście. Rzuciłam się ku niej ze zdławionym okrzykiem ulgi.

— Wybacz mi, matko... — wyjąkała, gdy ją porwałam w objęcia. — Chciałam tylko...

— Cicho, nic nie mów. — Nie byłam w stanie powstrzymać łez, choć widziałam, że moje dziecko patrzy na mnie z wielką konsternacją. Że nic nie rozumie. — Nie mogę cię stracić — jęknęłam. — Proszę Cię, Boże, nie pozwól, nie dopuść, aby tak się stało!

— O co chodzi, matko? Czemu płaczesz?

Jakże pragnęłam, żeby jej buzia zachowała na zawsze ten wyraz słodkiej naiwności! Niestety...

— Musimy iść, Ardżumand. — Chwyciwszy wysadzany klejnotami sztylet, który służył mi do otwierania listów, skierowałam się w stronę korytarza. — Trzymaj się blisko moich pleców. — Otworzyłam drzwi i wydałam z siebie dziki okrzyk: za progiem stał Balchi z gębą wykrzywioną

paskudnym uśmiechem! Gdy wyciągnął swą niedźwiedzią łapę, by mnie schwycić, bez namysłu podniosłam sztylet i z taką siłą chlasnęłam go ostrzem w policzek, że rozciąłam ciało do kości. Zawył z bólu. W chwili gdy odruchowo podniósł ręce do zranionej twarzy, zdążyłam zatrzasnąć drzwi i zasunąć rygiel. — Szafa, Ardzumand! Uciekaj przez szafę! — Złapałam palącą się świecę, lecz natychmiast uświadomiłam sobie, że ciemność będzie bardziej przeszkadzać temu mordercy niż mnie, i z rozmachem cisnęłam nią o ścianę. Ardzumand jak zwykle posłuszna stała już w szafie pomiędzy sukniami.

— Dokąd mam iść? — jęknęła.

— Przed siebie! A potem na dół po schodach! Będzie ciemno, dziecino, lecz musisz iść naprzód! — Z komnaty dobiegł mnie łoskot. Balchi zaczął już wyważać drzwi, rzucając się na nie swym potężnym cielskiem. — Szybciej, Ardzumand!

Na szczycie schodów panował półmrok, ale niżej zalegała już grobowa ciemność. I te długie suknie! Raz po raz potykałyśmy się o zwoje kosztownej tkaniny. Z dobiegających z góry odgłosów nietrudno było wywnioskować, że Balchi wdarł się do pokoju. Za chwilę zacznie nas ścigać. Noga nagle zaplątała mi się w suknię i runęłam jak worek z kilku ostatnich stopni. Na moment straciłam oddech.

— Biegnij, Ardzumand... — udało mi się wydyszeć. — A kiedy dojdiesz do kamienia sterzącego pośrodku ścieżki, nie dotykaj go, dziecko. Ostrożnie przejdź na drugą stronę. — Poszukałam sztyletu, lecz ku mej rozpaczynie nigdzie go nie było.

— Wstań, matko! — wołała Ardzumand. — Daj mi rękę! Proszę cię! Daj mi rękę!

Balchi był już na schodach. Jęcząc z bólu, stanęłam na nogi i macając na oślep w ciemności, odnalazłam rękę córki. Drugą dłonią wymacałam ścianę.

— Idź za mną i najlepiej nic nie mów — szepnęłam.

Udało nam się zrobić ze trzydzieści niepewnych kroków, gdy doszedł nas wściekły okrzyk:

— Wiesz, co ja z wami zrobię?

— Prędeż! — szepnęłam, ciągnąc Ardzumand za rękę. Nastąpiła mi na suknię i teraz obie zwałyśmy się na ziemię.

— Zarżnę tę twoją...

— Uciekaj! — krzyknęłam głośno, by zagłuszyć jego podłe słowa. Chciałam ustrzec przed nimi moje niewinne dziecko.

— A ty będziesz patrzeć, jak się z nią zabawiam!

Głos tego potwora dochodził z tak bliska, że gdybym miała sztylet, rzuciłabym się na niego, że jednak nie miałam żadnej broni, mogłam tylko zawołać Isę.

Zacęłam rozpaczliwie wykrzykiwać jego imię, biegnąc wciąż naprzód, dopóki z rozpędu nie rąbnęłam kolanami w niewidoczny w ciemności kamień. Z nagłego bólu świeczki stanęły mi w oczach. Instynktownie chciałam zgiąć się w pałąk i objąć rękami nieszczęsne kolana, gdy raptem spłynęło na mnie olśnienie. Stękając z wysiłku, chwyciłam na ręce Ardzumand i z siłą godną Nizama przerzuciłam ją przez ten kamień. Rozplakała się głośno, lecz nie miałam teraz dla niej czasu. Zabójca chwycił mnie za suknię.

Rzuciłam się naprzód, jakbym skakała do wody — i znalazłam się po drugiej stronie. Już leżąc na ziemi, usłyszałam sapnięcie mordercy, gdy uderzył się o twardą skałę. Nogi tak mnie bolały, że mogłam jedynie pełznąć. Moja córka, szlochając, zaczęła mnie ciągnąć w głąb korytarza.

— Zostaw mnie! — krzyknęłam, lecz tym razem nie usłuchała.

— Którą mam najpierw zarżnąć? Ciebie czy twoje szczenię? — warknęło to podłe monstrum. Coś błysnęło w ciemności. Podpalił własną koszulę i trzymał ją teraz na czubku krzywego sztyletu.

— Zamknij oczy, Ardzumand! — Nie chciałam, by patrzyła w ślepią temu diabłu! Wyglądał strasznie z tą wykrzywioną z wściekłości gębą, zalaną krzepnącą już krwią. Stał po drugiej stronie kamienia, tak że dzieliło go od nas może dziesięć kroków. — Módl się, moje dziecko!

— O co? — warknął szyderczo. — O szybką śmierć?

— O to, żeby zadziałała ta pułapka — odrzekłam, gdy postawił nogę na kamieniu.

Spojrzał w dół i oczy wylazły mu z orbit, kiedy zrozumiał swój błąd, lecz jego czas już się skończył. Zdażył jeszcze tylko wydać dziki okrzyk, gdy ciężki granitowy blok ześliznął się pod podłogę — gładko jak igła przez jedwab — a ściany i sufit zaczęły walić się z hukiem, bezlitośnie grzebiąc go żywcem.

W ciemnym znów korytarzu rozpętało się istne piekło. Złapałam Ardzumand za rękę, usiłując ją odciągnąć poza zasięg spadających cegieł. Wszystko się trzęsło, a ten huk! Bałam się, że za chwilę pękną mi od tego uszy. Kurz zatykał mi gardło i płuca. Dusiliśmy się obie. Ogarnęło mnie przerażenie. Czy mamy tu zginąć?

I nagle dostrzegłam światło, a może to była aureola, która jak mówią chrześcijanie, otacza podobno głowy aniołów i świętych, bo oto z ciemności wyłoniła się głowa w turbanie, a nosząca go zjawa rzuciła się w naszą stronę. Czyjaś silna ręka chwyciła mnie za suknię i mocnym szarpnięciem odciągnęła od rumowiska. Och, znałam tę rękę! Potrafiła ona kształtować kamienie i dotknięciem mówić o miłości.

Isa nareszcie przybył nam z pomocą.

— Jeszcze chwilkę, Dżahanaro — szepnął, przecierając mokrym płótnem moje rozbite kolana. Wzdrygnęłam się z bólu i mocniej przytuliłam drżącą Ardzumand. Wciąż popłakiwała, lecz na

szczęście nic się jej nie stało; bałam się tylko, że wspomnienie tego mordercy będzie prześladować ją do końca życia.

— Już go nie ma, mój skarbie — powiedziałam miękko. — Nigdy więcej go nie zobaczysz.

— Mówił takie straszne rzeczy! — załkała. — Chciał nas zabić!

Twarz Isy skurczyła się z gniewu. Wprost namacalnie czułam jego tłumioną wściekłość.

— Tak, dziecinko, ale mu się to nie udało. Taki los nie był nam pisany.

— Dlaczego?

— Jestem z ciebie dumna — odrzekłam, przyciągając ją do siebie. — Byłaś bardzo dzielna.

— Nieprawda, wcale nie!

— Ależ tak, dziecinko. Byłyśmy dzielniejsze od tego mordercy, chociaż przewyższał nas siłą.

Nasza córka pokręciła głową, łkając coraz żałośniej. Patrzyłam na nią z bólem serca. To co ją spotkało, było tak niesprawiedliwe! Dziecko nie powinno mieć takich doświadczeń. Pomyślałam z goryczą, że zawiodłam Ardzumand, bo mimo usilnych starań nie zdołałam jej uchronić przed złem tego świata. Rozpaczliwie pragnąc ją pocieszyć, jeszcze mocniej przytuliłam do piersi jej główkę i zaczęłam płakać wraz z nią. Nic innego nie mogłam zrobić.

Isa objął nas obie. Spod turbanu sączyła mu się krew — jakiś kamień trafił go w głowę — ale on nie zwracał na to uwagi. Obejmował nas tak kurczowo, że ramiona zaczęły mnie świerzbic. Czułam, że tym uściskiem chce nam wyrazić swą miłość, napęlić ufnością, że przy nim jesteśmy bezpieczne.

Przez wiele godzin dokładaliśmy wszelkich starań, żeby jakoś uspokoić Ardzumand — zapewniając, że nic jej nie grozi, malując przyszłość w słonecznych barwach. Na szczęście w końcu ucichła. Obserwując jej reakcję na uścisk Isy, spostrzegłam coś, co dało mi do myślenia. Przyglądała się jego dłoni, kiedy gładził ją po ramieniu, i po chwili przysunęła się do niego bliżej, a widząc, że płacze, zdała sobie chyba sprawę, że to ona jest tego powodem. Ja natomiast uświadomiłam sobie w owej chwili, że to dziecko nigdy jeszcze nie zaznało męskiej czułości, troski ni pociechy. Dziadek oczywiście często ją przytulał, lecz choć było w tym wiele serca, brakowało tej trudno uchwytej więzi łączącej ojca i córkę.

Wymknęłam się z objęć Isy, zostawiając mu Ardzumand. Czy nie powinniśmy wreszcie powiedzieć jej prawdy? pomyślałam. Chyba już na to pora. Taka nowina może jeszcze bardziej nią wstrząsnąć, ale ona tak potrzebuje ojca! Jest już na tyle duża, że potrafi dochować tajemnicy. A zresztą to jej się należy po tym, co dziś przeżyła. Kiedy pytająco spojrzałam na Isę, a on skinął głową, rozumiejąc bez słów, o co chodzi, pozbyłam się resztek wątpliwości.

— Ardżumand — powiedziałam — jest coś, o czym nie wiesz, a powinnaś wiedzieć. Pamiętaj jednak, że to tajemnica i nikomu nie wolno ci jej zdradzić.

— Mam utrzymać ją w sekrecie?

— Tak. — Ucałowałam ją w czoło pachnące lawendą i kurzem. — Chcę ci powiedzieć, że Chondamir... że wyszłam za niego, ponieważ... ponieważ musiałam. Wymagała tego polityka. Nie kochałam go, wychodząc za męża, a i później nie udało mi się go pokochać.

— Przecież ja to wiem!

— Nie wiesz jednak, że pokochałam innego mężczyznę. Wspaniałego człowieka, który jest...

— Twoim prawdziwym ojcem — dokończył Isa.

— Moim ojcem?

— Przyjrzyj mu się, Ardżumand. Czyż nie jesteś do niego podobna? Twoim ojcem jest Isa, który kocha cię równie gorąco jak ja.

— Jakżebyś mógł cię nie kochać? — Isa nie ukrywał łez płynących mu gradem po twarzy. — Jesteś moim skarbem.

— Naprawdę? — Och, byłam pewna, że musiało jej bardzo brakować tych słów! Chondamir zawsze traktował ją tak obojętnie!

— Kocham cię, Ardżumand. Nawet sobie nie wyobrażasz, z jakim utęsknieniem czekałem tej chwili, gdy będę ci mógł to powiedzieć. A musiałem czekać tyle lat!

Nigdy tego nie zapomnę. Świat przestał dla mnie istnieć. Był tylko ten ciasny domek, a w nim mój najdroższy i nasza córka. Co teraz zrobi? Ku mej radości zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła znów płakać, ale teraz były to już inne łzy. Bardzo długo trwali tak w uścisku, ona z głową na jego ramieniu, on, kołysząc ją jak małe dziecko i raz po raz całując w czoło.

Dopiero kiedy zasnęła, delikatnie ułożył ją na swym posłaniu. Pociągnęłam go wtedy w drugi koniec izby i zaczęłam opowiadać, co się zdarzyło w tunelu. Powiedziałam mu także o zdradzie Aurangzeba i o naszych planach wojennych. Wysłuchał wszystkiego w milczeniu, a gdy skończyłam, pocałował mnie i oznajmił:

— Gdyby ten potwór wyrządził którejs z was krzywdę, nie przeżyłbym tego.

— Wiem.

— Rano stąd wyjedziemy — mówił dalej, głaszcząc mnie po włosach. — W Allahabadzie mam kuzyna. To dobry człowiek, właściciel stajni...

— Ja nie mogę jechać — przerwałam mu z żalem, pamiętając, co przyrzekłam matce.

— Jak to?

— Weź Ardżumand i uciekaj, ale ja...

— Czyś ty oszalała, Dżahanaro?

— Ja muszę zostać.

— I dać się zabić?

— Muszę pomóc ojcu.

— Na Allaha, on jest cesarzem! Potrafi sam się obronić!

— Jest ciężko chory. Mam go zostawić samego?

— Więc weźmy go z sobą!

— I oddajmy tron Aurangzebowi? Żeby mógł zniszczyć imperium?

— Wolisz, żeby zniszczył nas?

— Ani jedno, ani drugie! Och, zrozum, Iso, nie mogę opuścić ojca! Nasz plan jest na tyle dobry, że może nam przynieść zwycięstwo. Kiedy pokonamy Aurangzeba, od razu do was przyjadę. Ojciec obiecał, że wyśle nas do Waranasi, gdzie będziemy mogli żyć razem, z dala od dworu i wszystkiego, co się tutaj dzieje.

— Obietnice twojego ojca niewiele są teraz warte!

— Posłuchaj! — zawołałam, mierzając palcem w jego pierś. — Jeśli naprawdę mnie kochasz, to zrobisz, o co cię proszę. Bo wiesz, co by się stało, gdybym wyjechała, a mój ojciec zginął z ręki swego syna? Moje serce też by umarło. Stałbyś mi się obcy, a nasza miłość...

— Nie przetrwałaby tego? Jeśli tak, to jest o wiele słabsza, niż myślałam.

Och, miałam ochotę go za to uderzyć!

— Nie mów tak! Dobrze wiesz, że to nieprawda!

— Nieprawda? Więc jak możesz opuścić mnie i naszą córkę?

— A czy ty pozwoliłbyś umrzeć swojemu ojcu i bratu? Jestem pewna, że nie! Że zrobiłbyś wszystko, aby ich ratować. Dlaczego więc myślisz, że mnie wolno postąpić inaczej? Dlatego że jestem kobietą?

— Zawsze traktowałem cię jak człowieka. Dobrze wiesz, że kobieta nie jest dla mnie niższą istotą.

— I za to cię kocham! Bardziej, niż ci się zdaje. Nie prosz mnie jednak, abym przestała troszczyć się o swą rodzinę.

— To my jesteśmy twoją rodziną, Ardzumand i ja.

— Dlatego jestem rozdarta na dwoje, nie widzisz?

— Twój ojciec...

— Och, Iso, on tyle dla ciebie zrobił! Pozwolił ci zbudować Tadż Mahal i sam zadbał o to, żebyśmy mogli być razem, choć gdyby sprawa ta wyszła na jaw, mogłaby go zniszczyć. I ty mi go każesz porzucić, teraz gdy najbardziej jestem mu potrzebna?

— Wobec tego ja zostanę z tobą.

— Nie! Musisz wywieźć stąd Ardzumand! Dość już najadła się strachu!

Zaklął przez zęby, czego nigdy dotąd nie robił.

— Naprawdę nie ma innego wyjścia?

— Niestety nie. — Widząc, że zaczyna kręcić głową, pogłaskałam go po policzkach. — Przykro mi, mój ukochany, naprawdę strasznie mi przykro.

— Mnie również.

— Wiem.

— Jeśli ta bitwa... źle się dla was skończy, czy nas odszukasz? — spytał, nie patrząc mi w oczy.

— Och tak, oczywiście! Ale my nie przegramy.

Przez chwilę staliśmy bez słowa. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał tak dziwnie, jakby już był gdzieś bardzo daleko.

— Och, Jaskóleczko, dlaczego ty musisz wciąż kogoś ratować?

— Bo to są ci, których kocham. Zbyt mocno ich kocham, aby pozwolić im umrzeć.

ROZDZIAŁ 16

Konsekwencje

Pożegnaliśmy się rankiem. Ardzumand, choć smutna z powodu naszej rozłąki, zniosła to dość spokojnie, przyrzekłam jej bowiem, że za tydzień się zobaczymy. Nam dwojgu było jednak o wiele trudniej uciszyć miotające nami uczucia. Naszemu rozstaniu towarzyszyło tyle samo czułości, co udręki, tyle samo nadziei, co obaw.

Dla mnie było ono czymś równie bolesnym jak śmierć. Co gorsza, już w drodze do mej komnaty zaczęły dręczyć mnie wątpliwości — czy na pewno postąpiłam słusznie? Może Isa miał rację? Może powinnam była opuścić wraz z nimi Agrę, podobnie jak tysiące ludzi uciekających teraz w panice na południe? Moja wiara w zwycięstwo, myślałam, wcale przecież nie znaczy, że tak właśnie musi się stać. A jeśli zwycięży Aurangzeb? Na rzece czekała wprawdzie szybka łódź, która w razie klęski miała zabrać ojca, Darę i mnie na południe, lecz Aurangzeb mógł to przewidywać i odciąć nam drogę ucieczki. A gdyby nas schwytał, czekałaby nas egzekucja. Miałabym już nigdy nie zobaczyć Isy ani Ardzumand? Na samą tę myśl załała mnie czarna rozpacz.

Dotarłam już właśnie do swej komnaty. Poddawszy oględzinom wejście do tunelu, doszłam do wniosku, że Balchi musiał zamknąć drzwi szafy, nim jeszcze zaczął nas ścigać. Nic nie wskazywało też na to, by ktokolwiek od wczoraj wchodził do mego apartamentu. Jeśli nawet ktoś usłyszał rumor, nie zamierzał się tym przejmować. W obliczu takiej groźby, jaką stanowiła ciągnąca na Agrę armia Aurangzeba, wszystko inne przestało się liczyć.

Uspokojona przynajmniej w tej jednej sprawie, poszłam odwiedzić ojca. W ogromnej komnacie wciąż wisiał odór choroby, mimo że silny wiatr łopotał kotarami zasłaniającymi ażurowe okna. Pozdrowiłam młodego medyka, który pomógł przyjść na świat Ardżumand, i poprosiłam go grzecznie, by zechciał zostawić nas samych. Ojciec leżący na aksamitnych poduszkach zdobył się na wąty uśmiech.

— Zostałaś... — wyszeptał.

— Wszak to mój obowiązek — odrzekłam bez przekonania.

— Jesteś pewna, że dobrze robisz, moje dziecko? Imperium można zniszczyć, ale ono potrafi się odrodzić. Wierz mi, będzie trwać jeszcze długo po twojej śmierci.

— Ty jednak już się nie odrodzisz. Dara też nie. Zaczął kaszleć, a potem mruknął:

— Nie wiem, Dżahanaro, czy chce mi się istnieć... bez twojej matki. Są dni, gdy mi wraca ochota do życia, lecz zdarza się to bardzo rzadko. Znacznie częściej myślę, że lepiej byłoby jeść z nią winogrona w Raju... — Przerwał na moment, gdyż znowu chwycił go kaszel. — Ty także lepiej byś zrobiła... uciekając na południe. Mogłabyś tam żyć spokojnie z tymi, których kochasz.

W gwałtownej rozterce przeciągnęłam ręką po włosach. Nie nosiłam dziś ani hidżabu, ani żadnych klejnotów.

— Proszę cię, ojcze, nie utrudniaj mi tego, co i tak ledwo znoszę! Będę potrzebna Darze. Wiesz, jaki jest...

— Mówisz, że to tygrys bez zębów?

— Mówię, że nie jest człowiekiem wojny.

— Ty też nie.

— Ale mogę się przydać. Ojciec niechętnie pokiwał głową.

— Opowiedz mi, co się dzieje — poprosił, stłumiwszy nowy atak kaszlu.

Poprawiając mu pościel, zaczęłam streszczać ostatnie nowiny. Nizam z dwudziestoma tysiącami konnych już o świcie popędził na południe. Dara ze swym wojskiem wyruszy wkrótce na północ, by zająć wybraną pozycję. Wyraziłam nadzieję, że ulewny deszcz padający nieprzerwanie od ostatniej nocy skutecznie ukryje ruchy oddziału Nizama. Aurangzeb, jak donieśli nasi wywiadowcy, znajduje się obecnie o pół dnia marszu od Agry, można się więc spodziewać, że uderzy na nas późnym popołudniem, jeśli rzecz jasna uwierzy w naszą udawaną słabość.

— Dara w takim razie powinien już ruszać... ustawienie dział wymaga czasu — zauważył ojciec.

— Ruszy lada chwila.

Skończyłam układać poduszki i uklęknłam przy jego posłaniu. Staralam się nie myśleć o Ardżumand i Isie, ale było to niemożliwe. Gdzie teraz są? Czy uda im się dotrzeć bezpiecznie do celu, czy też Allah postanowił nie słuchać już moich modlitw?

— Nie zamierzasz chyba wyruszyć w pole wraz z Darą? — W głosie ojca brzmiała podejrzliwość.

— Och, nie! — odrzekłam żywo, może nawet trochę zbyt żywo. — Cóż ze mnie za pożytek w bitwie?

— Słusznie... bardzo słusznie — odparł tak stanowczo, jak mu na to pozwalała jego słabość. — Chcę cię mieć przy sobie. Dara i jego dowódcy poradzą sobie bez ciebie.

Nigdy nie sprzeciwiałam się ojcu, teraz jednak nie miałam zamiaru go słuchać. Mam siedzieć w cuchnącej komnacie, gdy ważą się losy imperium? Czy matka by tak postąpiła? Nigdy! Ja ojciec zawsze zabierał na pole walki, mimo że kobiety nie były tam mile widziane, sam też nieraz opowiadał, że to właśnie jej rady ocaliły życie wielu ludziom.

Choć nie jestem geniuszem wojennym, już przed rozstaniem z Isą uświadomiłam sobie nagle, że plan Nizama zawiera jeden słaby punkt: Aurangzeb wcale nie musi stanąć do bitwy tam, gdzie go oczekujemy. Może ominąć nasze pozycje, pomaszerować prosto na Agrę i zająć bezbronny Czerwony Fort. Byłoby to dla nas zgubne, trzeba więc doprowadzić go do takiej furii, by na oślep ruszył do ataku. Uznałam, że właśnie ja potrafię tego dokonać. Isie rzecz jasna nie wspomniałam słówkiem, że wybieram się na pole walki. Przerzuciłby mnie przez ramię i zaniósł do Alahabadu, nie zważając na żadne protesty.

— Wychodzisz? — zapytał ojciec, gdy skierowałam się w stronę drzwi.

— Wrócę — odrzekłam łagodnie.

— Nie oddalaj się zanadto, moje dziecko. Mogę potrzebować twej rady.

— Dobrze.

Skłamałam. Nie minął nawet kwadrans, gdy siedziałam już na grzbiecie najlepszego ogiera z cesarskich stajen. Na pobliskim dziedzińcu znalazłam żołnierską odzież. Po wymarszu oddziałów Dary setki dezertarów musiały wypełznąć z ukrycia, gdyż na całym dziedzińcu leżał porzucony w pośpiechu rynsztunek — jak strącone wichurą liście. Jego właściciele dołączyli już pewnie do strumienia uciekinierów.

Zazwyczaj po owym dziedzińcu kręciło się mnóstwo ludzi, dziś wszakże tylko jakiś półnagi hinduski mnich człapał w strugach ulewnego deszczu. Zeskoczywszy z konia, czym prędzej wdzia-

łam na siebie żółtą oficerską tunikę. Była na mnie o wiele za duża — wyglądała raczej jak suknia — uznałam jednak, że nikt tego nie zauważy, gdy usiądę na końskim grzbiecie. Ściągnawszy ją w pasie, przytroczyłam do siodła pełny rynsztunek wojaka: miecz, ciężką tarczę oraz łuk i kołczan. Nie zamierzałam ich używać, ale żołnierz bez broni wyglądałby podejrzanie. Na koniec ukryłam włosy pod czymś czarnym turbanem.

Droga wiodąca z Agry na północ zdążyła już się zamienić w wielkie trzęsawisko, więc choć strugi siekącego deszczu mocno ograniczały widoczność, nietrudno było iść śladem czterdziestu tysięcy zbrojnych i tysiąca bojowych słoni. Wiał silny wiatr południowo-wschodni, co trochę mnie niepokoiło, gdyż właśnie stamtąd, z Bengalu, groziły nam zawsze najgorsze cyklony.

Miałam dobrego konia, toteż szybko dogoniłam armię Dary. Prawdę mówiąc, szybciej ją poczułam, niż zobaczyłam. Odoru zwierzęcego łąjna, siana i niemytych mężczyzn nie były w stanie rozproszyć nawet gwałtowne podmuchy wiatru. Już z daleka słychać też było głuchy łoskot bębnowy wybijających rytm marszu. Jechałam na tyłach pochodu, nękana bez przerwy obawami o los swych najbliższych. Aby o tym nie myśleć, zaczęłam obserwować otoczenie: piechurów grzęznących po kostki w błocie, oficerów zdzierających sobie gardła, aby ich pogonić, słonie wlokące działa bądź dźwigające na grzbietach drewniane platformy ozdobione barwnymi tkaninami. Siedzieli na nich uzbrojeni w muszkiety wyżsi oficerowie.

Droga na wzgórze nie była na szczęście daleka. Było to właściwie nie tyle wzgórze, ile lekkie wzniesienie wielkości Czerwonego Fortu, lecz znacznie od niego niższe. Na tym prawie bezdrzewnym pagórku sterczały jakieś dwie skałki i kępy smętnych zarośli. Choć mało się na tym znałam, wydawało mi się, że nie stanowią one żadnej osłony dla ludzi.

Nasi wojownicy zaczęli od razu budować zasieki. Ścięto wszystkie drzewa — było ich zaledwie kilka — i z pomocą słoni przewieziono pomiędzy skały, by z ich pni utworzyć coś w rodzaju barykady. Luki wypełniono gałęziami. Barykada ta, choć niezbyt mocna, mogła osłonić część ludzi. Ustawiono za nią pięćdziesiąt armat. Po obu stronach bariery stanęli półkolem piechurzy i słonie.

Odszukanie Dary zajęło mi trochę czasu. Wyglądał dziwnie obco w hełmie i metalowej kolczudze pomalowanej w skośne czarno-czerwone pasy. Siedział na wspaniałym słoni, doglądając budowy kolejnych barykad. Jego słoń nosił na głowie metalowy czaprak, na grzbiecie purpurową derkę, kły olbrzyma zaś tkwiły w srebrnych, zakończonych szpicami tulejach.

Koni było niewiele, jako że większość naszej kawalerii znajdowała się w tej chwili gdzieś na tyłach wojsk Aurangzeba, toteż słysząc rzenie mojego wierzchowca, Dara odwrócił się żywo, przekonany zapewne, że dosiada go jakiś oficer. Kiedy więc zerwałam z głowy turban, ze zdumienia otworzył usta — podobnie jak cała towarzysząca mu świta.

— Na Allaha! A cóż ty tu robisz?! — wykrzyknął, odzyskawszy mowę.

Zatrzymałam się przed nim na długość włóczni.

— Kiedy ma się zjawić tutaj nasz brat?

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie!

Och, miałam już dosyć traktowania mnie jak dziecko albo jeszcze gorzej! Czy ja jestem psem, którego można sobie kopnąć bez powodu? Czemu wszystkim się zdaje, iż żaden ze mnie pożytek, i to tylko dlatego, że jestem kobietą?

— Przyjechałam tu — odparłam arogancko — bo taką miałam ochotę.

— Bo miałaś ochotę? A czy ojciec o tym wie?

Złękłam się, że jeśli go rozzłoszczę, każe ludziom przywiązać mnie do konia i odesłać w hańbie do Agry, postanowiłam więc skłamać.

— Mam wrócić, gdy tylko rozpocznie się bitwa, i opowiedzieć ojcu, jaki był początek.

— Mam od tego posłańców!

— Aż tylu, że możesz nimi szafować? — Widząc, że nie przekonam go tym argumentem, zdecydowałam się powiedzieć prawdę. — Och, Daro, czy pomyślałeś, że Aurangzeb, zamiast stanąć do walki, może po prostu minąć ten pagórek i zająć nie bronioną Agrę? Po cóż miałby atakować cię tutaj, gdzie masz dobrą pozycję obronną, skoro może bez trudu zdobyć Pawi Tron, a z tobą rozprawić się później?

— Nie pozwoli mu na to honor.

— Zdaje ci się, że szczury mają honor? — wybuchnęłam, nie bacząc na to, co wpajano mi od dzieciństwa, że kobiecie nie wolno się tak zachowywać. Naiwność Dary w obliczu tak jawnej zdrady Aurangzeba przekraczała już wszelkie granice! — Czy ci twoi dowódcy są tacy tępi, że nie umieją przewidzieć, co on zrobi? — rzuciłam złośliwie. — Wszak to jasne, że nie zechce cię tu atakować! Nawet ja bym tak zrobiła, chociaż wcale się nie znam na taktyce.

— I mimo to chcesz mi doradzać?

— Tak, Daro. A ty powinienesz mnie wysłuchać. Dobrze wiesz, jak nasz brat mnie nienawidzi. Zawsze tak było. Kiedy więc przyjdzie przedłożyć nam swoje warunki, sprowokuję go do ataku. — Podjechałam bliżej i choć wiele mnie to kosztowało, zdołałam opanować nerwy. — Kocham cię, drogi bracie — powiedziałam już znacznie ciszej — lecz czy naprawdę jesteś aż tak ślepy, że nie widzisz, jaki jest Aurangzeb? On przecież w ogóle nie ma honoru! Jest zły do szpiku kości!

Sądząc po gorzkim skrzywieniu ust Dary, musiałam go mocno urazić.

— Czy myślisz — zapytał — że tylko ty jedna poświęcasz się dla imperium, podczas gdy moje życie usłane jest różami? — Gdy nic na to nie rzekłam, jął mówić dalej, przesuwając dłonią po kunsztownej rękojeści miecza. — Tak, długi czas byłem ślepy. Popełniłem mnóstwo błędów,

wskutek których zginie dziś wielu ludzi. Jeśli myślisz, że mnie to nie dręczy, to się mylisz! Nie śpiam przez to po nocach!

— Skoro zdawałeś sobie sprawę z własnej ślepoty, czemu nic nie zrobiłeś, żeby się jej pozbyć? Mogłeś przynajmniej o tym porozmawiać.

— Chciałem, ale czas biegł tak szybko...

— To prawda, lecz nie powinieneś być zwlekać. Mogłam ci pomóc.

— Widzisz, ja... ponad wszystko pragnąłem zjednoczyć naszych poddanych — powiedział żałośnie. Wtórował mu narastający szum deszczu; z parasola, który miał nad głową, lały się istne strumienie wody, mocząc potężne boki jego słonia. — Pragnąłem, by hindusi i muzułmanie żyli jak jedna rodzina. Studiowałem religię, zamiast uczyć się sztuki wojennej, wierząc, że jedynie wzajemne zrozumienie i szacunek mogą stworzyć prawdziwą więź między ludźmi. Poświęciłem tej idei całe swe życie i poniosłem sromotną klęskę! Bo oto szykuję się do walki ze swym rodzonym bratem, a skoro bracia nie szanują się nawzajem, czy można wymagać tego od obcych?

— Nie ty sprawiłeś, że stoimy dziś na tym wzgórzu. Całą winę ponosi Aurangzeb.

Skinął głową ruchem pełnym strasznego znużenia. Wydawał się taki zagubiony na tym wielkim, wspaniale przystrojonym słoniu!

— Pragnąłbym, Dżahanaro, żebyśmy oboje byli teraz gdzieś bardzo daleko. Ty... ze swoim mężczyzną i córką, a ja z moim ukochanym synem.

A więc Dara wiedział o Isie! Domyślałam się tego, lecz nie byłam pewna.

— Jeśli zwyciężymy...

— Cóż znaczy zwycięstwo, jeśli okupimy je śmiercią tysięcy Hindusów? Dziś może ich paść sto tysięcy! Takiej rany imperium nigdy nie uleczy! A jeśli zwycięży Aurangzeb, będzie jeszcze gorzej. Zacznie prześladować Hindusów, czym cofnie nas w przeszłość o parę stuleci. Będzie dopóty zwalczać innowierców, aż nasze imperium pójdzie w rozsypkę.

Nie myślałam tak dalekowzrocznie, nie mogłam jednak nie zauważyć, iż mego brata o wiele bardziej interesują dalsze losy naszego cesarstwa, niż skłonna byłabym przypuszczać.

— Ja także wiele bym dała, żeby było u nas tak jak kiedyś. Jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

— Och, było to tak dawno, że wydaje się dzisiaj snem! Już wtedy marzyłem, żeby wszystkie dzieci bez względu na ich religię bawiły się razem jak bracia i siostry, by żyły w pokoju i zgodzie.

— Może uda się to naszym dzieciom.

— Miałyby szczęście, lękam się jednak, że to niemożliwe — odrzekł ze smutkiem, zlizując z warg krople deszczu. Wyprostował się nagle, dobiegł nas bowiem daleki głos rogów. — Odszukaj mnie, jeśli Aurangzeb przyjdzie tu z białą flagą, lecz jeśli zaatakuje nas bez uprzedzenia, uciekaj do Agry!

Chciałam mu powiedzieć, że go kocham i że to dla mnie zaszczyt mieć takiego brata, ale on kazał już swojemu kornakowi skierować słonia w stronę nadciągającej armii. Wydawała się taka ogromna! Choć w rzeczywistości była większa od naszej zaledwie o pięć tysięcy ludzi i pięćset bojowych słoni, zdawała się trzykrotnie przewyższać nasze wojska zgromadzone na tym pagórku. Prawie połowę armii Aurangzeba stanowili konni, śmigający teraz jak wiatr dookoła jego pieszych kolumn. Nasi oficerowie lękali się ich najbardziej, gdyż sile i szybkości tej formacji nie mogliśmy się przeciwstawić, póki Nizam nie przywiedzie naszych jeźdźców.

— Spraw, by zdążyli na czas — zaczęłam głośno się modlić. — Bez nich jesteśmy zgubieni.

Tymczasem oddziały mojego zdradzieckiego brata zaczęły w marszu rozwijać bojowy szyk, ustawiając się w długie, budzące grozę szeregi. Ruchom tym towarzyszył ryk słoni ciągnących działa na pozycje. Zarówno ci ludzie, jak i zwierzęta znajdowali się wciąż jeszcze poza zasięgiem naszych armat, toteż dowódcy zakazali kanonierom strzelać. Nasze słonie jednak, zgromadzone chwilowo tuż za artylerią, zaczynały się denerwować. Słysząc to było w dźwiękach mosiężnych dzwonków, które nosiły na szyjach. Jakiś chłopiec z proporcem podszedł zbyt blisko do któregoś z olbrzymów i otrzymał potężne uderzenie kłami. Został śmiertelnie ranny, i o Boże, żaden z towarzyszy nie odważył się pospieszyć mu z pomocą. Zrobiło mi się niedobrze. Nigdy jeszcze z tak bliiska nie widziałam wojny, i nie był to widok, który bym chciała oglądać.

Dostrzegłszy grupkę konnych pod białą flagą, ruszyłam im na spotkanie. Deszcz lał tak mocno, że aby coś widzieć, musiałam raz po raz przecierać oczy. Gdzie Dara? Zobaczyłam po chwili, że zjeżdża z pagórka w otoczeniu swojej konnej świty. Znałam tych oficerów. Byli to ludzie bezwzględnie wierni memu ojcu, gotowi za niego umrzeć. W swej zbyt obszernej tunice musiałam wyglądać śmiesznie, mimo to wszyscy ukłonili mi się z szacunkiem.

Dwie nasze grupy spotkały się u stóp wzgórza. Aurangzeb dosiadał pięknego białego ogiera, ale miał na sobie pokierszowaną zbroję i równie sterany hełm. Kiedy mnie zobaczył, roześmiał się głośno, lecz zbyt dobrze go znałam, by nie widzieć, co się kryje za tą udawaną wesołością. Rozwścieczył go już sam mój widok.

— Chowasz się za babską spódnicą? — zawołał szyderczo.

— Wolę jej spódnicę niż twoją tarczę — odparował Dara.

Nasi ludzie parsknęli śmiechem, grupka nieprzyjaciół sposepniała. Aurangzeb wyjął skądś główkę cebuli i zaczął ją gryźć jak jabłko.

— Oto moje warunki, heretyku — oznajmił, plując łuskami w stronę starszego brata. — Chcę twojej głowy. A potem głowy twojego szczeniaka.

— Nie masz prawa domagać się niczego poza biciem — odrzekł Dara głosem drżącym z furii. — I to właśnie otrzymasz: baty!

Aurangzeb nonszalancko wzruszył ramionami.

— Chyba zaoszczędzę ci kłopotu. Pójdę naprzód, a ty, jeśli masz ochotę, możesz zaatakować mnie w drodze do Agry.

Widząc, że zbiera się do odjazdu, ruszyłam z kopyta, tak że mój rumak uderzył w zad jego konia.

— Cóż to? Boisz się nas, braciszku? — rzuciłam z pogardą.

— Ha, ale czegoż można spodziewać się po kimś, kto nasyła na siostrę takie podłe monstrum jak Balchi? Musi to być śmierdzący tchórz, gdyż prawdziwy mężczyzna uśmierciłby mnie własnoręcznie. — Przerwałam na moment, by ze wstrętem splunąć w jego stronę. — I wiesz, co jeszcze ci powiem? Skoro tamten nie zdołał mnie zabić, to tym bardziej nie dokona tego człowiek, który kwili ze strachu na widok głupiego węża!

Nasz brat wściekłym ruchem wyszarpnął miecz z pochwy, wojownicy — jego i nasi — także sięgnęli po broń. Aurangzeb musiał jednak zrozumieć, że padnie trupem jako pierwszy, gdyż z powrotem wcisnął miecz do pochwy.

— Każę moim ludziom dobrze zabawić się z tobą, grzesznico — syknął jadowicie — a ty, heretyku, będziesz dla nich doskonałym celem na tej przerośniętej bestii!

— Będę modlił się za twoją duszę — odrzekł Dara, spoglądając w niebo.

— Nie życzę sobie, by modlił się za mnie miłośnik brudnych hindusów! — warknął Aurangzeb, po czym ostentacyjnie przeżuł i połknął resztę cebuli. Oddech tak mu cuchnął, że nawet z odległości trzech kroków zatykał mi nozdrza. — Koran powiada: „O, gdyby ci, którzy nie uwierzyli, znali tę chwilę, kiedy nie będą mogli odwrócić ognia ani od swoich twarzy, ani od swoich pleców... Tak! Przyjdzie ona do nich niespodzianie i wprawi ich w zdumienie; i nie będą w stanie jej odwrócić ani nie będzie im dana żadna zwłoka”.

— Znam inny werset Koranu — odrzekł Dara. — „Nie zabijajcie się!... A ktokolwiek uczyni to przez wrogość i niesprawiedliwość, to będziemy go palić ogniem. A to jest dla Boga łatwe!”.

Po tych słowach oboje zawróciliśmy na pagórek. Dara zatrzymał się za działami, naprzeciwko czoła wrogiej armii. Skinęłam mu ręką i miałam już właśnie ruszyć w stronę Agry, gdy nieprzyjacielska kawaleria zaczęła oskrzydlać nasze pozycje, zamierzając najwyraźniej otoczyć nas ciasnym pierścieniem. Spodziewaliśmy się, że Aurangzeb dokona skoncentrowanego ataku na któryś z naszych najsłabiej bronionych punktów, on tymczasem postanowił chyba nękać nas równocześnie ze wszystkich możliwych stron.

— Jedź w górę! — krzyknął Dara, dostrzegając grożące mi niebezpieczeństwo. — Szybciej, Dżahanaro!

Zrobiłam, co kazał, bo nagle zdjęła mnie trwoga. W dole tymczasem — jakże niedaleko! — słonie Aurangzeba skończyły podciągać działa na pozycje, co widząc Dara kazał kanonierom dać ognia. Rozległ się ogłuszający huk, gdy załadowane już nasze armaty wypluły z siebie dziesiątki stalowych kul. Choć szalejący deszcz tworzył teraz istną ścianę wody, przez którą niewiele było widać, spostrzegłam, że słonie Aurangzeba zataczają się jak pijane, a na ziemi leżą nieruchome ciała.

Pospiesz się, Nizamie, poprosiłam bezgłośnie, patrząc ku północy.

Nasi ludzie sprawnie załadowali znów działa i zaczęli gęsto ostrzeliwać wroga. Ten jednak szedł naprzód, zalewając nasze szeregi morderczymi falami piechurów i konnych. Znajdowaliśmy się już teraz w polu rażenia ich armat. Skuliłam się ze strachu, gdy wokół zaczęły padać pociski, wzbijając ogromne fontanny błota. Jakiś słoń stracił nogę i zwałił się ciężko na ziemię, miażdżąc jeźdźców i jeszcze paru innych wojowników. Wrogie kule trafiły też kilka naszych armat, które eksplodowały, zabijając swoich kanonierów.

A nieprzyjaciel ciągle się zbliżał. Ci z naszych, którzy mieli broń palną, próbowali powstrzymać go ogniem z muszkietów, inni szyli z łuków, a że tamci robili to samo, powietrze nagle zrobiło się gęste od tysięcy pocisków siejących śmierć i zniszczenie. Ludzie padali jak muchy — zabici na miejscu albo ciężko ranni; ci z rozpaczliwym krzykiem próbowali gołymi rękami tamować uchodzącą z nich krew. Niektórzy nasi wojownicy, nie bacząc na kule, wybiegali spoza barykady i rzucali się na wrogów, podczas gdy inni ogarnięci paniką starali się chyłkiem uciekać — i ginęli od strzał. Czy wojna zawsze tak wygląda? myślałam, obserwując ten straszliwy chaos.

Hukowi dział wtórowały grzmoty — burza z chwili na chwilę nabierała mocy, a wichura przekształciła się w huragan. Podmuch wiatru omal nie zrzucił mnie z siodła, ciężkie krople deszczu boleśnie siekły po twarzy i rękach. Osłoniwszy oczy, poszukałam Dary. Gdy wypatrzyłam go w końcu u podstawy wzgórza, gestykulował gwałtownie, starając się zwrócić na coś uwagę otaczającym go ludziom, tuż obok niego zaś staczał się po zboczu jakiś słoń — zabity lub ciężko ranny.

Po chwili zobaczyłam, co im chciał pokazać. Szeregi wrogiej piechoty osłonięte zielonymi tarczami parły pod górę jak wezbrana rzeka, która przerwała brzegi. Nad tarczami wznosił się las krzywych mieczy. Ileż ich było! Ci wrzeszczący dziko, ogarnięci bitewnym szaleństwem ludzie przerażali mnie bardziej niż łoskot dział. Nasi wojownicy przestali do nich strzelać dopiero z odległości paru kroków i odrzuciwszy muszkiety, wydobyli miecze. Rozległ się szczeł żelaza, przekleństwa i krzyki. Na moment udało nam się powstrzymać szturmujących, ale potem proporce Dary zaczęły chwiać się i zniknąć.

Obróciłam koniem, szukając drogi ucieczki, ale wszędzie roило się od nieprzyjaciół — atakowali nas ze wszystkich stron. Każda próba przebicia się przez nich groziła śmiercią.

Gdzie Nizam? myślałam gorączkowo. Jeśli nie zjawi się wkrótce, przegramy tę bitwę, a ja nigdy już nie zobaczę Isy ani Ardżumand. Nasi ludzie bronili się dzielnie, ale wróg górował nad nami zarówno liczbą, jak i zaciekłością. Muzułmanie Aurangzeba od lat gromili Persów, podczas gdy w naszych oddziałach służyli albo mężczyźni dość już posunięci w latach, albo młodzicy, którzy po raz pierwszy brali udział w bitwie. Dara starał się ich skupić koło siebie i zagrozić własnym przykładem — jego ogromny słoń siał spustoszenie wśród wrogów. Pomyślałam, nie pierwszy raz zresztą, że jest wprawdzie strasznie naiwny, lecz z pewnością nie brak mu odwagi. Walczył teraz jak wielki przywódca, strzelając raz po raz z muszkietu i głośnymi okrzykami zachęcając swych ludzi do boju na śmierć i życie. Ci ludzie musieli go kochać, bo słuchali jego rozkazów, a walczyli i umierali z jego imieniem na ustach.

Wróg jednak ciągle parł naprzód, przystając tylko po to, żeby dobić rannych. Byłam już teraz w zasięgu strzał, toteż kilku wojowników, widocznie biorąc mnie za oficera, zaczęło szyc do mnie z łuków. Sięgnąwszy po wiszącą przy siodle tarczę, ukryłam się za nią, lecz kiedy do gradu strzał przyłączyły się kule z muszkietów, śmierć zaczęła zaglądać mi w oczy. Ale dokąd mogłam przed nią uciec?

Mój piękny ogier nagle zarżał boleśnie i runął ze zbocza, wyrzucając mnie z siodła. Krzyżąc z przerażenia, wywinęłam w powietrzu koziołka — i wylądowałam w głębokim mule, na plecach. Odczułam to w całym ciele, jednak jakimś cudem udało mi się przewrócić na brzuch i uklęknąć. Trzęsącymi się rękami wydobyłam miecz z pochwy i podpełzłam do konia, zamierzając skrócić jego mękę, ale biedak już nie żył. W szyi ziała mu ogromna rana.

Kiedy wreszcie rozległ się głos rogów, ledwo go usłyszałam. Dopiero gdy nasi ludzie zaczęli gromko wiwatować, dotarło do mnie, że Nizam nareszcie przybył z odsieczą. Pomyślałam, że skoro Aurangzeb pchnął na wzgórze wszystkie swe oddziały — piesze i konne — to jego kanonierzy są teraz bezbronni, a przed nami otwiera się szansa odwetu!

Mściwe okrzyki dwudziestu tysięcy przybyłych zagłuszyły nawet huk dział. Przez lejące się z nieba potoki wody dostrzegałam chwilami naszych jeźdźców zaciekle dziesiątkujących zaskoczonych wrogów, którzy niespodziewanie zostali wzięci w dwa ognie — z góry i z dołu. Zaczęli też wkrótce padać pokotem pod gradem strzał i pocisków, ja zaś jęłam modlić się gorąco, aby nasz plan się powiódł. Z początku sprzyjało nam szczęście. Nasi ludzie już wzniesli triumfalny okrzyk — i wtedy niestety Allah nas opuścił.

Czasami o wszystkim decyduje jedna chwila. Tak było i teraz. Słoń Dary trafiony kulą armatnią z przeraźliwym rykiem wpadł na barykadę, a Dara, który właśnie wysyłał ludzi do boju, wyleciał jak pocisk ze swojej platformy. Zanim zdołał się podnieść, przywaliło go kilka wielkich

kłód, na które co gorsza runął ranny słoń. Zaczęłam biec w jego stronę, gdy nagle rozległ się okrzyk:

— Książę! Nasz książę nie żyje!

Wśród naszych żołnierzy wybuchła panika. Przekonani, że stracili wodza, zaczęli raptem pierzchać z pola walki, myśląc już tylko o własnej skórze. Następca tronu nie żyje, nie ma więc po co walczyć! Oficerowie próbowali wprawdzie powstrzymać uciekinierów, lecz na nic się to nie zdało — dyscyplina przestała istnieć. Chciałam jak najprędzej dotrzeć do miejsca, gdzie upadł Dara, ale długa tunika utrudniała mi ruchy, a rozmiękle zbocze umykało co chwila spod stóp. W pewnym momencie klapnęłam w tę błotnistą maź i tak ześliznęłam się na dół.

Słoń Dary miał w boku dziurę wielkości mej głowy, mimo to jeszcze żył. Próbował się podnieść i nawet stanął na nogi, lecz natychmiast zwałił się znowu, miażdżąc swym ciężarem aż trzech nieprzyjacielskich żołnierzy. Darę odnalazłam wśród resztek zdruzgotanej barykady. Spod pogiętego hełmu ciekła mu krew, lecz gdy przyłożyłam mu rękę do ust, poczułam, że oddycha.

— On żyje! — krzyknęłam najgłośniejszym głosem. — Książę Dara żyje!

Choć słysząc ten okrzyk, kilku wojowników przestało na chwilę uciekać, nic już nie mogło nas uratować. Nasza strona niestety poniosła druzgocącą klęskę. Trzymając na kolanach głowę Dary, mogłam tylko bezsilnie patrzeć, jak nasi ludzie starają się umknąć przed rozszalałą hordą Aurangzeba. Niektórym się to udało, lecz setki zginęły od strzał i pocisków. Ci, którym odcięto drogę ucieczki, stawali do walki, gotowi drogo sprzedać swoje życie. Walczyli jak demony, cóż, kiedy napastnicy wielokrotnie przewyższali ich liczbą. Rannym błyskawicznie podrzynano gardła i z haniebną szybkością znamionującą długoletnią wprawę odzierano ich ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość.

Zdjęłam Darze hełm i owinęłam mu głowę kawałkiem mojej tuniki. Miałam właśnie związać opatrunek, gdy spostrzegłam galopującego prosto na mnie konia. Byłam już prawie pod kopytami, kiedy czyjaś ręka dźwignęła mnie z ziemi i z zaiste nieludzką siłą zarzuciła na koński grzbiet — tuż za plecami jeźdźca. Zdażyłam przeorać mu twarz paznokciami, zanim zrozumiałam, że to przecież Nizam.

— Tam został Dara! — krzyknęłam mu w ucho.

On jednak, jakby mnie nie słyszał, skierował konia ku niewielkiej luce we wrogich szeregach. Byliśmy już blisko, lecz oto na drodze wyrósł nam jakiś zwalisty wojownik, który wymierzył do nas z muszkietu. Broń nie wypaliła, Nizam zaś z szybkością atakującej kobry rąbnął krzywym mieczem w ramię przeciwnika i w tej samej chwili jakaś strzała zniemacka trafiła go w udo. Sapnęłam ze strachu, ale on wydał z siebie tylko wściekły ryk i mocniej wbił ostrogi w końskie boki. Po chwili drogę zastąpiło nam znów dwóch żołnierzy, którzy uśmiechnęli się wstrętnie na widok

mych długich włosów. Jeden z nich podniósł włócznię, lecz Nizam odrzucił ją na bok i pchnął przeciwnika mieczem. Drugi jął wzywać na pomoc kamratów i nagle opadło nas kilku piechurów, którzy rzucili się na mnie, próbując ściągnąć mnie z konia. A Nizam wszystkich ich pobił, wyjąc jak dzikie zwierzę! Allah chyba sprzyjał mu owego dnia, bo kule zdawały się go omijać, a miecze odbijały się od jego zbroi. Jego miecz tymczasem, zataczając mordercze kręgi, siał spustoszenie wśród wrogów, raniąc ich i zabijając.

Może nawet zdołalibyśmy uciec, ale ja nie widząc, że nasz koń szykuje się do skoku przez zgruchotane działo, nagle zleciałam mu z grzbietu. Od uderzenia o ziemię gwiazdy stanęły mi w oczach. Spadłam niestety pomiędzy wrogów, bałam się zatem, że zostanę natychmiast odarta z odzienia przez rozjuszonych żołdaków. Nie stało się tak na szczęście, gdyż jako pierwszy dopadł mnie jakiś oficer. Choć miecz miał zboczony krwią naszych ludzi, w jego oczach nie dostrzegłam okrucieństwa, nabrałam więc nadziei, że może zechce uchronić mnie przed najgorszym.

Nizam, zawróciwszy konia, próbował się do mnie przedrzeć, dzieliło nas jednak ze dwunastu mężczyzn, z których kilku napinało łuki.

— Zostaw mnie! — krzyknęłam. — Martwy nie na wiele mi się przydasz! — W odpowiedzi zarąbał jakiegoś łysego wojownika, akurat w chwili kiedy czyjeś ostrze ześliznęło się po jego siodle. — Uciekaj! Na litość boską, uciekaj!

Ogarnięty bojowym szaleństwem, warknął coś niezrozumiale i skierował spienionego konia prosto w najgęstsza grupę nieprzyjaciół. Rozprysnęli się przed nim jak stado spłoszonych kaczek. Drogę do luki w okrążeniu miał już prawie wolną.

Zobaczyłam jeszcze, jak zabiwszy kolejnych dwóch wojowników, przeskakuje przez stertę trupów, ale potem fale siekącego deszczu tak przesłoniły mi widok, że nie byłam pewna, czy zdołał się uratować, czy też może w końcu go zabito.

— Księżniczko — usłyszałam głos oficera. Ukłonił mi się lekko i wyciągnął rękę. Choć dookoła wciąż jeszcze wrzały zażarte walki, on zdawał się ich nie dostrzegać.

Przypomniałam go sobie. Pamiętałam mgliście, że nasz ojciec znał jego ojca. Myśl o ojcu przywiodła mi na pamięć Darę.

— Mój brat! — zapłakałam, podnosząc się chwiejnie na nogi. — Wiesz może, co się z nim stało?

— Pojmał go Alamgir, pani. Księżę Dara żyje.

— Kto? Kto go pojmał?

— Twój brat, Alamgir. Takim imieniem każe się teraz nazywać.

„Alamgir” znaczy „Zdobywca Świata”. Już tylko wyobrażając sobie, jaką przyszłość wróży nam to imię, poczułam ciarki na grzbiecie.

— Ach tak, dla mnie jednak zawsze pozostanie Aurangzebem.

— Rozumiem, lecz gdybym był tobą, pani, nie starałbym się go drażnić. Słyszałem, co mu powiedziałaś, a jego gniew bywa straszny.

Zamknęłam oczy, próbując przewidzieć, co zrobi Aurangzeb, kiedy mnie zobaczy. Teraz, po bitwie, będzie jeszcze gorszy niż zwykle: zabijanie wprawia ludzi w szal. Bez wahania rzuci mnie swym wojownikom.

— Powiedz mi, Humajunie, czy jesteś człowiekiem honoru? Wydawał się zaskoczony, że pamiętam jego imię.

— Tak, pani.

— Więc uderz mnie w głowę, tak bym straciła przytomność, i w tym stanie zanieś mnie Alamgirowi. Bo jeśli postawisz mnie przed nim w pełni świadomą... — zamilkłam, by stłumić łzy

— ...czeka mnie straszna śmierć.

— Dobrze, księżniczko. Zawsze gdy chciał cię zabić, gorąco mu to odradzałem.

— Dziękuję ci za to.

Skłonił mi się powtórnie, obracając miecz w dłoni, rękojeścią naprzód.

Zaledwie zdążyłam spojrzeć w stronę Mekki, gdy spadł na mnie cios. Poczułam oślepiający ból — a potem zapadłam się w ciemność.

ROZDZIAŁ 17

Śmierć i ponizenie

Czerwony Fort poddał się tego samego dnia. Nie było innego wyjścia. Jakież opór mogła stawić nieliczna załoga twierdzy tysiącom wojowników Aurangzeba? Ojciec pomimo ciężkiego stanu został uwięziony w Ośmiokątnej Wieży. Tę dwupiętrową konstrukcję na wschodnim murze Czerwonego Fortu sam wybudował przed laty, by haremowe damy mogły z jej wysokości oglądać dalekie widoki. Aurangzeb zamknął go tam rozmyślnie: z okna tej wieży doskonale widać było Tadź Mahal. Wiedząc, jak bardzo nasz ojciec kocha to miejsce, chciał mu nieustannie przypominać, że jest ono dla niego niedostępne.

Dla mnie był to najczarniejszy dzień życia. Nie dlatego, żeśmy ponieśli klęskę, ale z powodu Dary. Aurangzeb, ogłosiwszy się najwyższym władcą imperium, oskarżył go o herezję i skazał na śmierć. Nasz brat, niechaj Bóg wybaczy nam grzesznym, miał zostać ściety.

Odzyskawszy przytomność, stwierdziłam, że jestem naga, lecz poza zranioną głową nie odniosłam innych obrażeń. Leżałam w mrocznej, otoczonej kratami celi mocno cuchnącej uryną. Po chwili zobaczyłam, że nie jestem tu sama — że po klatce krążą dwa głodne gepardy, warcząc i zataczając coraz mniejsze kręgi. Krzyknęłam ze strachu, uświadomiwszy sobie, że to ja mam być ich ofiarą! Gorączkowo rozejrzałam się za jakąś bronią, ale nic tu nie było poza ogryzioną kością wielkości mego ramienia. Chwyciłam ją szybko i tak uzbrojona podpełzłam do kąta.

Po chwili zjawił się Aurangzeb w towarzystwie kilku mężczyzn, którzy na widok mojej nagości zaczęli ryczeć ze śmiechu.

— Te zwierzęta nie jadły od paru dni — oznajmił mój brat, wskazując dwa wielkie koty — ale pewnie nie lubią zapachu niewiernych, czemu zresztą wcale się nie dziwię. Kiedy jednak bardziej zgłodnieją, spróbują i ciebie — zakończył zjadliwie, prześlizgując się wzrokiem po moim ciele. Czym prędzej zakryłam łono.

— Ja jej spróbuję! — zachichotał któryś z jego towarzyszy, lecz Aurangzeb puścił tę uwagę mimo uszu.

— Chcę ci powiedzieć, grzesznico — wycedził — że Dara został skazany na śmierć za herezję. Jutro kat zetnie mu głowę.

— Nie! — wykrzyknęłam, nie mogąc uwierzyć swym uszom.

— Nie rób tego, błagam! Dara heretykiem? Nasz brat jest gorącym rzecznikiem islamu!

— Zasłużył na śmierć!

— Za co? Cóż on takiego zrobił?

— Nawet teraz musisz się ze mną spierać? — ryknął Aurangzeb, pryskając śliną. Zawsze tak było, kiedy wpadał w furję.

— Czy prawdziwy muzułmanin uznałby wiarę hindusów za równie dobrą jak nasza? Na Boga, wszak to bluźnierstwo! Tą swoją zdradziecką książką osłabił władzę imperium!

— On tylko próbował pokazać wyznawcom obydwu religii, że wszyscy możemy żyć w zgodzie jak jedna wielka rodzina. Gdzie ty tu widzisz zdradę?

— Wszędzie! Na każdej cuchnącej stronie tej nieczystej księgi! I za to umrze! Za swoje niecne bluźnierstwa!

— Błagam cię, Aur... Alamgirze! On jest twoim bratem!

— Co z tego? Każdy kto ma głowę, może ją stracić. Bracia i siostry również! — warknął, odwracając się twarzą do wyjścia.

— A pamiętasz, co Allah mówi o morderstwie? — krzyknęłam.

Gwałtownie odwrócił się z powrotem, chwytając za pręty klatki.

— Heretyków się nie morduje. Wymierza się im karę śmierci.

— Dara nie jest heretykiem! Zamknij go w więzieniu, jeśli musisz, ale pozwól mu żyć!

— Tylko do jutra! — syknął. — A ty będziesz patrzeć na jego śmierć, jeśli moje gepardy nie zjedzą cię do tego czasu.

— Popełniasz morderstwo! Morderstwo!

Świta Aurangzeba z głośnym śmiechem skierowała się do wyjścia, wykonując po drodze obrzydliwe gesty, od których zrobiło mi się niedobrze. Pochłonięta obroną Dary opuściłam rękę, niepomna swojej nagości. Dara ma umrzeć? Ogarnęła mnie taka rozpacz, że gdyby nie ojciec, Ardżumand i Isa, pozwoliłabym chyba pożreć się tym gepardom. Łatwiej by mi było znieść ból od ich zębów, niż myśleć o tym, co nas czeka jutro. Na wszystko co święte! Jak mogło do tego dojść?

Z nastaniem nocy w celi zrobiło się zimno. Oczy gepardów świeciły w ciemności jak cztery żółte księżycy; te żółte, wpatrzone we mnie światełka znikwały jedynie na krótkie momenty potrzebne na mrugnięcie ślepiem. Oddałam mocz w moim kącie — jak zwierzę znaczące swoje terytorium. Na chwilę przestały mnie okrażać, nie przestając jednakże wydawać groźnych pomruków. Zaczęłam się bać. Może bym i zniosła ich kły i pazury, lecz myśl, że nigdy nie zobaczę już Isy ani naszej córki, była nie do wytrzymania. Co teraz robią? Czy śpią? A może Isa opowiada jej bajkę albo coś rysuje? Może myślą o mnie? Jeśli tak, to może spotkają się choć nasze myśli?

Musiałam się zdrzemnąć, bo ocknęłam się nagle, czując na głowie coś wilgotnego. W nozdrza uderzyła mnie zarazem obrzydliwa woń. Wrzasnęłam ze zgrozy, uświadomiwszy sobie raptem, że jeden z gepardów, ten większy, zlizuje mi z głowy krew. Gdy krzyknęłam, obnażył swoje wielkie zęby, ja zaś chwyciłam kość i z całej siły walnęłam go nią po grzbiecie. Skowycząc, uciekł do kąta.

Przegoniłam go tylko na krótko. Już po chwili oba zaczęły mnie znów okrażać. Staralam się je odstraszyć, wymachując kością i klnąc najgłośniej, jak mogłam. Próbowałam wydawać się większa, niż jestem, niewiele to jednak pomogło. Jeden z kotów gwałtownie rzucił się naprzód i pochwycając kość w zęby, wyrwał mi ją z ręki. Kiedy znów podeszły bliżej, nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu ze strachu, że mogą odgryźć mi dłoń.

Jeśli mnie zaatakują, spróbuję wydrapać im ślepie! myślałam gorączkowo.

I nagle przez kraty padł promień światła — ktoś musiał otworzyć drzwi i siedł teraz cicho korytarzem prowadzącym do mego więzienia. Spłoszone gepardy uciekły do kąta. Przybysz miał na sobie długą czarną szatę z kapturem; spostrzegłam również, że ma bose stopy — jakby starał się iść bezszelestnie. Czy to przyjaciel czy wróg? Chce poderżnąć mi gardło czy uwolnić?

Delikatna ręka odrzuciła kaptur, spod którego ku mojej radości wyłoniła się piękna twarz Ladli. Moja przyjaciółka wydobyła z sakwy dwa wielkie ochłapy mięsa, które rzuciła zwierzętom.

Gdy z warknięciem zaczęły je obwąchiwać, stanęła przy klatce, ja zaś podbiegłam do niej i chwyciliśmy się za ręce. Pogłaskała mnie po ramieniu, a widząc, że płacę, ucałowała w policzek.

— Mam mało czasu, siostrzyczko — szepnęła. — Muszę zaraz wracać.

— Słyszałaś może coś...

— O Isie?

— Ty wiesz?

Uśmiechnęła się mimo widocznego zdenerwowania.

— Umie patrzeć, Dżahanaro — odrzekła, ściskając mi rękę.

— Powinam ci była powiedzieć, ale...

Skwitowała to wzruszeniem ramion. Jej oczy okolone długimi rzęsami błyskawicznie obie-gły klatkę, by zatrzymać się na moim nagim ciele.

— Niegodziwiec! — mruknęła z furią. — Powinam go za to dźgnąć nożem w plecy! Po-wiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

Spraw, bym przestała cierpieć, pomyślałam, obudź mnie z tego koszmaru.

— Czy możesz przekazać coś Isie? — zapytałam głośno. — Jest w Allahabadzie razem z Ardżumand. Mieli się zatrzymać u jakiegoś właściciela stajni. Przekaż mu, że go kocham i że wkrótce się zobaczymy.

— Postaram się — powiedziała. — Myślę, że ten tchórz, oby go zżarła zaraza, nie ośmieli się uśmiercić cię publicznie. Wie, że ludzie zbyt cię kochają, by mógł sobie na to pozwolić, gdyby jednak zdarzył się wypadek... Może coś takiego sprokurować albo więzić cię w nieskończoność.

— Czy on naprawdę zamierza... — Wolałam nie kończyć zdania. Ladli kochała kiedyś Dare, Łzy, które nagle polały jej się z oczu, powiedziały mi wszystko. — Bądź silna — wyszeptałam. Sama byłam ciężko załamana, więc słowa te brzmiały pusto nawet w mych własnych uszach. — Bądź dzielna i proszę, uważaj na siebie.

— Ty też.

— Kocham cię, Ladli.

Ucałowała mnie w czoło i zniknęła. Zaczęłam się modlić o jej szczęśliwy powrót do kwate-ry, a potem podziękowałam Najwyższemu, że obdarzył mnie taką przyjaciółką. Była córką ubogiej kobiety, a okazała się bardziej lojalna, zręczniejsza i troskliwsza niż którykolwiek z potężnych no-bilów ojca. Błagałam na wszystkie świętości, aby Bóg zechciał uwolnić ją od Aurangzeba i po-zwolił nam znów być razem.

Najedzone gepardy zasnęły; mimo okropnego zimna ja również zamknęłam oczy i chyba też się zdrzemnęłam, a gdy w końcu zaświtał poranek, stwierdziłam ze zdumieniem, że dwa wielkie koty leżą zaledwie o mały krok ode mnie. Przytulone do siebie wyglądały jak żywe dzieła sztuki,

choć chyba tylko Isa potrafiłby stworzyć coś tak pięknego. Przyglądałam im się długą chwilę, przyrzekając sobie w duchu, że jeśli zdołam wyrwać się z rąk Aurangzeba, na pewno tu wrócę, żeby je uwolnić, bo i one u niego cierpią. Wcale nie chciały mnie pożreć, lecz cóż mogą począć zwierzęta, kiedy grozi im śmierć głodowa?

Niedługo potem zjawił się jakiś wojownik, który rzucił mi czyjąś znoszoną szatę. Ledwo zdążyłam ją przywdziać, gdy za kratami stanął Aurangzeb — wciąż jeszcze w zbroi — w towarzystwie czterech strażników. Otworzył klatkę i wszedł do środka, a widząc drżące koty, kopnął jednego w grzbiet.

— Bezużyteczne bestie! — Po tych słowach dał znak strażnikom, że mają mnie wyprowadzić.

Chętnie ruszyłam do wyjścia, mimo to brutalnie chwycili mnie za ramiona, a któryś z nich zaczął szczypać mnie w pośladki. Całą siłą woli nakazałam sobie milczeć. Kiedy w stajniach posadzili mnie na konia, Aurangzeb, dosiadłszy białego ogiera, syknął przez zęby:

— Będziesz patrzeć na jego śmierć, ty grzesznico, a jeśli choć raz odwrócisz oczy, każę ci pokrajać jego głowę.

— On ciebie nigdy nie skrzywdził...

Z takim rozmachem uderzył mnie w twarz, że omal nie spadłam z siodła. Z wargi pociekła mi krew.

— To heretyk i zdrajca! I tak też będzie traktowany!

Zamiast wytrzeć podbródek, przygryzłam wargę, żeby krew pociekła jeszcze mocniej — niech to wszyscy widzą. Aurangzeb wysforował się naprzód, rzuciwszy wodze mej klaczy jednemu ze swych brutalni. Opuściwszy Czerwony Fort, znaleźliśmy się na najszerszej ulicy Agry. Panowało tu straszne zamieszanie. Setki ludzi wrzeszczały na siebie, tu i ówdzie wybuchały bójki, raz po raz ktoś padał, by już się nie podnieść. Wojsko próbowało utrzymać porządek, lecz nie odnosiło to żadnego skutku. Hindusi krzyczeli, że dzieje się niesprawiedliwość, muzułmanie skandowali imię Aurangzeba.

Na szerokim skrzyżowaniu ulic, w samym centrum owego tumultu, zobaczyłam Darę. Razem ze swym synem Sulajmanem siedział na bojowym, pokrytym bliznami słoni. Obaj półnaczy więźniowie — pozostawiono im tylko przepaski biodrowe — mieli skępowane ręce, a kilkunastu gapiów obrzucało ich zgniłymi warzywami. Jednakże tylko ta grupka domagała się śmierci Dary. Większość obecnych stanowili bowiem Hindusi, którzy stojąc przed obnażonymi mieczami wojowników nowego cesarza, błagali o życie dla swego księcia, podczas gdy ich bardziej krewcy rodacy rzucali się na oprawców, nie pozwalając im go poniżyć. Sam Dara wołał do swoich obroń-

ców, by zaniechali przemocy. Będzie mu ciężiej umierać, jeśli ostatnim jego widokiem stanie się krwawa masakra. Nawet w obliczu okrutnej śmierci nie przestał zabiegać o pokój!

— Daro! — krzyknęłam z rozpaczą.

Odwrócił się w moją stronę i wtedy spostrzegłam, że twarz ma spuchniętą i pokaleczoną. Chciał mi odpowiedzieć, lecz widząc nadlatujący melon, rzucił się naprzód, by osłonić syna. Sulajman zaczął zawodzić, co doprowadziło mnie już do szaleństwa. Ten chłopiec miał dopiero trzynaście lat i nie był niczemu winien!

— Uwolnij to dziecko! — wrzasnęłam, nie bacząc już na nic.

Aurangzeb obrócił się w siodle i dał jakiś znak jadącemu obok mnie człowiekowi, ten zaś, rechocząc z ukontentowaniem, wymierzył mi w szyję cios kantem dłoni. Straciłam oddech. Szyja piekła mnie żywym ogniem. Gdy wreszcie po chwili zdołałam zaczerpnąć powietrza, ten zbir uderzył mnie w twarz.

Chociaż podobnie jak Dara pragnęłam pokoju wśród naszych poddanych, w owej chwili, niech mi to Bóg wybaczy, opanowały mnie mordercze myśli. Zapragnęłam — jakże gorąco! — by te ogromne rzesze Hindusów zbuntowały się przeciwko memu bratu! Życzyłam śmierci naszym prześladowcom! Niechby ich trupy włóczono w hańbie po ulicach Agry!

Nic takiego oczywiście się nie stało. W asyście tysięcy muzułmańskich wojowników Aurangzeba, wiwatujących na jego cześć, słonia niosącego więźniów zaprowadzono na plac, gdzie na drewnianej, wzniesionej naprędce platformie stał zakrwawiony pieńek, a obok niego potężny niewolnik z ciężkim mieczem w ręku. Darę zwleczono ze słonia i zaciągnięto pod pomost. Ze łzami w oczach skinął mi głową, a potem głośnym okrzykiem pożegnał syna.

Świat zawirował mi przed oczami.

— Mój brat, książę Dara, winien jest herezji — zawołał Aurangzeb — za co zgodnie z prawem czeka go śmierć!

Zeskoczyłam z konia i roztrącając stojących mi na drodze wojowników, puściłam się pędem w stronę Dary.

— Dżahanaro — wyszeptał, gdy zarzuciłam mu ręce na szyję.

— Idź do Boga — zdążyłam tylko odszepnąć, zanim mnie dopadli ludzie Aurangzeba. Rzucili mnie na ziemię, a jeden boleśnie kopnął mnie w udo. Wzburzyło to nawet muzułmanów, cieszyłam się bowiem powszechnym szacunkiem i takie traktowanie nikomu się nie podobało. Rozległy się gniewne pomruki i wołania, żeby mnie uwolnić. Aurangzeb, wyczuwając zmianę nastroju, zsiadł z konia i podniósł mnie z ziemi.

— Błagam cię, okaż mi łaskę! — zawołałam z płaczem, ale on odwrócił się ode mnie i skinął na swoich ludzi. Ci natychmiast zaciągnęli Darę na pomost i ułożyli mu głowę na pieńku. Z

drgającymi ustami spojrział w stronę Mekki. Wstrząsana gwałtownym szlochem modliłam się razem z nim, z całej duszy błagając Boga o litość. Pozwól mu, o Miłosierny, przejść szybko przez bramy Raju.

Nie widziałam wzniesionego miecza. Przed oczami przepływały mi obrazy z naszego wspólnego dzieciństwa. Dara i ja na kucykach. Dara ubrany w szaty matki — ja go tak przebrałam — z jej klejnotami na szyi. Nasze zabawy w rzece. Wspólne łapanie świetlików. Zawsze był dla mnie miły. Nigdy nie przestał mnie kochać.

Zamknęłam oczy. Usłyszałam głuchy łoskot, a potem ryki i lamenty tłumu. Drugi taki sam odgłos powiedział mi, że mój bratanek również pożegnał się z życiem.

Upadłam na kolana, płacząc tak, jak potrafi to tylko dorosły. Mój brat był dla mnie światłem, a teraz gdy go zabrakło, świat ogarnęła ciemność.

Towarzyszyła mi ona krok w krok.

Kiedy trochę później wepchnięto mnie do celi ojca, zobaczyłam, że leży na końskiej derce bez żadnego przykrycia i że pewnie ma dreszcze, bo owinął się szczelnie tuniką. Zdumiewające, że jeszcze żyje, pomyślałam. Cud? O, nie! Tego dnia przestałam wierzyć w cuda. Ojciec spał. Gdy opadłam na kamienną posadzkę i ostrożnie przysunęłam się do niego, wybełkotał coś niezrozumiale. Wyglądał jak zgrzybiały starzec.

Rozejrzałam się po naszej ośmiokątnej celi. Od ściany do ściany miała może ze dwanaście kroków. Poza derką ojca i nocnikiem nie było tu nic więcej. Siedem spośród ośmiu okien zabito deskami, w ósme, to, przez które widać było teraz lśniące w południowym słońcu mauzoleum, wprawiono żelazne pręty.

Widok ten przypomniiał mi Ise; zaczęłam znów myśleć o tym, gdzie jest i co teraz robi. Bez niego i Ardżumand czułam się tak niepełna, jakby mi wydarto najlepszą część mej istoty. Jakże za nimi tęskniłam! Oddałabym wszystko, byle tylko usłyszeć śmiech mojej córki i poczuć na dłoni dłoń ukochanego. Za tę chwilę szczęścia gotowa byłabym znieść najgorsze bicie, choć nadal piekła mnie rozcięta warga, a w udzie pulsował dotkliwy ból. Ile czasu minie, nim znów się spotkamy? Tydzień? Rok? A może nigdy ich już nie zobaczę?

Zalana gorzkimi łzami przytuliłam się do ojca — tak było nam cieplej. Kiedy wreszcie otworzył oczy i spostrzegł mą rozpacz, spytał z konsternacją:

— Co ci jest, moje dziecko? Co się stało?

Łamiącym się głosem opowiedziałam mu wszystko, poczynając od bitwy, kończąc na egzekucji. Chyba nie mógł już płakać, bo tylko objął mnie ciaśniej.

— Jakąż poniosłem klęskę... — wyszeptał po chwili. — Robiłem wszystko, aby stworzyć i utrzymać pokój, a teraz... teraz mój syn zabił własnego brata.

— Dara nie cierpiał — wyjąkałam. Zmarszczki na twarzy ojca stały się jeszcze głębsze.

— Jakaż to strata... dla nas i całego Hindustanu. Tylko on był zdolny zjednoczyć dwa nasze ludy.

— Tego właśnie pragnął. Jak niczego w świecie. Ojciec zaczął kaszleć, a potem zapytał szeptem:

— Co z Isą i Ardżumand?

— Uciekli na południe. Do Allahabadu. Zapadła długa cisza.

— Tęsknię za twoją matką — jęknął wreszcie ojciec. — Tak bardzo chcę ją zobaczyć.

— Zobaczysz. Czeka na ciebie w Raju. Razem z Darą.

— Myślisz, że mógłbym już teraz pójść do nich? Wiedziałam, że tego pragnie, ale pokręciłam głową.

— Matka nie byłaby zadowolona. Powiedziała ci pewnie, że jesteś bardziej potrzebny imperium niż ona tobie.

— Och, moje dziecko, cóż może starzec zamknięty w klatce jak mała?

Przegoniłam muchę, która rozsiadła mu się na głowie. Bez turbanu wyglądał tak dziwnie. Rzadkie loczki, które jeszcze mu pozostały, przybrały tę samą żelazistą barwę co i jego broda. Złapałam się na tym, że przyglądałam się owym oznakom starości, jakby to nie był mój ojciec, tylko ktoś nieznajomy, napotkany w tłumie.

— Pytasz, co może zrobić? Pomóc swojej córce stać się lepszym, uczciwszym człowiekiem.

— Do tego niepotrzebna jej niczyja pomoc.

Uściskałam ojca i poprosiłam go, żeby się przespał. Sama również musiałam się zdrzemnąć, bo gdy otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą Aurangzeba i Ladli, a za nimi Chondamira i jakąś młodą kobietę. Mój brat ubrany był w szaty koloru pomarańczy, Ladli zaś, o dziwo, miała na sobie nie sari, ale żółtą muzułmańską suknię. Chondamir, żarłocznie ogryzający nóżkę pieczonej kury, zrobił się już tak otyły, że jego skórzany kaftan, jedwabna koszula i obszerne jedwabne pantaloney lada chwila groziły pęknięciem. Jego towarzyszka, śliczna jak motylek dziewczyna lat może czternaście, nosiła barwną przezroczystą suknię.

— Przyniosłem wam prezent — oświadczył Aurangzeb, kładąc na podłodze głowę Dary. Nasz starszy brat miał otwarte oczy, a na twarzy wyraz przerażenia. Na ten widok omal nie zemdlałam.

Ojciec próbował się podnieść, był jednak na to za słaby.

— Czemu to zrobiłeś? — zaszlochał. — Mogłeś go uwięzić, skazać na wygnanie, pozwolić mu uciec do Persji!

— Tylko taki kiep jak ty pozwoliłby wrogowi uciec. Ja nie jestem głupcem.

— Ty... ty nie możesz być moim synem. Jesteś tchórzem i nikczemnikiem, a ani twoja matka, ani ja nie mieliśmy tego we krwi.

Aurangzeb zatrzęsł się z furii.

— Wiedz, stary głupcze — syknął, unikając wzroku ojca

— że nigdy nie opuścisz tej celi. Nie, nie zamierzam cię zabić, islam bowiem zakazuje ojcobójstwa, ale sczeźniesz tutaj, patrząc na jej grób.

Choć dla ojca musiały to być straszne słowa, udało mu się usiąść na posłaniu.

— Wolę szczeznąć, niż patrzeć, jak niszczysz imperium.

Aurangzeb takim gestem wzruszył ramionami, jakby opinie ojca liczyły się dla niego tyle co kurz, po czym spytał, patrząc mi w oczy:

— Czy wiesz, grzesznico, że twoja dawna przyjaciółka przyjęła prawdziwą wiarę?

Mój Boże! Ladli, musiałaś aż tak się poświęcić? Tak bardzo przecież kochałaś swych bogów!

— Popeliła błąd — powiedziałam głośno, starając się nie patrzeć w martwą twarz Dary. Nie mogłam teraz o nim myśleć. To by mnie załamało.

— Nie obchodzi mnie twoje zdanie — ostro odparła Ladli.

— Nie jesteś warta nawet nocnika Alamgira.

Chondamir odrzucił ogryzioną kość i zarechotał obrzydliwym śmiechem.

— Kiedyś może była coś warta, ale teraz spójrzcie na nią! Żadna to przyjemność mieć ją teraz w łożu!

Mimo swych trzydziestu jeden lat wciąż jeszcze uważałam się za dość urodziwą, toteż jego słowa ukłuły mnie do żywego. Może dlatego, że zniosłam już zbyt wiele bólu i poniżenia. Miarka się przebrała.

— Doprawdy, Chondamirze? — spytałam zjadliwie, nie bacząc na ojca, który próbował wziąć mnie w obronę. — Ciekawe, co ta twoja zabaweczka myśli o owej gałązce, którą ty szumnie nazywasz męskością? Ale może nigdy jej nie oglądała przez to ogromne brzuszysko?

Zamierzył się na mnie, lecz o dziwo, powstrzymał go Aurangzeb.

— Później się z nią rozprawisz. Spodziewam się tu wizyty kilku potężnych nobilów i nie chcę, aby myśleli, że mój ojciec i siostra są źle traktowani.

— Lecz mój panie, jako jej mąż...

— Powiedziałem: później! — powtórzył Aurangzeb. — Za miesiąc możesz ją sobie sprzedać do burdelu albo zostawić nagą na pustyni, ale teraz masz jej nie dotykać!

— Do burdelu? — parsknął z uciechą Chondamir, wycierając w kaftan swe tłuste paluchy.
— Niewiele tam za nią dadzą.

Aurangzeb roześmiał się głośno. Wstrętny niegodziwiec! Od lat nie słyszałam jego śmiechu. Ogarnęła mnie taka furia, że na chwilę stłumiła rozpacz.

— Będę się za ciebie modlić — powiedziałam, wstając — bo bardzo ci to potrzebne. Zabiłeś własnego brata, przez co nigdy, nigdy nie przekroczysz świętych progów Raju.

— Lepiej módl się za siebie, grzesznico. Nie pobędziesz już długo na tym świecie.

Przysunęłam się do niego tak blisko, że dzieliła nas tylko szerokość dłoni, i odparłam, patrząc mu w twarz:

— Jeśli nagle umrę albo ojcu stanie się coś złego, wiedz, że znajdziesz w swoim łożu kobrę. Od jej jadu zginiesz straszną śmiercią.

— Kobrę? Kłamiesz! — Cofnął się jednak o krok.

— Myślisz, że nie mam przyjaciół w twoim otoczeniu? Takich, którzy na moje skinienie zabiliby cię z rozkoszą? Jeśli tak myślisz, to jesteś dzieckiem, głupim, bezrozumnym dzieckiem! Od dawna wiedziałam, że nadejdzie taki dzień jak dzisiejszy, niech więc ci się nie zdaje, że się przed tobą nie zabezpieczyłam! Nie jestem aż taka głupia! — Z nagłym grymasem strachu na twarzy rozejrzał się dookoła, jakby już szukał zabójczego gada, mnie zaś teraz dopiero przypomniało się pewne zdarzenie z dzieciństwa. Widzieliśmy oboje, jak ukąszony przez kobrę ogrodnik, oszalały z bólu i strachu, chwycił maczetę i odrąbał sobie zakażoną stopę. Mnie ta okropność wypadła z pamięci, ale jemu pozostała już na całe życie. — Jeśli chcesz się przekonać, czy mówię prawdę — dodałam zjadliwie — proszę bardzo, możesz mnie zabić, ale jutro będzie już po tobie!

— Zrób to, mój panie, zabij tę sukę! — warknął Chondamir.

— Milczeć! — ryknął Aurangzeb. Oddychając ciężko, jął pocierać sobie skronie takim gestem, jakby nagle w głowie zaroilo mu się od szerszeni. — Skoro twierdzisz, że nasłałaś na mnie skrytobójcę, czemu nie każesz zabić mnie już jutro? Wszak wraz z moją śmiercią skończyłyby się wszystkie twe kłopoty?

— Czemu? Bo w przeciwieństwie do ciebie nie jestem morderczynią! Jeśli po mojej śmierci zrobi to ktoś inny, nie mnie obciąży ten grzech. Ja będę w Raju popijać wino razem z Darą i naszą matką.

— Pozwól mi ją sprzedać! — zawołał Chondamir. — Lub przynajmniej odciąć jej język!

Wyraz przerażenia w oczach Aurangzeba sprawił, że nagle doznałam upajającego poczucia swej siły. Jakże nienawidziłam tych dwóch nikczemników! Dla zaspokojenia swoich nędznych pragnień zniszczyliby wszystko, co szlachetne w świecie. Obu należała się nauczka.

— Czy wiesz, Chondamirze — syknęłam — że Ardzumand nie jest twoim dzieckiem? — Widząc z satysfakcją, że zrobił się biały na gębie, dodałam bezlitośnie: — Chyba nie myślałeś, że tą swoją przywiedłą gałązką potrafisz kiedykolwiek wysiać żywe ziarno?

Wrzasnąwszy dziko, z taką szybkością wyciął mi policzek, że nie miałam czasu się uchylić. Upadłam z jeszcze głębiej rozciętą wargą. Aurangzeb zaklął i odciągnął go ode mnie, ale ja jeszcze nie skończyłam.

— Ależ śmiałam się z ciebie i twoich podrygów! — krzyknęłam wściekle, spluwając krwią.
— Gdy przyłaziłeś do mnie, lubiłam sobie wyobrazać, że mam okoliczność z capem!

— Zamilcz, kobieto, bo jak nie, to... — zaczął Aurangzeb.

— To co? Zamordujesz mnie publicznie tak jak Darę? Przysparzając sobie nowych wrogów, którzy z przyjemnością zatopiliby ostrza w to kamienne miejsce zwane przez ciebie sercem? O nie, nic mi nie zrobisz! Pamiętaj o kobreze!

Jego pięść trafiła mnie w żołądek. Z bólu ośleplam i straciłam mowę. Kiedy zgięta w pałąk walczyłam o oddech, mój brat plunął na mnie i wyszedł z celi, wypchnąwszy z niej najpierw swoich towarzyszy. Gdy dobiegł nas odgłos zasuwanych rygli, ojciec z jękiem podczołgał się do mnie.

— Odpocznij, moje dziecko...

Koran się myli, mówiąc, że piekło jest dla umarłych, pomyślałam. Wciąż jeszcze żyję, a przecież znajduję się w jego czeluściach.

ROZDZIAŁ 18

Życie jak kłątwa

Dla człowieka zamkniętego w klatce czas przestaje być czasem. Zaczyna przypominać długotrwałą wyniszczającą chorobę.

W pierwszych dniach pobytu w Ośmiokątnej Wieży towarzyszyło mi stale przytłaczające poczucie, że to koniec wszystkiego, że mój los się dopełnił. Sypiałam tak długo, jak tylko się dało, często aż do momentu, gdy do celi wchodził strażnicy z obiadem. Nie byłam w stanie zdobyć się nawet na taki wysiłek, jak czesanie czy mycie. Godzinami wystawałam przy oknie z widokiem na Tadź Mahal, myśląc o Isie i naszej córce, rozpamiętując każde związane z nimi wspomnienie, każdą rozmowę, którą potrafiłam przywołać na pamięć. Wciąż rozpaczałam też nad tym, czego nie zrobiłam: nad chwilami, w których byłam zbyt zajęta, by poświęcić je Ardżumand, albo zanadto zmęczona, żeby potajemnie odwiedzić Isę. Przeklinałam się teraz za swe karygodne błędy.

Zawsze dotąd byłam bardzo czynna, lecz więzienie działało na mnie jak upał: pozbawiło mnie całej energii. Stałam się słabą, bezwolną istotą i gdyby nie troska o ojca, pewnie bym uschła niczym zwiędły liść. Ale on był chory i wymagał mojej opieki, skoncentrowałam więc na nim te resztki woli, które jeszcze mi pozostały. Karmiłam go zupą, myłam każdego wieczoru, sprzątałam jego nieczystości. No i stopniowo, choć tak pomалу, że niemal niedostrzegalnie, zaczęło mu się poprawiać. Nie liczyłam na to, że kiedykolwiek wróci mu dawna kondycja, wydawał się jednak silniejszy, przybyło mu też trochę ciała. Nadal był bardzo chudy, lecz przynajmniej nie wyglądał już jak kościotrup.

Mniej więcej po dwóch tygodniach, licząc od dnia uwięzienia, odwiedził nas znów Aurangzeb. Z drgającymi nerwowo ustami rozwiązał przyniesiony worek i wytrząsnął z niego martwą kobrę. Gestem pełnym strachu i odrazy kopnął ją w moją stronę, krzycząc, że ktoś mu włożył ją do łóżka. Była żywa! Nie mogła go ukąsić, bo usunięto jej zęby jadowe, lecz gdy obudziły go krzyki Ladli, jeszcze o tym nie wiedział. Kiedy na jego wrzaski do komnaty wbiegli strażnicy, kazał im zabić gada. Zdumiała mnie ta opowieść, mimo to udałam tak zadowoloną, jakbym to ja była sprawczynią tego incydentu. Szybko też doszłam do wniosku, że musiała to zrobić Ladli — by Aurangzeb uwierzył w me groźby i przestał na mnie nastawać.

Cel swój osiągnęła. Pomachał przede mną mieczem, lecz wyraźnie bał się mnie zabić. Jego obłędny strach przed wężą mi przybrał już takie rozmiary, że kazał ściąć wszystkich swoich strażników, a w ich miejsce wziął sobie nowych. Niewiele to jednak pomogło. Jeśli nawet bardziej ufał

tym ludziom niż ich poprzednikom, to nie do tego stopnia, żeby mnie zamordować. Po prostu święcie uwierzył, że jeśli to zrobi, jego też czeka śmierć.

Może aby znaleźć się z dala ode mnie, a może dla zaspokojenia swej ciągle nienasyconej żądzы krwi, wkrótce potem opuścił Agrę i pomaszerował na północny zachód — zaatakować radżputów. Zamieszkiwali oni pustynię Thar, dalekie pustkowia, które jako królestwo Radżputany od lat pozostawało we władaniu hinduskich rodów rycerskich.

Radżputowie podobnie jak Dekanńczycy walczyli z nami o niepodległość, a należeli oni do najtwardszych wojowników Hindustanu. Nosili szkarłatne szaty, wierzyli bowiem, że czerwień to kolor świętości, nigdy też nie uciekali przed nieprzyjaciółmi, lecz walczyli z nimi do śmierci. W obliczu grożącej im klęski połykali opium i szli do ataku. Ich żony i dzieci odprawiały wtedy rytuał dżauharu. Wolały spalić się żywcem, niż dać się pojmać w niewolę i zhańbić. Aurangzeb wziął na tę wyprawę dwadzieścia tysięcy ludzi; trzon jego armii miał się rozprawić z Persami, którzy stanowili dla nas nieustanną i stale rosnącą groźbę. Po miesiącu doszły nas wieści o zwycięstwach mojego brata. Stracił wprawdzie czwartą część swych ludzi, zrównał jednak z ziemią kilka radżpuckich warowni, a z głów pobitych wrogów usypał istne góry. Prochy radżpuckich kobiet i dzieci pokryły czernią pustynne wydmy.

Czasami im zazdrościłam. O ileż łatwiej byłoby umrzeć, nawet tak straszną śmiercią, niż żyć w tej okropnej klatce. Tylko że śmierć nie zwróciłaby mi Isy ani naszej córki, musiałam więc żyć, choć traktowałam to życie jak karę za swoje grzechy.

Ojciec robił wszystko co możliwe, żeby mnie podnieść na duchu. Zachował na szczęście żywy i bystry umysł, prowadziliśmy więc długie rozmowy, przekazując sobie nawzajem wszystkie swe tajemnice. Powiedziałam mu nawet o Ladli.

Pewnego popołudnia, gdy stałam jak posąg przy okratowanym oknie ze wzrokiem utkwionym w Tadż Mahal, zauważył cicho:

— Z początku się bałam, że Aurangzeb zburzy mauzoleum, ale teraz już nie. Nasi ludzie odwróciliby się od niego.

Nic na to nie powiedziałam. Była pora monsunu i za oknem szalała burza, ale ja rozsunałam uszyte przez siebie zasłony, pozwalając strumieniom deszczu siec się po twarzy. Zsunęłam nawet górę sukni, żeby woda mogła spływać mi po szyi i ramionach. Przypominało mi to lepsze czasy.

— Dżahanaro?

Odwróciłam się powoli w stronę ojca, prześlizgując się wzrokiem po celi. W niczym nie przypominała już tej nędznej nory, w której nas uwięziono. Mieliśmy tu teraz dywany, poduszki, zwierciadła, stojaki pełne ubrań, wielką misę do mycia, świece w lichtarzach, no i mnóstwo świeżego jedzenia. Na ścianach wisiały malowidła i gobeliny, a na wbitym w drzwi gwoździu nawet

portret matki. Wszystkie te rzeczy ofiarowali nam wpływowi nobilowie. Aurangzeb był na tyle mądry, żeby zdać sobie sprawę, iż nie może odmawiać nam pewnych wygód. Niemal codziennie odwiedzali nas przecież wielcy arystokraci, którzy nie byłiby zadowoleni, gdyby trzymano nas w złych warunkach. Ci ludzie mogli pogodzić się z faktem, że syn pozbawił tronu ojca, lecz z pewnością podnieśliby protest, gdyby go zaczął dręczyć.

— Słyszysz mnie, Dżahanaro?

— Tak — wymamrotałam, mrugając oczami jak człowiek wyrwany ze snu.

— Opuściłaś mnie, moje dziecko. Dokąd cię zaniósł?

Donikąd, pomyślałam. Stąd nie można uciec. Aby jedna uchylić się od odpowiedzi i nie zdradzić swoich desperackich myśli, postanowiłam skierować uwagę ojca gdzie indziej.

— Powiedz, co myślisz o naszym imperium. Uważasz, że jesteśmy silni?

Zaczął kaszleć, a potem odrzekł:

— Jak dwunogi pies. Z tego co wiadomo mi o tamtej bitwie, wiesz której, Dara stracił wtedy dwadzieścia tysięcy ludzi, a Aurangzeb dwadzieścia pięć. Czterdzieści pięć tysięcy wojowników postradało życie, nie ubiwszy jednego Persa!

— Myślisz, że nas znów zaatakują?

— A czy zgraja szakali poniecha ранnego jelenia?

Pokiwałam głową, ale tak naprawdę los imperium dziwnie mi zubożył. Brzemię jego nieszczęść stało się dla mnie zbyt ciężkie. Nie chciałam już dłużej go dźwigać.

— Ojczy?

— Tak, moje dziecko?

— Czy kiedykolwiek miałeś już dosyć rządzenia? Obowiązków władcy?

Spróbował usiąść, podłożyłam mu zatem poduszkę pod plecy, zdjęłam rozluźniony jedwabny turban i na nowo owinęłam głowę.

— Dopóki żyła twoja matka, nie czułem się tym zmęczony, lecz gdy odeszła do Raju, wszystkie dworskie intrygi i dramaty wydały mi się nagle miałkie i nieważne. No ale przecież to ona, jak sama mi powiedziałaś, była prawdziwym władcą. Już ci mówiłem, że byłaby lepszym cesarzem niż ja. Ty zresztą też.

Z roztargnieniem wyciągnęłam z sukni luźną nitkę — jakiś szew zaczynał się pruć.

— Mocno w to wątpię.

— Dlaczego?

— Bo prawdziwy przywódca, dla którego najważniejsze jest dobro poddanych, już by dawno zabił Aurangzeba.

— Nie zrobiłaś tego, bo nie jesteś morderczynią. Zabicie Aurangzeba mogłoby ocalić imperium, ale ciebie by zniszczyło.

Nalałam ojcu chińskiej herbaty, którą bardzo lubił.

— Co on z nami zrobi?

— Moim zdaniem nic. Będzie mnie tu trzymał do śmierci. Ale ja nie zamierzam umierać, dopóki nie pomogę ci stąd uciec. Dopiero gdy połączysz się z Isą...

— Ale przecież ja nie wiem, gdzie oni są ani nawet czy żyją! — Głos załamał mi się po tych słowach, a po całym ciele rozlało się znajome uczucie grozy. Zawsze tak się czułam, gdy przychodziło mi na myśl, że nie ma ich już wśród żywych. — A ja... ja nie potrafię bez nich istnieć...

Ojciec gestem nakazał mi uklęknąć obok siebie, tak że poczułam ciepło jego ciała.

— Uspokój się, oni żyją. Kiedy będziesz już wolna, zabierz ich gdzieś daleko. Jedź z nimi do Waranasi i zbuduj tam sobie całkiem nowe życie.

— Nigdy mi się nie uda wyrwać z rąk Aurangzeba. Ojciec znów zaczął kaszleć, a potem nagle się uśmiechnął.

— Czyż miska zupy potrafi wchłonąć ocean?

— Wcale nie czuję się jak ocean. Czuję, że z wolna popadam w obłęd.

— Cicho, córeczko. — Uspokajająco pogładził mnie po czole. — Coś wymyślimy. Bóg na szczęście ofiarował nam na to mnóstwo czasu.

I tak mijały miesiące. Choć nadal trawiło mnie przygnębienie, przed ojcem starałam się udawać silną, zwłaszcza że przecież widziałam, jak bardzo pragnie mi pomóc. A cierpieć chyba tak samo jak ja. Myśląc, że może kwiaty sprawią mu przyjemność, poprosiłam któregoś z nobilów o trochę nasion i skrzynkę ziemi. Spełnił mą prośbę z nawiązką, przynosząc kilka porcelanowych waz z ziemią i do tego cebulki irysów i tulipanów. Zasadziłam je wspólnie z ojcem i wkrótce zielone kwiatowe pędy zaczęły pięć się ku słońcu.

Po paru dniach dostaliśmy drugi prezent. Tajemniczy posłaniec doręczył nam srebrną klatkę z młodziutkim sokołem wędrownym. Wśród świeżych liści wyściełających dno klatki znalazłam bilet z napisem: „Nie zapominaj ćwiczyć się w przekleństwach”. Roześmiałam się głośno — po raz pierwszy od śmierci Dary. Słodka Ladli, pomyślałam, drąc bilecik na drobne kawałki. Jakże mi brakuje twojego ciętego języczka!

Sokołowi nadaliśmy imię Akbar po moim sławnym pradziadku, który jako pierwszy zaczął traktować hindusów tak samo jak muzułmanów. Uszyłam skórzaną rękawicę, żeby ptak mógł nam siadać na dłoni. Wkrótce nabrał do nas zaufania, zdawało się nawet, że rozumie każde nasze słowo.

W Czerwonym Forcie roiło się wprost od myszy, a że nasza komnata cela nie była wyjątkiem, Akbar z ogromnym upodobaniem polował na te szkodniki. Strażnicy, którzy w gruncie rze-

czy byli dobrymi ludźmi, często wraz z nami przyglądali się jego wyczynom, oklaskując bojowego ptaka, gdy ten błyskawicznie dopadał zdobyczy. Czasami był to nawet zabłąkany szczur. Akbar bardzo szybko wyrósł z klatki, połamaliśmy ją więc na kawałki, a srebro rzuciliśmy biedakom zgromadzonym pod murem Czerwonego Fortu. Nasz skrzydlaty przyjaciel nocował odtąd na krokwi.

Czas mijał strasznie powoli. O jego upływie mówiły nam tylko zmiany pór roku, kwitnienie naszych kwiatów i coraz to większa rozpiętość skrzydeł Akbara. Ojcu przybyło sił — mógł już teraz odbywać krótkie spacerunki po celi. Często stawaliśmy razem przy oknie i patrząc na Tadż Mahal, podziwialiśmy różne jego oblicza. O świcie ściany mauzoleum nabierały takiego odcienia, jakby ktoś je pociągnął jasnoblękitną farbą. Wczesnym popołudniem lśniły bielą jaśniejszą od kości słoniowej. Tak było do zachodu słońca. O zmierzchu marmurowa kopuła zaczynała jarzyć się złociście, a gdy słońce opadało za horyzont, złoty blask ustępował miejsca czerwieni.

Te cudowne widoki często wyciskały mi łzy z oczu, przywodziły bowiem na pamięć mych najdroższych, wywołując obezwładniającą tęsknotę. Ojciec rzadko płakał, popadał jednak w coś w rodzaju głębokiego transu, jaki nawiedza ludzi podczas medytacji. Stał nieruchomo przed oknem i bez mrugnięcia powieką wpatrywał się w grobowiec matki, nie bacząc na muchy siadające mu na twarzy ani głos muezinów nawołujących do modlitw.

Pewnego dnia, gdy wyjątkowo dotkliwie dokuczało nam uwięzienie, postanowiliśmy uwolnić naszego sokoła. On przecież także cierpi w tym zamknięciu. Czyż mamy prawo go dręczyć? Podjąwszy ową decyzję, ojciec wziął ptaka na rękę i wsunął ją między pręty. Kiedy sokół znalazł się na zewnątrz, powiedzieliśmy mu „do widzenia” i ojciec potrząsnął pięścią. Ptak zerwał się do lotu i poszybował za rzekę, gdzie zataczając coraz mniejsze kręgi, jął wzbijać się wyżej i wyżej. W końcu dał nurka w chmury, jakby chciał wzlecieć do nieba, by przekazać nasze pozdrowienia matce.

Nie zamierzał nas jednak opuścić. Jakież było moje zdziwienie i radość, kiedy następnego ranka zobaczyłam go znów na krokwi. Gdy włożywszy rękawicę, wyciągnęłam do niego rękę, jął z takim zadowoleniem mościć się na mej pięści, że aż zdrętwiało mi ramię. Poprosiłam potem strażników, by przynieśli mu coś do jedzenia, a gdy powrócili z żywym szcurem, wszyscy czworo podziwialiśmy szybkość, z jaką nasz ulubieniec upolował swoją ofiarę.

Patrząc na jego łowieckie wyczyny, często myślałam o Ladli. Ona tyle dla mnie zrobiła przez te lata naszej przyjaźni, a ja? Co ja zrobiłam dla niej? Nic dobrego. Przeze mnie nie ma nawet dziecka i żyje z człowiekiem, który budzi w niej tylko pogardę. Musi czuć się okropnie, towarzysząc mu w ciągłych kampaniach wojennych to przeciw Dekañczykom, to znów przeciw Persom. Jak wytrzymuje to życie w podszytych wiatrem namiotach?

Słyszeliśmy wiele opowieści wojennych, gdyż przez cały pobyt w Ośmiokątnej Wieży toczyły się zacięte walki. Czasami widzieliśmy z okna, jak nasi wojownicy wypływają barkami na południe przy wtórze rogów i gromkich wiwatów, a po paru miesiącach wracają w znacznie uszczuplonej liczbie — bez fanfar i witających ich tłumów.

Odwiedzający nas nobilowie przynosili wieści o wybuchających w Agrze niepokojach. Choć Aurangzeba nie było tu od miesięcy, jego władza i zarządzenia dawały się ludziom we znaki. Dowiedzieliśmy się na przykład, że podwyższył podatki, aby pokryć koszty swych kampanii. Na domiar złego jego ludzie rekwirowali ziarno zarówno bogatym, jak biednym, bo trzeba było karmić tysiące bojowych słoni. Nic dziwnego, że wywoływało to protesty, czego skutkiem były liczne demonstracje. Na każdym rogu roiło się też od żebraczek — wdów po poległych żołnierzach. Dowiedzieliśmy się również, że mimo podwyżki podatków skarbiec państwa świeci pustkami.

Aurangzeb nigdy nie popierał sztuk pięknych ani artystów, przeciwnie, lubił z nich szydzić; teraz ich sytuacja jeszcze się pogorszyła, toteż wielu twórców, jak również światłych dworaków opuściło Agrę, przenosząc się w bardziej przyjazne rejony. Mój brat zupełnie się tym nie przejmował, lecz nobilowie sarkali. Sława Agry jako wielkiego ośrodka nauki i sztuki, którego tworzeniu ojciec i Dara poświęcili tyle wysiłku, rozwiała się teraz jak dym.

Muszę wyznać ze skruchą, że w miarę jak mijały miesiące i lata, narastające bolączki imperium przestawały mnie obchodzić. Wszystkie moje myśli zaprzętał los mych najdroższych. Ardżumand dorasta, staje się kobietą — ale jaką? Nigdy nie myślałam o niej jak o martwej — nie zniosłabym tego. Już samo to, że nie uczestniczę w jej dorastaniu, było dla mnie męką. Żałowałam tych pytań, których nie mogłam jej zadać ani ona mnie, i tych rozmów, które nigdy już się nie odbędą...

A Isa... Jakże mi go brakowało! Miałam wrażenie, że wieki minęły od chwili, gdy po raz ostatni dotykał mej twarzy. Mimo że wciąż się starałam odtwarzać w pamięci każdą z naszych rozmów, coraz trudniej mi było przypomnieć sobie brzmienie jego głosu — i to odbierało mi sen. Nie miałam nawet jego portretu i zaczynałam się lękać, że wkrótce zapomnę, jak wygląda, że za miesiąc czy dwa nie potrafię już sobie wyobrazić jego wąskiej twarzy ani tego krzywego, lecz jakże ciepłego uśmiechu. Napawało mnie to przerażeniem.

Opowiadano mi kiedyś o człowieku, który po latach zażywania opium został go pozbawiony i wolał się wtedy utopić, niż wegetować bez tego, co stało się jego nawykiem. Teraz dopiero rozumiałam tego człowieka. Moja tęsknota przybrała takie rozmiary, że często wątpiłam, czy uda mi się dożyć następnego ranka. W dodatku nękała mnie rozpacz, że nie sprostalam ani roli matki, ani kochanki, nie poświęciłam bowiem swym najbliższym tyle uwagi i czasu, ile im się należało. Z tego też powodu nie patrzyłam w lustro — wstydziłam się sama siebie.

To, że nie umarłam, zawdzięczam miłości, bo to ona trzymała mnie przy życiu. Nocami, gdy sen nie przychodził, zaciskałam zęby i przywoływałam swoje najmilsze wspomnienia. W ciągu dnia, gdy nie byłam już w stanie zmusić się do czegokolwiek poza myśleniem o Isie, wyobrażałam sobie, co będziemy robić, kiedy się odnajdziemy. Napisałam do niego setki listów, które powtarzałam sobie szeptem, a potem niszczyłam. Próbowałam nawet tworzyć poematy, choć mym słowom brakowało mocy, by dorównać żarowi serca.

W końcu na tyle okrzepłam na duchu, że rozpacz ucichła, a miłość do mych ukochanych, nadzieja na wspólną przyszłość i wiara w dobroć Allaha stały się dla mnie pociechą. Modliłam się do Niego nieustannie i wreszcie w połowie piątej pory suchej moje prośby zostały wysłuchane. Pewnego popołudnia ktoś zapukał do drzwi; myśląc, że to któryś z nobilów, nie spieszyłam się z odpowiedzią, więc gdy w końcu otworzył je strażnik i w progu ukazał się Nizam, byłam pewna, że mnie oczy mylą. Ale to był on! Chociaż w jego brodzie widniały szarawe pasma, a przez policzek biegła brzydka blizna, wyglądał całkiem tak samo jak wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni. Miał na sobie nabijany ćwiekami skórzany pancerz, a u boku kołysał mu się długi miecz.

— Nizam! — krzyknęłam tak głośno, rzucając się ku niemu pędem, że przestraszony Akbar zaczął skrzeczeć.

— Księżniczko — odrzekł ze wzruszeniem — nie widzieliśmy się kawał czasu.

Chwyciwszy go za rękę, wciągnęłam do środka i zatrzasnęłam drzwi.

— Myślałam, że nie żyjesz!

— Mało brakowało. — Mówiąc to, dotknął policzka.

Lekceważąc wszelką etykietę, przesunęłam mu ręką po twarzy. Blizna była świeża i głęboka. Skurczyłam się na myśl, jak bliski musiał być śmierci.

— Dziękujemy Bogu, że żyjesz!

— To prawda — wtrącił ojciec, kłaniając się lekko, co wyraźnie spłoszyło Nizama. Słyszane to rzeczy, żeby cesarz kłaniał się słudze?

— Co się z tobą działo? — spytałam niecierpliwie, bębniąc palcami o biodro.

Nizam otworzył usta, ale je zaraz zamknął.

— Podczas tamtej bitwy... gdy mi kazałaś uciekać — wymamrotał po chwili — zostałem zrzucony z konia. Ludzie Aurangzeba zakuli mnie w kajdany, a potem... kazali walczyć.

— I co dalej?

— Przez te lata, kiedy mnie nie było, walczyłem w Dekanie jako żołnierz Alamgira — odrzekł, nie patrząc nam w oczy. Widać było, że czuje się winny. — Wybacz, pani, że cię zawiodłem. Próbowałem uciec, ale... takich jak ja zakuwano na noc w kajdany i... pilnowało nas wielu strażników.

— Nie mów tak, przyjacielu! Nigdy mnie nie zawiodłeś! I nigdy byś tego nie zrobił, choćbyśmy żyli sto lat. Ale powiedz, jak im uciekłeś?

— Miesiąc temu stoczyliśmy okrutną bitwę... — Tak powoli wydobywał z siebie słowa, że miałam ochotę dźgnąć go rozżarzonym węglem. — Zabiłem tego dnia wielu ludzi... a kiedy nasz oddział zbierał się do odwrotu, udałem martwego. Cały zalany byłem krwią, bo w głowie miałem ranę, która... — Urwał w pół zdania i rozejrzał się dookoła, jakby nie był pewien, czy nie za dużo powiedział.

— Mów dalej!

— Daj mu spokój, Dżahanaro — upomniał mnie ojciec. Nizam przebiegł palcami po głównej rękojeści miecza.

— Gdy nasza armia odeszła, Dekaneczycy zostawili mnie na polu, bym tam umarł. Odczekałem dwa dni, a potem znalazłem jakiegoś konia i pojechałem na północ.

— Co dzieje się teraz w Dekanie? — włączył się ojciec. Przerwałam mu machnięciem ręki.

— Powiedz, Nizamie, słyszałeś coś o Isie?

— Tak, księżniczko, ale to tylko pogłoski.

— Jakie?

— Pamiętasz, że gdy książę Dara gotował się do bitwy z Alamgirem, wielu naszych ludzi uciekło z Agry na południe. Sporą część tych uciekinierów Dekaneczycy pojмали w niewolę. — Z roztargnieniem potarł palcami po bliźnie, po czym takim gestem cofnął rękę, jakby go dziwiła jej obecność. — Plotka głosi, że w Bidżapurze, najdumniejszym z dekańskich miast, buduje się wielki meczet i że jego twórcą jest ten sam architekt, który wznosił Tadž Mahal. Podobno trzymany jest w kajdanach. Mówi się również, że oboje z córką będą żyć dopóty, dopóki nie ukończy tej budowy.

— Ma córkę?

— Tak, księżniczko. Myślę, że to Isa jest tym architektem. Widziałem z daleka ów meczet i wyglądał mi na jego dzieło.

— A więc żyją! — wykrzyknęłam. Mój umysł stępiony przez lata niewoli zerwał się nagle jak koń do galopu.

— Modlę się, żeby tak było — odrzekł Nizam, podnosząc swoje wielkie ręce. — Widziałem ten meczet już dobry rok temu, lecz samego Isy nie widziałem... Niektórzy mówią, że... już nie żyje...

Nasza cela wydała mi się nagle grobem. Zabrakło mi tchu. Było tak, jakby jakaś żelazna obręcz ścisnęła mi serce. Na czoło wystąpiły mi kropelki potu.

— Muszę jechać — wykrztusiłam — muszę...

— Musisz uciec — dokończył ojciec — i odnaleźć tych, których kochasz.

Ojciec postanowił przekupić strażników. Choć rzeczą mniej ryzykowną byłoby ich zabić — mógł to zrobić Nizam przy pomocy paru zaufanych wojowników — zdążyliśmy oboje z ojcem polubić tych ludzi. W obecności Aurangzeba musieli udawać szorstkich, lecz na co dzień traktowali nas przyzwoicie.

Przekonałam się po raz wtóry, że mój ojciec to człowiek pełen tajemnic. Gdy go zapytałam, czym opłacimy strażników, powiedział, że po całej Agrze rozsiane są kryjówki z zapasami broni i złota. Przygotował je na wypadek, gdyby Czerwony Fort upadł, a on był zmuszony walczyć o tron. Z wielkim ożywieniem poinstruował Nizama, w której twierdzy ma szukać rupii, a w której innych potrzebnych nam rzeczy. Wkrótce też przekupił dwóch nocnych strażników, ofiarowując im tyle pieniędzy, że mogli do śmierci opływać w dostatki. Mieli wypuścić mnie z celi, a potem zniknąć na zawsze z Agry wraz z całym swymi rodzinami.

Dwa dni później o zmierzchu przyszła pora pożegnać się z ojcem. Strasznie ciężko mi było na sercu. Wciąż zadawałam sobie pytanie, czy mam prawo zostawić go samego? Złamać obietnicę daną kiedyś matce? Kto się nim zajmie po moim odejściu? Czy jednak mogłam postąpić inaczej? Gdy ostatnim razem miałam do wyboru pozostać z ojcem albo uciec razem z Ardżumand i Isą, pozwoliłam im odejść beze mnie... Teraz czułam, że po raz drugi nie potrafię już wyrzec się szansy połączenia z moimi najdroższymi. Ojciec zresztą nie chciał o tym słyszeć. Z jakimże podnieceniem planował tę moją ucieczkę! Twarz mu jaśniała, oczy błyszczały. Znowu działał, znowu był w swoim żywiole. Wyraźnie przybyło mu sił. Tych kilka ostatnich dni przyniosło mu więcej radości, niż dane mu było jej zaznać od początku naszego uwięzienia.

Uściskałam go czule, dałam Akbarowi kawałek suszonej wołowiny i z bijącym sercem jęłam czekać na zmianę straży. Usłyszawszy, że nasi współnicy są już pod drzwiami, przywdziałam bezwstydnie przezroczystą suknię, na którą narzuciłam równie przezroczystą wierzchnią szatę, umalowałam się jaskrawo i obwiesiłam mnóstwem krzykliwych klejnotów. Na koniec spryskałam twarz winem, a ciało ordynarnym, woniejącym mocno pachnidłem, jakiego używają ładacznice. Było rzeczą znaną i uznaną, że owe nocne motyle często odwiedzają rozmaitych mieszkańców fortu. Musiałam teraz tylko przekonać strażników przy głównej bramie, że jestem taką kobietą.

Wkrótce przybył Nizam — ubrany jak arystokrata w jedwabną tunikę barwy bursztynu. Na szyi nosił dwa naszyjniki z pereł, a u boku wspinały miecz z rękojeścią nabijaną rubinami. Pochwa również mieniła się od tych kamieni. Aby zmienić wygląd, zgolił brodę, pozostawiając sobie tylko wąsy. Kiedy wręczał zapłatę strażnikom, po raz kolejny zapytałam ojca, czy na pewno nie chce z nami uciec?

— Nie, moje dziecko, jestem zbyt słaby — powtórzył z uporem.

— Proszę cię, ojczu!

— Naraziłbym cię tylko na większe niebezpieczeństwo. Poza tym moja ucieczka wtrąciłaby imperium w jeszcze gorszy chaos, a na to nie możemy sobie pozwolić. — Podniósł rękę, aby uciszyć mój protest. — Bóg dał mi już niewiele czasu. Wolę go przeżyć w spokoju niż gdzieś na turlacze. Lubię widok z tego okna i nie chcę opuszczać Akbara. Tęskniłby za mną.

Spojrzałam w jego nabiegłe krwią oczy, niepewna, czy mówi prawdę.

— Dziękuję ci, ojcie. Dziękuję za twoją miłość.

— Jest wieczna.

— Tak jak moja. — Ucałowałam go po raz ostatni, nic prawie nie widząc przez łzy. — Jeśli Bóg powoła cię do siebie — szepnęłam, ściskając jego pomarszczone ręce — ucałuj ode mnie matkę.

— Oby prawdą było to, w co wierzymy, pomyślałam żarliwie, że po śmierci spotkamy w Raju swych najbliższych!

— Mogę cię o coś prosić? — spytał ojciec, a gdy mocniej ścisnęłam mu ręce, wyszeptał: — Dopilnujesz, bym spoczął tam... u jej boku?

— Bądź tego pewien. Do widzenia, ojcie.

— Żegnaj, moje dziecko. Jesteś dla mnie pamiątką wszystkiego, co dobre na tym naszym świecie.

Strażnicy złożyli mi ukłon. Choć tak rozpaczliwie pragnęłam odnaleźć Ardżumand i Isę, rozłąka z ojcem była dla mnie prawdziwą torturą. Jak można opuścić kogoś takiego jak on, wiedząc, że pewnie nigdy już się go nie zobaczy? W poczuciu, że go zdradziłam, ogarnęła mnie nagle taka słabość, że nogi przestały mnie słuchać.

— Czy możesz mnie ponieść? — pokornie spytałam Nizama.

Bez słowa wziął mnie na ręce. Gdyśmy szli niekończącym się labiryntem korytarzy i klatek schodowych, zalewałam Allaha istnym oceanem modlitw. Pozwól mi odnaleźć Isę i Ardżumand, a potem wraz z nimi wrócić sekretnie do Agry i zastać ojca przy życiu! Nie pozwól mu umrzeć samotnie w tej zimnej więziennej celi! Tyle dla mnie zrobił!

Nie wiem, czy sprawiła to modlitwa, lecz gdy znów stanęłam, poczułam przyływ siły. Nie przestałam się modlić, ale teraz już z wiarą, że podjęłam słuszną decyzję. Nie, nie zawrócę z obranej drogi. Bo póki nie obejmę swej córki i Isy, nie stanę się pełną istotą. Nie chcę już być kaleką!

Gdyśmy doszli do głównej bramy cytadeli, zabroniłam sobie surowo myśleć o ojcu, a nawet o Isie. Skup się na tym, co masz teraz zrobić! Widząc zbliżających się strażników, udałam mocno odurzoną winem. Uwiesiwszy się na szyi Nizamowi, zaczęłam flirtować z gamoniowatymi wartownikami, wyginając się w taki sposób, żeby mogli mi zerknąć za dekollet. Jak prawdziwa kurtyzana lubieżnie oblizałam wargi, gładząc przy tym po twarzy swego towarzysza. Starł się przyjmo-

wać to z uśmiechem, lecz nie bardzo mu się udawało. Cóż, nie był aktorem, tylko wojownikiem. Widząc, że jeden z tych ludzi chce go o coś spytać, czym prędzej weszłam mu w słowo.

— Moja młodsza siostra — powiedziałam bełkotliwie — jest tu gdzieś niedaleko. Czy moglibyście... pójść po nią... i bezpiecznie przeprowadzić ją przez bramę? To jeszcze dziecko i... jest całkiem sama.

A jakże! Oczy im rozbłysły jak ogarom, co zwęszyły nagle świeży trop. Wszyscy z wyjątkiem jednego natychmiast zeszli z posterunku. Uśmiechnęłam się złośliwie, mówiąc im „do widzenia”. Zawsze można liczyć na męską głupotę. Niedaleko za bramą czekał na nas koń. Zachichotałam z ukontentowaniem, gdy Nizam wskoczył na siodło, mnie zaś posadził za sobą. Objęłam go za szyję i ruszyliśmy galopem płataniną mrocznych uliczek.

Już z dala od fortu zdjęłam swoje klejnoty i wcisnęłam mu je do kieszeni. Kiedy indziej rzuciłabym biednym tak mało warte błyskotki, teraz jednak mogły nam się przydać, gdybyśmy musieli kogoś znów przekupić. Najchętniej zdjęłabym także tę wyzywającą suknię, lecz nie miałam się teraz w co przebrać.

Nizam nic nie mówił, tylko coraz mocniej poganiał konia ku rzece. Minęliśmy mauzoleum. Od chwili gdy po raz ostatni oglądałam je z tak bliska, upłynęło długich pięć lat. Zapragnęłam znów dotknąć tych jakże drogich memu sercu ścian, ale nie było na to czasu. Ktoś w każdej chwili mógł odkryć moją ucieczkę, choć ojciec z pewnością zdążył już w taki sposób ułożyć poduszki, aby się wydawało, że leżę na swym posłaniu. Może dopisze nam szczęście, pomyślałam z nadzieją, i nasze oszustwo wyjdzie na jaw dopiero po następnej zmianie wart.

Na brzegu rzeki, wśród wielu innych, stała łódź rybacka. Różniła się tym od wszystkich, że na pokładzie nie było sieci ani ryb. Pilnował jej jakiś wojownik. Nizam dał mu monetę, a kiedy weszłam na pokład, wspólnie zepchnęli statek na wodę. Obecni przy tym rybacy zaprzestali swych zajęć i zaczęli nam się przyglądać. Trochę mnie to zaniepokoiło — ani chybi będą z tego plotki. Pocieszałam się jednak myślą, że nim dotrą do uszu ludzi Aurangzeba, my już będziemy daleko.

Po chwili Nizam wskoczył do łodzi, za nim zaś jakiś rybak, pewnie jej właściciel, gdyż od razu pospieszył do steru i z widoczną wprawą poprowadził nasz statek w dół rzeki. Była to pora sucha i płytkie obecnie wody Dżamny toczyły się dosyć leniwie, mimo to z każdą chwilą oddalaliśmy się od Agry. Spryskawszy twarz wodą, zmyłam z niej wino i cały gruby malunek. Noc zrobiła się strasznie ciemna, co z jednej strony sprzyjało naszej ucieczce, z drugiej wszakże napawało mnie obawą, czy aby nasz rybak zdoła bezpiecznie dowieźć nas do celu. Miarowe odgłosy wody rozbijającej się z pluskiem o burtę i błyskające na brzegach światelka przypomniały mi tę noc sprzed wielu lat, gdyśmy wraz z Isą wracali z Delhi. Byłam wtedy taka szczęśliwa! Spojrzałam na Nizama — siedział oparty plecami o maszt.

— Dziękuję, żeś mnie uwolnił — powiedziałam cicho.

— Zrobiłem to z wielką radością, księżniczko. Ty zaś świetnie zagrałaś swą rolę.

— Myślisz, że zbyt dobrze?

— Nie mnie to osądzać, pani. Nie jestem sędzią, choć robiłem w życiu wiele rzeczy.

Pociągnęłam z bukłaka parę łyków słodkiego soku z cytryny.

— To prawda, że masz za sobą trzy różne wcielenia. Niewolnika, budowniczego, a potem dzielnego żołnierza. Co teraz, mój przyjacielu?

— Pojadę z tobą, księżniczko — odrzekł, wruszywszy potężnymi ramionami, a widząc, że zrobiło mi się zimno, zerwał się bowiem wiatr, podał mi tobolek z cieplejszym odzieniem. — My dwaj zamkniemy oczy, a ty się przebierz.

Zrobiłam to chętnie, bardzo zadowolona, że mam teraz na sobie prostą chłopięcą tunikę, jakie noszą ludzie na pustyni. W toboleku znalazłam też pas materiału, którym owinęłam sobie głowę.

— Czy teraz wyglądam lepiej?

— Spytaj mnie o to po paru dniach jazdy w siodle.

Poczęstowałam go sokiem. Musiał być mocno spragniony, bo wypił go bardzo łapczywie.

— Podróż będzie trudna — powiedział, ocierając usta. — Będziemy musieli jechać bardzo szybko, i to po jakich drogach! Przez bezkresne pustynie, rzeki i góry.

— Jak długo to potrwa?

— Dwa tygodnie, chyba że Bóg się do nas uśmiechnie. Możemy też nigdy nie dotrzeć do celu, jeżeli natkniemy się na Dekkańczyków albo jakiś oddział Aurangzeba.

— Nie będę ci kulą u nogi.

— Nigdy nią nie byłaś.

Po tylu nocach w zamknięciu przytłoczył mnie ogrom otwartego nieba. Uświadomiłam sobie nagle, że tam nad głową rozciąga się niewyobrażalna nieskończona pustka, pod nami zaś płynie rzeka, która toczy swe wody od początku świata. Czy Akbar dlatego wracał do nas na noc, że w obliczu tego ogromu kryjącego tyle niezwykłych tajemnic czuł się strasznie mały? Czy nie jesteśmy głupcami, myśląc, że wszechmocnego Boga obchodzą nasze ludzkie sprawy? Choć wydawało mi się, że odpowiedział na moje prośby, tej nocy trudno mi było wyobrazić sobie, żeby dla Niego mogły coś znaczyć. Czułam się jak ziarnko piasku wrzucone do oceanu, ziarnko, którym fale i prądy będą miotać dopóty, dopóki nic już z niego nie zostanie.

— Czy mógłbyś zaśpiewać mi tak jak kiedyś? — spytałam cicho Nizama.

Gdy zaczął śpiewać — miał wspaniały głos! — poczułam ulgę. Słowa jego pieśni działały na mnie kojąco, a tak bardzo łaknęłam pociechy! Bałam się tej czarnej nocy, bałam się tego, dokąd zanoszą nas prądy. A jeśli nie odnajdę Isy i Ardżumand? Co wtedy pocznę? Nie potrafię wszak bez

nich żyć. Los odebrał mi już tylu bliskich — moich braci, matkę, a wkrótce zabierze i ojca. Prawda, że z wiekiem przybyło mi sił, lecz jak je zachować, kiedy świat traci nagle wszystkie swoje barwy?

Zaczęłam nucić razem z Nizamem, a słysząc, jak zgodnie brzmią nasze głosy, poczułam się mniej samotna. Trwało to jednak tylko krótką chwilę. Kiedy zapadła cisza, znów naszły mnie czarne myśli.

— Proszę cię, o Wielki, pozwól im żyć — szepnęłam.

Czekałam jakiegoś znaku, że usłyszał, spadającej gwiazdy czy choćby ryku lamparta, ale nie, nic się nie stało. Zaczęłam w końcu ogryzać paznokcie, aż z palców pociekła mi krew.

ROZDZIAŁ 19

Podróże

Po dwóch dniach dotarliśmy do Allahabadu, gdzie za ojcowskie złoto nabyliśmy cztery ogiery. Były to dobre perskie konie, niezbyt duże, ale bardzo rące. Przytroczywszy im do grzbietów swe nieliczne ruchomości, od razu ruszyliśmy w drogę. Zaprzątnięta myślami o swych ukochanych ledwie spojrzałam na miasto. Wydawało się nieciekawe — pałaców i świątyń było tu mniej niż w Agrze.

Wyjechaliśmy stamtąd o świcie bitym traktem biegnącym na południowy zachód. Nizam przywdział znów ryszunek wojownika. Przy siodle miał muszkiet oraz łuk i kołczan, do tego zakrzywiony bułat, tarczę i dwie długie włócznie. Nosił jasnobrazową tunikę i turban, kolor ten bowiem był mało widoczny na tle krajobrazu. Ja wyglądałam podobnie, tyle że moją jedyną bronią był sztylet. Luźne konie, też w kolorze piasku, biegły za nami, przytroczone linami do siodeł. Zdaniem Nizama zapasowe konie były w takiej podróży niezbędne — w razie spotkania z bandytami mogliśmy liczyć tylko na ucieczkę.

Zaraz za Allahabadem leżały ogromne pola ryżowe. Żyło tu takie mnóstwo żab, że ich kumkanie zagłuszało wszelkie inne dźwięki. Nad sięgającymi kostek zielonymi łądkami ryżu unosiły się chmary motyli, koników polnych i moskitów. W równiutkich brzdach sterczały bambusowe tyczki, do których przytwierdzono wypchane sokoły, co jak słyszałam, odstraszało ptaki i szczury. Zauważyłam też kilku obnażonych do pasa rolników, którzy z procami w rękach patrolowali swe pola.

Zaledwie jednak oddaliliśmy się trochę od ryżowisk i użyźniającej je Dżamny, krajobraz zupełnie się zmienił. Stał się jałową równiną pozbawioną drzew i strumieni, na której aż po horyzont widać było tylko kępy szorstkiej trawy i jakichś lichych zarośli. Trakt, na tyle szeroki, żeśmy mogli jechać obok siebie, przecinał tę wyschlą ziemię jak szrama. Nasze twarze i odzież wkrótce przybrały brązową barwę od kurzu, który tumanami wzbijał się spod końskich kopyt.

Jechaliśmy bez wytchnienia w lejącym się z nieba żarze, choć było jeszcze dość wcześnie. Powietrze stało nieruchomo — mącił je tylko bieg naszych koni. W pełnej ogrodów Agrze, gdzie od rzeki wiało rześkim chłodem, pora gorąca nie była aż tak nieznośna. Tu wydawała się zabójcza. Moja lekka tunika robiła się coraz cięższa od potu, który lepкими strumieniami spływał mi po całym ciele. Było to nieprzyjemne i strasznie męczące.

Na głowie miałam turban, który wprawdzie osłaniał mi twarz przed słońcem, lecz z każdą chwilą też stawał się coraz cięższy, chciałam więc się go pozbyć, ale Nizam kazał mi przyrzec, że tego nie zrobię. Raz po raz zresztą zabraniał mi różnych rzeczy. Kiedy chciałam na przykład spryskać sobie twarz wodą, uświadomił mi, że mamy jej bardzo niewiele — tyle, żeby się napić i napoić konie. Więc taki jest los żołnierza, pomyślałam smętnie, marsz przez bezkresne pustynie i śmierć z dala od bliskich w nieprzyjaznych człowiekowi miejscach...

Spotkaliśmy tego ranka niewielu podróżnych. Jakąś karawanę kupców na wielbłądach i grupę pielgrzymów w drodze do Mekki. Obowiązkiem każdego muzułmanina jest przynajmniej raz w życiu odwiedzić miejsce, gdzie znajduje się największa nasza świętość, Al-Kaba. Pielgrzymka uświadamia wiernym, że i ludzkie życie jest wędrówką, jednoczy ich też w cierpieniu, gdyż taka podróż przysparza pątnikom niemało trudów. Odbywa ją większość wyznawców islamu z wyjątkiem ludzi władzy, takich jak mój ojciec, którym niestety zwykle brak czasu na tak długą podróż.

Gdy skwar stał się nie do wytrzymania, zboczyliśmy z traktu w stronę kilku ogromnych głazów, które jednak nie dawały żadnego cienia. Aby temu zaradzić, Nizam wetknął w ziemię swoje włócznie, przymocował do nich kawał jedwabiu, drugi zaś jego koniec przytwierdził do skały, tworząc coś w rodzaju daszku.

Rozciągnąwszy na ziemi cienki dywan, rozebraliśmy się na tyle, na ile pozwalała nam przyzwoitość, i schroniliśmy się pod ów daszek, żeby trochę wytchnąć. Mój towarzysz jednakże nigdy chyba nie odpoczywał. Teraz też ze swym długim muszkietem u boku nieustannie przetrząsał wzrokiem horyzont. Zdążył już mnie nauczyć oliwienia broni, więc po chwili zajęłam się jego mieczem.

— Czy tu zawsze tak gorąco i sucho? — zapytałam.

— Nie, księżniczko. W porze monsunu padają tu bardzo ulewne deszcze — odrzekł, rozglądając się wokół. Na jego nagim muskularnym torsie spostrzegłam zawieszoną na łańcuszku broszę z podobizną matki, którą kiedyś mu ofiarowałam. — Wtedy można się tu utopić — uzupełnił.

Ścierając z czoła brudne krople potu, próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądał za czasów, kiedy jako niedorostek żył w haremie swego właściciela. Nielekko mu się tam żyło. Gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, matka opatrywała mu nogi, na których miał rany od kajdan.

— Powiedz, Nizamie, jak wspominasz służbę u mojej matki?

Rozłożył właśnie swój muszkiet i zaczął go czyścić z kurzu i piasku.

— Z początku myślałem, że będzie taka sama jak moje poprzednie panie, ale wkrótce się przekonałem, że to całkiem inna niewiasta.

— To znaczy jaka?

— Była dobra — powiedział w zamyśleniu. Przestał czyścić broń, tylko jego wskazujący palec mimowolnym ruchem przesunął się wciąż po lufie. — Chciała, żebym był szczęśliwy.

— Tęsknisz za nią?

Pokiwał głową i złożył na powrót swój muszkiet.

— Czy wiesz, księżniczko, jak my, słudzy, nazywaliśmy cię w owych czasach?

— Mnie?

— Zadawałaś wciąż tyle pytań — powiedział łagodnie — co zresztą pozostało ci do dzisiaj, więc nazwaliśmy cię Wiewióreczką, gdyż te miłe zwierzątka też ciągle do siebie szczebioczą.

— Uznaliście mnie za gryzonia?

— Cóż, chyba tak — parsknął śmiechem.

— Nie mogliście wymyślić nic innego? Gryzoń! A czemu nie tygrys? Wszak i one wciąż na siebie warczą.

Udawałam niezadowoloną, ale był to tylko żart, o czym Nizam doskonale wiedział. Widząc jego szeroki uśmiech, zaczęłam wspominać dzieciństwo. Chyba naprawdę przypominałam wtedy dokuczliwego gryzonia. Bez ustanku i za wszelką cenę próbowałam przypodobać się rodzicom. Wydawało mi się, że aby to osiągnąć, muszę wiedzieć wszystko o wszystkich ich sprawach, oni zaś o moich.

— Nie powiedziałaś mi jednak, czy tęsknisz za moją matką.

— Ogromnie, ale teraz widzę ją w tobie.

— Ją czy wiewiórkę?

— Chyba jedną i drugą.

Mruknawszy coś pod nosem, wyciągnęłam się na dywanie, on zaś zaczął sprawdzać stan swojego łuku, szarpiąc cięciwę jak struny sitaru, a potem obejrzał miecz, by zobaczyć, czy dobrze go naoliwiłam.

— Słuchaj, Nizamie, czy mogę cię o coś spytać? Ale to sprawa bardzo osobista.

— Spróbuj.

— Czy kiedykolwiek kochałeś kobietę? — Och, zastanawiałam się nad tym od lat. Nie od razu odpowiedział, no i nic dziwnego. Zdjął sandały i usiadł obok mnie na dywanie. Wiedziałam, że zabrał ten dywan tylko dla mojej wygody i że sam będzie spał na ziemi.

— Cóż, księżniczko, dla kogoś takiego jak ja miłość to trudna sprawa.

Może dlatego, że wydawał mi się takim potężnym mężczyzną, w pierwszej chwili nie dotarło do mnie prawdziwe znaczenie tych słów. Potem dopiero zrozumiałam, że ma na myśli swe okaleczenie, i zrobiło mi się smutno. Co czuje człowiek, który wie, że nie może posiadać kobiety ani zostać ojcem?

— Nie będę udawać, że rozumiem, jakie to dla ciebie trudne — powiedziałam miękko — czy jednak nigdy żadna kobieta nie skradła ci serca?

— Jest taka kobieta.

Z wrażenia nagle usiadłam.

— Która? Kim ona jest? Powiedz, w jaki sposób mogłabym ci pomóc?

— Nie powiem ci tego, księżniczko — odrzekł z przekornym uśmiechem — bo gdybyś poznała jej imię, pewnie mocno byś się ubawiła.

— Dlaczego? To ty bawisz się teraz moim kosztem! Szepnij mi tylko jej imię, a ja...

Odsunął się ode mnie i położył na zwykłej bawełnianej derce.

— Odpocznij, księżniczko. Czeka nas ciężka noc.

Położyłam się na dywanie podekscytowana jak rzadko. Tak bardzo chciałam mu pomóc! Połączyć go z tą nieznaną, tak jak kiedyś ojciec połączył mnie z Isą! Ale kim ona jest? Gdy mimo usilnych starań nie zdołałam tego odgadnąć, zrezygnowana zamknęłam oczy. Śniło mi się coś o Ardzumand, lecz zapamiętałam z tego tylko jakieś dziwaczne fragmenty. Kiedy się obudziłam, ostatnie promienie słońca malowały czerwienią horyzont, a Nizam kończył właśnie gotować ryż. Zjedliśmy go razem z kawałkiem suszonej ryby i zwinawszy obóz, ruszyliśmy w drogę.

W ciemności nie widać było szlaku, zdałam się więc na konia, pozwalając mu iść śladem Nizama. Powietrze pochłodziło, nie było też jednak zimno, zrozumiałam więc, czemu mój towarzysz wybrał tę porę na podróż. Ciemność wydawała mi się tajemnicza, lecz o dziwo, działała dziś na mnie kojąco. Byłam znacznie spokojniejsza niż na łodzi. Być może sprawiało to poczucie, że jestem coraz bliżej Isy i Ardzumand. Rosło bowiem we mnie przekonanie, że oboje żyją. Nizam

powtarzał mi to wiele razy przez cały miniony dzień. Ilekroć o nich wspomniałam, zapewniał mnie gorąco, że wkrótce już ich zobaczę.

Nad głowami wisiał nam księżyc w połowie swej drogi do pełni. W jego świetle zobaczyliśmy nagle ognie licznych pochodni zbliżające się ku nam z południa, toteż czym prędzej zjechaliśmy z traktu. Nizam zmusił konie do położenia się na ziemi, my sami także skuliliśmy się przy gruncie. Z tego co udało nam się zobaczyć, mijający nas oddział liczył jakichś dwudziestu konnych. Trudno było rozpoznać, czy to ludzie Aurangzeba czy Dekkańczycy, ale i jedni, i drudzy byli dla nas równie niebezpieczni.

Dopiero gdy pochodnie zniknęły w oddali, powróciliśmy chyłkiem na szlak. Jechaliśmy równym tempem, przystając tylko dwa razy, żeby zmienić konie. Myślałam, że o świcie Nizam zarządzi postój, on jednak wciąż jechał dalej. Uda miałam okropnie otarte od siodła, pośladki paliły mnie żywym ogniem, a każdy ruch mego konia przeszywał mnie nieznośnym bólem, mimo to nie chciałam prosić o postój. Próbowałam jedynie zmieniać pozycję, lecz odnosiło to tylko ten skutek, że ból atakował coraz to inne partie mego ciała.

Bezlitosne słońce sięgnęło zenitu, kiedy mój towarzysz nareszcie skręcił ze szlaku w kierunku trzech uschłych palm sterczących po wschodniej stronie. Tam zeskoczył z konia, a ja opadłam ze swego jak worek. Ostatkiem sił powlokłam się ciężko pod drzewa, do których Nizam przywiązał konie. Zrobił to w taki sposób, żeby trudniej było dojrzeć je ze szlaku, ale mnie nie obchodziło teraz już nic poza własnym zmęczeniem i bólem. Mogłam tylko patrzeć tępym wzrokiem, jak mój wytrwały przyjaciel ścina gałęzie z krzaków i układa z nich stertę między nami a traktem. Potem dopiero osunął się ciężko na ziemię. Zmówiłam krótką modlitwę za Ise, Ardżumand i ojca i natychmiast odpłynęłam w sen.

Podróżowaliśmy w ten sposób przez dziesięć dni — śpiąc popołudniami, a noce i ranki spędzając w siodłach. Rozmawialiśmy bardzo rzadko. Nizam uważał, że na tym trakcie jesteśmy zbyt dobrze widoczni, i chciał jak najszybciej znaleźć się w górach. Jego obawy nie były bezpodstawne, gdyż jeszcze pięć razy natknęliśmy się na zbrojne grupy. Ci żołnierze nie palili nocami pochodni, ale Nizam za każdym razem usłyszał ich w porę, zdążyliśmy zatem się ukryć.

Omijaliśmy też wioski — zbudowane z mułu lepianki i walące się zajazdy — gdzie mieli zwyczaj zatrzymywać się nomadowie oraz wędrowni kupcy, a także wojskowi wywiadowcy i wszelkiej maści bandyci. Widać je było z daleka, gdyż wokół owych nędznych zabudowań kłębiły się zwykle dziesiątki spętanych wielbłądów, nad którymi unosiły się chmary pustynnych ptaków czyszczących ich skórę z kleszczy. Za granicami owych osiedli zaczynały się zwykle pokryte kurzem poletka, na których pracowali strudzeni wieśniacy, zmuszając chude woły do orki bądź zbierając ubogie plony. Ich kobiety gotowały strawę, tkwały płótno i zbierały wielbłądzie łajno. Potrzeba

go było dużo, gdyż w każdej z tych wiosek wznosiła się kamienna wieża, na której szczycie palono nocami ogień — by już z daleka wskazywał drogę wędrowcom.

Pewnego ranka natrafiliśmy na pobożowisko. Na zboczonej skrzepłą krwią równinie leżały setki gnijących zwłok. Dzień był bezwietrzny, toteż odór śmierci omal nie zwałił mnie z konia. Rozdęte trupy wyglądały strasznie — jak ciała padłych bawołów. Musiałam zatkać sobie usta.

Większość zabitych stanowili Dekañczycy, choć leżeli tu i nasi ludzie. Pomyślałam, że to dziwne miejsce na bitwę, bo nigdzie w pobliżu nie było żadnej warowni. Nizam wysunął domysł, że dwa nieprzyjacielskie oddziały wpadły na siebie przypadkiem. Większość ludzi zginęła podczas walki wręcz, co wyraźnie przemawiało za tym, że musieli być zaskoczeni.

Widoki były tak straszne, że zrobiło mi się niedobrze, zupełnie jak podczas tej przegranej bitwy z Aurangzebem. Drapieżne ptaki wyjadły zmarłym twarze, a wśród okaleczonych zwłok krążyli Dekañczycy — głównie starcy i niedorostki — odzierając zarówno swoich, jak i wrogów ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Byli tym tak zajęci, że na nas nie zwrócili prawie uwagi. Wychudzeni do ostateczności, odziani w łachmany i najczęściej bosonodzy, wydawali się sami bliscy śmierci. Aurangzeb musiał spalić ich żywność, pomyślałam z nagłym poczuciem winy. Choć ci zabici to nasi wrogowie, ich dzieci i starcy nie powinni umierać z głodu.

Nawet gdyśmy już minęli to przerażające pole śmierci, obrazy zmasakrowanych ciał nie przestawały mnie nękać. Popędziwszy swojego konia, tak że zrównał się z koniem Nizama, spytałam mego towarzysza:

— Jak myślisz, czy wszędzie na świecie panuje taka sama przemoc jak u nas? I takie samo okrucieństwo?

Nie odrywając oczu od traktu w poszukiwaniu świeżych końskich śladów, odrzekł z przekonaniem:

— Nie, pani. Niemożliwe, aby tak było.

Poczułam, że mam dosyć takich widoków — tych trupów i krążących ponad nimi ptaków.

— Nie chcę nikogo zabijać. Nawet dla uwolnienia Ardżumand i Isy.

— Wiem, ale może będziemy do tego zmuszeni.

— Chcesz uśmiercić ludzi, którzy ich pilnują?

— Zakradnę się nocą tam, gdzie są więźni. Zanim ich ucieczka wyjdzie na jaw, będziemy już bardzo daleko.

— Może ich pilnować wielu strażników. Co pocznę, jeśli zabijesz kilku, a reszta zabije ciebie? Albo jeśli zostaniesz ranny? Nie, nie, to na nic. Jest lepszy sposób, choć też ryzykowny.

Machnięciem ręki odgonił tłustą muchę.

— Cóż więc proponujesz?

— Pojedziemy do sułtana Bidżapuru. Powiemy mu, kim jesteśmy i czego chcemy.

— A on poderżnie nam gardła!

— Nie. Zaofiaruję mu coś w zamian za uwolnienie więźniów.

— Nie mamy nic takiego, co by mogło go zadowolić.

— Mylisz się, mamy. Mogę mu dać głowę Aurangzeba, którego nienawidzi pewnie jak nikogo w świecie.

— Chcesz zdradzić własnego brata? — spytał, spluwając kurzem. W jego głosie brzmiało niedowierzanie.

— Brata? Łączy nas tylko ta sama krew, a naprawdę jest moim najzaciętszym wrogiem, chociaż nigdy nie zrobiłam mu nic złego. Dawno już powinnam go zabić albo pozwolić mu umrzeć kiedy nadarzyła się taka okazja.

— Chcesz więc teraz naprawić swój błąd? Oblizalam popękane wargi.

— Nie mam innego wyjścia.

— Cicho! — syknął nagle Nizam, zerkając za siebie. Spod chmury ptaków krążących nad pobojuwiskiem wzbil się wielki obłok kurzu, który szybko jał się ku nam zbliżać. — Trzeba zmienić konie! — krzyknął mój towarzysz i natychmiast zeskoczył z siodła. Gdy zaczęłam się gramolić na jednego z mniej zmęczonych koni, on chwycił worki z najcenniejszymi rzeczami i mocnym klepięciem po zadach zmusił zluzowane dwa ogiery, by pognały naprzeciw zbliżającej się grupie.

— Co robisz?

— Jeśli dopisze nam szczęście, zaczną ścigać konie! Ruszaj, księżniczko! No jedź!

Cóż to była za jazda! Desperacko ściskając wodze, modliłam się, żeby nie spaść. Wiatr zerwał mi turban i rozwał włosy, a siodło bezlitośnie tłukło mnie w pośladki, wydając przy tym odgłos jak skórzany bęben wybijający rytm marszu. W uszach zabrzmiał mi wystrzał z muszkietu.

— Szybciej! — ryknął Nizam.

Mimo lęku, że zaraz spadnę, mocniej spięłam konia, który posłusznie przyspieszył. Zobaczyłam, że Nizam sięga po łuk i obróciwszy się w siodle, wypuszcza strzałę prosto w osłoniętą kurzem grupę konnych. Zaraz potem powietrzem wstrząsnęły salwy z muszkietów, a dookoła wzbily się grudy wyrwanej ziemi — kule na szczęście chybiły. Jeźdźcy zapewne nie byli w stanie załadować znów broni w galopie, zaczęli więc szyc do nas z łuków. Nizam wypuścił następną strzałę i widząc, że na niego patrzę, wrzasnął rozkazująco:

— Jedź! Jedź, na Boga!

Zwróciłam się znowu twarzą do traktu. Gdy jechaliśmy stępą, wydawał się prosty, ale teraz wił mi się w oczach jak wąż, a krajobraz umykał w takim tempie, że wszystko zlewało się w jedną szarobrunatną plamę. Krzyknęłam na konia, żeby biegł szybciej, jeszcze mocniej ściskając mu bo-

ki. Zarżał głośno i poszedł cwałem. Spostrzegłam wbijającą się w ziemię strzałę i zerknąwszy za siebie, zobaczyłam, że goniący mnie jeździec wali się z konia — trafiony strzałą Nizama. Cięciwa warknęła ponownie — i drugi napastnik podzielił los towarzysza.

— Doganiają nas! — krzyknął Nizam. Trakt tymczasem stawał się coraz bardziej kamienny. Jeśli mój koń się potknie, już po mnie!

I nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cały mój strach gdzieś zniknął, a umysł dziwnie opustoszał. Pozostały w nim jedynie myśli, które nas mogły ocalić.

— Złoto! — krzyknęłam. — Rzuć im złoto!

Na mój okrzyk Nizam opuścił łuk i sięgnąwszy do sakwy przy siodle, jął z niej wydobywać garście złotych monet, a potem rzucać wysoko w powietrze, tak by zaśniły w słońcu. Ścigającym nas ludziom mogło się wydawać, że z nieba spadł złoty deszcz.

Opróżniwszy tak jedną sakwę, mój towarzysz sięgnął po drugą. Wkrótce po ziemi toczyło się już tyle złota, że mogło zapewnić dostatnie życie nawet setce ludzi. Czy jednak skusi napastników? Błagałam Allaha, żeby tak się stało. Widocznie w tym momencie musiało Mu się trochę nudzić, bo wysłuchał mojej modlitwy. Nasi wrogowie, krzycząc triumfalnie, jęli zeskakiwać z koni i ryć pazurami ziemię jak mangusty. Niektórzy dobyli mieczy i zaczęli ostro z sobą walczyć.

— Nie zwalniam! — krzyknął Nizam.

Nawet gdy już tamci zniknęli nam z oczu, pędziliśmy nadal co sił, aż w końcu złąkałam się o konie. Ile jeszcze wytrzymają w tym skwarze? Mojemu z pyska kapały wielkie płaty piany. Stopniowo zaczęłam zwalniać i wtedy dopiero poczułam, jak dziko wali mi serce. Nizam był pewnie równie wyczerpany — cały ociekał potem.

— Myślisz, żeśmy ich zgubili? — spytałam bez tchu.

— Może i tak, lepiej jednak jedźmy dalej. — Pozwolił swojemu koniowi iść truchtem, nie przestał wszakże spoglądać za siebie. — Z tym złotem, księżniczko, miałaś dobry pomysł.

— Sama nie wiem, jak się to stało... Była to doprawdy dziwna chwila. Byłam ciężko przerażona, a umysł miałam tak jasny... po prostu wiedziałam, co trzeba zrobić. Nagle mnie olśniło.

— Niektórym podczas bitwy zdarzają się takie chwile. Widzą to, czego nie widzi nikt inny. Nie muszą być najsilniejsi, lecz na Allaha, potrafią przewodzić ludziom! Twój brat na przykład...

— Jest takim człowiekiem. Wiem o tym, ale i tak go zdradzę.

— Cóż, chyba powinnaś, ale jak chcesz to zrobić?

Byłam zmęczona ucieczką, nie zdążyłam też jeszcze dopracować swojego planu.

— Możemy trochę odpocząć? — poprosiłam, przyglądając się górom widocznym na horyzoncie. Wiedziałam, że do Bidżapuru jest już niedaleko; Nizam napomknął rankiem, iż leży on zaraz za tymi górami, musiałam więc szybko obmyślić szczegóły.

Zbliżało się południe, zatem i Nizam miał pewnie ochotę odpocząć, skreślił bowiem bez słowa ze szlaku, kierując się w stronę wyschłego strumienia. Jakiś czas jechaliśmy jego brzegiem, zbacząc jedynie po to, by okrążyć rozległą skalistą połąć, na której leżały zbielele wielbłądzie kości. Po powrocie do strumienia Nizam ku mej radości odkrył w nim sporą sadzawkę osłoniętą krzakami i skalnym nawisem. Spętawszy konie, rozbiliśmy w tym miejscu obóz.

— Nasi wrogowie już się pewnie pozabijali albo spili na umór w najbliższej osadzie — orzekł mój towarzysz.

— Myślisz, że to byli Dekañczycy?

Skinał głową i zaczął odwijać mokry od potu turban.

— Ludzie twego brata są bardziej zdyscyplinowani i ostrożniejsi. Oni by nas nie ścigali.

— Dlaczego?

— Pomyśleliby, że chcemy wciągnąć ich w pułapkę. Napełniliśmy nasze bukłaki i wtedy dopiero pozwoliliśmy napić się koniom. Nizam pilnował, żeby zbyt się nie opili.

— Jeśli chcesz, księżniczko, możesz się wykapać.

Byłam tak strudzona, że pragnęłam już tylko zamknąć oczy i zasnąć, jednakże perspektywa zanurzenia się w chłodnej wodzie była zbyt kusząca, aby ją odrzucić. Wyprałam więc swoje brudne ubranie i rozwiesiłam na krzakach, a potem ostrożnie weszłam do wody i usiadłam na dnie strumienia. Nie kąpałam się dwa tygodnie, zaczęłam więc skrupulatnie szorować całe ciało piaskiem. Teraz dopiero spostrzegłam, że od czasu ucieczki z Czerwonego Fortu zupełnie straciłam tę odrobinę tłuszczu, którą jeszcze nosiłam na kościach. Nie wyszło mi to na dobre — moja skóra zaczęła się starzeć. Była teraz mniej jędrna i jakby luźniejsza. No cóż, przeżyłam trzydzieści sześć lat, a kobieca uroda to podobno rzecz bardzo ulotna. Moja pewnie już przeminęła, pomyślałam melancholijnie. Zakończywszy szorowanie, nałożyłam wilgotną wciąż jeszcze tunikę i usiadłam obok Nizama. Drzemał, lecz natychmiast otworzył oczy.

— Jak było?

Zaczęłam palcami rozczesywać włosy.

— Sama nie wiem... Myślałam o czym innym. — Był na tyle greczny, że nie spytał o czym. — Mogę ci zadać jedno pytanie? Tylko się nie śmiej.

— Nie będę.

— Czy uważasz, że jestem... — Urwałam, wzdychając głośno. Dlaczego czuję się tak pewna siebie na przykład w bitwie, gdzie nie powinno mnie być, i tak niepewna, gdy chodzi o miłość? — Czy uważasz, że mogę się jeszcze podobać? — spytałam słabym głosem. Widząc jego zdumienie, wyjaśniłam szybko: — Nie widzieliśmy się z Isą już całe pięć lat. Może znalazł sobie młodszą i ładniejszą? Tak by przecież zrobiła większość mężczyzn. Czemu on miałby być wyjątkiem?

— Większość mężczyzn to głupcy — odrzekł surowo.

— Dlatego że wolą młodsze kobiety, których ciała nie zaczęły jeszcze obwisać...

— A ich rozum uciał sobie drzemkę!

— A czy mężczyźni troszczą się o rozum? Mój mąż na pewno nie. A nobilowie? Prawie wszyscy mają kochanki, które mogłyby być ich wnuczkami! Pewnie dają im one coś takiego, czego nie mamy my, starsze kobiety. Może dzięki świeżej urodzie tych młódek oni także czują się młodszy? A może posiadanie takiego klejnotu napawa was dumą?

Nizam usiadł i rozejrzał się po obozie.

— Nie wiem, co myślą inni mężczyźni, ale znam siebie i Isę. On cię kocha i nigdy się tobą nie znudzi.

— Ale kocha też piękno. Pomyśl o Tadź Mahal, o wszystkim, co tworzy. Dlaczego taki człowiek miałby troszczyć się o stary rupieć, skoro może mieć rzecz bez skazy?

— Nie jesteś rzeczą, księżniczko, i może jednak istnieje różnica między nami dwoma a innymi mężczyznami. To tamci myślą o kobietach jak o rzeczach, my natomiast... — Z zakłopotania na chwilę urwał. — Nie jestem poetą, nie umiem więc pięknie mówić, powiem ci jednak, że obaj z Isą myślimy o niewiastach jak... o białych słoniach. Szukamy was czasem przez całe życie, a gdy wreszcie znajdziemy tę upragnioną, trwamy już przy niej do śmierci.

Patrzyłam na niego ze zdumieniem — nigdy dotąd tak nie przemawiał, a znałam go przecież od lat. Czyżby stał się bardziej pewny siebie? A może nareszcie poczuł, że traktuję go jak równego? Z nadzieją, że tak właśnie jest, wzięłam go za rękę, myśląc jednocześnie, że uczucie, którym go darzę, nie mogłoby być głębsze, gdyby nawet był moim bratem.

— Dziękuję ci, drogi przyjacielu. Nie zasługuję na ciebie. Naprawdę. — Pokręcił głową w proteście, lecz nie dopuściłam go do głosu. — Powiedz mi, proszę, dzielny wojowniku i poeto, kto jest twoim białym słoniem?

Roześmiał się głośno, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

— Może nawet purpurowym, bo drugiej takiej jak ona nie ma na całym świecie.

I nagle tak wyraźnie zobaczyłam jego ukochaną, jakby tu z nami była!

— Ladli! — wykrzyknęłam, klaszcząc w dłonie. — Kochasz Ladli!

— Skąd... skąd to wiesz? — bąknął z konsternacją.

— Jak mogłam nie widzieć tego wcześniej? Musiałam być ślepa! — Podekscytowana odkryciem przebiegłam w myślach wspomnienia, próbując ustalić, kiedy to ostatnio widziałam ich razem? Ach, wieki temu, ale zaraz... Gdy Ladli durzyła się w Darze, ileż to razy widziałam utkwione w nią oczy Nizama? — Od dawna ją kochasz?

— Lepiej przygotuję coś do jedzenia. Chwyciłam go za ramię.

— Jak długo? — Uciekł przede mną wzrokiem.

— Zbyt długo.

— Czy ona wie?

— A cóż ją to może obchodzić? — odrzekł ze szczyptą goryczy. — Nie jestem jej godny i nigdy nie będę. — Wstał i zaczął zbierać drwa na ognisko.

— Pleciesz głupstwa! Kompletne głupstwa!

— Powinniśmy coś zjeść, a potem odpocząć, księżniczko.

Puściłam to mimo uszu. Zaczęłam już koncytować, jak by tu wykraść Ladli memu bratu i ukazać jej Nizama w nowym świetle. Wiedziałam, co Ladli myśli o mężczyznach, miałam jednak nadzieję, że tego oceni inaczej, gdy się dowie, jak bardzo ją kocha — nie myśląc o sobie, nie stawiając jej żadnych warunków. Zrobię wszystko, żeby ich połączyć!

— Och, Ladli — szepnęłam figlarnie i na tyle głośno, aby moje słowa dotarły do uszu Nizama — jakaż ty będziesz szczęśliwa!

TLR

ROZDZIAŁ 20

Siwadzi

Przespaliśmy tym razem popołudnie i całą noc, by ruszyć dalej dopiero o świcie. Nizam mówił, że w górach jest chłodniej, nie musimy zatem podróżować nocą. Ścieżka zresztą stawała się coraz zdradliwsza; w ciemności nawet nasze niezawodne konie mogły się tu potknąć. Tak więc już się nie kryjąc, w świetle dnia przebyliśmy rzekę i po krótkiej chwili znaleźliśmy się na podgórzu. Piętrzące się nad nami szczyty miały w sobie tyle majestatu, że nie mogłam się im napatrzeć. Przywodziły mi na myśl rozkołysane zielone fale wzbijające się tak wysoko, jakby ich owiane białą mgłą wierzchołki chciały sięgnąć chmur.

Nie wiedziałam, dlaczego tak jest, ale ziemia tu była o wiele żyźniejsza niż na tym spalonym słońcem szlaku, który pozostał za nami. Wszystko tchnęło wilgotną świeżością, jakby z nieba wciąż kapiała woda. Przy trakcie, tam gdzie dotąd sterczały jedynie nędzne zarośla, rosły teraz wspaniałe drzewa. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego bujnego listowia. Opowiadano mi o dżunglach, gdzie codziennie padają deszcze, lecz zobaczyć taki las na własne oczy to zupełnie co innego. Patrzyłam jak urzeczona. Tutejsza zieleń miała chyba więcej odcieni, aniżeli jest kolorów w tęczy — i cała ta dżungla tętniła życiem. Na omszałych konarach huśtały się małpki, a wśród liści wielkości tarczy wojownika śmigwały czerwone papugi. Czasami cała ich chmara zrywała się nagle do lotu i zanim znalazły sobie nowe grzędy, niebo czerwieniało od tysięcy rozpostartych skrzydeł.

Jechaliśmy przez te góry całe trzy dni wąskim skalistym szlakiem. Nizam zrobił się niespokojny, bo w otaczającej nas gęstwinie mogło kryć się wielu nieprzyjaciół. W obawie przed nagłym atakiem trzymał nagi miecz na kolanach, a mnie nauczył strzelać z muszkietu i przytroczył mi go do siodła. Broń była długa i ciężka, miałam jednak nadzieję, że w razie potrzeby będę umiała jej użyć.

Kilka razy minęliśmy grupki pieszych Dekkańczyków, którzy na szczęście nie sprawiali nam żadnych kłopotów. Widywaliśmy też mężczyzn polujących na dziki i kobiety zajęte zbieraniem jagód. Pewnego dnia nabrałam tyle odwagi, że dałam jakiejś dziewczynie kawałek suszonej ryby w zamian za trochę wiśni. Były to pierwsze owoce od czasu naszej ucieczki.

W miarę zbliżania się do Bidżapuru coraz więcej oznak świadczyło o wojnie. Pojawiły się również liczne fortyfikacje. Zwykle były to tylko mury z wielkich kamiennych bloków, często z wieżami na flankach, zbudowane po obu stronach górskiej grani. Widoczni za murami wojownicy obserwowali w milczeniu wiodące na górę ścieżki.

Napotykalismy także różnej wielkości oddziały wojskowe — od kilkunastu konnych do setek pieszych. Nie byliśmy w stanie uniknąć tych spotkań, lecz i one, o dziwo, nie groziły nam niebezpieczeństwem. Żołnierze pytali nas czasem, skąd jesteśmy, ale gładko łykali nasze kłamstwa. Nie różniliśmy się od nich wyglądem ani zachowaniem, mówiliśmy ich językiem, nie wzbudaliśmy zatem podejrzeń. Oni sami sprawiali wrażenie strudzonych; wielu było rannych, a wszystkim wyraźnie ciążyła broń. Nizam w pewnym momencie odważył się nawet zapytać ich o najeźdźców. Powiedziano mu, że ledwie tydzień temu przetoczył się tędy jeden z oddziałów Alamgira. Wojownicy ci chcieli zająć górskie forty, lecz zostali odparci, poniosłszy dotkliwe straty. Gdzie są teraz? Tutaj zdania były podzielone; niektórzy twierdzili, że uciekli na północ i wrócili na swe terytorium, inni przysięgali, że wprost przeciwnie — zapuścili się na południe. Słuchaliśmy tych nowin z mieszanymi uczuciami: źle, że toczą się walki i giną ludzie, ale dobrze, że wojska Aurangzeba są daleko od Bidżapuru.

Droga do tego miasta zajęła nam kolejny dzień. Miasto jak miasto — brukowane ulice, liczne bazyry i meczety niewiele różniły się od naszych, ale czuło się tutaj wojnę. O niedawnych walkach świadczyły popalone domy i magazyny z żywnością, zrujnowane barykady i ułożone w długie rzędy zwłoki czekające na pochówek lub spalenie. W centrum Bidżapuru znajdowała się twierdza otoczona kolistym murem. Na palisadach szczyrzyły paszcze ciężkie działa, widać też było istne mrowie wojowników w hełmach i opuszczonych na twarze przyłbicach. Zza murów wзираły dachy licznych budowli.

Pozostawiwszy konie w pobliskiej stajni, udaliśmy się do fortu. Stał na skalistym wzniesieniu, toteż każdy kto się na nie wspinał, był czujnie obserwowany z murów. Na pochylni prowadzącej do głównej bramy też stali strażnicy, którzy jednak przepuścili nas bez słowa, tyle że przyjrzeni nam się bacznie. Wszyscy byli w pełnych zbrojach, w rękach dzierżyli długie włócznie. Na murze nad bramą widzieliśmy jeszcze kilkunastu ludzi uzbrojonych w muszkiety skierowane lufami na dół.

— Nie wiem, czy mądrze robimy — wyszeptał Nizam, kiedy mineliśmy bramę, ale ja nie chciałam nawet myśleć o jakiejś innej strategii. Teraz gdy jestem tak blisko Isy i Ardżumand? O, nie! Teraz pragnęłam już tylko zrzucić z nóg sandały i pędzić do mych najdroższych! Otoczyć ich ramionami i nigdy więcej nie wypuścić z objęć! Mnie także rzecz jasna nękały różne wątpliwości, starałam się jednak sprawiać wrażenie pewnej siebie.

— Uda nam się, zobaczysz. Musi się udać.

Mój plan zależał od tego, czy zdołamy dotrzeć do sułtana, zanim nas ktoś zatrzyma. Wyobrażałam sobie, że zastaniemy go w sali tronowej w towarzystwie grupy doradców. Tylko gdzie

jest ta sala? Otaczały nas zewsząd prawie takie same budynki najeżone strzelistymi wieżyczkami. W którym z nich szukać sułtana?

Widząc wychodzącego z jakichś drzwi żołnierza, ruszyłam mu naprzeciw. W pierwszej chwili spochmurniał, lecz gdy skłoniwszy się lekko, posłałam mu miły uśmiech, zmarszczka zniknęła mu z czoła.

— Czy zechcesz powiedzieć mi, panie, gdzie znajdę sułtana? — zapytałam grzecznie.

Pozbawionym dłoni ramieniem wskazał pobliski budynek z balkonem.

— Tam, ale sułtan nie przyjmuje kobiet, a poza tym ma gościa. Jest teraz u niego Siwadzi.

Siwadzi? Dopiero po chwili przypominałam sobie, skąd znam to imię. Ojciec wspominał o nim kilka razy. Był przywódcą Marathów, kolejnych zaprzysiężonych wrogów imperium zamieszkujących górskie rejony wokół Bidżapuru. Wywodzili się z najniższej hinduskiej kasty, mieli więc niewiele do stracenia, a pod dowództwem Siwadziego, młodego człowieka obdarzonego zarówno wielkim talentem militarnym, jak i umiejętnością zjednywania sobie ludzi, stali się niezwykle zaciętymi wojownikami. Wyglądało na to, że ów młody przywódca sprzymierzył się z sułtanem Bidżapuru.

Dziwne, lecz wejścia do wskazanego budynku strzegło tylko dwóch ludzi. Próbowali zastąpić nam drogę, ale kilka bezkształtnych pereł, które wsunęłam im w ręce, sprawiło, że już bez przeszkód pozwolili nam wejść do środka.

Panował tu miły chłód. Posadzki były marmurowe, a na ścianach wisiały piękne gobeliny. Na widok mężczyzn w kosztownych tunikach pomyślałam z nagłą przykrością, że mam na sobie znoszone, pokryte kurzem odzienie, a gdy zobaczyłam, że ubrana na biało służba roznosi świeże owoce, kozi ser i dziczyznę, zwilgotniały mi usta. Zakazawszy sobie spoglądać na tace, skierowałam się prosto w stronę krętych granitowych schodów prowadzących zapewne na balkon, gdzie jak przypuszczałam, sułtan podejmował Siwadziego. Na schodach stało rzędem kilku wojowników z dłońmi na rękojeściach mieczy, ale jakoś nie spytali, dokąd idziemy i po co.

Na piętrze zobaczyłam wytworną sypialnię urządzoną w tym samym stylu co nasze — pełną dywanów, pięknych narzut i miękkich poduszek. Biegący dalej korytarz prowadził na balkon, gdzie wśród licznych roślin doniczkowych stały niskie stoliki; pośrodku wznosiło się podium, na którym siedziało dwóch mężczyzn. Wszyscy inni — wojownicy i nobilewie — stali lub siedzieli niżej. Nie dostrzegłam żadnej kobiety.

— Możemy się jeszcze wycofać — szepnął Nizam. — Pozwól mi moim sposobem uwolnić twą córkę i Ise. Nie wiesz, jak podstępni są ci Dekañczy.

Pomyślałam, że może ma rację. Czy matka na moim miejscu weszłaby z gołymi rękami prosto do jaskini wroga? Na pewno nie. Wymyśliłaby o wiele lepszy plan. Ja tymczasem upieram się przy swoim wbrew radom przyjaciela, który dobrze zna tego wroga.

Czując, że drżą mi kolana, już chciałam zawrócić, ale akurat w tej chwili spostrzegł nas któryś z nobilów i widząc mój strach, gestem nakazał nam podejść. Nie od razu posłuchałam, skinął więc ponownie. Kim jest — przyjacielem czy wrogiem? myślałam gorączkowo, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Na próżno. Był stary i pewnie zbyt sprytny, żeby ujawniać swe myśli. Kiedy weszłam na balkon, zebrani zamilkli i wszystkie głowy obróciły się w moją stronę. Znowu zaczęłam żałować, że nie jestem lepiej ubrana. Całe szczęście, że był ze mną Nizam, który najwyraźniej budził w tych ludziach respekt. Patrzyli na niego takim wzrokiem, jakim lampart patrzyłby na tygrysa.

Ci dwaj siedzący na podium spoglądali na nas z ciekawością. Jeden z nich wyglądał jak wojownik; miał potężną klatkę piersiową i twarz jak wykutą z kamienia. Ubrany był w skórzany, nabijany ćwiekami pancerz, a u jego boku wisiał krzywy miecz. Ten drugi był znacznie drobniejszy; twarz miał tak delikatną, że można by nawet nazwać go zniewieściałym. Nosił brunatną koszulę i obcisłe nogawice. Przez plecy przewieszony miał łuk, a na głowie sterczał mu nisko wciśnięty, bardzo dziwaczny kapelusz z wygiętym do góry rondem. Ten większy, patrząc na mnie, splunął za poręcz balkonu i powiedział szorstko:

— Kwatery dla służby są tam! Jeśli przyszedłeś prosić o miejsce, to tam się udaj, lecz oporządź się wpierw, kobieto!

Skłoniłam się lekko, domyślając się, że to sułtan.

— Nie jestem sługą, sułtanie — odrzekłam z kolejnym ukłonem. Wśród zebranych rozległ się szmer.

— Nie obchodzi mnie, kim jesteś: sługą czy ładacznicą! Odejdź! — warknął sułtan. Gdy nie posłuchałam rozkazu, zdumiony otworzył usta, a potem syknął jadowniczo: — Jeśli jesteś dziwką, to lepiej się wykąp i zdejmij tę śmieszoną tunikę. Potem możesz tu wrócić, a ja ocenię twoje walory.

Większość zebranych parsknęła śmiechem, lecz ten, który musiał być Siwadżim, nie przyłączył się do nich. Spostrzegłam, że przygląda mi się bacznie.

— Przebyłam długą drogę — powiedziałam z nadzieją, że głos zanadto mi nie drży. — Przyjechałam z Agry.

Sułtan zmarszczył czoło, nobilowie zaczęli coś mruzczyć, kilku wojowników spojrzęło w stronę gór — ku północy.

— Z Agry? Czyżby mogolskie dziwki zaczęły podróżować aż tak daleko? — parsknął szyderczo sułtan.

— Dziwki nie — odrzekłam sucho — ale mogolskie księżniczki owszem.

— W Agrze jest teraz tylko jedna taka bezwstydnica, ale siedzi w więzieniu razem ze swym bękarcim ojcem. Cudzołożą tam z sobą, płodząc kolejne bękarty.

Nizam wyszarpnął miecz z pochwy i zrobił krok naprzód.

— Nie! — krzyknęłam, łapiąc go za ramię. — Powiedziałam: nie! — Wielu wojowników także obnażyło miecze. Choć na razie nie atakowali, byłam pewna, że jeśli raz jeszcze obrazimy czymś ich sułtana albo on rozkaże nas zabić, nie będzie dla nas ratunku. Nawet taki tygrys jak Nizam nie pokona dwudziestu ludzi. Zmusiwszy przyjaciela, by schował broń do pochwy, zwróciłam się do sułtana: — Wybacz nam, panie, nasze złe maniere. To dlatego, że oboje jesteśmy bardzo zmęczeni.

— Jesteś, pani, naprawdę księżniczką Dżahanarą? — spytał ów drobny mężczyzna. Jego głęboki głos całkiem nie pasował do postury.

— Tak, panie Siwadzi.

Jeśli nawet się zdziwił, że znam jego imię, nie dał tego po sobie poznać.

— Co was sprowadza do siedziby wroga?

— Możemy pomówić na osobności? To co mam do powiedzenia, przeznaczone jest tylko dla uszu władcy — odrzekłam, hamując niecierpliwość. Tak bardzo pragnęłam zobaczyć wreszcie swoich ukochanych!

Tamci dwaj poszeptali coś do siebie.

— Odeślę swych ludzi, jeśli ty odeślesz swego psa — oświadczył sułtan.

— Nizam zostanie — odparłam spokojnie — ale odda broń twym strażnikom.

Mruknąwszy coś na znak zgody, sułtan gestem nakazał Nizamowi położyć miecz i sztylet na posadzce. Jakiś jednooki wojownik szybko podniósł broń i po chwili balkon opustoszał.

Zostaliśmy tylko we czwórkę. Sułtan i Siwadzi zeszli z podium. Staliśmy teraz twarzą w twarz.

— No więc? Czemuż to wy dwoje plugawicie mą ziemię swoją obecnością? Mógłbym was za to powiesić na najbliższym drzewie! Możesz podać mi choć jeden powód, dla którego nie powinienem tego robić?

— Przybywamy w pokoju.

— Tylko głupcy szukają pokoju.

— Głupcy? — powtórzyłam, próbując zyskać na czasie. Chciałam zrozumieć tego człowieka: czyżby całkiem brakowało mu rozsądku? Spraw, o Miłosierny, aby tak nie było! — Pytasz, mój panie, co mnie tu sprowadza. Czy wiesz, że mój brat Alamgir próbował mnie zabić? I że wymordował naszych braci?

— Doszły nas takie słuchy — odrzekł Siwadzi.

— A czy słyszałeś, sułtanie, dlaczego Alamgir uśmiercił Darę, mego najstarszego brata? Ponieważ popierał Hindusów i był przeciwny wojnie z Dekanem. To właśnie przypłacił życiem.

— Taki jest los słabych! Przed oczami mignęła mi scena egzekucji Dary, lecz czym prędzej ją przepędziłam. Nie teraz.

— Alamgir nie jest słaby. Jak długo zdołacie z nim walczyć?

— Kto wie? Może bardzo długo — rzucił Siwadzi.

— Ale nie w nieskończoność. — Nabrałam powietrza, zdając sobie sprawę, że od tego, co powiem, zależy nasze ocalenie, że to nasza jedyna szansa. — Przypuścimy jednak, że Aurangzeb zostałby zabity. Czy nie byłoby to korzystniejsze od prowadzenia długotrwałej wojny? Nie żał wam cennego złota i życia tysięcy żołnierzy? Śmierć mego brata położyłaby temu kres. Nareszcie byłibyście wolni. A ja mogę to sprawić.

— Próbowaliśmy go zabić wiele razy i różnymi sposobami — zaprotestował Siwadzi. — Nic z tego. To niemożliwe.

— Możliwe, jeśli wie się to, co wiem ja. Wtedy rzecz staje się prosta.

— Prosta! — wybuchnął sułtan. — Masz nas za głupców? Siwadzi uciszył go gestem.

— Daj spokój, Ahmedzie. Lepiej wysłuchajmy jej oferty. Widząc, że sułtan znów otwiera usta, powiedziałam spieszenie:

— Do Czerwonego Fortu wiedzie tajny tunel...

— Kłamstwo!

— ...prowadzący prosto do cesarskich komnat. Zabójca, który zna tę drogę, może bez trudu uśmiercić Alamgira. Nikt nie będzie wiedział, ani kto to zrobił, ani jak się tam dostał.

— Ty jej wierzysz? — wykrzyknął sułtan. — Ta ladacznica jest siostrą naszego wroga!

— Lepiej być ladacznicą niż półgłówkiem! — wypaliłam niezdolna dłużej się hamować. Byłam wyczerpana, w dodatku na samą myśl o tym, że znajduję się tak blisko Isy i Ardzumand i wciąż jeszcze nie mogę ich zobaczyć, zaczynało brakować mi tchu. — Przynoszę ci największy dar, jaki kiedykolwiek ofiarowano twojemu nędznemu królestwu, a ty potrafisz mi tylko ubliżyć! Myślisz, że zdradziłabym Alamgira, gdybym nie pragnęła czegoś w zamian? Czegoś, co możesz mi dać tylko ty?

Siwadzi wybuchnął śmiechem, zadziwiającą głębokim, zważywszy na jego wzrost i wagę.

— I cóż to takiego? — zapytał.

— Chcę, by uwolnił mego mężczyznę i córkę, pojmanych przez was przed pięcioma laty, którzy teraz jako jego niewolnicy budują mu meczet w tym parszywym mieście. Oddaj mi ich, sułtanie, a ja dam ci za to głowę Alamgira!

— Widzi mi się, Ahmedzie, żeś nie nawykł do takiego języka, jakim przemawia ta oto kobieta! — zauważył Siwadzi, nie przestając się śmiać.

— Przydałyby jej się baty!

— O, nie! Kąpiel i nowe ubranie, ale na pewno nie baty. Podejrzewam, że gdybyś ją kazał wychłostać, zabiłaby cię pewnego dnia może nawet tym samym batem.

Sułtan puścił to mimo uszu. Kiedy znów przemówił, brzmiało to nadal szorstko, ale już nie tak groźnie.

— Ci dwoje, o których mówisz, żyją.

Ze wzruszenia zmiękły mi kolana, tak że Nizam musiał mnie podtrzymać.

— Dzięki Ci, wielki Boże!

— To mnie powinnaś dziękować!

Z radości, że moi ukochani żyją, w pierwszej chwili nie wiedziałam, co powiedzieć. Ogarnęło mnie znowu szaleńcze pragnienie, żeby biec do nich na oślep.

— Wybacz mi, panie... me wcześniejsze słowa. I przyjmij moje wyrazy wdzięczności. Dziękuję ci z całego serca.

— Nie traktuję źle twego mężczyzny — oznajmił z lekkim przymusem. — Jest człowiekiem honoru i uczciwie wypełnia wszystkie me rozkazy. A jego umiejętności... to dar od Boga.

— Czy zechcesz uwolnić go, panie, jeśli opowiem ci o tym tunelu?

— Być może.

— Gdy Alamgir zejdzie z tego świata, będzie to koniec wojny — przypomniał Siwadzi.

Zgromiwszy wzrokiem swego sojusznika, czym jednak tamten wcale się nie przejął, sułtan oświadczył:

— Uwolnię go, kiedy ukończy mój meczet, a ma to być najwspanialsza świątynia w Dekanie. Tak, na Allaha, nie wypuszczę go dopóty, dopóki ostatni kamień nie znajdzie się na swoim miejscu!

— A ile to potrwa? — spytałam z lękiem.

— Niedługo. Pięć lat, może trzy.

— Pięć lat? Ja...

— Wolisz, bym go sprzedał na licytacji? — przerwał mi szorstko. — Jest niewolnikiem i mogę z nim zrobić, co chcę.

— W takim razie zostanę tu z nimi.

— To niemożliwe — włączył się Siwadzi. — Widziało cię zbyt wielu ludzi. Wkrótce wszyscy się dowiedzą, kim jesteś. Jeśli tu zostaniesz, znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Twój mężczyzna i córka również.

— Więc co mam zrobić?

— Mój przyjaciel sułtan nie jest aż tak nierozsądny, jak się może wydawać, jest jednak bardzo uparty, zatem zdania nie zmieni. Widziałem ten meczet i wiem, ile znaczy dla niego i jego poddanych. Wyobraź sobie, ilu bliskich stracili w tej wojnie. Meczet powstaje na ich pamiątkę, nic więc dziwnego, że tak czekają na ukończenie budowy. — Obrzuciwszy mnie uważnym spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, że dotarły do mnie jego argumenty, zwrócił się znów do sułtana: — Może dasz im parę dni, Ahmedzie? Wyślij wszystkich troje pod strażą w jakieś spokojne miejsce, a gdy wrócą, księżniczka wyjedzie... dokąd ją bogowie zaprowadzą — dokończył, wzruszając ramionami.

— Nie mógłbyś, panie, wypuścić przynajmniej mej córki?

— Nie — odrzekł sułtan. — Z tej dziewczyny mam wielki pożytek. Zna się na budowaniu prawie tak samo jak ojciec.

I co ja mam teraz począć? myślałam. Radość, że moi ukochani żyją, mieszała się we mnie z rozpaczą, że oto czeka nas dalsza rozłąka. Jak mam wytrzymać następne pięć lat?

— Co mi radzisz zrobić? — spytałam Nizama.

— Zgódź się, księżniczko, czas szybko leci. Pięć lat to nie wieczność.

— A czy ty, mój przyjacielu, potrafiłbyś być tak cierpliwy?

— Musiałem być taki przez całe swe życie. To prawda, pomyślałam.

— Opowiem wam o tym tunelu — oznajmiłam sułtanowi — ale dopóki nie wrócą moi najbliżsi, jego wylot będzie zamknięty, a wejście do niego ukryte.

— Obiecałaś mi głowę swego brata!

— Dostaniesz ją, panie, lecz skoro ja muszę czekać, poczekasz i ty. Chyba że uwolnisz ich już teraz.

— Cóż, Ahmedzie, przyznaj, że to uczciwe żądanie — roześmiał się znów Siwadzi.

— Ten meczet musi być skończony! Będzie on jedyną dobrą rzeczą, jaka pozostanie nam po wojnie!

— Wojna może się skończyć, jeśli...

— Będzie, jak powiedziałem!

— Zatem i wojna będzie się toczyć. — Może Nizam miał rację, pomyślałam gorzko. Może trzeba było pozabijać strażników i uciec, zamiast tracić czas i zdrowie z tym upartym głupcem. — Powiem ci jeszcze tylko — podjęłam po pauzie — że wejście do tunelu znajduje się w pewnym domu, obok którego rośnie wielki cyprys. Takich drzew w Agrze jest jednak wiele, sam więc nie zgadniesz, który to dom. Dopiero gdy uwolnisz moich najbliższych, zostawię ci znak: do rosnącego przy domu drzewa każę przywiązać czarnego konia.

Opisałam potem sułtanowi całą drogę przez tunel, powiedziałam też, że zabójcę trzeba będzie ostrzec przed zrujnowaną pułapką i pouczyć, jak ją ominąć. Zadał mi jeszcze wiele pytań i na koniec oświadczył:

— Pozwalam ci spędzić z twoimi dwa dni, a potem masz stąd wyjechać. Odeślę ci ich na stałe, kiedy ukończą budowę. A gdy twój brat będzie martwy, zapomnisz o naszej umowie.

— Niech tak będzie.

Kiedy sułtan odszedł, zostawiając mnie i Nizama z Siwadżim, przestałam się go obawiać, choć jeszcze parę chwil temu było zupełnie inaczej. Teraz nabrałam pewności, że nie może skrzywdzić nikogo z nas trojga, mnie ani swoich więźniów, gdyż nic by przez to nie zyskał, straciłby zaś zbyt wiele.

— Czy wszystkie wasze kobiety są takie jak ty? — zaśmiał się Siwadżi.

— Gdyby Allah chciał uczynić mnie bezużyteczną, nie dałby mi rozumu.

— Cieszę się, że na polu walki mam za przeciwników tylko waszych mężczyzn. Stając do boju z kobietami, ponieśliśmy klęskę.

— Jestem twarda, bo muszę. Myślisz, że to dla mnie przyjemność ścierać się z kimś takim jak ten tępogłowy sułtan? A skoro mowa o kobietach. Czyż wy, Hindusi, nie czcicie wielu niewieścich bóstw: Parwati, Saraswati, Lakszmi? Jak można wierzyć w mądrość tych wspaniałych bogiń, a potem się dziwić, gdy jakaś kobieta mówi rozumnie?

Słuchał mnie z wielką uwagą i na koniec powiedział:

— Będzie mi miło, księżniczko, kiedyś cię znów zobaczyć. Może gdy to całe szaleństwo się skończy.

— Będiesz zawsze mile widziany w Agrze. Pokażę ci Tadż Mahal, a jest to widok, którego nigdy nie zapomnisz.

— Może w następnym życiu.

— Niechaj to będzie w obecnym. Postaraj się, proszę. Skłonił się przede mną, a potem, o dziwo, uklonił się Nizamowi.

— Chodźmy teraz poszukać twych bliskich. Niczego tak nie pragnę, jak zobaczyć wasze powitanie.

Uśmiechnęłam się na te słowa — och, dopisało mi szczęście! Znalazłam przyjaciela wśród wrogów i wkrótce zobaczę Isę!

ROZDZIAŁ 21

Odrodzenie

Musiałam raz po raz hamować swe kroki, idąc za Siwadżim ciasnymi ulicami Bidżapuru. Nie obchodziło mnie nic dookoła. Po pięciu straszliwych latach rozłąki me długo tłumione uczucia wydostały się wreszcie na wolność i zaczęły mną miotać z siłą huraganu. Z każdym krokiem serce biło mi coraz mocniej, a stopy same rwały się do biegu. Prędeż! Gdybym nawet miała skrzydła jak Akbar, też by niosły mnie zbyt wolno.

— Daleko jeszcze do tego meczetu? Siwadżi parsknął zduszonym śmiechem.

— Nie prowadzę was do meczetu, tylko do mojej kwatery.

— Dlaczego?

— Lepiej, żeby nikt postronny nie oglądał waszego powitania. — Gdy zaczęłam protestować, dodał żywo: — Wkrótce ci ich przyprowadzę.

Skrećiwszy w kolejną ciasną uliczkę, skierował się w stronę jakiegoś skromnego domu. Zbudowany był z piaskowca i tym tylko różnił się od innych, że miał cztery okna z misterną kamienną koronką. Wnętrze jednak było bogate, urządzone też z widoczną troską o wygodę.

— Zaraz wracam z twoimi — obiecał Siwadżi.

Nizam wyciągnął się na poduszkach, ale ja, choć prawie nie spałam przez parę ostatnich nocy, byłam zbyt podniecona, by zrobić to samo.

— Bez ciebie, Nizamie, nigdy bym się tu nie dostała — rzuciłam, krążąc po komnacie.

— Nieprawda, ale bardzo się cieszę, że mogłem ci pomóc.

Niecierpliwie jak dziecko podbiegłam do okna, żeby wyrzeć na zewnątrz. Zbliżał się zmierzch i na ulicach pojawiły się patrole. Kobiety, których jak się zdawało, było w tym mieście więcej niż mężczyzn, wracały z bazarów, dźwigając pękate sakwy lub pchając przed sobą wózki z żywnością. Ubrane były nędznie, prawie żadna nie nosiła biżuterii. Znalazłszy na parapecie piękny grzebień z kości słoniowej, zaczęłam gwałtownie rozczesywać poplątane włosy — chyba po to, by zająć czymś ręce.

— Czy oni nigdy nie przyjdą?

— Cierpliwość, księżniczko, nigdy nie była twą cnotą.

— Bo nigdy nie miałam na nią czasu. Nizam roześmiał się cicho.

— Może się to zmieni, gdy się zestarzejesz.

— Wątpię. Będę miała wtedy mniej czasu przed sobą, a wciąż bardzo dużo do zrobienia.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, ja zaś impulsywnie pocałowałam go w czoło. Natychmiast zeszywniał; czyżby jeszcze nie zaznał pocałunku kobiety? Pomyślałam z nadzieją, że los może jednak nie był dla niego aż taki okrutny.

— Kiedyś odwdzięczę ci się za wszystko, mój drogi wierny przyjacielu — powiedziałam żarliwie. — Och, wiem, wciąż ci to powtarzam i nigdy nie spełniam owej obietnicy, ale Bóg mi świadkiem, że dotrzymam słowa.

— Już mi się odwdzięczyłaś.

— Och, nie!

— Dzięki tobie budowałam Tadz Mahal. Pozwoliłaś mi doradzać cesarzowi. Niczego więcej nie pragnę.

Takie słowa to rzadki dar. Wokół serca poczułam ciepło.

— Dziękuję ci, przyjacielu.

— Nie, to ja ci dziękuję.

Zza okna dobiegał irytujący łoskot młota kowalskiego. Nie mogłam tego wytrzymać.

— Czemu tak długo ich nie ma?

— Może ten meczet jest gdzieś daleko.

Miałam właśnie odpowiedzieć, gdy ktoś zapukał do drzwi. Czym prędzej otworzyłam je na oścież. Chwała Bogu! W progu stał Siwadzi, a za nim moi najdrożsi! Isa na mój widok przystanął jak wryty. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydać głosu.

— Matko! — wyjąkała równie zaskoczona Ardżumand. — To naprawdę ty?

Podbiegłam do nich i chwyciłam oboje w objęcia. Płacząc z radości, zaczęłam obsypywać ich twarze pocałunkami. Isa, który zdążył otrząsnąć się już z odrętwienia, opasał nas ramionami i dźwignąwszy do góry swoje dwie kobiety, jął obracać się w jakimś szalonym tańcu.

— Bałam się, że nie żyjesz! — wykrzyknął, śmiejąc się i płacząc.

— Och, nie! Siedziałam tylko w więzieniu!

Postawił nas w końcu na nogi, nie wypuszczając z uścisku. Czy ja śnię? Wszystko wydawało się tak nierealne! Czy naprawdę mam ich przy sobie? Wszystkie ostatnie przeżycia, całe zło i rozpacz stały się nagle nieważne, liczyło się tylko jedno: to, że jesteśmy razem.

— Och, jakże za wami tęskniłam! — zawołałam, przyciągając ich do siebie jeszcze mocniej.

Isa znowu porwał nas na ręce i puścił się w dziki płas. Zawsze był bardzo wesołym człowiekiem, ale teraz jego radość zdawała się nie mieć granic, a była tak zaraźliwa, że udzielała się innym. Siwadzi i Nizam śmiali się z całego serca, patrząc na nasze harce.

— Niech ci się przyjrzę — wyjąkałam wreszcie bez tchu, ujmując jego twarz w obie dłonie. We włosach i brodzie, niegdyś tak czarnych jak moje loki, widać było srebrne pasma. Twarz nie

straciła nic ze swej szlachetnej rzeźby, tylko wokół oczu i w kącikach ust pojawiły się drobne zmarszczki.

Za to Ardżumand — jakże się zmieniła! Pamiętałam ją jako małą dziewczynkę, a teraz stała przede mną wysmukła młoda kobieta — wyższa ode mnie i urodziwsza. Dziecięca pulchność bez śladu znikła z jej policzków, przez co zmienił się owal twarzy, która stała się teraz wąska jak u ojca. Usta jednak, pełne i wydatne, odziedziczyła po mnie. Oczy również.

— Jakaś ty piękna! — wytchnęłam. — Ależ mam piękną córkę!

Roześmiała się dźwięcznie. Głos też jej się zmienił. Brzmiała w nim pewność siebie.

— Powiedz, jak nas znalazłaś! — zawołała, ściskając mi dłonie.

— Później. Najpierw muszę się wam napatrzeć. Isa po raz kolejny porwał mnie na ręce.

— Ależ z ciebie kobieta! Drugiej takiej nie ma na świecie!

— To prawda — przytaknęła Siwadzi — lecz pomówmy teraz o bardziej przyziemnych sprawach. Czy mogę prosić, księżniczko, żeby nikt z was nie wychodził z domu? Każę służbie przynieść wam jedzenie. — Gdy podziękowałam mu za to, uklonił się Ardżumand, życząc nam spokojnej nocy, i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach jednak nagle przystanął. — Nizamie — powiedział grzecznie — gdybyś zechciał mi dziś towarzyszyć, byłbym bardzo rad.

— To dla mnie zaszczyt.

Życzyłam Nizamowi dobrej nocy, on zaś uśmiechnął się ze zrozumieniem. Po jego wyjściu wciąż jeszcze za bardzo podekscytowana, by usiąść, zaczęłam na stojąco opowiadać Ardżumand i Isie o tym, co się działo po naszym rozstaniu. Żadne z nich nie znało bliżej Dary, lecz kiedy wspomniałam o jego śmierci, uśmiechy znikły z ich twarzy. Powróciły po chwili — gdy im opisałam, jak uciekłam z Czerwonego Fortu.

Isa z kolei opisał mi okoliczności, w jakich wzięto ich do niewoli. Ich los byłby znacznie gorszy, powiedział, gdyby nie to, że zdołał przekonać strażników, iż jego umiejętności mogą przydać się sułtanowi. Ale nawet już wtedy, gdy władca zapłonął chęcią wybudowania meczetu, groziło im kolejne niebezpieczeństwo: Ardżumand miała zostać sprzedana na licytacji. Wówczas nie bacząc na nic, Isa przysiągł na imię Allaha, że nie położy ani jednej cegły, jeśli córka nie zostanie jego pomocnicą. Sułtan musiał ulec; pozwolił im zamieszkać w przydzielonym domu pilnowanym przez zbrojnych strażników. Każdej nocy w dodatku zamykany jest od zewnątrz, powiedział Isa. Meczet, dodał z niezadowoleniem — odniosłam wrażenie, iż nie jest z niego szczególnie dumny — rośnie bardzo powoli, jako że sułtan, choć wymaga cudów — wielkich kopuł, arkad i krużganków — przydziela mu do pracy samych starców i nedorostków. Pieniądzy też wciąż brakuje. Nic dziwnego, że prace kuleją.

— Byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie nasza córka — powiedział z czułością — bo to ona pilnuje wykonania moich projektów.

A oko ma bystre! Co więcej, zaczęła teraz przynosić mi własne projekty, i to tak śmiało, że wszystkich nimi zadziwia!

— Tylko że zrobione według nich modele wciąż się rozpadają — wtrąciła z zakłopotaniem Ardżumand, chociaż widać było, że pochwały ojca sprawiają jej wielką przyjemność. Widać było także, jak bardzo są sobie bliscy. Szczerze mnie to cieszyło.

— Może kiedyś zaprojektujesz dom dla swoich starych rodziców.

— Bardzo chętnie, ale podczas burzy będziecie musieli się modlić, żeby się nie zawalił.

Isa mrugnął do niej i zaczęliśmy się śmiać. Jakaż byłam szczęśliwa, że mam taką córkę! Niewola nie tylko jej nie załamała, co stałoby się pewnie z większością jej rówieśniczek, gdyby spotkał je taki los, ale wydawała się teraz chyba nawet bardziej pogodna aniżeli w dzieciństwie. Może dlatego, że uczyła się ciekawszych rzeczy niż inne dziewczyny, a może to obecność Isy wywierała na nią dobroczynny wpływ. Ze mną wszak było tak samo.

Jakikolwiek jednak był tego powód, podziękowałam w duchu Bogu za opiekę nad moją córką, a że właśnie przybyli służący z wieczerzą, i za to złożyłam Mu dzięki. O, bo była to prawdziwa uczta — pieczona kaczka, marynowane warzywa i do tego ryżowe wino. Poprosiliśmy służących, aby przekazali swemu panu nasze podziękowania, i zabraliśmy się do jedzenia. Po raz pierwszy od wielu tygodni miałam w ustach świeże mięso, musiałam się więc hamować, by nie łykać go bez gryzienia. Isa nic nie jadł, tylko sączył wino, nie przestając się we mnie wpatrywać. Wciąż chyba jeszcze nie ochłonął z szoku.

— Postąpiłaś słusznie, Dżahanaro — stwierdził w pewnej chwili.

— Masz na myśli to, że zostałam w Agrze?

— Tak, teraz wiem, że to była właściwa decyzja.

Gdy nagle zamilkłam, popatrzył na mnie uważnie i na czole pojawiła mu się zmarszczka. Najwyraźniej wyczuł, że coś ukrywam.

— No cóż — odrzekłam w końcu niepewnie — jednak nie zdołałam ocalić Dary... i och, moi drodzy, będę musiała znów was opuścić.

— Jak to? — zawołała Ardżumand, gwałtownie odstawiając puchar z winem.

Gdy im wyjawiałam, jaką umowę zawarłam z sułtanem, Isa jęknął głośno.

— Nie miałam innego wyjścia — zaczęłam się usprawiedliwiać. — Gdybym nie złożyła mu tej obietnicy, nigdy by was nie wypuścił, a Aurangzeb...

— Myślisz, że obchodzi mnie los twego brata? Idzie mi o nas! Ta budowa długo jeszcze potrwa!

— Więc buduj szybciej. Ten meczet to tylko meczet. Nie musi być tak zbudowany, żeby przetrwał tysiące lat! Wystarczy sto.

— Nie chcę się z tobą rozstawać!

— Jestem pewna, że możesz przyspieszyć budowę. Sułtan powiada, że zajmie to jeszcze trzy lata, ale tobie z pewnością uda się skrócić ten okres o rok!

— Dlaczego do tego czasu nie możesz zostać tu z nami?

— Och, pomyśl, Iso, ilu Dekańczyków chciałoby sprzątnąć siostrę Alamgira?

Zapadła ponura cisza. Wiedziałam, ile bólu musiało im sprawić to moje wyznanie, i zaczęłam żałować, że zanadto się z nim pospieszyłam. Może trzeba było powiedzieć im o tym dopiero w ostatnim dniu... a może... Ardżumand wyprostowała się nagle, przerywając mi te rozważania.

— Ojczy, ta budowa dlatego się wlecze, że ciągle czekamy na marmur — powiedziała zdecydowanie, a ja popatrzyłam na nią z jeszcze większą dumą. — Nie powinniśmy odtąd odrzucać uszkodzonych bloków, ale użyć ich na sufity i w innych mniej widocznych miejscach. Możemy też tu i ówdzie zastąpić piaskowiec drewnem...

— Możemy zastosować więcej takich sztuczek — wtrącił Isa — i ukończyć budowę w dwa lata, ale czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

Pokręciłam głową.

— W każdym razie żadnego lepszego. Gdybyśmy nawet uciekli, nie dotarlibyśmy do Agry... Sułtan ścigałby nas jak zwierzynę... Pomyślcie — poprosiłam, chwytając oboje za ręce — wytrzymałyśmy pięć lat. Te dwa szybko miną, a potem już nigdy się nie rozstaniemy.

— Obiecujesz?

— Tak, moje dziecko, obiecuję.

Isa zapomnianym już przeze mnie gestem szarpnął się za brodę.

— Ukochany meczet sułtana Ahmeda będzie więc jak lustro: piękne z wyglądu, ale łatwe do rozbicia.

— On tego nie zauważy. Zupełnie się nie zna na architekturze ani na budowaniu — rzuciła Ardżumand. — Już trudniej byłoby oszukać wołu.

Zaczęliśmy się śmiać i mimo widma bliskiego rozstania zrobiło nam się weselej. Temat ten jednak wciąż wisiał w powietrzu, więc by go odegnąć, powiedziałam:

— Wiesz, Ardżumand, spodobałaś się Siwadziemmu.

— Naprawdę?

Westchnęłam, widząc jej szczere zdumienie. Na budownictwie znasz się wyśmienicie, pomyślałam, ale nie na mężczyznach.

— Będziemy musiały o tym pomówić.

Isa ponownie napełnił kielichy. Wino przyjemnie rozgrzało nam trzewia; zaczęliśmy raczyć się znów jedzeniem, śmiać się i żartować, nie bacząc na późną porę. Nie mogliśmy się nagadać. Tylko najbliższa rodzina potrafi tak z sobą rozmawiać — przysłuchiwać się każdemu słowu, wtrącając gdzie trzeba pochwałę, kiedy indziej zaś słowo współczucia. Dopiero przed samym świtem Ardżumand, pożegnawszy nas pocałunkiem, udała się na piętro do drugiej komnaty. W jej obecności musiałam udawać twardą, teraz objęta opiekuńczym ramieniem Isy pozwoliłam wreszcie płynąć łzom.

— Jak ja za tobą tęskniłam... Już myślałam, że tego nie wytrzymam.

— Ze mną było tak samo. — Po jego twarzy łzy także lały się strumieniem.

— Jak Ardżumand to zniosła?

— Nie najgorzej, Jaskółeczko. Tak, pierwszy rok był okropny, ale wiesz, chociaż sam myślałem, że nie żyjesz, jej obiecałem, że wrócisz. Każdego wieczoru powtarzałem jej tę obietnicę, i w końcu mi uwierzyła. Stała się weselsza. Zacząłem ją uczyć swej sztuki, pracowaliśmy razem i tak mijały lata...

— A ty? Jak ty zdołałeś to przetrwać?

Pogładził mnie po policzku stwardniałym od pracy kciukiem.

— Chyba nie zdołałem, a jeśli nawet, to nie bez ciężkiego uszczerbku — powiedział cicho.

— Może nie było tego po mnie widać, lecz kiedy zobaczysz ten meczet, przekonasz się, że razem z tobą opuściła mnie jakaś część mego jestestwa. Ta budowla nie ma w sobie ducha. Brakowało mi natchnienia. Nie było cię przy mnie, dlatego jej mury wydają się stare... znużone. Nie ma w nich wdzięku, budowałem je bowiem bez miłości.

— Wiesz, z naszej celi w Czerwonym Forcie widać było Tadż Mahal. Stałam więc przy oknie i patrzyłam nieraz tak długo, że drżały mi nogi. Aurangzeb rozmyślnie zostawił nam to jedno nie zamurowane okno: chciał, by ten widok doprowadził nas do obłędu, ale się przeliczył. Ojciec czerpał z niego więcej pociechy niż bólu, a ja... we mnie wywoływał uśmiech. Czasami nawet się śmiałam. Przypominał mi całe dobro, którego zaznałam w życiu, za które powinnam dziękować losowi. — Isa przerwał mi leciutkim pocałunkiem. Jakby pragnął na nowo poznać smak moich ust. Gdy pochylił się nade mną po raz drugi, zrobiłam krok do tyłu. — Powiedz, czy bardzo się zestarzałam?

— Co takiego?

— Mężczyznom... nie podobają się stare kobiety.

— Obojgu nam przybywa lat, Jaskółeczko, ale to nie starość. Stajemy się tylko dojrzałsi.

— Ale moja uroda... Kiedy całkiem przeminie...

— Nigdy. Dla mnie zawsze będziesz piękna, bo zawsze będę cię kochał.

— Naprawdę tak myślisz?

Jego ciemne oczy zatoneły w moich.

— Wiesz, ukochana, daleko stąd ciągnie się lesiste górskie pasmo. Liście niektórych drzew rosnących na najwyższych górach zmieniają się wraz z porami roku. To zdumiewająca przemiana. Zieleń przechodzi w złoto, a złoto w czerwień, i wiesz, co ci powiem? Te jesienne liście są nawet piękniejsze od wiosennych. — Pocałował mnie znów i zakończył: — Twoja uroda jest jak te liście. Z czasem stanie się jeszcze wspanialsza.

— Teraz wiem, dlaczego tak strasznie za tobą tęskniłam — wyszeptałam ochryple. — Wiesz to, na co inni są ślepi.

Uśmiechnął się czule, zsuwając zarazem z mych ramion tunikę. Po chwili spadła na podłogę. Nie rzuciliśmy się na siebie z młodzieńczą zapalczywością, lecz krok po kroku zaczęliśmy badać swe ciała, jakby to był nasz pierwszy raz. Isa miał rację — wciąż były piękne.

— Musisz mi pokazać te liście — powiedziałam później, wtulona w jego objęcia.

— Pójdę z tobą w góry — obiecał — ale piękno tych magicznych liści musisz odkryć sama. Tylko wtedy, najdroższa, zrozumiesz jego istotę.

Następny rano przyniósł niespodziankę, a sprawił nam ją Siwadzi. Isa i Nizam rozmawiali o czymś na górze, a my z Ardzumand kończyłyśmy akurat późne śniadanie, kiedy nasz gość oświadczył:

— Przed domem stoją cztery konie. Podzielcie się na pary i osobno opuście miasto. Gdy spotkacie się za rogatekami, jedźcie na zachód, w stronę miasta Goa. Leży na wybrzeżu i choć pełno tam jezuitów, ma swój urok, wam jednak z pewnością bardziej się spodoba spokojniejsze miejsce, i takie wam właśnie wybrałem. Przed Goą droga się rozwidła, skierujcie się zatem w odnogę północną. Zaprowadzi was ona nad morze, gdzie można za bezcen wynająć kwaterę. — Mówiąc to, wręczył mi parę monet.

— Mamy jechać nad morze? Czy to daleko?

— Dwa dni drogi.

— Ale sułtan dał mi tylko dwa dni.

— Ahmed często bywa niemiły, nie jest jednak tak zły, jak się zdaje. Poprosiłem, by dał wam tydzień, i choć z początku odmówił, po butelce wina zmienił zdanie, no, może po dwóch — zaśmiał się Siwadzi.

— Pomagasz nam, panie? Dlaczego? — zdziwiła się Ardzumand.

— Pragnę mieć w was przyjaciół, nie wrogów. Schowałam jego monety.

— Nie boisz się, że uciekniemy?

— Liczę, iż zdajecie sobie sprawę, że w razie waszej ucieczki Ahmed obetnie mi głowę. Żadne wino mnie nie uratuje.

— I mimo to... chcesz podjąć takie ryzyko?

— Cóż — odrzekł z lekkim ukłonem — zdarza mi się głupiec, gdy w pobliżu znajdują się piękne... chciałem rzec: mądre kobiety. Tak więc konie stoją przed domem. Mam nadzieję zobaczyć was po powrocie. Spodziewam się, pani, że będę miał honor pożegnać cię przed wyjazdem.

Powiedziane to było do mnie, lecz spojrzenie młodego wodza pobiegło ku Ardżumand. Położyłam mu dłoń na ramieniu.

— Będę modlić się o to, byśmy mogli zostać przyjaciółmi.

— Wojnę toczą królestwa. My nie musimy.

Po jego odejściu pobiegłam na górę — przekazać radosną nowinę Isie i Nizamowi. Pakowanie naszych skromnych bagaży niewiele zajęło nam czasu, toteż wkrótce byliśmy już w drodze. Nizam i ja pierwsi wyjechaliśmy z miasta.

Oczekiwanie na drugą parę dłużyło mi się nieznośnie — a jeśli coś im się stało? Chciałam już po nich wracać, gdy wreszcie się pojawili. Widać było, że żadne z nich dwojga nie czuje się dobrze w siodle, mimo to na nasz widok zaczęli wydawać radosne okrzyki — i po chwili już wszyscy ruszyliśmy rażno na zachód.

Prawie do południa jechaliśmy przez góry otaczające Bidżapur. Żał mi je było opuszczać, cieszyła mnie jednak myśl, że wkrótce zobaczę ocean. Żadne z nas jeszcze nie widziało morza. Gnani ciekawością jechaliśmy więc bardzo szybko, zwłaszcza że Nizam narzucał nam ostre tempo, nieustannie obserwując przy tym otoczenie. Nawet rozmawiając z wielkim ożywieniem z Isą, nie przestawał zerkać na boki. Mnie i Ardżumand także nie zamykały się usta. Od lat nie zdarzyło mi się tak paplać; zawsze uważałam, że plotkarstwo nie przystoi mądrym ludziom, ale teraz z zapalem powtarzałam Ardżumand wszystkie krążące w Agrze historyjki, które odwiedzający nas nobilowie przynosili do naszej celi.

Pod wieczór poculiśmy lekki zapach morza. Można było pomyśleć, że gdzieś niedaleko znajduje się olbrzymia kuchnia, w której ktoś gotuje coś słonego. Z początku myślałam, że tak mi się tylko wydaje, ale moi towarzysze też zaczęli mówić, że czują sól — w powietrzu i na języku. Podnieceni tym nowym doznaniem zaczęliśmy gnać jeszcze szybciej.

Dopiero dobrze po zachodzie słońca rozbiliśmy obóz. Pożywiwszy się ugotowanym przez Nizama kiczri — duszoną soczewicą z ryżem — od razu poszliśmy spać. Trzeba było odpocząć — czekał nas przecież kolejny dzień w siodłach. My z Isą przytuliliśmy się do siebie, grzejąc się nawzajem swym ciepłem.

Rankiem ruszyliśmy dalej. Krajobraz stał się płaski, a trakt znacznie szerszy. Więcej nam w twarze wiatr niósł coraz mocniejszą woń oceanu, którą z lubością wciągaliśmy w nozdrza — jak egzotyczne pachnidło. Mijani po drodze tubylcy nie zwracali na nas uwagi. Wydawali się weselsi niż ich ziomkowie ze wschodu — czyżby oddziały Aurangzeba jeszcze tu nie dotarły?

Południowy posiłek spożyliśmy w siodłach. Nizam wypytywał Isę o różne sprawy związane z architekturą, a my z Ardżumand szeptałyśmy o mężczyznach. Im lepiej poznawałam swą córkę, tym bardziej byłam z niej dumna. Cóż za wspianiała dziewczyna! Nie żyło jej się lekko, a jednak zachowała tak pogodne usposobienie! Lubiła się śmiać i żartować, na wszystko patrzyła z uśmiechem w przeciwieństwie do swojej wciąż zajętej spiskowaniem matki. Czułam się przy niej młodszą; czy tak jest ze wszystkimi rodzicami?

Późnym popołudniem zaczęliśmy dostrzegać niewyraźne obrzeża Goi. Leżało wśród łagodnych wzgórz częściowo ukryte przed oczami podróżnych na szlaku, lecz już to co zdołałam wypatrzeć, wystarczyło, bym nabrała przekonania, że bardzo się różni od znanych mi miast. Wśród wyzierających z zielonych wzgórz minaretów dostrzegłam strzelistą iglicę, jakiej nigdy dotąd nie widziałam. Nizam wyjaśnił, że wieńczy ona wieżę chrześcijańskiego kościoła. Dalej widniał istny las masztów. To portugalskie statki handlowe, dodał mój przyjaciel. Statki? Z ciekawością poszukiwałam wzrokiem morza — jaki też będzie mieć kolor? Cóż, kiedy widziałam jedynie horyzont.

Tak jak nam radził Siwadzi, skręciliśmy w północną odnogę szlaku i czując, że cel jest już blisko, puściliśmy konie galopem. Nawet mnie od tej jazdy rozboleły pośladki. Ardżumand i Isa musieli cierpieć prawdziwe męki, lecz i teraz znosili je dzielnie. Żadne nie prosiło o wytchnienie. Mijaliśmy po drodze ogromne piaszczyste wydmy, między którymi rosły palmy kokosowe, tu i ówdzie widzieliśmy też ludzi budujących stojaki do suszenia ryb. Przebyliśmy również jakąś płytką rzekę.

Nad naszymi głowami krążyły białe, bardzo gadatliwe ptaki, które Nizam nazywał mewami. Pomyślałam, że takie ptaki to chyba dobra wróżba. Nasz szlak, biegnący już teraz po piasku, znów skręcił na zachód i jał wspinać się po licznych wydmach.

I oto ujrzeliśmy morze!

Wyglądało jak kawał błękitnego jedwabiu, tak wielki, że nie mogłam ogarnąć go wzrokiem. Nawet nasze bezkresne pustynie nie wydawały się takie ogromne! Gdzieś daleko ocean spotykał się z niebem, ale gdzie? Nie sposób było dostrzec granicy. I powietrze, i woda jaśniały tym samym błękitem.

A potem zobaczyłam fale pędzące ku brzegowi jak spienione białogrzywe konie. I łodzie, które na tym ogromnym przestworze sprawiały wrażenie brązowych plamek z białymi smużkami żagli. Jak głęboka musi być ta woda! A jej mieszkańcy! Na samą myśl o tym, że w tej głębinie żyją

rekiny i olbrzymie wieloryby, o których słyszałam, że potrafią wywracać statki, ogarniał mnie strach i podziw.

Zjechaliśmy za Nizamem z piaszczystego zbocza. Z prawej strony o rzut kamieniem widać było kilka krytych strzechą domków, chyba całkiem pustych, ale dla mnie istniało teraz tylko morze. Przyciągało mnie jak magnes! Mój koń, chyba równie podekscytowany, zarżał głośno i pocwałował na plażę. Koń Nizama jął galopować wzdłuż brzegu, a nasze pobiegły za nim. Przygnana wiatrem mgiełka białej piany spryskała mi twarz, zostawiając smak soli na wargach. Poczułam się jak małe dziecko zachwycone potęgą morskiego żywiołu. Bo też które z najwspanialszych dzieł Stwórcy mogłoby się z nim równać?

Pędząc półkolistym brzegiem długiej plaży, podobnym do sierpa młodego księżyca, doznałam nagle upajającego uczucia, że jestem wolna, że opadły ze mnie wszystkie kłopoty i troski! Było tak, jakby cały ów świat, w którym żyłam, jeszcze się nie narodził, jakby istniał jedynie ten piaszczysty skraweczek lądu pod nogami mojego konia i zapierający dech w piersiach majestat nieogarnionego oceanu.

Przeżyłam całe swe życie według sztywnych, narzuconych mi reguł, ale teraz — o nie! Ani myślałam ich teraz przestrzegać! Zeskoczywszy z konia, zrzuciłam sandały, podwinęłam spodnie i zaczęłam biec ile sił. Nie biegałam tak od lat i zdążyłam zapomnieć, jakie to cudowne!

Obok mnie, śmiejąc się radośnie, sadził wielkimi susami Isa.

— Złap mnie! — zawołał, wbiegając do morza.

Pisnęłam, gdy chłodna woda liznęła mi kostki, ale szłam dalej, piszcząc coraz głośniejszym głosem, w miarę jak sięgała mi tydek, a w końcu ud i pośladków. Jakaś fala znienacka gruchnęła mnie w plecy — i oto znalazłam się nagle pod wodą! Czym prędzej wyskoczyłam na powierzchnię, oblizując usta z białej piany. Ależ była słona!

Ardzumand z Nizamem, który właśnie przed chwilą pomógł jej zsiąść z konia, przybiegli za nami — i zaczęłyśmy obie bezlitośnie ochlapywać Isę. Gdy ubłagał nas wreszcie, żebyśmy przestały, zwróciłyśmy się przeciw sobie, piszcząc i chichocząc jak szalone.

Woda sięgała mi do piersi i gdy nadbiegające fale podrzucały mnie w górę, wydawało mi się, że jestem lekka jak piórko, że mogłabym położyć się na grzbiecie fali — i niechby mnie niosła, gdzie chce. Śmiejąc się jak dziecko, pozwalałam porywać się wielkim bałwanom, które unosiły mnie ku niebu, by po chwili strącić mnie w otchłań.

Przypomniały mi się dawne czasy. Dlaczego w dzieciństwie tak lubimy bawić się w wodzie, a jako dorośli odmawiamy sobie tych uciech? Tych prostych cielesnych doznań, które dają tyle przyjemności? Czy rozwijając umysł, starając się sprostać stojącym przed nim zadaniom, człowiek musi zarazem pozbawiać się tego, co sprawia mu radość?

Uderzyła w nas fala ogromna jak góra i powlokła mnie w stronę brzegu. Wrzasnęłam, gdy załamawszy mi się nad głową, rzuciła mnie ciężko na piasek. Lecz choć połknęłam sporo słonej wody, a szorstki piasek podrapał mi ręce, nie przestawałam się śmiać.

— Uważaj! — krzyknął Isa.

Zerknąwszy za siebie, zobaczyłam, że pędzi ku nam następny wielki bałwan, ale na nic innego nie miałam już czasu. Zepchnięta pod wodę wywinęłam koziółka — i straciłam poczucie kierunku: gdzie tu góra, gdzie dół? Byłam niezłą pływaczką, ale tutaj w tym wirze odbiegła mnie cała pewność siebie. Gdy zaczęłam już myśleć, że pękną mi płuca, fala cofnęła się nagle, a mnie się udało uklęknąć.

— Chodź do mnie! — zawołał Isa. Stał w wodzie sięgającej mu ramion. Poczłapałam do niego i bez pytania wdrapałam mu się na plecy.

— Strasznie silne te fale!

— Trzeba podskoczyć, gdy widzisz, że zbliża się taka góra — odrzekł ze swoim krzywym uśmiechem, pokazując mi to praktycznie.

— Łatwo ci mówić! Masz nogi dwa razy dłuższe od moich!

Ardzumand ukradkiem zaszła mnie od tyłu i gdy uniosła nas następna fala, wskoczyła mi nagle na plecy. Pod ciężarem dwóch swoich kobiet mój ukochany stracił równowagę — i runął wraz z nami do wody!

— Isaaa!

Szum morza zagłuszył mój głos, a kolejna fala rzuciła mnie znów w stronę brzegu. Czułam, że przemoknięta tunika niebezpiecznie krępuje mi ruchy, więc choć nadal byłam w euforii, pozostało mi jednak jeszcze tyle rozsądku, by wycofać się na płytszą wodę. Stamtąd zaczęłam śledzić poczynania pozostałej trójki. Isa wrzucił właśnie w fale naszą córkę, Nizam zaś odpłynął tak daleko, że za chwilę mógł mi zniknąć z oczu. Czy w Raju istnieją takie morza? Allah nie odpowiedział mi na to pytanie, sama jednak doszłam do wniosku, że na pewno istnieją, bo czy bez nich Raj mógłby być Rajem?

Wiedziałam z książek historycznych, że aby dotrzeć do Hindustanu, Europejczycy musieli pokonać nieznane bezkresne morza, ale teraz dopiero poczułam dla nich prawdziwy podziw. Jeśli Ladli ma rację, pomyślałam, i rzeczywiście żyjemy wiele razy, to może w którymś z następnych wcieleń ja też zostanę odkrywcą? Mogłabym wtedy nadać nowym lądom imiona moich najbliższych, a może i własne jakiejś niedużej wysepce. Tak przecież czynili ci wielcy odkrywcy.

Ale jeśli to nawet możliwe, to jeszcze nie teraz, powiedziałam sobie. Teraz czeka mnie jeszcze wiele lat życia w moim obecnym ciele i niemało spraw do załatwienia. Mam córkę, której trzeba znaleźć męża, i ukochanego mężczyznę, którego muszę odzyskać.

Przestań! skarciłam się w duchu. Znów coś knujesz?

— Chodź do nas, matko! — zawołała Ardzumand.

Pokręciłam głową przecząco, lecz na sam dźwięk jej głosu zalała mnie fala czułości. Każdy mężczyzna byłby szczęśliwy z taką kobietą jak ty, moja córko, pomyślałam. Nie żebym chciała zarzucać coś mojej matce — była dla mnie doskonałością — jednak w przeciwieństwie do niej postanowiłam zrobić wszystko, aby moja córka mogła wyjść za mąż z miłości. Było mi obojętne, czy jej wybrańcem zostanie bogacz czy biedak — jeśli tylko będzie ją kochał.

— Zadbam o ciebie, córeczko — szepnęłam.

Dzień miał się ku końcowi, gdyśmy wreszcie opuścili plażę. Nizam i Ardzumand poszli polapać konie, a my z Isą — poszukać kwater. Musieliśmy wyglądać dosyć osobliwie w przemoczonych ubraniach, lecz właściciel wybranego domku powitał nas bardzo serdecznie. Wynajęliśmy u niego trzy izby, on zaś był tak miły, że zaprosił nas na wieczerzę.

Jego żona, prosta, lecz pełna ciepła kobieta, przygarbiona od ciągłego naprawiania sieci, postawiła przed nami coś bardzo dziwnego. Była to gęsta zupa — nigdy jeszcze takiej nie jadłam — w której pływały jakieś niesamowite stworzenia. Jedne były różowe i gospodarze nazywali je krewetkami, a drugie, jeszcze dziwniejsze — kałamarnicami. Te miały wiele wijących się ramion; można było pomyśleć, że zaraz zaczną się ruszać.

Poczęstowaliśmy naszych gospodarzy winem przywiezionym z Bidżapuru. Choć Święta Księga zabrania picia tego trunku, w tym punkcie się z nią nie zgadzam. Wino rozwiązuje ludziom języki i wspaniale ożywia konwersację. Tak też się stało. Już po chwili poczuliśmy się tak swobodnie, jakbyśmy zjedli z sobą beczkę soli.

Nocą przytuliłam się do Isy, chłonąc jego bliskość, za którą tak długo tęskniłam. Oby mogło tak być już zawsze...

Następne trzy dni spędziliśmy jeżdżąc konno, odbywając długie spacery po plaży, śmiejąc się i rozmawiając, a czasami nawet się kłócąc. Pewnego popołudnia zobaczyliśmy stadko wielkich morskich stworzeń — delfinów, jak nam powiedział nasz rybak.

Wskoczywszy do wody, zaczęliśmy je ścigać, ale one ani myślały uciekać, przeciwnie, jeły nas okręzać z zadziwiającą szybkością i wdziękiem — zupełnie jakby chciały się z nami pobawić.

Jeśli nie pluskaliśmy się w morzu, to szliśmy na plażę, by zbierać spiralne muszle, gonić wyrzucone z wody kraby bądź budować z piasku całe miasta. Pewnego razu Nizam, który zdawał się drzemać, zaskoczył nas miniaturową kopią Tadż Mahal. Minarety wprawdzie trochę się sypały, ale całość, jak orzekł Isa, miała właściwe proporcje i naprawdę budziła podziw podobieństwem do oryginału. Nasz przyjaciel starał się ukryć, jak cieszą go nasze pochwały, mimo to widać było, że nie posiada się z dumy. Pracę przy budowie Tadż Mahal uważał za najważniejszy rozdział swego

życia. Walczyć czy służyć może każdy, lecz wydobyć piękno z kamienia potrafią tylko nieliczni, a on miał zaszczyt znaleźć się w ich gronie.

Każdego popołudnia gospodarz zabierał nas na swą łódź, gdzie pod jego nadzorem uczyliśmy się zastawiać pułapki na kraby i zarzucać sieci. Właśnie to ostatnie szczególnie przypadło Isie do gustu. Choć nie potrafił rzucać wielkiej sieci aż tak daleko jak Nizam, jego rzuty były celniejsze — zawsze on właśnie wyławiał najwięcej ryb. Wabiliśmy je okruchami chleba. Różniły się od tych, które żyją w rzece. Jedne były długie, drugie znów pękate, niektóre brunatne, inne kolorowo nakrapiane. Część zostawialiśmy sobie na wieczerzę, pozostałe zwracaliśmy morzu.

Po powrocie z połowu szliśmy popływać — o zmierzchu fale nie były już takie gwałtowne jak w dzień. Obie z Ardzumand pozbyłyśmy się sukien i zaczęły ubierać jak chłopcy — tak było znacznie wygodniej. Jak to dobrze, myślałam, że nie dzieli nas żaden dystans — jakbyśmy były siostrami. Ona opowiadała mi o swojej pracy, która sprawiała jej mnóstwo radości, ja jej o Agrze i dziadku.

Stanowiła zdumiewającą zaiste mieszankę cech swego ojca i moich. Nie tylko pod względem wyglądu, lecz także charakteru i usposobienia. Bystry rozum wzięła pewnie po nas obojgu, po mnie zdecydowanie, a po Isie młodzieńczy entuzjazm, łagodność i dobroduszość. Wiedziałam, że przy tak znacznym podobieństwie usposobień Isa zawsze będzie jej bliższy niż ja, lecz myślałam o tym bez żalu.

Żadne z nas nie mówiło o nieuniknionym rozstaniu — liczyło się tylko dziś. Pragnęliśmy jak najpełniej wykorzystać ten darowany nam czas — śmiać się do bólu brzucha, a pływać dopóty, dopóki ramiona i nogi nie zaczną nam ciążyć jak ołów. Tak też było — do ostatniego wieczoru.

W ów wieczór wypiliśmy resztę wina, a potem we czworo poszliśmy na plażę, gdzie rozpaliliśmy ogień. Nikomu nie chciało się mówić. Patrząc w płomienie, słuchaliśmy huku fal uderzających o brzeg. Poczułam, że będę tęsknić za ich szumem.

— Musimy tu kiedyś wrócić — powiedziała cicho, a gdy nikt nie podjął tego wątku, dodałam: — Dwa lata to nie tak znów długo. Postarajcie się szybko zbudować ten meczet. Gdy tylko Aurangzeb będzie martwy, spotkamy się w Delhi.

Ardzumand gniewnym ruchem cisnęła patyk do ognia.

— Mówisz tak, jakby to była fraszka, a przecież wcale tak nie jest. A jeśli twój plan zawiedzie? Sułtan może nie dotrzymać obietnicy.

— Nie zrobi tego, moje dziecko.

— A jeśli jednak? Znów nas zostawisz i wrócisz do dziadka? Zaskoczyły mnie jej słowa — nie przypuszczałam, że nosi w sobie aż tyle gorzkiej niechęci, lecz czy mogłam ją za to winić? Pragnęłam jedynie, aby na to, że zostałam w Agrze, spojrzęła z mojego punktu widzenia.

— Powiedz, Ardżumand, czy gdybyś była na moim miejscu, uciekłabyś z Agry, zostawiając swojego umierającego ojca? — Popatrzyłam na nią pytająco, ale umknęła wzrokiem. — Uważasz, że o tobie zapomniałam? Och, moje dziecko, myślałam o tobie dniem i nocą w tej okropnej celi!

— Wszystkim nam było ciężko — odezwał się Isa — ale twoja matka postąpiła słusznie. Kiedyś to zrozumiesz.

— Dopiero kiedyś? Bo teraz jestem dzieckiem? To chciałeś powiedzieć?

— Nie jesteś dzieckiem.

— Ale tak mnie traktujecie! Jak słabe głupiutkie dziecko.

— Nie, Ardżumand — wtrąciłam — wprost przeciwnie. Zawsze uważałam, że jesteś silna, że dasz sobie radę beze mnie, i właśnie dlatego mogłam zostawić cię z ojcem. Gdybyś była kruchym, słabiotkim dzieckiem, musiałabym opuścić twojego dziadka i wuja. Gdyby tak się stało, Dara w chwili swojej strasznej śmierci nie miałby przy sobie nikogo bliskiego, a twój dziadek z pewnością by umarł. Tak więc to tobie i twojej sile mój ojciec zawdzięcza swój powrót do zdrowia.

— Jak możesz mówić, że jestem silna? Silni ludzie nie płaczą całymi nocami, a ja...

— Płaczą, gdy czują taką potrzebę. Uczy się nas, kobiety, że łzy oznaczają słabość, ale to nieprawda. Łzy przynoszą ulgę; łatwiej nam potem otrząsnąć się z żalu, gdzież więc tu słabość?

— Ale ja nie chcę, żebyś wyjeżdżała. A jeśli...

— Twój ojciec przyrzekł ci, że wrócę, i dotrzymał obietnicy, prawda? Ja też ci przyrzekam, że za dwa lata będziemy razem.

— Ale przez ten czas... To nie takie łatwe.

— Wiem, moje dziecko. — Poglądziłam ją po ramieniu, Nizam zaś ostrożnie dorzucił do ognia. Ciekawe, o czym teraz myśli? — Jestem z ciebie dumna, Ardżumand — mówiłam dalej. — Jesteś nie tylko silna, lecz i wolna duchem, a to rzadka cecha. Pamiętaj, że ludzie, zarówno wrogowie, jak i przyjaciele, będą próbowali cię ją zabrać. Wolność to skarb bez ceny. Walcz o nią. Nigdy, przenigdy nie pozwól jej sobie odebrać.

— Będę za tobą tęsknić — szepnęła, zarzucając mi ręce na szyję. — Bądź ostrożna, gdy wrócisz do Agry. Twój brat musi być wściekły z powodu twojej ucieczki.

Udałam, że się tym nie przejmuję.

— Aurangzeb to osa z wyrwanym żądłem.

— Może wyhodować sobie drugie. Pocałowałam ją w czoło.

— Zatopiono już we mnie parę żadeł i żyję. W razie czego przeżyję i teraz. Późno już, moje dziecko, a jutro czeka nas długa droga. Powinnaś się wyspać.

Powiedziała nam „dobranoc” i Nizam odprowadził ją do chaty. Isa przysunął się do mnie i pocałował w ucho.

— Twój brat, Jaskóleczo, jest o wiele groźniejszy od osy i wcale nie stracił żądła.

— Nie dam mu się złapać.

— Dlaczego, na Boga, koniecznie chcesz jechać do Agry? Jedź do Lahauru albo do Delhi, odwiedź swoje siostry. Na pewno bardzo się ucieszą.

— Na pewno tak by było.

— Więc jedź do nich!

Pomyślałam z żalem o swych młodszych siostrach — szkoda, że los nas rozdzielił.

— Wiem, że niedawno obie wyszły za mąż. Nie chcę im teraz przeszkadzać.

— A ja wiem, że czujesz się straszliwie winna wobec ojca i dlatego chcesz wracać do Agry, ale...

— Nic mi się nie stanie, a ojciec... jestem mu potrzebna. Nie mniej niż w pierwszych dniach po uwięzieniu.

— Lecz czy chciałby narażać cię na takie ryzyko? Jestem pewien, że nie. Ty też. Więc dlaczego to robisz?

— Dlaczego? Bo mój ojciec ofiarował mi bezcenny dar, ciebie! Czym byłoby moje życie bez twojej miłości, bez dziecka? Pomyśl, on dał mi szczęście, a ja? Co ja zrobiłam dla niego? Zostałam go w tej nędznej celi, zamiast go zabrać ze sobą! Prawda, że nie chciał jechać, ale trzeba go było zmusić!

— Sprawisz mu najgorszy ból, jeśli stanie ci się coś złego...

— Och, Iso, zostałabym z wami, gdyby to było możliwe! — przerwałam mu gwałtownie. — Skoro jednak nie jest, nie mogę zrobić nic innego, jak tylko wrócić do ojca!

— Myślisz, że tylko ciebie dręczy poczucie winy? Ja też borykam się z tym od lat i też z powodu ojca. Chciał, żebym został architektem, opuściłem go więc, by się uczyć, a on w tym czasie umarł sam jak palec.

— Lecz spełniając jego życzenie, sprawiłeś mu radość.

— Próbowałam... — Oderwał wzrok od ognia i spojrzał mi w oczy. — Ty też wiele razy sprawiłaś radość swemu ojcu. On wie, że go kochasz. Nie musisz tego udowadniać ani jemu, ani nikomu innemu.

— Nie chcę, by umierał beze mnie w tej celi! Będę ostrożna, przysięgam! Zamieszkać gdzieś poza Czerwonym Fortem i będę tylko odwiedzać ojca. W przebraniu.

— Czemu to dla ciebie takie ważne, że gotowa jesteś ryzykować życie?

Poruszyłam się niespokojnie.

— Kiedy moja matka leżała na łożu śmierci, złożyłam jej obietnicę...

— Jaką?

— Że gdy jej zabraknie, będę się troszczyć o ojca.

— Przecież się troszczysz. Och, Dżahanaro, oddałaś mu pięć lat życia. Zachowaj resztę dla siebie.

Nie chciałam, żeby ten ostatni wieczór upłynął nam na rozmowie o obowiązku i śmierci, a że właśnie spostrzegłam spadającą gwiazdę, spróbowałam zmienić temat.

— Jak myślisz, dlaczego gwiazdy spadają?

— Uważasz, że my z Ardżumand nie mamy nic do gadania? — mówił dalej, jakby mnie nie słyszał. — Że jesteśmy gliną w twoich rękach?

— Och, mój drogi, wiem, że gnębi cię myśl o jutrze, czy jednak musimy o tym mówić? Co z tego za pożytek? Wierz mi, mnie też to dręczy, ale nie chcę później żałować, żeśmy zmarnowali tyle cennego czasu na niepotrzebną dyskusję.

Westchnął i spojrział w wygwieżdżone niebo.

— Pytasz, czemu spadają gwiazdy? Może są... po prostu zmęczone? Podobno płoną od tysięcy lat. Może po tak długim czasie po prostu się wypalają jak drwa w ognisku czy świeca.

— Świeca gaśnie, ale jej ogarek nie spada.

— A może niebo to czarna szata Allaha, a gwiazdy to przyszyte do niej diamenty? Kiedy Stwórca chodzi, zaczynają migotać, a gdy biegnie, odrywają się czasem od szaty.

— Więc dlaczego ich nie znajdujemy?

— Bo wpadają do morza — odrzekł, obejmując mnie ramieniem. — Jest ich tam tyle, że ryby budują sobie z nich pałace.

— A co na to Allah? Nie żał Mu tych diamentów?

— Ma ich pewnie tak wiele, że wystarczy Mu na całą wieczność. — Powietrze pochłodziło, przysunęliśmy się więc do ognia. Wiatr niósł aż tutaj drobniutkie kropelki piany. — Chciałbym kiedyś wraz z tobą zamieszkać nad morzem — westchnął Isa.

— Będziemy razem starzeć się na plaży?

— Tak, przez długie lata.

Znalazłam w piasku fragment koralowca i wsunęłam mu ją do ręki.

— Powiedz, o czym marzysz w samotne noce.

— O przyszłości. O tym, jak to będzie, kiedy do mnie wrócisz.

— Często o mnie myślisz?

Wskazał mi drugą spadającą gwiazdę. Zamigotała i zgasła.

— Czasami — powiedział cicho — biorę do ręki węgiel i zaczynam rysować twą twarz albo całą twoją postać w ruchu. Za każdym razem jesteś inna. Zadumana, gdy myślę o naszym pierwszym spotkaniu, radosna, gdy przypominam sobie narodziny naszej Ardżumand... — Ofiarowaną

przeze mnie gałązką koralowca jał szkicować coś szybko na piasku i po kilku zaledwie pociągnięciach zobaczyłam swoją podobiznę. — Rysuję cię wciąż od nowa, bo wydaje mi się wtedy, że jesteś ze mną.

Pocałowałam go, hamując łzy.

— Iso?

— Tak, ukochana?

— Czy narysujesz mi siebie, żebym mogła cię zabrać do Agry? Chciałabym, żebyś się uśmiechał, bo chyba najbardziej kocham w tobie twoją wesołość.

— Muszę pomyśleć...

— Niech to będzie wasz wspólny portret, twój i Ardżumand. Och, Iso, jeden rysunek! Czy to zbyt wygórowana prośba?

Pogładził mnie po włosach.

— Spełnię twą prośbę, ale nie za darmo.

— Co mam ci dać w zamian?

— Powiedz, że dotrzymasz obietnicy danej naszej córce. — Gdy skwapliwie na to przystałam, uśmiechnął się do mnie. — No dobrze, jedziemy z tobą do Agry.

Ogień zaczął przygasać — nie mieliśmy już więcej drewna. Patrząc w słabnące płomienie, przeżywałam męki na myśl o naszej jutrzejszej rozłące. Było to gorsze od wszelkich fizycznych cierpień, jakich kiedykolwiek doświadczyłam w życiu. Ukrywałam ten ból przed Ardżumand, a nawet przed samą sobą, ale Isy nie mogłam oszukać. Zaczęłam płakać.

— Buduj szybko ten meczet — poprosiłam zdławionym głosem. — Jest na świecie tyle rzeczy, które pragnę zobaczyć wraz z tobą! I tak strasznie żal mi tych lat, które nam mijają bez siebie!

— Mnie też — wyszeptał, muskając moje czoło pocałunkiem — ale jakoś musimy je przetrwać. Po powrocie do Agry w każdą noc pełni usiądź naprzeciw Tadż Mahal, popatrz na księżyc i pomyśl, że i ja patrzę w jego tarczę. A kiedy Allah upuści któryś ze swych diamentów, będziemy oboje śledzić jego drogę, by na owej świetlistej ścieżce spotkać się myślami... Powiem ci wtedy, że kocham cię, Jaskółeczko.

CZEŚĆ IV

Wiedz, że imion Boga Najwyższego jest bez liku,

ponad nasze ludzkie pojęcie.

„Zmieszanie się dwóch Oceanów”

Jest późne popołudnie i w otaczających nas łodziach trzepoczą się złowione ryby. Nie potrafię powiedzieć, co to za ryby — nie mam już takich oczu jak kiedyś — widzę tylko, że są brunatne i że zdychają bez wdzięku. Ich widok przypomina mi wszystkie te piękne stworzenia, które łowiliśmy w morzu, i nie mogę oprzeć się myśli, że Allah, siejąc ziarna życia w morskie wody, musiał być bardziej natchniony niż w chwili, gdy stwarzał Dżamnę.

— Więc ich opuściłaś? — W głosie Rurajji brzmi niedowierzenie.

— Musiała — odpowiada za mnie Gulbadan. — Przecież słyszałaś!

Kocham te dziewczyny, bo w ich twarzach widzę Ardżumand. Widzę też moje ślady, a w wąskich dziewczęcych policzkach odnajduję szczupłe oblicze Isy.

— Rurajja ma rację, kochanie, nie musiałam wyjeżdżać. Postąpiłam głupio.

— Skoro tak, to powiedz, czemu to zrobiłaś? — pyta Gulbadan, niecierpliwie szarpiąc hidżab.

Poprawiam jej go — tak jak kiedyś matka poprawiała mój.

— Widzisz... Isa wiedział, jak bardzo zależy mi na tym, żeby zyskać uznanie ojca, nie rozumiał tylko, dlaczego tak o to zabiegam. Ja zresztą też nie. Pojęłam to dopiero teraz.

— Tak? No i czym to tłumaczysz?

— Już jako młoda dziewczyna zrozumiałam... że nigdy nie dorównam braciom. Że w oczach nobilów, artystów i wojowników zawsze będę tylko słabą istotą niegodną takiego traktowania, takich pochwał i zachęt, jakich nie szczędzi się chłopcom. Próbowałam więc zarówno wtedy, jak i później dowieść swemu ojcu, że zasługuję na jego miłość. Och tak, kochał mnie ogromnie, cenił moje opinie, nieustannie mnie chwalił, ale mnie nękały wciąż wątpliwości, czy naprawdę mi się to należy. To był rzeczywisty powód, dla którego wróciłam do Agry: chciałam dowieść samej sobie, że ojciec się nie mylił, obdarzając mnie miłością i uznaniem, że oceniał mnie właściwie — w przeciwieństwie do Aurangzeba, mojego męża i innych.

Moje wnuczki milczą. Widzę, że w ich oczach pojawia się nagle smutek, mówię więc z pośpiechem, ściskając im dłonie:

— Wy nie musicie nic udowadniać ani ludziom, ani sobie. Jeśli chcecie zapamiętać coś z mej opowieści, niech to będą te właśnie słowa.

Gulbadan w milczeniu kiwa głową, palce Rurajji mocniej zaciskają się na moich.

— I co dalej, Dzaha?

— Wszyscy czworo wróciliśmy do Bidżapuru, a potem Nizam i ja do Agry.

— A co z Aurangzebem? — dopytuje się Gulbadan. — Odkrył, że jesteś w Agrze i zaczął cię znów prześladować?

— A czy kot kiedykolwiek pozbędzie się swoich pcheł? — odpowiadam, myśląc o Ladli. Ona by tak powiedziała. — Po powrocie do Agry wydarzyło się wiele strasznych rzeczy. — Z wielkim trudem zmuszam się do wspomnień, których wolałabym nie mieć. — No cóż, sobie tylko zawdzięczam, że znalazłam się znów w więzieniu. Uwolniłam jednak Nizama.

ROZDZIAŁ 22

Świat bez Boga

Powrót do Agry zajął nam cały miesiąc. Ciężko mi było na sercu, lecz pocieszałam się myślą, że mym najdroższym nie grozi teraz nic złego i że wkrótce się zobaczymy. Wynajawszy kwatere z dala od fortu, wydałam kilka złotych monet, które jeszcze zostały nam w sakwach, na zakup obszernej kosztownej sukni i długiego naszyjnika z pereł. Umalowałam sobie twarz w taki sposób, by wydawała się starsza, ufarbowałam włosy na siwo i ufna w swoje przebranie poszłam odwiedzić ojca. Zachowywałam się także jak stara arogancka arystokratka, wyniośle ignorując ulicznych żebraków i bez słowa mijając stojących w bramie wartowników. Nie powiem, że się nie bałam, lecz uspokoiły mnie trochę pogłoski, że Aurangzeb jest na północy, gdzie znów wojuje z Persami.

W korytarzu wiodącym do mej dawnej celi zaskoczyła mnie liczba strażników: było ich teraz ze trzy razy więcej. Na pytanie, kim jestem i dokąd idę, odparłam z pewną miną, że przybywam z Lahauru, gdzie mam wielkie dobra, a idę odwiedzić cesarza. Nie chcieli mnie wpuścić; dopiero gdy wręczyłam srebrną monetę dowódcy, w końcu otworzyli drzwi.

Na widok celi omal nie krzyknęłam.

Nie było mnie tutaj ledwie dwa miesiące, a wewnątrz wyglądało jak stara zatęchła nora! Z pułapu zwisały długie pajęczyny, na meblach leżały pokłady kurzu, na podłodze wałały się brudne

naczynia i szmaty. Gdzie ojciec? Jęknęłam głośno, gdy wreszcie go zobaczyłam. Leżał koło okna w tak brudnej tunice, jakby jej nie prano od roku, strasznie blady i chudy, tylko broda — teraz już całkiem biała — wyrosła mu prawie do pasa. Przerażona, że nie żyje — nawet nie drgnął na odgłos mych kroków — rzuciłam się ku niemu pędem, zamiatając szeleszczącą suknią leżące dookoła śmieci.

— Ojczy!

Jęknął i otworzył oczy. W pierwszej chwili chyba mnie nie poznał, ale potem szepnął urywanym głosem:

— Ach, to ty... żyjesz... wróciłaś...

Uniosłam mu głowę i położyłam sobie na kolanach. Była wilgotna od potu.

— Co tu się stało? Spróbował się uśmiechnąć.

— Choroba... wróciła... ale...

— Ale nie było nikogo, kto by ci chciał pomóc.

— Akbar... bardzo się starał.

Spojrzałam do góry — sokół siedział na swojej grzędzie. W innych okolicznościach uśmiechnęłabym się na ten widok, ale dziś byłam od tego daleka. Szok sprawił, że czułam się wyczerpana jak po długim biegu — krew łomotała mi w skroniach, nogi ciążyły jak ołów.

— Wybacz mi — szepnęłam.

— Nie mam ci czego wybacząć, Dżahanaro. — Ojciec rozkaszał się gwałtownie. Kiedy atak minął, ręką sukni wytarłam mu zroszone czoło. — Nie powinnaś tu przychodzić, moje dziecko... To niebezpieczne...

— Wiem.

— Co z Isą i Ardżumand?

— Są w niewoli u sułtana Bidżapuru. Ale już niedługo będą wolni.

Opowiedziałam mu krótko o wszystkim, kończąc tym, iż sułtan zobowiązał się uwolnić więźniów. O zawartej z nim umowie nie wspomniałam. Lecz mój ojciec za dobrze znał władców.

— Mam nadzieję, że zbyt dużo mu nie obiecałaś? — szepnął, mrużąc oko. Kosztowało go tyle wysiłku, że zamilkł na dłuższą chwilę, z trudem łapiąc oddech.

— Co robiłaś, kiedy mnie nie było?

— Cóż, sypiam teraz tutaj — wskazał głową okno. — Czasami, gdy jestem silniejszy, patrzę tam... na jej grób... Obserwuję też Akbara. Wylatuje na zewnątrz, ale zawsze wraca... — Zaczął kaszleć jeszcze gwałtowniej. Widać było, że strasznie cierpi.

— Co mówi lekarz?

— Nic... — Całym jego ciałem znów wstrząsnął kaszel. — Nic nie mówi... bo... zabroniono mu... mnie odwiedzać.

— Zabroniono mu odwiedzać cesarza?!

— Nie krzycz, moje dziecko.

— Jak oni mogą! Jak mogą traktować tak swego cesarza, który im wyświadczył tyle dobra?!
— krzyknęłam gniewnie.

Próbował odpowiedzieć, ale znów go nawiedził atak kaszlu. Widok jego cierpień doprowadził mnie do ślepej furii, takiej samej jak wtedy, gdy zamordowano Darę. Nie bacząc już na nic, wypadłam na korytarz.

— Gdzie lekarz? — krzyknęłam na zdumionego strażnika. — Czemu go tu nie ma?

— Według mnie nie ma takiej potrzeby — oświadczył dowódca, chudy jak patyk mężczyzna o twardych bezlitosnych oczach. — Więzień wygląda dobrze.

— Tak dobrze jak kupa łajna! Potrzebuje pomocy! Wystarczy na niego spojrzeć! Tylko głupiec może tego nie widzieć!

Myślałam, że się przestraszy, ale on, czując za plecami swych zbitych w kupkę żołnierzy, poczuł się mocny.

— Pohamuj swój język, kobieto!

— Ani myślę!

— Co?!

— Twoje imię?! — rzuciłam ostro.

— Ja tu zadaję pytania!

— Jakim prawem?

— Prawem cesarza Alamgira! — odkrzyknął.

W jego rozdziawionych ustach dostrzegłam żelazny ząb. Ten ząb i te zimne oczy wydały mi się znajome... Gdzie ja go widziałam?

— Czyżbyś mnie nie pamiętała? — zapytał, wyciągając rękę takim gestem, jakby chciał mnie chwycić za ramię.

Cofnęłam się przed nim.

— Nie znam cię.

— Bogacze nigdy nie pamiętają ubogich — syknął. — Jesteśmy dla was niczym.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— A powinnaś! Pracowałam wraz z tobą przy budowie Tadź Mahal. O, ja ciebie nigdy nie zapomnę! Od razu cię rozpoznałem pomimo tych siwych włosów i przygarbionych pleców. Bo widzisz, miałem cię na oku. O wszystkim co robiłaś, donosiłem Alamgirowi.

Poczułam, że żołądek kurczy mi się ze strachu.

— Bierzesz mnie za kogo innego.

Splunął mi pod stopy.

— Kłamiesz!

— Nie, to tobie coś się pomyliło.

— Nic mi się nie pomyliło, księżniczko! Ten stary wieprz tam za drzwiami to twój ojciec. Alamgir pozwolił mu zdychać w tym chlewie, żeby cię tu ściągnąć. No i udała się sztuczka. Tylko córka starego tak by się przejęła jego zdrowiem.

— Jego córki są w Delhi — odrzekłam, gorączkowo szukając jakiejś deski ratunku.

— Nudzisz mnie, kobieto, choć gdybyś się postarała, mogłabyś mnie rozgrzać.

Jego ludzie, rycząc ze śmiechu, otoczyli mnie kręgiem, on zaś zuchwale chwycił mnie za suknię i zaczął miętosić ją w palcach. Poczułam, że miękną mi nogi. Odsunęłam się od niego, ale nic to nie pomogło — podszedł jeszcze bliżej.

— Uważaj! — szepnęłam mściwie, choć głos mi się łamał. — Aurangzeb może mnie nienawidzić, ale zabije każdego, kto odbierze mu jego zemstę.

— To prawda. — Z takim impetem wepchnął mnie do celi, że runęłam na kolana. Drzwi zatrasnęły się z hukiem, głusząc nowy huragan śmiechu, który wybuchł na korytarzu. Bezskutecznie próbowałam opanować rosnącą panikę. Jeszcze gorsza była świadomość, że za wszystko, co tu się stało, mogę winić jedynie siebie. Jak mogłam być tak lekkomyślna? I tak naiwna, żeby nie wyczuć pułapki? I co teraz? Przez swoją pychę i głupią brawurę zawiodłam Isę i Ardżumand, bo jak mam teraz dotrzymać danej im obietnicy? Czemu ich nie posłuchałam?

— Co ja zrobiłam? — zawołałam z płaczem.

— Dżahanaro? — Ojciec podniósł głowę.

— Tak, ojcze?

— Co się stało?

Otarłam łzy.

— Strażnicy mnie rozpoznali... — odrzekłam bezradnie.

— Twój temperament... — Atak kaszlu odebrał mu głos, a gdy przestał kaszleć, głowa opadła mu na poduszkę, jęknął i znieruchomiał.

Przeraziłam się, że to koniec. Twarz miał rozpaloną od gorączki. Drżał tak gwałtownie, że aż latały mu szczęki.

— Nie umieraj, ojcze! Błagam, nie odchodź!

Z bólu nie mógł mówić. Wydał tylko z siebie głuchy jęk protestu, kiedy nagle opróżniły mu się kiszki. Po całej komnacie rozszedł się straszliwy fetor, ale to właśnie pomogło mi się pozbierać.

Trzęsąc się cała jak w febrze, zaczęłam grzebać w leżącej na podłodze stercie ubrań, wydobyłam z niej jakiś szal, zamoczyłam w wodzie i położyłam go ojcu na czole. Mamrocząc coś niezrozumiale, próbował protestować, gdy go zaczęłam rozbierać, ale robiłam swoje. Odkrywszy ze zgrozą, że w jego tunice roi się wprost od wszy, wyrzuciłam ją przez okno. Stałam tam potem przez chwilę, patrząc na Tadź Mahal. Skup się na ojcu, nakazałam sobie, zaciskając palce na grubych żelaznych prętach, myśl tylko o nim. Stałam tak dopóty, dopóki nie poczułam, że ręce i nogi przestają mi drżeć.

Zrobiłam, co mogłam, żeby doprowadzić ojca do porządku. Przeszukawszy sterty rzeczy darowanych mu przez nobilów, znalazłam miedziany dzban, napełniłam go wodą, a potem tak długo trzymałam nad zapalonymi świecami, że aż zdrętwiały mi ręce. Ostrożnie polewając ojca podgrzaną wodą, wyszorowałam go konopną szmatką — skórę miał tak pogryzioną przez wszy, że miejscami zaczęła już ropieć — nie szczędząc mydła, umyłam mu włosy i brodę, a potem obciąłam paznokcie i spryskałam go perfumami.

Po przebraniu ojca w najczystsze rzeczy, jakie zdołałam znaleźć, zajęłam się jego posłaniem. Zawszone dywany i derki też wyleciały przez okno. Na szczęście w komnacie leżała cała góra nowych. Świeżo przygotowane posłanie ułożyłam pod samym oknem — może powietrze dobrze mu zrobi?

Ojciec nie wyrzekł słowa ani nie otworzył oczu, kaszlał tylko od czasu do czasu albo krzywił się z bólu, chwytając się ręką za brzuch. Widząc, jak strasznie cierpi, pomyślałam, że jednak dobrze zrobiłam, wracając do Agry — może zdołam mu choć trochę ulżyć. Gdybym tylko nie dała się tak głupio złapać! Kiedy już leżał na nowym posłaniu, pojawił się jakiś gburowaty strażnik z jedzeniem — wodnistą polewką z ryżu i kukurydzy, dwoma szerniałymi bananami i kawałkiem chleba.

Zanim mi się udało nakarmić ojca, położyć go spać i wmusić w siebie parę kęsów chleba, zaczął już zbliżać się wieczór. Akbar nagle zaskrzeczał i sfrunął ze swej grzędę na parapet. Przysiadł tam na moment, a potem zręcznie przecisnął się przez pręty i rozpostarłszy skrzydła, niespiesznie poszybował w stronę blednącego światła. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął mi z oczu, a potem ja także ległam na swym posłaniu.

Byłam wyczerpana jak po długim biegu, lecz sprawiła to głównie udręka z powodu tego wszystkiego, co mnie tu dziś spotkało. Miałam wszak nadzieję zastać ojca w dobrym nastroju, a na pewno w lepszym zdrowiu niż w chwili mojej ucieczki. Zamierzałam postarać się o to, by jego życie w tej celi stało się znośniejsze, nie narażając się przy tym na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, on tymczasem był bliski śmierci, ja zaś znalazłam się znów w więzieniu! Jak mam dotrzymać danej Ardzumand obietnicy, że do nich wrócę? Właśnie to dręczyło mnie najbardziej.

Portret jej i Isy zostawiłam w swojej kwaterze razem z resztą moich rzeczy. Wiedziałam, że Nizam z pewnością go zniszczy, gdy usłyszy, że mnie uwięziono. Nie byłoby dobrze, gdyby podobizna mych najbliższych wpadła w czyjeś mściwe ręce... Mój wierny przyjaciel zacznie też pewnie planować kolejną ucieczkę. Znając go, wiedziałam, że zechce uwolnić mnie siłą. Nie mogę mu na to pozwolić. Zginąłby niechybnie przy takiej próbie. Pilnuje mnie zbyt wielu ludzi.

Poczułam się strasznie samotna. Tak samotna jak wtedy, przed wielu laty, kiedy omal nie utonąłam w Dżamnie. Tuląc do siebie poduszkę, zaczęłam zalewać się łzami. W końcu zmęczona płaczem spróbowałam zasnąć — może sen przyniesie mi ulgę? Lecz Stwórca widać był już znużony spełnianiem mych ciągłych prośb — sen nie przychodził.

Minęło parę godzin, a ja nadal nie mogłam zasnąć, usłyszałam więc w pewnej chwili, że ktoś cicho otworzył drzwi celi, potem doszedł mnie odgłos czyichś kroków i oto z ciemności zaczęła się wyłaniać jakaś postać. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Nizam przybył mnie ratować, ale nie, ten ktoś był znacznie grubszy, nie miał też w ruchach owej kociej gracji, którą zawsze podziwiałam u Nizama. Przybysz zrobił jeszcze parę kroków — i ku swemu przerażeniu rozpoznałam w nim Chondamira! Pięć lat minęło od chwili, gdy po raz ostatni byłam zmuszona ścierpieć jego obmierzłą obecność, i czas ten nie był dla niego łaskawy. Obwód w pasie poszerzył mu się dwukrotnie, a otłuszczona gęba tak obwisła, że przypominała zad słonia. Zaczęłam podnosić się z posłania.

— Mój panie...

Jego kopniak trafił mnie w brzuch. Kiedy zgięłam się z bólu we dwoje, schwycił mnie za kark i brutalnym szarpnięciem poderwał do góry.

— A więc to prawda — wysyczał — wróciłaś! Mój człowiek miał rację.

— Aurangzeb... — wydyszałam — ...powiem mu... o wszystkim...

Z rozmachem uderzył mnie w twarz.

— Milcz! — warknął ochryple. — Powiedz jeszcze słowo, a obetnę ci ten twój jaszczurczy język. — Próbowałam kiwnąć głową, ale jeszcze mocniej zacisnął mi łapę na karku. — Twój brat, nędzna dziwko, jest daleko, a ja nie boję się twoich pogroźek. Jemu też powiedziałem, że ta gadanina o kobrze to oszustwo. Szkoda, że nadal wierzy w twoje kłamstwa, no ale kłamać to ty umiesz! — Puścił mnie tylko po to, żeby mi wymierzyć kolejny policzek, tak ostry, że głośno jęknęłam. — Nie myśl, że ktokolwiek przyjdzie ci dziś z pomocą — oświadczył z morderczym okrucieństwem. — Twoi strażnicy piją na mój koszt, a nikt inny nie wie, że tu jesteś.

Korzystając z tego, że na moment odwrócił wzrok, aby spojrzeć na ojca, rzuciłam się na niego z pazurami, próbując wydrapać mu oczy. Nie udało mi się sięgnąć tak wysoko, ale przeorałam mu gębę do krwi. Zaskowyczał jak kopnięty pies i z taką siłą uderzył mnie swą wielką zaci-

śniętą pięścią, że świat zawirował mi przed oczami, a w ustach poczułam smak krwi. Wyplułam ją z głośnym jękiem.

— Spróbuj postawić mi się jeszcze raz — zagroził, wymierzając mi kolejny cios — a zabiję tego starego. Wpakuję mu sztylet w serce. A teraz rób, co ci każe!

Boże, daj mi siłę, abym mogła to znieść, zaczęłam się modlić, kiedy szarpnięciem zerwał ze mnie suknię. Pozwól mi przeżyć tę noc.

— Pamiętasz, dziwko, co mi powiedziałaś ostatnim razem? — Chwytał mnie za piersi i jął szczypać w sutki. Krzyknęłam. — Powiedziałaś, że masz kochanka! Natrząsałaś się z mojej męskości! Teraz też zamierzasz to robić? — zakpił, opuszczając spodnie. Pokręciłam głową, że nie, lecz dla niego był to gest bez znaczenia. Rozsadzała go żądza zemsty. — Nie powinnaś była tu wracać, ale bardzo się cieszę, że jesteś! Dziś wreszcie się z tobą policzę! — Zrobiło mi się niedobrze, gdy owionął mnie jego oddech cuchnący skwaśniałym trunkiem. — A teraz stań na czworakach, jak suka w cieczcze, bo tym właśnie jesteś, suką!

Jeśli zacznę z nim walczyć, zabije ojca... Zrobiłam, co kazał. Jakoś to wytrzymam, myślałam, łykając łzy. Mało to już zniosłam takich nocy? Dziś będzie tak samo. Ale nie, o Boże, było inaczej, bo wtargnął w miejsce przeznaczone do czego innego.

Ból był rozdzierający. Za każdym pchnięciem myślałam, że umrę. Z całej siły zacisnęłam zęby, by nie krzyknąć. Chciał sprawić mi ból i cel swój osiągnął. Co gorsza, był pijany, więc trwało to długo. Kiedy wreszcie skończył, zwałił się na mnie, przygniatając mnie swym ciężarem, tak że ledwo mogłam oddychać. Nie pozwoliłam sobie płakać, żeby nie obudzić ojca. Chybabym umarła, gdyby zobaczył mą hańbę.

Mój oprawca podniósł się wreszcie.

— Piśnij o tym słówko swemu bratu, a doczekasz się drugiej takiej wizyty.

Czułam się tak poniżona, że nawet jemu, takiemu monstrum, nie mogłam popatrzeć w oczy. Myślałam tylko o tym, żeby zwinąć się w kłębek i zaszyć w najciemniejszym kącie, dopóki nie minie ten okropny piekący ból.

— Zabiję twojego kochanka — oświadczył, stając nade mną. — Możesz go już uznać za martwego. Ale przedtem, drąc z niego pasy, opowiem mu o tym, jak sobie z tobą użyłem. Kim on jest? — syknął. — Podaj mi jego imię, a uwolnię cię z tego więzienia.

— Nie żyje — szepnęłam.

— Kłamiesz, ale mniejsza o to. Ja także mam szpiegów, więc w końcu się dowiem, kto to taki i gdzie się ukrył. Odnajdę też jego córkę, którą sprzedam do burdelu, zgwałciwszy ją wpierw ze sto razy. Liczę, że lepiej mi za nią zapłacą niż za ciebie, ty nędzna dziwko.

Tego już nie wytrzymałam.

— Nigdy ich nie znajdziesz... Sam wkrótce umrzesz... Znikniesz bez śladu z tej ziemi razem ze swoim jałowym nasieniem, a ja... ja będę skakać z radości.

Kopnął mnie raz jeszcze, ubrał się i wyszedł. Przyzwawszy na pomoc całą swoją wolę, odziałam się w czyste rzeczy, uporządkowałam posłanie, a potem wreszcie usiadłam pod ścianą i zaczęłam płakać. Ból fizyczny, choć nadal dotkliwy, nie był dla mnie tak straszny jak gwałt zadany memu duchowi. Wiedziałam, że ból w końcu minie, lecz tej nocy nie zapomnę póki życia.

Gdy wreszcie zabrakło mi łez, umyłam twarz i poszłam położyć się u boku ojca. Oddychał płytko, wciąż jednak spał. Za oknem wstawał już świt.

Nie modliłam się tego ranka. Po raz pierwszy w życiu poczułam, że Allah mnie opuścił. Nie było Go już w moim świecie. Tam, gdzie dotąd mieszkał, ziała ciemność — straszliwa ciemność nicości. W tym martwym, opuszczonym przez Boga świecie ja także stałam się pusta i martwa. Nie czułam ani bólu, ani ciepła ojcowskiego ciała.

Tu nie istniała nawet moja miłość.

TLR

ROZDZIAŁ 23

Zemsta

W ciągu następnego roku mój świat z czarnego stał się szary.

Staralam się wyprzeć z pamięci to, co mnie spotkało, skupić się na ojcu, pomóc mu wrócić do zdrowia. Gorączka ustępowała bardzo powoli — niczym ciepło z żarzących się węgli — nigdy też nie odzyskał dawnej kondycji, z czasem jednak na tyle wydobrzeł, że mógł już bez mojej pomocy podnieść się z posłania i stanąć przy oknie. Na szczęście wróciła mu bystrość umysłu; zaczął znów interesować się światem zewnętrznym, a pytania, które mi zadawał, były po dawnemu dociekliwe. Jeśli się domyślał, co zaszło tamtej okropnej nocy, zachowywał tę wiedzę dla siebie. Czasami tylko mnie pytał, czemu jestem smutna, ale ja zawsze wtedy mówiłam, że tęsknię za Isą i Ardżumand.

Jeśli ktoś wiedział, że spotkało mnie coś strasznego, to tylko Nizam. Choć niewiele mówił podczas swoich wizyt, z jego nagłych zamilknięć można się było domyślić, że wyczuwa moje cierpienie. Z czasem nabrałam pewności, że musiał odkryć przyczynę. Może jakiś strażnik coś powiedział, a może Chondamir pochwalił się komuś swą zemstą. Tak czy inaczej Nizam dowiedział się prawdy i bardzo usilnie próbował to ukryć przede mną, nie potrafił jednak ukrywać swoich emocji, a te zdradziły mi wszystko.

Zastanawiałam się nawet, czy go nie poprosić, żeby zabił mego gwałciciela, ale zanim się na to zdobyłam, Chondamir wyjechał do Persji. Miał się tam podobno spotkać z Aurangzebem, przynajmniej tak nam mówiono. Po co? Tego już nasi rozmówcy nie potrafili powiedzieć.

Gdybym przejęła się jego groźbami pod adresem moich najbliższych, poprosiłabym Nizama, żeby za nim pojechał i wyprawił go na tamten świat, nie wierzyłam jednak, że Chondamir mógłby ich odnaleźć. Nigdy nie interesował się Dekanem — aż dziw, jak mało wiedział o tym kraju — my zaś w dodatku postaraliśmy się skierować go na inny, fałszywy trop. Nizam przekupił jego szpiegów — ich imiona i działalność od dawna znane były ojcu — płacąc im dwukrotnie więcej niż ich mocodawca. Mieli karmić Chondamira fałszywymi informacjami. Ojciec nie szczędził na to złoty monet ze swych ukrytych zasobów. Obiecał tym ludziom, że pod koniec roku dostaną dodatkowo sowite nagrody, jeśli zechcą służyć nam i później.

Nizam rzecz jasna pragnął mnie uwolnić, ale związane z tym ryzyko było jak dla mnie zbyt duże. Gdybym zdecydowała się uciec, ojciec by na tym ucierpiał — zarówno z braku opieki, jak i dlatego, że Aurangzeb mógłby go za to ukarać. Wciąż jeszcze dręczyło mnie poczucie winy z po-

wodu poprzedniej ucieczki — wszak omal przez to nie umarł. Gdybym go teraz opuściła, wkrótce znów by się znalazł w takim samym stanie, w jakim go zastałam po powrocie. Czyż mogłam pozwolić, by samotnie odszedł z tego świata w nędzy i poniżeniu? Powiedziałam Nizamowi, że zamiast zamartwiać się o mnie, powinien raczej zadbać o Tadż Mahal. Ojciec wprawdzie miał rację, mówiąc, że Aurangzeb będzie się lękał zburzyć mauzoleum, wystarczyło jednak, że odmówił pieniędzy na utrzymanie obiektu, który wszak od początku był przedmiotem jego ataków, aby zaczął on podupadać. Nie sama budowla, lecz nasze piękne ogrody. Nobilowie raz po raz przynosili nam wieści o zarośniętych rzęsą kanałach, zrujnowanych rabatach i martwych drzewach.

Z cesarstwem działo się podobnie. Hindustan przypominał człowieka cierpiącego na ciężką chorobę. Skarbiec ział pustką — wszystko pochłaniały wojny z sąsiadami. Drogi i mosty wielkim głosem wołały o naprawy. Ludzie marli z głodu tysiącami. Nasza armia słabła — broń była coraz starsza, wojownicy coraz młodszy.

Aurangzeb winił za to wszystkich, tylko nie siebie. Coraz gorzej traktował hindusów, coraz bardziej natomiast schlebiał muzułmanom, przyznając im nowe dobra i zaszczyty. Szydził ze wszystkich, którzy radzili mu zaprzestać wojen, choć byli to zwykle najświetlejsi mieszkańcy Agry. Tymczasem liczba przeciwników wojny nieustannie rosła — wraz z każdą przegraną bitwą. Ci sami nobilowie, którzy kiedyś tłumnie przeszli do jego obozu, knuli teraz przeciw niemu spiski. Szeptano o zdrajcach w jego otoczeniu. I nie były to czcze pogłoski.

Muszę wyznać, że losy imperium obchodziły mnie teraz znacznie mniej niż kiedyś, lecz niedola naszych poddanych przejmowała ogromnym smutkiem zarówno ojca, jak mnie. W sposób nader bolesny przypominała nam także o naszych błędach. Zależały od nas losy tak wielu mieszkańców Hindustanu, a my przez swą nieudolność skazaliśmy ich na cierpienia. Tylu dzielnych ludzi poniosło przez to śmierć...

Ale cóż, mogliśmy nad tym tylko ubolewać. Bo co można zrobić, siedząc w więzieniu? Odbierało nam ono i siły, i wolę. Ja tonęłam w smutku, poczuciu winy i gniewie, ojciec zaś przygotowywał się na śmierć. Czasami nawet miał mi za złe, że nie pozwalam mu umrzeć. Wszak spędził w tej strasznej celi prawie już siedem lat! Narzekał, że każdy mijający rok coraz bardziej oddala go od matki.

Zdawałam sobie sprawę, że kieruje mną egoizm. Po prostu za bardzo kochałam ojca, żeby pozwolić mu odejść. Troszczyłam się o niego, bo czyż mogłam postąpić inaczej? Wszak i on zawsze się o mnie troszczył. Robiłam to również na prośbę nobilów. Zaklinali mnie oni na wszystkie świętości, żebym o niego dbała — dla dobra całego imperium. Mieli rację — mógł wkrótce nadejść taki dzień, kiedy obalony cesarz stanie się znów potrzebny. Matka też by kazała mu żyć, gdyby istniała jakakolwiek szansa na zrzucenie z tronu Aurangzeba. Gdyby ojciec powrócił do władzy,

zapewniłby krajowi pokój. Nakarmiłby biednych, naprawiłby błędy — nasze i Aurangzeba — ale on myślał już tylko o śmierci.

— Pragnę iść do niej — szepnął pewnego wieczoru, stojąc wraz ze mną przy oknie. Wpatrzona w księżycową tarczę, była akurat pełnia, myślałam o Isie, o tym, że i on widzi teraz ten sam wielki księżyc.

— Wiem, ojcze.

— Chciałbym, nim umrę, raz jeszcze odwiedzić jej grób.

— Masz go przed oczami. Czyż nie wygląda cudownie? Myślisz, że gdzieś na świecie istnieje coś równie zachwycającego?

— W księżycowym świetle piękno Tadź Mahal wprost zapierało dech w piersiach.

— Nie, ale nie ma też drugiej takiej jak ona. Jesteś do niej podobna, moje dziecko, ale nawet dwie bliźniacze perły zawsze się trochę różnią, choć pochodzą z tej samej ostrygi.

— Czy bardzo ci ją przypominam? — spytałam cicho. Chyba po raz tysięczny.

— Czyż dwie takie perły nie powstają z tego samego piasku? Z nieba świetlistym łukiem spadła nagle gwiazda.

— Mój Isa myśli teraz o mnie — szepnęłam.

— Za rok będzie wolny. Już wkrótce będziecie razem.

Zamyśliłam się nad tym: czy aby na pewno? Czy po uwolnieniu mych najbliższych przysłany przez sułtana Ahmeda zabójca zdoła uśmiercić Aurangzeba? Jeśli tak się stanie, ja też będę wolna, lecz jeśli z jakichś powodów rzecz się nie powiedzie, co powinnam zrobić? Uciekać wraz z ojcem nawet wbrew jego woli? A jeśli nie zdołam przełamać jego oporu? Byłam zdecydowana dotrzymać swej obietnicy, lecz myśl, że być może będę zmuszona po raz drugi opuścić ojca, przyprawiała mnie o czarną rozpacz.

Następnego ranka ku memu zdumieniu do celi wszedł nagle Aurangzeb w towarzystwie Ladli i Chondamira. Mego brata i swej przyjaciółki nie widziałam od kilku lat, toteż na ich widok szeroko otworzyłam oczy. Ladli ubrana w kosztowną kremową suknię malowaną w chińskie smoki, ze złotym łańcuchem na szyi, prawie się nie zmieniła; w talii i w biodrach była trochę tęższa, lecz twarz miała nadal młodzieńczo piękną, a włosy bez śladu siwizny. Za to Aurangzeb wyglądał okropnie — jakby przez te minione lata coś wyssało z niego wszystkie soki. Był teraz znacznie chudszy, twarz przecinały mu głębokie bruzdy, włosy znad czoła wypadły, broda zaś przybrała kolor żelaza. Zauważyłam, że mocno utyka — widać został ranny. Ciekawe, jak się to stało?

Pozostałam na podłodze, ale ojciec wstał na ich widok.

— Dobrze cię widzieć, mój synu — powiedział łagodnie.

Wiedziałam, że w głębi serca chciałby mu wybaczyć.

Twarz mego brata zadrgała nerwowo.

— Nie jestem twoim synem! Sam tak powiedziałeś, pamiętasz? — odrzekł, zaciskając rękę wokół główki miecza.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Chondamir.

— Staro wyglądasz, kobieto — oznajmił z niemiłym uśmiechem. — Cóż ci dolega?

— Twój smród.

Aurangzeb odchrząknął głośno. Poszukałam jego oczu — zdawały się martwe.

— Wracając tutaj, popełniłaś błąd — oświadczył.

— Cóż, chyba tak — odrzekłam, patrząc na niego bez strachu. Stojąca za jego plecami Ladli ostrzegawczo zamrugła powiekami.

— Czy wiesz, grzesznico, że w zeszłym tygodniu ktoś znów próbował mnie zabić? Tym razem zatrutą strzałą. Trafiła jednak nie mnie, tylko mojego strażnika. Jednego z najlepszych.

— Przykro mi to słyszeć...

— Że mnie nie zabiła? — rzucił gniewnie.

— Mój synu, żadne z nas dwojga nie miało pojęcia, gdzie byłeś w zeszłym tygodniu — wtrącił ojciec. — Chyba nie oskarżasz Dżahanary o ten zamach?

— Czyż nie groziła mi kobra za pośrednictwem swego skrytobójcy? — wykrzyknął na całe gardło. — Teraz gdy została złapana, pragnie znów mojej śmierci!

— Ależ, Aurangzebie...

— Mam na imię Alamgir, na Boga!

— Dżahanara tego nie zrobiła! — ojciec rozkaszał się z wysiłku.

Aurangzeb, nie zwracając na niego uwagi, zbliżył się do mnie. Wstałam.

— A kto mi mówił o wężu? Kto się przechwalał, że ten morderca włoży mi gada do łóżka?! Kto groził śmiercią własnemu bratu? Ty! Będziesz się teraz tego wypierać? Wiesz, że przez twoje groźby zabiłem już więcej zdrajców, niżli mogę zliczyć?

— Jeśli kogoś zdradzili, to tylko Darę.

— Nawet teraz się ze mną spierasz, ty głupia, bezużyteczna kobieto? Gdyby nie ten twój skrytobójca, byłabyś dla mnie niczym. Przez niego musiałem tu przyjechać, choć jestem potrzebny gdzie indziej! Bo wiem, ty niegodziwa, że ten morderca wciąż żyje!

— Żyje. Zamordowałaś niewłaściwych ludzi.

— A pomyślałaś, co będzie, gdy odkryję jego tożsamość? Gdy wyciągnę z ciebie jego imię i wyprawię go na tamten świat? Nie? No to pomyśl: twoja władza nade mną się skończy!

— Nigdy ci tego nie powiem.

— Doprawdy? — syknął z gryzącym sarkazmem. — Straż! — Na jego okrzyk do celi wpadło czterech strażników i nagle zrobiło się tłoczno. — Trzymajcie starego! — rozkazał dwom ludziom, którzy natychmiast pochwycili ojca. — A wy dwaj dajcie się napić tej grzesznej dziewczce!

— Nie krzywdź jej, synu, ona jest niewinna! — zawołał ojciec.

Na znak Aurangzeba jeden ze strażników zakuł go w kajdany, dwaj inni tymczasem chwycili mnie brutalnie za ramiona i zawlekli do wielkiej porcelanowej misy, którą czym prędzej napełnili wodą.

— Nic nie zrobiłam!

— Pij! — ryknął mój brat.

Jego ludzie, rzuciwszy mnie na kolana, wepchnęli mi głowę do wody. Próbowałam im się wyrwać, lecz było to równie beznadziejne jak walka z falą przyływu. Zaczęłam się rzucać, uderzając głową w bok misy, lecz i to mi w niczym nie pomogło. Gdy nie byłam już w stanie wstrzymać oddechu, wyciągnięto mnie z wody brutalnym szarpnięciem za włosy. Zaczęłam łapać powietrze jak ryba.

— Kim on jest? — teraz Aurangzeb chwycił mnie za włosy.

— Daj jej spokój! — błagalnie zawołał ojciec.

— Zabierzcie go stąd!

Gdy wywlekano ojca z komnaty, zerknęłam na Ladli — może ona zdoła mi pomóc? Straciłam nadzieję, widząc, jak strasznie jest przerażona, choć usilnie stara się to ukryć. Co dziwne, również przerażony był Chondamir. Czyżby dotąd nie doceniał Aurangzeba?

— Mów!

Milczałam, więc znowu wepchnięto mi głowę pod wodę. Z początku prawie nie walczyłam, gdy jednak poczułam, że tracę przytomność, jęłam kopać i drapać strażników. Lecz dopiero gdy przed oczami stanęli mi moi najdrożsi, zaczęłam błagać Boga o pomoc.

Wyciągnięto mnie z wody i jak łachman rzucono na posadzkę. Szlochając żałośnie, rozejrzałam się dookoła. Ladli zagryzła usta, gęba Chondamira błyszczała od potu. Znów poprosiłam Allaha o litość. Nie modliłam się od tamtej nocy, lecz teraz tylko On jeden mógł mnie uratować. Nie bałam się śmierci, ale nie mogłam znieść myśli, że nigdy już nie zobaczę ani Isy, ani Ardżumand.

Tym razem dłużej trzymano mnie w wodzie, wciskając mi twarz w dno misy. Otworzywszy oczy, zobaczyłam wokół siebie dziwne światło. W tej samej chwili rozkurczyły mi się płuca — i zachłysnęłam się wodą. Szarpiąc się konwulsyjnie w rękach swych oprawców, przewróciłam misę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, pamiętam tylko, że opadłam na posadzkę, kaszląc i plując.

Powoli wracał mi wzrok. Aurangzeb stał nade mną z obnażonym mieczem.

— Odpowiedz mi, Dżahanaro, w przeciwnym razie będę musiał obciąć ci rękę. — Jego głos brzmiał teraz mniej ostro, jakby chciał po bratersku przemówić mi do rozsądku.

Z wysiłkiem kiwnęłam głową, modląc się tak żarliwie, jak chyba nigdy w życiu. Choć z bólu i przerażenia wciąż jeszcze nie mogłam mówić, umysł miałam dziwnie jasny. Przed oczami przepływały mi różne obrazy. Zobaczyłam Isę i Ardżumand pracujących przy swoim meczecie, po nich matkę, a potem... potem nagle objawił mi się sposób, w jaki mogłabym się uratować...

— Proszę cię, bracie — jęknęłam pękniętym głosem — nie każ mi mówić. Ja... Kocham tego człowieka. — Z oczu trysnęły mi łzy, prawdziwe łzy żalu, gdyż mówiąc o swej miłości, myślałam o Isie i o tym, jak za nim tęsknię. — Trzymaliśmy naszą miłość w sekrecie... Oszczędź go, proszę, nie rób mu krzywdy.

Czubek miecza dotknął mojej dłoni i jął z wolna obrysowywać kłykieć. Zobaczyłam sączącą się krew, choć nie poczułam draśnięcia. Twarzą Aurangzeba znów targnął skurcz — widać nie mógł nad tym zapanować.

— Jego imię! Podaj mi jego imię, a pozwolę ci żyć.

— Kocham go i bez niego...

— Wyciągnij rękę.

— Och nie, zaczekaj! — zatkałam. Spróbowałam stanąć, ale nogi miałam jak z ciasta.

— Imię! — Aurangzeb podniósł miecz.

— Powiem! — krzyknęłam, gdy ostrze zaczęło opadać. Zatrzymał je w pół drogi, ale końcem miecza znowu przyspilił mi ramię.

— Mów albo stracisz rękę.

Z udaną rozpaczą spojrzałam na Chondamira.

— Wybacz mi, mój drogi — wyjąkałam.

Na chwilę zapadła cisza — wszyscy osłupieli. Patrzyli tylko na mnie w taki sposób, jakby nie wierzyli własnym uszom. Chondamir, o dziwo, pierwszy otrząsnął się z szoku.

— Ona oszalała — wymamrotał.

— Wybacz, drogi mężu, błagam! — zawołałam łamiącym się głosem.

— Ty kłamliwa dziwko! Ona plecie bzdury, Alamgirze! Przecież wiesz, jak ta suka mnie nienawidzi!

Udałam ciężko zranioną.

— Jak... jak możesz tak mówić?

— Ty zdradliwa ładacznico!

— Nie mów tak! — Rozszlochałam się wniebogłosy. — Nie teraz! Nie po tylu trudach! Nie po tym wszystkim, cośmy przecierpieli!

Chondamir otworzył usta, lecz mój brat gestem nakazał mu milczeć.

— Po jakich trudach? Mów, na Boga, bo tracę cierpliwość!

— Pamiętasz... ten pierścień, który ukradłam Chondamirowi? — Kiedy skinął głową, dodałam z udaną niechęcią: — To nie była prawdziwa kradzież. Mój pan to wymyślił.

— Co?

— Właśnie wtedy odkryłam, że Ladli mnie zdradziła, żeby zostać twoją towarzyszką...

— Kłamie! — wrzasnął Chondamir.

— Daruj mi, mój mężu, nie mam innego wyjścia.

— Nie słuchaj jej!

Aurangzeb dwoma wielkimi krokami znalazł się przy Chondamirze i bez słowa pchnął go rękojeścią miecza w wielki brzuch. Mój małżonek stracił oddech i osunął się na kolana. Widać było, że żołądek podszedł mu do gardła. Odzyskawszy dech, zaczął płakać.

— Nie krzywdź go, bracie! — Ruszyłam w stronę Chondamira, jakbym chciała go osłonić własnym ciałem, lecz groźny gest Aurangzeba nakazał mi stanąć.

— Co wspólnego z tym wszystkim miała Ladli?

— Chondamir wpadł na pomysł, abym jej powiedziała, że mu ukradłam ten pierścień. Liczył, że zaraz ci o tym doniesie. Wiedział, że mnie nienawidzisz...

— No i?

— Stało się tak, jak przewidział. Ta udana chłosta, którą mi wymierzył, miała ci sprawić przyjemność, no i sprawiła, pamiętasz? Zaskarbił sobie w ten sposób twoją łaskę i zaufanie.

— Wykorzystałaś mnie, kłamliwa suko! — wrzasnęła Ladli tak głośno, że przestraszony Akbar wyfrunął przez okno.

Pozwoliłam sobie na nikły uśmieszek.

— Szkoda, że to nie był mój pomysł.

— I cóż zyskał dzięki moim łaskom? — niecierpliwie rzucił Aurangzeb.

— Co zyskał? — powtórzyłam, myśląc zarazem, że wystarczy mi powiedzieć prawdę, a Chondamir wkrótce będzie martwy... — Czyż nie przyznałeś mi specjalnych przywilejów na dostawę dla armii? — powiedziałam z udanym przymusem. — Czyż nie wzbogacił się dzięki tobie? A wszystko to zdobył, wykorzystując twą nienawiść do mnie i satysfakcję z powodu mej chłosty. Przypomnij sobie również, że gdy po raz pierwszy groziłam ci kobrą, był przy tym obecny. Któż, jak nie on, mógłby włożyć ci węża do łóżka?

— Dlaczego miałby to robić? Wszak chciał sprzedać cię do burdelu, a ty powiedziałaś, że twoja córka nie jest jego dzieckiem!

— Wszystko to była gra! Udawanie!

— A niby z jakiego powodu?

— Bo on mnie kocha! — zawołałam z płaczem. — Chciał mnie chronić przed tobą! Powiedział, że dasz mi spokój tylko wtedy, jeśli się będziesz mnie bał. Dlatego podrzucił ci tę kobrę, udając zarazem, że jest twoim wiernym przyjacielem. Uczyniłeś go swym doradcą, a on przez cały ten czas mówił mi o wszystkim, co robisz. Znałam każdy twój krok, każdą myśl!

— O, nie!

— Chciał cię zabić. Zastrzelić na polowaniu, ale mu nie pozwoliłam. Kazałam mu przyrzec...

Aurangzeb wydał z siebie dziki okrzyk furii i z podniesionym mieczem natarł na Chondamira.

— Daruj mu! — krzyknęłam.

Chondamirowi oczy omal nie wyszły z orbit. Podniósł ręce, jakby chciał się osłonić przed ciosem. Próbował coś mówić, ale tylko jęknął, gdy miecz Aurangzeba, zatoczywszy ze świstem półkole, przeciął mu lewe ramię, jakby było z masła, i nie zatrzymując się ani na moment, oddzielił głowę od tułowia. Rozległ się głuchy stukot, kiedy potoczyła się po posadzce, a potem drugi, gdy w ślad za nią runęło bezgłowe ciało.

Mój brat obrócił się w moją stronę. Nie próbowałam uciekać. Prosiłam tylko Boga o łatwą drogę do Raju. Poczułam na szyi dotyk żelaza — i zamknęłam oczy.

— Powiniennem cię zabić! — ryknął Aurangzeb. Nacisk jego miecza stał się mocniejszy.

— Więc zrób to. Wyświadcz mi łaskę.

— Chciałabyś! — wrzasnął. Uklęknęłam przed nim.

— Zabij mnie, błagam. Nie mam już po co żyć! — jęknęłam, modląc się w duchu, by i tym razem doszła do głosu ta chora część jego natury, która zawsze kazała mu robić coś wręcz przeciwnego temu, o co się go prosiło.

— O, nie! — zawołał mściwie. Odetchnęłam. — Dla ciebie znacznie lepszą karą będzie życie! Życie ze świadomością, że zdradziłaś nie tylko mnie, swego brata, ale i męża, którego podobno kochałaś! — Splunął na mnie z pogardą, a czubek jego miecza dotknął mojego policzka.

— Poślij mnie do Raju!

— Ty nie jesteś kobietą, grzesznico, ale żarłoczną larwą, która wpełza do serca mężczyzny i wyjada je po kawałku. Taki stwór nie zasługuje na spokój i ciszę śmierci.

Kopnął mnie z taką siłą, że upadłam na plecy, i jak burza popędził do drzwi. Ladli pospieszyła za nim. Strażnicy chwycili szczątki Chondamira i wywlekli je na korytarz.

Wbrew temu co sobie wyobrażałam, zemsta nie przyniosła mi ani radości, ani nawet żadnej satysfakcji. Pozostawiła po sobie jedynie uczucie pustki.

— Dobrze zrobiłaś — powiedział nazajutrz ojciec, gdy po powrocie do celi wysłuchał mojej relacji.

— Dobrze?

— Dzięki temu żyjesz, moje dziecko. Wolałabyś osierocić Ardżumand, a jemu pozwolić żyć? Był jak błoto pod twymi stopami.

— On...

— Zasłużył na gorszą śmierć. Nie powinnaś więcej o nim myśleć. Lepiej dla ciebie i twoich najbliższych, że już go nie ma. — Nałożywszy rękawicę, ojciec podniósł do góry kawałek tłustego mięsa dla Akbara, który czym prędzej sfrunął na jego pięść i żarłocznie połknął darowany kasek. — Nie wiem, jak długo żyją te ptaki — powiedział po chwili w zadumie. — Czy uwolnisz go po mojej śmierci?

— Jest wolny — mruknęłam. Lecz czy w ogóle istnieje prawdziwa wolność? pomyślałam.

Ojciec podniósł sokoła na taką wysokość, żeby mógł wyjrzeć na zewnątrz.

— Nie będzie mu tutaj dobrze, kiedy zostanie sam. Każ zabić to okno deskami, żeby nie mógł wrócić. Może znajdzie sobie towarzyszkę.

Skinęłam głową, obserwując ptaka, który zaczął mi się przyglądać z takim samym zainteresowaniem, lecz nagle odwrócił głowę w stronę drzwi, zerwał się z pięści ojca i pofrunął na swoją grzędę. W tej samej chwili ktoś wszedł do celi. Pomyślałam, że to pewnie Aurangzeb albo któryś z naszych strażników, westchnęłam więc z zaskoczenia, rozpoznając Ladli. Ubrana była jak Persjanka; znad czarnej zasłony, którą miała na twarzy, widać było jedynie oczy.

Gdy tylko zamknięto za nią drzwi, rzuciła mi się w objęcia. Tyle lat minęło od czasu, gdyśmy po raz ostatni mogły się uściskać! Płacząc ze wzruszenia, opasałam ją ramionami, a ona przywarła do mnie z całej siły. Przez chwilę stałyśmy tak bez słowa, sycąc się uczuciem wzajemnej bliskości. Była to inna bliskość niż ta łącząca mnie z Isą, ale równie silna. Zsunęłam jej z twarzy zasłonę, aby ucałować ją w policzek, i dopiero wtedy zobaczyłam, że usta ma opuchnięte, a pod okiem siniec.

— O mój Boże, zbił cię — wyszeptałam, prosząc gestem ojca, żeby pilnował drzwi.

Szybko naciągnęła na twarz zasłonę.

— Och, Dżahanaro, wpadł w dziką furję! Bezrozumny tchórz! Zaczął wrzeszczeć, że to przeze mnie Chondamir tak go omotał. Bo pozwoliłam ci się oszukać.

— To on dał się oszukać!

— Odchodzę od niego. Opuszczam Agrę na zawsze. Dłużej z nim nie wytrzymam. On... Przez niego przestałam być sobą. Zrobiło się ze mnie słabe, lękliwe stworzenie. — Z oka spłynęła jej łza. — Wybacz mi, Dżahanaro.

— Co ci mam wybaczyć?

— Że cię opuszczam.

— Och, Ladli, ratowałaś mnie tyle razy! Wystarczy. Chybabym umarła, gdyby nadal się nad tobą znęcał.

Z korytarza dobiegł nas jakiś hałas — Ladli drgnęła ze strachu.

— Nie powinno mnie tu być... Zabiłby nas obie, gdyby się dowiedział... — Niespokojnie zerknęła na drzwi. — Odkąd Siwadzi dał mu nauczkę, stracił chyba resztki rozumu.

— Siwadzi go pokonał?

— Twój brat, oby zżarły go pchły, wpadł w pułapkę. Zapędził się za Siwadzim w dolinę, gdzie wszystkie okoliczne góry nafaszerowano dynamitem. Ci, co przeżyli, opowiadali później, że wyglądało to tak, jakby same góry chciały ich zabić lawinami ziemi i skał. Straciliśmy cztery tysiące ludzi, a były to nasze najlepsze oddziały. Aurangzeb wrócił z wyprawy w niesławie, w dodatku kulawy.

— A Siwadzi? Żyje?

— Tak, ale sułtan Bidżapuru nie miał tyle szczęścia. Wieść ta na moment zaparła mi dech.

— Sułtan nie żyje?

— Kula armatnia urwała mu głowę.

Klasnęłam w ręce — lepszej wiadomości nie mogłabym sobie wymarzyć! Widząc, że Ladli nie rozumie, co się ze mną dzieje, opowiedziałam jej szybko całą historię uwięzienia Isy i Ardzumand, kończąc umową, którą zawarłam z sułtanem.

— Och, Ladli, jego śmierć zupełnie zmienia sytuację! — szepnęłam z nagłą radością.

— Tak, tylko kto ich teraz uwolni? Dekañczycy nas nienawidzą.

— Ale nie Siwadzi. To Hindus i dobry człowiek. Traktował nas jak przyjaciół. On ich uwolni. Musi, bo dopiero wtedy dowie się wszystkiego o tunelu, którym można bezpiecznie dotrzeć do komnaty Aurangzeba.

— Musisz więc jakoś stąd uciec. Powinnaś czym prędzej jechać do Dekanu.

Żywo pokręciłam głową. Och, wszystko nareszcie ułożyło się jak trzeba!

— Nie, Ladli, to ty tam musisz pojechać. Jesteś Hinduską, więc Siwadzi uwierzy w to, co powiesz. Chyba nawet łatwiej niż mnie.

— Ale co ja mam mu powiedzieć?

— Że wyłot tunelu będzie otwarty. Sama go otworzysz przed wyjazdem. Powiesz także, iż wejście znajduje się w domu Isy. Po prostu powiedz mu wszystko, co powinien wiedzieć. A gdy dopełni już naszej umowy, jedź na północ razem z Isą i Ardzumand!

— Rozum ci rozmiękł czy co? Nie mogę podróżować sama do Dekanu!

— Nie będziesz sama. Pojedzie z tobą pewien dzielny wojownik. Znam go, to wspaniały człowiek. W Bidżapurze był wiele razy. Przy nim włos nie spadnie ci z głowy. — Widząc, że chce protestować, zaczęłam mówić jeszcze szybciej: — Przecież i tak chcesz opuścić Agrę. Co za różnica, dokąd pojedziesz? A Dekan to piękny kraj. Są tam wspaniałe góry i och, moja droga, zobaczysz ocean! A jeśli ci się uda popływać w tym błękitnym niezmiernym morzu, przenigdy tego nie zapomnisz!

— Ale ja...

— Posłuchaj mnie, Ladli. Sama powiedziałaś, że osłabłaś i że wszystkiego się boisz. Gdzie szybciej odzyskasz siły niż na pustyni? Jedź więc i wracaj taka jak dawniej. — Zerknęłam na ojca, który oparty o drzwi udawał, że nas nie słucha. — Ja... nie mogę go znów opuścić.

— Wiem.

— Proszę cię, zrób to dla mnie.

— No dobrze, a co potem, gdy Isa i Ardżumand zostaną już uwolnieni?

— Gdy zabójca wykona zadanie, ja też będę wolna. Na jej twarz powróciło trochę dawnego szelmstwa.

— Pytam cię, chytra lisiczko, gdzie się spotkamy?

Na myśl o tym, że wreszcie będę mieć przy sobie wszystkich, których kocham, serce chciało wyskoczyć mi z piersi. A gdzie się spotkamy? Przedtem myślałam o Delhi, ale teraz zaczęło mi się wydawać, że to chyba zbyt blisko Agry. Bóg jeden wie, co po śmierci Aurangzeba zacznie się dziać w tych miastach...

— Będzie chyba najlepiej, jeśli z Bidżapuru pojedziecie na północny wschód, w stronę wschodniego wybrzeża. Słyszałam, że Kalkuta to ładne miasto. Tam się spotkamy, a potem już razem zadecydujemy, co dalej.

— Niech ci będzie, ale w którym miejscu w Kalkucie? Zamyśliłam się nad tym, ogryzając nerwowo paznokcie.

— W największym meczecie. Każ Isie codziennie modlić się tam o zmierzchu. Znajdę go.

— Cały ten plan wydaje mi się mocno niedopieczony.

— Masz lepszy?

— Nie, Dżahanaro, ale boję się o ciebie. Bądź bardzo ostrożna. Aurangzeb ma naprawdę źle w głowie. Te jego napady furii...

— Zawsze był taki.

— Ale teraz mu się pogorszyło. Szaleje niczym dziewica w burdelu.

— Skoro Chondamir nie żyje, nie powinien już lękać się kobry.

— Posłuchaj. Ten głupiec nałożył nowy podatek na wszystkich, którzy nie wyznają jego wiary. Na niewiernych, jak nas nazywa. Tym, których nie potrafi zmusić do przejścia na islam, zabiera połowę zbiorów. Połowę, wyobrażasz sobie! Karmi naszym ziarnem bojowe słonie, nie bacząc, że ludzie mrą z głodu, a gdy zaczynają się buntować, wysyła te słonie przeciw nim! Och, Dżahanaro, one co tydzień tratuja dziesiątki ofiar! I jakby nie dość było tych podatków, twój szalony brat nie pozwala Hindusom budować nowych świątyń ani remontować starych. Za jedną naprawioną potajemnie jego ludzie niszczą dziesięć innych.

Co się z nim dzieje? myślałam. Czy on nie rozumie, że zyskuje przez to tylko nowych wrogów? Podatek, o którym wspomniała Ladli, znany jako dżizja, był bardzo stary, lecz od wielu dziesięcioleci nie pobierał go żaden władca. Oni wiedzieli, że byłby to błąd.

— Ile przeprowadzono ostatnio zamachów na jego życie?

— Pytasz o wrogów? Wciąż ma ich więcej, niż w tym kraju jest trędowatych, choć każdy kogo posądzi o wrogość, natychmiast znika bez śladu. Ty żyjesz tylko dlatego, iż wyobraża sobie, że zabijając ci męża, w końcu cię pokonał, no i syci się swoim zwycięstwem. Dopóki tak będzie, pozwoli ci żyć.

— Cóż więc mam robić?

— Skoro czerpie radość z twojej niedoli, siostrzyczko, pozwól mu się nią cieszyć. Udawaj, że chcesz umrzeć, że straciłaś wszelką ochotę do życia. Gdy strażnicy mu o tym doniosą, będzie ryczał z uciechy niczym spółkujący słoń.

— Och, Ladli! — Udałam zgorszona, choć naprawdę bardzo się cieszyłam, że wraca jej dawny wigor.

— Ja nie żartuję, Dżahanaro. Tylko wtedy przeżyjesz, gdy ten niegodziwiec będzie przekonany, że odniósł nad tobą zwycięstwo. Pamiętaj, że martwa go nie pokonasz.

W milczeniu skinęłam głową. Ściskając Ladli na pożegnanie, szepnęłam jej do ucha, gdzie i kiedy powinna się spotkać z Nizamem. Nie wyjawiałam jej jego imienia, jemu też nie zamierzałam mówić, kogo ma eskortować. Niech to będzie dla nich niespodzianka. Dla niego jakże radosna!

Starannie poprawiałam jej zasłonę.

— Dziękuję ci, przyjaciółko.

— Podziękujesz mi w Kalkucie, lisiczko. — Psośnie uszczypnęła mnie w policzek, tak jak to często robiła, gdy byłyśmy małe. — I wiesz co? Lepiej módl się do Allaha, żebym ci nie skradła twojego ukochanego.

— Ani myślę — odrzekłam, tłumiąc chichot.

— Czemuż to?

— Bo jestem pewna, że będziesz wołała uwieść kogo innego.

Udała, że spluwa z pogardą.

— Prędzej najem się piasku.

— Kocham cię, Ladli — ucałowałam ją w czoło. — Uważaj na siebie. Do zobaczenia w Kalkucie. Och, pomyśl, moja droga, znowu będziemy razem! Znowu będziemy młode!

ROZDZIAŁ 24

Wyzwolenie

Idąc za radą Ladli, zaczęłam udawać rozpacz. Po jej wyjeździe głodowałam przez cały tydzień, pijąc tylko soki i wodę. Ubyło mi przez to tyle ciała i zrobiłam się taka słaba, że nie mogłam utrzymać się na nogach. Nie myłam się i nie czesałam, chodziłam boso i w brudnych ubraniach.

Nie pozwoliłam sobie popaść w zupełne delirium, ale bardzo często nawiedzały mnie sny na jawie, w których na powrót stawałam się dzieckiem, budowałam Tadz Mahal, spędzałam z Isą miłosne noce. Wizje te z czasem stały się moją jedyną pociechą. Przenosiły mnie w inną, lepszą rzeczywistość.

Ojciec opadał z sił razem ze mną. Nie pozwalał mi się pielęgnować, mówiąc, że to niebezpieczne: co pomyślą sobie strażnicy? Połapią się, że oszukuję, udając zrozpaczoną wdowę. W innych okolicznościach pewnie bym go nie słuchała, ale teraz co mogłam zrobić, kiedy samo podniesienie się z podłogi przyprawiało mnie o zawrót głowy. Wiedziałam, że ojciec wolałby być z matką, niż siedzieć ze mną w tej obmierzłej celi, i również dlatego odrzuca mą pomoc. Serce mi się krajało, byłam jednak bezsilna, a on marniał w oczach.

Jakiś miesiąc po ucieczce Ladli nawiedził nas znowu Aurangzeb, który na mój widok stwierdził ze sztucznym uśmiechem, że wyglądam żałośnie, i jął się modlić, żeby Bóg wybaczył mi moje grzechy. Udawałam nieświadomą jego obecności, ale oczy i uszy miałam otwarte. Widziałam, jak drga mu twarz i jaki jest niespokojny. Chyba mimo wszystko kochał Ladli na swój pokrętny sposób, toteż jej zdrada zraniła go do żywego.

Ladli miała rację. Był w takim nastroju, że wystarczyłby jeden mój uśmiech, by wymierzył mi cios na odlew, a gdybym próbowała mu się przeciwstawić, zabiłby mnie na miejscu. Widząc jednak, że został ze mnie strzep kobiety, wyszedł z naszej celi trochę mniej posepny, niż w chwili gdy się tu zjawiał. Wciąż wprawdzie ścisnął główne swego miecza, jakby spodziewał się skądś ataku, lecz widok dwojga najzaciętszych przeciwników pokonanych i bliskich śmierci wyraźnie podniósł go na duchu. Poczł się znowu zwycięzcą.

W miarę upływu miesięcy coraz niecierpliwiej czekałam wieści o jego śmierci. Niestety wciąż ich nie było. Ta cisza przyprawiała mnie o tortury, otwierając pole najgorszym domysłem. Czyżby mój plan się nie powiódł? Co poszło źle? Czy Ladli i Nizam nie dotarli do Bidżapuru? A może przeceniłam Siwadziego? Na żadne z tych pytań nie umiałam znaleźć odpowiedzi, toteż moja desperacja rosła. W najczarniejszych chwilach modliłam się o śmierć brata; zaczynało mi się wydawać, że tylko jego odejście może ocalić mi życie.

Coraz gorzej znosiłam więzienie. A jednak to właśnie pobytowi w tej celi zawdzięczam bezcenny dar losu — to, że dane mi było dzielić ją z ojcem. Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy, lecz te wspólnie spędzone lata stokrotnie wzmocniły łączącą nas więź. Gdy z powodu głodówki byłam zbyt słaba, żeby czymś się zająć czy choćby postać przy oknie, odbywaliśmy długie szeptane rozmowy. On opowiadał mi o matce, opisując każde najdrobniejsze nawet wydarzenie, które zdołał przywołać na pamięć, ja zabawiałam go opowieściami o Isie i Ardżumand, o tym, co pewnie teraz robią i jak cudownie było nam nad morzem. Uczyliśmy się nawzajem od siebie. Ja od niego głębokiej wiary i umiejętności przebaczenia; zaraził mnie także swym umiłowaniem poezji, sam zaś dzięki mnie zrozumiał, jak gorzki jest los naszych kobiet, zaczął też dzielić mój głęboki podziw dla morza.

W ostatnią noc jego życia mówiliśmy o matce. Bardzo wtedy cierpiał. Chyba wiedział, że nadchodzi koniec. Poprosił o wino, którego nie pił już od bardzo dawna. Spełniłam jego życzenie. Przyniosłam też trochę fig. Pasowały do wina — były równie słodkie.

— Jak myślisz, Dżahanaro — spytał słabym głosem — czy twoja matka ukaże mi się taka jak podczas naszego pierwszego spotkania, czy też taka jak wtedy, gdy mnie opuściła?

Uniosłam mu głowę — była wilgotna od potu — i ułożyłam wyżej na poduszce, tak żeby mógł widzieć błyszczące za oknem gwiazdy.

— A może zobaczysz ją taką jak w dniu waszego ślubu?

— Chciałbym, aby tak było... — odrzekł, pociągając łyceczek wina. — Chociaż później, gdy została matką, jej uroda nabrała jeszcze większego blasku. — Coś musiało go strasznie zboleć, bo gwałtownie chwycił się za bok. Kiedy atak przeszedł, znowu poprosił o wino. — Nie płacz po mnie — szepnął, chociaż sam miał oczy pełne łez. — Byłem szczęśliwy... szczęśliwy jak łódka na tym twoim morzu.

Łzy trysnęły mi z oczu. Nie starałam się ich hamować.

— Będę za tobą tęsknić.

— Wiem, ale będziesz mieć Isę i swą piękną córkę. Końcem palca obwiodłam kontur jego wyschłej, pomarszczonej dłoni.

— Powiedz matce, że ją kocham... że starałam się być taka, jaką ona chciałaby mnie widzieć. Żyć tak, żeby była ze mnie zadowolona. Że starałam się szanować jej pamięć...

— I tak było, Dżahanaro, tak było. Ale dla mnie ona nie jest jedynie wspomnieniem... Dla mnie ona żyje... w tobie. Widzę ją teraz. Dotyka mej dłoni.

— I kocha cię, ojczy. Kocha cię tak... — zamilkłam na chwilę, szukając porównania, które mogłoby mu się spodobać — ...jak słowa kochają poetę.

Kąciki ust uniosły mu się w leciutkim uśmiechu.

— Może i ja żyję w tobie.

— Na pewno.

Wypił znów łyczek wina.

— Nie wiem... czy którykolwiek ojciec może bardziej ode mnie miłować swą córkę... Jestem gotów odejść... tylko ciebie strasznie mi trudno opuścić...

Zaczęłam kwilić jak dziecko. Uspokajającym gestem ujął mnie za rękę. Nawet umierając, chciał mnie pocieszyć. Nie ja jego, tylko on mnie!

— Powiedz mi, ojczy, co mogłabym dla ciebie zrobić... nim odejdiesz?

— Obiecay mi coś, wtedy umrę w spokoju.

— Zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa. Jedź nad to morze, które tak kochasz... i żyj w taki sposób, jakbyś była dzieckiem... Pływaj w tej błękitnej wodzie, jedz i pij, kochaj i snuj marzenia. Zrób to dla mnie, a będę radował się w Raju. — Znow musiał chwycić go ból, bo jęknął głucho i gestem poprosił o wino. Tym razem wypił bardzo duży łyk. — Uwolnij Akbara — szepnął, patrząc na swego milczącego towarzysza. — Dobry był z niego przyjaciel.

— On też tak myśli o tobie.

Uśmiechnął się do mnie uśmiechem, w którym obok smutku i radości zobaczyłam coś jeszcze. Chyba nadzieję, która opuściła go przed wielu laty, lecz właśnie teraz wróciła, aby towarzyszyć mu w ostatniej drodze.

— Nie umiem wyrazić, jak bardzo cię kocham, moje dziecko...

Przytuliłam się do niego jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką, a on najpotężniejszym z ludzi tego świata. Zawsze szukałam u niego pociechy i nigdy się nie zawiodłam. Rozmawialiśmy jeszcze czas jakiś, chwilami płacząc, chwilami, choć znacznie rzadziej, uśmiechając się do siebie, a potem ujrzeliśmy spadający z nieba jeden z diamentów Allaha.

Ojciec zgasł pewnie razem z tą gwiazdą, bo kiedy znowu na niego spojrzałam, już nie żył.

Wieść o śmierci ojca rozeszła się jak pożar. Wszyscy mieszkańcy Agry — hindusi i muzułmanie, mężczyźni, kobiety i dzieci — przywdziali kolory żałoby. Ustały wszelkie spory. Ludzie

porzucili swe zajęcia. Samo miasto zdawało się płakać z żalu po swoim cesarzu. W ulicach zaległa cisza — zniknęli z nich kupcy wraz z kramami, konie, wielbłądy i słonie.

Aurangzeb postanowił urządzić ojcu prawdziwie cesarski pogrzeb. Na uroczystość, która miała odbyć się o zmierzchu, zaproszeni zostali wszyscy nobilowie — od najwyższych rangą po najniższych. Po wystawieniu ciała na widok publiczny i żałobnych modłach ojciec miał spocząć obok matki pod marmurowym niebem Tadž Mahal.

W pierwszej chwili byłam zaskoczona tak wielkodusznym gestem mego brata; wiedziałam przecież, że najchętniej pochowałby ojca tak jak Darę, wrzucając jego ciało do jakiegoś nędznego grobu, lecz im dłużej o tym myślałam, tym stawało się dla mnie jaśniejsze, że to nie jest żadna wielkoduszność; on po prostu musiał tak postąpić. Gdyby nie uczcił zmarłego cesarza, który pod koniec życia stał się znowu nadzieją uciskanych mieszkańców Hindustanu, straciłby nawet te resztki poparcia, na które jeszcze mógł liczyć.

Utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy moi nikczemni strażnicy przekazali mi wiadomość, że cesarz Alamgir chce podczas uroczystości mieć mnie u swego boku — uśmiechniętą i pięknie ubraną. Najwyraźniej liczył, że moja obecność złagodzi napięcia wywołane uwięzieniem ojca! Oburzona, że chce mnie niecnie wykorzystać, zaczęłam przeklinać go w żywy kamień, nie oszczędzając i jego pacholków. Zamilkłam dopiero wtedy, gdy któryś zagroził mi mieczem, przykładając mi go do gardła. Byłam zbyt słaba, by się utrzymać na nogach, wzięli mnie więc na nosze i zanieśli do haremu, przykazując tamtejszym dozorcóm doprowadzić mnie do porządku — wykąpać, obciąć paznokcie, ułożyć włosy i ubrać w najlepsze szaty.

Cztery wezwane służące zniosły mnie w najgłębsze trzewia haremu — do wspólnej kobiecej łaźni. Była to obszerna komnata, w której ściany i sufit wyłożone były tysiącami malutkich lusterek. Odbijające się w nich światło pojedynczej lampy sprawiało, że całe to wnętrze błyszczało doprawdy jak klejnot. Przecinał je kanał w marmurowej obudowie, którym płynęła świeża woda z rzeki. Ułożywszy mnie na granitowej ławie, służące zniknęły. Zostałam sama, tak słaba i oszołomiona, że mogłam jedynie przyglądać się błyskom światła zapalającym się niczym gwiazdki w wartko płynącej wodzie.

Po chwili do łaźni weszła cała gromada starych kobiet. Nie widziałam ich od bardzo dawna, ale wszystkie dobrze znałam — dzieciństwo upłynęło mi w ich towarzystwie. Były to przeważnie artystki, które kiedyś zabawiały mych rodziców, oraz liczne cesarskie konkubiny. Aurangzeb nie tylko nie korzystał z ich usług, lecz wyraźnie je ignorował. Te najstarsze i najbardziej wpływowe pamiętały mnie doskonale. Wszystkie też zaraz zaczęły krzątać się przy mnie, i to tak troskliwie, jakbym była ich własnym dzieckiem. A ja myślałam, że mnie nie lubią! Były przerażone moim widokiem, no i nic dziwnego — wyglądałam staro, byłam chuda jak patyk i brudna!

Zaczęły wypytywać mnie o ojca; powiedziałam im zatem, że umarł spokojnie. A co będzie ze mną? Rozpłakałam się gorzko, byłam bowiem pewna, że od razu po pogrzebie Aurangzeb odeśle mnie znów do więzienia, a myśl o samotnym życiu w tej okropnej celi napełniała mnie czarną rozpaczą.

Wszystko co stało się później, było tak zaskakujące, że chwilami nie mogłam uwierzyć, iż dzieje się to naprawdę. Te stare kobiety, których nigdy zbyt nie ceniłam, mydląc mnie i szorując, zaczęły planować moją ucieczkę! Paplały o tym jak sroki, pozornie bez ładu i składu, w dodatku tak szybko, że nie mogłam za nimi nadążyć. Chwytałam tylko pojedyncze słowa: łapówki, tajne przejścia, jakieś konie i łodzie...

Gdy zaczęły mnie ubierać w proste, ale czyste szaty, przyjrzałam się ich twarzom. Czy to naprawdę te same kobiety, które znałam w dzieciństwie? Kobiety, które nigdy nie mówiły o polityce ani o losach cesarstwa, tylko śmiały się i paplały, wylegując się całymi dniami na poduszkach? Prawda, że doskonaliły swe umiejętności, lecz poza tym ich życie w zamkniętym świecie haremu było strasznie jałowe! Tak przynajmniej mi się wydawało. Jakże byłam głupia i niesprawiedliwa! Nękana poczuciem winy zaczęłam się kajać i błagać je o wybaczenie. Ku memu zdumieniu kazały mi się uciszyć, nie przestając mówić jedna przez drugą, cmokać i chichotać. Z jakiego powodu chcą mnie uwolnić, spytałam, nic już nie rozumiejąc, wszak to dla nich ogromne ryzyko?

— Wiele spośród nas ocaliła twoja matka, pani — odezwała się w końcu jedna z kobiet, chyba najbardziej wymowna. Twarz miała strasznie zniekształconą. Wyglądała jak woskowa maska, która właśnie zaczęła się topić.

— Ocaliła?

— Tak, księżniczko. Moja matka szyla ci kiedyś sukienki. I ubranka dla twoich braci — odrzekła, czesząc mi włosy.

— Czy ją znałam?

— Byłaś wtedy małym dzieckiem, więc pewnie jej nie pamiętasz. Ja byłam niewiele starsza, kiedy w naszym domu wybuchł pożar, w którym zginęli moi rodzice, ja zaś wyszłam z niego poparzona. Umarłabym, gdyby nie cesarzowa. To ona zabrała mnie do haremu. Opłaciła także nauczycieli muzyki, dzięki czemu nauczyłam się grać. Z taką twarzą nie mogłam rzecz jasna zabawić wielkich nobilów, ale z czasem zaczęłam uczyć młodsze dziewczęta mej sztuki. Nieraz też grałam dla twojej rodziny. Dzięki łaskawości twej matki.

— Pamiętam. — Przypomniałam sobie cudowne wieczory nad Dżamną i młodą dziewczynę z bliznami na twarzy, która przepięknie grała na sitarze.

W tej właśnie chwili do komnaty weszło dwóch drobnych eunuchów, którzy zrzuciwszy swoje strojne szaty, przebrali się w brudne łachmany, a jedna z kobiet wysmarowała im twarze jakąś tłustą mazią.

— Każda z nas mogłaby ci opowiedzieć podobną historię — dodała któraś z młodszych.

— Podejmujecie jednak zbyt wielkie ryzyko. Mój brat...

— Nie boimy się go, księżniczko. On nic o nas nie wie. I niczego się nie dowie. A uwolnienie ciebie uraduje twą matkę, my zaś uczcimy jej pamięć.

Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, dwaj rzezańcy położyli mnie na noszach i z pośpiechem wynieśli z łaźni. Miałam tylko tyle czasu, by wykrzyknąć słowa podziękowań, a już pojawił się sędziwy eunuch, który narzuciwszy na mnie cienką derkę, umieścił mi między stopami jakiś skrwawiony, straszliwie cuchnący worek — było w nim pewnie gnijące mięso — na koniec zaś przykrył mnie brudnym dywanem.

Ogarnęła mnie duszna ciemność; słyszałam jedynie odgłos kroków moich tragarzy. Ziejący z worka fetor zatykał mi nozdrza, zabroniłam sobie jednak o tym myśleć. Oddychając płytko ustami, zaczęłam prosić Boga, aby chronił moje zbawicielki. Z tego co mówiły, wynikało, że zamierzają rozpuścić po haremie wiele różnych wersji mej ucieczki. W jednej z nich tylko udawałam słabość, gdyż umknęłam, skacząc przez mur. W innych ktoś mi pomógł — jakaś nieistniejąca konkubina bądź fikcyjny sługa. Jeśli te kobiety dostatecznie zagmatwają sprawę, myślałam, a wyglądało na to, że tak właśnie zrobią, mój brat nigdy pewnie nie dojdzie do prawdy. Może się jej domyślać, może sobie szaleć z wściekłości, ale bez dowodów nie ośmieli się ukarać winowajczyń. Jego władza jest teraz zbyt krucha, aby mógł się narażać potężnym nobilom patronującym mieszkankom haremu.

Niesiono mnie dłuższą chwilę, nim moi tragarze nagle przystanęli — i dobiegły mnie czyjeś podniesione głosy. Domyśliłam się, że jesteśmy przy wartowni Czerwonego Fortu.

— Hej wy, co to za toból? — zakrzyknął któryś z wartowników.

Odpowiedzi nie było. Skóra mi ścierpła na karku, a tętno zaczęło przyspieszać. Mimo woli drgnęłam na odgłos czyjegoś kaszlu — i załała mnie gwałtowna fala paniki. Ktoś mógł zauważyć, że się poruszyłam! Ogarnęło mnie szaleńcze pragnienie ucieczki. Całe szczęście, że jednak nie straciłam resztek rozsądku. Gdyby mnie teraz złapano, Aurangzeb zabiłby mnie bez pardonu: zrozumiałby, że wcale mnie nie pokonał, lecz to ja znów go okpiłam.

— Hej, chłopcze, pytałem, co tu macie? Uszy zarosły ci brudem?

— To trędowaty, panie dowódco... Martwy... Cały pokryty wrzodami. Niesiemy go na spalenie.

Strażnik chrząknął z niedowierzaniem. Usłyszałam, że się do mnie zbliża. Widząc smugę światła — uniósł brzeg dywanu! — desperacko zacisnęłam oczy. Nie chciałam oglądać człowieka, który mnie pośle na śmierć. Wybacz, Ardżumand, pomyślałam tylko, gdy okryte kolczugą ramię zahaczyło o moją nogę.

— Fuj, ależ śmierdzi! — rozdarł się wartownik. — Należałoby was spalić razem z tym umrzykiem! Za co bierzecie zapłatę? Macie obowiązek usuwać z fortu takie paskudztwa, a wy co?

— Myśmy go znaleźli dopiero dzisiajj...

— Sądząc po smrodzie, dziesięć dni za późno! Wynoście się stąd, zanim wszystkich tu porażacie!

Nosze podskoczyły — ruszyliśmy dalej. Tragarze milczeli. W miarę jak cichły głosy strażników, serce powoli zaczynało mi się uspokajać. Dopiero gdy zapadła zupełna cisza, pozwoliłam sobie zapłakać z ulgi, a potem powiadomiłam szeptem swych wybawców, gdzie znajdują schowek z ojcowskim złotem. Kazałam im je podzielić między siebie i konkubiny, które pomogły mi uciec.

Poradziłam im także dać w łapę komu trzeba. Cóż, jeśli nie złoto, może skuteczniej utrudnić śledztwo — a w schowku jest go cała góra...

Odgłos kroków po chwili się zmienił — rozpoznałam dudnienie desek. Gdy mnie na nich postawiono, usłyszałam plusk wody i chyba lekki szmer wiatru. Znowu upłynęła chwila.

— Można wstać — dobiegł mnie czyjś szorstki głos. — Podniosłam się z trudem i zrzućwszy z siebie brudny dywan i derkę, z lubością wciągnęłam w płuca świeże nadrzeczne powietrze. Byłam na pokładzie dużej kupieckiej łodzi. — Już nie masz się czego bać — dodał starszy mężczyzna o pooranej zmarszczkami twarzy. Łódź właśnie odbiła od brzegu.

— Dokąd płyniemy? — spytałam, mrugając oczami przed słońcem.

— Na południe.

— Do Kalkuty?

— Jeśli tak sobie życzysz, może być i do Kalkuty.

Spojrzałam na oddalający się Tadź Mahal. Na wielkiej, lśniącej białością platformie zebrał się już tłum nobilów. Wkrótce zaczną się uroczystości...

— Żegnaj, ojczyzno — szepnęłam.

Czekałam na jego odpowiedź, ale nie nadeszła. Słyszałam tylko szum wiatru.

Była to długa podróż, ale minęła bez przygód. Kapitan łodzi był dobrym człowiekiem, który robił wszystko co w jego mocy, abym odzyskała siły. Karcił mnie w tym celu zupą rybną, według mnie codziennie taką samą, chociaż on przysięgał, że za każdym razem jest inna. Wiedziałam, że muszę jeść, choć, kiedy wszystko stawało mi w gardle. Po roku życia na granicy śmierci głodowej odzwyczaiałam się już prawie od jedzenia.

Płynęliśmy dziesięć dni — na południowy wschód. Ziemię po obu stronach Dżamny były przeważnie bezludne, ale żyło tu sporo zwierzyny. W jakimś bambusowym gaju zobaczyłam pewnego razu tygrysa polującego na zdobycz, nie udało mi się jednak dostrzec, co upatrzył sobie na obiad. Natknęliśmy się także na niezwykle drzewo zwane banianem. Było tak olbrzymie, że musiało tu rosnąć od zamierzchłych czasów. Zwieszające się z konarów naziemne korzenie, głęboko wrośnięte w glebę, były grubsze od pnia. Spały na nich setki, jeśli nie tysiące nietoperzy. Budząc się ze snu, wydawały z siebie niesamowite piski, a ich odchody pokrywały grubą białą warstwą całe otoczenie wielkiego drzewa. Wody rzeki także tętniły życiem. Wśród jej mieszkańców byli drapieżnicy trudniący się zabijaniem, tacy jak na przykład aligator, który nagle wychynął spod łodzi, lecz nie brakowało też istnień czerpiących z jej wód tylko siłę, aby rosnąć i kwitnąć. Natrafialiśmy raz po raz na całe pola lotosów cieszących oczy swym łagodnym wdziękiem.

Śledziłam to wszystko z przelotnym zainteresowaniem. Byłam wdzięczna Bogu, że pozwolił mi oglądać te widoki, lecz zbyt mnie nękała obawa o los mej rodziny, abym mogła naprawdę podziwiać siłę życiową i spryt Jego stworzeń, takich jak choćby ten aligator.

Większość czasu spędzałam na modlitwie, resztę na rozmyślaniach — o rodzicach, Aurangzebie i o tym, jak to będzie, gdy odnajdę moich ukochanych. Tak długo ich nie widziałam! Ciekawe, czy Ardżumand oddała już komuś serce? A Isa? Czy czas i trudy życia nie odebrały mu jego pogody? Czy Ladli ich odnalazła?

Kiedy w końcu rzeka przyniosła nas do Kalkuty, byłam już na tyle silna, że umiałam chodzić bez pomocy, aczkolwiek wciąż niezbyt sprawnie. Człapiąc krętymi ulicami, znów czułam na wargach smak soli — morze... Musiało być niedaleko. Samo miasto jednakże było mniejsze od Agry, a pobudowano je tak chaotycznie, że domy zawadzały jeden drugiemu. Pałaców i ogrodów było także mniej niż na północy, co gorsza, mocno zaniedbanych. Większość budynków pokrywały warstwy brunatnych porostów, a po ścianach i dachach skakały istne hordy małp.

Ulica, którą wybrałam, doprowadziła mnie do bazaru. Wypytawszy tam kogoś o największy meczet w Kalkucie, przyspieszyłam kroku, nie zwracając uwagi na kupców podsuwających mi swoje towary. Nogi trzęsły mi się ze zmęczenia, lecz nadzieja pchała mnie naprzód.

Meczet okazał się wąską budowlą podpartą dwiema parami jednakowych arkad. Kiedy go odnalazłam, było jeszcze daleko do zmierzchu, usiadłam więc pod cyprysem, w takim miejscu, z którego widać było wiernych udających się na modlitwę. Sama też zaczęłam błagać Boga, aby zwrócił mi moją rodzinę. Parę chwil przed zachodem słońca me modlitwy zostały wysłuchane — zobaczyłam przed sobą Isę! Miał na sobie białą szatę, a na ogorzalej twarzy swój cudowny, trochę krzywy uśmiech.

Nie bacząc, że zwyczaj zakazuje takich zachowań, rzuciłam mu się w objęcia. On też ani myślał ulegać teraz konwenansom. Zamknął mnie w ciasnym uścisku, od którego odbiegł mnie cały rozsądek i wszelkie świadome myśli, ustępując miejsca szaleńczej radości. Z tej radości nie umiałam nawet nic powiedzieć. Chyba jedynie poeta potrafiłby wyrazić moje uczucia. Resztką woli powstrzymałam się od pocałunków — patrzyło na nas zbyt wielu ludzi — przycisnęłam tylko usta do jego dłoni.

— Chodźmy stąd — wyszeptałam — tam gdzie będziemy sami.

Z szerokim uśmiechem poprowadził mnie do stajni, gdzie zostawił swojego ogiera. Pomógł mi go dosiąść, sam zaś chwycił wodze i czym prędzej skierował konia ku rogatkom. Na pytanie, gdzie jest Ardżumand, odrzekł, że wszyscy czworo mieszkają nad morzem jakieś ćwierć dnia drogi od Kalkuty.

— Czy Ladli i Nizam są kochankami? — zapytałam żywo.

— Hm... Tak się zachowują, jakby byli nimi od zawsze. Klasnęłam w dłonie z radości. Nareszcie udało mi się zrobić

coś dobrego dla moich wiernych przyjaciół!

— A co z Ardżumand? Czuje się dobrze?

— Doskonale, Dżahanaro. Pozwól swym troskom odpocząć.

— Nie wiedziałam, że troski to potrafią — odrzekłam wesoło — ale jeśli to możliwe, to mam nadzieję, że i moje się tego nauczą.

Gdyśmy tylko znaleźli się za miastem, z dala od ludzkich oczu, Isa wskoczył na konia i przytulił się do moich pleców, na co ja, odwróciwszy się w siodle, zaczęłam go zasypywać namiętymi pocałunkami. Jego usta miały smak soli...

Kiedy wyszeptałam mu do ucha, jak bardzo go kocham i jak strasznie za nim tęskniłam, on zaś odpowiedział mi tym samym, złożyłam Bogu dzięki, że pozwolił nam wreszcie być razem. Tak cudownie było czuć dłonie Isy wędrujące po mojej twarzy i ciele.

— Schudłaś, Jaskółeczko — powiedział, objąwszy mnie w tali.

Skinęłam głową, patrząc na morze rozpościerające się przed nami jak lustrzane odbicie nieba.

— Ojciec nie żyje — szepnęłam. Pomyślałam zarazem, że o pewnych sprawach nigdy mu nie powiem: o tym, co zrobił Chondamir, i o tym, że Aurangzeb omal mnie nie zabił. Bo i co by mu przyszło z tej wiedzy?

— Żałuję, że odszedł. Był takim niezwykłym człowiekiem.

— Przed samą śmiercią kazał mi złożyć pewną obietnicę... — Zamilkłam na moment, czując na karku ciepłe usta Isy. — Poprosił, bym żyła jak dziecko. Myślisz, że to możliwe? — Czy ktoś, kto oglądał tyle zła, jest jeszcze do tego zdolny? odpowiedziałam w duchu.

— Nie wiem, Jaskółeczko, ale spróbuj — odrzekł, wzmacniając uścisk. — Poluzuj te wodze i popędź konia. Przekonajmy się, ukochana, ile jeszcze pozostało w tobie dziecka.

Dźgnęłam piętami ogiera. Zarżał donośnie, opuścił głowę i poszedł galopem po ścieżce.

— Mocniej, Dzahanaro! — krzyknął Isa.

Klepnąwszy wolną ręką konia po łopatce, zawołałam, że ma biec szybciej. Dzielny ogier pognał jak wicher, pośród tryskającej mu spod kopyt ziemi. Rosnące przy drodze krzaki straciły kontury, zlewając mi się w oczach w jedną szarą plamę.

— Przyłóż mu mocniej!

Wtedy dopiero całym ciałem poczułam smak wolności. Zaczęłam śmiać się i krzyżeć. Wszystkie moje troski nie tylko ucichły, ale i rozwiały się z wiatrem. Zniknęły, jakby ich nigdy nie było!

— Jeszcze szybciej! — Okrzyki Isy mieszały się z dudnieniem rozpędzonych kopyt.

Ja też krzychałam z radości, uświadomiwszy sobie, że oto w końcu trzymam w ręku wodze swego życia!

Byłam wolna, nareszcie wolna!

ROZDZIAŁ 25

Jasność zmierzchu

Nadeszły najlepsze lata mego życia.

Osiedliliśmy się w małej nadmorskiej wiosce położonej na południe od Kalkuty. Isa, który zawsze był gospodarny, zaoszczędził tyle pieniędzy, że wystarczyło aż nadto na kupno dwóch domków — jednego dla Nizama i Ladli, drugiego dla naszej trójki. Stały tak blisko siebie, że mogliśmy patrzeć sobie w okna, żyliśmy więc jak rodzina, pracując i bawiąc się wspólnie. Sąsiedzi nie znali naszej przeszłości; nie pytano nas o nic, a nam nie było pilno się zwierzać.

Nasi mężczyźni próbowali z początku rybactwa, lecz gdy wieśniacy odkryli ich kamieniarskie talenty, zaczęli nalegać, aby zmienili zajęcie — i tak też się stało. Kiedy Ladli i ja naprawialiśmy podarte sieci, Nizam, Ardżumand i Isa szli naprawiać zrujnowane domy. Za swą pracę nie braли pieniędzy, ale w zamian każdego wieczoru ktoś przynosił nam świeże ryby, warzywa, owoce i chleb.

Ardżumand wkrótce zakochała się bez pamięci. Choć jej ukochany był tylko rybakiem, nie starałam się jej przekonywać, że mogłaby poślubić kogoś znaczniejszego. Ibrahim był miłym, łagodnym młodzieńcem i bardzo ją kochał. Wzięli ślub obok ruin starego meczetu. Mój zięć nie miał pojęcia, iż żeni się z wnuczką zmarłego cesarza. Miał dowiedzieć się o tym później — teraz wydawało się to tak mało ważne! Doczekali się z czasem dwóch córek. Ich synek nie przeżył roku, lecz dziewczynki chowały się zdrowo. Drugi ich syn urodził się dopiero po wielu latach i od razu stał się oczkiem w głowie starszych sióstr.

Szczęście Ardżumand jako żony i matki było dla mnie źródłem ogromnej radości. Opuściłam ją przecież w dzieciństwie, gdyby więc przez to wyrosła na zgorzkniałą, ponurą kobietę, nigdy bym sobie tego nie darowała. Ona jednak wybaczyła mi wszystko i może właśnie dlatego kochałam ją tak bezgranicznie. Gdy widziałam, jak biega z córkami po piasku, śmiejąc się i dokazując, dziękowałam z całego serca Allahowi, że okazał mi tyle łaski.

Nizamowi i Ladli dzieci nie były potrzebne do szczęścia. Ich miłość nie była tym romantycznym uczuciem, które poeci opiewają w wierszach, lecz raczej oddaniem najbliższych przyjaciół. W ich domu rządziła Ladli, bez przerwy komenderując swoim towarzyszem. Na każde jego słowo ona miała dziesięć. Kiedy słuchałam ich rozmów, często wydawało mi się, że moja przyjaciółka mówi sama do siebie. On tylko kiwał głową i czasami wybuchał śmiechem podczas jej niekończących się tyrad. Ladli nigdy zanadto nie dbała o konwenanse, w każdym razie znacznie

mniej niż ja, a z wiekiem pozbyła się już nawet resztek zahamowań. Jej dosadny język, choć nadal zabawny, sięgnął teraz granic wulgarności. Nizam, który spędził młodość w haremie, gdzie przywykł do całkiem innego stylu, niekiedy lekko ją strofował, lecz jak by to powiedział ojciec: czy orzeł jest w stanie sprawić, by sroka przestała skrzeczeć? Jednak mimo tych różnic wydawali się bardzo szczęśliwi.

Isa i ja mogliśmy nareszcie żyć i zachowywać się jak kochankowie. Odkryliśmy też z radością — a ja nie bez zdziwienia — że nasze wzajemne uczucia z latami stają się jeszcze gorętsze. Jego uparty optymizm i radość życia działały jak balsam na moją zranioną duszę. Bolesne wspomnienia wypływały czasem na powierzchnię, przy nim jednak na tyle okrzeplam duchowo, by się przeciw nim nie buntować. Zrozumiałam, że przeszłość jest częścią naszego losu i nie trzeba się jej wypierać, lecz po prostu się z nią pogodzić. Było, minęło, ważna jest terażniejszość. Prawda, że Chondamir i Aurangzeb ciężko mnie zranili, lecz cóż to znaczy w porównaniu ze szczęściem, które daje mi zabawa z wnukiem czy spacerzy z Isą po plaży? Moja rodzina stała się moim zwycięstwem zaćmiewającym wszystkie dawne tragedie.

Gulbadan miała dziesięć lat, gdyśmy postanowili wybudować w wiosce nowy meczet, a obok niego hinduską świątynię. Ani muzułmanie, ani hindusi nie mieli odpowiedniego miejsca na modły, a i jedni, i drudzy byli naszymi przyjaciółmi. Mieli zaś o co się modlić — morze to wspaśniały, ale i okrutny żywioł, który raz po raz zabierał im bliskich.

Postanowiliśmy obie świątynie wznieść na tym samym dziedzińcu. Obie też miały być małe i skromne — bez złocień i ornamentów. Ci spośród mieszkańców, którzy z jakichś powodów nie wypływali na połów, pomagali nam kłaść fundamenty i murować ściany.

Budowa każdej świątyni ma w sobie coś magicznego. Ludzie doznają uczucia, że z samych kamieni spływa na nich spokój. Myślę, że każda twórczość działa tak na człowieka. Ja czułam to samo i gdy moja córka wysliznęła się z mego łona, i gdy rosły mury Tadż Mahal. Nawet te małe skromne świątynie były dla mnie źródłem tak wielkiej duchowej pogody, że pracując przy nich czułam uniesienie wyciskające mi nieraz łzy z oczu.

Myślę, że ów spokój, który nas nawiedza, kiedy coś tworzymy, wypływa z poczucia, że po zostanie po nas jakiś ślad na Ziemi. Bo choć wiem, że w Raju zapomnę o ziemskich troskach, lubię jednak myśleć, że zostawię coś po sobie w miejscu, gdzie się urodziłam i gdzie wypadło mi żyć. Że moja krew przetrwa w Ardżumand i jej dzieciach, a kamienie, których z taką czułością dotykały me dłonie, będą dumnie stać w słońcu, budząc podziw u ludzi z najdalszych stron świata. Oni także będą ich dotykać i może pomyślą o tych, którzy je kiedyś kładli. Czy sobie na to zasłużyłam? Nie wiem, tak jak nie wiem, czy zasłużyłam na wszystkie łaski, którymi obdarzył mnie Bóg, mogę tyl-

ko powiedzieć, że bardzo się o to starałam, a to co po sobie zostawiam, jest w moim odczuciu świadectwem moich wysiłków.

Ukończyliśmy budowę świątyni, kiedy miałam pięćdziesiąt pięć lat. Wszyscy mieszkańcy wioski uczcili to osiągnięcie całym popołudniem modlitw. Muzułmanie modlili się w meczecie, a hindusi w swojej świątyni, lecz potem obie grupy spotkały się na dziedzińcu i wspólnie zaczęliśmy podlewać posadzone dookoła kwiaty. Pomyślałam o Darze — z nadzieją, że patrzy teraz na nas z Raju. Chyba nikogo w świecie tak by nie ucieszył ten widok jak mego drogiego brata.

Wieczorem także wszyscy świętowali razem. Siedząc w łodziach kawałek od brzegu, podziwialiśmy chińskie sztuczne ognie. W ich świetle dachy i ściany naszych nowych świątyni nabierały iście magicznego blasku. My z Isą dzieliliśmy łódkę z Nizamem i Ladli, sącząc wino i witając gromkimi brawami każdą kolejną detonację, po której na niebie pojawiał się deszcz złotych iskier. Przypomniała mi się noc sprzed wielu lat, gdyśmy świętowali zakończenie budowy Tadź Mahal. To był dopiero widok!

Ile w ludzkim życiu zdarza się momentów, gdy nam się zdaje, że niczego już więcej nie trzeba do szczęścia? Ja przeżyłam tylko trzy takie chwile. Jedną nad Gangesem, gdy po raz pierwszy kochałam się z Isą, drugą, gdy razem z tysiącami ludzi stałam przed ukończonym wreszcie Tadź Mahal, trzecią zaś los dał mi teraz. Miałam przy sobie przyjaciół i ukochanych, wspólnie dokonaliśmy czegoś dobrego — czyż może być większe szczęście?

— Piękna noc — wyszeptałam, przebiegając palcami w wodzie.

— Czyż wszystkie nasze noce nie są piękne? — uśmiechnął się Isa.

— Ale nie aż tak. Ta jest wyjątkowa.

Przybrzeżna fala uderzyła w burzę, oblewając nas fontanną wody, Nizam więc chwycił za wiosła, by uciec od linii przyboju.

— Oślepeś na starość, czy co? — fuknęła na niego Ladli. Gdy swoim zwyczajem chrząknęła tylko, zamiast się obruszyć, powiedziała do mnie: — Wiesz, Dżahanaro, dobry z niego człowiek. Pozwala mi gadać, ile tylko zechcę, a słucha mnie całkiem jak piesek.

Wiedziałam, że bardzo go kocha, ale musi się z nim przekomarzać. Taką już miała naturę.

— Jeszcze cię kiedyś zaskoczy — odrzekłam z uśmiechem. — Widziałam Nizama w działaniu i dobrze wiem, co potrafi.

— On i działanie? Wszak porusza się wolniej niż muł, a z myśleniem jest jeszcze gorzej!

— Nie słuchaj jej, moja pani — wtrącił Nizam. Zawsze mnie tak tytułował, kiedy chciał podrażnić Ladli, i zawsze z podobnym skutkiem.

— Ona ma imię, ty wołożerco, ty tępy muzulmaninie! Czyżby było za długie dla tego melona, który nazywasz głową?

Fala zalała rufę — tam gdzie siedziała Ladli. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Nizam umyślnie tak ustawił łódkę, aby skąpać swoją ukochaną. Kiedy zaczęła go rugać, przysunęłam się bliżej do Isy.

— Para dobrana w Raju — stwierdził ze śmiechem wśród huku trzech sztucznych ogni.

— Aż taka dobra ze mnie swatka?

Pocałował mnie czule, co starczyło mi za odpowiedź.

Nawet najteższy banian musi kiedyś umrzeć, by na jego prochach mogły wykiełkować młode drzewka. Takie jest prawo życia. Jako pierwsza z nas czworga prawu temu uległa Ladli. Któregoś dnia poszła popływać — i morze zwróciło jedynie jej ciało. Dusza odeszła do innego świata. Zgodnie z hinduską tradycją spaliliśmy jej ciało, a prochy oddaliśmy wodzie. Wszyscy byliśmy już starzy, więc jej śmierć nie spadła na nas jak grom z jasnego nieba, co jednak nie znaczy, żeśmy nie cierpieli po jej stracie. Tęskniliśmy za nią okropnie. W naszym świecie zrobiło się nagle tak pusto! Nizam stał się jeszcze cichszy; Ladli na szczęście zostawiła mu tyle dobrych wspomnień, że pozwoliły mu one nie zgorzknąć.

Często przychodziło mi na myśl, że powinnam była umrzeć przed nią. Tak byłoby sprawiedliwiej. Ladli poświęciła taki kawał życia, żeby mnie osłaniać, i za to powinna mnie przeżyć, być z Nizamem tak długo jak te prastare drzewa, które widziałam w Dekanie. Była mi bliższa niż moi bracia i siostry, toteż jeszcze długo po jej śmierci, budząc się rano, nadśluchiwałam jej głosu — tak jak kiedyś matki czy ojca. Cóż, kiedy umarli milczą. Odzywała się do mnie jedynie w snach i wspomnieniach.

Kilka miesięcy po jej śmierci Ardzumand wraz z rodziną wyjechała z wioski, by zamieszkać w osadzie rybackiej nad Dżamną. Zrobiła to z desperacji, gdy Ibrahim o mało nie utonął w morzu. Większość kobiet w tej wiosce potraciła w ten sposób mężów, a ona nie umiała wyobrazić sobie życia bez swego ukochanego. Mimo że bolałam nad naszą rozłąką, zachęcałam ją do wyjazdu — najważniejsze było jej szczęście.

Po jej wyjeździe czułam się jak każda matka, której dziecko wyfrunęło z gniazda. Czas jakby przyspieszył biegu, coraz szybciej niosąc mnie ku śmierci. Całe szczęście, że miałam Isę. Nasza miłość bynajmniej nie uwiędła z wiekiem, choć starzenie się nie było łatwe. Nadszedł czas, gdy mój ukochany nie mógł już dźwigać kamieni i często ulegał wypadkom. Nieraz całymi nocami zmieniałam mu okłady na potłuczonych rękach i nogach. Zaczęła mu także szwankować pamięć. U mnie starość objawiała się tym, że sypiałam teraz znacznie dłużej i stałam się mniej ruchliwa. Bardzo rzadko już pozwalałam sobie pływać w morzu. Mimo to byliśmy szczęśliwi — mieliśmy siebie. Dziękowaliśmy Bogu za każdy kolejny dzień.

Pewnego popołudnia szczęście się skończyło. Staliśmy nad brzegiem morza, nie podejrzewając nic złego, gdy nagle Isa padł z krzykiem na piasek — porażony strasznym bólem głowy. Następnego ranka całe jego ciało ogarnął bezwład; nawet jego cudowne ręce były martwe. Żył jeszcze trzy dni. Nie odstępowałam go ani na chwilę. Ostatniego wieczoru wśliznęłam się na posłanie i objęłam go z całej siły. Nie mógł odpowiedzieć mi uściskiem, ale jego oczy nie przestały mówić o miłości.

Jak pożegnać kogoś, kogo kocha się całą duszą i ciałem? Czy istnieje słowo, spojrzenie lub dotyk zdolne uciszyć ból serca w chwili gdy dwoje ludzi, którzy byli dla siebie wszystkim, musi się w końcu rozstać? Nauczyłam się w życiu wielu rzeczy, lecz w żadnej najmądrzejszej nawet księdze nie znalazłam wskazówki, jak przeżyć rozłąkę z człowiekiem, bez którego życie traci sens. Staralam się być silna; nie chciałam, aby w ostatniej podróży towarzyszyły mu kobiece szloch, cóż, kiedy nie mogłam ich stłumić.

— Nie odchódź — wyjąkałam.

— Znajdziesz mnie — szepnął z wysiłkiem. — Zawsze... umiałaś mnie znaleźć.

Czułam, że życie z niego wycieka, zacisnęłam więc ręce wokół jego pleców, jakbym w ten sposób mogła go zatrzymać.

— Co ja bez ciebie pocznę? — zaszlochałam, całując jego słone od łez policzki. — Zabierz mnie z sobą!

— Jesteś... ze mną. Zawsze... byłaś. — Jego głos brzmiał coraz słabiej.

— Czy nie jest ci zimno, kochany? A może za gorąco? — spytałam bezradnie. — Co mogę dla ciebie zrobić?

— Pocałuj mnie.

Spełniłam jego prośbę, myśląc o latach, gdy byliśmy młodzi.

O, gdyby można było cofnąć czas! Ale było to niemożliwe, pogładziłam go więc po włosach, teraz już całkiem białych.

— Dziękuję ci, ukochany, za to co dla mnie zrobiłeś. Dzięki tobie poczułam się pełną istotą.

— Dokonałabyś tego... i beze mnie.

— Może, lecz bez ciebie istniałabym tylko jako „ja”, a „ja” to o wiele mniej niż „my”. — Moja łza kapnęła mu na policzek. Zatrzepotał powiekami, próbując coś powiedzieć, lecz nie rozumiałam słów. — Znajdę cię w Raju, mój drogi — szepnęłam. — Kiedy cię zobaczę, będziesz obasypany kamiennym pyłem, stanę więc przy tobie i pomogę ci budować.

— Obiecujesz?

— Tak. I będziemy żyć znowu jako jedna dusza w dwóch ciałach.

— Kocham cię, Jaskółeczko — powiedział jeszcze, utkwivszy wzrok w moich oczach.

A potem odszedł.

Kiedy kończę swą opowieść, jest już ciemno. Moje wnuczki płaczą i zadają mi mnóstwo pytań. Chcą wiedzieć, co się stało z Siwadżim, więc im mówię, że zginął w górskim osypisku jakieś dwa miesiące po uwolnieniu ich matki i dziadka. Przypuszczam, że razem z nim umarł nasz sekretny układ, choć już po jego śmierci doszły mnie słuchy o skrytobójcach schwytanych w Czerwonym Forcie. Wnuczki pytają mnie również, czy nie boję się, że Aurangzeb może mnie tu wyśledzić.

— Nie zdąży. Jutro już wracam nad morze.

— Tak szybko? — Rurajja wyciera wilgotne od łez policzki. — Byłaś tu tylko dwa dni. Jak myślisz — dodaje po chwili — może my również powinniśmy wrócić? Ojcu brakuje morza, a matka okropnie tęskni za tobą.

— Więc jedźcie ze mną.

— Powiedz, Dżaha — pyta Gulbadan — dlaczego już nie chcesz walczyć ze swym bratem? Nie chciałabyś się na nim zemścić?

— Nie. Zemsta nic nie daje poza uczuciem pustki. A zresztą to przecież ja wygrałam nasz pojedynek, on zaś poniósł klęskę. Jego imperium się wali, ludzie go nienawidzą, a strach przed zabójstwem odbiera mu sen. Nienawiść uczyniła go słabym, podczas gdy ja zyskałam siłę przez miłość.

Padają kolejne pytania, ale ja myślę o czym innym.

Może hindusi mają rację, wierząc, że człowiek żyje wiele razy, tyle że nie w różnych ciałach. Ja miałam trzy życia, zupełnie zresztą zwyczajne. Jako dziecko zdobywałam wiedzę, jako młoda dziewczyna starałam się zaspokoić swą ciekawość świata, jako kobieta poznałam cierpienie i miłość. Teraz widzę, że to były trzy różne życia, chociaż tworzyły jedno. Patrząc wstecz, zastanawiam się czasem, czy naprawdę to wszystko przeżyłam? Może tylko mi się przyśniło?

Nizam wiosłuje do brzegu, gdzie na moje wnuczki czeka ich ojciec. Całuję obie na dobranoc. Chcę też pożegnać Nizama, ale on idzie za mną. Do Tadż Mahal. Mauzoleum jest takie jak dawniej. W jego arkadach dostrzegam wdzięk mojej matki, a wszędzie gdzie spojrzę, Isę — jego olśniewający, niezrównany talent.

Nauczono mnie w dzieciństwie, że dusza dobrego muzułmanina idzie po śmierci do Raju, gdzie ucztuje z przyjaciółmi i zażywa wiecznej szczęśliwości. Lecz gdy gładzę teraz biały marmur, ten sam, którego dotykały kiedyś dłonie Isy, doznaję nagle uczucia, że wbrew muzułmańskim wierzeniom jakaś część jego duszy pozostała tutaj na Ziemi. Wprost wydaje mi się, że on sam jest obok, że mogłabym go niemal dotknąć.

Jak mam nazwać to, co teraz czuję? Miłością? A może poczuciem jedności silniejszym nawet niż miłość? Miłość to uczucie ludzkie, a to czego doświadczam, jest zbyt cudowne, zbyt do-

skonałe, aby Bóg chciał je dać śmiertelnym. Mogła to sprawić jedynie obecność Isy. Jest przy mnie. Widzę go przez łzy płynące mi gradem po twarzy. Śmieje się. Płacze. Trzyma mnie w ramionach. Szepcze mi słowa miłości.

— Jakże za tobą tęsknię! — wyznaję białym marmurowym płytom. — Czy zechcesz mi się znów przyśnić?

Nie słyszę odpowiedzi, ale będę na niego czekać i wiem, że przyjdzie. Allah wziął jego ciało do Raju, lecz jego dusza nie potrafiła stąd odejść. Kiedy odwiedza mnie w snach, rozmawiamy tak jak kiedyś — o Tadź Mahal i o naszej córce. Wciąż nazywa mnie Jaskółeczką.

Dotykam marmuru i znów go widzę. Obok niego siedzi matka, a przy niej Dara i ojciec. Jest też z nimi Ladli. Wszyscy są weseli i tacy młodzi! Wkrótce się z nimi spotkam.

Większość ludzi boi się śmierci, ja nie. Nawet śmierć nie zniszczy tej cudownej więzi, zwanej też miłością, która łączy mnie w jedność z moim ukochanym.

Zabiorę ją z sobą, dokądkolwiek pójdę.

***Tyś wiedział, Szahdżahanie, że wszystko przemija
życie i młodość, bogactwo i chwała, że wszystko to rwący nurt
czasu unosi w ciszę i mrok niepamięci.
Staraleś się przeto unieśmiertelnić jedynie ból swego serca.
Niech zgaśnie świetność diamentów, przepych rubinów i pereł.
Niech tylko ta jedna łza, twój Tadź Mahal,
lśni wciąż tym samym najczystszy blaskiem na policzku czasu.
Dziś i przez wszystkie wieki.***

Rabindranath Tagore